GABRIEL GARCÍA

MÁRQUEZ

STO LAT SAMOTNOŚCI

GABRIEL GARCÍA
MÁRQUEZ

STO LAT SAMOTNOŚCI

przełożyły
Grażyna Grudzińska
Kalina Wojciechowska

MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: ***Cien años de soledad***
Projekt okładki: *Magdalena Błażków – KreacjaPro*;
dyrektor artystyczny – *Andrzej Pągowski*
Redakcja techniczna: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Renata Kuk*

© Gabriel García Márquez and Heirs of
Gabriel García Márquez, 1967. All rights reserved
© for this Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1996, 2017
© for the Polish translation by Grażyna Grudzińska and Piotr Carlson

ISBN 978-83-287-0620-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Wydanie I
Warszawa 2017

Dla Jomí García Ascot
i Marii Luizy Elío

Spis treści

Wiele lat później…
Kiedy korsarz Francis Drake…
Syna Pilar Ternery…
Otwarcie nowego domu…
Aureliano Buendía…
Pułkownik Aureliano…
W maju…
Siedząc w wiklinowym fotelu…
Pułkownik Gerineldo…
W kilka lat później…
Po dwóch miesiącach…
Olśniona mnogością…
W oszałamiającym rwetesie…
Ostatnie wakacje Meme…
Wydarzenia…
Deszcz padał…
Urszula musiała…
Aureliano…
Amaranta Urszula wróciła…
Pilar Ternera umarła…

Wiele lat później, stojąc naprzeciw plutonu egzekucyjnego, pułkownik Aureliano Buendía miał przypomnieć sobie to dalekie popołudnie, kiedy ojciec zabrał go z sobą do obozu Cyganów, żeby mu pokazać lód. Macondo było wówczas niewielką osadą – dwadzieścia chat z trzciny oblepionej gliną, zbudowanych na brzegu rzeki, której przezroczyste wody bystro toczyły się po gładkich białych kamieniach koryta, wielkich jak jaja przedhistorycznych ptaków. Świat był jeszcze tak młody, że wiele rzeczy nie miało nazwy i mówiąc o nich, trzeba było wskazywać palcem. Co roku w marcu rodzina Cyganów rozbijała namiot niedaleko wioski i pośród zgiełku piszczałek i bębnów prezentowała mieszkańcom nowe wynalazki. Najpierw przywieźli magnes. Krępy Cygan imieniem Melquíades, z krzaczastą brodą i rękami jak łapki wróbla, dał imponujący pokaz czegoś, co sam nazwał ósmym cudem świata wymyślonym przez uczonych alchemików z Macedonii. Chodził od domu do domu, ciągnąc za sobą dwie metalowe sztaby, i wszystkich ogarniało przerażenie na widok spadających ze swego miejsca rondli, kotłów, obcęgów i fajerek; drewno trzeszczało, bo gwoździe i śruby rozpaczliwie usiłowały się wyrwać, a zagubione od dawna przedmioty ukazywały się gdzieś, gdzie już tysiące razy bezskutecznie ich szukano, wlokąc się hałaśliwie za magicznym żelazem Melquiadesa. „Przedmioty mają własne życie – wołał Cygan ze swoim twardym akcentem – trzeba tylko obudzić w nich duszę”. José Arcadio Buendía, którego nieokiełznana wyobraźnia daleko wybiegała poza działanie i prawa natury, a czasami nawet także poza dziedzinę cudów i magii, pomyślał, że można by posłużyć się tym bezużytecznym wynalazkiem do wydobywania złota z ziemi. Melquíades, który był człowiekiem uczciwym, uprzedził go:

„Do tego się nie nadaje”. Ale José Arcadio Buendía nie wierzył w owym czasie w uczciwość Cyganów, toteż wymienił swego muła i stadko kóz na tamte dwie namagnetyzowane sztabki. Nie zdołała go od tego odwieść jego żona, Urszula Iguarán, która liczyła na te zwierzęta, by pomnożyć uszczuplony inwentarz domowy. „Wkrótce będziemy mieć dosyć złota na wybrukowanie całego domu” – odpowiedział jej mąż. Przez wiele miesięcy zawzięcie starał się udowodnić słuszność swoich przypuszczeń. Piędź po piędzi przeszukał całą okolicę, a nawet dno rzeki, ciągnąc za sobą dwie żelazne sztabki i recytując na głos zaklęcie Melquiadesa. Jedyną rzeczą, jaką udało mu się wykopać, była zardzewiała zbroja z XV wieku, której wszystkie części zlutowała rdza i która za potrząśnięciem wydawała głuchy grzechot, niby olbrzymia wydrążona dynia pełna kamieni. Kiedy José Arcadio Buendía i czterej jego ludzie należący do wyprawy zdołali rozebrać zbroję, znaleźli wewnątrz zwapniały szkielet z zawieszonym na szyi miedzianym relikwiarzem zawierającym pasmo włosów kobiecych.

W marcu powrócili Cyganie. Tym razem przywieźli teleskop i lupę wielkości bębna. Pokazywali to jako ostatnie odkrycie Żydów z Amsterdamu. Posadzili jedną z Cyganek na końcu wsi i zainstalowali teleskop u wejścia do swego namiotu. Za opłatą pięciu realów ludzie patrzący przez teleskop widzieli Cygankę tak blisko, że wydawała się niemal w zasięgu ręki. „Nauka wyeliminowała odległość – głosił Melquíades. – Wkrótce człowiek, nie wychodząc z domu, będzie mógł zobaczyć, co się dzieje w każdym zakątku świata”. Któregoś dnia, w samo południe, Cyganie urządzili zadziwiającą demonstrację olbrzymiej lupy: ułożyli stertę siana na środku ulicy i zapalili ją za pomocą zogniskowanych promieni słonecznych. José Arcadio Buendía, wciąż jeszcze niepocieszony po klęsce z magnesem, wpadł na pomysł wykorzystania nowego wynalazku jako broni wojennej. Melquíades znowu usiłował wybić mu to z głowy, w końcu jednak przyjął z powrotem dwie namagnetyzowane sztabki i trzy kolonialne monety w zamian za lupę. Urszula szlochała w bezsilnej rozpaczy. Te pieniądze pochodziły z kuferka ze złotymi monetami, które jej ojciec zbierał przez całe swoje pełne wyrzeczeń życie i które ona zakopała pod łóżkiem w oczekiwaniu jakiejś dobrej okazji, aby je zainwestować. José Arcadio Buendía nie próbował nawet jej pocieszać, oddany bez reszty swoim eksperymentom taktycznym z poświęceniem prawdziwego

człowieka nauki, a często nawet z narażeniem życia. Aby wykazać skuteczność lupy przeciwko wojsku nieprzyjaciela, wypróbował koncentrację promieni słonecznych na sobie, przy czym poparzył się tak, że bąble zmieniły się w ropiejące rany i długo nie chciały się goić. Wobec protestów żony, przerażonej tak niebezpiecznymi próbami, mało brakowało, by podpalił własny dom. Spędzał długie godziny zamknięty w swoim pokoju, pogrążony w kalkulacjach na temat możliwości strategicznych nowej broni, aż wreszcie udało mu się opracować podręcznik zadziwiający jasnością dydaktyczną i darem nieodpartej argumentacji. Posłał go władzom wojskowym, załączając liczne opisy własnych doświadczeń i kilka arkuszy rysunków objaśniających. Posłaniec, który wiózł to cenne dzieło, przebył góry, błądził po bezkresnych bagnach, przeprawiał się przez wartkie rzeki i omal nie zginął w zębach drapieżników, dręczony rozpaczą i chorobą, zanim trafił na trakt mułów pocztowych. Mimo że podróż do stolicy była w owym czasie imprezą prawie niemożliwą, José Arcadio Buendía przyrzekał sobie podjąć ją natychmiast po otrzymaniu rozkazu rządu, aby zademonstrować praktyczne zastosowanie swego wynalazku dygnitarzom wojskowym i osobiście ich wprowadzić w tajniki skomplikowanej sztuki wojny słonecznej. Przez kilka lat czekał na odpowiedź. Wreszcie, znużony oczekiwaniem, poskarżył się Melquiadesowi, ubolewając nad niepowodzeniem swej inicjatywy. I wtedy Cygan dał niezbity dowód swojej uczciwości: zwrócił mu złote dublony i zabrał lupę, dokładając kilka portugalskich map i parę instrumentów żeglarskich. Osobiście i własnoręcznie napisał zwięzłą syntezę studiów mnicha Hermana, żeby mu ułatwić posługiwanie się astrolabium, kompasem i sekstansem. José Arcadio Buendía spędził wiele deszczowych miesięcy zamknięty w izdebce, którą specjalnie na ten cel dobudował w głębi domu, tak by nikt mu nie przeszkadzał w doświadczeniach. Porzuciwszy całkowicie obowiązki domowe, przesiadywał całymi nocami na podwórku, śledząc bieg gwiazd, i omal nie dostał porażenia słonecznego, usiłując wynaleźć dokładną metodę określania południa. Kiedy wyćwiczył się już w używaniu i manewrowaniu swymi instrumentami, poczuł się tak bardzo panem przestrzeni, że nie opuszczając swego gabinetu, mógł żeglować po nieznanych morzach, wędrować przez bezludne ziemie i nawiązywać znajomości z cudownymi istotami. W tym okresie przyzwyczaił się rozmawiać sam z sobą i krążyć po całym domu, nie

dostrzegając nikogo, podczas gdy Urszula z dziećmi mozoliła się w ogrodzie przy uprawie bananów, manioku, malangi, ignamu i bakłażanów. Nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, jego gorączkowa aktywność urwała się i nastąpiło coś w rodzaju fascynacji. Kilka dni chodził jak urzeczony, powtarzając sobie cichym głosem łańcuszek zadziwiających przypuszczeń, jakby nie wierzył własnemu rozumowi. W końcu pewnego grudniowego dnia, we wtorek podczas obiadu, za jednym zamachem zrzucił z siebie cały ciężar swych udręczeń. Dzieci do końca życia miały zapamiętać uroczystą powagę, z jaką ich ojciec zasiadł na głównym miejscu przy stole, dygocąc jak w gorączce, wycieńczony bezsennością i wysiłkiem imaginacji, i wyjawił im swoje odkrycie: „Ziemia jest okrągła jak pomarańcza".

Urszula straciła cierpliwość. „Jeżeli masz zwariować, wariuj sam! – wykrzyknęła – ale nie próbuj uczyć dzieci swoich cygańskich pomysłów". José Arcadio Buendía, niewzruszony, nie dał się zmiękczyć desperacją małżonki, która w napadzie złości zrzuciła na ziemię astrolabium, rozbijając je na kawałki. Skonstruował przyrząd na nowo i zebrawszy w swoim pokoiku ludzi ze wsi, wykazał im, z pomocą teoretycznych objaśnień, których nikt nie rozumiał, że można powrócić do punktu, z jakiego się wyruszyło, kierując się stale na wschód. Cała wieś była przekonana, że José Arcadio Buendía postradał zmysły, ale w tym momencie zjawił się Melquíades, aby doprowadzić sytuację do porządku. Publicznie pochwalił inteligencję człowieka, który dzięki czystej spekulacji astronomicznej wymyślił teorię już sprawdzoną w praktyce, chociaż dotychczas nieznaną w Macondo. W dowód uznania ofiarował mu dar, który miał później wpłynąć decydująco na przyszłość wioski – laboratorium alchemiczne.

W tym czasie Melquíades zaczął się starzeć ze zdumiewającą szybkością. Z początku gdy tu przyjeżdżał, wydawało się, że jest w tym samym wieku co José Arcadio Buendía. Ale podczas gdy ten ostatni zachowywał wciąż swoją niepospolitą siłę, która pozwalała mu obalić konia chwytem za uszy, Cygana jakby toczyła jakaś uporczywa choroba. W rzeczywistości był to rezultat wielu osobliwych chorób nabytych w niezliczonych podróżach dookoła świata. Tak jak to sam opowiadał Josemu Arcadiowi Buendíi, pomagając mu urządzić laboratorium, śmierć

szła za nim zawsze jak pies, obwąchiwała mu spodnie, ale nie decydowała się skoczyć do gardła. Wymknął się wszystkim plagom i kataklizmom, jakie nawiedzały rodzaj ludzki. Przeżył pelagrę w Persji, szkorbut na Półwyspie Malajskim, trąd w Aleksandrii, beri-beri w Japonii, dżumę na Madagaskarze, trzęsienie ziemi na Sycylii i olbrzymią katastrofę okrętową w Cieśninie Magellana. Ten niezwykły człowiek, który twierdził, że posiada wiedzę tajemną Nostradamusa, był ponury i smutny, a spojrzenie jego azjatyckich oczu zdawało się dostrzegać odwrotną stronę rzeczy. Nosił duży czarny kapelusz, niczym rozpostarte skrzydła kruka, i aksamitną kamizelkę, którą przyprószyła patyna wieków. Ale pomimo swojej ogromnej wiedzy i posiadania tajemnic był na wskroś ludzki, związany z ziemią, nieobcy najdrobniejszym problemom życia codziennego. Uskarżał się na starcze dolegliwości, wrażliwy na najmniejsze niepowodzenia finansowe, od dawna już przestał się śmiać, gdyż szkorbut pozbawił go zębów. Tego upalnego popołudnia, kiedy wyjawił swoje najtajniejsze sekrety, José Arcadio Buendía był pewien, że jest to początek wielkiej przyjaźni. Dzieci były oszołomione fantastycznymi opowiadaniami. Aureliano, który wówczas liczył nie więcej niż pięć lat, miał go potem pamiętać przez resztę swego życia takim, jakim go widział owego popołudnia, gdy starzec siedział przy stole na tle metalicznego, rozżarzonego do białości blasku i swoim głębokim głosem o brzmieniu organów rozświetlał najciemniejsze zakątki wyobraźni, a z czoła i skroni spływał mu tłusty pot. José Arcadio, starszy brat Aureliana, miał przekazać ten wspaniały obraz jak dziedziczną pamiątkę wszystkim swoim potomkom. Urszula natomiast zachowała niezbyt dobre wspomnienie z tej popołudniowej wizyty, bo weszła do pokoju akurat w momencie, kiedy Melquíades przez nieuwagę stłukł flakonik z dwuchlorkiem rtęci.

– Pachnie diabłem – powiedziała.

– Nic podobnego – sprostował Melquíades. – Dowiedziono, że diabeł ma własności siarkowe, a to jest tylko odrobina sublimatu.

Jak zawsze skłonny do dialektyki, wygłosił uczony wykład na temat diabolicznych właściwości cynobru, ale Urszula nie zwracała na niego uwagi, tylko zabrała dzieci na modlitwę. Ten gryzący zapach miał pozostać na zawsze w jej pamięci skojarzony ze wspomnieniem Melquiadesa.

Prymitywne laboratorium – poza obfitością miseczek, lejków, probówek, filtrów i sitek – składało się ze zwykłego tygla, szklanej retorty z długą wąską szyjką (imitacja jaja filozoficznego) oraz aparatu do destylacji, skonstruowanego przez samych Cyganów według współczesnych opisów trzyramiennego alembiku Marii Żydówki. Prócz tych rzeczy Melquíades pozostawił próbki siedmiu metali odpowiadających siedmiu planetom, formuły Mojżesza i Zosimusa do wyrobu złota, a także serię notatek i rysunków dotyczących procesów Wielkiego Wtajemniczenia, które temu, kto umiałby je odczytać, pozwalały uzyskać kamień filozoficzny. Zachęcony prostotą formuł alchemicznych, José Arcadio Buendía przez wiele tygodni przekonywał Urszulę, żeby mu pozwoliła odkopać swoje monety kolonialne i pomnożyć je tyle razy, na ile można rozdzielić rtęć. Urszula jak zawsze ustąpiła przed niezłomnym uporem męża. Wtedy José Arcadio Buendía wrzucił trzydzieści złotych dublonów do rondla i roztopił je z opiłkami miedzi, orypimentem, siarką i ołowiem. Wszystko to podgrzewał na wielkim ogniu, dolewając oleju rycynowego, aż otrzymał gęsty, cuchnący syrop, który bardziej przypominał pospolity karmel niż wspaniałe złoto. W kolejnych ryzykownych i rozpaczliwych procesach destylacyjnych, w aliażu z siedmiu metali planetarnych, przeżarte rtęcią i cypryjskim witriolem, prażone na nowo w wieprzowym smalcu, z braku oleju rzepakowego, cenne dziedzictwo Urszuli zostało doprowadzone do postaci zwęglonej skwarki, której nie sposób było oderwać od dna rondla.

Kiedy powrócili Cyganie, Urszula podburzyła przeciwko nim całą wieś. Ciekawość jednak była silniejsza od strachu, bo tym razem Cyganie przemaszerowali przez wieś z ogłuszającym hałasem wszelkiego rodzaju instrumentów muzycznych, podczas gdy ich herold zapowiadał pokaz największego wynalazku sprzed epoki Inków. Tak więc wszyscy udali się do namiotu cygańskiego i za opłatą jednego centavo zobaczyli Melquiadesa, odmłodzonego, wypoczętego, bez zmarszczek, z nowym, olśniewająco białym uzębieniem. Ci wszyscy, którzy pamiętali jego dziąsła zżarte przez szkorbut, zapadłe chude policzki i zwiędłe usta, struchleli z przerażenia wobec tego oczywistego dowodu nadprzyrodzonej mocy Cygana. Strach urósł do rozmiarów paniki, gdy Melquíades wyjął nietknięte zęby, pokazał je publiczności na chwilę – przelotną chwilę, w czasie której stał się tym samym zgrzybiałym starcem z dawnych lat – i włożył je

z powrotem, uśmiechając się znów w pełnym blasku swej przywróconej młodości. Nawet sam José Arcadio Buendía uznał, że wiedza Melquiadesa przekroczyła granice dozwolone dla umysłu człowieka, lecz doświadczył prawdziwie uzdrawiającej uciechy, kiedy Cygan na osobności wytłumaczył mu mechanizm sztucznej szczęki. Wydawało mu się to tak proste i tak przemyślne zarazem, że nagle stracił całe zainteresowanie dla badań alchemicznych. Wpadł w zły humor, przestał jadać regularnie i całymi dniami spacerował po domu. „Niewiarygodne rzeczy dzieją się na świecie – mówił do Urszuli. – Tuż koło nas, po drugiej stronie rzeki, istnieją różne aparaty magiczne, a my w dalszym ciągu żyjemy w ciemnocie”. Ci, którzy go znali z czasów założenia Macondo, nie mogli wyjść z podziwu, jak bardzo się zmienił pod wpływem Melquiadesa.

Z początku José Arcadio Buendía był kimś w rodzaju młodego patriarchy, który dawał wskazówki, jak obsiewać pole, udzielał rad w sprawach wychowywania dzieci czy hodowli zwierząt i pracował razem ze wszystkimi, nawet fizycznie, dla dobra całej gminy. Ponieważ jego dom od początku był najlepszy we wsi, inne domy urządzono na jego obraz i podobieństwo. Był tam przestronny i dobrze oświetlony salon, jadalnia, która wyglądała jak terasa z kwiatami w jaskrawych barwach, dwie sypialnie, patio z olbrzymim kasztanem pośrodku, dobrze utrzymany ogród warzywny i zagroda, gdzie w pokojowej koegzystencji żyły kozy, świnie i kury. Jedynymi zwierzętami, których hodowla była zabroniona w domu i w całej wsi, były koguty trenowane do walki.

Urszula wiodła żywot równie pracowity jak jej mąż. Ta drobna, poważna i niezwykle ruchliwa kobiecinka o żelaznych nerwach, której nigdy nie słyszano śpiewającej, wydawała się wszechobecna i krzątała się od świtu do późnej nocy z lekkim szelestem batystowych halek. Dzięki niej podłogi z ubitej gliny, niepobielane mury, proste drewniane meble, sporządzone przez nich samych, były zawsze czyste, a stare kufry, w których przechowywano bieliznę, wydzielały przyjemny zapach bazylii.

José Arcadio Buendía, który był najbardziej przedsiębiorczym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziano we wsi, zarządził rozmieszczenie domów tak, żeby wszystkie miały dostęp do rzeki i mogły łatwo zaopatrywać się w wodę. Wytyczył ulice tak rozumnie, że żaden z domów nie bardziej niż inne cierpiał od słońca w godzinach największego

upału. W ciągu paru lat Macondo stało się najlepiej uładzoną i najpracowitszą wsią ze wszystkich znanych jej trzystu mieszkańcom. Była to rzeczywiście szczęśliwa wieś, w której nikt nie przekroczył trzydziestu lat i nikt jeszcze nie umarł.

Od chwili jej założenia José Arcadio Buendía budował pułapki i klatki. W krótkim czasie kanarki, drozdy i szpaki wypełniły nie tylko jego dom, ale i wszystkie inne. Ptasie koncerty były tak ogłuszające, że Urszula zatykała sobie uszy pszczelim woskiem, aby nie stracić poczucia rzeczywistości. Kiedy po raz pierwszy przybyło do Macondo plemię Melquiadesa, sprzedając szklane kulki przeciw bólom głowy, wszyscy dziwili się, jak można było trafić do tej osady, zagubionej wśród sennych moczarów. Cyganie wyznali, że kierowali się śpiewem ptaków.

Ten duch inicjatywy społecznej zanikł wkrótce, porwany gorączką magnesów, obliczeniami astronomicznymi, marzeniami o transmutacji złota i chęcią poznania cudów świata. Dawniej przedsiębiorczy i schludny, José Arcadio Buendía zrobił się teraz niedbały, chodził nieporządnie ubrany, z dziką brodą, którą Urszuli z wielkim wysiłkiem udawało się strzyc czasem za pomocą kuchennego noża. Wiele osób uważało go za ofiarę jakiegoś dziwnego czaru czy zaklęcia. Ale nawet ci najmocniej przekonani o jego obłędzie porzucili pracę i rodziny, aby iść za nim, kiedy zarzuciwszy na ramię narzędzia, zwołał wszystkich, żeby utorować przez las drogę, otwierającą wsi dostęp do wielkich wynalazków.

José Arcadio Buendía nie znał zupełnie geografii swojego rejonu. Wiedział, że na wschodzie rozciąga się łańcuch nieprzebytych gór, a za górami stare miasto Riohacha, gdzie w minionej epoce – jak opowiadał jego dziadek, pierwszy Aureliano Buendía – sir Francis Drake polował z armatami na kajmany, które potem kazał wypychać słomą i posyłał w podarunku królowej Elżbiecie. W młodości on i jego ludzie, wraz z żonami, dziećmi, zwierzętami i całym dobytkiem, przeszli przez góry, szukając dojścia do morza, lecz po dwudziestu sześciu miesiącach zaniechali dalszej wędrówki i założyli Macondo, aby uniknąć trudów powrotu. Toteż droga na wschód ich nie interesowała, bo mogła prowadzić tylko w przeszłość. Na południu były bagna pokryte wiekową warstwą roślinności i olbrzymi świat moczarów, który, jak zapewniali Cyganie, nie miał granic. Wielkie moczary na zachodzie łączyły się z bezkresnym

rozlewiskiem wody, zamieszkanym przez ssaki o miękkiej skórze, z głową i torsem kobiety. To one doprowadzały żeglarzy do zguby, wabiąc ich urokiem swoich olbrzymich sutek. Cyganie płynęli tym szlakiem sześć miesięcy, zanim trafili na wąski pas stałego lądu, którędy wiodła droga mułów pocztowych. Według obliczeń Josego Arcadia Buendíi jedyną możliwość nawiązania kontaktu z cywilizacją dawał szlak wiodący na północ. Wyposażył więc w narzędzia do budowy dróg i broń myśliwską tych samych ludzi, którzy towarzyszyli mu przy założeniu Macondo, wrzucił do sakwy kompasy i mapy i ruszył na spotkanie wielkiej przygody.

W pierwszych dniach nie napotkali żadnej większej przeszkody. Zeszli kamiennym brzegiem rzeki do miejsca, gdzie przed wielu laty znaleźli zbroję rycerską, i wkroczyli do lasu ścieżką między drzewkami dzikich pomarańcz. Pod koniec pierwszego tygodnia zabili i upiekli jelenia, ale ograniczyli się do zjedzenia tylko połowy, a resztę zasolili na następne dni. Tą przezornością chcieli odwlec konieczność zjadania papug, których niebieskie mięso miało gorzki posmak piżma. Później przez ponad dziesięć dni nie widzieli słońca. Ziemia stała się miękka i wilgotna jak popiół wulkaniczny, a roślinność coraz bardziej zdradliwa, coraz bardziej oddalał się wrzask ptaków i harmider małp. Świat zrobił się beznadziejnie smutny. Uczestnicy wyprawy czuli się przytłoczeni własnymi najdawniejszymi wspomnieniami w tym wilgotnym, milczącym raju sprzed grzechu pierworodnego, w gęstwinie, gdzie ich buty grzęzły w dymiącej oleistej mazi, a maczety niszczyły krwawe lilie i złote salamandry. Cały tydzień, prawie z sobą nie rozmawiając, z płucami umęczonymi dławiącą wonią krwi, szli jak lunatycy przez świat przygnębiającego smutku, oświetlony tylko słabym blaskiem fosforyzujących owadów. Nie mogli zawrócić, gdyż drogę, którą sobie otwierali, od razu zamykała nowa ściana roślinności wyrastająca niemal w oczach. „Nie szkodzi – mówił José Arcadio Buendía. – Najważniejsze to nie stracić orientacji”. Nie spuszczając oka z kompasu, dalej prowadził swoich ludzi ku niewidocznej północy, aż wreszcie wyszli z zaczarowanej krainy. Noc była chmurna, bez gwiazd, ale ciemność przesycało już nowe czyste powietrze. Wyczerpani długim marszem rozwiesili hamaki i pierwszy raz od dwóch tygodni mocno usnęli. Obudzili się, kiedy słońce było już wysoko na niebie, i zaniemówili z zachwytu. Naprzeciwko, w otoczeniu paproci i palm, biały i zakurzony, w cichym

świetle poranka stał olbrzymi galeon hiszpański. Przechylił się lekko na prawą burtę, z nietkniętego omasztowania, pośród lin obrosłych w orchidee, zwisały strzępy żagli. Kadłub, pokryty pancerzem skamieniałych małży i miękkiego mchu, zarył się mocno w kamienistym gruncie. Cała struktura zdawała się zajmować swój własny zastrzeżony teren, przestrzeń samotności i zapomnienia, niedostępną niszczycielskiemu działaniu czasu i obyczajom ptaków. We wnętrzu, które podróżnicy przeszukali w milczącym napięciu, znaleźli tylko gęsty las kwiatów.

Odkrycie galeonu, wskazujące bliskość morza, pohamowało impet Josego Arcadia Buendíi. Uważał to za złośliwy figiel swego przewrotnego losu. Przedtem, za cenę poświęceń i cierpień bez liku, szukał morza, nie znajdując go, a znalazł je teraz, nie szukając, zagradzające jego drogę jak przeszkoda nie do przezwyciężenia. Wiele lat później pułkownik Aureliano Buendía przewędrował znowu ten obszar, kiedy istniał już regularny trakt pocztowy, i jedyną pozostałością statku, jaką odnalazł, był zwęglony szkielet pośrodku pola maków. Przekonany dopiero wtedy, że historia ta nie była wyłącznie tworem wyobraźni jego ojca, zastanawiał się, w jaki sposób galeon mógł dotrzeć aż do tego miejsca na lądzie. Ale José Arcadio Buendía nie stawiał sobie tego pytania, kiedy zobaczył morze po dalszych czterech dniach podróży, o dwanaście kilometrów od galeonu. Jego marzenia znalazły kres na brzegu tego morza barwy popiołu, spienionego i brudnego, niegodnego trudów i poświęceń, i jego przygody.

– Do stu diabłów! – wykrzyknął. – Macondo jest otoczone wodą ze wszystkich stron.

Przekonanie, że Macondo jest wyspą, utrzymało się przez długi czas, oparte na niebudzącej wątpliwości mapie, którą wyrysował José Arcadio Buendía po powrocie z ekspedycji. Wykreślił ją w pasji, mściwie wyolbrzymiając trudności komunikacji, jakby chciał ukarać samego siebie za absolutny brak sensu w wyborze miejsca osady. „Nigdy nigdzie nie dojdziemy – skarżył się przed Urszulą. – Zgnijemy tutaj za życia, nie korzystając z dobrodziejstw nauki”. Ta pewność przeżuwana przez wiele miesięcy w pokoiku przy laboratorium skłoniła go do projektu przeniesienia Macondo w jakieś bardziej dogodne miejsce, ale tym razem Urszula wyprzedziła jego gorączkowe pomysły. Działając skrycie i bez wytchnienia, jak mrówka, zbuntowała wszystkie kobiety we wsi przeciw zachciance

mężów, którzy już przygotowywali się do przeprowadzki. José Arcadio Buendía nie dowiedział się nigdy, w jakim momencie i pod wpływem jakich wrogich sił jego plany zaczęły się wikłać w gąszczu wymówek, pretekstów i rzekomych przeszkód, aż stały się czystym złudzeniem. Urszula niewinnie obserwowała go spod oka i nawet odczuła trochę litości dla męża, kiedy któregoś ranka zastała go w pokoiku w głębi domu, bełkocącego coś na temat przeprowadzki i pakującego wyposażenie laboratorium. Pozwoliła mu dokończyć robotę, zabić gwoździami skrzynie i wypisać na wierzchu swoje inicjały za pomocą pędzelka i atramentu, nie robiąc mu wymówek i wiedząc, że on także wie, bo słyszała, jak mamrotał to w swoich głuchych monologach, że mężczyźni ze wsi nie poprą jego zamierzeń. Dopiero kiedy zaczął wyjmować z zawiasów drzwi, odważyła się zapytać, po co to robi, on zaś odpowiedział z goryczą: „Skoro nikt nie chce iść – pójdziemy sami”. Urszula ani drgnęła.

– Nie pójdziemy – powiedziała. – Zostaniemy tutaj, bo tu urodził się nasz syn.

– Ale nikt nam tu jeszcze nie umarł – odparł. – Człowiek nie należy do żadnej ziemi, póki nie ma w niej nikogo ze swych zmarłych.

Na co Urszula odpowiedziała z łagodną stanowczością:

– Jeżeli trzeba, żebym umarła po to, żebyście tu pozostali, to umrę.

José Arcadio Buendía nie spodziewał się, by wola jego żony była aż tak nieugięta. Usiłował zwieść ją blaskiem swoich fantazji i obietnicą wspaniałego świata, gdzie ziemię wystarczy skropić magicznym płynem, aby rośliny dały owoce, jakie tylko człowiek zechce, i gdzie sprzedają za bezcen wszelkie środki przeciwko bólom. Ale Urszula pozostała niewrażliwa na jego wspaniałe wizje.

– Zamiast się upierać przy twych wariackich pomysłach, zatroszczyłbyś się lepiej o własnych synów – odpowiedziała. – Spójrz tylko na nich, zdani na łaskę boską, zaniedbani i głupi jak osły.

José Arcadio Buendía przyjął dosłownie to, co powiedziała żona. Spojrzał przez okno, zobaczył dwóch bosych chłopców w słonecznym ogrodzie i doznał wrażenia, że dopiero od tego momentu zaczęli istnieć, stworzeni zaklęciem Urszuli. Wtedy coś się stało w głębi jego istoty, coś tajemniczego i nieodwołalnego, coś, co go oderwało od czasu, w którym

tkwił obecnie, i poniosło na oślep w niezbadaną strefę wspomnień. Podczas gdy Urszula dalej zamiatała dom, którego – teraz już była tego pewna – nie miała opuścić do końca życia, on stał wpatrzony w dzieci niewidzącym wzrokiem, aż zwilgotniały mu oczy i wytarł je wierzchem dłoni z głębokim westchnieniem rezygnacji.

– Dobrze – powiedział. – Powiedz im, żeby przyszli pomóc mi powyjmować rzeczy ze skrzyni.

Starszy z synów, José Arcadio, skończył czternaście lat. Miał kwadratową czaszkę, kędzierzawe włosy i samowolny charakter swego ojca. Choć zapowiadało się, że odziedziczy po nim wzrost i tężyznę fizyczną, już wtedy było oczywiste, że brakuje mu ojcowskiej wyobraźni. Został poczęty i urodzony podczas uciążliwej przeprawy przez góry, przed założeniem Macondo, i rodzice dziękowali niebiosom, przekonawszy się, że nie ma żadnego organu zwierzęcego. Aureliano, pierwsza istota ludzka urodzona w Macondo, miał skończyć sześć lat w marcu. Był cichy i zamknięty w sobie. Płakał w łonie swojej matki i urodził się z otwartymi oczami. Podczas przecinania pępowiny kręcił głową na wszystkie strony, rozpoznając przedmioty w pokoju i przypatrując się twarzom ludzi z ciekawością, ale bez zdziwienia. Później – obojętny wobec tych, którzy zbliżyli się, żeby go poznać – całą uwagę skupił na palmowym dachu, który zdawał się bliski zawalenia pod straszliwym naporem deszczu. Urszula przypomniała sobie intensywność tego spojrzenia w dniu, kiedy trzyletni Aureliano wszedł do kuchni w chwili, gdy ona wyjęła z pieca i postawiła na stole garnek z wrzącym rosołem. Chłopiec, stojąc bezradnie w drzwiach, powiedział: „Zaraz zleci”. Garnek stał mocno na środku stołu, ale ledwie chłopak zdążył wymówić te słowa, zaczął nieuchronnie posuwać się w kierunku brzegu, jakby pod impulsem dynamiki wewnętrznej, i roztrzaskał się na ziemi. Przerażona Urszula opowiedziała ten epizod mężowi, który jednak potraktował to jako zjawisko naturalne. Taki był zawsze, obcy życiu swoich synów, po części dlatego, że uważał dzieciństwo za okres niedorozwoju umysłowego, a poza tym za bardzo pochłaniały go chimeryczne spekulacje.

Ale od tego popołudnia, kiedy przywołał synów, aby mu pomogli rozpakować przyrządy laboratoryjne, zaczął poświęcać im większość swego czasu. W ustronnej izdebce, której ściany pokrywały się z wolna

nieprawdopodobnymi mapami i bajecznymi rysunkami, nauczył ich czytać, pisać i rachować. Opowiadał o cudach tego świata nie tylko w granicach swoich wiadomości, ale wysilał swoją wyobraźnię, posuwając ją do krańców niewiarygodnych. W taki to sposób chłopcy dowiedzieli się, iż na samym południu Afryki żyją ludzie tak inteligentni i spokojni, że ich jedynym zajęciem jest siedzenie i rozmyślanie, i że można przejść suchą stopą przez Morze Egejskie, przeskakując z wyspy na wyspę aż do portu Saloniki. Te fascynujące opowieści pozostawiły tak trwały ślad w pamięci chłopców, że wiele lat później, na sekundę przed rozkazem „ognia”, który oficer wojsk regularnych rzucił plutonowi egzekucyjnemu, pułkownik Aureliano Buendía przeżył na nowo ów ciepły wieczór marcowy, w który jego ojciec przerwał lekcję fizyki i znieruchomiał z ręką w powietrzu i utkwionymi w jeden punkt oczyma, słysząc z daleka piszczałki, bębny i grzechotki Cyganów, którzy znowu przybywali do wsi, aby zaprezentować ostatni zadziwiający wynalazek uczonych z Memfis.

Byli to nowi Cyganie. Młodzi mężczyźni i kobiety, którzy znali tylko swój własny język, dorodni, z oliwkową skórą i zręcznymi rękami. Ich tańce i muzyka wywoływały na ulicach rozgardiasz pełen nieokiełznanej wesołości, bo przywieźli z sobą różnobarwne papugi recytujące włoskie romance, kurę, która znosiła setkę złotych jajek na dźwięk tamburynu, tresowaną małpę, która odgadywała myśli, skomplikowaną maszynę służącą jednocześnie do przyszywania guzików i obniżania temperatury, aparat do wypłaszania złych wspomnień, plaster do zabijania czasu i tysiąc innych jeszcze wynalazków tak przemyślnych i osobliwych, że José Arcadio Buendía zapragnął wynaleźć specjalną maszynę, która ułatwiłaby mu spamiętanie ich wszystkich. W mgnieniu oka przewrócili do góry nogami całą wieś. Mieszkańcy Macondo zgubili się nagle na własnych ulicach, oszołomieni tym jarmarkiem cudów.

Idąc między dwoma chłopcami, których trzymał za ręce, żeby nie zgubili się w tłumie, mijając linoskoczków o złotych zębach i kuglarzy o sześciu ramionach, dusząc się pomieszanym zapachem nawozu i drewna sandałowego, José Arcadio Buendía gorączkowo poszukiwał Melquiadesa, żeby ten wyjawił mu sekrety tego baśniowego mirażu. Spytał o niego Cyganów, ale nie rozumieli jego języka. Doszedł w końcu do miejsca, gdzie Melquíades zazwyczaj rozbijał swój namiot, i spotkał tam małomównego

Ormianina, który zachwalał po hiszpańsku syrop zapewniający człowiekowi niewidzialność. Wypił przed chwilą jednym haustem szklankę bursztynowego płynu, kiedy José Arcadio Buendía przepchnął się przez tłum gapiów oglądających widowisko i zdążył zadać pytanie. Cygan ogarnął go zdziwionym spojrzeniem, zanim przeobraził się w kałużę cuchnącej i parującej smoły, nad którą unosiło się echo jego odpowiedzi: „Melquíades umarł". Oszołomiony tą wiadomością José Arcadio Buendía stał bez ruchu, usiłując opanować wzruszenie, póki nie rozproszył się tłum żądny nowych rozrywek i kałuża po małomównym Ormianinie nie wyparowała doszczętnie. Później inni Cyganie potwierdzili, że Melquiadesa istotnie zmogła żółta febra na bagnach Singapuru i ciało jego wrzucono w najgłębsze miejsce Morza Jawajskiego. Na chłopcach ta wiadomość nie wywarła wrażenia. Chcieli koniecznie obejrzeć wspaniałą nowość wynalezioną przez uczonych z Memfis i zapowiadaną u wejścia do namiotu, który, jak mówiono, należał do króla Salomona. Napierali się tak, że José Arcadio Buendía zapłacił trzydzieści realów i zaprowadził ich do środka namiotu, gdzie olbrzym z obrośniętym torsem i ogoloną głową, z miedzianą obręczą w nosie i ciężkim żelaznym łańcuchem wokół kostki u nogi strzegł skrzyni piratów. Gdy olbrzym uniósł wieko, ze skrzyni powiał lodowaty podmuch. W środku znajdował się tylko ogromny przezroczysty blok, jakby zlepiony z niezliczonego mnóstwa igiełek, w których światło zmierzchu rozszczepiało się na różnokolorowe gwiazdki. Oszołomiony, wiedząc, że chłopcy oczekują natychmiastowych wyjaśnień, José Arcadio Buendía odważył się szepnąć:

– To chyba największy diament świata…

– Nie – powiedział Cygan. – To jest lód.

José Arcadio Buendía, nie rozumiejąc, wyciągnął rękę w kierunku lodu, ale olbrzym odsunął go. „Pięć realów za dotknięcie" – powiedział. José Arcadio Buendía zapłacił, dotknął ręką lodu i trzymał ją tak przez parę minut, podczas gdy jego serce biło mocno ze strachu a zarazem radości zetknięcia się z tajemnicą. Nie wiedząc, co powiedzieć, zapłacił jeszcze dziesięć realów, żeby jego synowie także mogli przeżyć to cudowne doświadczenie. Mały José Arcadio odmówił dotknięcia lodu. Aureliano, przeciwnie, zbliżył się o krok, położył rękę i natychmiast ją cofnął. „Gotuje się!" – krzyknął przerażony. Ale ojciec nie zwrócił na niego uwagi.

Odurzony oczywistością cudu, zapomniał w okamgnieniu o klęskach swych szaleńczych pomysłów i o zwłokach Melquiadesa rzuconych na żer mątwom. Zapłacił następne pięć realów i z ręką na bloku lodowym, jak gdyby składał przysięgę na Pismo Święte, wykrzyknął:

– Oto największy wynalazek naszych czasów!

Kiedy korsarz Francis Drake napadł w XVI wieku na miasteczko Riohacha, prababka Urszuli Iguarán tak bardzo zlękła się huku dział i bicia dzwonów na trwogę, że nie panując nad nerwami, usiadła na rozpalonej płycie kuchennej. Oparzenia uczyniły ją do końca życia bezużyteczną małżonką. Siadać mogła tylko połową przeznaczonej do tego części ciała i wsparta na poduszkach, musiało jej też pozostać coś dziwnego w sposobie poruszania się, bo nigdy nie chciała chodzić przy ludziach nawet po domu. Wyrzekła się wszelkiego życia towarzyskiego dręczona obsesją, że jej ciało czuć spalenizną. Świt zastawał ją na podwórzu: bała się zasnąć, bo śniło się jej, że Anglicy ze swymi psami gończymi włażą przez okno do jej sypialni i haniebnie torturują rozpalonym do czerwoności żelazem. Jej mąż, kupiec aragoński, z którym miała dwoje dzieci, połowę dochodów ze sklepu wydawał na lekarstwa i rozrywki, próbując ulżyć jej lękom. W końcu zwinął interes i z całą rodziną powędrował, by osiedlić się daleko od morza, w wiosce spokojnych Indian, położonej u podnóża gór. Tam zbudował dla żony sypialnię bez okien, aby nie mieli którędy włazić piraci z jej koszmarnych snów.

W tej to zapadłej wsi mieszkał od bardzo dawna, zajmując się uprawą tytoniu, José Arcadio Buendía, Kreol, z którym pradziad Urszuli wszedł w spółkę tak owocną, że w ciągu kilku lat obaj dorobili się fortuny. Kilka wieków później praprawnuk Kreola ożenił się z praprawnuczką Aragończyka. Dlatego też w chwilach, gdy Urszulę wyprowadzały z równowagi obłąkańcze pomysły męża, przeskakiwała trzysta lat przypadków i zrządzeń losu, przeklinając godzinę, w której Francis Drake napadł na Riohacha. Był to po prostu sposób wyładowania gniewu,

w rzeczywistości bowiem czuli się związani aż do grobu węzłem mocniejszym niż miłość – wspólnym wyrzutem sumienia. Byli kuzynami. Razem wychowali się w dawnej wsi, którą z czasem przodkowie obojga, dzięki swej pracowitości i dobrym obyczajom, uczynili jednym z pierwszych miasteczek w prowincji. Chociaż małżeństwo między nimi było do przewidzenia od momentu ich przyjścia na świat, kiedy wyrazili chęć pobrania się, krewni próbowali temu przeszkodzić. Obawiali się, że tę dorodną parę potomków dwóch od wieków ze sobą spokrewnionych rodów może spotkać hańba wydania na świat potworków i że ze związku tego narodzą się iguany. Istniał bowiem straszliwy precedens. Pewna ciotka Urszuli wyszła za wuja Josego Arcadia Buendíi i urodziła syna, który przez całe życie nosił niezwykle luźne spodnie i umarł z upływu krwi, przeżywszy czterdzieści dwa lata w stanie absolutnego dziewictwa, bo przyszedł na świat i chodził do końca swych dni z ogonkiem chrząstkowym w kształcie korkociągu, zakończonym kępką włosów. Był to świński ogon, którego nigdy nie widziała żadna kobieta i którego utratę nieszczęśnik przypłacił życiem, gdy pewien zaprzyjaźniony rzeźnik odrąbał mu go tasakiem. José Arcadio Buendía z beztroską swych dziewiętnastu lat rozstrzygnął problem jednym zdaniem: „Nic mi nie przeszkadza, jeśli będę miał prosięta, byle umiały mówić”. Tak więc pobrali się, a wesele z orkiestrą i fajerwerkami trwało trzy dni. Byliby szczęśliwi już od tej chwili, gdyby matka Urszuli nie nastraszyła jej złowrogimi prognostykami co do potomstwa i nie wymogła na niej odmowy dopełnienia powinności małżeńskiej. W obawie, że krewki i porywczy mąż weźmie ją gwałtem w czasie snu, Urszula, kładąc się do łóżka, wciągała na siebie rodzaj zgrzebnych spodni, które matka uszyła jej z żaglowego płótna, umocnionych systemem krzyżujących się rzemieni i zamykanych z przodu na grubą żelazną klamrę. Trwało to przez kilka miesięcy. W ciągu dnia mąż zajmował się trenowaniem kogutów do walki, ona zaś haftowała z matką na krosnach. W nocy mocowali się przez kilka godzin z napięciem i gwałtownością, która zaczynała już niemal zastępować im zbliżenie miłosne, aż w końcu mieszkańcy miasteczka wywęszyli, że coś tu nie jest w porządku, i rozpuścili pogłoskę, że Urszula w rok po ślubie pozostała dziewicą, ponieważ ma męża impotenta. José Arcadio dowiedział się o tej plotce ostatni.

– Widzisz, Urszulo, co gadają ludzie – powiedział z wielkim spokojem do żony.

– A niech sobie gadają – odparła. – My wiemy, że to nieprawda.

Sytuacja pozostała więc bez zmian przez dalszych sześć miesięcy, aż do tej tragicznej niedzieli, kiedy José Arcadio Buendía wygrał w walce kogutów z Prudenciem Aguilarem. Wściekły i wzburzony widokiem krwi swego koguta Prudencio odsunął się od przeciwnika na taką odległość, aby wszyscy obecni mogli usłyszeć to, co chciał mu powiedzieć.

– Winszuję ci! – krzyknął. – Może wreszcie ten kogut odda przysługę twojej żonie!

José Arcadio spokojnie zabrał swojego koguta.

– Zaraz wracam – oznajmił wszystkim. Potem zaś zwrócił się do Prudencia Aguilara: – A ty idź do domu po broń, bo przyjdę cię zabić.

Po dziesięciu minutach wrócił ze straszliwą śmiercionośną włócznią swego dziada. Prudencio Aguilar czekał na niego u wejścia na kogucią arenę, gdzie zebrało się już pół miasteczka. Nie miał czasu się bronić. Włócznia Josego Arcadia Buendíi, rzucona z niewiarygodną siłą i z taką samą celnością, z jaką ciskał ją pierwszy Aureliano Buendía, gdy tępił grasujące w okolicy jaguary, przebiła mu gardło na wylot. Tej nocy, gdy czuwano przy zwłokach Prudencia na arenie walk kogucich, José Arcadio Buendía wszedł do sypialni w chwili, gdy jego żona wkładała swój pas cnoty. Potrząsając włócznią przed jej nosem, rozkazał: „Zdejmij to”. Urszula poczuła się bezsilna wobec zdecydowanej postawy męża. „Ty będziesz odpowiedzialny za to, co się stanie” – szepnęła. José Arcadio Buendía wbił włócznię w klepisko.

– Jeżeli urodzisz iguany, będziemy wychowywać iguany – powiedział. – Ale nie będzie już więcej ofiar w tym miasteczku z twojej winy.

Była to przyjemna noc czerwcowa, chłodna i jasna od księżycowego blasku. Nie spali aż do rana, baraszkując w łóżku, obojętni na przynoszone przez wiatr do sypialni dalekie echa płaczu krewnych Prudencia Aguilara.

Sprawę potraktowano jako pojedynek honorowy; pewien niepokój pozostał jednak w sumieniu małżonków. Którejś nocy, gdy Urszula, nie mogąc zasnąć, wyszła na podwórze napić się wody, ujrzała stojącego przy

wielkim dzbanie Prudencia Aguilara. Był siny, z twarzą pełną smutku, i pęczkiem trawy usiłował zatkać ziejącą w gardle dziurę. Nie budził w niej strachu, tylko litość. Wróciła do pokoju i opowiedziała mężowi, co zobaczyła, ale on nie uwierzył. „Umarli nie wychodzą z grobu – powiedział. – Rzecz w tym, że nie możemy udźwignąć tego ciężaru na sumieniu”. W dwie noce później Urszula znów ujrzała Prudencia w łazience, gdy zmywał sobie pęczkiem trawy zakrzepłą na szyi krew. Kiedy indziej zobaczyła go spacerującego w strugach deszczu. José Arcadio Buendía rozgniewany nocnymi przywidzeniami żony wyszedł na podwórko uzbrojony w dziadkową włócznię. Przed nim stał smutny jak zawsze nieboszczyk.

– Wynoś się do diabła! – krzyknął José Arcadio Buendía. – Choćbyś wracał sto razy, zawsze cię zabiję.

Prudencio Aguilar nie odszedł, a José Arcadio Buendía nie ośmielił się rzucić włócznią. Od tego czasu nie mógł spać spokojnie. Dręczył go ten bezbrzeżny żal, z jakim spoglądał na niego zmarły stojący na deszczu, jego głęboka tęsknota za żywymi, niepokój, z jakim krążył po domu, szukając wody, aby zmoczyć swój pęczek trawy. „Pewnie bardzo cierpi – powiedział do Urszuli. – Widać, że jest bardzo samotny”. Tak się tym przejęła, że kiedy następnym razem zobaczyła nieboszczyka zaglądającego do garnków w kuchni, zrozumiała, czego szuka, i odtąd wszędzie zostawiała dla niego kubki z wodą. Którejś nocy, gdy José Arcadio Buendía ujrzał w swoim własnym pokoju zabitego obmywającego ranę, nie mógł już dłużej wytrzymać.

– Dobrze, Prudencio – powiedział. – Pójdziemy sobie z tego miasteczka jak najdalej i nigdy tu nie wrócimy. Możesz odejść spokojnie.

Tak oto podjęli przeprawę przez góry. Kilku przyjaciół Josego Arcadia Buendíi, równie jak on młodych, dało się porwać przygodzie. Pozbierali domowe graty i wraz z żonami i dziećmi wyruszyli na poszukiwanie ziemi, której nikt im nie obiecywał. Przed opuszczeniem domu José Arcadio Buendía zakopał włócznię na podwórzu i pozarzynał jednego po drugim wszystkie swoje wspaniałe koguty w nadziei, że tym sposobem zapewni Prudenciowi Aguilarowi nieco spokoju. Urszula zabrała tylko kufer z wyprawą ślubną, kilka domowych sprzętów i odziedziczoną po ojcu szkatułkę ze złotymi monetami. Nie wyznaczyli sobie z góry żadnej

określonej marszruty. Starali się tylko wędrować w kierunku przeciwnym do Riohacha, aby nie zostawić żadnego śladu i nie spotkać znajomych. Był to zupełny absurd. Po czternastu miesiącach wędrówki, z żołądkiem zepsutym przez małpie mięso i zupę z węży, Urszula urodziła syna, którego przynależność do rasy ludzkiej nie budziła żadnych wątpliwości. Połowę drogi przebyła w hamaku zawieszonym na drągu, który niosło dwóch mężczyzn, bo nogi spuchły jej tak, że nie mogła iść, a żylaki pękały jak bąble. Dzieci, choć wyglądały żałośnie, z wzdętymi brzuszkami i oczyma bez blasku, zniosły wyprawę lepiej od rodziców, traktując ją przez większość czasu jak dobrą zabawę. Pewnego ranka po dwóch niemal latach wędrówki przez góry – jako pierwsi spośród śmiertelnych – ujrzeli zachodnie zbocza łańcucha. Z zasnutego chmurami szczytu patrzyli na ogromną wodnistą równinę wielkich mokradeł, ciągnącą się aż po krańce świata. Ale nigdy nie zobaczyli morza. Którejś nocy, po kilku miesiącach błądzenia pośród bagnisk, daleko od ostatnich napotkanych po drodze Indian, rozbili obóz na brzegu kamienistej rzeki, której wody wyglądały jak potok lodowatego szkła. W wiele lat później, podczas drugiej wojny domowej, pułkownik Aureliano Buendía próbował przebyć tę samą trasę, żeby zdobyć Riohacha przez zaskoczenie, i już po sześciu dniach drogi zrozumiał, że to szaleństwo. Niemniej przeto, jeśli tej nocy na brzegu rzeki drużyna jego ojca wyglądała jak garść rozbitków w sytuacji bez wyjścia, to liczebnie zwiększyła się podczas wędrówki przez góry i wszyscy byli zdecydowani umrzeć dopiero ze starości (co im się zresztą udało). Josemu Arcadiowi Buendíi przyśniło się tej nocy, że na miejscu obozu wznosi się gwarne miasto, w którym domy mają ściany z luster. Zapytał, co to za miasto, i w odpowiedzi wymieniono nazwę, której nigdy przedtem nie słyszał i która nic nie oznaczała, a jednak tej nocy we śnie przybrała dźwięk magicznego zaklęcia: Macondo. Nazajutrz przekonał swoich ludzi, że nigdy nie znajdą morza. Kazał im wyciąć drzewa, żeby w najchłodniejszym miejscu nad rzeką utworzyć polanę, i tu założyli osadę.

José Arcadio Buendía nie potrafił rozszyfrować snu o domach z lustrzanymi ścianami aż do dnia, gdy zobaczył lód. Wtedy wydało mu się, że rozumie jego głęboki sens. Pomyślał, że w niedalekiej przyszłości będzie można produkować bloki lodu na wielką skalę z tak prostego surowca jak woda, i budować z nich nowe domy. Macondo przestałoby wówczas być

rozżarzonym piecem, gdzie zawiasy i kołatki u drzwi miękną i wypaczają się od upału, i zmieniłoby się w miasto wiecznej zimy. Jeśli nie wytrwał w swych próbach stworzenia fabryki lodu, to dlatego, że w tym czasie oddawał się z prawdziwym entuzjazmem wychowaniu synów, zwłaszcza Aureliana, który od pierwszej chwili zdradzał wyjątkowe talenty alchemika. Laboratorium zostało otarte z kurzu. Przejrzawszy notatki Melquiadesa, teraz już ze spokojem, bez podniecenia, jakie wzbudza nowość, długo i cierpliwie próbowali oddzielić złoto Urszuli od przywarłej do dna garnka skorupy. Młody José Arcadio prawie nie uczestniczył w tych zabiegach. Podczas gdy jego ojciec ciałem i duszą tkwił przy swym tyglu, dziarski potomek pierworodny, który zawsze był za duży na swój wiek, wyrósł na imponującego młodzieńca. Przeszedł mutację. Pod nosem sypnął mu się pierwszy meszek. Któregoś wieczoru Urszula weszła do pokoju w chwili, gdy jej syn rozbierał się do snu, i doznała niejasnego uczucia wstydu, a zarazem podziwu: ten pierwszy mężczyzna, którego widziała nago, nie licząc męża, tak był znakomicie wyposażony przez naturę, że aż wydało jej się to nienormalne. Oczekując trzeciego dziecka, Urszula zaczęła przeżywać na nowo swoje obawy z pierwszych miesięcy po ślubie.

Przychodziła wówczas do ich domu pewna kobieta, wesoła i cięta w języku, która pomagała przy zajęciach domowych i umiała czytać przyszłość z kart. Urszula zwierzyła się jej ze swych niepokojów co do syna. Myślała, że ów nieproporcjonalnie duży szczegół jego budowy jest czymś równie urągającym naturze jak świński ogon kuzyna. Kobieta wybuchnęła donośnym śmiechem, który zadźwięczał w całym domu jak szklany deszcz. „Przeciwnie – rzekła. – Będzie szczęśliwy”. Dla potwierdzenia swej przepowiedni przyniosła w kilka dni później karty i zamknęła się z José Arcadiem w przyległej do kuchni stodole. Rozłożyła karty z wielkim spokojem na starym warsztacie stolarskim, mówiąc o jakichś błahostkach, podczas gdy chłopak, stojąc przy niej, czekał bardziej znudzony niż zaciekawiony. Nagle wyciągnęła rękę i dotknęła go. „Coś podobnego” – rzekła szczerze przestraszona i nie była w stanie powiedzieć nic więcej. José Arcadio poczuł, że uginają się pod nim nogi, ogarnął go dziwnie słodki lęk i ogromna chęć do płaczu. Kobieta nic mu nie podszepnęła. Ale José Arcadio przez całą noc przywoływał jej obraz, wspominając dymny zapach jej ciała, który przywarł do jego własnej skóry.

Chciał być zawsze przy niej, chciał, żeby to ona była jego matką, żeby nigdy nie wychodzili z tej stodoły, żeby ona mówiła: „coś podobnego” i znów go dotykała, i powtarzała to samo. Któregoś dnia nie mógł już tego dłużej znieść i poszedł do jej domu. Złożył kurtuazyjną wizytę, raczej niezrozumiałą w tych okolicznościach, i siedział w salonie, nie odzywając się ani słowem. W tym momencie nie pragnął jej. Wydała mu się inna, niemająca nic wspólnego z tym obrazem, jaki jej zapach wywoływał przed jego oczyma, jak gdyby była kimś innym. Wypił kawę i wyszedł zniechęcony. Tej nocy w udręce bezsenności znów zapragnął jej z dzikim utęsknieniem, ale tym razem nie takiej, jaką pamiętał ze stodoły, lecz takiej, jaką była tego popołudnia.

W kilka dni później, ni stąd, ni zowąd, kobieta zaprosiła go do swego domu, w dniu, kiedy była sama z matką, i zaprowadziła go do sypialni pod pretekstem pokazania mu sztuczki karcianej. Wtedy dotknęła go z taką swobodą, że po pierwszym wstrząsie doznał rozczarowania i odczuł więcej lęku niż rozkoszy. Zaproponowała, żeby przyszedł do niej tej nocy. Zgodził się, aby jakoś z tego wybrnąć, wiedział jednak, że nie potrafi się na to zdobyć. Ale w nocy, gdy leżał na swoim rozpalonym łóżku, zrozumiał, że musi iść do niej, choćby nie mógł. Ubrał się po omacku, słysząc w ciemności spokojny oddech swego brata, suchy kaszel ojca w sąsiednim pokoju, astmatyczne dyszenie kur na podwórzu, brzęczenie moskitów, łomotanie własnego serca, cały dotąd niedostrzegany gwar świata, i wyszedł na uśpioną ulicę. Pragnął z całego serca, żeby drzwi były zaryglowane, a nie, jak mu przyrzekła, tylko przymknięte. Były jednak otwarte. Pchnął je czubkami palców; zawiasy wydały posępny i wyraźny jęk, który odbił się w jego trzewiach lodowatym echem. Gdy wszedł ukradkiem, na palcach, nie robiąc najlżejszego szmeru, poczuł od pierwszej chwili jej zapach. Znajdował się jeszcze w małym pokoju, gdzie trzej bracia tej kobiety rozwieszali swoje hamaki w miejscach, których nie mógł po ciemku określić, chociaż musiał przejść tędy po omacku, pchnąć drzwi do sypialni i trafić do właściwego łóżka. Udało mu się. Potknął się o sznury hamaków wiszących niżej, niż przypuszczał, a mężczyzna, który dotąd chrapał, poruszył się przez sen i powiedział tonem jakby rozczarowania: „To było w środę”. Kiedy pchnął drzwi do sypialni, nie zdołał przeszkodzić, by zaskrzypiały. Nagle, wśród absolutnej ciemności pojął z uczuciem

bezsilnego smutku, że jest zupełnie zdezorientowany. W ciasnym pokoju spała matka, druga jej córka z mężem i dwojgiem dzieci oraz ta kobieta, która może wcale na niego nie czekała. Mógłby kierować się zapachem, gdyby zapach ten nie unosił się w całym domu, tak złudny, a zarazem tak wyraźny, jak gdyby zawsze tkwił w jego skórze.

Długą chwilę stał nieruchomo i ze zdumieniem zadawał sobie pytanie, jak się to stało, że trafił do tej otchłani bezradności, gdy wtem jakaś ręka wyciągnięta w mroku z pięcioma rozpostartymi palcami dotknęła jego twarzy. Nie zdziwił się, bo bezwiednie tego oczekiwał. Zaufał więc tej ręce i w stanie straszliwego wyczerpania dał się zaprowadzić do jakiegoś nieokreślonego miejsca, gdzie zdjęto z niego ubranie i zaczęto go obracać na wszystkie strony jak worek ziemniaków, w nieprzeniknionej ciemności, gdzie miał za wiele ramion, gdzie nie pachniało już kobietą, tylko amoniakiem, i gdzie usiłował sobie przypomnieć jej twarz, ale widział przez cały czas twarz Urszuli, na pół świadomy, że robi coś, czego pragnął od dawna, lecz nie wyobrażał sobie, że można to zrobić naprawdę, nie wiedząc, jak to się robi, bo nie wiedział, gdzie są nogi, a gdzie głowa, ani czyje to nogi i czyja głowa, czując, że nie potrafi dłużej wytrzymać lodowatego kłucia w nerkach, burczenia w kiszkach, lęku i ślepego pragnienia ucieczki, a zarazem pozostania na zawsze w tej rozpaczliwej ciszy, w tej przerażającej samotności.

Nazywała się Pilar Ternera i uczestniczyła w przeprawie przez góry zakończonej założeniem Macondo. Rodzina siłą zabrała z sobą dziewczynę, aby ją oddalić od mężczyzny, który zgwałcił ją, gdy miała czternaście lat, i kochał ją przez następnych lat osiem, ale nigdy nie zdecydował się tego ujawnić, bo należał do innej kobiety. Przyrzekł pójść za nią na kraj świata, ale później, gdy załatwi swoje sprawy, a ona miała już dość czekania na niego zawsze tak jak na któregoś z tych mężczyzn, wysokich i niskich, blondynów i brunetów, których przyrzekały jej karty na drogach ziemi i morza, za trzy dni, trzy miesiące lub trzy lata. W tym oczekiwaniu uda jej utraciły swoją krzepkość, a piersi jędrność, zapomniała o tkliwości, lecz zachowała nienaruszony szaleńczy żar swego serca. Oszołomiony tą cudowną zabawką, José Arcadio co noc szukał drogi do niej poprzez labirynt ciemnego pokoju. Pewnej nocy zastał drzwi zamknięte na zasuwę i zastukał kilka razy, wiedząc, że skoro ośmielił się zastukać po raz

pierwszy, musi dobijać się aż do skutku, póki wreszcie po niekończącym się oczekiwaniu nie otworzyła mu. W ciągu dnia słaniając się z niewyspania, czerpał tajemną rozkosz ze wspomnień poprzedniej nocy. Ale kiedy ona wchodziła do ich domu, wesoła, obojętna, rozgadana, nie musiał się wysilać, aby ukryć swoje napięcie, bo ta kobieta, której głośny śmiech płoszył gołębie, nie miała nic wspólnego z niewidzialną potęgą, która uczyła go tłumić oddech i opanowywać uderzenia serca i pozwoliła zrozumieć, dlaczego ludzie boją się śmierci. Tak był pogrążony w swoich myślach, że nie uczestniczył nawet w ogólnej radości, gdy ojciec i brat przewrócili do góry nogami cały dom wieścią, że udało im się roztopić metalową skorupę i wydzielić z niej złoto Urszuli.

Istotnie, po skomplikowanych i wytrwałych próbach cel został osiągnięty. Urszula była uszczęśliwiona i nawet dziękowała Bogu za wynalezienie alchemii, gdy mieszkańcy wsi tłoczyli się w laboratorium, częstowani przez gospodarzy ciastkami i konfiturą z guawy, a José Arcadio Buendía pokazywał im tygiel z odzyskanym złotem, jak gdyby sam je przed chwilą wynalazł. Obnosząc go tak między wszystkimi, podszedł w końcu do swego starszego syna, który ostatnimi czasy prawie nie zaglądał do laboratorium. Podsunął mu pod oczy suchą żółtawą bryłkę metalu i spytał: „No, widzisz teraz, jak to wygląda?”. A José Arcadio szczerze odpowiedział:

– Jak psie gówno.

Ojciec wierzchem dłoni trzepnął go gwałtownie po ustach, aż trysnęły krew i łzy. Tej nocy Pilar Ternera przyłożyła mu okład z arniki na spuchnięte wargi, znalazłszy po ciemku flaszeczkę i watę, a potem zrobiła wszystko, na co miał ochotę, tak by on sam nie potrzebował się trudzić i żeby kochając go, nie urazić bolącego miejsca. Doszli do takiego stopnia intymności, że w chwilę później, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęli ze sobą szeptem rozmawiać.

– Chcę być z tobą sam – mówił. – Któregoś dnia wszystko wszystkim powiem i będzie koniec z kryjówkami.

Ona nie próbowała go uspokoić.

– To byłoby wspaniałe – powiedziała. – Gdybyśmy byli sami, nie gasilibyśmy lampy, żeby dobrze się widzieć, ja mogłabym krzyczeć do woli

i nikt by się nie wtrącał, a ty mówiłbyś mi na ucho wszystkie świństwa, jakie ci przyjdą do głowy.

Ta rozmowa, zacięta uraza do ojca i wizja niczym nieskrępowanej miłości natchnęła go spokojną odwagą. Spontanicznie, bez żadnych wstępnych napomknień, opowiedział o wszystkim bratu.

Mały Aureliano z początku rozumiał tylko ryzyko olbrzymiego niebezpieczeństwa, jakie oznaczały przygody brata, nie umiał jednak pojąć ich uroku. Stopniowo i jego zaczęła ogarniać ta sama gorączka. Kazał sobie opowiadać ze szczegółami wszystkie perypetie, starał się przeżywać cierpienia i rozkosz brata, czuł się przerażony i szczęśliwy. Czekał na niego, nie śpiąc aż do świtu w swym samotnym łóżku, którego materac parzył jak rozżarzone węgle, a potem rozmawiali aż do chwili, kiedy trzeba było wstawać. Bardzo szybko obaj zaczęli cierpieć na to samo odrętwienie, odczuwać tę samą pogardę dla alchemii i mądrości ojca, obaj schronili się w swej samotności. „Ci chłopcy chodzą jak nieprzytomni – mówiła Urszula. – Pewnie mają robaki”. Przyrządziła im obrzydliwy napar z utłuczonej na proszek lebiody, co obaj wypili z nieoczekiwanym stoicyzmem, po czym jedenaście razy tego dnia siadali równocześnie na nocnikach, aż wydalili pasożyty, które pokazywali wszystkim z wielką radością, bo pozwoliły zmylić Urszulę co do przyczyny ich stanu ducha. Aureliano mógł już wówczas nie tylko rozumieć, ale i przeżywać doświadczenia brata jak własne, bo kiedyś, gdy ten wyjaśniał nader drobiazgowo mechanizm miłości, przerwał pytaniem: „I co się wtedy czuje?”. Na co José Arcadio odpowiedział bez namysłu:

– Coś jak trzęsienie ziemi.

W pewien styczniowy czwartek o drugiej nad ranem urodziła się Amaranta. Jeszcze zanim ktokolwiek wszedł do pokoju, Urszula obejrzała ją dokładnie. Była lepka i wymykała się z rąk jak mała jaszczurka, ale wszystkie członki miała ludzkie. Aureliano dowiedział się nowiny dopiero, gdy się zorientował, że dom jest pełen ludzi. Korzystając z ogólnego zamieszania, poszedł szukać brata, którego od jedenastej nie było w łóżku, podejmując tę decyzję tak impulsywnie, że nawet nie zadał sobie pytania, jak go wyciągnąć z sypialni Pilar. Przez kilka godzin krążył wokół jej domu, gwiżdżąc umówione sygnały, aż bliskość świtu zmusiła go do

powrotu. W pokoju matki zastał Josego Arcadia, który z najniewinniejszą pod słońcem miną bawił się ze swą nowo narodzoną siostrzyczką.

Urszula kończyła swój czterdziestodniowy okres rekonwalescencji po porodzie, gdy wrócili Cyganie. Byli to ci sami cyrkowcy i żonglerzy, którzy przedtem przywieźli lód. W przeciwieństwie do bandy Melquiadesa, w krótkim czasie dowiedli, że nie są heroldami postępu, tylko handlarzami rozrywek. Nawet wtedy, gdy przywieźli lód, nie mówili o jego użyteczności w życiu ludzkim, lecz pokazywali go po prostu jako osobliwość jarmarczną. Tym razem wśród wielu innych ciekawostek mieli latający dywan, traktowali go jednak nie jak wynalazek o fundamentalnym znaczeniu dla rozwoju komunikacji, lecz jako przedmiot rozrywki. Ludzie oczywiście wygrzebywali ostatnie okruchy złota, aby się nacieszyć krótkim lotem nad wsią. Pod ochroną błogiej bezkarności powszechnego zamieszania José Arcadio i Pilar przeżywali godziny niczym nieskrępowanej wolności. Przechadzali się wśród tłumu jak para szczęśliwych narzeczonych, zaczęli nawet podejrzewać, że miłość może być uczuciem spokojniejszym i głębszym niż bezgraniczne, lecz nietrwałe szczęście ich potajemnych nocy. Pilar jednak przerwała czar. Rozochocona entuzjazmem, z jakim José Arcadio dotrzymywał jej towarzystwa, wybrała najbardziej niewłaściwy moment i sposób, by za jednym zamachem zwalić mu cały świat na kark. „Teraz naprawdę jesteś już mężczyzną” – oświadczyła. A ponieważ nie rozumiał, co przez to chciała powiedzieć, wyjaśniła dokładnie:

– Będziesz miał potomstwo.

Przez kilka dni José Arcadio nie śmiał wyjrzeć z domu. Wystarczyło, że usłyszał w kuchni hałaśliwy śmiech Pilar, a już uciekał do laboratorium, gdzie za przyzwoleniem Urszuli odżyły alchemiczne aparaty. José Arcadio Buendía radośnie powitał zbłąkanego syna i wprowadził go w tajniki swych wreszcie rozpoczętych poszukiwań kamienia filozoficznego. Pewnego popołudnia chłopcy wpadli w zachwyt na widok latającego dywanu, który przemknął na poziomie okna laboratorium, niosąc w powietrzu sterującego nim Cygana i kilkoro dzieci ze wsi, które wesoło machały do nich rękami. José Arcadio Buendía ani spojrzał na to. „Niech się bawią, nie zwracajcie na nich uwagi – powiedział. – My będziemy lepiej latać od nich za pomocą środków bardziej naukowych niż ta nędzna kapa na łóżko”. Mimo

udawanego zainteresowania José Arcadio nigdy nie zrozumiał właściwości „jaja filozoficznego”, które wydawało mu się po prostu źle zrobioną butelką. Nie potrafił uciec od swej troski. Stracił apetyt i sen, wpadł w zły humor, tak samo jak jego ojciec w obliczu klęski któregoś ze swych przedsięwzięć. Tak bardzo się zmienił, że sam José Arcadio Buendía zwolnił go z obowiązku pracy w laboratorium, uważając, że zanadto sobie bierze alchemię do serca. Aureliano oczywiście zrozumiał, że przygnębienia brata nie należy tłumaczyć poszukiwaniem kamienia filozoficznego, ale nie zdołał wyciągnąć z niego żadnych zwierzeń. Niegdyś otwarty i chętnie dzielący się wrażeniami, teraz stał się skryty i nieprzystępny. Spragniony samotności, pełen gwałtownej urazy do świata, pewnej nocy jak zwykle wyszedł z domu, zamiast jednak pójść do Pilar, wmieszał się w tłum oglądający Cyganów. Najpierw włóczył się pośród najrozmaitszych cudów jarmarcznych, ale żaden go nie zaciekawił, aż wreszcie zwrócił uwagę na coś, co nie należało do programu: młodziutką Cygankę, prawie dziecko, obwieszoną sznurami szklanych paciorków. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką José Arcadio widział w swoim życiu. Stała w gromadzie podziwiającej udramatyzowaną wersję smętnej opowieści o człowieku zmienionym w żmiję za nieposłuszeństwo rodzicom.

José Arcadio nie zważał na widowisko. Kiedy na scenie odbywał się tragiczny sąd nad człowiekiem żmiją, przepchnął się do pierwszego rzędu widzów, gdzie stała Cyganka, i stanął tuż za nią. Przycisnął się do jej pleców. Dziewczyna próbowała się odsunąć, ale José Arcadio jeszcze mocniej przywarł do jej ciała. Wtedy poczuła. Znieruchomiała, drżąc ze zdumienia i lęku, nie dowierzając rzeczywistości, wreszcie odwróciła głowę i spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem. W tym momencie dwóch Cyganów wsadziło człowieka żmiję do klatki i zaniosło do wnętrza namiotu. Cygan dyrygujący widowiskiem zapowiedział:

– A teraz, panie i panowie, pokażemy wam straszliwy los kobiety, która co wieczór o tej samej porze przez sto pięćdziesiąt lat z rzędu będzie musiała przeżyć karę ścięcia głowy za to, że zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć.

José Arcadio i dziewczyna nie zostali przy ścięciu owej niewiasty. Poszli do namiotu Cyganki, gdzie zaczęli się całować z rozpaczliwym utęsknieniem, jednocześnie ściągając z siebie ubranie. Cyganka rzucała

w kąt bluzki, obfitość krochmalonych koronkowych halek, bezużyteczny gorset na fiszbinach i sznury paciorków, i właściwie została zredukowana do nicości. Była to wątła żabka o ledwie zarysowujących się piersiach i nogach tak chudych, że w obwodzie miały mniej niż ramiona Josego Arcadia, ale jej zdecydowanie i żar równoważyły niepozorność kształtów. José Arcadio nie mógł jednak odpowiedzieć jej, jak należało, znajdowali się bowiem w czymś na kształt namiotu ogólnego, gdzie Cyganie kręcili się ze swymi cyrkowymi akcesoriami, załatwiali swoje interesy, a nawet zasiadali czasem naokoło łóżka na partyjkę gry w kości. Lampa zawieszona na środkowym palu oświetlała całe wnętrze namiotu. W przerwie między pieszczotami José Arcadio wyciągnął się nago na łóżku, nie wiedząc, co dalej robić, podczas gdy dziewczyna próbowała go zachęcić do czynu. Po chwili weszła wspaniale zbudowana Cyganka w towarzystwie mężczyzny, który nie należał do trupy, ale nie mieszkał też we wsi, i oboje zaczęli się rozbierać koło łóżka. Kobieta mimochodem zerknęła na Josego Arcadia i z jakimś patetycznym ferworem przyjrzała się jego wspaniałemu drapieżnikowi w porze wypoczynku.

– Chłopcze – zawołała – niechaj Bóg ci go strzeże!

Towarzyszka Josego Arcadia poprosiła, żeby ich zostawili w spokoju, i para położyła się na ziemi nieopodal łóżka. Namiętność tamtych rozbudziła gorączkę Josego Arcadia. Przy pierwszym zetknięciu kości dziewczyny zatrzeszczały, jakby miały wyłamać się ze stawów; na skórę jej wystąpił blady pot, oczy napełniły się łzami, a z głębi całego ciała wydobywał się posępny lament i nieokreślony zapach błota. Wytrzymała jednak natarcie z godnym podziwu hartem i odwagą. Wtedy José Arcadio uczuł się porwany w stan seraficznego natchnienia i z głębi jego serca wydarł się strumień czułych sprośności przenikających do uszu dziewczyny i wychodzących przez usta, w tłumaczeniu na jej język. Było to w czwartek. W sobotę wieczorem José Arcadio obwiązał sobie głowę czerwoną chustą i odszedł z Cyganami.

Kiedy Urszula odkryła jego nieobecność, zaczęła go szukać po całej wsi. Po zwiniętym obozowisku Cyganów pozostały tylko śmieci rozrzucone wśród dymiących jeszcze popiołów wygaszonych ognisk. Ktoś, kto szedł tędy, szukając pośród śmieci pogubionych świecidełek, powiedział Urszuli, że poprzedniego wieczoru widział jej syna w cygańskim taborze,

pchającego wózek z klatką człowieka żmii. „Poszedł z Cyganami” – krzyknęła do męża, który nie zdradzał najmniejszego zaniepokojenia faktem zniknięcia syna.

– Oby tak było – rzekł José Arcadio Buendía, tłukąc w moździerzu tysiąc razy tłuczoną, podgrzewaną i znów tłuczoną substancję. – Przynajmniej stanie się mężczyzną.

Urszula spytała, w którą stronę powędrowali Cyganie. Rozpytywała dalej po drodze, którą jej wskazano, i w nadziei, że jeszcze zdąży ich dogonić, oddalała się coraz bardziej od wsi, a kiedy uprzytomniła sobie, jak daleko odeszła, pomyślała, że już nie warto wracać. José Arcadio Buendía zauważył nieobecność żony dopiero o ósmej wieczorem, kiedy pozostawiwszy substancję podgrzewaną na warstwie nawozu, poszedł zobaczyć, co się dzieje z małą Amarantą, która ochrypła już od płaczu. W kilka godzin zebrał gromadę dobrze uzbrojonych mężczyzn, oddał Amarantę pod opiekę mamki i zapuścił się na niewidoczne ścieżki w pogoni za Urszulą. Aureliano poszedł z nimi. O świcie kilku rybaków, tubylców mówiących nieznanym językiem, pokazało im na migi, że nie widzieli, by ktokolwiek tędy przechodził. Po trzech dniach bezowocnego poszukiwania powrócili do wsi.

Przez parę tygodni José Arcadio Buendía chodził skonsternowany i pogrążony w nowych obowiązkach. Zajmował się małą Amarantą jak matka. Kąpał ją i zmieniał pieluszki, zanosił do mamki cztery razy na dzień, a nawet śpiewał jej wieczorami piosenki, jakich Urszula nigdy nie umiała śpiewać. Po pewnym czasie Pilar Ternera zaofiarowała się zająć domem aż do powrotu Urszuli. Aureliano, którego tajemnicza intuicja wyostrzyła się w nieszczęściu, doznał przebłysku jasnowidzenia, kiedy zobaczył ją wchodzącą. Zrozumiał, że w jakiś niewytłumaczalny sposób to ona ponosi winę za ucieczkę brata, a tym samym i za zniknięcie matki, zaczął więc ją prześladować z tak nieprzejednaną milczącą wrogością, że kobieta przestała do nich przychodzić.

Z czasem wszystko się ułożyło. José Arcadio Buendía i jego syn, sami nie wiedząc kiedy, znów znaleźli się w laboratorium, starli kurze i rozpalili ogień w alchemicznym piecu, na nowo oddani mozolnemu przetwarzaniu substancji, kilka miesięcy drzemiącej na swojej warstwie gnoju. Nawet Amaranta ze swego wiklinowego koszyczka z zaciekawieniem przyglądała

się absorbującym zajęciom ojca i brata w komórce pełnej oparów rtęci. Nagle, wiele już miesięcy po odejściu Urszuli, zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Jakaś pusta flaszka, zapomniana od długiego czasu w szafie, stała się tak ciężka, że nie można jej było ruszyć z miejsca. Woda w garnku stojącym na laboratoryjnym stole gotowała się bez ognia przez pół godziny, aż wszystko wyparowało. José Arcadio Buendía i jego syn obserwowali te zjawiska z lękliwą radością, nie umiejąc ich wytłumaczyć, ale przypisując im jakieś wróżebne znaczenie. Pewnego dnia koszyczek Amaranty własnym impulsem zaczął się poruszać i okrążył cały pokój dookoła, ku wielkiej konsternacji Aureliana, który pospieszył go zatrzymać. Ale ojciec nie dał się przestraszyć. Postawił koszyczek na miejsce i przywiązał go do nogi od stołu przekonany, że oczekiwane wydarzenie jest już bliskie. Wtedy to Aureliano usłyszał jego słowa:

– Jeśli Boga się nie boisz, bój się metali!

Nagle, prawie pięć miesięcy po swoim zniknięciu, wróciła Urszula. Przyszła podniecona, odmłodniała, w nowym ubiorze kroju nieznanego dotąd we wsi. José Arcadio Buendía ledwie zdołał opanować wzruszenie. „No właśnie – zawołał. – Wiedziałem, że tak musi być!”.

Wierzył w to naprawdę, albowiem w czasie długich godzin spędzonych w czterech ścianach laboratorium na przetwarzaniu materii modlił się w głębi duszy, by oczekiwanym cudem było nie odkrycie kamienia filozoficznego ani wyzwolenie tchnienia ożywiającego metale, ani zdolność przemieniania w złoto zawiasów i zamków przy drzwiach w całym domu, lecz to właśnie, co nastąpiło teraz: powrót Urszuli. Ona jednak nie dzieliła jego rozradowania. Pocałowała go od niechcenia, jak gdyby wyszła zaledwie przed godziną, i powiedziała:

– Wyjrzyj za drzwi.

José Arcadio Buendía długo nie mógł ochłonąć ze zdumienia. Kiedy wyszedł na ulicę, ujrzał tłum ludzi. Nie byli to Cyganie, lecz mężczyźni i kobiety podobni do mieszkańców Macondo, z gładkimi włosami i śniadą cerą, mówiący tym samym językiem i narzekający na te same bolączki. Prowadzili ze sobą muły obładowane żywnością, wozy zaprzężone w woły, z ładunkiem mebli i sprzętów domowych, najprostszych akcesoriów życia na ziemi, wystawionych na sprzedaż przez ludzi handlujących

rzeczywistością dnia powszedniego. Przybywali z przeciwległego krańca mokradeł, o dwa dni drogi zaledwie, z miasteczek, gdzie co miesiąc docierała poczta i znane były różne maszyny ułatwiające życie. Urszula nie dogoniła Cyganów, ale znalazła drogę, której jej mąż nie mógł odkryć w swym nieudanym poszukiwaniu wielkich wynalazków.

Syna Pilar Ternery odniesiono do domu dziadków w dwa tygodnie po urodzeniu. Urszula przyjęła go niechętnie, ustępując raz jeszcze przed uporem męża, który nie mógł znieść myśli, by potomek jego rodu pozostał bez opieki, ale postawiła warunek, żeby ukryto przed dzieckiem jego prawdziwe pochodzenie. Chłopiec otrzymał imiona José Arcadio, ale dla uniknięcia pomyłek nazywano go Arcadio. W tym czasie tak wiele działo się we wsi i taki był zamęt w domu, że opieka nad dziećmi zeszła na drugi plan. Zajmowała się nimi Visitación, Indianka ze szczepu Guajiros, która przyszła do wsi ze swym bratem, uciekając przed zarazą bezsenności, od wielu lat nękającą jej plemię. Oboje byli łagodni i usłużni, a Urszula przyjęła ich do siebie w zamian za pomoc przy pracach domowych. Dlatego też zarówno Arcadio, jak i Amaranta nauczyli się języka Guajiros wcześniej niż hiszpańskiego. Przyzwyczaili się również pić bulion z jaszczurek i zjadać jaja pająków, o czym Urszula nie wiedziała, bo była w tym czasie zbyt zajęta zapowiadającą dobry zysk produkcją zwierzątek z karmelu. Macondo zmieniło się i rozkwitło. Ludzie, którzy przybyli z Urszulą, rozpowszechnili wieść o tutejszej żyznej ziemi i uprzywilejowanym położeniu w rejonie moczarów, toteż zapadła wieś z dawnych czasów przekształciła się nagle w tętniące życiem miasteczko ze sklepami, pracowniami rzemieślniczymi i stałym traktem handlowym, którym przybyli pierwsi Arabowie w ciżmach ze spiczastymi, zadartymi w górę czubkami, z kolczykami w uszach, wymieniając szklane naszyjniki na papugi. José Arcadio Buendía nie miał chwili spoczynku. Zafascynowany bezpośrednią rzeczywistością, która okazała się bardziej fantastyczna niż świat jego wyobraźni, stracił wszelkie zainteresowanie dla alchemii,

porzucił substancję poddawaną niezliczonym doświadczeniom przez długie miesiące i znowu stał się przedsiębiorczym człowiekiem z pierwszych dni Macondo, kiedy wykreślał ulice i planował położenie domów tak, aby nikt nie korzystał z większych przywilejów niż inni. Zyskał taki autorytet wśród nowo przybyłych, że nikt nie kładł fundamentów ani nie budował palisad, nie zasięgnąwszy wpierw jego rady, zdecydowano nawet powierzyć mu kierownictwo nad rozdziałem ziemi. Kiedy powrócili Cyganie akrobaci ze swoim objazdowym jarmarkiem przekształconym w olbrzymie przedsiębiorstwo gier hazardowych i loterię, powitano ich radośnie, gdyż sądzono, że razem z nimi wraca José Arcadio. Ale José Arcadio nie wrócił i nie było też człowieka żmii, jedynej, jak myślała Urszula, osoby, która mogła dostarczyć wiadomości o jej synu. Toteż nie pozwolono Cyganom zatrzymać się w miasteczku i zapowiedziano, że nie wolno im się tu pokazywać w przyszłości, gdyż uważano ich za szerzycieli rozpusty i perwersji. José Arcadio Buendía wyraźnie jednak zaznaczył, że zawsze zastanie drzwi otwarte dawne plemię Melquiadesa, które swą wiekową mądrością i bajecznymi wynalazkami tak wiele się przyczyniło do rozwoju Macondo. Tylko że, jak twierdzili ci, co teraz przemierzali świat, plemię Melquiadesa zostało zmiecione z powierzchni ziemi, ponieważ przekroczyło granice wiedzy ludzkiej.

Wyzwolony, przynajmniej chwilowo, od tortur wyobraźni, José Arcadio Buendía w krótkim czasie zaprowadził porządek i zobowiązał wszystkich do pracy; pozwolił sobie jednak na pewną słabostkę – nakaz wypuszczenia z klatek ptaków, które od momentu założenia grodu rozweselały czas swoim śpiewem, i zainstalowania na ich miejsce we wszystkich domach zegarów z kurantem. Były to cenne zegary, rzeźbione w drewnie, wymieniane przez Arabów za papugi. José Arcadio Buendía zsynchronizował je z taką precyzją, że co pół godziny w miasteczku rozbrzmiewały kolejne akordy tej samej melodii, osiągając punkt kulminacyjny w południe, gdy wszędzie naraz radował wszystkie uszy pełny tekst muzyczny walczyka. On także, nie kto inny, postanowił, żeby na ulicach zamiast akacji sadzono drzewa migdałowe, i wynalazł, nie zdradzając go nikomu, sposób zapewnienia drzewom długowieczności. Wiele lat później, kiedy Macondo było już tylko osiedlem drewnianych domów i cynkowych dachów, na najstarszych ulicach przetrwały jeszcze

poturbowane i zakurzone migdałowce, chociaż nikt już wtedy nie wiedział, kto je tam zasadził. Podczas gdy ojciec Aureliana sprawował rządy w miasteczku, a matka pomnażała zasoby domu wyrobem pięknych cukrowych kogucików i rybek, które dwa razy dziennie zanoszono z domu do sklepów, nadziane na patyki, on sam spędzał niekończące się godziny w opuszczonym laboratorium, studiując wyłącznie na podstawie doświadczeń sztukę złotnictwa. Wyrósł tak szybko, że odzież pozostała po bracie zrobiła się na niego za krótka, i zaczął nosić ubranie ojca, ale Visitación musiała robić mu zakładki na koszulach i zwężać spodnie, gdyż Aurelian nie odziedziczył rodzinnej potężnej budowy. Stał się milczący i stronił od ludzi. Okres dojrzewania odebrał mu dziecinną słodycz głosu, ale przywrócił intensywne spojrzenie oczu, jakie miał niegdyś. Był tak pochłonięty swoimi eksperymentami, że czasem nie opuszczał pracowni nawet w porze posiłków. Zaniepokojony jego skrytością José Arcadio Buendía dał mu klucze do domu i trochę pieniędzy, myśląc, że może potrzeba mu kobiety. Ale Aureliano wydał pieniądze na kwas solny, żeby otrzymać wodę królewską, i ozdobił klucze kąpielą w złocie. Jego wybryki nie dorównywały pomysłom Arcadia i Amaranty, którzy zaczęli już tracić mleczne zęby, a jeszcze całymi dniami czepiali się spódnicy Indianki, niezłomni w swym postanowieniu, by nie mówić po hiszpańsku, lecz językiem Guajiros. „Nie masz na co się skarżyć – mówiła Urszula mężowi. – Dzieci zwykle dziedziczą głupotę po rodzicach”. Kiedyś, gdy lamentowała nad swoim przeklętym losem, przekonana, że dziwne obyczaje jej dzieci są czymś równie strasznym jak świński ogon, Aureliano utkwił w niej spojrzenie, które ją zbiło z tropu.

– Ktoś tu przyjdzie – powiedział.

Urszula, jak zwykle, gdy wypowiadał jakieś proroctwo, próbowała ostudzić go swoją prostą domorosłą logiką. To naturalne, że ktoś przyjdzie. Dziesiątki przybyszów z obcych stron przechodziło co dzień przez Macondo, nie alarmując nikogo i nie wysyłając przedtem tajemniczych zapowiedzi. Niemniej wyższy ponad logikę Aureliano był pewien swej przepowiedni.

– Nie wiem, kto to może być – upierał się – ale wiem, że już jest w drodze.

W niedzielę rzeczywiście zjawiła się Rebeka. Miała nie więcej niż jedenaście lat. Uciążliwą drogę z Manaure przebyła z handlarzami skór, którzy mieli polecenie dostarczyć ją wraz z listem do domu Josegó Arcadia Buendíi, ale nie mogli określić dokładnie, kto ich prosił o tę przysługę. Cały jej dobytek składał się z węzełka z bielizną, drewnianego fotelika na biegunach zdobnego w ręcznie malowane kolorowe kwiaty i worka z żaglowego płótna, który zawierał kości jej rodziców grzechocące przy każdym poruszeniu. List do Josego Arcadia Buendíi napisany był w nader serdecznych słowach przez kogoś, kto pomimo lat i odległości nadal go kochał i kierując się zwykłym ludzkim odruchem litości, uważał za swój obowiązek wysłać do niego tę biedną opuszczoną sierotkę, która jest kuzynką Urszuli, a zatem także krewną – choć o wiele dalszą – Josego Arcadia Buendíi, jako córka jego niezapomnianej pamięci przyjaciela Nicanora Ulloa i czcigodnej małżonki jego Rebeki Montiel, których Bóg powołał do swego królestwa i których ziemskie szczątki przesyłane są w załączeniu, aby sprawiono im chrześcijański pogrzeb. Wymienione nazwiska i podpis na liście były napisane bardzo wyraźnie i czytelnie, ale ani Urszula, ani José Arcadio Buendía nie mogli sobie przypomnieć krewnych o tych nazwiskach i nie znali nikogo, kto nazywałby się tak jak nadawca listu, a tym mniej w dalekim osiedlu Manaure. Od dziewczynki nie można było uzyskać żadnych dodatkowych informacji. Natychmiast po przybyciu usiadła w swoim foteliku i ssąc palec, obserwowała wszystkich wielkimi wystraszonymi oczyma, nie zdradzając niczym, że rozumie, o co ją pytają. Miała na sobie zniszczoną sukienkę, przefarbowaną na czarno, i równie zniszczone lakierowane buciki. Włosy były ciasno splecione w warkoczyki i przewiązane czarnymi kokardami. Nosiła szkaplerz z zatartym od potu obrazkiem, a na prawej ręce bransoletkę z kłem drapieżnika oprawionym w miedź jako amulet przeciw chorobie oczu. Zielonkawy odcień skóry i okrągły brzuch, napięty jak bęben, świadczyły o nadwyrężonym zdrowiu i głodzie, starszym niż ona sama. Ale kiedy jej dano jeść, postawiła sobie talerz na kolanach, nie podnosząc do ust ani kęsa. Przypuszczano nawet, że jest głuchoniema, póki Indianie nie zapytali jej w swoim narzeczu, czy chce trochę wody, a wtedy ona, jakby rozpoznając ich, poruszyła oczyma i skinęła głową twierdząco.

Zatrzymali ją u siebie, bo nie było innego wyjścia. Postanowiono nazwać ją Rebeką, jak, zgodnie z listem, brzmiało imię jej matki, a kiedy Aureliano zadał sobie trud odczytania jej całego kalendarza z imionami świętych, nie wywołało to żadnej reakcji z jej strony. Ponieważ w Macondo nie było wtedy cmentarza, bo dotychczas nikt jeszcze nie umarł, zachowano worek z kośćmi w oczekiwaniu, aż znajdzie się godne miejsce, żeby je pogrzebać, i przez długi czas zawadzały wszędzie; odnajdywano je w najmniej spodziewanych miejscach, zawsze z tym grzechotem, przypominającym gdakanie kwoki. Wiele czasu minęło, zanim Rebeka włączyła się do życia rodzinnego. Siadywała na swoim krzesełku w najbardziej oddalonym kącie domu, nieustannie ssąc palec. Nic jej nie interesowało prócz muzyki zegarów, której co pół godziny szukała swymi wystraszonymi oczyma, jakby spodziewała się odnaleźć ją w jakimś miejscu w powietrzu. Przez wiele dni nie można było zmusić jej do jedzenia. Nikt nie rozumiał, jakim sposobem nie umarła z głodu, wreszcie Indianie, którzy wiedzieli wszystko, krążąc nieustannie po domu swoim bezszelestnym krokiem, odkryli, że Rebeka jada wyłącznie mokrą ziemię z podwórza i płaty wapna, które zeskrobywała paznokciami ze ścian. Było oczywiste, że jej rodzice, czy ktokolwiek ją wychował, mieli jej za złe ten obyczaj, bo uprawiała go po kryjomu, ze świadomością winy, odkładając porcje zdobytej żywności, tak żeby móc je zjeść, kiedy nikt nie widzi. Od tej chwili nie spuszczano z niej oka. Wylewano żółć bydlęcą na podwórko i smarowano piekącą papryką ściany, myśląc, że tymi sposobami uda się ją oduczyć tego szkodliwego nałogu, dziewczynka jednak wykazywała tyle sprytu i przebiegłości w zaopatrywaniu się w zapas ziemi, że Urszula musiała uciec się do bardziej drastycznych środków. Mieszała sok pomarańczy z rabarbarem w dzbanku, który na całą noc zostawiała pod gołym niebem i nazajutrz rano dawała jej ten napój na czczo. Chociaż nikt jej nie powiedział, że to jest właściwe lekarstwo przeciw nałogowi jedzenia ziemi, uważała, że każdy gorzki płyn w pustym żołądku zmusi wątrobę do reakcji. Rebeka była tak krnąbrna i tak silna pomimo swego wycieńczenia, że musiano, jak cielakowi, przemocą otwierać jej usta, aby przełknęła lekarstwo. Ledwie można było powstrzymać jej kopanie, plucie i gryzienie, przerywane niekiedy zagadkowymi wykrzyknikami, które, jak twierdzili zgorszeni Indianie, oznaczały najgrubsze sprośności, jakie można było wymyślić w ich języku. Dowiedziawszy się o tym, Urszula uzupełniła

kurację okładami rzemiennego pasa. Nie ustalono nigdy, czy to rabarbar, czy bicie, czy też połączenie tych obu leków odniosło wreszcie skutek, dość że po kilku tygodniach w obyczajach Rebeki nastąpiła widoczna poprawa. Uczestniczyła w zabawach Arcadia i Amaranty, którzy przyjęli ją jak starszą siostrę, i zaczęła jeść z apetytem, nakładając sobie na talerz wszystko, co podano. Wkrótce okazało się, że mówi po hiszpańsku równie biegle jak w narzeczu indiańskim i że jest wyjątkowo uzdolniona do wszelkich robót ręcznych. Śpiewała także walce z zegarów z zabawnymi, pełnymi wdzięku słowami, które sama wymyśliła. Niebawem zaczęto ją uważać za członka rodziny. Dla Urszuli była czulsza i serdeczniejsza niż jej własne dzieci, mówiła „siostrzyczko” i „braciszku” do Amaranty i Arcadia, nazywała „wujkiem” Aureliana i „dziadkiem” Josego Arcadia Buendíę. Tak więc w końcu na równi z innymi zasługiwała na nazwisko Rebeka Buendía, jedyne, które kiedykolwiek miała i które nosiła z godnością aż do śmierci.

Pewnej nocy, kiedy Rebeka wyleczyła się już z nałogu łykania ziemi i sypiała w pokoju razem z innymi dziećmi, Indianka śpiąca z nimi obudziła się nagle, słysząc dziwny urywany odgłos dochodzący z kąta. Zerwała się z przerażeniem, myśląc, że to jakieś zwierzę dostało się do pokoju, i zobaczyła Rebekę huśtającą się na swoim krzesełku i ssącą palec, z oczyma fosforyzującymi jak oczy kota w ciemnościach. Sparaliżowana grozą i wspomnieniem własnego losu Visitación rozpoznała w tych oczach objawy choroby, której groźba zmusiła ją i jej brata do opuszczenia na zawsze tysiącletniego królestwa, gdzie sami byli książętami. Była to plaga bezsenności.

Indianin Cataure uciekł z domu jeszcze tej samej nocy. Jego siostra została z fatalistycznym przekonaniem, że ta zabójcza choroba tak czy inaczej będzie ją ścigać wszędzie, aż po krańce ziemi. Nikt nie pojmował grozy Visitación. „Jeżeli nie będziemy spać, tym lepiej – mówił wesoło José Arcadio Buendía. – Tym więcej będziemy korzystali z życia”. Ale Indianka wytłumaczyła im, że najstraszniejsze w tej chorobie jest nie to, że nie można zasnąć, bo ciało nie odczuwa zmęczenia, lecz nieodwracalny postęp innego, gorszego symptomu – utraty pamięci. Tłumaczyła, że kiedy chory przyzwyczaja się do stanu bezsenności, zaczynają zacierać się w jego umyśle wspomnienia dzieciństwa, potem nazwy i pojęcia przedmiotów, a w końcu tożsamość osób, a nawet świadomość własnego istnienia, aż do

pewnego rodzaju obłędu i negacji przeszłości. José Arcadio Buendía, śmiejąc się do łez, uważał to wszystko za imaginacyjną dolegliwość, wymyśloną przez zabobonnych Indian. Ale Urszula na wszelki wypadek odseparowała Rebekę od innych dzieci.

Po kilku tygodniach, kiedy przerażenie Visitación zdawało się uspokajać, José Arcadio Buendía pewnej nocy zaczął przewracać się z boku na bok w łóżku, nie mogąc zasnąć. Urszula, która również nie spała, zapytała, co mu jest, a on odpowiedział: „Znów mi nie schodzi z myśli Prudencio Aguilar”. Nie spali ani minuty, ale następnego dnia czuli się tak wypoczęci, że zapomnieli o ciężkiej nocy. Podczas obiadu Aureliano zdumiony oświadczył, że czuje się świetnie, pomimo że przez całą noc pracował w laboratorium, pozłacając broszkę, którą miał zamiar podarować Urszuli w dzień jej urodzin. Zaniepokoili się dopiero na trzeci dzień, kiedy w porze, o której zwykle szli spać, okazało się, że nie mają na to żadnej ochoty, chociaż nie spali od przeszło pięćdziesięciu godzin.

– Dzieci też nie śpią – stwierdziła Indianka ze swym poczuciem fatalizmu. – Jak już zaraza wejdzie do domu, nikt się przed nią nie uchroni.

Istotnie, padli ofiarą zarazy. Urszula, która znała od swej matki lecznicze właściwości ziół, przygotowała wywar z tojadu i zmusiła wszystkich do wypicia, ale nie udało im się zasnąć i przez cały dzień śnili na jawie.

W tym stanie trzeźwej halucynacji widzieli nie tylko obrazy ze swoich własnych snów, ale przekazywali je sobie nawzajem: jedni widzieli to, co się śniło drugim. Było tak, jakby dom zapełnił się gośćmi. Siedząc w foteliku w kącie kuchni, Rebeka śniła, że jakiś człowiek bardzo podobny do niej, w ubraniu z białego lnu i w koszuli z kołnierzykiem zapiętym na złoty guzik, przyniósł jej bukiet róż. Razem z nim przyszła kobieta o delikatnych rękach, wyjęła jeden z kwiatów i wpięła go dziewczynce we włosy. Urszula zrozumiała, że ten mężczyzna i ta kobieta mogli być nie kim innym, tylko rodzicami Rebeki, ale pomimo wysiłków, jakich nie szczędziła, żeby sobie przypomnieć tych ludzi, jeszcze bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że ich nigdy w życiu nie widziała. Tymczasem z beztroską, której José Arcadio Buendía nie mógł sobie nigdy darować, w dalszym ciągu sprzedawano w miasteczku produkowane w domu zwierzątka z karmelu. Dzieci i dorośli z zachwytem ssali smaczne zielone kogutki bezsenności, śliczne różowe rybki nakrapiane bezsennością i żółte

koniki zatrute bezsennością. Poniedziałkowy świt nikogo z miasteczka nie zastał w łóżku. Z początku nikt się tym nie przeraził, przeciwnie, cieszyli się, że nie potrzebują spać, ponieważ wtedy w Macondo było tyle do roboty, że ledwie wystarczało czasu. Pracowali tak, że wkrótce nie mieli już nic do zrobienia, i o trzeciej nad ranem siedzieli z założonymi rękami, licząc nuty walca płynącego z grających zegarów. Ci, którzy chcieli spać nie ze zmęczenia, ale z tęsknoty za tym, co oglądali we śnie, próbowali wszelkich sposobów, żeby przywołać zmęczenie. Rozmawiali bez przerwy, powtarzali sobie godzinami te same anegdoty albo z desperackim uporem przedłużali w nieskończoność zabawę w „koguta kapłona”. Zabawa polegała na tym, że narrator pytał obecnych, czy chcą, żeby im opowiedział historię o kogucie kapłonie, i kiedy oni odpowiadali, że „tak”, narrator mówił, że nie prosił ich, żeby powiedzieli „tak”, tylko pytał, czy chcieliby usłyszeć historię o kogucie kapłonie, a kiedy odpowiadali, że nie chcą, narrator mówił, że nie prosił ich, żeby mówili „nie”, tylko pytał, czy chcą usłyszeć opowieść o kogucie kapłonie, a kiedy wszyscy milczeli, narrator mówił im, że nie prosił ich, żeby milczeli, tylko pytał, czy opowiedzieć historię o kogucie kapłonie, i nikt nie mógł odejść, ponieważ narrator mówił, że nie prosił ich, żeby sobie poszli, tylko pytał, czy ma opowiedzieć o kogucie kapłonie, i tak dalej, w błędnym kole, które obracało się nieustannie przez całe noce.

Kiedy José Arcadio Buendía zdał sobie sprawę, że plaga ogarnęła całe miasto, zebrał wszystkich ojców rodzin, żeby przekazać im to, co sam wiedział o zarazie bezsenności. Podjęto kroki zapobiegające rozprzestrzenianiu się jej na inne osiedla położone w okolicy bagnisk. Zdjęto więc kozom dzwonki, wymienione z Arabami za papugi, i pozostawiono je przy rogatkach do dyspozycji tych, co wbrew uprzedzeniom rozstawionych straży upierali się przy wejściu do grodu. Wszyscy obcy, którzy krążyli wówczas po ulicach Macondo, musieli swoimi dzwoneczkami oznajmiać zarażonym, że sami są zdrowi. Nie pozwolono im ani jeść, ani pić podczas pobytu, gdyż wiadomo było, że zaraza przenosi się tylko przez przewód pokarmowy i że wszystkie produkty do jedzenia i picia zarażone są bakcylem bezsenności. W ten sposób utrzymano plagę w granicach miasteczka. Ta kwarantanna była tak skuteczna, że z czasem stan wyjątkowy uznano za rzecz naturalną

i zorganizowano życie w taki sposób, żeby przywrócić rytm pracy, i nikt już nie myślał o niepotrzebnym obyczaju spania.

Metodę, która przez wiele miesięcy miała ich bronić przed zanikiem pamięci, wymyślił Aureliano. Odkrył ją przypadkowo. Dobrze znając bezsenność, gdyż był jednym z pierwszych, którzy jej ulegli, opanował do perfekcji sztukę złotniczą. Pewnego dnia szukał małego kowadełka, którego używał do walcowania metali, i nie mógł przypomnieć sobie nazwy tego narzędzia. Ojciec podpowiedział mu: „kowadełko”. Aureliano wypisał to na kawałku papieru i przykleił etykietę do przedmiotu. W ten sposób mógł mieć pewność, że nie zapomni tej nazwy w przyszłości. Nie przyszło mu na myśl, że jest to pierwszy objaw zaniku pamięci, ponieważ przedmiot miał nazwę trudną do zapamiętania. W kilka dni później jednak odkrył, że z trudem przypomina sobie nazwy prawie wszystkich przedmiotów w laboratorium. Tak więc oznaczył je odpowiednimi kartkami i wystarczyło przeczytać napis, żeby je rozpoznać. Kiedy ojciec zakomunikował mu, że zapomniał prawie wszystkie najważniejsze wydarzenia ze swego dzieciństwa, Aureliano zapoznał go ze swoją metodą i José Arcadio Buendía zastosował ją praktycznie w całym domu, a później narzucił całemu miasteczku. Pędzelkiem umoczonym w farbie malował na każdej rzeczy jej nazwę: stół, krzesło, zegar, drzwi, ściana, łóżko, garnek. Wyszedł do zagrody i oznaczył wszystkie zwierzęta i rośliny: krowa, koza, świnia, kura, juka, malanga, banany. Stopniowo, obserwując nieskończoność wariantów zaniku pamięci, zdał sobie sprawę, że może nadejść dzień, kiedy będą rozpoznawać rzeczy po napisach, ale zapomną ich przeznaczenia. Wtedy rozszerzył swoje napisy. Etykieta, którą zawiesił na szyi krowy, była przykładem sposobu, w jaki mieszkańcy Macondo byli zdecydowani walczyć z chorobą: „To jest krowa, trzeba ją doić co rano, żeby dawała mleko, a mleko trzeba zagotować, potem zmieszać z kawą i zrobić kawę z mlekiem”. Tak więc żyli w wymykającej się rzeczywistości, którą chwilowo mogli schwytać za pomocą słów, ale która musiała wymknąć się bezpowrotnie wraz z zapomnieniem wartości słowa pisanego.

U wylotu drogi z moczarów umieszczono napis: „Macondo”, a nieco dalej inny, większy, przy głównej ulicy: „Bóg istnieje”. We wszystkich domach opracowano klucze dla utrwalenia w pamięci przedmiotów i uczuć. Ale system ten wymagał takiej czujności i takiej siły moralnej, że wiele

osób uległo czarowi rzeczywistości wyimaginowanej, którą sami wymyślili i która była mniej praktyczna, ale za to wygodniejsza i bardziej pocieszająca. Do rozpowszechnienia tej mistyfikacji szczególnie przyczyniła się Pilar Ternera, gdy wpadła na pomysł odczytywania przeszłości z kart, tak jak dawniej odczytywała z nich przyszłość. Dzięki temu cierpiący na bezsenność zaczęli żyć w świecie zbudowanym z niepewnych możliwości karcianych, gdzie z trudem można było sobie przypomnieć ojca jako ciemnowłosego mężczyznę przybyłego w początkach kwietnia, a matkę jako kobietę o smagłej cerze, ze złotym pierścionkiem na lewej ręce, i gdzie data czyjegoś urodzenia sprowadzała się do ubiegłego wtorku, kiedy w laurowym krzaku śpiewał skowronek. Zniechęcony bezskutecznością stosowanych środków, José Arcadio Buendía postanowił wtedy skonstruować maszynę pamięciową, taką jak kiedyś pragnął mieć, żeby spamiętać wszystkie cudowne wynalazki Cyganów. Mechanizm ten miał polegać na możliwości powtarzania co rano, od początku do końca, wszystkich wiadomości nabytych w ciągu życia; wyobrażał sobie to jako olbrzymi obrotowy słownik, którego ruchem kierowałby ktoś umieszczony na osi, za pomocą korby, tak żeby w ciągu kilku godzin mogły przesuwać się przed jego oczyma pojęcia najbardziej potrzebne do życia. Zdążył już napisać około czternastu tysięcy fiszek, kiedy na drodze z moczarów ukazał się jakiś dziwaczny starzec z melancholijnym dzwoneczkiem niedotkniętych chorobą bezsenności i brzuchatą walizą związaną rzemieniem, którą ciągnął na wózku przykrytym czarnymi szmatami. Skierował się prosto do domu Josego Arcadia Buendíi.

Visitación nie poznała go, otworzywszy drzwi, i myślała, że przyszedł z jakimś towarem na sprzedaż, nie wiedząc, iż nic nie można sprzedać w tym miejscu pogrążającym się nieuchronnie w otchłaniach zapomnienia. Był to sędziwy starzec; chociaż głos jego łamał się co chwila, a ręce zdawały się wątpić o istnieniu rzeczy, pewne było, że przybywa ze świata, gdzie ludzie jeszcze mogą spać i pamiętać. José Arcadio Buendía zobaczył go w salonie, gdy wachlując się połatanym czarnym kapeluszem, czytał z pełną współczucia uwagą napisy przyklejone do ścian. Przywitał go z serdeczną wylewnością w obawie, że znał go niegdyś dobrze, a teraz nie pamięta. Ale gość zauważył sztuczność tego powitania. Poczuł się

zapomniany, nie tym uleczalnym zapomnieniem serca, lecz innym, okrutniejszym i nieodwołalnym, znanym mu dobrze, gdyż było to zapomnienie śmierci. Wtedy zrozumiał. Otworzył walizkę pełną przedmiotów nieokreślonej użyteczności i spomiędzy nich wyjął pudełko z flaszeczkami. Dał Josemu Arcadiowi Buendíi do wypicia jakąś mętną substancję i w pamięci założyciela Macondo zajaśniało światło. Oczy napełniły mu się łzami, zanim ujrzał sam siebie w absurdalnym salonie z wypisanymi nazwami przedmiotów i zawstydził się uroczystych głupstw wykaligrafowanych na ścianach, a nawet jeszcze zanim rozpoznał nowo przybyłego w oślepiającym blasku radości. Był to Melquíades.

Podczas gdy Macondo radowało się i święciło odzyskanie pamięci, José Arcadio Buendía i Melquíades otrząsali z kurzu zapomnienia swoją starą przyjaźń. Cygan gotów był zostać tu na stałe. Rzeczywiście przekroczył już próg śmierci, ale wrócił, bo nie mógł znieść samotności. Odtrącony przez własny szczep, ukarany utratą swych nadprzyrodzonych darów za swoją wierność życiu, postanowił schronić się w tym zakątku świata, nieodkrytym jeszcze przez śmierć, i poświęcić się sztuce dagerotypii. José Arcadio Buendía nigdy nie słyszał o tym wynalazku. Ale kiedy ujrzał siebie i całą swoją rodzinę uwiecznioną na opalizującej metalowej płytce, zaniemówił ze zdumienia. Z tej epoki pochodził zardzewiały dagerotyp, na którym można było oglądać Josego Arcadia Buendíę ze zjeżonym i siwiejącym włosem, z szyją w sztywnym kołnierzyku koszuli zapiętej na miedziany guzik i z wyrazem uroczystego zdumienia „wystraszonego generała”, jak to określiła Urszula. José Arcadio Buendía rzeczywiście był dość przerażony w ten przejrzysty grudniowy ranek, kiedy wykonano ów dagerotyp, bo myślał, że ludzie niszczą się stopniowo, w miarę jak ich obraz przechodzi na płytki z metalu. Odwrotnie niż bywało dotychczas, tym razem Urszula wybiła mu z głowy tę myśl i ona też, niepomna dawnych uraz, zadecydowała, że Melquíades zamieszka w ich domu, chociaż nigdy nie pozwoliła zrobić swego dagerotypu, nie chcąc, według ich własnego stwierdzenia, zostawić swego wizerunku na pośmiewisko wnukom. Tego dnia ubrała dzieci w najlepsze ubrania, upudrowała je i podała każdemu po łyżeczce wywaru ze szpiku kostnego w celu usztywnienia rysów twarzy, żeby mogli wytrzymać bez ruchu prawie trzy minuty przed aparatem Melquiadesa. Na tym dagerotypie, jedynym, jaki przedstawia grupę

rodzinną, Aureliano występuje w czarnych aksamitach, między Amarantą i Rebeką, z tym samym roztargnionym wyrazem twarzy oraz tym samym jasnowidzącym spojrzeniem, z którym wiele lat później miał stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Ale wtedy jeszcze nie przeczuwał swego przeznaczenia. Był doświadczonym złotnikiem, poważanym w całej okolicy za doskonałą znajomość rzemiosła. W warsztacie, który mieścił się razem ze zwariowanym laboratorium Melquiadesa, ledwie słychać było jego oddech. Jak gdyby szukał schronienia w jakimś innym czasie, wtedy gdy jego ojciec i Cygan hałaśliwie dyskutowali nad przepowiedniami Nostradamusa przy brzęku szkieł i probówek, pośród rozlanych kwasów i oparów bromku srebra. Ta sumienność w pracy i sprawność, z jaką prowadził swe interesy, w krótkim czasie pozwoliły Aurelianowi zarobić więcej pieniędzy niż Urszuli jej wdzięczna fauna z karmelu; wszyscy dziwili się jednak, że ten dorosły już mężczyzna nie zna jeszcze kobiety. Istotnie, tak dotychczas było.

Kilka miesięcy później wrócił Francisco el Hombre[1], stary obieżyświat, który liczył bez mała dwieście lat i często zaglądał do Macondo, śpiewając pieśni własnej kompozycji. W pieśniach tych przekazywał z najdrobniejszymi szczegółami wiadomości o wszystkim, co wydarzyło się w miasteczkach i wsiach na szlaku jego wędrówek, od Manaure aż po krańce moczarów. Jeśli ktoś chciał komuś coś zlecić lub przekazać jakąś wiadomość, płacił śpiewakowi dwa centavos za włączenie tego do jego repertuaru. Tak to przypadkiem Urszula, słuchając któregoś wieczoru jego pieśni, w nadziei że znajdzie w nich jakąś wieść o swoim synu José Arcadiu, dowiedziała się o śmierci swojej matki. Francisco el Hombre, nazwany tak, ponieważ zwyciężył diabła w turnieju śpiewaczym i ponieważ nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, zniknął z Macondo podczas plagi bezsenności, a pewnej nocy niespodziewanie znalazł się w sklepiku Catarina. Całe miasteczko zgromadziło się, żeby posłuchać, co się przez ten czas wydarzyło w świecie. Tym razem przybyła z nim kobieta tak gruba, że czterech Indian musiało nosić ją w fotelu, i młodziutka zabiedzona Mulatka, która trzymała nad nią parasol, żeby ją chronić od słońca. Aureliano poszedł tej nocy do sklepu Catarina. Francisco el Hombre w kręgu ciekawych śpiewał ostatnie nowiny swoim starczym rozstrojonym falsetem, przygrywając sobie na tym samym archaicznym akordeonie, który

mu ofiarował sir Walter Raleigh w Gujanie, i wystukując takt swymi wielkimi stopami wędrowca, popękanymi od saletry. Naprzeciw drzwi w głębi sklepiku, którymi wchodzili i wychodzili mężczyźni, siedziała w fotelu matrona, wachlując się w milczeniu. Catarino z filcową różą za uchem sprzedawał zebranym szklanki guarapo – sfermentowanego soku z trzciny cukrowej – i korzystał z tej okazji, żeby przyciskać się do mężczyzn i kłaść ręce tam, gdzie nie powinien. Około północy gorąco stało się nie do wytrzymania. Aureliano słuchał nowin do końca, nie znajdując żadnych, które zainteresowałyby jego rodzinę. Zamierzał wrócić do domu, kiedy matrona dała mu znak ręką.

– Wejdź i ty – powiedziała. – Kosztuje tylko dwadzieścia centavos.

Aureliano wrzucił monetę do skarbonki, którą kobieta trzymała na kolanach, i wszedł do pokoju, nie wiedząc po co. Młoda Mulatka z drobnymi piersiami suczki leżała nago na łóżku.

Przed Aurelianem sześćdziesięciu trzech mężczyzn przeszło już dziś przez ten pokój. Powietrze, przesiąknięte wyziewami i potem, zaczynało się zmieniać w jakąś błotną zawiesinę. Dziewczyna zdjęła przepocone prześcieradło i poprosiła Aureliana, by wziął je za drugi koniec. Było ciężkie jak brezent. Wyżymali je, aż odzyskało normalną wagę. Odwrócili na drugą stronę matę, także przepoconą na wskroś. Aureliano pragnął, by to zajęcie nigdy się nie skończyło. Znał teoretycznie technikę miłości, ale nie mógł utrzymać się na nogach, kolana się pod nim uginały, całe ciało pokryło się gęsią skórką. Kiedy dziewczyna skończyła słać łóżko i powiedziała mu, żeby się rozebrał, Aureliano znalazł zadziwiającą wymówkę: „Kazali mi wejść, wrzucić dwadzieścia centavos do skarbonki i nie siedzieć zbyt długo”. Dziewczyna pojęła jego opory. „Jeżeli wrzucisz następną dwudziestkę przy wyjściu, możesz zostać dłużej” – powiedziała łagodnie. Aureliano rozebrał się dręczony wstydem, nie mogąc pozbyć się myśli, że jego nagość nie wytrzymuje porównania z nagością brata. Pomimo wysiłków dziewczyny, czuł się coraz bardziej obojętny i straszliwie samotny. „Wrzucę następne dwadzieścia centavos” – powiedział zgnębionym głosem. Dziewczyna podziękowała mu w milczeniu. Plecy jej były jak jedna rana, skóra niemal przyrośnięta do żeber i oddech przerywany niezmiernym wyczerpaniem. Dwa lata temu, bardzo daleko stąd, zasnęła którejś nocy, nie zgasiwszy świecy, i obudziła

się otoczona płomieniami. Dom, gdzie mieszkała razem ze swoją babką, zamienił się w stertę popiołu. Od tego czasu babka jeździła z nią od wsi do wsi, sprzedając ją mężczyznom za dwadzieścia centavos, aby pokryć stratę spalonego domu. Według obliczeń dziewczyny brakowało jeszcze około dziesięciu lat, licząc po siedemdziesięciu mężczyzn co noc, bo musiała także pokrywać wydatki podróży, wyżywienie dla nich obu i płacić pensję indiańskim tragarzom, którzy nosili fotel. Kiedy matrona zastukała po raz drugi do drzwi, Aureliano oszołomiony i bliski płaczu wyszedł z pokoju, nie dokonawszy niczego. Tej nocy nie mógł spać, rozmyślając o dziewczynie z pożądaniem pomieszanym z litością. Czuł jakąś nieodpartą potrzebę kochania jej i otoczenia opieką. Rankiem, osłabiony bezsennością i trawiony gorączką, postanowił spokojnie, że się z nią ożeni, żeby uwolnić ją od despotyzmu babki i co noc cieszyć się tą satysfakcją, którą ona dawała siedemdziesięciu mężczyznom. Ale gdy zjawił się w sklepiku Catarina o dziesiątej rano, dziewczyna już odjechała.

Czas odwiódł go od tego oszałamiającego zamiaru, ale pogłębił uczucie frustracji. Postanowił szukać schronienia w pracy. Zrezygnował na całe życie z poznania kobiety, by ukryć hańbę swej bezsilności. Tymczasem Melquíades utrwalił już na swych płytkach wszystko, co było do utrwalenia w Macondo, i porzucił dagerotypię, wydając ją na pastwę obłędu José Arcadia Buendíi, który postanowił wykorzystać tę sztukę, by otrzymać naukowy dowód istnienia Boga. Był pewien, że za pomocą skomplikowanego procesu nakładających się jedna na drugą ekspozycji, dokonanych w różnych miejscach domu, prędzej czy później uzyska dagerotyp Boga, jeżeli Bóg istnieje, albo obali raz na zawsze wszystkie hipotezy co do jego istnienia. Melquíades natomiast zagłębił się w interpretacjach Nostradamusa. Przesiadywał do późna, dusząc się z gorąca w swojej wypłowiałej aksamitnej kamizelce, bazgrząc po papierach swoimi drobnymi jak łapki wróbla rękami, na których lśniące niegdyś pierścienie straciły połysk z dawnych czasów. Pewnej nocy wydawało mu się, że znalazł przepowiednię o przyszłości Macondo. Miała to być olśniewająca metropolia z wysokimi domami ze szkła, gdzie nie pozostanie już śladu wielkiego rodu Buendíów. „Pomyłka! – ryknął José Arcadio Buendía. – Domy nie będą ze szkła, tylko z lodu, tak jak mnie się śniło, i zawsze będzie istniał jakiś Buendía, po wieki wieków”. W tym

domu pomyleńców Urszula walczyła o zachowanie zdrowego rozsądku i rozszerzyła swoją produkcję zwierzątek z karmelu dzięki olbrzymiemu piecowi, który całą noc wypiekał kosz za koszem chleba, jak również najróżniejszego rodzaju budynie, bezy i babeczki, które w ciągu kilku godzin rozchodziły się po całej okolicy moczarów. Osiągnęła już wiek, w którym miała prawo odpocząć, mimo to była coraz bardziej pomysłowa i ruchliwa. Tak ją pochłaniały jej dobrze prosperujące przedsiębiorstwa, że pewnego popołudnia, gdy wyrabiała z Indianką ciasto, spojrzawszy z roztargnieniem na podwórko, zobaczyła tam dwie nieznajome i piękne dziewczyny haftujące na tamborkach w świetle ostatnich promieni słonecznych. Były to Rebeka i Amaranta. Od niedawna dopiero zdjęły żałobę po babce, noszoną z nieugiętym rygorem przez trzy lata, a ich kolorowe sukienki jak gdyby wyznaczyły im nowe miejsce w świecie. Rebeka, wbrew temu, czego można było oczekiwać, była ładniejsza. Miała przezroczystą cerę, ogromne, spokojne oczy i ręce czarodziejki, które jakby niewidzialnymi nićmi wypracowywały osnowę haftu. Młodszej Amarancie brakowało trochę wdzięku, miała za to dużo wrodzonej dystynkcji i jakąś wewnętrzną powściągliwość odziedziczoną po zmarłej babce. Przy nich Arcadio, choć już ujawniało się jego podobieństwo fizyczne do ojca, był jeszcze dzieckiem. Uczył się sztuki złotniczej od Aureliana, który prócz tego nauczył go czytać i pisać. Urszula nagle uświadomiła sobie, że dom zapełnił się ludźmi, że jej dzieci dorosły do małżeństwa i wkrótce będą miały własne dzieci, a wtedy rodzina może rozproszyć się z braku miejsca. Wydobyła więc ze skrzynki pieniądze zgromadzone podczas długich lat ciężkiej pracy, przyjęła jeszcze więcej zamówień od klientów i przystąpiła do rozbudowy domu. Kazała urządzić paradny salon do przyjmowania gości, drugi, wygodny i przewiewny, na użytek codzienny, jadalnię ze stołem na dwanaście miejsc, tak by mogła zasiąść cała rodzina wraz z gośćmi, dziewięć izb sypialnych z oknami wychodzącymi na podwórze i długą galerię z parapetem na doniczki paproci i begonii, którą ogród różany chronił od żaru południa. Chcąc zbudować dwa nowe piece, poleciła poszerzyć kuchnię, zburzyć stodołę, w której niegdyś Pilar Ternera przepowiadała przyszłość Josemu Arcadiowi, i powiększyć ją dwukrotnie, żeby w domu nigdy nie zabrakło pożywienia. Na podwórzu w cieniu kasztana miała być zbudowana jedna łazienka dla mężczyzn, druga dla kobiet, a w głębi duża stajnia, ogrodzony kurnik, obora i wielka ptaszarnia,

otwarta na cztery strony świata, żeby bezdomne ptaki mogły z niej dowolnie korzystać. Z eskortą tuzina murarzy i stolarzy, jakby zarażona twórczą pasją swego męża, Urszula decydowała, jak rozmieścić źródła światła i ciepła, dzieląc przestrzeń bez najmniejszego poczucia jej granic. Pierwotny dom, zbudowany własnoręcznie przez jego założycieli, zapełniły narzędzia, materiały, zmęczeni i ociekający potem robotnicy, którzy prosili wszystkich, żeby im się nie plątać pod nogami, nie podejrzewając, że to właśnie oni wszystkim plączą się pod nogami, doprowadzeni do rozpaczy workiem z ludzkimi kośćmi, prześladującym ich wszędzie swoim grzechotem. W tym bałaganie, wdychając opary niegaszonego wapna i smoły, nikt dobrze nie rozumiał, w jaki sposób zaczął wyłaniać się z wnętrzności ziemi dom nie tylko największy, jaki kiedykolwiek widziano w Macondo, ale też najbardziej gościnny i chłodny ze wszystkich istniejących na obszarze moczarów. José Arcadio Buendía, usiłując zaskoczyć Opatrzność Bożą pośród tego kataklizmu, nie dostrzegł w ogóle, co się wokół niego dzieje. Nowy dom był już prawie skończony, kiedy Urszula wyciągnęła męża z jego świata chimer wiadomością, że otrzymała nakaz pomalowania fasady na kolor niebieski, a nie na biały, jak postanowili. Pokazała mu oficjalne rozporządzenie na papierze. José Arcadio Buendía, nie rozumiejąc nic z tego, co mówi żona, odcyfrował podpis.

– Kto to jest? – zapytał.

– Corregidor[2] – odpowiedziała zatroskana Urszula. – Mówią, że został tu przysłany przez rząd.

Corregidor, don Apolinar Moscote, przybył do Macondo po cichutku. Zatrzymał się w hotelu Jacoba – założonym przez jednego z pierwszych Arabów, którzy przyjeżdżali tu uprawiać swój handel zamienny – i następnego dnia wynajął pokój z drzwiami wychodzącymi na ulicę, w odległości dwóch przecznic od domu Josego Arcadia Buendíi. Postawił stół i krzesło kupione od Jacoba, zawiesił na ścianie godło republiki, które przywiózł ze sobą, i wymalował na drzwiach napis „Corregidor”. Zaczął urzędowanie od nakazu pomalowania domów na kolor niebieski, dla uczczenia rocznicy wyzwolenia narodowego. José Arcadio Buendía z kopią rozkazu w ręku zastał go w porze sjesty śpiącego w hamaku zawieszonym w pustym biurze. „Pan napisał ten papier?” – zapytał. Don Apolinar

Moscote, człowiek w sile wieku, nieśmiały, z kompleksją sangwinika, przytaknął. „Jakim prawem?” – znów zapytał José Arcadio Buendía. Don Apolinar Moscote poszukał w szufladzie stołu jakiegoś dokumentu i pokazawszy go, powiedział: „Zostałem mianowany corregidorem tej okolicy”. José Arcadio Buendía nawet nie spojrzał na nominację. „Tutaj nie rządzi się za pomocą papierków – powiedział, nie tracąc spokoju. – I niech pan zapamięta raz na zawsze, że nie potrzebujemy żadnego corregidora, bo nie ma tu nic do naprawiania”.

Wobec nieugiętej postawy don Apolinara Moscote, przemawiając wciąż tym samym spokojnym tonem, wygłosił szczegółowy wykład, w jaki sposób założono osadę, jak rozdzielono ziemię, wytyczono drogi i wprowadzono udogodnienia, których wymagała potrzeba chwili, nie zwracając się do żadnego rządu i nie korzystając z niczyjej pomocy. „Żyjemy tak spokojnie, że nikt tu jeszcze nie umarł, nawet śmiercią naturalną – powiedział. – Sam pan widzi, że dotychczas nie mamy cmentarza”. Stwierdził, że bynajmniej nie ubolewa nad brakiem pomocy ze strony rządu, przeciwnie, cieszy się, że pozwolono im dotychczas żyć i rozwijać się w spokoju, i wyraża nadzieję, że w dalszym ciągu tak będzie, gdyż nie po to założyli miasto, żeby pierwszy lepszy przybysz mówił im, co mają czynić. Don Apolinar Moscote włożył na siebie drelichową kurtkę, białą jak jego spodnie, nie tracąc ani na chwilę uroczystej powagi.

– Toteż jeżeli chce pan tutaj zostać jako zwyczajny obywatel, będzie pan mile widziany – zakończył José Arcadio Buendía. – Ale jeżeli przybył pan wprowadzać tu zamieszanie, zmuszając ludzi do malowania domów na niebiesko, może pan zabrać swoje rzeczy i wynosić się tam, skąd pan przyszedł, ponieważ mój dom ma być biały jak gołąb.

Don Apolinar Moscote zbladł, cofnął się o krok i zacisnąwszy szczęki, powiedział nie bez pewnej obawy w głosie:

– Uprzedzam pana, że jestem uzbrojony.

José Arcadio Buendía nie wiedział, w jakim momencie powróciła jego młodzieńcza siła pozwalająca mu niegdyś przewracać konia. Chwycił don Apolinara Moscote za klapy marynarki i podniósł go na wysokość swoich oczu.

– Wolę teraz dźwignąć pana żywego – powiedział – niż później do końca życia dźwigać pańskiego trupa na moim sumieniu.

I tak niósł go środkiem ulicy, zawieszonego za klapy marynarki, aż postawił go na drodze do moczarów. W tydzień później don Apolinar Moscote wrócił z oddziałem sześciu bosych i obszarpanych żołnierzy uzbrojonych w strzelby i z wozem zaprzężonym w woły, którym podróżowała jego żona i siedem córek. Później przybyły jeszcze dwa wozy z meblami, kuframi i sprzętem domowym. Zainstalował rodzinę tymczasowo w hotelu Jacoba, poszukując jednocześnie odpowiedniego domu, i na nowo otworzył swoje biuro, tym razem pod ochroną żołnierzy. Założyciele Macondo, zdecydowani wyrzucić najeźdźców, przyszli ze starszymi synami i oddali się do dyspozycji Josego Arcadia Buendíi. Ten jednak się sprzeciwił, bo – jak tłumaczył – don Apolinar Moscote powrócił ze swoją żoną i córkami i nie po męsku byłoby obrażać człowieka na oczach jego rodziny. Tak więc postanowił załatwić sprawę pokojowo.

Towarzyszył mu Aureliano. W tym czasie zapuścił sobie czarne wąsy, usztywnione gumą arabską na końcach, i miał już ów stentorowy głos, tak charakterystyczny dla niego później, podczas wojny. Bez broni, nie zważając na straż, weszli do biura corregidora. Don Apolinar Moscote nie stracił spokoju, przedstawił im dwie swoje córki, które przypadkowo tam się znalazły, szesnastoletnią Amparo, ciemną jak matka, i dziewięcioletnią Remedios, śliczną dziewczynkę o zielonych oczach i cerze jak lilia. Były wdzięczne i dobrze ułożone. Skoro tylko weszli, zanim jeszcze ich przedstawiono, podały im krzesła, by usiedli. Obaj jednak pozostali na stojąco.

– Bardzo dobrze, drogi panie – powiedział José Arcadio Buendía – zostanie pan tutaj, ale nie dlatego, że ma pan u drzwi tych zbójów z katapultami, lecz przez wzgląd na pańską żonę i córki.

Don Apolinar Moscote stropił się, ale José Arcadio Buendía nie pozostawił mu czasu na odpowiedź.

– Stawiam panu tylko dwa warunki – dodał. – Pierwszy: każdy pomaluje dom na taki kolor, na jaki będzie miał ochotę. Drugi: niech żołnierze natychmiast odejdą. My zapewnimy porządek.

Corregidor podniósł prawą rękę z wyciągniętymi wszystkimi palcami.

– Słowo honoru?

– Słowo wroga – powiedział José Arcadio Buendía i dodał z goryczą: – Powiem panu jeszcze jedno, pan i ja zawsze będziemy wrogami.

Tego popołudnia żołnierze opuścili miasteczko; w kilka dni potem José Arcadio Buendía wyszukał dom dla rodziny corregidora. Wszyscy się uspokoili oprócz Aureliana. Obraz Remedios, najmłodszej córki corregidora, która, zważywszy jej wiek, mogłaby być jego córką, boleśnie utkwił w jakimś punkcie jego ciała. Było to uczucie fizyczne, które niemal przeszkadzało mu chodzić, niby kamyczek w bucie.

Otwarcie nowego domu – białego jak gołąb – uświetnione zostało balem. Urszula powzięła tę myśl owego popołudnia, kiedy dostrzegła przemianę Rebeki i Amaranty z dzieci w podlotki, i nieomal można powiedzieć, że głównym celem rozbudowy było stworzenie dla dziewcząt odpowiedniego otoczenia i salonu, gdzie mogłyby przyjmować gości. Żeby nic nie przyćmiło splendoru tej imprezy, pracowała jak galernik, podczas gdy dokonywano ostatnich robót murarskich. Jeszcze zanim je zakończono, sprowadziła kosztowne sprzęty dla dekoracji i wyposażenia wnętrz, a także wspaniały wynalazek, który miał wzbudzić podziw całego miasteczka i radość młodzieży – pianolę. Przywieziono ją w częściach, załadowaną w kilku skrzyniach, razem z meblami wiedeńskimi, czeskimi kryształami, serwisem Kompanii Indyjskiej, holenderskimi obrusami i obfitością lamp i świeczników, wazonów, draperii i gobelinów. Dom handlowy na własny koszt wysłał włoskiego fachowca nazwiskiem Pietro Crespi, aby zmontował i nastroił pianolę, zaznajomił nabywców instrumentu, jak należy się z nim obchodzić, i nauczył ich tańczyć w takt modnych melodii spisanych na sześciu rolkach papieru.

Pietro Crespi był młodym blondynem, najpiękniejszym i najlepiej wychowanym mężczyzną, jakiego dotychczas widziano w Macondo, tak dbałym o formy, że pomimo duszącego upału, pracował w brokatowej kamizelce i w grubym ciemnym żakiecie. Ociekający potem, zachowując należny dystans w stosunku do właścicieli domu, przez wiele tygodni pracował zamknięty w salonie z poświęceniem nie mniejszym niż Aureliano w swojej pracowni złotniczej. Pewnego ranka, nie otwierając drzwi, nie wzywając żadnego świadka cudu, zamieścił pierwszy zwój

w pianoli i nieznośne uderzenia młoteczków, jak również nieustanny klekot drewnianych deseczek ucichły, gdy popłynęły pierwsze dźwięki czystej i składnej muzyki. Wszyscy pospieszyli do salonu. José Arcadio Buendía oniemiał z wrażenia, urzeczony nie tyle pięknością melodii, co samoistnym ruchem klawiatury, i zainstalował w salonie aparat Melquiadesa, w nadziei uzyskania dagerotypu niewidzialnego wykonawcy. Tego dnia Włoch został zaproszony na obiad. Rebeka i Amaranta, usługujące przy stole, były oszołomione zręcznością, z jaką posługiwał się sztućcami ten anielski młodzieniec o bladych rękach bez pierścionków. W saloniku przyległym do dużego salonu Pietro Crespi udzielał im lekcji tańca. Pokazywał taneczne kroki, nie dotykając dziewcząt, wybijając takt metronomem, pod życzliwym spojrzeniem Urszuli, która nie opuściła pokoju ani na chwilę przez czas trwania nauki. Pietro Crespi przywdziewał na tę okazję specjalne elastyczne obcisłe spodnie i lekkie pantofle do tańca. „Nie masz się czego obawiać – mówił do żony José Arcadio Buendía. – Ten człowiek nie jest mężczyzną”. Ale ona nie zaniechała czujności, dopóki nie skończyła się nauka i Włoch nie wyjechał z Macondo. Wtedy zaczęły się przygotowania do balu. Urszula sporządziła listę zaproszonych, składającą się wyłącznie z potomków założycieli miasta, z wyjątkiem rodziny Pilar Ternery, która tymczasem urodziła już dwoje nowych dzieci z nieznanych ojców. Była to więc istotnie selekcja klasowa, tyle że kierowana uczuciami przyjaźni, ponieważ wybrańcy należeli do najdawniejszych przyjaciół domu Buendíów, jeszcze sprzed wędrówki zakończonej założeniem Macondo, ich synowie i wnuki zaś byli stałymi towarzyszami Aureliana i Arcadia od dzieciństwa, a córki jedynymi dziewczętami, które przychodziły tu haftować razem z Rebeką i Amarantą. Don Apolinar Moscote, dobrotliwy przedstawiciel rządu, którego działalność ograniczała się do utrzymywania, z własnych skromnych środków, dwóch policjantów uzbrojonych w pałki, był właściwie władzą nominalną. Aby ulżyć wydatkom domowym, jego córki otworzyły rodzaj pracowni, gdzie wyrabiały zarówno kwiaty z filcu, jak i słodycze z guawy, a prócz tego pisały na zamówienie liściki miłosne. Ale chociaż skromne i usłużne, najładniejsze w miasteczku i najzręczniejsze w nowych tańcach, nie dostąpiły zaszczytu zaproszenia na zabawę.

Podczas gdy Urszula i dziewczęta rozpakowywały meble, czyściły porcelanę i zawieszały obrazy dziewic w łodziach pełnych róż, ozdabiając nagie ściany zbudowane przez murarzy, José Arcadio Buendía zrezygnował z uchwycenia obrazu Boga, przekonany o jego nieistnieniu, i wypatroszył pianolę, żeby przeniknąć jej tajemną magię. Na dwa dni przed balem, grzęznąc w potopie kołeczków i młoteczków, których stale było za dużo, szamocąc się w plątaninie strun, które rozwijał z jednego końca, a one same zwijały się na nowo z drugiego, zdołał jakoś sklecić całość z powrotem. Nigdy nie było w tym domu tyle nerwowego podniecenia i bieganiny, co przez ten czas, ale mimo wszystko nowe lampy naftowe zapaliły się w przewidywanym dniu i o oznaczonej godzinie. Otwarto dom, jeszcze pachnący żywicą i wilgotnym wapnem; synowie i wnuki założycieli obejrzeli galerię z paprociami i begoniami, zaciszne pokoje i ogród przesycony zapachem róż, po czym zgromadzili się w salonie pod nieznaną machiną nakrytą białym prześcieradłem. Ci, co znali fortepian, popularny w innych osiedlach na moczarach, czuli się trochę rozczarowani, lecz o ileż boleśniejsze było rozczarowanie Urszuli, gdy założyła pierwszy zwój papieru – żeby Amaranta i Rebeka mogły otworzyć bal – i okazało się, że mechanizm nie działa. Melquíades, już prawie niewidomy, rozsypujący się ze starości, odwołał się do swej najdawniejszej wiedzy, próbując go naprawić. W końcu José Arcadio Buendía poruszył niechcący jakiś zacięty tryb i popłynęła muzyka, najpierw jakby bulgocący strumyczek, potem jak bijące źródło nieskoordynowanych dźwięków. Nie trafiając w bezładnie założone i źle dostrojone struny, młoteczki oszalały. Mimo to nieulękli potomkowie dwudziestu jeden bohaterów, którzy przeszli sierrę w poszukiwaniu morza na zachodzie, drwili sobie z zasadzek muzycznego pandemonium i tańce trwały aż do świtu.

Pietro Crespi przyjechał znowu, żeby złożyć pianolę. Rebeka i Amaranta pomogły mu uporządkować struny i śmiały się razem z nim z przemieszanych nut walców. Nastrój był tak przyjacielski i naturalny, że Urszula zrezygnowała z pilnowania młodych. W przeddzień wyjazdu Pietra zaimprowizowano na jego pożegnanie zabawę, z naprawioną już pianolą. Pietro i Rebeka dali mistrzowski pokaz nowoczesnych tańców. Arcadio i Amaranta dorównywali im wdziękiem i zwinnością. Ale widowisko zostało przerwane, gdy Pilar Ternera, stojąca w gromadzie gapiów przy

drzwiach, pobiła się z kobietą, która pozwoliła sobie na uwagę, że młody Arcadio ma damskie pośladki. Koło północy Pietro Crespi pożegnał się sentymentalnym króciutkim przemówieniem i przyrzekł niedługo powrócić. Rebeka odprowadziła go do drzwi, a po zamknięciu domu i zgaszeniu lamp poszła płakać do swego pokoju. Był to niepocieszony, rozpaczliwy szloch, trwający kilka dni, a jego przyczyny nie dowiedziała się nawet Amaranta. Ta skrytość nie miała w sobie nic niezwykłego. Na zewnątrz ekspansywna i serdeczna, Rebeka miała charakter samotnika i serce nieprzeniknione. Była pięknie zbudowaną dziewczyną, wysoką i o mocnych kościach, lecz dotychczas nie chciała się rozstać ze swoim fotelikiem na biegunach, z którym przybyła do domu, wielekroć już naprawianym i z połamanymi poręczami. Nikt nigdy nie odkrył, że jeszcze w tym wieku zachowała zwyczaj ssania palca. Dlatego to przy każdej okazji zamykała się w łazience i nauczyła się spać z twarzą odwróconą do ściany. Podczas deszczowych popołudni, haftując w towarzystwie przyjaciółek na ganku z begoniami, często gubiła się w rozmowie i łza tęsknoty kręciła się w jej oku na widok podkopów wilgotnej ziemi i wzgórków zbudowanych przez dżdżownice w ogrodzie. Te skryte upodobania, zwyciężone ongiś przez pomarańcze z rabarbarem, powróciły z niepohamowaną siłą w okresie rozpaczy. Znowu zaczęła jeść ziemię. Pierwszy raz zrobiła to raczej przez ciekawość, przekonana, że obrzydliwy smak będzie najlepszym lekarstwem na pokusę. Istotnie nie mogła znieść smaku ziemi w ustach. Ale próbowała znowu pod wpływem wzrastającego niepokoju i z wolna odzyskała apetyty przodków, umiłowanie pierwotnych minerałów i nieskrępowaną satysfakcję pożywienia z przedhistorycznej epoki. Wrzucała garście ziemi do kieszeni, żeby potem żuć ją ziarnko po ziarnku, tak by nikt nie zauważył, z mieszanym uczuciem błogości i furii, w tym samym czasie, gdy uczyła swoje przyjaciółki najtrudniejszych ściegów lub rozmawiała z innymi mężczyznami, którzy nie zasługiwali na to, by dla nich jeść wapno ze ścian. Garście ziemi przybliżały ją w pewien sposób do tego jedynego mężczyzny zasługującego na takie poniżenie, tak jakby ziemia, po której on stąpał w swoich wykwintnych lakierkach w innym miejscu świata, przekazywała jej jego ciężar i ciepło w tym smaku minerałów, który zostawiał gorycz w ustach i zapewniał spokój w sercu. Pewnego popołudnia, ni stąd, ni zowąd, przyszła Amparo Moscote, pytając, czy może obejrzeć nowy dom. Amaranta i Rebeka zaskoczone nieprzewidzianą wizytą przyjęły ją nader

oficjalnie. Pokazywały jej przebudowane wnętrza, pozwoliły posłuchać muzyki z pianoli i poczęstowały oranżadą z ciasteczkami. Amparo dała im prawdziwą lekcję godności, uroku osobistego i dobrych manier, które zachwyciły Urszulę w ciągu tych kilku chwil, kiedy asystowała przy wizycie. Po dwóch godzinach, gdy rozmowa zaczynała się już rwać, Amparo skorzystała z nieuwagi Amaranty i wręczyła Rebece list. Ta zdążyła odczytać nazwisko wielce szanownej panny Rebeki Buendíi, skreślone tym samym starannym pismem, tym samym zielonym atramentem i z takim samym wyszukanym rozmieszczeniem słów, z jakim pisane były instrukcje dotyczące użytkowania pianoli, prędziutko złożyła list w kilkoro i schowała go za stanik, patrząc na Amparo Moscote z wyrazem bezgranicznej wdzięczności i milczącej przysięgi wspólnictwa aż do śmierci.

Nagła przyjaźń Amparo Moscote i Rebeki Buendíi rozbudziła nadzieje Aureliana. Wspomnienie małej Remedios nie przestawało go dręczyć, ale nie miał okazji jej widywać. Spacerując po ulicach w towarzystwie swych najlepszych przyjaciół – Magnifica Visbala i Gerinelda Marqueza, synów założycieli miasta o tych samych nazwiskach – szukał jej tęsknym wzrokiem w pracowni krawieckiej, ale widział tylko jej starsze siostry. Obecność Amparo Moscote w jego domu była jakby wróżbą. „Musi kiedyś przyjść z nią razem – mówił sobie Aureliano po cichu. – Musi przyjść”. Tyle razy to powtarzał i z takim przekonaniem, że pewnego popołudnia, kiedy wyrabiał w swoim warsztacie złotą rybkę, uczuł nagle pewność, że Remedios odpowiedziała na jego wezwanie. Trochę później rzeczywiście usłyszał dziecięcy głosik i podniósłszy wzrok, ze zlodowaciałym ze strachu sercem, zobaczył w drzwiach dziewczynkę w różowej organdynowej sukience i białych pantofelkach.

– Nie wchodź tam, Remedios – powiedziała Amparo Moscote z ganku. – Tam się pracuje.

Ale Aureliano nie dał jej czasu usłuchać. Podniósł pozłacaną rybkę na łańcuszku wychodzącym z jej pyszczka i powiedział:

– Wejdź.

Remedios zbliżyła się i zaczęła pytać, co to za rybka, lecz Aureliano nie mógł odpowiedzieć, bo głos uwiązł mu w gardle. Chciał patrzeć do końca

życia na tę białą jak lilia skórę i szmaragdowe oczy, słyszeć ten głos, który po każdym pytaniu mówił „proszę pana” z takim samym szacunkiem, z jakim on mówił do swego ojca. Melquíades, siedząc w kącie przy biurku, gryzmolił swoje tajemnicze znaki. Aureliano znienawidził go nagle. Nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko powiedzieć dziewczynce, że podaruje jej rybkę, ale mała tak się przestraszyła tej obietnicy, że czym prędzej uciekła. Tego popołudnia Aureliano stracił całą skrytą cierpliwość, z jaką dotychczas czekał na okazję zobaczenia jej. Zaniedbał się w pracy. Wzywał ją wiele razy w desperackim wysiłku skupienia myśli, ale Remedios nie odpowiedziała. Szukał jej w pracowni sióstr, zaglądał przez szpary żaluzji do jej domu, do biura jej ojca, ale znajdował ją tylko w tym obrazie, który wytworzyła jego własna straszliwa samotność. Spędzał całe godziny z Rebeką w salonie, słuchając walców pianoli. Ona ich słuchała, bo przy tej muzyce Pietro Crespi kiedyś uczył ją tańczyć. Aureliano słuchał po prostu dlatego, że wszystko, nawet muzyka, przypominało mu Remedios.

Dom wypełniła miłość. Aureliano wyrażał ją w wierszach, które nigdy nie miały ani początku, ani końca. Pisał je na chropowatych pergaminach podarowanych mu przez Melquiadesa, na ścianach łazienki, na skórze swoich rąk, i wszędzie ukazywała się przeistoczona Remedios: Remedios w sennym powietrzu godzin sjesty, Remedios w milczącym oddechu róż, Remedios w tajemnym korowodzie nocnych motyli, Remedios w zapachu chleba o świcie, Remedios wszędzie i Remedios na zawsze. Rebeka oczekiwała na miłość, o czwartej po południu haftując przy oknie. Wiedziała, że muł pocztowy przybywa co dwa tygodnie, ale ona oczekiwała go przez cały czas, przekonana, że zjawi się przez pomyłkę jakiegokolwiek innego dnia. Stało się coś wręcz przeciwnego – kiedyś muł nie przybył przewidzianego dnia. Oszalała z rozpaczy Rebeka wstała o północy i jadła garście ziemi z ogrodu z samobójczą żarłocznością, płacząc z bólu i wściekłości, żując młode dżdżownice i raniąc sobie dziąsła skorupkami ślimaków. Wymiotowała aż do wschodu słońca. Pogrążona w stanie gorączkowej prostracji, straciła przytomność, a serce jej otworzyło się w bezwstydnym szale. Zgorszona Urszula podważyła zamek w skrzyni i na jej dnie znalazła szesnaście pachnących listów przewiązanych różową wstążeczką, zeschłe liście i płatki kwiatów przechowywane w starych

książkach, i zasuszone motyle, które przy dotknięciu rozsypywały się na proszek.

Tylko Aureliano zdolny był zrozumieć tak ogromną rozpacz. Tego popołudnia, podczas gdy Urszula usiłowała wywieść Rebekę z mroków obłędu, wybrał się do sklepiku Catarina. Razem z nim poszli do Magnifica Visbala i Gerinelda Marqueza. Zakład rozszerzono i dobudowano amfiladę drewnianych izdebek, w których mieszkały samotne kobiety pachnące zwiędłymi liśćmi. Zespół złożony z gitary i perkusistów wykonywał piosenki Francisca el Hombre, który już od paru lat nie pokazał się w Macondo. Trzej przyjaciele popijali guarapo. Magnifico i Gerineldo, rówieśnicy Aureliana, ale bardziej doświadczeni w sprawach tego świata, pili z kobietami, które siedziały im na kolanach. Jedna z nich, przywiędła i ze złotymi zębami, pogładziła Aureliana pieszczotliwie. Odtrącił ją. Zauważył, że im więcej pije, tym wyraźniej przypomina sobie Remedios, lecz tym lepiej znosi torturę tych wspomnień. Sam nie wiedział, w którym momencie zaczął jakby szybować w powietrzu. Zobaczył swoich przyjaciół i kobiety żeglujące w smudze światła, bez ważkości i objętości, wymieniające słowa, które nie wychodziły z ich ust, dające tajemnicze znaki, których sens nie odpowiadał ich gestom. Catarino położył mu rękę na plecach i powiedział: „Zaraz wybije jedenasta”, Aureliano odwrócił głowę i zobaczył olbrzymią zniekształconą twarz, tak jak w tamtych czasach zapomnienia, i odzyskał ją jakiegoś innego ranka w pokoju, który był mu zupełnie obcy i gdzie znajdowała się Pilar Ternera w halce, bosa, rozczochrana, oświetlająca pokój latarnią, osłupiała i niedowierzająca własnym oczom.

– Aureliano!

Aureliano stanął pewniej na nogach i podniósł głowę. Nie wiedział, jak dotarł do tego miejsca, wiedział jednak w jakim celu, ponieważ od dzieciństwa cel ten tkwił ukryty w nienaruszalnym zakamarku jego serca.

– Przyszedłem się z panią przespać – powiedział.

Ubranie miał oblepione błotem i wymiotami. Pilar Ternera, która w owym czasie mieszkała tylko z dwojgiem najmłodszych dzieci, nie zadała mu ani jednego pytania. Zaprowadziła go do łóżka. Obmyła mu twarz mokrą szmatą, zdjęła z niego ubranie, a potem sama rozebrała się do

naga i zasunęła moskitierę, żeby nie widziały ich dzieci, gdy się przebudzą. Znużyło ją już oczekiwanie na mężczyznę, który pozostał, na mężczyzn, którzy odeszli, na niezliczonych mężczyzn, którzy zgubili drogę do jej domu, zmyleni niepewnością kart. W oczekiwaniu pomarszczyła się jej skóra, zwiędły piersi i wygasł żar serca. Poszukała Aureliana w ciemności, położyła mu rękę na brzuchu i pocałowała go w szyję z macierzyńską czułością. „Moje biedne dzieciątko” – szepnęła. Aureliano się wzdrygnął. Ze spokojem, bez najmniejszego potknięcia, zostawił za sobą ostre skały bólu i odnalazł Remedios zamienioną w bezkresne trzęsawisko, pachnącą dymem i świeżo uprasowaną bielizną. Kiedy oprzytomniał, zapłakał. Początkowo był to szloch mimowolny i urywany, potem popłynął niepohamowanym strumieniem, jak gdyby jakieś bolesne nabrzmienie rozdarło się w jego wnętrzu. Ona czekała, gładząc go po głowie, aż do chwili, gdy jego ciało uwolniło się od ciemnej zmory, która nie pozwalała mu żyć. Wówczas Pilar Ternera zapytała: „Kto to jest?”. Aureliano powiedział jej. Ona zaśmiała się tym śmiechem, który niegdyś płoszył gołębie, a teraz nawet nie budził jej dzieci. „Będziesz ją musiał prowadzić za rączkę” – zażartowała. Ale pod tym żartem Aureliano wyczuł spokojną przystań zrozumienia. Zanim wyszedł z jej domu, pozostawiając tam nie tylko zwątpienie w swą męskość, lecz także gorzki ciężar, który przez tyle miesięcy nosił w sercu, Pilar pożegnała go spontaniczną obietnicą:

– Porozmawiam z dziewczynką – powiedziała – i zobaczysz, że podam ci ją na półmisku.

Spełniła przyrzeczenie. Tyle że w bardzo złym momencie, gdyż dom utracił spokój dawnych dni. Odkrywszy namiętny afekt Rebeki, którego nie sposób było utrzymać w sekrecie z powodu jej krzyków, Amaranta dostała gorączki. Także i ona cierpiała na zadrę samotnej miłości. Zamknięta w łazience, dawała upust swoim uczuciom bez nadziei, pisząc rozgorączkowane listy, których jedynym przeznaczeniem było spocząć na dnie skrzyni. Urszula ledwie mogła nadążyć z obsłużeniem obu chorych. Nie udało jej się podczas długich i podstępnych przesłuchań odkryć przyczyny rozpaczy Amaranty. W końcu w jeszcze jednym momencie olśnienia podważyła zamek w skrzyni i znalazła listy związane różową wstążeczką, zawierające świeże płatki lilii, jeszcze wilgotne od łez, zaadresowane i nigdy niewysłane do Pietra Crespiego. Płacząc

z wściekłości, przeklinała godzinę, w której przyszło jej na myśl kupić pianolę, zabroniła lekcji haftu i zarządziła swego rodzaju żałobę bez nieboszczyka, która miała trwać do czasu, kiedy jej córki wyrzekną się swoich nadziei. Nie odniosła skutku interwencja Josego Arcadia Buendíi, który zmienił swoje pierwotne zdanie o Pietro Crespim i podziwiał jego talenty mechanika w dziedzinie maszyn muzycznych. Tak więc, kiedy Pilar Ternera powiedziała Aurelianowi, że Remedios zdecydowana jest wyjść za niego, biedak zrozumiał, że nowina ta dobije jego rodziców. Niemniej stawił czoło sytuacji. Wezwani do salonu na oficjalną rozmowę José Arcadio Buendía i Urszula, nie drgnąwszy, wysłuchali oświadczenia syna. Dowiedziawszy się, kto jest wybranką jego serca, José Arcadio Buendía poczerwieniał jednak z oburzenia. „Miłość to przekleństwo! – zagrzmiał. – Masz naokoło tyle ładnych i uczciwych dziewcząt, a zachciało ci się właśnie córki wroga”. Urszula natomiast zgadzała się z tym wyborem. Lubiła wszystkie siedem sióstr za ich urodę, pracowitość, skromność i dobre wychowanie i ucieszyła się decyzją swego syna. Zwyciężony entuzjazmem swojej małżonki, José Arcadio Buendía postawił wtedy jeden warunek: Rebeka, której miłość była odwzajemniona, wyjdzie za mąż za Pietra Crespiego. Urszula, gdy tylko pozwoli na to czas, wyjedzie z Amarantą w podróż do stolicy prowincji, aby kontakt z innymi ludźmi ukoił jej zawód. Rebeka na wieść o tym natychmiast odzyskała zdrowie, napisała do narzeczonego entuzjastyczny list, który dała do aprobaty rodzicom i wysłała tym razem pocztą, nie korzystając z niczyjego pośrednictwa. Amaranta udała, że zgadza się z tym postanowieniem, i powoli wyleczyła się z gorączki, ale przyrzekła sobie, iż Rebeka wyjdzie za mąż tylko po jej trupie.

Następnej soboty José Arcadio Buendía ubrał się w ciemny garnitur, kołnierzyk z celuloidu i zamszowe buty, które po raz pierwszy miał na sobie w dniu balu, i poszedł prosić o rękę Remedios Moscote. Corregidor i jego żona powitali go radośnie, lecz także z zakłopotaniem, gdyż nie znali celu niespodziewanej wizyty, a poznawszy go, myśleli, że pomylił imię wybranki. Żeby wyjaśnić pomyłkę, matka obudziła Remedios i przyniosła ją na rękach do salonu, jeszcze otumanioną snem. Spytano dziewczynkę, czy naprawdę chce wyjść za mąż, a ona, pochlipując, odpowiedziała, że chce tylko, żeby jej dali spać. José Arcadio Buendía, pojmując zmieszanie

państwa Moscote, poszedł wyjaśnić tę sprawę z Aurelianem. Małżonkowie Moscote tymczasem przebrali się w uroczysty strój, poprzestawiali meble, umieścili świeże kwiaty w wazonach i oczekiwali go w towarzystwie starszych córek. Zmęczony niezręczną sytuacją i niewygodnym twardym kołnierzykiem José Arcadio Buendía potwierdził, że wybranką jego syna istotnie jest Remedios. „To nie ma najmniejszego sensu – oświadczył skonsternowany don Apolinar Moscote. – Mamy jeszcze sześć córek, wszystkie niezamężne i w wieku odpowiednim do małżeństwa. Byłyby zachwycone, wychodząc za młodych ludzi poważnych i pracowitych, takich, jakim jest pański syn, a jemu wpadła w oko właśnie ta jedna, która jeszcze siusia do łóżka”. Jego żona, dobrze zakonserwowana kobieta o zmęczonych powiekach i zrezygnowanych gestach, skarciła go za grubiaństwo. Po zjedzeniu kremu owocowego zaakceptowano wybór Aureliana, z tym że pani Moscote prosiła tylko o rozmowę sam na sam z Urszulą. Zaintrygowana, protestując przeciwko mieszaniu jej w męskie sprawy, ale w rzeczywistości onieśmielona emocją, Urszula poszła odwiedzić ją nazajutrz. Pół godziny później wróciła z wiadomością, że Remedios jeszcze nie jest dojrzała. Aureliano nie uważał tego za poważną przeszkodę. Czekał tak długo, że mógł jeszcze zaczekać, aż narzeczona osiągnie dojrzałość.

Odzyskaną harmonię zmąciła śmierć Melquiadesa. Chociaż było to wydarzenie do przewidzenia, nie spodziewano się go w tych okolicznościach. Kilka miesięcy po powrocie Melquíades zaczął się starzeć w tak zastraszającym tempie, że uważano go za jednego z tych bezużytecznych pradziadków, którzy jak cienie krążą po sypialniach, powłócząc nogami, i wspominają dawne dobre czasy, staruszków, o których nikt się już nie troszczy i nawet o nich nie pamięta, aż do dnia, gdy rankiem znajdzie ich nieżywych w łóżkach. Z początku José Arcadio Buendía towarzyszył mu w jego zajęciach, rozentuzjazmowany nowością, jaką była dagerotypia i przepowiednie Nostradamusa. Z wolna jednak zaczął go pozostawiać jego własnej samotności, bo coraz trudniej było się z nim porozumieć. Tracił wzrok i słuch, tych, z którymi rozmawiał, mylił z ludźmi znanymi mu z odległych epok ludzkości i odpowiadał na pytania urywaną mieszaniną języków. Chodził, macając rękami powietrze, choć pomiędzy sprzętami poruszał się z niewytłumaczalną zręcznością, jakby był

obdarzony instynktem orientacji opartym na doznaniach bezpośrednich. Pewnego dnia zapomniał włożyć sztuczną szczękę, którą zostawiał na noc w szklance wody obok łóżka, i odtąd już jej nie używał. Kiedy powiększono dom, Urszula kazała dla niego zbudować specjalny pokój obok warsztatu Aureliana, daleko od hałasów i krzątaniny domowej, z jednym ogromnym oknem i półkami, na których sama ułożyła mu książki, niemal doszczętnie zjedzone przez mole, i papiery kruszące się w ręku i pokryte nieczytelnymi znakami; postawiła tam także szklankę ze sztuczną szczęką, w której zakiełkowały wodne roślinki z maleńkimi żółtymi kwiatkami. Nowe miejsce najwidoczniej spodobało się Melquiadesowi, bo przestano go widywać nawet w jadalni. Chodził tylko do warsztatu Aureliana, gdzie spędzał długie godziny, gryzmoląc swoją enigmatyczną literaturę na pergaminach, które zabierał z sobą, a które wydawały się zrobione z zeschłej materii, kruchej jak ciasto francuskie. Tam zjadał posiłki, które Visitación przynosiła mu dwa razy dziennie, ale w ostatnich czasach stracił apetyt i żywił się tylko jarzynami. Wkrótce przybrał ten mizerny, słabowity wygląd właściwy wegetarianom. Jego skóra pokryła się meszkiem podobnym do tego, który pojawiał się na staroświeckiej, nigdy niezdejmowanej kamizelce, a oddech stał się smrodliwy jak u śpiącego zwierzęcia. Aureliano w końcu zapomniał o nim pochłonięty układaniem swych wierszy, ale kiedyś wydało mu się, że coś rozumie z bełkotliwych monologów starca, i zaczął przysłuchiwać się uważniej. Jedynym, co mógł wyłowić z tej przemowy, podobnej dźwiękiem do toczących się kamieni, było trzykrotnie powtórzone słowo *equinox* i nazwisko Alexandra von Humboldta. Arcadio zdołał nawiązać z nim trochę bliższy kontakt, kiedy zaczął pomagać Aurelianowi w złotnictwie. Na wysiłek podjęty, aby się z nim porozumieć, Melquíades odpowiadał, rzucając od czasu do czasu zdania po hiszpańsku, nader luźno związane z rzeczywistością. Któregoś popołudnia jednakże jakby olśniło go nagłe wzruszenie. Wiele lat później, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, Arcadio miał sobie przypomnieć to drżenie, z jakim Melquíades odczytał mu kilka stronic nieprzeniknionych zapisków, których oczywiście nie zrozumiał, ale które, gdy je czytał głośno, brzmiały jak encykliki papieskie. Uśmiechnął się potem, po raz pierwszy od dłuższego czasu, i powiedział po hiszpańsku: „Gdy umrę, gotujcie rtęć w moim pokoju przez trzy dni”. Arcadio powtórzył to Josemu Arcadiowi Buendíi, a ten usiłował otrzymać od niego jakąś obszerniejszą informację,

lecz wszystkim, co uzyskał, była odpowiedź: „Osiągnąłem nieśmiertelność”. Kiedy oddech Melquiadesa zaczął cuchnąć, Arcadio prowadził go do kąpieli co czwartek rano. Zdrowie Melquiadesa jakby się polepszyło. Rozbierał się i wchodził do wody razem z chłopcami, a jego tajemniczy zmysł orientacji pozwalał mu omijać głębokie i niebezpieczne miejsca. „Wszyscy wyszliśmy z wody” – powiedział kiedyś. Tak minęło wiele czasu i nikt go nie widywał w domu, z wyjątkiem tego wieczoru, gdy dokonał wstrząsającego wysiłku, żeby naprawić pianolę, albo w te ranki, gdy szedł do rzeki razem z Aurelianem, niosąc pod pachą tykwę i kulę pachnącego mydła, zawiniętą w ręcznik. Pewnego czwartku, zanim zawołano go, by pójść nad rzekę, Aureliano usłyszał jego słowa: „Umarłem na febrę w rozlewiskach Singapuru”. Tego dnia wszedł do wody w niebezpiecznym miejscu; odnaleziono go dopiero następnego dnia, parę kilometrów dalej w dół rzeki, wyrzuconego na świetlistą łachę, z jednym samotnym sępem na brzuchu. Wbrew protestom wzburzonej Urszuli, która opłakiwała go z większym żalem niż własnego ojca, José Arcadio Buendía sprzeciwił się pochowaniu go w ziemi. „Jest nieśmiertelny – oświadczył – i sam nam podał formułkę wskrzeszenia”. Odnalazł zapomniany tygiel i napełnił go rtęcią, aby parowała obok trupa, który z wolna zaczynał pokrywać się niebieskimi pęcherzykami. Don Apolinar Moscote odważył się wspomnieć, że niepogrzebany topielec jest niebezpieczny dla zdrowia publicznego. „Nic podobnego, skoro on żyje”, brzmiała odpowiedź Josego Arcadia Buendíi, który zakończył siedemdziesięciodwugodzinne okadzanie rtęcią, dopiero gdy trup już zaczynał się rozkładać, wypełniając dom wonią zgnilizny; wtedy też dopiero pozwolił go pogrzebać, i to nie byle jak, lecz z honorami należnymi największemu dobroczyńcy Macondo. Był to pierwszy pogrzeb, jaki widziano w miasteczku, z największą liczbą uczestników, i dopiero w sto lat później jego splendor miał zostać przyćmiony przez karnawał pogrzebowy Mamy Grande. Pochowano Cygana w grobowcu wzniesionym pośrodku terytorium przeznaczonego na cmentarz, a na płycie grobowej wypisane zostało to wszystko, co o nim wiedziano: MELQUÍADES. Poświęcono mu dziewięć nocy żałobnego czuwania. W tłumie, który gromadził się na dziedzińcu, popijając kawę, opowiadając anegdotki albo grając w karty, Amaranta znalazła okazję, by wyznać swą miłość Pietrowi Crespiemu, od paru tygodni oficjalnie zaręczonemu z Rebeką. Pietro zakładał teraz w Macondo sklep

z instrumentami muzycznymi i nakręcanymi zabawkami, w tej samej dzielnicy, gdzie wegetowali jeszcze Arabowie, którzy niegdyś wymieniali świecidełka na papugi, znanej powszechnie pod nazwą ulicy Turków. Włoch, którego głowa okryta wypomadowanymi lokami wzbudzała w kobietach nieodpartą potrzebę westchnień, potraktował Amarantę jak rozkapryszoną dziewczynkę, na którą nie trzeba zwracać zbyt wielkiej uwagi.

– Mam młodszego brata – powiedział jej. – Wkrótce przyjedzie pomóc mi w sklepie.

Amaranta poczuła się upokorzona i z zapiekłą urazą powiedziała mu, że zdecydowana jest przeszkodzić zaślubinom siostry, choćby próg kościoła mieli przestąpić po jej własnym trupie. Ta dramatyczna groźba wywarła na Włochu tak wielkie wrażenie, że nie oparł się pokusie powtórzenia jej Rebece. Tak więc wyjazd Amaranty, ciągle odkładany ze względu na zajęcia Urszuli, został zorganizowany w ciągu niecałego tygodnia. Amaranta nie sprzeciwiała się, lecz całując Rebekę na pożegnanie, szepnęła jej do ucha:

– Nie rób sobie złudzeń. Mogą mnie wywieźć na koniec świata, a ja i tak znajdę sposób, żeby przeszkodzić twojemu małżeństwu, choćbym musiała cię zabić.

Nieobecność Urszuli i niewidzialna obecność Melquiadesa, który nadal krążył cicho po wszystkich pokojach, sprawiły, że dom nagle stał się ogromny i pusty, a Rebece powierzono obowiązki gospodarskie, podczas gdy Indianka przejęła przemysł cukierniczy Urszuli. Wieczorami, gdy przychodził Pietro Crespi, anonsowany z daleka orzeźwiającym zapachem lawendy i zawsze jakąś zabawką w prezencie, narzeczona przyjmowała go w dużym salonie, przy drzwiach i oknach otwartych, żeby nie narażać się na plotki. Była to zbędna ostrożność, gdyż Włoch okazywał tyle szacunku, że nawet nie dotknął ręki kobiety, która za parę miesięcy miała zostać jego żoną. Dom był pełen przemyślnych zabawek. Tancerki na linie, pozytywki, małpki akrobatki, galopujące konie, dobosze z bębnami, bogata i zadziwiająca fauna mechaniczna, którą przynosił Pietro Crespi, rozproszyły smutek Josego Arcadia Buendíi po śmierci Melquiadesa i przeniosły go znów w dawne czasy alchemii. Żył w raju rozbebeszonych zwierzątek i rozmontowanych mechanizmów, usiłując udoskonalić je

nowym systemem ruchu ciągłego, opartego na zasadach wahadła. Aureliano także zaniedbał warsztat, żeby nauczyć czytać i pisać małą Remedios. Z początku dziewczynka wolała swoje lalki od mężczyzny, który przychodził co dzień po południu i winien był temu, że odrywano ją od zabawy, żeby wykąpaną i starannie przebraną posadzić w salonie, gdzie miała przyjmować gości. Ale cierpliwość i oddanie Aureliana spodobały jej się w końcu i spędzała z nim wiele godzin, ucząc się liter i rysując w zeszycie kolorowymi ołówkami domy, zagrody pełne krów i okrągłe słońca z żółtymi promieniami, chowające się za góry.

Tylko Rebeka była nieszczęśliwa, rozmyślając nad pogróżkami Amaranty. Znała charakter swojej siostry, jej dumę, upór i zaciętość, i przerażała ją gwałtowność jej urazy. Całe godziny spędzała w łazience, ssąc palec i dokonując nadludzkich wysiłków woli, żeby nie jeść ziemi. Szukając jakiejś ulgi w swej rozterce, wezwała Pilar Ternerę, żeby poznać wróżby kart. Po kilku wstępnych i nic nieznaczących frazesach Pilar Ternera oświadczyła:

– Nie będziesz szczęśliwa tak długo, dopóki twoi rodzice nie zostaną pogrzebani.

Rebeka wzdrygnęła się. Jakby przypominając sobie dawny sen, zobaczyła siebie, małą dziewczynkę wchodzącą do tego domu z kuferkiem, fotelikiem na biegunach i workiem, którego zawartości nie znała. Przypomniała sobie łysego pana w lnianym garniturze, z kołnierzykiem u koszuli zapiętym na złoty guzik, który nie miał nic wspólnego z królem karowym z kart. Przypomniała sobie młodą i piękną kobietę o ciepłych, pachnących dłoniach, w niczym niepodobnych do artretycznych rąk treflowej damy. Pamiętała, że ta pani wpinała jej kwiaty we włosy, zabierając po południu na spacer po zielonych drogach wiejskich.

– Nie rozumiem – powiedziała.

Pilar Ternera wydawała się stropiona.

– Ja także nie rozumiem, ale to właśnie mówią karty.

Rebeka, zaniepokojona tą enigmatyczną wróżbą, zwierzyła się ojcu. José Arcadio Buendía zbeształ ją za to, że wierzy przepowiedniom z kart, ale podjął żmudny trud przetrząsania szaf i skrzyń, przesuwania mebli, przewracania do góry nogami łóżek w poszukiwaniu worka z kośćmi.

Przypomniał sobie, że nie widział go od czasu rozbudowy domu. W tajemnicy wezwał murarzy i jeden z nich wyznał, że w ścianie którejś z sypialni zamurował worek, żeby wreszcie przestał mu przeszkadzać w robocie. Po wielu dniach ostukiwania murów z uchem przyklejonym do ściany uchwycono znajomy głuchy grzechot. Przebito mury i znaleziono kości w nienaruszonym worku. Tego samego dnia pogrzebano je w grobie bez napisu, naprędce wykopanym obok grobowca Melquiadesa, i José Arcadio Buendía powrócił do domu wolny od ciężaru, który przez pewien czas ważył na jego sumieniu niemal tak jak wspomnienie Prudencia Aguilara. Przechodząc przez kuchnię, pocałował w czoło Rebekę.

– Wybij sobie złe myśli z głowy – powiedział jej. – Będziesz szczęśliwa.

Przyjaźń Rebeki otworzyła Pilar drzwi domu, zamknięte dla niej przez Urszulę od urodzenia Arcadia. Przychodziła teraz o różnych porach dnia, hałaśliwa jak stado kóz, wyładowując swoją gorączkową energię w najcięższych robotach. Czasami wchodziła do warsztatu i pomagała Arcadiowi utrwalać płytki dagerotypu ze zręcznością i delikatnością ruchów, które budziły zdumienie chłopca. Zadziwiała go ta kobieta. Blaski jej skóry, zapach dymu, jej niepohamowany śmiech w ciemnym pokoju rozpraszały jego uwagę tak, że mylił się w pracy.

Pewnego razu zamiast Arcadia był tam Aureliano, zajęty jakąś złotniczą robotą, i Pilar Ternera oparła się o stół, by podziwiać jego cierpliwą pracowitość. Nagle stało się. Aureliano sprawdził, że Arcadio znajduje się w ciemnym pokoju, zanim podniósł wzrok i napotkał oczy kobiety, której myśl była doskonale widzialna, jak w słońcu południa.

– No dobrze – powiedział Aureliano. – Powiedz, o co chodzi.

Pilar Ternera przygryzła usta i uśmiechnęła się smutnie.

– Dobry jesteś do wojny – powiedziała. – Gdzie rzucisz okiem, tam pada strzał.

Aureliano odetchnął z ulgą. Z powrotem skupił całą uwagę na swojej pracy, jakby nic się nie stało, i głos jego zabrzmiał spokojnie i stanowczo:

– Uznam go – powiedział – będzie nosił moje nazwisko.

José Arcadio Buendía osiągnął wreszcie to, czego szukał: podłączył do nakręcanej tancerki mechanizm zegarka i zabawka tańczyła w takt własnej

muzyki przez trzy dni bez przerwy. Ten wynalazek podniecił go o wiele bardziej niż którakolwiek z poprzednich niedorzecznych prób. Nie mógł jeść ani spać. Bez czujnej opieki i starań Urszuli dał się ponieść szaleństwom wyobraźni aż do stanu permanentnego obłędu, z którego nigdy już się nie wyleczył. Spędzał noce, krążąc po pokoju, myśląc głośno, szukając sposobu zastosowania zasady wahadła do wozu zaprzężonego w woły, do pługa, do wszystkich wprawianych w ruch narzędzi. Tak bardzo go zmęczyła gorączka bezsenności, że pewnego poranka nie mógł rozpoznać starca o białej głowie i niepewnych ruchach, który wszedł do jego pokoju. Był to Prudencio Aguilar. Kiedy w końcu go poznał, zdziwiony, że umarli także się starzeją, José Arcadio Buendía odczuł ból tęsknoty. „Prudencio – wykrzyknął – jak mogłeś przebyć tak daleką drogę!”. Po wielu latach śmierci tęsknota za żywymi jest tak intensywna, potrzeba towarzystwa tak paląca, tak przerażająca bliskość drugiej śmierci, istniejącej wewnątrz śmierci, że Prudencio Aguilar w końcu zaczął kochać najzacieklejszego ze swych wrogów. Od dawna już zapewne go szukał. Wypytywał o niego zmarłych z Riohacha, zmarłych, co przybywali z Valle de Upar i od strony bagnisk, ale nikt mu nie odpowiadał, bo Macondo było osadą nieznaną zmarłym aż do chwili, gdy przybył Melquíades i naznaczył je czarnym punkcikiem na zagmatwanych mapach śmierci. José Arcadio Buendía rozmawiał z Prudenciem aż do świtu. Parę godzin później, wyczerpany czuwaniem, wszedł do warsztatu Aureliana i zapytał: „Jaki mamy dzisiaj dzień?”. Aureliano odpowiedział mu, że wtorek. „Tak i mnie się wydawało – powiedział José Arcadio Buendía. – Ale nagle zorientowałem się, że to wciąż poniedziałek, jak wczoraj; popatrz na niebo, spójrz na ściany, na begonie. Dziś też jest poniedziałek”. Przyzwyczajony do jego dziwactw, Aureliano nie zwrócił na to uwagi. Następnego dnia, w środę, José Arcadio Buendía znowu wszedł do warsztatu. „To przerażające – powiedział – spójrz na powietrze, posłuchaj, jak dźwięczy słońce, tak samo jak wczoraj i przedwczoraj. Dziś też jest poniedziałek”. Tego wieczoru Pietro Crespi zastał go na ganku płaczącego niewdzięcznym płaczem starców; opłakiwał Prudencia Aguilara, Melquiadesa, rodziców Rebeki, własnego ojca i matkę, wszystkich, których mógł sobie przypomnieć i którzy byli wtedy osamotnieni w śmierci. Pietro podarował mu nakręcanego niedźwiadka, chodzącego na dwóch łapach po drucie, nie zdołał jednak uspokoić jego obsesji. Zapytał, co się stało z projektem,

o którym mówił mu kilka dni temu, dotyczącym skonstruowania maszyny wahadłowej umożliwiającej człowiekowi latanie w powietrzu, a on odpowiedział, że to niemożliwe, gdyż wahadło może unieść w powietrze wszystko oprócz samego siebie. W czwartek José Arcadio Buendía znowu zjawił się w warsztacie ze zbolałą twarzą. „Maszyna czasu się zepsuła – oświadczył, łkając – a Urszula i Amaranta są tak daleko!" Aureliano skarcił go łagodnie jak dziecko, a on słuchał potulnie. Spędził sześć godzin, oglądając dokładnie różne przedmioty, próbując znaleźć jakąś różnicę między ich wyglądem dzisiejszym i wczorajszym, jakąś zmianę, która świadczyłaby o biegu czasu. Całą noc przeleżał na łóżku, nie zmrużywszy oka, wzywając Prudencia Aguilara, Melquiadesa, wszystkich zmarłych, żeby przyszli podzielić jego troskę. Ale nikt nie przyszedł. W piątek rano wstał wcześniej od innych domowników, by w dalszym ciągu śledzić zmiany w przyrodzie, póki nie można było mieć najmniejszych wątpliwości, że nadal jest poniedziałek. Wtedy wyrwał futrynę z drzwi i z całą furią swojej niepospolitej siły zaczął niszczyć aparaty alchemiczne, gabinet dagerotypii, warsztat złotniczy, póki ich nie rozbił na proszek, krzycząc jak opętany w jakimś piskliwym i płynnym, ale zupełnie niezrozumiałym języku. Zamierzał rozprawić się z resztą domu, kiedy Aureliano wezwał na pomoc sąsiadów. Trzeba było dziesięciu mężczyzn, by go obalić, czternastu, żeby go związać, dwudziestu, żeby zaciągnąć do kasztana na dziedzińcu, gdzie pozostawiono go przywiązanego, szczekającego w obcym języku, toczącego zieloną pianę z ust. Kiedy przyjechała Urszula z Amarantą, nadal był przywiązany za ręce i nogi do pnia kasztana, przemoczony deszczem i w stanie zupełnej nieświadomości. Przemawiały do niego, ale ich nie poznał i odpowiedział coś niezrozumiałego. Urszula rozwiązała mu ręce i kostki u nóg, pokaleczone od ucisku lin, i pozostawiła przywiązanego do drzewa tylko w pasie. Później zbudowano daszek z liści palmowych, żeby go chronił przed słońcem i deszczem.

Aureliano Buendía i Remedios Moscote pobrali się w pewną marcową niedzielę, przed ołtarzem, który ojciec Nicanor Reyna kazał wznieść w salonie. Wydarzenie to nastąpiło po czterech tygodniach zamieszania w domu Moscote, gdyż mała Remedios osiągnęła dojrzałość, zanim wyzbyła się nawyków dzieciństwa. Jakkolwiek matka uprzedziła ją o zmianach, jakie dokonują się w organizmie w okresie dojrzewania, któregoś lutowego popołudnia dziewczynka z krzykiem przerażenia wpadła do salonu, gdzie były jej siostry. Don Apolinar Moscote wyprowadził ją czym prędzej z salonu, bo majtki miała uwalane brunatną mazią. Wyznaczono ślub za miesiąc. Ledwie starczyło czasu, żeby ją nauczyć samodzielnego mycia się i ubierania i wytłumaczyć najprostsze obowiązki domowe. Sadzano ją na gorących cegłach i kazano siusiać, żeby odzwyczaić ją od moczenia łóżka. Z wielkim trudem przekonano ją o nienaruszalności sekretu alkowy, gdyż Remedios była tak oszołomiona, a jednocześnie tak zachwycona nowością, że gotowa była wszystkim opowiadać szczegóły nocy poślubnej. Wiele wysiłku to kosztowało, ale w dniu przewidzianym na ceremonię zaślubin dziewczynka była tak wyszkolona w sprawach tego świata jak każda z jej sióstr. Don Apolinar poprowadził ją pod ramię ulicą przybraną w kwiaty i girlandy, pośród wystrzałów rakiet i przy dźwiękach muzyki kilku orkiestr, a panna młoda pozdrawiała dłonią i dziękowała uśmiechem tym wszystkim, którzy z okien życzyli jej szczęścia. Aureliano, ubrany w czarny garnitur, w tych samych lakierkach z metalowymi sprzączkami, które miał na sobie w niewiele lat później, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, był przeraźliwie blady i czuł, że ściska mu się gardło, kiedy z rąk ojca odbierał narzeczoną w drzwiach

domu i prowadził ją do ołtarza. Ona zaś zachowywała się z taką naturalnością i taktem, że nie straciła panowania nad sobą nawet wtedy, gdy Aureliano upuścił obrączkę, nakładając ją na palec oblubienicy. Wśród szeptów i zmieszania obecnych trzymała uniesioną dłoń w koronkowej mitence i pozostała tak z palcem serdecznym w pogotowiu do chwili, kiedy pan młody zdołał zatrzymać obrączkę nogą, żeby nie potoczyła się aż do drzwi, i wrócił zaczerwieniony do ołtarza. Jej matka i siostry cierpiały takie męki w obawie jakiejś gafy ze strony panny młodej podczas ceremonii, że w końcu same popełniły nietakt, podnosząc dziewczynkę do góry, by ją ucałować. Od tego dnia ujawniło się poczucie odpowiedzialności, naturalny wdzięk i spokojna pewność siebie, które zawsze miała zachować Remedios w obliczu przeciwności losu. Ona to z własnej inicjatywy odłożyła najlepszy kawałek odkrojony z tortu weselnego i zaniosła na talerzu razem z widelcem Josemu Arcadiowi Buendíi. Przywiązany do pnia kasztana, skurczony na drewnianej ławeczce pod daszkiem z liści palmowych, olbrzymi starzec, wynędzniały od słońca i deszczu, posłał jej nikły uśmiech wdzięczności i zjadł tort palcami, bełkocąc jakiś niezrozumiały psalm. Jedyną nieszczęśliwą osobą w radosnym gwarze uroczystości, ciągnącej się aż do poniedziałkowego świtu, była Rebeka Buendía. To miała być jej uroczystość. Za zgodą Urszuli jej ślub miał się odbyć tego samego dnia, ale Pietro Crespi otrzymał w piątek list z zawiadomieniem o śmiertelnej chorobie matki. Ślub odroczono. Pietro Crespi wyjechał do stolicy prowincji w godzinę po otrzymaniu listu i w drodze rozminął się z matką, która przybyła punktualnie w sobotę wieczorem i śpiewała na ślubie Aureliana smutną arię przygotowaną dla syna. Pietro Crespi wrócił dopiero w niedzielę po północy, aby pozamiatać śmieci po zabawie, chociaż w drodze powrotnej zajeździł na śmierć pięć koni, żeby zdążyć na własny ślub. Nigdy nie zdołano dociec, kto napisał ten list. Indagowana przez Urszulę Amaranta rozpłakała się z oburzenia i przysięgła swoją niewinność przed ołtarzem, którego stolarze nie zdążyli jeszcze rozmontować.

Ojciec Nicanor Reyna, którego don Apolinar Moscote sprowadził z moczarów w celu udzielenia ślubu młodej parze, był starcem zahartowanym niewdzięcznością swego zawodu. Miał zwiędłą skórę, kości prawie bez ciała, ale brzuch wydatny i zaokrąglony i wyraz twarzy postarzałego anioła, w którym więcej było naiwności niż dobroci. Po ślubie

zamierzał wrócić zaraz do swojej parafii, ale przestraszył się bezbożności mieszkańców Macondo, którzy żyli pośród zgorszenia, poddani prawu natury, nie chrzcząc dzieci i nie uświęcając związków małżeńskich. W przekonaniu, że żadnej ziemi ziarno boże nie jest tak potrzebne jak tej, postanowił zostać jeszcze tydzień, żeby ochrzcić obrzezanych i niewiernych, zalegalizować konkubinaty i udzielić sakramentów umierającym. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Odpowiadali mu, że przez długie lata żyli bez księdza, załatwiając sprawy duszy bezpośrednio z Bogiem, i grzech śmiertelny przestał być dla nich groźny. Zmęczony wołaniem na puszczy, ojciec Nicanor postanowił podjąć budowę największej w świecie świątyni z figurami świętych naturalnej wielkości, z barwnymi witrażami, żeby przybyli tu duchowni z Rzymu uczcić Boga w tym ośrodku bezbożności. Chodził wszędzie z drewnianym talerzykiem, prosząc o jałmużnę. Dawano mu dużo, ale on chciał jeszcze więcej, bo kościół powinien mieć dzwon, którego głos ratowałby tonących. Tyle prosił i perswadował, że wreszcie stracił głos. Wyglądał jak kościotrup. Nie zebrawszy nawet tyle, ile kosztowałyby wrota kościoła, pewnej soboty wpadł w rozpacz. Zaimprowizował ołtarz na placu i w niedzielę obiegł całe miasto z dzwoneczkiem, tak jak za czasów bezsenności, wzywając wiernych na mszę pod gołym niebem. Wielu przyszło przez ciekawość. Innych przygnała tu tęsknota, jeszcze inni przybyli z obawy, żeby Bóg nie potraktował pogardy dla swego funkcjonariusza jako afrontu personalnego. Tak więc o ósmej rano połowa ludności znalazła się na placu, gdzie ojciec Nicanor odśpiewał mszę błagalnym głosem. W końcu, kiedy uczestnicy zaczęli się rozchodzić, wzniósł ręce, prosząc o uwagę.

– Chwileczkę – powiedział – teraz będziecie świadkami niezbitego dowodu nieskończonej mocy Boga.

Chłopiec pełniący funkcję ministranta przyniósł filiżankę gęstej i parującej czekolady, którą on wypił jednym tchem. Potem wytarł usta chusteczką wyjętą z rękawa, rozpostarł ręce i zamknął oczy. I wtedy ojciec Nicanor wzniósł się dwanaście centymetrów nad ziemię. Był to środek skuteczny. Przez kilka dni krążył między domami, powtarzając próbę lewitacji z pomocą bodźca w postaci filiżanki czekolady, a tymczasem akolita zbierał pieniądze do torby i w niecały miesiąc zebrał ich tyle, że przystąpiono do budowy świątyni. Nikt nie kwestionował boskiego udziału

w tym widowisku. Tylko José Arcadio Buendía obojętnie obserwował tłum ludzi, który pewnego ranka zebrał się wokół kasztana, żeby jeszcze raz ujrzeć objawienie. Przeciągnął się nieznacznie na ławeczce i wzruszył ramionami, gdy ojciec Nicanor zaczął się unosić nad ziemią wraz z krzesłem, na którym siedział.

– *Hoc est simplicissimum* – powiedział José Arcadio Buendía. – *Homo iste statum quartum materiae invenit*.[3]

Ojciec Nicanor uniósł dłoń i cztery nogi krzesła stanęły na ziemi równocześnie.

– *Nego* – powiedział. – *Factum hoc existentiam Dei probat sine dubio*[4].

W taki sposób dowiedziano się, że diabelska mowa Josego Arcadia Buendíi jest łaciną.

Ojciec Nicanor był zatem jedyną osobą, która mogła się z nim porozumieć, i wykorzystał tę okoliczność, żeby zaszczepić wiarę w jego udręczonym umyśle. Każdego popołudnia siadywał pod kasztanem, przemawiając po łacinie, lecz José Arcadio Buendía uparcie nie chciał uznać wywodów retorycznych ani transmutacji za pomocą czekolady i żądał dagerotypu jako jedynego dowodu istnienia Boga. Ojciec Nicanor przynosił mu medaliki, obrazki, a nawet reprodukcję chusty św. Weroniki, ale José Arcadio Buendía odrzucał je jako przedmioty rękodzieła, bez podkładu naukowego. Tak był uparty, że ojciec Nicanor zrezygnował w końcu ze swoich misjonarskich zamiarów i odwiedzał go nadal już tylko ze względów humanitarnych. Ale wtedy José Arcadio Buendía sam przejął inicjatywę i próbował obalić wiarę księdza wywodami racjonalnymi. Któregoś popołudnia ojciec Nicanor przyniósł pod kasztan szachownicę i pudełko z pionkami, by zaprosić Josego Arcadia Buendíę na partię warcabów. Ten jednak odmówił, gdyż jak stwierdził, nigdy nie mógł pojąć sensu walki pomiędzy przeciwnikami, którzy zgadzają się co do zasad. Ojciec Nicanor nigdy nie traktował gry w warcaby w taki sposób i od tego czasu stracił do niej zapał. Coraz bardziej zdumiony jasnością umysłu Josego Arcadia Buendíi spytał, jak to jest możliwe, że trzymają go przywiązanego do drzewa.

– *Hoc est simplicissimum* – odpowiedział. – Dlatego, że jestem wariatem.

Od tej chwili, zaniepokojony o własną wiarę, ksiądz zaniechał odwiedzin i poświęcił się całkowicie przyspieszeniu budowy świątyni. Rebeka uczuła, że odżywa w niej nadzieja. Przyszłość jej zależała od zakończenia tej budowy; do tego wniosku doszła w pewną niedzielę, kiedy ojciec Nicanor był u nich na obiedzie i siedząc wokół stołu, rozmawiano o splendorze, jakiego nabiorą uroczystości religijne z chwilą zbudowania świątyni. „Najszczęśliwsza będzie Rebeka” – odezwała się Amaranta. A gdy Rebeka nie zrozumiała, co tamta chce powiedzieć, wytłumaczyła jej z niewinnym uśmiechem:

– Tobie przypadnie ten zaszczyt inauguracji kościoła, kiedy będziesz brała ślub.

Rebeka uprzedziła wszelkie komentarze, mówiąc, że przy tym tempie budowy świątynia nie będzie gotowa wcześniej niż za dziesięć lat. Ojciec Nicanor był innego zdania: wzrastająca hojność wiernych pozwalała na bardziej optymistyczne przewidywania. Wobec milczącego oburzenia Rebeki, która nie mogła skończyć obiadu, Urszula poparła pomysł Amaranty i przyczyniła się hojnym datkiem do przyspieszenia robót. Ojciec Nicanor uważał, że jeszcze jedna taka pomoc, a świątynia będzie zbudowana w trzy lata. Od tej chwili Rebeka nie odezwała się już nigdy do Amaranty, przekonana, że jej inicjatywa nie była tak niewinna, jak by się to wydawało z pozoru. „To było najmniej, co mogłam zrobić – odpowiedziała jej Amaranta podczas gwałtownej sprzeczki, do jakiej doszło między nimi tej samej nocy. – W ten sposób nie będę musiała cię zabijać przez najbliższe trzy lata”. Rebeka przyjęła wyzwanie.

Kiedy Pietro Crespi dowiedział się o tym nowym odroczeniu, przeżył gorzkie męki rozczarowania, ale Rebeka dała mu dowód absolutnej lojalności. „Uciekniemy, kiedy tylko zechcesz” – powiedziała. Pietro Crespi nie był jednakże człowiekiem wielkich przygód. Nie miał gwałtownego charakteru swojej narzeczonej i poszanowanie dla danego słowa uważał za wartość, której nie można trwonić. Wtedy to Rebeka odwołała się do śmielszych metod. Tajemniczy wiatr gasił lampy w salonie i Urszula przyłapywała narzeczonych całujących się w ciemnościach. Pietro Crespi podejmował zawiłe tłumaczenia na temat złej jakości nowoczesnych lamp

smołowych i nawet pomagał w zainstalowaniu pewniejszego systemu oświetlenia w salonie. Ale następnym razem zawodziło paliwo lub zatapiały się knoty i Urszula zastawała Rebekę na kolanach narzeczonego. W końcu nie przyjmowała żadnych wymówek, powierzyła Indiance piekarnię i wyroby cukiernicze, a sama zasiadła w fotelu, pilnując narzeczonych, zdecydowana nie dać się wywieść w pole sztuczkami, które były już stare za czasów jej młodości. „Biedna mama – mówiła Rebeka z ironicznym oburzeniem, widząc Urszulę ziewającą podczas tych usypiających wizyt. – Po śmierci będzie pokutować na tym fotelu". Po trzech miesiącach amorów pod strażą, zniechęcony powolnością budowy, której postępy chodził sprawdzać codziennie, Pietro Crespi zdecydował się dać ojcu Nicanorowi pieniądze brakujące do ukończenia kościoła. Amaranta nie załamała się. Podczas gawęd z przyjaciółkami, które przychodziły każdego popołudnia haftować lub robić na drutach w galerii, obmyślała nowe przeszkody. Pewien błąd w obliczeniach sprawił, że zawiodło coś, na co najbardziej liczyła: wyjęcie kulek naftaliny, które Rebeka włożyła do swojej ślubnej sukni przechowywanej w komodzie sypialni. Zrobiła to na dwa miesiące przed ukończeniem budowy kościoła, ale Rebeka tak była podniecona bliskością ślubu, że chciała przygotować strój weselny wcześniej, niż to przewidziała Amaranta. Otworzywszy komodę i odwinąwszy papiery, a potem płótno ochronne, zobaczyła atłas sukni, welon, a nawet wianuszek z kwiatów pomarańczowych zżarte przez mole. Chociaż była pewna, że włożyła do papierów dwie garście kulek naftaliny, nieszczęście wydawało się tak przypadkowe, że nie ośmieliła się oskarżyć Amaranty. Pozostawał niecały miesiąc do ślubu, ale Amparo Moscote podjęła się uszyć nową suknię w ciągu tygodnia. Amaranta omal nie zemdlała tego deszczowego popołudnia, kiedy Amparo weszła do domu otoczona chmurą koronek, by zrobić Rebece ostatnią przymiarkę. Straciła głos i smużka lodowatego potu spłynęła jej po kręgosłupie. Długie miesiące drżała ze strachu w oczekiwaniu tej godziny, wiedząc, że jeśli nie wymyśli jakiejś zasadniczej przeszkody, to w ostatniej chwili, kiedy zawiodą już wszystkie inne środki, będzie miała odwagę otruć siostrę. Tego popołudnia, podczas gdy Rebeka dusiła się z gorąca w atłasowym pancerzu, który Amparo Moscote z pomocą tysiąca szpilek i nieskończonej cierpliwości upinała na jej ciele, Amaranta pomyliła kilka razy ścieg szydełkowy i zakłuła się igłą

w palec, ale zdecydowała ze straszliwym chłodem serca, że dniem będzie ostatni piątek przed ślubem, a trucizną łyk opium w kawie.

Przeszkoda, równie nieoczekiwana, jak nieodwracalna, przyniosła nową zwłokę na czas nieokreślony. Na tydzień przed ustalonym dniem uroczystości mała Remedios obudziła się o północy w kałuży ciepłego płynu, który trysnął z jej wnętrzności jak rozdzierający gejzer, i umarła w trzy dni później, zatruta własną krwią, z parą martwych bliźniaków w brzuchu. Amarantę opadły straszliwe wyrzuty sumienia. Tak żarliwie błagała Boga, żeby się stało coś okropnego, że poczuła się winna śmierci Remedios. Nie była to ta przeszkoda, o którą tak błagała. Remedios wniosła do domu powiew radości. Zainstalowała się z mężem w sypialni, tuż obok warsztatu, i udekorowała ją lalkami i zabawkami swego niedawnego dzieciństwa, a jej wesoła żywotność rozsadzała cztery ściany sypialni i przelatywała jak huragan zdrowia przez galerię z begoniami. Śpiewała od samego świtu. Była jedyną istotą, która odważała się pośredniczyć w sporach między Rebeką a Amarantą. Wzięła na siebie ciężar obsługiwania Josego Arcadia Buendíi. Zanosiła mu posiłki, pomagała mu w załatwianiu potrzeb codziennych, myła go mydłem i szmatą, iskała wszy i gnidy z jego włosów i brody, utrzymywała w dobrym stanie daszek z liści palmowych i wzmacniała go nieprzemakalnymi płachtami w okresie burz. W ostatnich miesiącach potrafiła nawet porozumiewać się z nim prymitywną łaciną. Gdy urodził się syn Aureliana i Pilar Ternery, przyniesiony od razu do domu i ochrzczony podczas intymnej uroczystości imionami Aureliano José, Remedios zdecydowała, że należy traktować go jak jej najstarszego syna. Jej instynkt macierzyński zadziwił Urszulę. Aureliano ze swej strony znalazł w niej to usprawiedliwienie, które potrzebne mu było do życia. Pracował całymi dniami w warsztacie, a Remedios przynosiła mu w południe kubek kawy bez cukru. Oboje odwiedzali co wieczór państwa Moscote. Aureliano rozgrywał z teściem niekończące się partie warcabów, a Remedios gawędziła z siostrami albo zasięgała rad matki w sprawach ludzi dorosłych. Więzy z rodziną Buendíów umocniły w miasteczku autorytet don Apolinara Moscote. W częstych podróżach do stolicy prowincji uzyskał fundusz rządowy na budowę szkoły, żeby mógł się w niej uczyć Arcadio, który odziedziczył zamiłowanie dydaktyczne swego dziadka. Drogą perswazji skłonił większość ludzi do

pomalowania domów na niebiesko z okazji święta niepodległości narodowej. Ulegając żądaniom ojca Nicanora, kazał przenieść sklepik Catarina na odludną ulicę i zamknął kilka domów rozpusty, które prosperowały w samym sercu miasta. Kiedyś powrócił z sześcioma policjantami uzbrojonymi w strzelby, nakazując im utrzymywać porządek, i nikt już nie pamiętał dawnego układu wykluczającego obecność uzbrojonych ludzi w mieście. Aureliano zadowolony był z działalności swego teścia. „Będziesz taki gruby jak on” – mówili mu przyjaciele. Ale siedzący tryb życia, który zaokrąglił jego twarz i dodał blasku oczom, nie zwiększył wagi jego ciała ani nie zmienił charakteru, przeciwnie, utrwalił w linii jego ust wyraz samotnej medytacji i nieugiętej siły woli. I on, i jego żona cieszyli się tak serdecznym przywiązaniem obydwóch rodzin, że kiedy Remedios oznajmiła, że spodziewa się dziecka, nawet Rebeka i Amaranta zawiesiły broń, postanawiając zrobić szydełkiem wyprawkę z wełny w kolorze niebieskim, gdyby urodził się chłopiec, i różowym na wypadek, gdyby przyszła na świat dziewczynka. Remedios była ostatnią osobą, o której pomyślał Arcadio parę lat później przed plutonem egzekucyjnym.

Urszula zarządziła żałobę, nakazując zamknięcie wszystkich drzwi i okien domu i zezwalając wyjść do miasta tylko w sprawach najważniejszych; zabroniła mówić głośno przez rok i dagerotyp Remedios z ukośną czarną wstęgą i oliwną wieczną lampką umieściła w miejscu, gdzie czuwano przy jej zwłokach. Przyszłe pokolenia, które nigdy nie pozwoliły zagasnąć tej lampce, czuły się zawsze trochę zaskoczone widokiem tej dziewczynki w plisowanych spódniczkach, białych bucikach, z organdynową kokardą we włosach, tak bardzo niezgodnym z klasycznym obrazem prababki. Amaranta zaopiekowała się Aurelianem José i zaadoptowała go jak syna, który miał dzielić jej samotność i ulżyć wyrzutom sumienia dręczącym ją po śmierci Remedios. Pietro Crespi przychodził o zmierzchu, stąpając cicho na palcach, z czarną wstążką na kapeluszu, i składał milczącą wizytę Rebece, bladej, bezkrwistej w swej czarnej sukni z długimi rękawami. Sama myśl o naznaczeniu nowej daty ślubu byłaby taką profanacją, że narzeczeństwo zmieniło się w jakiś związek wieczysty, zmęczoną miłość, o którą nikt już nie dbał, jakby narzeczeni, którzy niegdyś umyślnie psuli lampy, żeby się całować,

porzuceni zostali na pastwę kaprysom śmierci. Straciwszy cel, doszczętnie załamana Rebeka znowu zaczęła jeść ziemię.

Nagle, kiedy żałoba trwała już tak długo, że wznowiono seanse haftu krzyżykami, pewnego popołudnia, o drugiej, w śmiertelnej ciszy godzin największego upału, ktoś pchnął drzwi od ulicy z taką siłą, że zadrżały fundamenty domu, i Rebeka ssąca palec w sypialni, i Amaranta, i jej przyjaciółki haftujące na ganku, Urszula w kuchni, Aureliano w swoim warsztacie, a nawet José Arcadio Buendía pod samotnym kasztanem doznali wrażenia, że dom się wali na skutek trzęsienia ziemi. Ujrzeli olbrzymiego mężczyznę, którego kwadratowe plecy ledwie mieściły się w drzwiach. Miał medalik z wizerunkiem Najświętszej Panny zawieszony na bawolej szyi, ramiona i pierś pokryte misternym tatuażem i miedzianą bransoletę na prawej ręce. Skórę miał spaloną słońcem i wiatrem, włosy krótkie i sztywne jak grzywa muła, żelazne szczęki i smutne spojrzenie. Talię ściskał mu pas dwa razy grubszy niż popręg konia, buty były wysokie, z ostrogami i podkutymi obcasami. Jego widok budził grozę i przywodził na myśl trzęsienie ziemi. Przeszedł przez salon i przyległy salonik z obszarpaną sakwą w ręku i ukazał się niby groźny olbrzym z baśni na ganku z begoniami, gdzie Amaranta i jej przyjaciółki siedziały jak sparaliżowane z igłami w powietrzu. „Cześć” – powiedział im zmęczonym głosem, rzucił sakwę na stół z robótkami i poszedł w głąb domu. „Cześć” – powiedział przestraszonej Rebece, przechodząc przez jej sypialnię. „Cześć” – powiedział Aurelianowi, który wytężając swój szósty zmysł, czekał przy stole złotniczym. Nie zatrzymał się przy nikim, poszedł prosto do kuchni i tu przystanął po raz pierwszy, u kresu podróży, która rozpoczęła się na przeciwległym końcu świata. „Cześć” – powiedział. Urszula przez ułamek sekundy stała z otwartymi ustami, patrząc mu w oczy, potem krzyknęła i rzuciła mu się na szyję, krzycząc i płacząc ze szczęścia. Był to José Arcadio. Wracał równie biedny, jak odszedł, do tego stopnia, że Urszula musiała dać mu dwa pesos na opłacenie wynajętego konia. Jego hiszpańszczyzna pomieszana była z jakimś dziwnym żargonem marynarskim. Pytano go, gdzie był, i odpowiedział: „Tam”. Zawiesił hamak w pokoju, który mu przeznaczono, i przespał trzy doby. Kiedy obudził się i zjadł szesnaście surowych jajek, poszedł prosto do sklepiku Catarina, gdzie jego monumentalne kształty wzbudziły popłoch i zaciekawienie

kobiet. Zażądał muzyki i gorzałki dla wszystkich na swój rachunek. Mocował się na ręce z pięcioma mężczyznami jednocześnie. „To niemożliwe” – mówili, przekonawszy się, że nie są w stanie nawet ruszyć jego ramienia. „To dlatego, że ma amulet w ręku”. Catarino, który nie wierzył w takie próby sił, założył się o dwanaście pesos, że José Arcadio nie poruszy lady. Ale on szarpnął tylko, uniósł ladę nad głową i wystawił na ulicę. Trzeba było jedenastu mężczyzn, żeby wnieść ją z powrotem do środka. W szale zabawy wystawił na pokaz publiczny swoją monstrualną męskość, z wytatuowaną niebiesko-czerwoną dżunglą napisów w kilku językach. Kobiety, które obległy go natarczywie, pytał, która zapłaci najwięcej. Najbardziej zasobna skłonna była dać mu dwadzieścia pesos. Wtedy on obniżył cenę do dziesięciu i zaproponował losowanie. Była to suma niebotyczna, bo najwyżej ceniona kobieta zarabiała osiem pesos przez całą noc, ale wszystkie wyraziły zgodę. Napisały swoje imiona na czternastu karteczkach, które włożono do kapelusza, i każda z kobiet wyciągnęła jedną. Kiedy zostały w kapeluszu ostatnie dwie kartki, ustalono, do kogo należały.

– Jeszcze po pięć pesos od każdej – zaproponował José Arcadio – i podzielę się między obie.

Z tego żył. Sześćdziesiąt pięć razy objechał dookoła świat z załogą marynarzy bez ojczyzny. Kobiety, które przespały się z nim tej nocy w sklepiku Catarina, zaprowadziły go nagiego do sali tanecznej, żeby wszyscy zobaczyli, że na jego ciele nie ma ani milimetra skóry bez tatuażu czy to z przodu, czy z tyłu, od szyi aż do palców u nóg. Nie mógł zżyć się na nowo z rodziną. Spał przez cały dzień, a noce spędzał w dzielnicy domów publicznych, urządzając popisy siły. Przy nielicznych okazjach, kiedy Urszuli udało się go posadzić przy rodzinnym stole, promieniował życzliwością, zwłaszcza gdy opowiadał o swoich przygodach w dalekich krajach. Przeżył katastrofę okrętu i dwa tygodnie dryfował po Morzu Japońskim, żywiąc się mięsem swego towarzysza, który zmarł na udar słoneczny i którego mięso, solone i konserwowane w soli, pieczone na słońcu było ziarniste i miało słodkawy smak. Kiedyś, w słoneczne popołudnie w Zatoce Bengalskiej, marynarze z jego statku pokonali smoka morskiego, w którego brzuchu znaleziono hełm, ostrogi i broń krzyżowca. Na Morzu Karaibskim widział zjawę okrętu korsarskiego Viktora Huguesa

z ożaglowaniem poszarpanym wiatrami śmierci i masztami zżartymi przez żuki morskie, zagubionego po wsze czasy w drodze na Gwadelupę. Urszula płakała przy stole, tak jakby czytała listy, które nigdy nie przyszły, a w których José Arcadio opisywał swoje niepowodzenia i przygody. „A tutaj taki wielki dom, synku – szlochała – i tyle jedzenia wyrzuconego świniom”. Ale w głębi ducha nie mogła pojąć, że chłopak, którego zabrali Cyganie, jest tym samym olbrzymem, który zjadał teraz pół prosiaka na obiad i od jego wiatrów więdły kwiaty. Podobnie było z resztą rodziny. Amaranta nie mogła ukryć wstrętu, jaki ogarniał ją przy stole na odgłos jego zwierzęcej czkawki. Arcadio, który nie znał sekretu swego pochodzenia, zaledwie odpowiadał na pytania zadawane mu w wyraźnym celu pozyskania jego uczuć. Aureliano próbował wskrzesić dawne dni, kiedy sypiali we wspólnym pokoju, przywrócić braterską zażyłość z czasów dzieciństwa, ale w pamięci Josego Arcadia nie było już na to miejsca, bo życie na morzu obciążyło ją zbyt wieloma innymi wspomnieniami. Tylko Rebeka uległa przy pierwszym ataku. Tego popołudnia, gdy ujrzała go przechodzącego przez sypialnię, pomyślała, że Pietro Crespi wygląda jak wymoczek przy tym stuprocentowym samcu, którego wulkaniczny oddech słychać było w całym domu. Szukała jego bliskości pod każdym pretekstem. Kiedyś José Arcadio, mierząc ją od stóp do głowy bezczelnym spojrzeniem, powiedział: „Kawał kobiety z ciebie, siostrzyczko”. Rebeka przestała panować nad sobą. Jadła ziemię i wapno ze ścian z chciwością dawnych czasów i ssała palec tak żarłocznie, że zrobił jej się odcisk na kciuku. Wymiotowała jakimś zielonym płynem ze zdechłymi pijawkami. Spędzała noce bezsennie, trzęsąc się w gorączce, walcząc z obłędem, czekając, aż zadrży dom od kroków Josego Arcadia wracającego o świcie. Pewnego popołudnia, kiedy wszyscy spali po obiedzie, nie mogła się już dłużej opierać i poszła do jego sypialni. Nie spał i leżał w kalesonach, rozciągnięty w hamaku przywiązanym do haków linami okrętowymi. Jego olbrzymie nagie ciało zdobne w kolorowe rysunki i napisy tak ją przeraziło, że chciała się wycofać. „Przepraszam – powiedziała – nie wiedziałam, że tu jesteś”. Ale zniżyła głos, żeby nikogo nie obudzić. „Chodź tutaj” – powiedział. Rebeka posłuchała. Zatrzymała się obok hamaka oblana lodowatym potem, czując, jak jej kiszki skręcają się w węzły, kiedy José Arcadio głaskał ją po kostkach u nóg, a potem przesuwał palce wzdłuż łydek i ud, mrucząc: „Aj, siostrzyczko, aj, siostrzyczko”. Musiała dokonać

nadludzkiego wysiłku, żeby nie paść trupem, kiedy jakaś huraganowa siła uniosła ją w pasie, pogwałciła jej intymność i poćwiartowała jak ptaka. Zdążyła jeszcze podziękować Bogu za to, że się urodziła, nim zatraciła świadomość w niepojętej rozkoszy i nieznośnym bólu, grzęznąc w dymiącym bagnisku hamaka, który wchłonął jak bibuła eksplozję jej krwi.

W trzy dni później wzięli ślub podczas popołudniowej mszy. W przeddzień uroczystości José Arcadio poszedł do sklepu Pietra Crespiego. Zastał go udzielającego lekcji gry na lutni i przystąpił do rzeczy natychmiast, nie odwołując go na bok. „Żenię się z Rebeką” – powiedział mu.

Pietro Crespi zbladł, wręczył lutnię jednemu ze swych uczniów i oznajmił, że lekcja na dzisiaj skończona. Kiedy zostali sami w przeładowanym salonie, pełnym instrumentów muzycznych i nakręcanych zabawek, Pietro Crespi powiedział:

– To pańska siostra.

– Nic mi to nie przeszkadza – odpowiedział José Arcadio.

Pietro Crespi wytarł czoło chustką przesyconą zapachem lawendy.

– To coś przeciwnego naturze – tłumaczył – a poza tym prawo tego zabrania.

José Arcadio zniecierpliwił się nie tyle argumentacją, co bladością Pietra Crespiego.

– Sram na naturę – oświadczył. – I przychodzę o tym zakomunikować, żeby oszczędzić panu fatygi chodzenia i pytania o cokolwiek Rebeki.

Ale jego brutalność załamała się, gdy zobaczył, że Pietrowi Crespiemu wilgotnieją oczy.

– No cóż – powiedział już innym tonem. – Jeżeli zagustował pan w tej rodzinie, to została jeszcze Amaranta.

Ojciec Nicanor ogłosił na niedzielnym kazaniu, że José Arcadio i Rebeka nie są rodzeństwem. Urszula nigdy nie przebaczyła czegoś, co uznała za niewybaczalną hańbę dla rodziny, i kiedy nowożeńcy wrócili z kościoła, zabroniła im przekroczyć próg swojego domu. Dla niej jak gdyby umarli. Wynajęli więc domek naprzeciw cmentarza i sprowadzili się

tam bez żadnych mebli prócz hamaka Josego Arcadia. W noc poślubną Rebekę ugryzł w stopę skorpion, który wlazł do jej pantofla. Zdrętwiał jej język, ale to nie zmąciło ich budzącego powszechne zgorszenie miodowego miesiąca. Sąsiadów przerażały krzyki, które budziły całą dzielnicę co najmniej osiem razy w ciągu nocy i trzy podczas sjesty, i modlili się, żeby tak niepohamowana namiętność nie zakłóciła spokoju zmarłych.

Z całej rodziny zatroszczył się o nich tylko Aureliano. Kupił im trochę mebli i dostarczył pieniędzy, dopóki José Arcadio nie odzyskał poczucia rzeczywistości i nie zaczął uprawiać bezpańskiego pola za domem. Amaranta natomiast nigdy nie zdołała przezwyciężyć swojej urazy do Rebeki, chociaż życie ofiarowało jej satysfakcję, o jakiej nie marzyła: z inicjatywy Urszuli, która nie wiedziała, jak zmazać hańbę rodzinną, Pietro Crespi nadal przychodził do nich we wtorki na obiady, znosząc swoją klęskę ze spokojną godnością. Zachował czarną wstążkę na kapeluszu, na znak szacunku dla rodziny, i okazywał swoje przywiązanie do Urszuli, przynosząc jej egzotyczne podarunki: sardynki portugalskie, marmoladę z tureckich róż, a kiedyś przepiękną mantylę z Manili. Amaranta traktowała go z serdeczną troskliwością. Odgadywała jego życzenia, odcinała mu zwisające nitki u mankietów koszuli i wyhaftowała tuzin chusteczek z jego inicjałami jako podarunek urodzinowy. We wtorki po obiedzie, kiedy haftowała na ganku z begoniami, Pietro Crespi dotrzymywał jej towarzystwa. Amaranta, którą on zawsze traktował jak dziecko, nagle objawiła mu się jako kobieta. Brakowało jej wdzięku, ale miała wyjątkową subtelność i przenikliwość spojrzenia na sprawy tego świata i skrywała w sobie niewypowiedzianą tkliwość. W pewien wtorek, kiedy już nikt nie wątpił, że później lub wcześniej musi się to stać, Pietro Crespi poprosił ją, by została jego żoną. Amaranta nie przerwała roboty. Poczekała, aż przejdzie gorący rumieniec sięgający po czubki jej uszu, a głos przybierze spokojną dojrzałość.

– Oczywiście, Crespi – powiedziała – ale kiedy się lepiej poznamy. Niedobrze jest przyspieszać bieg rzeczy.

Urszula oburzyła się. Pomimo szacunku, jakim darzyła Pietra Crespiego, nie udawało jej się ustalić, czy jego decyzja jest dobra, czy zła z moralnego punktu widzenia po długim i głośnym narzeczeństwie z Rebeką. W końcu przyjęła to jako fakt moralnie obojętny, ponieważ nikt nie podzielał jej

wątpliwości. Aureliano, który był głową rodziny, stropił ją do reszty swoją enigmatyczną i kategoryczną opinią:

– Nie czas teraz myśleć o małżeństwach.

Opinia ta, którą Urszula zrozumiała dopiero wiele miesięcy później, była jedyną szczerą, jaką mógł wyrazić Aureliano w tamtej chwili nie tylko na temat małżeństwa, ale i każdej innej sprawy, oprócz wojny. On sam przed plutonem egzekucyjnym nie mógł dobrze zrozumieć, jaki łańcuch połączył serię drobnych, ale nieodwołalnych przypadków, które doprowadziły go do tego punktu. Śmierć Remedios nie wstrząsnęła nim tak, jak się obawiał. Było to raczej uczucie głuchej furii, które stopniowo słabło, aż przerodziło się w samotne i bierne poczucie klęski, zawód podobny do tego, jaki przeżywał w czasie, gdy pogodził się z myślą o życiu bez kobiety. Znowu pogrążył się w pracy, ale zachował zwyczaj grania w warcaby ze swoim teściem. W dotkniętym żałobą domu nocne rozmowy zacieśniały więź przyjaźni między dwoma mężczyznami. „Ożeń się drugi raz, Aurelito – powtarzał jego teść. – Mam jeszcze sześć córek do wydania". Pewnego dnia, przed wyborami, don Apolinar Moscote wrócił z jednej ze swych częstych podróży zaniepokojony sytuacją polityczną kraju. Liberałowie byli zdecydowani wszcząć wojnę. Ponieważ Aureliano w tym okresie miał nader niejasne wyobrażenie o różnicy między konserwatystami a liberałami, teść udzielał mu elementarnych lekcji. „Liberałowie – tłumaczył mu – są masonami, ludźmi złych zasad, żądają wieszania księży, wprowadzenia ślubów cywilnych i rozwodów, zrównania praw dla dzieci legalnie i nielegalnie urodzonych, podziału kraju według systemu federalnego, który pozbawi najwyższą władzę siły. Konserwatyści natomiast, którzy otrzymali władzę bezpośrednio od Boga, głosili stałość porządku publicznego i moralność w życiu rodzinnym, bronili wiary w Chrystusa, zasad władzy i nie zamierzali dopuścić do rozbicia kraju na jednostki autonomiczne". Ze względów humanitarnych Aureliano sympatyzował z postawą liberałów, popierając żądanie równości praw dla dzieci naturalnych, w żaden sposób jednak nie rozumiał, jak można dojść do takiej ostateczności jak wojna z powodu rzeczy, których nie można dotknąć ręką. Wydawało mu się przesadą ze strony teścia to, że do miasteczka, które nie znało namiętności politycznych, kazał wysłać sześciu uzbrojonych w karabiny żołnierzy pod wodzą sierżanta. Ci jednak nie tylko

przybyli, lecz krążyli z domu do domu, konfiskując broń myśliwską, maczety, a nawet noże kuchenne, zanim rozdali mężczyznom powyżej dwudziestu jeden lat niebieskie kartki z nazwiskami kandydatów konserwatystów i czerwone z nazwiskami kandydatów liberalnych. W przeddzień wyborów don Apolinar Moscote publicznie odczytał obwieszczenie, które na czterdzieści osiem godzin, począwszy od północy w sobotę, zabraniało sprzedaży napojów alkoholowych oraz zebrań gromadzących więcej niż trzy niespokrewnione z sobą osoby. Wybory przebiegły bez incydentów. O ósmej rano w niedzielę zainstalowano na placu drewnianą urnę, której strzegło sześciu żołnierzy. Głosowano z całkowitą swobodą, jak to mógł sprawdzić sam Aureliano, który wraz ze swoim teściem prawie cały dzień pilnował, żeby nikt nie głosował więcej niż jeden raz. O czwartej po południu bicie dzwonów na placu oznajmiło koniec dnia wyborczego i don Apolinar Moscote zapieczętował urnę dwoma skrzyżowanymi paskami papieru z własnym podpisem. Wieczorem, grając w warcaby z Aurelianem, kazał sierżantowi zerwać nalepki i przeliczyć głosy. Liczba kartek czerwonych i niebieskich była niemal równa, ale sierżant zostawił tylko dziesięć kartek czerwonych i uzupełnił różnicę niebieskimi. Później zapieczętowano urnę z powrotem nowymi nalepkami i następnego ranka zawieziono do stolicy prowincji.

– Liberałowie zaczną wojnę – powiedział Aureliano.

Don Apolinar nie przerywał gry w warcaby.

– Jeżeli to mówisz z powodu zamiany kartek, to nie zaczną – odrzekł. – Zostawia się parę kartek czerwonych, żeby nie było reklamacji.

Aureliano zrozumiał niekorzystną sytuację opozycji.

– Gdybym ja był liberałem wypowiedziałbym wojnę z powodu tych kartek.

Teść spojrzał na niego ponad oprawką okularów.

– Słuchaj, Aurelito – powiedział – gdybyś ty był liberałem, nie zobaczyłbyś zamiany kartek, chociaż jesteś moim zięciem.

Tym, co rzeczywiście wywołało oburzenie ludności, był nie rezultat wyborów, lecz fakt, że żołnierze nie zwrócili broni. Grupa kobiet zgłosiła się do Aureliana, żeby uzyskał u swego teścia nakaz zwrotu noży kuchennych. Don Apolinar Moscote wytłumaczył mu w ścisłym zaufaniu,

że żołnierze zabrali skonfiskowaną broń jako dowód, że liberałowie szykują się do wojny. Cynizm tego wyznania przeraził Aureliana. Nic na to nie powiedział, ale pewnego wieczoru, kiedy Gerineldo Márquez i Magnifico Visbal, rozmawiając z innymi przyjaciółmi o incydencie z nożami, zapytali go, czy jest liberałem, czy też konserwatystą, Aureliano nie zawahał się:

– Jeżeli już trzeba kimś być, będę liberałem – powiedział. – Bo konserwatyści to oszuści.

Nazajutrz, na żądanie przyjaciół, poszedł do doktora Aliria Noguera z prośbą o poradę na rzekomy ból wątroby. Nie wiedział nawet, jaki był cel tej intrygi. Doktor Alirio Noguera przybył do Macondo kilka lat temu z walizeczką pigułek bez smaku i maksymą medyczną, która nikomu nie przypadła do gustu: klin klinem. Rzeczywiście było to oszustwo. Pod niewinną maską niedocenianego lekarza ukrywał się terrorysta, który butami sięgającymi do pół łydki zasłaniał blizny po kajdanach, noszonych przez pięć lat. Schwytany podczas pierwszej rebelii federalistów zdołał uciec na Curaçao przebrany w strój, którego nienawidził najbardziej na świecie: sutannę. Pod koniec długiego wygnania, zachęcony nowinami, które przywozili na Curaçao wygnańcy z całego regionu karaibskiego, wsiadł na szkuner przemytników i pewnego dnia pojawił się w Riohacha z flakonami pigułek spreparowanych z rafinowanego cukru i dyplomem uniwersytetu w Lipsku, który sam sfałszował. Rozczarowanie było okrutne. Ruch federalny, o którym zbiegowie mówili jak o loncie zapalnym gotowym do wybuchu, rozpłynął się w niejasnej nadziei na wybory. Rozgoryczony klęską, w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby spokojnie czekać starości, fałszywy homeopata schronił się w Macondo. W ciasnej, wypełnionej pustymi buteleczkami izdebce wynajętej na rynku spędził kilka lat wśród nieuleczalnie chorych, którzy po wypróbowaniu wszystkiego szukali pociechy w pigułkach z cukru. Jego instynkty agitatora pozostawały uśpione, dopóki don Apolinar Moscote był władzą tylko formalną. Czas mijał mu na wspomnieniach i walce z własną astmą. Bliskość wyborów była tą nitką, która pozwoliła mu znowu dojść do wywrotowego kłębka. Nawiązał kontakt z młodymi ludźmi, którzy nie mieli wyrobienia politycznego, i pogrążył się w tajnej kampanii opozycyjnej. Liczne czerwone kartki, znajdujące się w urnie i przypisane przez don Apolinara Moscote właściwemu młodzieży duchowi przekory,

były częścią jego planu: zmusił swoich uczniów do głosowania, żeby ich przekonać, że wybory to tylko farsa. „Jedynym środkiem skutecznym – mówił – jest przemoc”. Większość przyjaciół Aureliana z zachwytem przyjmowała ideę zlikwidowania porządku konserwatystów, ale nikt nie odważył się wtajemniczyć go w te plany nie tylko z powodu więzów łączących go z corregidorem, ale ze względu na jego charakter marzyciela i odludka. Wiedziano poza tym, że głosował na konserwatystów z polecenia teścia. Toteż tylko prosty przypadek ujawnił jego uczucia polityczne i tylko ciekawość skłoniła go do wizyty u lekarza i leczenia się z nieistniejącej choroby. W norze cuchnącej pajęczyną i kamforą zobaczył coś na kształt zakurzonej iguany, której płuca gwizdały przy oddechu. Nim zadał jakiekolwiek pytanie, doktor zaprowadził go do okna i obejrzał mu wewnętrzną stronę dolnej powieki. „To nie tam” – powiedział Aureliano, tak jak mu polecono. Namacał wątrobę końcami palców i dodał: „Stąd promieniuje ból, który nie pozwala mi spać”. Wtedy doktor Noguera zamknął okno pod pretekstem zbyt mocnego słońca i wytłumaczył mu w prostych słowach, dlaczego mordowanie konserwatystów jest obowiązkiem patriotycznym. Przez kilka dni Aureliano nosił przy sobie w kieszeni koszuli buteleczkę. Wyciągał ją co dwie godziny, kładł trzy pastyleczki na dłoni i wrzucał do ust, żeby rozpuściły się powoli. Don Apolinar Moscote wyśmiał jego wiarę w homeopatię, ale spiskowcy rozpoznawali w nim jeszcze jednego ze swoich. W spisku uczestniczyli prawie wszyscy synowie założycieli miasta, chociaż żaden z nich nie wiedział, na czym polega akcja, którą sami przygotowują. Jednakże tego dnia, kiedy lekarz wyjawił mu sekret, Aureliano odmówił przystąpienia do konspiracji. Jakkolwiek był wówczas przekonany o potrzebie zlikwidowania reżimu konserwatystów, plan wzbudził w nim zgrozę. Doktor Noguera w skrytości ducha był zwolennikiem porachunków osobistych. Jego system sprowadzał się do skoordynowania serii akcji indywidualnych, które mistrzowskim ciosem o zasięgu ogólnokrajowym zlikwidowałyby wszystkich funkcjonariuszy reżimu razem z rodzinami, a zwłaszcza dzieci, by zniszczyć konserwatyzm w zarodku. Don Apolinar Moscote, jego żona i sześć córek naturalnie znajdowali się na liście.

– Pan nie jest żadnym liberałem – spokojnie powiedział mu Aureliano. – Pan jest zwykłym rzeźnikiem.

– W takim razie – odpowiedział doktor z tym samym spokojem – oddaj mi buteleczkę. Już jej nie potrzebujesz.

Dopiero w sześć miesięcy później Aureliano dowiedział się, że doktor odsunął go od akcji jako człowieka sentymentalnego, bez przyszłości, z charakterem biernym i skłonnościami do indywidualizmu. Próbowano go śledzić w obawie, że wyda spisek. Aureliano uspokoił ich: nie piśnie ani słowa, ale tej nocy, kiedy pójdą mordować rodzinę Moscote, zastaną go na straży przy drzwiach, których progu zabroni im przestąpić. Wydawał się tak zdecydowany i mówił tak przekonująco, że plan przełożono na nieokreślony termin. W tych to dniach właśnie Urszula zapytała go, co myśli o małżeństwie Pietra Crespiego i Amaranty, a on odpowiedział, że nie czas teraz o tym myśleć. Od tygodnia nosił pod koszulą staroświecki pistolet. Pilnował swoich przyjaciół. Po południu chodził na kawę do José Arcadia i Rebeki, którzy zaczynali urządzać swój dom, a od siódmej grywał w warcaby z teściem. Przy obiedzie rozmawiał z Arcadiem, który był już wspaniale rozwiniętym wyrostkiem i wydawał się coraz bardziej podniecony bliskością wojny. W szkole, gdzie chłopcy starsi od niego uczyli się razem z dziećmi, które dopiero zaczynały mówić, zaraził się gorączką liberalną. Mówiono, że trzeba rozstrzelać ojca Nicanora, przerobić kościół na szkołę, wprowadzić wolną miłość. Aureliano starał się hamować te młodzieńcze zapały. Zalecał mu dyskrecję i ostrożność. Głuchy na jego spokojne rozumowanie, na jego poczucie rzeczywistości, Arcadio publicznie zarzucił mu słabość charakteru. Aureliano czekał cierpliwie. Wreszcie któregoś dnia, w początkach grudnia, Urszula wpadła wzburzona do warsztatu.

– Wybuchła wojna!

Stało się to już przed trzema miesiącami. Stan wyjątkowy panował w całym kraju. Jedynym, który o tym wiedział od początku, był don Apolinar Moscote, ale wiadomością tą nie podzielił się nawet ze swoją żoną, póki nie przybył oddział wojska, żeby zająć miasteczko przez zaskoczenie. Weszli bez hałasu, przed świtem, z dwoma działami lekkiej artylerii ciągnionymi przez muły, i ustanowili kwaterę w szkole. Wprowadzono godzinę policyjną od szóstej po południu. Dokonano rewizji bardziej jeszcze drastycznej niż poprzednia, chodząc od domu do domu, i tym razem zabrano nawet narzędzia rolnicze. Doktor Noguera został siłą

wywleczony z mieszkania, przywiązano go do drzewa na placu i rozstrzelano bez sądu. Ojciec Nicanor próbował wpłynąć na władzę wojskową cudem lewitacji, ale jeden z żołnierzy uderzeniem kolby ściągnął go z powrotem na ziemię. Egzaltacja liberalna zmieniła się w cichy terror. Aureliano, blady, zamknięty w sobie, nadal grał w warcaby z teściem. Rozumiał, że wbrew swemu obecnemu tytułowi szefa cywilnego i komendanta placu don Apolinar Moscote nadal sprawuje władzę tylko fikcyjną. Decyzję podejmował kapitan, który co rano ściągał dodatkowy haracz na obronę porządku publicznego. Któregoś dnia czterej żołnierze na jego rozkaz wywlekli z domu rodzinnego kobietę, ugryzioną przez wściekłego psa, i zatłukli ją ciosami kolby na środku ulicy. Pewnej niedzieli, w dwa tygodnie po zajęciu miasta, Aureliano poszedł do domu Gerinelda Marqueza i ze zwykłą sobie powściągliwością poprosił o kubek kawy bez cukru. Kiedy obaj zostali sami w kuchni, Aureliano przemówił z autorytetem, którego nigdy dotychczas nie słyszano w jego głosie:

– Przygotuj chłopców – powiedział. – Idziemy na wojnę.

Gerineldo Márquez nie uwierzył mu.

– Skąd weźmiemy broń? – zapytał.

– Ich własną – odpowiedział Aureliano.

We wtorek o północy, w absurdalnej operacji, dwudziestu ludzi, którzy nie skończyli jeszcze trzydziestu lat, uzbrojonych w noże kuchenne i ostre narzędzia, pod dowództwem Aureliana Buendíi, zaskoczyło oddział żołnierzy, zawładnęło bronią i rozstrzelało na dziedzińcu szkoły kapitana i tych czterech żołnierzy, którzy zamordowali kobietę.

Tej samej nocy, podczas gdy słychać było strzały plutonu egzekucyjnego, Arcadio został mianowany szefem cywilnym i wojskowym miasta. Ci spośród zbuntowanych, którzy byli żonaci, ledwie mieli czas pożegnać swoje żony, pozostawione własnemu losowi. Wyszli o świcie, żegnani przez ludność wyzwoloną spod terroru, by połączyć się z oddziałami generała rewolucjonisty nazwiskiem Victorio Medina, który według ostatnich wieści szedł w kierunku Manaure. Przed wyruszeniem w drogę Aureliano wyciągnął z szafy don Apolinara Moscote.

– Bądź pan spokojny, teściu – powiedział. – Nowy rząd gwarantuje pod słowem honoru osobiste bezpieczeństwo panu i pańskiej rodzinie.

W tym spiskowcu w wysokich butach i z przewieszoną przez ramię strzelbą don Apolinar Moscote z trudem rozpoznał człowieka, z którym tego samego dnia jeszcze grał w warcaby aż do dziewiątej wieczór.

– Ależ to absurd, Aurelito – wykrzyknął.

– Żaden absurd – powiedział Aureliano. – To jest wojna. I proszę nie nazywać mnie Aurelito, bo jestem teraz pułkownikiem Aurelianem Buendíą.

Pułkownik Aureliano Buendía zorganizował trzydzieści dwa zbrojne powstania i wszystkie przegrał. Miał siedemnastu synów z siedemnastoma kobietami i wszyscy, jeden po drugim, zginęli w ciągu jednej nocy, zanim najstarszy z nich skończył trzydzieści pięć lat. Wyszedł cało z czternastu zamachów, siedemdziesięciu trzech zasadzek i sprzed wycelowanych w niego karabinów plutonu egzekucyjnego. Wyżył po dawce strychniny podanej mu w kawie, wystarczającej do zabicia konia. Odmówił przyjęcia Orderu Zasługi, przyznanego mu przez prezydenta Republiki. Został głównodowodzącym sił rewolucyjnych, z władzą prawodawczą i wojskową sięgającą od granicy do granicy. Był człowiekiem, którego najbardziej ze wszystkich lękał się rząd, ale nigdy nie dał się sfotografować. Odrzucił dożywotnią rentę ofiarowaną mu po wojnie i do późnej starości utrzymywał się ze sprzedaży złotych rybek, które wyrabiał w swoim warsztacie w Macondo. Chociaż zawsze bił się w pierwszym szeregu, jedyną otrzymaną ranę zadał sobie sam po podpisaniu kapitulacji w Neerlandii, która zakończyła dwadzieścia bez mała lat wojen domowych. Strzelił sobie w pierś z pistoletu, a kula wyszła plecami, nie naruszając żadnego z ważniejszych organów. Jedynym, co z tego wszystkiego pozostało, była ulica w Macondo, nazwana jego imieniem. Niemniej, jak oświadczył na kilka lat przed śmiercią ze starości, nawet tego nie oczekiwał owego ranka, gdy o świcie wyruszał ze swym oddziałem w liczbie dwudziestu jeden ludzi, żeby połączyć się z siłami generała Victoria Mediny.

– Zostawiamy ci Macondo – tyle tylko powiedział Arcadiowi, odchodząc – zostawiamy je w dobrym stanie, staraj się, żebyśmy je zastali w jeszcze lepszym.

Arcadio zinterpretował to polecenie w sposób nader osobisty. Kazał sobie zrobić mundur własnego pomysłu, z galonami i epoletami marszałka, wzorowany na ilustracjach z pewnej książki Melquiadesa, a do pasa przytroczył szablę z pozłacanymi chwostami, własność jednego z rozstrzelanych dowódców. Ustawił dwa działa u bram miasta, umundurował swoich dawnych uczniów ze szkoły, porwanych jego płomiennymi proklamacjami, i pozwolił im wałęsać się z bronią po ulicach, żeby wśród tych, co przybywali z innych stron, wywołać wrażenie nietykalności Macondo. Była to broń obosieczna, bo rząd nie odważył się zaatakować miasta przez dziesięć miesięcy, ale gdy to zrobił, rzucił do ataku siły tak wielkie, że zlikwidowano opór w ciągu pół godziny. Od pierwszego dnia swojej władzy Arcadio wykazał upodobanie do wszelkiego rodzaju rozporządzeń. Wydawał ich po cztery dziennie, nakazując i dysponując, cokolwiek mu przyszło do głowy. Wprowadził obowiązkową służbę wojskową od osiemnastego roku życia, proklamował użyteczność publiczną wszystkich zwierząt domowych przechodzących ulicami po godzinie osiemnastej i wszystkim dorosłym mężczyznom kazał nosić czerwoną opaskę na ramieniu. Ojcu Nicanorowi zabronił opuszczać plebanię pod groźbą rozstrzelania i nie wolno mu było odprawiać mszy ani bić w dzwony, chyba że dla uczczenia zwycięstwa liberałów. Żeby nikt nie wątpił w jego surowość, zarządził ćwiczenia plutonu egzekucyjnego na rynku miejskim, każąc żołnierzom strzelać do strachów na wróble. Z początku nikt go nie brał na serio. Ostatecznie byli to uczniacy i tylko bawili się w dorosłych. Ale pewnej nocy, gdy Arcadio wszedł do sklepiku Catarina, trębacz powitał go fanfarą, co wzbudziło ogólny śmiech, i Arcadio kazał go rozstrzelać za nieposzanowanie władzy. Tych, którzy protestowali, zamknął o chlebie i wodzie ze skutymi nogami w klasie szkolnej. „Jesteś mordercą – wołała Urszula, ilekroć dowiadywała się o jakimś nowym akcie przemocy. – Niech tylko Aureliano się dowie, rozstrzela cię, a ja pierwsza się z tego ucieszę!”. Ale nic nie pomogły groźby ani prośby. Arcadio nadal przykręcał śruby niepotrzebnego rygoru, aż stał się najokrutniejszym z władców, jakich kiedykolwiek miało Macondo. „Teraz się przekonają na własnej skórze – powiedział kiedyś don Apolinar Moscote. – To jest właśnie ten liberalny raj”. Arcadio dowiedział się o tym. Na czele patrolu wtargnął do jego domu, porozbijał meble, wychłostał córki i wywlókł z sobą don Apolinara Moscote. Urszula

przebiegła całe miasto, krzycząc: „hańba! hańba!” i wymachując z furią kańczugiem umazanym w smole, wpadła na dziedziniec koszar w chwili, gdy Arcadio miał wydać rozkaz plutonowi egzekucyjnemu.

– Ośmiel się tylko, łajdaku! – krzyknęła Urszula.

Zanim Arcadio zdążył zareagować, Urszula wymierzyła mu pierwszy cios batem. „Odważ się, morderco! – krzyczała. – I zabij mnie także, psi synu. Nie będę przynajmniej płakać ze wstydu, że wychowałam potwora”. Chłoszcząc go bez litości, goniła za nim aż na koniec dziedzińca, gdzie schronił się Arcadio zwinięty jak ślimak. Don Apolinar Moscote, nieprzytomny, stał przywiązany do słupa, gdzie przedtem było straszydło na ptaki podziurawione strzałami ćwiczebnymi. Chłopcy z plutonu rozproszyli się w obawie, że Urszula w końcu wyładuje się na nich. Ale ona nawet na nich nie spojrzała. Zostawiła Arcadia w poszarpanym mundurze, jęczącego z bólu i wściekłości, i odwiązała od słupa don Apolinara Moscote, żeby go zaprowadzić do domu. Zanim wyszła z koszar, uwolniła więźniów z dybów.

Od tej chwili to ona rządziła w miasteczku. Przywróciła niedzielną mszę, zniosła nakaz noszenia czerwonych opasek, wycofała niedorzeczne rozporządzenia. Ale pomimo całego męstwa nadal płakała nad swoim gorzkim losem. Czuła się tak samotna, że zaczęła szukać towarzystwa swego mało komunikatywnego męża, zapomnianego pod kasztanem. „Spójrz, co nam zostało – mówiła mu, kiedy czerwcowe deszcze groziły rozwaleniem daszka palmowego. – Patrz na ten pusty dom, nasi synowie wędrują po świecie, a my oboje znowu sami, tak jak na początku”. José Arcadio Buendía, pogrążony w otchłani nieświadomości, głuchy był na jej lamenty. Na początku swego obłędu naglącymi okrzykami po łacinie oznajmiał swoje codzienne potrzeby. W przebłyskach świadomości, kiedy Amaranta przynosiła mu jedzenie, komunikował jej swoje najcięższe dolegliwości i potulnie poddawał się bańkom i synapizmom. Ale w tych czasach, gdy Urszula przychodziła się przed nim wypłakać, zatracił już wszelki kontakt z rzeczywistością. Ona myła go, każdą część ciała z osobna, gdy siedział na ławeczce, i komunikowała wiadomości rodzinne. „Aureliano poszedł na wojnę już przeszło cztery miesiące temu i od tej pory nic o nim nie wiadomo – mówiła, szorując mu plecy namydloną ostrą szczotką. – Wrócił José Arcadio, ogromne chłopisko, wyższy od ciebie i cały haftowany krzyżykami, ale przyszedł tylko po to, żeby ściągnąć

hańbę na nasz dom”. Zauważyła jednak, że jej małżonka smucą złe wiadomości. Postanowiła więc kłamać. „Nie wierz w to wszystko, co opowiadam – mówiła, posypując ziemią jego ekskrementy, żeby zebrać je łopatą. – Bóg dał, że José Arcadio i Rebeka pobrali się i teraz są bardzo szczęśliwi”. W tym oszukiwaniu męża doszła do takiej szczerości, że pocieszała się sama własnymi kłamstwami. „Arcadio to już poważny mężczyzna – mówiła – i bardzo dzielny, i bardzo ładnie wygląda w mundurze z szablą”. Tak jakby rozmawiała ze zmarłym, bo José Arcadio Buendía był już poza zasięgiem jakichkolwiek zmartwień. Ona jednak nie dawała za wygraną. Wydawał się tak łagodny i tak obojętny na wszystko, że postanowiła go uwolnić z więzów. Nie ruszył się ze swojej ławeczki. Został tam, wystawiony na słońce i deszcz, jakby liny były niepotrzebne, bo siła mocniejsza od wszelkich więzów dostrzegalnych okiem trzymała go przywiązanego do pnia kasztana. W sierpniu, kiedy zima zaczynała przedłużać się w nieskończoność, Urszula mogła mu zakomunikować nowinę podobną do prawdy.

– Wyobraź sobie, że szczęście nadal nas prześladuje – powiedziała mu. – Amaranta i ten Włoch od pianoli żenią się.

Amaranta i Pietro Crespi istotnie zacieśnili więzy przyjaźni pod ochroną zaufania Urszuli, która tym razem nie uważała za potrzebne nadzorować odwiedzin Włocha. Było to narzeczeństwo spokojne jak wieczorna godzina. Włoch przychodził o zmierzchu z gardenią w butonierce i tłumaczył Amarancie sonety Petrarki. Przesiadywali na ganku dusznym od zapachów dzikiego majeranku i róż, gdzie on czytał, a ona robiła koronki klockowe, obojętni na gwałty i złe wieści z wojny, aż do chwili, gdy komary zmuszały ich do szukania schronienia w salonie. Wrażliwość Amaranty, jej dyskretna, lecz usidlająca czułość, snuły wokół narzeczonego niewidoczną pajęczynę, którą on musiał rozplątywać bladymi palcami bez pierścionków, by wyjść z domu jak zwykle o ósmej. Zrobili piękny album z widokówek, które Pietro Crespi otrzymywał z Włoch. Były to obrazki zakochanych w pustych parkach, z dekoracją serc przeszytych strzałą i gołąbków z dzióbkami połączonymi złocistą wstęgą. „Znam ten park we Florencji – mówił Pietro Crespi, przeglądając pocztówki. – Wyciąga się dłoń, a ptaszki sfruwają z drzew i jedzą z ręki”. Czasami na widok jakiejś akwareli z Wenecji tęsknota przeobrażała woń błota i gnijących w kanałach skorupiaków

w kwietny aromat. Amaranta wdychała, śmiała się, śniła o drugiej ojczyźnie, kraju pięknych mężczyzn i kobiet, którzy przemawiali melodyjnym językiem dzieci, o starożytnych miastach, z których minionej świetności pozostały tylko koty pośród ruin. Przebywszy ocean w jej poszukiwaniu, pomyliwszy ją z gwałtowną namiętnością Rebeki, Pietro Crespi wreszcie odnalazł miłość. Szczęście niosło ze sobą dobrobyt. Jego sklep zajmował wtedy prawie całą przecznicę i przypominał fantastyczny ogród zimowy, gdzie były reprodukcje dzwonnicy florenckiej, wybijające godzinę koncertem dzwoneczków, i grające szkatułki z Sorrento, chińskie puderniczki, które przy otwarciu śpiewały w pięciu tonacjach, i wszelkie instrumenty muzyczne, jakie można sobie wyobrazić, i wszystkie nakręcane zabawki, jakie tylko można było sobie wymarzyć. Bruno Crespi, jego młodszy brat, prowadził sklep, Pietro zaś poświęcał cały czas szkole muzycznej. Dzięki niemu ulica Turków rozbłysła i przeobraziła się w melodyjną oazę pozwalającą zapomnieć o tyranii Arcadia i dalekim koszmarze wojny. Kiedy Urszula zadysponowała wznowienie niedzielnych nabożeństw, Pietro Crespi podarował kościołowi małe organy niemieckie i zorganizował chór dziecięcy z repertuarem gregoriańskich śpiewów, który dodawał splendoru cichemu obrządkowi ojca Nicanora. Nikt nie miał wątpliwości, że Pietro da szczęście swojej małżonce. Nie egzaltując uczuć, pozwalając się kierować naturalnym popędem serca, dotarli do punktu, kiedy pozostawało tylko wyznaczyć datę ślubu. Nie napotkaliby przeszkód. Urszula gorzko sobie wyrzucała złamane życie Rebeki kilkakrotnym odraczaniem małżeństwa i nie chciała brać nowego ciężaru na swoje sumienie. Udręki wojny, nieobecność Aureliana, brutalność Arcadia i wygnanie Josego Arcadia i Rebeki przesunęły na dalszy plan żałobę obowiązującą po śmierci Remedios. Wobec bliskości ślubu sam Pietro Crespi wysunął myśl, żeby Aureliano José, dla którego miał prawie ojcowskie uczucia, został uznany za jego najstarszego syna. Wszystko przemawiało za tym, że Amarantę czeka w małżeństwie niczym niezmącone szczęście. Ona jednak, w przeciwieństwie do Rebeki, nie okazywała najmniejszego niepokoju czy tęsknoty. Z taką samą cierpliwością, z jaką haftowała różnobarwne serwety, robiła piękne koronki lub wyszywała krzyżykami pawie, czekała, aż Pietro Crespi nie wytrzyma dłużej udręk serca. Godzina nadeszła wraz ze złowrogimi deszczami października. Pietro Crespi zdjął z kolan Amaranty koszyczek z przyborami

do haftu i zamknął jej dłoń w uścisku swoich. „Nie mam sił czekać dłużej – powiedział. – Pobierzmy się w przyszłym miesiącu”. Amaranta nie zadrżała pod dotykiem jego lodowatych dłoni. Wysunęła rękę niby płochliwe stworzonko i wróciła do haftowania.

– Nie bądź naiwny, Crespi – uśmiechnęła się – nie poślubię cię nawet na łożu śmierci.

Pietro Crespi stracił panowanie nad sobą. Płakał bezwstydnie, wyłamując sobie palce z rozpaczy, ale nie zdołał jej wzruszyć. „Nie trać czasu – powiedziała Amaranta. – Jeżeli naprawdę tak bardzo mnie kochasz, nie pokazuj się tu już więcej”. Urszula omal nie oszalała ze wstydu. Pietro Crespi wyczerpał ostatnie zasoby zdolności błagania. Doszedł do niewiarygodnych krańców poniżenia. Całe popołudnie przepłakał na kolanach Urszuli, która sprzedałaby duszę, żeby go pocieszyć. W deszczowe noce krążył z jedwabnym parasolem wokół domu, wyglądając światła w sypialni Amaranty. Nigdy nie był piękniej ubrany niż w tym czasie. Jego boska głowa udręczonego cezara przybrała blask dziwnej wspaniałości. Zadręczał przyjaciółki Amaranty, te, które przychodziły haftować na ganku, prosząc, by ją próbowały przekonać. Zaniedbał interesy. Spędzał dnie w kantorku za sklepem, pisząc obłąkane liściki, w których posyłał Amarancie zasuszone motyle i płatki kwiatów, a które ona odsyłała nieotwarte. Zamykał się na całe godziny, by grać na lutni. Pewnej nocy zaczął śpiewać. Macondo rozbudziło się w jakiejś niebiańskiej egzaltacji, słuchając dźwięków lutni zbyt pięknych, by pochodziły z tego świata, i głosu tak przepełnionego miłością, że nie można było sobie nawet wyobrazić jego istnienia na tej ziemi. Pietro Crespi widział wtedy światła we wszystkich oknach miasteczka oprócz okien Amaranty. Drugiego listopada, w Dzień Zaduszny, jego brat otworzył sklep i ujrzał wszystkie lampy zapalone, wszystkie pozytywki otwarte i wszystkie zegary wydzwaniające jakąś godzinę bez końca, a pośród tego oszalałego koncertu znalazł Pietra Crespiego przy biurku w kantorku za sklepem, z przeciętymi brzytwą żyłami i z rękami zanurzonymi w miednicy z benzoesem.

Urszula zażądała, by czuwano przy zwłokach w jej domu. Ojciec Nicanor sprzeciwił się uroczystościom żałobnym i pogrzebaniu zmarłego w poświęconej ziemi. Urszula stawiła mu czoło. „W pewnym sensie,

którego ani ja, ani ksiądz nie możemy zrozumieć, ten człowiek był świętym – powiedziała. – Pochowam go więc wbrew woli księdza obok grobu Melquiadesa”. Tak też zrobiła, z poparciem całego miasta wyprawiając wspaniały pogrzeb. Amaranta nie wyszła ze swej sypialni. Słyszała ze swego łóżka płacz Urszuli, kroki i szepty ciżby, która zawładnęła domem, zawodzenie płaczek, a potem głuchą ciszę nabrzmiałą wonią zdeptanych kwiatów. Długi jeszcze czas o zmierzchu czuła woń lawendy Pietra Crespiego, ale dość miała siły, by nie popaść w obłęd. Urszula nie chciała jej znać, nie podniosła nawet wzroku, by ulitować się nad nią pewnego popołudnia, kiedy Amaranta weszła do kuchni i wsunęła dłoń w rozpalony żar, trzymając ją tam, póki nie zabolało jej tak, że już nie czuła bólu, tylko swąd spalonego ciała. Była to końska kuracja na wyrzuty sumienia. Przez wiele dni chodziła po domu z ręką w kubku z białkami, a gdy wygoiły się oparzenia, zdawało się, że lekarstwo zabliźniło także rany w jej sercu. Jedynym dostrzegalnym śladem przeżytej tragedii był czarny bandaż, którym owinęła poparzoną rękę i nosiła go do śmierci.

Arcadio dał wyraz niezwykłej wielkoduszności, ogłaszając oficjalną żałobę po śmierci Pietra Crespiego. Urszula zrozumiała to jako powrót zbłąkanej owcy do zagrody. Pomyliła się jednak. Straciła Arcadia nie z chwilą, gdy włożył mundur wojskowy, lecz od pierwszych chwil jego życia. Myślała, że wychowała go jak własnego syna, tak samo jak Rebekę, bez przywilejów i bez dyskryminacji. Arcadio był jednak dzieckiem zalęknionym i osamotnionym, pośród plagi bezsenności, gorączkowej krzątaniny Urszuli, szaleństw Josego Arcadia Buendíi, hermetyzmu Aureliana i śmiertelnej rywalizacji między Amarantą i Rebeką. Aureliano nauczył go czytać i pisać, myśląc o czym innym, tak jakby to zrobił ktoś obcy. Dawał mu swoje zniszczone ubrania, które przerabiała na niego Visitación. Arcadio cierpiał z powodu swoich za dużych butów, cerowanych spodni i kobiecych pośladków. Z nikim nie potrafił porozumieć się tak dobrze jak z Visitación i Cataure w ich języku. Tylko Melquíades zajmował się nim naprawdę, kazał mu słuchać swoich niezrozumiałych tekstów, uczył go sztuki dagerotypii. Nikt sobie nawet nie wyobrażał, jak bardzo opłakiwał Arcadio w duszy jego śmierć i z jaką skrytą rozpaczą usiłował przywrócić go do życia w daremnym wertowaniu jego pergaminów. Szkoła, gdzie na niego zważano i gdzie go szanowano, a później władza, nieodwołalne

proklamacje i olśniewający mundur zdjęły z niego brzemię dawnej goryczy. Pewnej nocy w sklepiku Catarina ktoś odważył się powiedzieć mu: „Nie zasługujesz na nazwisko, które nosisz”. Wbrew oczekiwaniu wszystkich Arcadio nie kazał go rozstrzelać.

– Nic dziwnego – powiedział – nie jestem Buendía.

Ci, co znali tajemnicę jego pochodzenia, myśleli wobec tej repliki, że on także wie o tym, on jednak w rzeczywistości nigdy tego nie wiedział. Pilar Ternera, jego matka, której widok burzył mu krew, była dla niego taką samą nieodpartą obsesją jak niegdyś dla Josego Arcadia, a później dla Aureliana. Chociaż straciła już swe wdzięki i wspaniałość swego śmiechu, on szukał jej i znajdował w smudze zapachu dymu, który wszędzie za sobą zostawiała. Na krótko przed wojną, pewnego popołudnia, kiedy przyszła do szkoły po swego młodszego syna później niż zwykle, Arcadio czekał na nią w tej samej klasie, gdzie od czasu objęcia władzy nad miastem zazwyczaj sypiał po obiedzie, a później zainstalował dyby. Podczas gdy dziecko bawiło się na podwórku, czekał w swoim hamaku, drżąc z niepewności, wiedząc, że Pilar Ternera będzie musiała przejść tamtędy. Przyszła. Arcadio chwycił ją za przegub dłoni i usiłował wciągnąć do hamaka. „Nie mogę, nie mogę – szeptała Pilar Ternera przerażona. – Nie wiesz, jakbym chciała cię zadowolić, ale Bóg mi świadkiem, że nie mogę”. Arcadio schwytał ją wpół ze swoją olbrzymią siłą i uczuł, że świat znika sprzed jego oczu przy dotknięciu jej skóry.

– Nie rób z siebie świętej – powiedział. – Wszyscy wiedzą, że jesteś kurwą.

Pilar zapanowała nad obrzydzeniem, jakie w niej budził jej przeklęty los.

– Dzieci zobaczą – szepnęła. – Czekaj na mnie w nocy, nie zamykaj drzwi na zasuwkę.

Arcadio czekał na nią tej nocy, dygocąc jak w febrze na swoim hamaku. Nie spał, słuchając świerszczy podnieconych bliskością świtu i rytmicznego brzęczenia bąków, coraz bardziej przekonany, że go oszukano. Nagle, kiedy niecierpliwość rozpłynęła się w furii, skrzypnęły drzwi. Parę miesięcy później przed plutonem egzekucyjnym Arcadio miał wskrzesić echo kroków w pustej klasie, potykanie się o ławki, a w końcu bliskość ciała w ciemnościach i ruch powietrza pulsującego biciem serca innego niż jego

własne. Wyciągnął ramię i napotkał rękę z dwoma pierścionkami na jednym palcu, zagubioną w ciemności. Poczuł żyły tętniące pulsem swego przeznaczenia i wilgotną dłoń z linią życia przeciętą u nasady dużego palca ciosem śmierci. Wtedy zrozumiał, że to nie jest kobieta, na którą czekał, bo nie pachniała dymem, lecz wodą kwiatową, piersi miała małe i ślepe, z sutkami małymi jak mężczyzna, łono twarde i okrągłe jak orzech i egzaltowaną czułość niedoświadczenia. Była dziewicą o niewiarygodnym imieniu Santa Sofía de la Piedad. Pilar Ternera zapłaciła jej pięćdziesiąt pesos, połowę oszczędności całego życia, żeby zrobiła to, co teraz miała zrobić. Arcadio widywał ją wiele razy, jak obsługiwała w małym sklepiku spożywczym należącym do jej rodziców, i nigdy nie zwrócił na nią uwagi, gdyż miała niezwykle rzadką zaletę istnienia tylko w odpowiednich po temu momentach. Ale od tego dnia zwijała się w kłębek jak kot w cieple jego ramion. Przychodziła do szkoły podczas popołudniowej drzemki, za zgodą swych rodziców, którym Pilar Ternera wypłaciła za to drugą połowę oszczędności. Później, kiedy oddziały rządowe zarekwirowały szkołę, kochali się pośród puszek smalcu i worków kukurydzy na zapleczu sklepiku. W tym czasie, gdy Arcadio mianowany został szefem cywilnym i wojskowym, urodziła się im córka.

Z rodziny wiedzieli o tym tylko José Arcadio i Rebeka, z którymi Arcadio utrzymywał wtedy bliskie stosunki, wynikające nie tyle z pokrewieństwa, co ze wspólnictwa w winie. José Arcadio ugiął kark pod jarzmem małżeńskim. Stanowczy charakter Rebeki, jej zachłanność seksualna i uparta ambicja zagarnęły i wchłonęły niepospolitą energię jej męża, który z włóczęgi i kobieciarza zmienił się w olbrzymie zwierzę pociągowe. Dom mieli czysty i utrzymany w porządku. Rebeka otwierała go na oścież o świcie, a wiatr znad grobów wpadał przez okna i wychodził drzwiami na podwórko, zostawiając fosfor rozsypujących się kości na pobielanych ścianach i meblach. Głód ziemi, grzechotanie kości rodziców i niecierpliwość krwi w obliczu bierności Pietra Crespiego zostały zepchnięte w dalekie zakamarki pamięci. Rebeka cały dzień haftowała przy oknie, głucha na odgłosy wojny, aż do chwili, kiedy gliniane dzbany zaczęły dźwięczeć w kredensie; wtedy podnosiła się, żeby odgrzać jedzenie, na długo zanim ukazały się uszargane w błocie psy myśliwskie, a za nimi kolos z dubeltówką i w sztylpach z ostrogami, czasem niosąc na

ramieniu sarnę, a prawie zawsze kilka zajęcy albo dzikich kaczek. Pewnego popołudnia na początku swoich rządów Arcadio przyszedł ich odwiedzić. Nie widywali go od czasu, gdy opuścili dom, ale okazał się tak czuły i pełen rodzinnych uczuć, że zaprosili go, by podzielił z nimi posiłek.

Dopiero przy kawie Arcadio ujawnił powód swojej wizyty: otrzymał donos na Josego Arcadia. Zarzucano mu, że po zaoraniu własnego podwórza orał dalej sąsiednie pola, obalając płoty i równając z ziemią cudze gospodarstwa, póki nie przywłaszczył sobie siłą najlepszych włości w okolicy. Na chłopów, których nie ograbił, bo nie interesowały go ich ziemie, nałożył daninę, którą pobierał co sobotę uzbrojony w dubeltówkę i z psami myśliwskimi. Nie zaprzeczył temu. Swoje roszczenia opierał na tym, że zagrabione ziemie zostały rozdzielone przez Josego Arcadia Buendíę w czasach zakładania Macondo i jego zdaniem można było dowieść, że jego ojciec już wtedy był szalony, ponieważ rozporządził majątkiem, który w rzeczywistości należał do ich rodziny. Były to niepotrzebne tłumaczenia, bo Arcadio nie przyszedł tu, żeby wymierzyć sprawiedliwość. Zaproponował po prostu utworzenie biura katastralnego, tak by José Arcadio zalegalizował swój tytuł do zagrabionej ziemi pod warunkiem, że przekaże lokalnej władzy prawo do pobierania daniny. Doszli do porozumienia. Po latach, kiedy pułkownik Aureliano Buendía przejrzał tytuły własności, odkrył, że na nazwisko jego brata były zarejestrowane wszystkie ziemie dostrzegalne ze wzgórza jego podwórka aż po horyzont, nie wyłączając cmentarza, i że podczas jedenastu miesięcy sprawowania władzy Arcadio nie tylko przywłaszczył sobie pieniądze z kontrybucji, ale również te, które pobierał od ludzi za prawo grzebania zmarłych na włościach Josego Arcadia.

Dopiero po wielu miesiącach Urszula dowiedziała się tego, o czym wiedzieli wszyscy, gdyż ukrywali przed nią prawdę, żeby nie zwiększać jej cierpienia. Zaczęła coś podejrzewać: „Arcadio buduje dom”, zwierzyła się z udaną dumą swojemu mężowi, próbując wsadzić mu do ust łyżkę syropu z tykwy. Jednakże westchnęła mimo woli: „Nie wiem dlaczego, ale to wszystko jakoś mi się nie podoba”. Później, kiedy dowiedziała się, że Arcadio nie tylko ukończył budowę domu, ale zamówił wiedeńskie meble, utwierdziła się w podejrzeniu, że przywłaszczył sobie fundusze publiczne. „Przynosisz wstyd naszemu nazwisku” – krzyknęła pewnej niedzieli po

mszy, kiedy zobaczyła go w jego nowym domu, grającego w karty ze swymi oficerami. Arcadio nie zwrócił na nią uwagi. Wtedy dopiero Urszula dowiedziała się, że ma sześciomiesięczną córkę i że Santa Sofía de la Piedad, z którą żył bez ślubu, znowu oczekuje dziecka. Postanowiła napisać do pułkownika Aureliana Buendíi, gdziekolwiek by się znajdował, i powiadomić go o sytuacji. Wydarzenia najbliższych dni nie tylko przeszkodziły jej zamiarom, ale kazały jej żałować tego, że w ogóle je podjęła. Wojna, która dotychczas była tylko słowem na określenie czegoś niejasnego i dalekiego, przybrała kształt konkretny w dramatycznej rzeczywistości. Pod koniec lutego przybyła do Macondo stuletnia staruszka na ośle obładowanym szczotkami. Robiła wrażenie osoby tak nieszkodliwej, że patrole wartownicze pozwoliły jej przejechać, nie pytając o nic, jako jednej z licznych handlarek często przybywających tu z okolicy za moczarami. Skierowała się prosto do koszar. Arcadio przyjął ją w dawnej klasie, zamienionej obecnie w coś w rodzaju wartowni, gdzie obozowała straż, z hamakami zwiniętymi lub zawieszonymi na hakach, matami złożonymi na stertę w kącie, strzelbami, karabinami, a nawet bronią myśliwską porozrzucaną na podłodze. Staruszka stanęła na baczność w wojskowym ukłonie i przedstawiła się:

– Jestem pułkownik Gregorio Stevenson.

Emisariusz przynosił złe wieści. Ostatnie ogniska oporu liberałów były w trakcie likwidacji. Pułkownik Aureliano Buendía, którego pozostawił wycofującego się z okolicy Riohacha, wysłał go z misją przekazania poleceń Arcadiowi. Powinien bez oporu oddać miasto, stawiając jako warunek słowo honoru, że uszanuje się życie i majątek liberałów. Arcadio zmierzył wzrokiem pełnym politowania tego dziwnego posłańca, którego można było wziąć za uciekającą babcię.

– Ma pan oczywiście jakiś dokument pisany – powiedział.

– Oczywiście – odpowiedział emisariusz – nie mam. Łatwo chyba zrozumieć, że w tych okolicznościach nie miewa się przy sobie tajnych dokumentów.

To mówiąc, wyjął zza pazuchy i położył na stole złotą rybkę. „To chyba wystarczy” – powiedział. Arcadio sprawdził, że jest to istotnie jedna z rybek wykonanych przez pułkownika Aureliana Buendíę. Ale ktoś mógł ją

kupić przed wojną albo ukraść i tym samym nie miała wartości jako znak rozpoznawczy. Posłaniec musiał posunąć się do ostateczności, jaką była zdrada tajemnicy wojskowej, żeby uwierzono w jego tożsamość. Wyznał, że jedzie z misją do Curaçao, gdzie miał nadzieję zebrać uchodźców z całego regionu karaibskiego, jak również zaopatrzyć się w broń i amunicję wystarczającą, by spróbować akcji odwetowej pod koniec roku. Licząc na ten plan, pułkownik Aureliano Buendía przeciwny był ponoszeniu zbędnych ofiar. Ale Arcadio okazał się nieugięty. Kazał uwięzić posłańca, dopóki nie sprawdzi jego tożsamości, i postanowił bronić posterunku aż do śmierci.

Nie musiał długo czekać. Wieści o klęsce liberałów były coraz bardziej konkretne. Pod koniec marca, pewnego poranka przedwczesnej pory deszczowej, pełen napięcia spokój poprzednich tygodni przerwały nagle rozpaczliwe dźwięki kornetu i zaraz potem wystrzał armatni, który rozniósł wieżę kościoła. Opór, jaki zamierzał stawić Arcadio, był zaiste szaleństwem. Dysponował zaledwie pięćdziesięcioma źle uzbrojonymi ludźmi, z maksymalnym wyposażeniem dwudziestu naboi dla każdego. Ale byli wśród nich jego dawni uczniowie, porwani górnolotnymi hasłami, gotowi poświęcić skórę dla sprawy straconej. Pośród tupotu butów, sprzecznych rozkazów, wystrzałów armatnich, od których drżała ziemia, oszalałego terkotu karabinów i dźwięków kornetu, rzekomy pułkownik Stevenson zdołał rozmówić się z Arcadiem. „Oszczędź mi haniebnej śmierci więźnia w tych kobiecych łachach – powiedział mu. – Jeżeli muszę umrzeć, chcę zginąć w walce”. Arcadio zgodził się. Kazał mu dać karabin z dwudziestoma nabojami i zostawiono go z pięcioma ludźmi w koszarach, których miał bronić, podczas gdy on sam ze sztabem wyruszył na front oporu. Nie zdołał nawet dojść do drogi na moczary. Barykady na ulicach zostały zmiecione i obrońcy walczyli na otwartym polu, póki starczyło amunicji – najpierw z karabinami w ręku, potem z pistoletami przeciwko karabinom, a w końcu wręcz. W obliczu nieuchronnej klęski kilka kobiet uzbrojonych w kije i noże kuchenne rzuciło się na ulicę. W tym zamieszaniu Arcadio spotkał Amarantę, która poszukiwała go jak wariatka, w koszuli nocnej, z dwoma starymi pistoletami Josego Arcadia Buendíi. Oddał swój karabin oficerowi, którego rozbrojono w walce, i zniknął razem z Amarantą w bocznej uliczce, żeby ją zaprowadzić do domu. Urszula

czekała na nich w progu, obojętna na salwy, które otworzyły olbrzymią wyrwę w fasadzie sąsiedniego budynku. Deszcz ustępował, ale ulice były gładkie i śliskie, jakby pokropione rozpuszczonym mydłem, i trzeba było odgadywać odległość w ciemnościach. Arcadio zostawił Amarantę z Urszulą i próbował przeciwstawić się dwóm żołnierzom, którzy na ślepo strzelali zza rogu. Stare pistolety, przez długie lata przechowywane w szafach, nie działały. Osłaniając Arcadia własnym ciałem, Urszula usiłowała wciągnąć go do domu.

– Chodź, na Boga – krzyczała – już dosyć szaleństw!

Żołnierze wzięli ich na cel.

– Niech go pani puści, niech pani odejdzie – krzyknął jeden z nich – albo nie ręczymy za pani życie.

Arcadio pchnął Urszulę w kierunku domu i poddał się. Trochę później umilkły wystrzały i rozbrzmiały dzwony. Opór został zlikwidowany w niecałe pół godziny. Nie ocalał ani jeden z ludzi Arcadia, ale zanim zginęli, położyli trupem trzystu żołnierzy. Ostatnim bastionem były koszary. Zanim przypuszczono szturm, domniemany pułkownik Gregorio Stevenson uwolnił więźniów i rozkazał swoim ludziom, żeby wyszli bić się na ulicę. Niezwykła ruchliwość i nieomylna celność strzałów, jakie oddał z różnych okien, zużywając swoje dwadzieścia nabojów, wywołały wrażenie, że koszary są dobrze bronione, i atakujący roznieśli je dopiero z pomocą artylerii. Kapitan kierujący akcją zdziwił się, znajdując puste ruiny i jedynego martwego człowieka w kalesonach, z nienabitym karabinem, który jeszcze kurczowo ściskał ramię oderwane od tułowia. Miał bujne kobiece włosy spięte na karku grzebieniem, a na szyi szkaplerz ze złotą rybką. Odwróciwszy go końcem buta, żeby obejrzeć jego twarz, kapitan zdumiał się. „Gówno!” – wykrzyknął. Inni oficerowie podeszli bliżej.

– Patrzcie, gdzie spotykamy tego człowieka – powiedział kapitan. – To przecież Gregorio Stevenson!

O świcie po krótkim sądzie wojennym rozstrzelano Arcadia pod murem cmentarza. Przez dwie ostatnie godziny swego życia na próżno starał się zrozumieć, dlaczego zniknął strach dręczący go od dzieciństwa. Niewzruszony, nie troszcząc się nawet o wykazanie swojej nowej odwagi,

słuchał niekończących się oskarżeń. Myślał o Urszuli, która w tej godzinie na pewno popijała kawę pod kasztanem z Josem Arcadiem Buendíą. Myślał o swojej ośmiomiesięcznej córce, która jeszcze nie miała imienia, i o dziecku, które miało się urodzić. Myślał o matce tych dzieci, którą ubiegłej nocy pozostawił peklującą kozła na sobotni obiad, i zatęsknił do jej spadających na ramiona włosów, do jej rzęs, które sprawiały wrażenie sztucznych. Myślał o swojej rodzinie bez wzruszenia, w surowym obrachunku z życiem, zaczynając rozumieć, jak bardzo w rzeczywistości kochał te osoby, których najbardziej nienawidził. Przewodniczący sądu wojennego rozpoczął swoje końcowe przemówienie, nim Arcadio zdał sobie sprawę, że minęły dwie godziny. „Gdyby nawet dowiedzione zarzuty nie ważyły aż nadto – mówił przewodniczący – nieodpowiedzialna i zbrodnicza lekkomyślność, z jaką oskarżony pchnął swoich podwładnych na niepotrzebną śmierć, wystarczyłaby, żeby zasłużył na najwyższą karę". W zdemolowanej szkole, gdzie po raz pierwszy poznał smak władzy, o kilka metrów od sali, gdzie poznał niepokój miłości, Arcadio uznał za śmieszny ten formalizm śmierci. W rzeczywistości nie miała dla niego znaczenia śmierć, tylko życie, i dlatego wrażenie, jakiego doznał po ogłoszeniu wyroku, nie było strachem, lecz tęsknotą. Nie powiedział nic, dopóki nie zapytano go, jaka jest jego ostatnia wola.

– Powiedzcie mojej żonie – odpowiedział głosem opanowanym – żeby dziewczynce nadała imię Urszula. – Przerwał i dodał po chwili: – Urszula, jak jej babka. I powiedzcie jej także, że jeżeli urodzi się chłopiec, niech nazwie go José Arcadio, ale nie na cześć stryja, tylko dziadka.

Zanim zaprowadzono go pod mur, ojciec Nicanor usiłował przygotować go na śmierć. „Niczego nie żałuję" – powiedział Arcadio i po wypiciu filiżanki czarnej kawy oświadczył, że jest gotów stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Dowódca plutonu, specjalista od wykonywania wyroków zbiorowych, miał nazwisko, które było czymś znacznie więcej niż przypadkiem: kapitan Roque Carnicero[5]. W drodze na cmentarz w nieustającym deszczu Arcadio zauważył rysującą się na horyzoncie i promieniującą blaskiem środę. Tęsknota rozwijała się wraz z mgłą, a jej miejsce zajęła ogromna ciekawość. Dopiero gdy kazano mu stanąć tyłem do muru, Arcadio ujrzał Rebekę z mokrymi włosami, w sukni w różowe kwiaty, otwierającą dom na przestrzał. Machnął do niej ręką, pragnąc, by go

poznała. Rzeczywiście Rebeka spojrzała mimochodem w stronę muru i stanęła jak wryta, sparaliżowana grozą; z trudem przemogła się, żeby przesłać Arcadiowi ręką znak pożegnania. Arcadio odpowiedział jej w ten sam sposób. W tej samej chwili zwróciły się ku niemu czarne od dymu paszcze karabinów i usłyszał słowo po słowie śpiewane encykliki Melquiadesa, echo zagubionych kroków dziewicy imieniem Santa Sofía de la Piedad w klasie i uczuł w nosie tę samą zastygłą twardość lodu, którą zauważyli, patrząc na nozdrza martwej Remedios. Ach, do diabła – zdążył pomyśleć – zapomniałem powiedzieć, że jeśli urodzi się dziewczynka, niech dadzą jej imię Remedios. I wtedy, w jednym rozdzierającym trzewia szarpnięciu, uczuł znowu cały skoncentrowany lęk, który go dręczył za życia. Kapitan dał rozkaz ognia. Arcadio ledwie zdążył wyprężyć pierś i podnieść głowę, nie rozumiejąc, skąd płynie gorąca ciecz, która parzy mu uda.

– Łajdaki – krzyknął – niech żyje partia liberalna!

W maju zakończyła się wojna. Na dwa tygodnie przed oficjalną deklaracją rządu, zapowiadającą bezlitosne kary dla organizatorów rebelii, pułkownik Aureliano Buendía dostał się do niewoli w chwili, kiedy już miał przekroczyć zachodnią granicę w przebraniu indiańskiego czarownika. Z dwudziestu jeden ludzi, którzy poszli za nim na wojnę, czternastu zginęło w walce, sześciu było rannych i tylko jeden towarzyszył mu w momencie ostatecznej klęski – pułkownik Gerineldo Márquez. Wiadomość o jego schwytaniu ogłoszono w Macondo w obwieszczeniu nadzwyczajnym. „Żyje – poinformowała Urszula swego męża. – Prośmy Boga, żeby jego wrogowie okazali mu litość”. Po trzech dniach płaczu, pewnego popołudnia, kiedy przygotowywała leguminę mleczną, usłyszała wyraźnie głos swego syna tuż przy uchu. „Aureliano – krzyknęła, biegnąc pod kasztan, żeby podzielić się wiadomością z mężem. – Nie wiem, jak stał się ten cud, ale on żyje i wkrótce go zobaczymy”. Przyjęła to za pewnik. Kazała umyć podłogi w domu i przestawić meble. W tydzień później pogłoska niewiadomego pochodzenia, niepoparta obwieszczeniem, potwierdziła tę dramatyczną przepowiednię. Pułkownik Aureliano Buendía został skazany na śmierć i wyrok ku przestrodze ludności miał być wykonany w Macondo. W pewien poniedziałkowy ranek, o godzinie dziesiątej dwadzieścia, Amaranta ubierała małego Aureliana Josego, gdy usłyszała daleki zgiełk i odgłos trąbki, a w sekundę później wpadła do pokoju Urszula z krzykiem: „Już go prowadzą”. Żołnierze uderzeniami kolb próbowali ujarzmić wzburzony tłum. Urszula i Amaranta pobiegły na rozstaje, torując sobie drogę kuksańcami, i wtedy go ujrzały. Wyglądał jak żebrak, ubranie miał poszarpane, zmierzwione włosy i brodę. Szedł boso,

nie czując dławiącego kurzu, z rękami związanymi na plecach liną przytroczoną do siodła oficerskiego konia. Przy nim szedł, także obdarty i wynędzniały, pułkownik Gerineldo Márquez. Nie byli smutni. Wydawali się raczej oszołomieni przez tłum, który obrzucał wojsko stekiem wszelkiego rodzaju przekleństw.

– Synu mój – krzyknęła Urszula wśród zgiełku i uderzyła żołnierza, który ją usiłował powstrzymać. Koń oficera spłoszył się. Wtedy pułkownik Aureliano Buendía przystanął, drżąc, wysunął się z objęć swojej matki i utkwił w niej twarde spojrzenie.

– Wracaj do domu, mamo – powiedział – poproś władze o pozwolenie i przyjdź mnie odwiedzić w więzieniu.

Spojrzał na Amarantę, która stała niepewnie dwa kroki za Urszulą, i uśmiechnął się, pytając: „Co ci się stało w rękę?”, Amaranta uniosła dłoń z czarnym bandażem. „Oparzenie”, powiedziała i odsunęła Urszulę, żeby nie stratowały jej konie. Wojsko zaczęło strzelać. Specjalny oddział otoczył więźniów i truchtem zaprowadzono ich do koszar.

O zmierzchu Urszula odwiedziła w więzieniu pułkownika Aureliana Buendíę. Starała się uzyskać pozwolenie za pośrednictwem don Apolinara Moscote, ten jednak utracił wszelki autorytet wobec wszechwładzy wojska. Ojciec Nicanor leżał chory na atak wątroby. Rodzice pułkownika Gerinelda Marqueza, który nie był skazany na śmierć, próbowali się z nim zobaczyć i wypchnięto ich kolbami. Nie mogąc znaleźć posłańców, przekonana, że jej syna rozstrzelają o świcie, Urszula zapakowała rzeczy, które chciała mu zanieść, i sama poszła do koszar.

– Jestem matką pułkownika Aureliana Buendíi – oznajmiła.

Wartownicy zagrodzili jej drogę. „Tak czy owak wejdę – uprzedziła ich Urszula. – Toteż jeżeli macie rozkaz strzelać, zaczynajcie od razu”. Odepchnęła wartownika i weszła do dawnej klasy, gdzie grupa rozebranych żołnierzy czyściła broń. Oficer w mundurze polowym, z różową twarzą, w okularach z bardzo grubym szkłem, wykwintnym gestem dał wartownikom znak, by się wycofali.

– Jestem matką pułkownika Aureliana Buendíi – powtórzyła Urszula.

– Chce pani powiedzieć – poprawił oficer z uprzejmym uśmiechem – że jest pani czcigodną matką pana Aureliana Buendíi.

W jego wyszukanym sposobie mówienia Urszula rozpoznała rozwlekły akcent Cachacos, mieszkańców płaskowyżu.

– Jak pan sobie życzy, proszę pana – zgodziła się – byle tylko pozwolono mi go zobaczyć.

Istniały już odgórne rozkazy zabraniające odwiedzać skazanych na śmierć, ale oficer na własną odpowiedzialność udzielił jej pozwolenia na piętnastominutową rozmowę. Urszula pokazała mu, co niesie w zawiniątku: zmianę czystej bielizny, trzewiki, które jej syn włożył w dzień swego wesela, i słoik z leguminą przechowaną dla niego od dnia, kiedy ją zawiadomił o swoim powrocie. Pułkownik Aureliano Buendía leżał rozciągnięty na łóżku polowym w karcerze, z rozpostartymi rękami, gdyż miał owrzodzone pachy. Pozwolono mu się ogolić. Gęsty wąs o zakręconych końcach podkreślał jego kanciaste kości policzkowe. Urszuli wydał się bledszy i mizerniejszy niż wtedy, gdy odszedł, trochę wyższy i bardziej samotny niż kiedykolwiek. Był poinformowany o wydarzeniach w rodzinie: o samobójstwie Pietra Crespiego, o nadużyciach i rozstrzelaniu Arcadia, obłędzie Josego Arcadia Buendíi zamieszkałego pod kasztanem. Wiedział, że Amaranta poświęciła swoje dziewicze wdowieństwo wychowaniu Aureliana Josego i że ten wykazuje wyjątkowe zdolności – uczył się czytać i pisać jednocześnie z nauką mówienia. Od chwili kiedy weszła do pokoju, Urszula czuła się onieśmielona surową dojrzałością syna, jego autorytatywnym sposobem bycia i blaskiem władzy promieniującej z jego postaci. Zdziwiła się, że jest tak dobrze zorientowany. „Wiesz przecież, że jestem jasnowidzem – zażartował i dodał poważnie: – Dziś rano, kiedy mnie prowadzili, miałem wrażenie, że już raz przez to wszystko przeszedłem”. Naprawdę idąc przez wzburzony tłum, Aureliano pogrążony był we własnych myślach, zadziwiony, jak postarzało się miasto w ciągu jednego roku. Migdałowce miały poszarpane liście. Domy, pomalowane na niebiesko, później na czerwono i z powrotem na niebiesko, przybrały w końcu barwę nieokreśloną.

– Czegoś się spodziewał? – westchnęła Urszula. – Czas mija.

– To prawda – przyznał Aureliano – ale nie aż tak bardzo.

Tym sposobem wizyta, tak długo wyczekiwana, do której oboje przygotowali pytania, a nawet przewidzieli odpowiedzi, była znów zwykłą

rozmową codzienną. Kiedy wartownik oznajmił koniec widzenia, Aureliano wyjął spod maty na łóżku polowym plik przepoconych papierów. Były to jego wiersze. Te pisane do Remedios, które zabrał z sobą, odjeżdżając, i te, które układał później, podczas przypadkowych przerw wojennych. „Przyrzeknij mi, że nikt ich nie przeczyta – powiedział. – Jeszcze dziś wieczorem wrzucisz je do pieca”. Urszula przyrzekła i wstała, żeby pocałować go na pożegnanie.

– Przyniosłam ci rewolwer – szepnęła.

Pułkownik Aureliano Buendía sprawdził, że strażnika nie ma w polu widzenia. „Do niczego mi nie jest potrzebny – odpowiedział cicho. – Ale daj mi go, bo może będą cię rewidować przy wyjściu”. Urszula wyjęła rewolwer zza stanika, a on wsunął go pod nakrycie łóżka. „A teraz nie żegnaj się – zakończył uroczyście i spokojnie. – Nie proś o nic nikogo ani nie poniżaj się przed nikim. Wyobraź sobie, że rozstrzelano mnie już dawno”. Urszula przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Przyłóż sobie gorących kamieni na wrzody – powiedziała.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Pułkownik Aureliano Buendía stał zamyślony aż do chwili, gdy zamknęły się drzwi. Wtedy znów się położył z rozpostartymi ramionami. Od pierwszych lat młodzieńczych, kiedy zdał sobie sprawę z własnych przeczuć, myślał, że śmierć musi zapowiedzieć swe nadejście jakimś określonym znakiem, nieomylnym i nieodwołalnym, ale oto już za kilka godzin miał umrzeć, a sygnał nie nadchodził. Kiedyś pewna bardzo piękna kobieta weszła do jego obozu w Tucurinca i poprosiła strażników, żeby pozwolili jej się z nim zobaczyć. Przepuścili ją, gdyż znali fanatyzm pewnych matek, które posyłały swoje córki do sypialni najsławniejszych bojowników, aby, jak same to określały, poprawić rasę. Pułkownik Aureliano Buendía kończył tej nocy poemat o człowieku zagubionym w deszczu, kiedy dziewczyna weszła do pokoju. Odwrócił się od niej plecami, by schować kartę papieru do szuflady, gdzie zawsze składał swoje wiersze. I wtedy poczuł to. Nie odwracając głowy, chwycił za pistolet w szufladzie.

– Nie strzelaj, proszę – powiedział.

Kiedy zwrócił się do niej z nabitym pistoletem, dziewczyna opuściła swój, nie wiedząc, co robić. W ten sam sposób uniknął czterech z jedenastu

zasadzek. Natomiast ktoś, kogo nigdy nie złapano, wszedł pewnej nocy do siedziby rewolucjonistów w Manaure i zamordował sztyletem jego bliskiego przyjaciela, pułkownika Magnifica Visbala, któremu Aureliano odstąpił swoje łóżko, żeby tamten mógł wypocić gorączkę. Śpiąc w hamaku w tym samym pokoju, nic nie słyszał. Na próżno próbował ująć swe przeczucia w jakiś system. Przychodziły nagle, w porywie jakiejś nadprzyrodzonej jasności widzenia, jako przekonanie absolutne, ale chwilowe i nieuchwytne. Czasem były tak naturalne, że nie rozpoznawał ich wróżebnego znaczenia aż do chwili, gdy się sprawdzały. Kiedy indziej były wyraźnie określone, ale się nie spełniły. Często były to zwykłe przejawy zabobonu. Ale kiedy skazano go na śmierć i pozwolono wyrazić ostatnie życzenie, nie miał najmniejszej trudności z rozpoznaniem przeczucia, które mu podyktowało odpowiedź.

– Proszę, żeby wyrok wykonano w Macondo – powiedział.

Przewodniczący trybunału skrzywił się.

– Nie bądź pan taki sprytny, Buendía – powiedział. – To manewr, żeby zyskać na czasie.

– Jeśli się nie zgodzicie, to wasza rzecz – powiedział pułkownik – ale taka jest moja ostatnia wola.

Od tego czasu przestały go nawiedzać przeczucia. Tego dnia, kiedy Urszula odwiedziła go w więzieniu, po długich rozmyślaniach doszedł do wniosku, że tym razem śmierć przyjdzie bez zapowiedzi, bo nie zależy od przypadku, tylko od jego oprawców. Nie spał w nocy, dręczony bólem wrzodów pod pachami. Na krótko przed świtem usłyszał kroki na korytarzu. „Idą” – mruknął i pomyślał, nie wiadomo dlaczego, o swoim ojcu, który w tej chwili myślał o nim, w posępnym świcie pod kasztanem. Nie czuł strachu ani tęsknoty, tylko wewnętrzną furię na myśl, że ta sztuczna śmierć nie pozwoli mu poznać końca tylu spraw, które zostawił nierozwiązane. Otworzyły się drzwi i wszedł strażnik z kubkiem kawy. Nazajutrz o tej samej godzinie był wciąż w tym samym stanie ducha, wściekły z powodu bólu pod pachami, i powtórzyło się dokładnie to samo. W czwartek poczęstował strażników leguminą od matki, włożył czystą bieliznę, za ciasną na niego, i lakierowane buty. Jeszcze w piątek go nie rozstrzelano.

W gruncie rzeczy nie mieli odwagi wykonać wyroku. Wzburzenie ludności przekonało władze wojskowe, że rozstrzelanie pułkownika Aureliana Buendíi przyniesie poważne skutki polityczne nie tylko w Macondo, ale w całym okręgu moczarów, zasięgnięto więc rady dowództwa w stolicy prowincji. W sobotę wieczorem, podczas gdy czekano na odpowiedź, kapitan Roque Carnicero poszedł do sklepiku Catarina. Tylko jedna kobieta, niemal pod naciskiem groźby, odważyła się zabrać go do swego pokoju. „Nie chcą spać z kimś, o kim wiedzą, że umrze – wyznała mu. – Nikt nie wie, jak to będzie, ale wszyscy mówią, że oficer, który da rozkaz rozstrzelania pułkownika Aureliana Buendíi, i wszyscy żołnierze plutonu, jeden po drugim, zostaną wymordowani wcześniej czy później, choćby skryli się na koniec świata”. Kapitan Roque Carnicero powiedział o tym innym oficerom, a ci z kolei swoim zwierzchnikom. W niedzielę, aczkolwiek nikt nie oznajmił tego otwarcie i żaden rozkaz nie zmącił napiętego spokoju tych dni, całe miasto wiedziało, że oficerowie pod pierwszym lepszym pretekstem zdecydowani są uniknąć odpowiedzialności za egzekucję. Poczta poniedziałkowa przyniosła rozkaz oficjalny: egzekucja ma zostać wykonana w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tej nocy oficerowie włożyli do czapki siedem karteczek ze swoimi nazwiskami i nieubłagane przeznaczenie kapitana Roque’a Carnicera wskazało mu naznaczoną kartkę. „Od przekleństwa człowiek się nie uchroni – powiedział z głęboką goryczą. – Urodziłem się pod ciemną gwiazdą i tak samo umrę”. O piątej rano wybrał sobie pluton drogą losowania, ustawił go na dziedzińcu i obudził skazańca złowieszczym zdaniem:

– Idziemy, Buendía – powiedział – wybiła twoja godzina.

– Ach, więc to było to – odpowiedział pułkownik – śniło mi się, że pękły mi wrzody.

Rebeka Buendía wstawała o trzeciej nad ranem, odkąd dowiedziała się, że Aureliano będzie rozstrzelany. W ciemnej sypialni, siedząc na łóżku wstrząsanym odgłosami chrapania Josego Arcadia, przez półotwarte okno patrzyła na mur cmentarny. Czekała cały tydzień z tym samym skrytym uporem, z jakim niegdyś wyczekiwała listów Pietra Crespiego. „Nie przyprowadzą go tutaj – mówił jej José Arcadio. – Rozstrzelają go o północy w koszarach, żeby nikt się nie dowiedział, kto dowodził

plutonem, i tam go od razu zakopią”. Rebeka wciąż czekała. „Są tak głupi, że go tu rozstrzelają”, odpowiadała. Tak była pewna, że umyśliła sposób otworzenia drzwi, żeby przesłać mu pożegnanie ręką. „Nie będą go prowadzić ulicą – twierdził José Arcadio – z sześcioma przestraszonymi żołnierzami. Wiedzą, że ludzie są gotowi na wszystko”. Nie zważając na logiczne dowodzenia męża, Rebeka tkwiła przy oknie.

– Zobaczysz, że są aż tak głupi – powtarzała.

We wtorek rano José Arcadio wypił już kawę i wypuścił psy, kiedy Rebeka zatrzasnęła okno i uchwyciła poręcz łóżka, żeby nie upaść. „Prowadzą go – jęknęła. – Jak pięknie wygląda!”. José Arcadio wyjrzał przez okno i zobaczył brata drżącego z zimna w jasności poranka, w spodniach, które w młodości należały do niego. Stał już zwrócony plecami do muru, z rękami na biodrach, bo palące guzy pod pachami nie pozwalały mu ich opuścić. „Tyle rozrabiania – mruczał pułkownik Aureliano Buendía. – Tyle pieprzenia po to, żeby człowieka zamordowało sześciu tchórzy i nic się nie dało zrobić”. Powtarzał to z taką wściekłością, że sprawiało to wrażenie religijnego zapału i kapitan Roque Carnicero wzruszył się, przypuszczając, że pułkownik się modli. Kiedy pluton wziął go na cel, furia zmaterializowała się w jakąś substancję kleistą i gorzką, która sparaliżowała mu język i zmusiła do zamknięcia oczu. Wtedy zniknął metaliczny blask świtu i Aureliano zobaczył siebie jako małego chłopca, w krótkich spodenkach, z kokardą przy kołnierzyku, i swego ojca prowadzącego go do wnętrza namiotu w pewne słoneczne popołudnie, i ujrzał przed sobą lód. Kiedy usłyszał krzyk, pomyślał, że to komenda dla plutonu. Otworzył oczy z mrożącą krew w żyłach ciekawością, oczekując spotkania z ognistą trajektorią kul, ale zobaczył tylko kapitana Roque’a Carnicera z rękami podniesionymi do góry i Josego Arcadia przechodzącego na drugą stronę ulicy ze swoją straszliwą dubeltówką złożoną do strzału.

– Nie strzelaj pan – powiedział kapitan do Josego Arcadia. – To Opatrzność pana przysyła.

Tak rozpoczęła się nowa wojna. Kapitan Roque Carnicero i jego sześciu ludzi ruszyli za pułkownikiem Aurelianem Buendíą, żeby uwolnić generała rewolucji Victoria Medinę, skazanego na śmierć w Riohacha. Zamierzali zyskać na czasie, przechodząc przez góry drogą, którą szedł José Arcadio

Buendía, aby założyć Macondo, ale przed upływem tygodnia przekonali się, że jest to zamiar nie do wykonania. Musieli więc przebyć niebezpieczny szlak stromych skał, bez amunicji, oprócz tej, którą rozporządzał pluton egzekucyjny. Biwakowali w pobliżu miasteczek i jeden z żołnierzy ze złotą rybką w ręku szedł tam w biały dzień i nawiązywał kontakt z zakonspirowanymi liberałami, którzy następnego dnia ruszali na polowanie, żeby już nie wrócić. Kiedy z dalekiej przełęczy dostrzegli Riohacha, generał Victorio Medina został już rozstrzelany. Powstańcy ogłosili pułkownika Aureliana Buendíę przywódcą sił rewolucyjnych wybrzeża karaibskiego w randze generała. Przyjął stanowisko, ale odrzucił awans i przyrzekł sobie, że nie przyjmie go, dopóki nie obali rządów konserwatystów. Po trzech miesiącach zdołał uzbroić ponad tysiąc ludzi, ale prawie wszyscy wyginęli. Ocaleni dotarli do granicy wschodniej. Następna wieść o nich głosiła, że wylądowali na przylądku Vela, przybywając z archipelagu Antyli. Wkrótce potem telegraficzny komunikat rządowy, rozpowszechniony na cały kraj, podał wiadomość o śmierci pułkownika Aureliana Buendíi. Niemniej w dwa dni później inny telegram z niemal równym rozgłosem jak poprzedni doniósł o wybuchu rebelii na równinach południowych. Tak zaczęła się legenda o wszechobecności pułkownika Aureliana Buendíi. Równoczesne i sprzeczne z sobą informacje głosiły, że zwyciężył w Villanueva, że poniósł klęskę w Guacamayal, że zjedli go Indianie tubylcy z Motilón, że zmarł w pewnej wsi na moczarach i stanął na czele nowego powstania w Urumita. Przywódcy liberałów, prowadzący wówczas rokowania w sprawie reprezentacji w parlamencie, ogłosili go awanturnikiem, który nie może reprezentować partii. Rząd narodowy obwołał go bandytą i wyznaczył za jego głowę cenę pięciu tysięcy pesos. Po szesnastu porażkach pułkownik Aureliano Buendía wyszedł z Guajiry z dwoma tysiącami dobrze uzbrojonych Indian i zaskoczywszy garnizon podczas snu, opanował Riohacha. Tu ustanowił swoją kwaterę główną i ogłosił wojnę totalną przeciwko rządowi. Pierwszą wiadomością, jaką otrzymał od rządu, była pogróżka rozstrzelania pułkownika Gerinelda Marqueza w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, jeżeli pułkownik Buendía nie wycofa się ze swoimi siłami aż do granicy wschodniej. Pełen konsternacji pułkownik Roque Carnicero, ówczesny szef sztabu, wręczył mu telegram. Aureliano jednak przeczytał go z nieoczekiwaną radością.

– To świetnie – wykrzyknął. – Mamy więc już telegraf w Macondo.

Jego odpowiedź była jednoznaczna. W ciągu trzech miesięcy zamierza przenieść siedzibę sztabu generalnego do Macondo. Jeżeli nie zastanie przy życiu pułkownika Gerinelda Marqueza, rozstrzela bez sądu wszystkich oficerów, których w tym czasie będzie miał w niewoli, poczynając od generałów, i wyda swoim podwładnym rozkazy, aby postępowali w podobny sposób aż do zakończenia wojny. W trzy miesiące później, gdy wszedł jako zwycięzca do Macondo, pierwszym, który go witał na drodze, był pułkownik Gerineldo Márquez.

Dom był pełen dzieci. Na żądanie Urszuli zamieszkała tam Santa Sofía de la Piedad ze starszą córką i bliźniętami urodzonymi w pięć miesięcy po rozstrzelaniu Arcadia. Wbrew ostatniej woli rozstrzelanego Urszula ochrzciła dziewczynkę imieniem Remedios. „Jestem pewna, że to właśnie chciał Arcadio powiedzieć – oświadczyła. – Nie nazwiemy jej Urszula, bo to imię przynosi cierpienie”. Bliźniakom nadała imiona José Arcadio Drugi i Aureliano Drugi. Amaranta zajęła się wszystkimi dziećmi. Umieściła drewniane stołeczki w salonie i założyła przedszkole dla dzieci z sąsiedztwa. Kiedy wrócił pułkownik Aureliano Buendía wśród trzasku fajerwerków i bicia dzwonów, w domu przywitał go chór dziecięcy. Aureliano José, wysoki jak jego dziadek, ubrany jak oficer rewolucji, oddał mu honory wojskowe.

Nie wszystkie wiadomości były pomyślne. W rok po ucieczce pułkownika Aureliana Buendíi José Arcadio i Rebeka zamieszkali w domu zbudowanym przez Arcadia. Nikt nie dowiedział się o ich interwencji podczas egzekucji Aureliana. Nowy budynek położony w najlepszym punkcie rynku, w cieniu migdałowca ulubionego przez drozdy, które założyły tam aż trzy gniazda, z wielkimi drzwiami wejściowymi i czterema oknami, stał się domem otwartym dla gości. Dawne przyjaciółki Rebeki, wśród nich cztery siostry Moscote, dotychczas niezamężne, wznowiły popołudniowe gawędy przy hafcie, przerwane przed laty na ganku z begoniami. José Arcadio nadal korzystał z zagarniętych bezprawnie ziem, których tytuły własności zostały uznane przez rząd konserwatystów. Co dzień pod wieczór widziano go powracającego konno ze sforą psów, dubeltówką i parą zajęcy przytroczoną do siodła. Pewnego wrześniowego popołudnia z powodu nadciągającej burzy powrócił do domu wcześniej niż

zwykle. Przywitał się z Rebeką w jadalni, uwiązał psy, zawiesił zające w kuchni, żeby je w odpowiednim czasie zasolić, i poszedł się przebrać do sypialni. Rebeka oświadczyła później, że kiedy jej mąż wszedł do sypialni, ona zamknęła się w łazience i nic nie słyszała. Wersja trudna do uwierzenia, ale nie było innej, bardziej prawdopodobnej, i nikt nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego Rebeka miałaby zamordować mężczyznę, który ją uszczęśliwił. Była to może jedyna tajemnica, której nigdy nie wyjaśniono w Macondo. Ledwo Arcadio zamknął drzwi sypialni, wystrzał z pistoletu wstrząsnął domem. Strużka krwi wypłynęła spod drzwi, przez cały salon, aż na ulicę, biegnąc prosto po nierównych chodnikach, w dół i pod górę, przepłynęła wzdłuż ulicę Turków, skręciła w prawo, a potem w lewo, załamała się pod kątem prostym przed domem Buendíów, wdarła się przez zamknięte drzwi do salonu, biegnąc tuż przy ścianie, by nie brudzić dywanu, potem przez następny pokój, okrążyła z daleka stół w jadalni, przecięła ganek z begoniami, przepływając niepostrzeżenie pod krzesłem Amaranty, która w tej chwili miała lekcję arytmetyki z Aurelianem Josem, przebiegła przez spiżarnię i pojawiła się w kuchni, gdzie Urszula zamierzała wbić trzydzieści sześć jajek do ciasta.

– Matko Najświętsza! – krzyknęła Urszula.

Pobiegła śladem krwi w przeciwnym kierunku, poszukując jej źródła, przez spiżarnię, przez ganek z begoniami, gdzie Aureliano José skandował, że trzy plus trzy to sześć, a sześć i trzy to dziewięć, biegła dalej przez jadalnię i salony, na ulicę, wciąż za strumyczkiem krwi, skręciła w prawo, potem w lewo, aż na ulicę Turków, nie pamiętając, że wciąż ma na sobie fartuch piekarski i bambosze. Potem znalazła się na rynku i po śladach czerwonej strużki weszła do domu, w którym nigdy przedtem nie była. Pchnęła drzwi do sypialni, krztusząc się dymem spalonego prochu, i znalazła Josego Arcadia leżącego twarzą do podłogi na sztylpach, które zdążył jeszcze ściągnąć, i zobaczyła źródło strugi krwi, która przestała już płynąć z jego prawego ucha. Na ciele nie znaleziono żadnej rany i nie zdołano odnaleźć broni. Nie można było także pozbyć się ostrego zapachu prochu, który wydzielały zwłoki. Najpierw wyszorowano trupa trzykrotnie mydłem i szczotką, potem nacierano go solą i octem, następnie popiołem i cytryną, a wreszcie wsadzono do beczki z ługiem i pozostawiono na sześć godzin. Tyle go szorowano, że zaczęły się odbarwiać arabeski tatuażu.

Kiedy wpadli na rozpaczliwy pomysł przyprawienia go pieprzem, kminkiem i liściem laurowym i podgrzewania na małym ogniu, zaczął rozkładać się i trzeba go było czym prędzej pogrzebać. Zamknięto go hermetycznie w specjalnej trumnie, dwa metry i trzydzieści centymetrów długości, jeden metr i dziesięć centymetrów szerokości, umocnionej wewnątrz sztabami żelaza i przykręcanej śrubami ze stali, ale nawet wtedy czuć było jeszcze odór na ulicach, którymi przeszedł pogrzeb. Ojciec Nicanor, ze spuchniętą wątrobą i brzuchem napiętym jak bęben, pobłogosławił trumnę ze swego łóżka. Chociaż po kilku miesiącach wzmocniono grób nadbudową murów i wsypano między ściany sprasowany popiół, trociny i niegaszone wapno, cmentarz cuchnął prochem jeszcze przez wiele lat, do czasu, kiedy inżynierowie z Kompanii Bananowej przykryli grób pancerzem z betonu. Zaledwie wyniesiono jego trupa, Rebeka zamknęła drzwi swego domu i pogrzebała się żywcem pod grubą skorupą pogardy dla świata, której żadna pokusa ziemska nie zdołała przebić. Pewnego razu, bardzo już wiekowa, wyszła na ulicę w pantoflach koloru starego srebra i w kapeluszu zdobnym w maleńkie kwiatuszki, w czasie gdy nawiedził miasto Żyd Wieczny Tułacz, i sprowadziła upał tak straszliwy, że ptaki przebijały druciane siatki w oknach, żeby wyzionąć ducha w sypialniach. Ostatni raz widziano ją żywą, kiedy celnym strzałem uśmierciła złodzieja, który usiłował wyważyć drzwi jej domu. Oprócz Argenidy, służącej i powiernicy, nikt się z nią odtąd nie stykał. W swoim czasie mówiono, że pisuje listy do biskupa, którego uważała za swego ciotecznego brata, ale nie dowiedziano się, czy otrzymała odpowiedź. Miasto zapomniało o niej.

Mimo swego triumfalnego powrotu pułkownik Aureliano Buendía nie dał się zwieść pozorom. Wojska rządowe ustępowały bez oporu, co wywoływało wśród liberalnej ludności złudzenie zwycięstwa, którego nie należało rozpraszać, ale rewolucjoniści znali prawdę, a przede wszystkim znał ją pułkownik Aureliano Buendía. Chociaż w obecnej chwili miał pod swoją komendą przeszło pięć tysięcy ludzi i rządził w dwóch stanach nadmorskich, zdawał sobie sprawę, że jest przyparty do morza i uwikłany w sytuację polityczną tak niejasną, że gdy rozkazał odbudować wieżę kościelną zburzoną wystrzałem armatnim wojska, ojciec Nicanor na swoim łożu boleści oświadczył: „To nie do pojęcia, obrońcy wiary Chrystusa burzą

świątynię, a masoni ją odbudowują”. Szukając wyjścia z matni, Aureliano spędzał całe godziny w biurze telegraficznym, rozmawiając z dowódcami innych placówek, i coraz bardziej ulegał wrażeniu, że wojna znalazła się w ślepym zaułku. Kiedy nadchodziły wieści o nowych triumfach liberałów, ogłaszano je w radosnych komunikatach, ale on mierzył na mapie prawdziwy zasięg swej władzy i rozumiał, że jego zwolennicy coraz dalej brną w puszczę, broniąc się przed malarią i komarami, posuwając się w kierunku odwrotnym do rzeczywistości. „Tracimy czas – skarżył się swoim oficerom. – Tracimy czas, kiedy tamci tchórze z partii żebrzą o stołek w parlamencie”. W bezsenne noce, leżąc na wznak w hamaku zawieszonym w tej samej izbie, gdzie kiedyś czekał na egzekucję, przywoływał przed oczy obraz ubranych na czarno adwokatów opuszczających w chłodny poranek pałac prezydencki, w paltach z kołnierzami podniesionymi aż do uszu, rozcierających ręce, szepczących, szukających schronienia w ciemnych kawiarenkach, żeby rozważyć, co chciał powiedzieć prezydent, mówiąc „tak” albo co rozumiał, kiedy powiedział „nie”, albo nawet zastanawiać się, co prezydent myślał, mówiąc o rzeczy zupełnie innej, podczas gdy on, Aureliano Buendía, odganiał komary w temperaturze trzydziestu pięciu stopni, czując, że zbliża się straszliwy ranek, kiedy będzie musiał wydać swoim ludziom rozkaz rzucenia się do morza.

Którejś niespokojnej nocy, kiedy Pilar Ternera śpiewała na dziedzińcu z żołnierzami, poprosił ją o wróżbę z kart.

– „Pilnuj swoich ust” – było wszystkim, co udało się jej odczytać po trzykrotnym złożeniu i rozłożeniu kart. – Nie wiem, co to znaczy, ale sygnał jest bardzo jasny: uważaj na usta.

W dwa dni później ktoś podał ordynansowi kubek z niesłodzoną kawą, a ten dał go drugiemu, a tamten jeszcze następnemu, aż z ręki do ręki kubek dotarł do biurka pułkownika Aureliana Buendíi. Nie prosił przedtem o kawę, ale skoro ją przyniesiono, wypił. Zawierała dozę trucizny z orzecha wystarczającą do zabicia konia. Kiedy zaniesiono go do domu, był już sztywny, wygięty w łuk, z wywalonym na wierzch językiem. Urszula wyrwała go śmierci. Po wypłukaniu żołądka środkami na wymioty owinęła go w gorące pledy i karmiła białkami przez dwa dni do czasu, gdy wyniszczone ciało odzyskało normalną temperaturę. Czwartego dnia

niebezpieczeństwo minęło. Wbrew własnej woli, pod presją Urszuli i oficerów pozostał w łóżku jeszcze tydzień. Dopiero wtedy dowiedział się, że nie spalono jego wierszy. „Nie chciałam się spieszyć – wytłumaczyła mu Urszula. – Tamtej nocy, kiedy miałam zamiar rozpalić piec, pomyślałam sobie, że lepiej będzie poczekać, aż przyniosą zwłoki”. W mgle rekonwalescencji, w otoczeniu zakurzonych lalek Remedios, pułkownik Aureliano Buendía, czytając wiersze, przypominał sobie decydujące momenty swego życia. Znów zaczął pisać. Przez wiele godzin, z dala od zmiennych losów wojny bez perspektywy, utrwalał w rymowanych wierszach swoje przeżycia na krawędzi śmierci. I wtedy jego myśli stały się tak jasne, że mógł widzieć na wskroś. Pewnego wieczoru zapytał pułkownika Gerinelda Marqueza:

– Powiedz mi, bracie, jedną rzecz: dlaczego walczysz?

– Jak to dlaczego, bracie – odpowiedział pułkownik Gerineldo Márquez. – Walczę dla wielkiej partii liberalnej.

– Szczęśliwy jesteś, że to wiesz – powiedział Aureliano. – Ja za to teraz dopiero zrozumiałem, że walczę przez dumę.

– To źle – powiedział pułkownik Gerineldo Márquez.

Pułkownika Aureliana Buendíę śmieszyło jego przerażenie.

– Oczywiście – powiedział. – Ale tak czy inaczej lepsze to, niż nie wiedzieć, o co się walczy. – Spojrzał mu w oczy i dodał z uśmiechem: – Albo walczyć, jak ty, o coś, co nic dla nikogo nie znaczy.

Duma nie pozwalała mu zbliżyć się do uzbrojonych grup wewnątrz kraju, dopóki kierownictwo partii nie odwoła publicznie swej deklaracji ogłaszającej go bandytą. Wiedział jednak, że gdy odrzuci te skrupuły, rozerwie błędne koło wojny. Okres rekonwalescencji pozwalał mu na rozmyślania. Skłonił Urszulę, żeby oddała mu resztę zakopanego kapitału rodzinnego i swoje liczne oszczędności, mianował pułkownika Gerinelda Marqueza przywódcą cywilnym i wojskowym Macondo i pojechał nawiązać kontakt z grupami powstańczymi wewnątrz kraju.

Pułkownik Gerineldo Márquez był nie tylko człowiekiem, któremu najbardziej ufał pułkownik Aureliano Buendía, ale i Urszula traktowała go jak członka rodziny. Delikatny, nieśmiały, uprzejmy z natury, był jednak bardziej stworzony do wojny niż do rządzenia. Jego doradcy polityczni

omotywali go z łatwością labiryntami teorii. Mimo to zdołał narzucić w Macondo atmosferę sielskiego spokoju, wymarzoną przez pułkownika Aureliana Buendíę, który chciał umrzeć ze starości, wyrabiając rybki ze złota. Mieszkał w domu swoich rodziców, ale jadał obiady u Urszuli dwa lub trzy razy w tygodniu. Uczył Aureliana Josego obchodzić się z bronią palną, dał mu przedwczesne wyszkolenie wojskowe i przez kilka miesięcy, za zgodą Urszuli, chłopiec mieszkał w koszarach, żeby zmężnieć. Jeszcze wiele lat przedtem, prawie jako dziecko, Gerineldo Márquez wyznał swoją miłość Amarancie. Była wtedy tak przejęta swoim nieodwzajemnionym uczuciem do Pietra Crespiego, że go wyśmiała. Gerineldo Márquez czekał. Przy pewnej okazji przysłał Amarancie kartkę z więzienia, prosząc ją o wyhaftowanie tuzina chusteczek z inicjałami jego ojca. Przysłał na to pieniądze. Po upływie tygodnia Amaranta zaniosła mu do więzienia tuzin wyhaftowanych chusteczek wraz z pieniędzmi i przez wiele godzin rozmawiali o przeszłości. „Kiedy stąd wyjdę, ożenię się z tobą” – powiedział jej Gerineldo Márquez na pożegnanie. Amaranta roześmiała się, ale często o nim myślała, ucząc dzieci pisać i czytać, i pragnęłaby wskrzesić dla niego młodzieńczą miłość, jaką darzyła niegdyś Pietra Crespiego. W soboty, w dniu odwiedzin więźniów, wstępowała do domu rodziców Gerinelda Marqueza i towarzyszyła im do więzienia. Jednej z tych sobót Urszula zdumiała się, widząc ją w kuchni, czekającą na wyjęcie z pieca babeczek, a potem wybierającą najładniejsze, by je zawinąć w serwetkę, specjalnie na ten cel wyhaftowaną.

– Wyjdź za niego za mąż – powiedziała jej. – Niełatwo znajdziesz drugiego takiego jak on.

Amaranta wzruszyła ramionami z udaną niechęcią.

– Nie potrzebuję polować na mężczyzn – odpowiedziała. – Zanoszę te babeczki Gerineldowi dlatego, że mi go żal, bo prędzej czy później go rozstrzelają.

Powiedziała to ot, tak sobie, ale wtedy właśnie rząd publicznie zagroził rozstrzelaniem pułkownika Gerinelda Marqueza, jeżeli siły rebelianckie nie oddadzą Riohacha. Wstrzymano odwiedziny w więzieniu. Amaranta zamknęła się, żeby płakać, przybita uczuciem winy podobnym do tego, które ją dręczyło po śmierci Remedios, tak jakby znów jej bezmyślne słowa były przyczyną nieszczęścia. Matka pocieszała ją. Zapewniała, że

pułkownik Aureliano Buendía zrobi coś, żeby przeszkodzić egzekucji, i przyrzekła sama się zająć przyciągnięciem do domu Gerinelda Marqueza, kiedy skończy się wojna. Dotrzymała obietnicy jeszcze przed terminem. Kiedy Gerineldo Márquez wyszedł z więzienia, obdarzony nowym zaszczytem dowódcy cywilnego i wojskowego, przyjęła go jak syna, dogadzała mu na wszelkie sposoby, by go zatrzymać, i prosiła całym sercem, żeby przypomniał sobie swój zamiar poślubienia Amaranty. Wydawało się, że jej prośby będą spełnione. W dni, kiedy przychodził do nich na obiad, pułkownik Gerineldo Márquez zostawał całe popołudnie na ganku z begoniami, grając z Amarantą w warcaby. Urszula przynosiła im kawę z mlekiem i babeczkami i zajmowała się dziećmi, żeby im nie przeszkadzały. Amaranta w istocie usiłowała rozniecić w swym sercu wystygły żar młodzieńczej miłości. Z niecierpliwością, która z czasem stała się nieznośna, wyczekiwała dni obiadów, popołudni przy warcabach, a czas mijał niepostrzeżenie w towarzystwie tego wojownika o melancholijnym imieniu, którego palce drżały niewidocznie, przesuwając pionki. Ale w dniu, w którym pułkownik Gerineldo Márquez powtórnie wyraził swoją chęć poślubienia jej, odpowiedziała odmownie.

– Nie wyjdę za mąż za nikogo – powiedziała mu – a tym bardziej za ciebie. Tak bardzo kochasz Aureliana, że chcesz żenić się ze mną, bo z nim nie możesz.

Pułkownik Gerineldo Márquez był cierpliwym człowiekiem.

– Będę nalegał – powiedział – prędzej czy później przekonam cię.

Odwiedzał ją nadal. Zamknięta w swojej sypialni, tłumiąc tajemne łkanie, Amaranta zatykała palcami uszy, by nie słyszeć głosu adoratora, który przekazywał Urszuli ostatnie wiadomości z wojny, i chociaż umierała z chęci zobaczenia pułkownika, nie miała sił wyjść do niego.

Pułkownik Aureliano Buendía znajdował wtedy czas, żeby przesyłać co dwa tygodnie dokładne sprawozdanie do Macondo. Ale tylko raz – prawie osiem miesięcy po swoim odejściu – napisał do Urszuli. Specjalny posłaniec przyniósł do domu zalakowaną kopertę, wewnątrz której znajdowała się zapisana piękną kaligrafią pułkownika kartka: „Pilnujcie ojca, bo wkrótce umrze”. Urszula przeraziła się. „Jeżeli Aureliano to mówi, to Aureliano wie”. I zażądała pomocy, żeby sprowadzić Josego Arcadia

Buendíę do sypialni. Był cięższy niż kiedykolwiek, bo długoletni pobyt pod kasztanem rozwinął w nim zdolność dowolnego przybierania na wadze tak dalece, że siedmiu mężczyzn nie mogło go unieść, i trzeba było zawlec go do łóżka. Zapach świeżych grzybów, narośli drzewnych i skondensowanej wilgoci przepełnił powietrze, kiedy zaczął nim oddychać stary kolos, wyniszczony przez słońce i deszcz. Następnego dnia rankiem nie znaleziono go w łóżku. Po przeszukaniu całego domu Urszula zobaczyła go znowu pod kasztanem. Wtedy przywiązała go do łóżka. Pomimo swojej nienaruszalnej siły, José Arcadio Buendía nie był już zdolny do walki. Było mu wszystko jedno. Jeśli przedtem wrócił pod kasztan, to nie z własnej woli, ale z przyzwyczajenia ciała. Urszula obsługiwała go, dawała mu jeść, przynosiła wiadomości o Aurelianie. Ale w rzeczywistości jedyną osobą, z którą pozostawał już od dawna w kontakcie, był Prudencio Aguilar, obrócony w proch w głębokich mrokach śmierci. Prudencio Aguilar przychodził dwa razy dziennie na pogawędkę. Rozmawiali o kogutach. Przyrzekali sobie założyć hodowlę wspaniałych ptaków nie po to, by odnosić zwycięstwa, już wtedy im niepotrzebne, ale by mieć czym się zabawić w nudne niedziele śmierci. To Prudencio Aguilar mył go i karmił, i przynosił wspaniałe wiadomości o nieznajomym, który nazywał się Aureliano i był pułkownikiem na wojnie. Gdy zostawał sam, José Arcadio Buendía znajdował pociechę we śnie o długim, niekończącym się rzędzie pokojów. Śniło mu się, że podnosi się z łóżka, otwiera drzwi i przechodzi do drugiego identycznego pokoju z takim samym łóżkiem o wezgłowiu z kutego żelaza, z takim samym wiklinowym fotelem i obrazem Najświętszej Panny de los Remedios na ścianie w głębi. Z tego pokoju przechodzi do następnego, również identycznego, potem jeszcze do następnego, i tak dalej w nieskończoność. Lubił przechodzić z pokoju do pokoju niby galerią luster do chwili, gdy Prudencio Aguilar dotykał jego ramienia. Wtedy budził się i wracał z pokoju do pokoju, przebiegając drogę powrotną, i znajdował Prudencia Aguilara w pokoju rzeczywistości. Ale pewnej nocy, w dwa tygodnie po sprowadzeniu go spod kasztana do sypialni, Prudencio Aguilar dotknął jego ramienia w którymś pokoju przejściowym, a on pozostał tam na zawsze, myśląc, że to pokój rzeczywistości. Nazajutrz rano Urszula niosła mu śniadanie, kiedy zobaczyła zbliżającego się korytarzem mężczyznę. Był niski i pomarszczony, w ubraniu z czarnego sukna i kapeluszu także czarnym,

olbrzymim, nasuniętym na milczące oczy. Boże mój – pomyślała Urszula. – Przysięgłabym, że to Melquíades. Był to Cataure, brat Visitación, który odszedł, uciekając przed plagą bezsenności i o którym od tego czasu zaginął słuch. Visitación zapytała, dlaczego wrócił, a on odpowiedział swoim uroczystym językiem:

– Wróciłem na pogrzeb króla.

Wtedy weszli do pokoju Josego Arcadia Buendíi, szarpali go z całych sił, krzyczeli do ucha, przytknęli mu lusterko do ust, ale nie mogli go obudzić. Trochę później, gdy cieśla brał miarę na trumnę, zobaczyli przez okno padający deszcz maleńkich żółtych kwiatów. Padały całą noc jak milcząca burza, przykryły dachy, zatarasowały drzwi i przysypały na śmierć zwierzęta śpiące na dworze. Tyle ich spadło z nieba, że rankiem ulice były wyścielone grubym dywanem i trzeba było odgarniać kwiatuszki łopatami i grabiami, aby mógł przejść kondukt pogrzebowy.

Siedząc w wiklinowym fotelu z przerwaną robótką na kolanach, Amaranta patrzyła na Aureliana Josego, który z namydloną brodą ostrzył brzytwę o rzemień, aby po raz pierwszy w życiu się ogolić. Rokrwawił sobie policzki, przeciął górną wargę, usiłując wymodelować wąs z jasnego puszku, i nic się po tym wszystkim nie zmieniło, wyglądał jak przedtem, ale to pracowite zajęcie pozostawiło Amarancie wrażenie, że od tego momentu zaczęła się starzeć.

– Wyglądasz tak samo jak Aureliano, kiedy miał twoje lata – powiedziała. – Jesteś już dorosłym mężczyzną.

Był nim od dawna, od tamtego odległego już dnia, kiedy Amaranta, uważając, że jest jeszcze dzieckiem, nadal rozbierała się przy nim w łazience jak zawsze, od czasu, gdy Pilar Ternera oddała go w jej ręce dla dokończenia jego edukacji. Kiedy pierwszy raz ją zobaczył, jedyną rzeczą, jaka zwróciła jego uwagę, był głęboki rowek między piersiami. Był wtedy tak naiwny, że zapytał, co jej się stało, a Amaranta udając, że wykopuje ten dołek końcami palców, odpowiedziała: „Tak mnie tu jakoś wycinali, kawałek po kawałku”. W jakiś czas później, kiedy przyszła do siebie po samobójczej śmierci Pietra Crespiego i zaczęła znowu kąpać się z Aurelianem Josem, ten już nie przyglądał się dołkowi, tylko odczuł nieznany dreszcz na widok wspaniałych piersi o fioletowych sutkach. Przyglądał się, odkrywając cal po calu cud jej intymności, i poczuł, że skóra na nim cierpnie podczas tych obserwacji, tak jak jej skóra cierpła w zetknięciu z wodą. Od wczesnego dzieciństwa miał zwyczaj wyłazić w nocy z hamaka i spać aż do rana w łóżku Amaranty, której bliskość rozpraszała jego strach przed ciemnością. Ale od dnia, kiedy uświadomił

sobie jej nagość, nie strach przed ciemnościami kazał mu wsuwać się za jej moskitierę, lecz chęć odczuwania ciepłego oddechu Amaranty o świcie. Pewnego poranka, w tym czasie, kiedy ona odrzuciła pułkownika Gerinelda Marqueza, Aureliano José obudził się z uczuciem, że brakuje mu tchu. Poczuł palce Amaranty niby robaczki, ciepłe i niecierpliwe, szukające jego brzucha. Udając, że śpi, zmienił pozycję, żeby usunąć wszelkie trudności, i wtedy uczuł rękę bez czarnego opatrunku buszującą jak ociemniały mięczak w dżungli jego pożądania. Chociaż udawali, że nie mają pojęcia o tym, co oboje wiedzieli i o czym jedno wiedziało, że wie drugie, od tamtej nocy połączyło ich nierozerwalne wspólnictwo. Aureliano José nie mógł zasnąć, dopóki nie usłyszał o północy walczyka zegara w salonie, a dojrzała dziewica, której skóra zaczynała się smucić, nie zaznała spokoju, dopóki nie czuła wślizgującego się pod moskitierę tego somnambulika, którego wychowała, nie myśląc, że będzie pocieszeniem jej samotności. Wtedy nie tylko spali razem, nadzy, wymieniając upajające pieszczoty, ale gonili się po zakątkach domu i zamykali się w sypialniach o pierwszej lepszej godzinie w ciągłym stanie niezaspokojonego podniecenia. Omal nie przyłapała ich na tym Urszula pewnego popołudnia, gdy weszła do spiżarni, a oni zaczynali się całować. „Bardzo kochasz swoją ciocię?” – zapytała niewinnie Aureliana Josego. Przytaknął. „To dobrze” – zawyrokowała Urszula, odmierzyła mąkę na chleb i wróciła do kuchni. Ten epizod ocucił Amarantę z szaleństwa. Zdała sobie sprawę, że zabrnęła za daleko i że już nie bawi się w pocałunki z dzieckiem, ale grzęźnie w spóźnionej namiętności, niebezpiecznej i beznadziejnej, i przerwała ją jednym cięciem. Aureliano José, który wówczas kończył swoje przeszkolenie wojskowe, pogodził się wreszcie z rzeczywistością i zaczął sypiać w koszarach. W soboty chodził z żołnierzami do sklepiku Catarina. W swojej nagłej samotności, w przedwczesnej dojrzałości, pocieszał się kobietami, które pachniały zwiędłymi liśćmi i które on idealizował w ciemnościach, aż wreszcie poprzez tęskne wysiłki jego wyobraźni przybierały postać Amaranty.

Wkrótce potem zaczęły nadchodzić sprzeczne wiadomości o wojnie. Podczas gdy sam rząd potwierdzał sukcesy rebelii, oficerowie w Macondo mieli tajne informacje na temat bliskich pertraktacji pokojowych. Pod koniec kwietnia specjalny emisariusz przybył do pułkownika Gerinelda

Marqueza. Potwierdził, że istotnie przywódcy partyjni nawiązali kontakt z dowódcami powstańców w głębi kraju i gotowi są podpisać rozejm w zamian za trzy teki ministerialne dla liberałów, reprezentację mniejszości w parlamencie i ogólną amnestię dla tych rebeliantów, którzy złożą broń. Emisariusz przynosił ściśle tajny rozkaz od pułkownika Aureliana Buendíi, który nie zgadzał się z warunkami zawieszenia broni. Pułkownik Gerineldo Márquez miał wybrać pięciu spośród swych najlepszych ludzi i przygotować się wraz z nimi do opuszczenia kraju. Rozkaz został wykonany w największej tajemnicy. Na tydzień przed ogłoszeniem układu, po północy, pośród burzy sprzecznych pogłosek, pułkownik Aureliano Buendía i dziesięciu zaufanych oficerów, wśród nich pułkownik Roque Carnicero, przybyli w tajemnicy do Macondo; rozpuścili garnizon, zakopali broń i zniszczyli całe archiwum. O świcie wyszli z miasta razem z pułkownikiem Gerineldem Marquezem i jego pięcioma oficerami. Operacja była tak szybka i skryta, że Urszula dowiedziała się o niej dopiero w ostatniej chwili, gdy ktoś zapukał do okna jej sypialni i szepnął: „Jeśli chce pani zobaczyć pułkownika Aureliana Buendíę, proszę zaraz wyjść do drzwi”. Urszula wyskoczyła z łóżka, wyszła na próg w nocnym stroju i ledwie zdołała dostrzec galopującą kawalkadę, która w niemym tumanie kurzu opuszczała miasto. Dopiero następnego dnia zorientowała się, że Aureliano José odjechał razem ze swoim ojcem.

W dziesięć dni po wspólnym komunikacie rządu i opozycji, ogłaszającym koniec wojny, doszły wieści o pierwszym zbrojnym powstaniu pułkownika Aureliana Buendíi na granicy zachodniej. Jego wojsko, szczupłe i źle uzbrojone, zostało rozbite w niecały tydzień. Niemniej w ciągu tego roku, podczas gdy liberałowie i konserwatyści starali się, by ludność kraju uwierzyła w pojednanie, zorganizował siedem nowych powstań. Pewnej nocy ostrzeliwał Riohacha ze szkunera, a wojsko garnizonowe, biorąc odwet, wyciągnęło z łóżek i rozstrzelało czternastu najbardziej znanych liberałów. Przez przeszło dwa tygodnie okupował graniczny urząd celny i stamtąd skierował do narodu odezwę nawołującą do powszechnej wojny. Jedna z jego ekspedycji zgubiła się w puszczy i błądziła trzy miesiące w absurdalnym wysiłku przebycia ponad tysiąca pięciuset kilometrów ziemi nietkniętej stopą człowieka po to, by proklamować wojnę na przedmieściach stolicy. Pewnego razu znajdował się

o dwadzieścia kilometrów od Macondo i oddziały rządowe zmusiły go do schronienia się w górach nieopodal zaczarowanej okolicy, gdzie jego ojciec wiele lat temu napotkał szkielet hiszpańskiego okrętu.

W tym czasie zmarła Visitación. Pozwoliła sobie na luksus śmierci naturalnej, zrezygnowawszy z tronu królewskiego w obawie przed bezsennością; w swej ostatniej woli kazała odkopać spod swego łóżka zaoszczędzoną w ciągu przeszło dwudziestu lat pensję i posłać ją pułkownikowi Aurelianowi Buendíi, żeby mógł dalej prowadzić wojnę. Ale Urszula nie zadała sobie trudu wydobycia tych pieniędzy, gdyż krążyły wówczas pogłoski, że pułkownik Aureliano Buendía został zabity podczas lądowania w pobliżu stolicy prowincji. Komunikat rządu – czwarty w ciągu niecałych dwóch lat – uważany był za wiarygodny prawie przez sześć miesięcy, ponieważ nie było wieści od pułkownika. I nagle, kiedy już Urszula i Amaranta nową żałobą zastąpiły poprzednie, nadeszła wiadomość osobliwa. Pułkownik Aureliano Buendía żył, ale prawdopodobnie przestał nękać rząd swego kraju i został zwolennikiem federalizmu, który triumfował w innych republikach karaibskich. Pojawiał się pod różnymi nazwiskami, coraz dalej od ojczyzny. Później dowiedziano się, że myślą, która go wówczas opanowała, było zjednoczenie sił federalnych w Ameryce Środkowej, aby obalić rządy konserwatywne od Alaski do Patagonii. Pierwszą bezpośrednią wiadomością, jaką Urszula otrzymała od niego w kilka lat po jego odejściu, był zmięty i zamazany list, przekazywany z rąk do rąk aż z Santiago de Cuba.

– Straciliśmy go na zawsze! – wykrzyknęła Urszula po przeczytaniu listu. – Jak tak dalej pójdzie, spędzi Boże Narodzenie na końcu świata.

Osobą, do której to powiedziała, pierwszą, której pokazała list, był generał konserwatystów José Raquel Moncada, alkad Macondo od zakończenia wojny. „Szkoda, że Aureliano nie jest konserwatystą” – powiedział na to generał Moncada. Podziwiał go naprawdę. Podobnie jak wielu konserwatystów cywilnych José Raquel Moncada bił się na wojnie w obronie swojej partii i osiągnął tytuł generała na polu bitwy, chociaż nie miał powołania wojskowego. Przeciwnie, jak wielu jego współstronników, był pacyfistą. Wojskowych uważał za intrygantów, próżniaków bez zasad, kierujących się tylko ambicją i przeciwstawiających się cywilom, żeby szerzyć zamęt i czerpać z tego korzyści. Inteligentny, sympatyczny

sangwinik, amator dobrej kuchni i fanatyk walki kogutów, był w pewnym momencie najgroźniejszym z przeciwników pułkownika Aureliana Buendíi. Zdołał narzucić swój autorytet zawodowym wojskowym w dużym sektorze wybrzeża. Kiedyś, gdy ze względów strategicznych musiał oddać pewną placówkę oddziałom pułkownika Aureliana Buendíi, zostawił dla niego dwa listy. W jednym z nich, bardzo obszernym, zapraszał go do wspólnej kampanii na rzecz humanitaryzacji wojny. Drugi list był dla jego żony, która mieszkała na terytorium zajętym przez liberałów, i prosił o przesłanie go do miejsca przeznaczenia. Od tego czasu nawet w okresach najbardziej zaciekłych walk obaj dowódcy zawierali rozejm w celu wymiany jeńców. Były to przerwy o charakterze odświętnym, z których generał Moncada korzystał, żeby uczyć grać w szachy pułkownika Aureliana Buendíę. Stali się wielkimi przyjaciółmi. Doszło nawet do tego, że obaj zaczęli rozmyślać nad możliwością skoordynowania elementów ludowych w obu partiach, żeby zlikwidować wpływy wojska i polityków zawodowych i wprowadzić humanitarny ustrój, który z każdej doktryny wziąłby to, co najlepsze. Kiedy skończyła się wojna i pułkownik Aureliano Buendía przemykał się po niepewnych drogach nieustającej dywersji, generał Moncada został mianowany corregidorem Macondo. Włożył cywilne ubranie, zamienił wojskowych na nieuzbrojonych policjantów, kazał przestrzegać praw amnestii i pomógł kilku rodzinom liberałów poległych w czasie kampanii. Uzyskał dla Macondo własny zarząd miejski, wskutek czego został jego pierwszym alkadem i stworzył atmosferę ufności i bezpieczeństwa, tak że o wojnie myślano jak o absurdalnym koszmarze przeszłości. Ojca Nicanora trawionego chorobą wątroby zastąpił ojciec Coronel, o przezwisku „El Cachorro”, weteran pierwszej wojny federalnej. Bruno Crespi, ożeniony z Amparo Moscote, właściciel wciąż kwitnącego i prosperującego sklepu z zabawkami i instrumentami muzycznymi, zbudował teatr i wkrótce zaczęły tam przyjeżdżać wędrowne zespoły hiszpańskie. Był to obszerny amfiteatr na świeżym powietrzu, z drewnianymi ławkami i aksamitną kurtyną zdobną w maski greckie, i miał trzy okienka kasowe w kształcie lwich głów, przez których otwarte paszcze sprzedawano bilety. Mniej więcej w tym okresie odbudowano szkołę. Zaopiekował się nią don Melchior Escalona, stary nauczyciel przysłany ze strefy moczarów, który za zgodą rodziców kazał leniwym uczniom chodzić na kolanach po kamiennym dziedzińcu, a gadatliwych zmuszał do jedzenia ostrego pieprzu.

Aureliano Drugi i José Arcadio Drugi, nieujarzmione bliźniaki, które urodziła Santa Sofía de la Piedad, pierwsi zasiedli na ławce w klasie, wyposażeni w tabliczki i kredki, a także aluminiowe kubki oznaczone ich imionami. Remedios, która odziedziczyła idealną piękność swej matki, zaczynała być znana jako Piękna Remedios. Pomimo upływu lat, prawie nieustającej żałoby i trosk, Urszula opierała się starości. Z pomocą Sofíi de la Piedad zwiększyła produkcję słodyczy i nie tylko odzyskała w parę lat fortunę, którą jej syn strwonił na wojnie, ale na nowo napełniła czystym złotem skrzynki zakopane w sypialni. „Póki Bóg mnie zachowa przy życiu – mawiała – nie zabraknie pieniędzy w tym domu wariatów". Taka była sytuacja, kiedy Aureliano José po dezercji z wojska federalnego w Nikaragui przyłączył się do załogi jakiegoś statku niemieckiego i pewnego dnia zjawił się w kuchni, zmęczony jak koń, muskularny i owłosiony jak Indianin, ze skrytym postanowieniem poślubienia Amaranty.

Kiedy Amaranta zobaczyła go wchodzącego, zanim jeszcze powiedział cokolwiek, wiedziała już, po co wrócił. Przy stole nie odważyli się patrzeć na siebie. Ale w dwa tygodnie po powrocie, w obecności Urszuli utkwił wzrok w jej oczach i powiedział: „Ciągle o tobie myślałem". Amaranta uciekała od niego. Unikała przypadkowych spotkań. Nie rozłączała się z Piękną Remedios. Kiedyś, gdy Aureliano José zapytał, jak długo ma zamiar nosić czarny bandaż na ręku, zrozumiała to pytanie jako aluzję do swego dziewictwa i wzburzył ją rumieniec, którym spłonęły jej policzki. Gdy wrócił, z początku zamykała się w sypialni na zasuwkę, ale przez tyle nocy słyszała jego spokojne chrapanie w przyległym pokoju, że zaniechała tej ostrożności. Pewnego ranka, o świcie, prawie w dwa miesiące po jego powrocie, usłyszała, że wchodzi do jej sypialni. Wtedy, zamiast uciekać, zamiast krzyczeć, jak go przedtem ostrzegła, dała się ponieść błogiemu ukojeniu. Czuła, jak wsuwa się pod moskitierę, tak samo jak w czasach, gdy był dzieckiem, tak samo jak zawsze, i oblana lodowatym potem nie mogła stłumić dzwonienia zębami, gdy zdała sobie sprawę, że jest zupełnie nagi. „Idź precz – szepnęła bezsilnie. – Odejdź, bo zacznę krzyczeć". Aureliano José wiedział wtedy, co ma robić, gdyż nie był już dzieckiem przerażonym ciemnością, ale obozowym zwierzęciem. Od tamtej nocy zaczęły się na nowo głuche walki bez skutku, przeciągające się aż do świtu.

„Jestem twoją ciotką – szeptała Amaranta wyczerpana. – Tak jakbym była twoją matką, z tą tylko różnicą, że cię nie wykarmiłam własną piersią”. Aureliano uciekał o świcie i wracał nazajutrz rankiem, coraz bardziej podniecony tym, że zastaje drzwi niezamknięte. Nie przestał pragnąć jej ani przez chwilę. Znajdował ją w ciemnych sypialniach zdobytych miast, zwłaszcza tych najbardziej poniżonych, w zapachu zaschniętej krwi na bandażach rannych, w nagłym lęku wobec niebezpieczeństwa śmierci, wszędzie i o każdej godzinie. Wciąż uciekał od niej, usiłując wymazać z pamięci jej wspomnienie nie tylko odległością, ale ogłuszającą furią, którą towarzysze broni uważali za brawurę; im głębiej jednak pogrążał jej obraz w gnoju wojny, tym bardziej wojna upodabniała się do Amaranty. Tak przecierpiał wygnanie, szukając sposobu zabicia jej swoją własną śmiercią, aż usłyszał kiedyś opowiadanie o człowieku, który ożenił się ze swoją własną ciotką, która oprócz tego była jego kuzynką, tak że jego syn okazał się w końcu swoim własnym dziadkiem.

– A czy można ożenić się z własną ciotką? – zapytał zdumiony.

– Nie tylko z ciotką – odpowiedział mu jakiś żołnierz. – Prowadzimy tę wojnę przeciw księżom właśnie po to, żeby człowiek mógł, jeśli zechce, żenić się ze swoją rodzoną matką!

W dwa tygodnie później uciekł z wojska. Zastał Amarantę jeszcze bardziej pociągającą, niż ją pamiętał, bardziej melancholijną i wstydliwą, i już przekraczającą ostatni stopień dojrzałości. „Jesteś kretyn – mówiła Amaranta osaczona przez niego jak zwierzę przez myśliwskie psy. – Nie wolno tego robić z ciotką, chyba że za specjalną dyspensą papieża”. Aureliano José przysięgał udać się do Rzymu, przysięgał przejść Europę na kolanach i ucałować sandały Ojca Świętego, byleby opuścił się zwodzony most.

– Nie tylko o to chodzi – broniła się Amaranta. – Potem rodzą się dzieci ze świńskim ogonem!

Aureliano José był głuchy na wszelkie argumenty.

– Nawet gdyby rodziły się pancerniki – błagał.

Pewnego ranka pokonany nieznośnym bólem tłumionej żądzy poszedł do sklepiku Catarina. Znalazł kobietę z obwisłymi piersiami, tkliwą i niedrogą, która uspokoiła na jakiś czas jego wzburzenie. Usiłował

zwyciężyć Amarantę pogardą. Widział ją na ganku szyjącą na ręcznej maszynie, którą nauczyła się posługiwać nadzwyczaj sprawnie, i nie odzywał się do niej ani słowem. Amaranta czuła się, jakby zdjęto z niej ciężar, i sama nie rozumiała, dlaczego zaczęła znowu myśleć o pułkowniku Gerineldzie Marquezie, dlaczego z taką tęsknotą wspomina popołudnia spędzone na grze w warcaby, a nawet pragnie go jako mężczyzny. Tej nocy, kiedy nie mogąc znieść dłużej udanej obojętności, wrócił do łóżka Amaranty, Aureliano José nie zdawał sobie sprawy, ile stracił. Odepchnęła go z nieugiętą stanowczością i zasunęła na zawsze rygiel swojej sypialni.

W kilka miesięcy po powrocie Aureliana Josego zjawiła się w domu kobieta o bujnych kształtach, pachnąca jaśminem, z dzieckiem mniej więcej pięcioletnim. Twierdziła, iż jest to syn pułkownika Aureliana Buendíi i przyniosła go tutaj, żeby Urszula nadała mu imię. Nikt nie zakwestionował pochodzenia nieznanego chłopca – wyglądał tak samo jak pułkownik w czasach, gdy zaprowadzono go do Cyganów, żeby zobaczył lód. Kobieta powiedziała, że urodził się z otwartymi oczyma, patrząc na ludzi jak człowiek dorosły, i że ją samą przeraża to nieruchome spojrzenie. „Wykapany Aureliano – powiedziała Urszula. – Brakuje tylko, żeby wzrokiem przenosił krzesła z miejsca na miejsce”. Ochrzczono go imieniem Aureliano i nadano nazwisko matki, gdyż zgodnie z prawem nie mógł nosić nazwiska ojca, dopóki ten go nie uzna. Generał Moncada trzymał go do chrztu. Mimo nalegań Amaranty, żeby jej oddać chłopca na wychowanie, matka nie zgodziła się.

Urszula nie znała wówczas zwyczaju posyłania dziewic do sypialni wojowników, tak jak się dopuszcza kury do rasowych kogutów, ale miała okazję go poznać w ciągu tego roku, gdy przybyło do jej domu jeszcze dziewięciu synów pułkownika Aureliana Buendíi, których musiała ochrzcić. Najstarszy, z czarnymi włosami i zielonymi oczyma, w niczym niepodobny do ojca, miał już przeszło dziesięć lat. Przynoszono dzieci w różnym wieku i o różnych odcieniach skóry, ale samych chłopców, i wszyscy byli naznaczeni tym dziwnym piętnem samotności, które nie pozwalało wątpić w pokrewieństwo. Tylko dwóch wyróżniało się wśród reszty grupy. Jeden, wyrośnięty ponad swój wiek, potłukł niezliczone mnóstwo wazonów i sztuk porcelany, ponieważ jego ręce zdawały się mieć właściwość rozbijania w szczątki wszystkiego, czegokolwiek dotykały. Drugi, o takich samych

niebieskich oczach jak matka, z jasnymi długimi włosami w lokach jak dziewczynka, wszedł do domu tak swobodnie, jakby się w nim chował, pobiegł prosto do skrzyni w sypialni Urszuli i oświadczył: „Chcę tancerkę na linie”. Urszula się przeraziła. Otworzyła skrzynię, przeszukała wszystkie stare rupiecie, nieodkurzane od czasów Melquiadesa, i znalazła zawiniętą w parę pończoch tancerkę na linie, którą niegdyś przyniósł do domu Pietro Crespi i o której nikt już nie pamiętał. W ciągu niecałych dwunastu lat ochrzczono imieniem Aureliana i nazwiskiem matki wszystkich synów, których spłodził pułkownik wzdłuż i wszerz terenów objętych wojną – siedemnastu. Z początku Urszula napełniała im kieszenie pieniędzmi, a Amaranta chciała zatrzymać ich w domu. Później jednak ograniczono się do prezentów i trzymania do chrztu. „Spełniamy nasz obowiązek – mówiła Urszula, zapisując w notesiku nazwisko i adres matek oraz miejsce i datę urodzenia dzieci. – Aureliano na pewno dobrze prowadzi swoją buchalterię, więc sam będzie decydował, jak wróci”. Kiedyś podczas obiadu, na który zaprosiła generała Moncada, gdy była mowa o tej zadziwiającej płodności, wyraziła nadzieję, że pułkownik Aureliano Buendía wróci pewnego dnia, żeby zgromadzić wszystkich swoich synów w domu.

– Niech się pani nie martwi, kumo – powiedział enigmatycznie generał Moncada. – Wróci prędzej, niż sobie to pani wyobraża.

Generał Moncada wiedział, choć nie chciał tego powiedzieć podczas obiadu, że pułkownik Aureliano Buendía jest już w drodze, żeby stanąć na czele rebelii najdłuższej, najbardziej radykalnej i krwawej spośród wszystkich, których dotychczas próbowano.

Sytuacja znowu stała się tak napięta jak przed pierwszą wojną. Przerwano walki kogutów popierane przez samego alkada. Kapitan Aquiles Ricardo, dowódca garnizonu, praktycznie objął władzę w miasteczku. Liberałowie wskazywali na niego jako na prowokatora. „Stanie się coś strasznego – mówiła Urszula do Aureliana Josego. – Nie wychodź na ulicę po szóstej wieczorem”. Były to daremne prośby. Aureliano José, jak niegdyś Arcadio, przestał już do niej należeć. Tak jakby powrót do domu, możliwość życia bez troszczenia się o codzienne potrzeby rozbudziły w nim skłonności odziedziczone po stryju Josem Arcadiu. Jego namiętność do Amaranty zgasła, nie pozostawiając blizn. Chodził samopas, grywał w bilard, znajdując pociechę samotności w przypadkowym towarzystwie

kobiet, przeszukując zakamarki, gdzie Urszula zostawiała pieniądze, których zapomniała schować. W końcu przychodził do domu tylko po czystą bieliznę. „Wszyscy są tacy sami – lamentowała Urszula. – Póki mali, dobrze się chowają, są grzeczni, potulni, jakby muchy nie potrafili zabić, ale niech tylko puści się im wąs, zaraz się łajdaczą”. W przeciwieństwie do Arcadia, który do końca nie znał swojego prawdziwego pochodzenia, Aureliano José dowiedział się, że jest synem Pilar Ternery, która zawiesiła dla niego hamak w swoim domu, żeby tam sypiał. Bardziej niż matką i synem byli współtowarzyszami samotności. Pilar Ternera straciła już wszelkie nadzieje. Jej śmiech przybrał głębokie tony organów, piersi skapitulowały w nudzie zdawkowych pieszczot, brzuch i uda padły ofiarą nieuchronnego losu kobiety dzielonej między wielu, ale serce starzało się bez goryczy. Gruba, gadatliwa, z dostojeństwem matrony dotkniętej nieszczęściem wyrzekła się daremnej iluzji kart i znalazła źródło pociechy w cudzych miłościach. W jej domu, gdzie Aureliano José sypiał po obiedzie, dziewczęta z sąsiedztwa przyjmowały swoich przypadkowych kochanków. „Użycz mi pokoju, Pilar” – mówiły po prostu, gdy już do niego weszły. „Naturalnie” – odpowiadała Pilar. A jeżeli ktoś inny był przy tym obecny, tłumaczyła:

– Jestem szczęśliwa, wiedząc, że ludzie znajdują radość w łóżku.

Nigdy nie brała pieniędzy za usługę. Nigdy nie odmawiała uprzejmości, tak jak nigdy nie odmówiła niezliczonym mężczyznom, którzy szukali jej nawet u schyłku lat dojrzałych, nie dając jej pieniędzy ani miłości, a tylko czasami przyjemność. Pięć córek, które odziedziczyły jej gorący temperament, rozproszyło się po bezdrożach życia od najwcześniejszych lat młodości. Z dwóch chłopców, których zdołała wychować, jeden zginął, walcząc w szeregach pułkownika Aureliana Buendíi, a drugi został ranny i uwięziony w wieku czternastu lat, kiedy próbował skraść stadko kur w jednej wsi na moczarach. Aureliano José był w pewien sposób tym wysokim i ciemnym mężczyzną, którego przez pół wieku oznajmiał jej król pikowy i który, jak wszyscy wysłannicy kart, dotarł do jej serca, kiedy był już naznaczony znakiem śmierci. Zobaczyła to w kartach.

– Nie wychodź wieczorem – powiedziała mu. – Zostań tutaj, bo Carmelita Montiel tyle razy już mnie prosiła, żeby ją wpuścić do twojego pokoju.

Aureliano José nie zrozumiał głębokiego sensu prośby ukrytej w tej ofercie.

– Powiedz jej, żeby na mnie czekała o północy – odezwał się.

Poszedł do teatru, gdzie pewna trupa hiszpańska wystawiała sztukę *Sztylet Lisa*[6], która była w rzeczywistości sztuką Zorilli z tytułem zmienionym na rozkaz kapitana Aquilesa Ricarda, gdyż liberałowie pogardliwie nazywali konserwatystów „Gotami". Dopiero w chwili oddawania biletu przy wejściu Aureliano José zorientował się, że kapitan Aquiles Ricardo wraz z dwoma uzbrojonymi w karabiny żołnierzami obmacuje kieszenie w poszukiwaniu broni.

„Ostrożnie, kapitanie – uprzedził go Aureliano José. – Jeszcze się nie narodził mężczyzna, któremu pozwoliłbym się tknąć palcem". Kapitan próbował zrewidować go siłą i wtedy Aureliano José, który nie miał broni, zaczął uciekać. Ale żołnierze, wbrew rozkazowi, nie chcieli strzelać. „Nosi nazwisko Buendía" – wytłumaczył jeden z nich. Oślepiony furią kapitan wyrwał mu karabin, wypadł na środek ulicy i wycelował.

– Bydlęta – krzyknął – szkoda, że to nie sam pułkownik Aureliano Buendía!

Carmelita Montiel, dwudziestoletnia dziewica, skończyła kąpać się w wodzie pachnącej kwiatem pomarańczowym i posypywała liśćmi rozmarynu łóżko Pilar Ternery, kiedy padł strzał. Aureliano José miał według kart zaznać z nią szczęścia, którego odmówiła mu Amaranta, mieć siedmioro dzieci i umrzeć ze starości w jej ramionach, ale kulą z karabinu, która trafiła go w plecy i rozerwała pierś, kierowała zła interpretacja wróżby. Kapitan Aquiles Ricardo, ten, któremu w rzeczywistości sądzona była śmierć tej nocy, zmarł istotnie w cztery godziny przed Aurelianem Josem. Ledwie ucichło echo jego strzału, powaliły go dwa inne, oddane równocześnie, nigdy nie ustalono przez kogo, i potężny krzyk wstrząsnął nocą.

– Niech żyje partia liberalna, niech żyje pułkownik Aureliano Buendía!

O północy, kiedy z Aureliana Josego uszła już cała krew, a Carmelita Montiel, spojrzawszy w karty swej przyszłości, znalazła je puste i nieme, czterystu mężczyzn przedefilowało przed teatrem i oddało strzały z rewolwerów do porzuconego na chodniku Aquilesa Ricarda. Trzeba było

całego plutonu, aby umieścić na wózku ciało podziurawione ołowiem tak, że rozsypywało się jak rozmoczony chleb.

Rozsierdzony niezdyscyplinowaniem regularnego wojska generał José Raquel Moncada wykorzystał swoje wpływy polityczne, przywdział znowu mundur i objął dowództwo cywilne i militarne Macondo. Nie oczekiwał jednak, by jego pojednawcza postawa zdołała powstrzymać nieunikniony bieg rzeczy. W ciągu września nadchodziły sprzeczne wiadomości. Podczas gdy rząd oznajmiał przejęcie kontroli nad całym krajem, liberałowie otrzymywali poufne wieści o zbrojnych powstaniach wewnątrz kraju. Rząd nie przyznawał się do wojny, dopóki nie ogłoszono, że zebrała się rada wojenna i pułkownik Aureliano Buendía został zaocznie skazany na śmierć. Wykonanie wyroku powierzono pierwszemu garnizonowi, który go pojmie. „To znaczy, że wrócił” – ucieszyła się Urszula, nie ukrywając radości przed generałem Moncadą. Ale on sam nic o tym nie wiedział.

W rzeczywistości pułkownik Aureliano Buendía znajdował się już w kraju od przeszło miesiąca. Poprzedzały go sprzeczne z sobą pogłoski i twierdzono, że znajduje się jednocześnie w miejscach najbardziej od siebie odległych, toteż generał Moncada uwierzył w jego powrót dopiero, gdy oficjalnie zakomunikowano, że zawładnął dwoma stanami na wybrzeżu. „Gratuluję, kumo – powiedział Urszuli, pokazując jej telegram. – Już niedługo będzie go pani tutaj miała”. Po raz pierwszy Urszula zaniepokoiła się. „A pan co wtedy zrobi?” – zapytała. Generał Moncada zadawał sobie to pytanie już kilka razy.

– To samo co on, kumo – odpowiedział. – Spełnię mój obowiązek.

Pierwszego października o świcie pułkownik Aureliano Buendía wraz z tysiącem ludzi zaatakował Macondo, a garnizon otrzymał rozkaz nie poddawać się aż do końca. W południe, podczas gdy generał Moncada jadł obiad w towarzystwie Urszuli, wystrzał armatni, który rozbrzmiał w całym mieście, obrócił w proch fasadę jednego z oficjalnych gmachów miejskich. „Są równie dobrze uzbrojeni jak my – westchnął generał Moncada – ale walczą z większym zapałem”. O godzinie drugiej po południu, podczas gdy ziemia drżała od wystrzałów z obu stron, pożegnał się z Urszulą przekonany, że zaczyna bitwę przegraną.

– Proszę Boga, żeby tej nocy nie miała pani Aureliana w domu – powiedział. – A gdyby tak było, niech go pani ode mnie uściska, bo ja nie zobaczę go już więcej.

Tej nocy został schwytany, kiedy usiłował uciec z Macondo po napisaniu do pułkownika Aureliana Buendíi, długiego listu, w którym przypomniał mu wspólny zamiar zhumanitaryzowania wojny i życzył całkowitego zwycięstwa nad korupcją wojskowych i ambicjami polityków obu partii. Następnego dnia pułkownik Aureliano Buendía jadł z nim obiad w domu Urszuli, gdzie miał przebywać jako więzień do czasu, kiedy rewolucyjny sąd wojenny zadecyduje o jego losie. Było to niemal rodzinne zebranie. Podczas gdy dwaj przeciwnicy zapominali o wojnie, by wywoływać w pamięci wspomnienia przeszłości, Urszula doznawała ponurego wrażenia, że jej syn jest intruzem w jej domu. Miała je od chwili, kiedy zobaczyła go wchodzącego w otoczeniu hałaśliwej świty wojskowych, którzy przetrząsnęli wszystkie sypialnie wzdłuż i wszerz, by upewnić się, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Pułkownik Aureliano Buendía nie tylko się na to zgodził, ale nakazał najściślejszą surowość i nie pozwolił, by ktokolwiek – nawet Urszula – podszedł do niego bliżej niż na odległość trzech metrów, dopóki członkowie jego eskorty nie skończyli rozstawiać straży wokół domu. Ubrany był w mundur ze zwykłego drelichu, bez żadnych odznak, i wysokie buty z ostrogami, oblepione błotem i zaschłą krwią. Za pasem miał pistolet w otwartej kaburze, a ręka stale oparta na kolbie potwierdzała czujne i zdecydowane napięcie jego spojrzenia. Jego głowa, o wyraźnie już przerzedzonych włosach, wydawała się przypiekana na wolnym ogniu. Rysy przeżarte przez sól Morza Karaibskiego przybrały metaliczną twardość. Przed zbliżającą się nieuchronnie starością broniła go żywotność, która w pewien sposób wynikała z chłodu serca. Wydawał się wyższy niż wtedy, gdy wyruszał, bledszy i bardziej kościsty i zdradzał pierwsze oznaki zobojętnienia. „Boże mój – westchnęła przerażona Urszula. – Teraz wygląda jak człowiek zdolny do wszystkiego”. Było tak istotnie. Aztecki szal, który przywiózł Amarancie, wspominanie dawnych zdarzeń przy obiedzie, anegdoty, które opowiadał, były tylko szczątkami jego dawnego humoru. Ledwie zdążono wykonać rozkaz pochowania zabitych we wspólnym grobie, polecił pułkownikowi Roque’owi Carnicero przyspieszyć sądy wojenne, a sam podjął żmudny trud wprowadzenia

radykalnych reform, które miały zniszczyć wszelki ślad po rządach konserwatystów. „Musimy wyprzedzić polityków partyjnych – mówił swoim doradcom. – Kiedy otworzą oczy na rzeczywistość, znajdą się przed faktami dokonanymi”. Wtedy to postanowił zrewidować tytuły własności ziemi od stu lat wstecz i odkrył zalegalizowane nadużycia swego brata, Josego Arcadia. Jednym pociągnięciem pióra przekreślił rejestry. W ostatnim odruchu życzliwości przerwał swe zajęcia na godzinę i odwiedził Rebekę, by ją uprzedzić o swojej decyzji.

W mrocznym domu samotna wdowa, która niegdyś była powierniczką jego tłumionych uczuć do Remedios i której upór uratował mu życie, była widmem przeszłości. Zamknięta w czerni aż po przeguby rąk, z sercem zmienionym w popiół, nic prawie nie wiedziała o wojnie. Pułkownik Aureliano Buendía miał wrażenie, że fluoryzujący blask jej kości prześwieca przez skórę, a ona sama porusza się w jakiejś atmosferze sztucznych ogni w zatęchłym powietrzu, gdzie jeszcze przetrwał zapach prochu. Zaczął od perswazji, radził, żeby złagodziła żałobę, przewietrzyła dom i przebaczyła całemu światu śmierć Josego Arcadia. Ale Rebeka była już z dala od wszelkich marności tego świata. Po daremnym szukaniu w smaku ziemi, w perfumowanych listach Pietra Crespiego, w burzliwym łożu swego męża, znalazła spokój w tym domu, gdzie bezustannie przywoływane wspomnienia przybrały postać niemal dotykalną i niby-ludzkie istoty błądziły po zamkniętych pokojach. Sztywno wyprostowana w swym wiklinowym fotelu na biegunach, patrząc na pułkownika Aureliana Buendíę tak, jakby to on był widmem przeszłości, Rebeka nawet nie drgnęła na wiadomość, że zagarnięte przez Josego Arcadia ziemie zostaną zwrócone prawowitym właścicielom.

– Będzie, jak ty zarządzisz, Aureliano – westchnęła. – Zawsze uważałam i powtarzam to teraz, że jesteś obcy rodzinie.

Rewizja tytułów własności dokonywała się jednocześnie z sądami doraźnymi, którym przewodniczył pułkownik Gerineldo Márquez i które zakończyły się rozstrzelaniem wszystkich oficerów regularnego wojska uwięzionych przez rewolucjonistów. Ostatni stanął przed sądem generał José Raquel Moncada. Urszula próbowała interweniować. „Był najlepszym gubernatorem, jakiego mieliśmy w Macondo – powiedziała do pułkownika Aureliana Buendíi. – Nie muszę ci mówić o jego dobrym sercu,

o przywiązaniu, jakim nas darzy, bo ty sam znasz go najlepiej”. Pułkownik Aureliano Buendía utkwił w niej wzrok pełen wyrzutu.

– Nie mogę wkraczać w kompetencje organów sprawiedliwości – odpowiedział. – Jeżeli masz coś do powiedzenia, powiedz to przed trybunałem.

Nie tylko to zrobiła, ale przyprowadziła na świadków wszystkie matki oficerów rewolucyjnych, zamieszkałych w Macondo. Jedna po drugiej, staruszki z pokolenia założycieli miasta – wśród nich wiele uczestniczek bohaterskiej przeprawy przez góry – wychwalały zasługi generała Moncada. Urszula zeznawała jako ostatnia. Jej spokojne dostojeństwo, znaczenie jej nazwiska, przekonująca żarliwość jej oświadczeń kazały przez chwilę wahać się szalom sprawiedliwości. „Potraktowaliście na serio tę straszliwą zabawę i dobrze robicie, spełniając wasz obowiązek – powiedziała członkom trybunału. – Ale nie zapominajcie, że póki Bóg zachowa nas przy życiu, zawsze będziemy matkami, i choćbyście nie wiem jak wielkie zasługi oddali sprawie rewolucji, mamy prawo spuścić wam spodnie i przetrzepać skórę przy pierwszym objawie nieuszanowania”. Sąd udał się na obrady, kiedy jeszcze brzmiały te słowa w murach szkoły przerobionej na koszary. O północy generał José Raquel Moncada skazany został na śmierć. Pułkownik Aureliano Buendía pomimo gwałtownych nalegań Urszuli odmówił zmiany wyroku. Przed świtem odwiedził skazanego w celi.

– Pamiętaj, kumie – powiedział – że to nie ja cię rozstrzeliwuję. Rozstrzeliwuje cię rewolucja.

Generał Moncada nie wstał nawet z łóżka polowego na jego widok.

– Idź do diabła, kumie – odpowiedział.

Od swego powrotu aż do tej chwili pułkownik Aureliano Buendía nie pozwolił sobie spojrzeć na niego z życzliwością. Zdziwił się, jak bardzo Moncada postarzał się, zobaczył drżenie jego rąk, rezygnację, z jaką oczekiwał na śmierć, i wtedy doznał uczucia głębokiej pogardy dla siebie samego, którą z początku wziął za litość.

– Wiesz lepiej ode mnie – powiedział – że każdy sąd wojenny jest komedią i że w rzeczywistości musisz płacić za zbrodnie innych, bo tym

razem wygramy wojnę za wszelką cenę. Ty na moim miejscu nie zrobiłbyś tego samego?

Generał Moncada wyprostował się, aby oczyścić skrawkiem koszuli grube okulary w oprawce z szylkretu.

– Prawdopodobnie – powiedział. – Ale martwię się nie tym, że mnie rozstrzelasz, bo w końcu dla ludzi takich jak my jest to śmierć naturalna – położył okulary na łóżku i zdjął zegarek z łańcuszka. – Martwi mnie to – powtórzył – że przez tę nienawiść do wojskowych, przez to ciągłe ich zwalczanie, to nieustające myślenie o nich, stałeś się w końcu taki sam jak oni. W życiu nie ma ideału, który wart byłby takiego upodlenia.

Zdjął obrączkę, medalik Matki Boskiej de los Remedios i położył je obok okularów i zegarka.

– Tym sposobem – zakończył – nie tylko staniesz się najbardziej despotycznym i krwawym dyktatorem naszej historii, ale rozstrzelasz moją kumę Urszulę, żeby uspokoić własne sumienie.

Pułkownik Aureliano Buendía stał niewzruszony. Generał Moncada wręczył mu okulary, medalik, zegarek, obrączkę i zmienił ton.

– Ale prosiłem, żebyś przyszedł nie po to, żeby ci robić wymówki – powiedział. – Chciałem cię prosić o przekazanie tych rzeczy mojej żonie.

Pułkownik Aureliano Buendía schował je do kieszeni.

– Mieszka jeszcze w Manaure?

– Mieszka w Manaure – potwierdził generał Moncada – w tym samym domu za kościołem, dokąd posłałeś tamten list.

– Zrobię to z chęcią, José Raquelu – powiedział pułkownik Aureliano Buendía.

Gdy wyszedł na powietrze zasnute niebieską mgiełką, twarz zwilgotniała mu tak jak kiedyś, w inny poranek przeszłości, i wtedy dopiero zrozumiał, dlaczego rozkazał, aby wyrok wykonano na dziedzińcu koszar, a nie przy murze cmentarza. Pluton ustawiony przed wejściem oddał mu honory należne głowie państwa.

– Możecie go już przyprowadzić – rozkazał.

Pułkownik Gerineldo Márquez pierwszy dostrzegł bezsens wojny. Jako szef cywilny i wojskowy Macondo dwa razy w tygodniu komunikował się telegraficznie z pułkownikiem Aurelianem Buendíą. Z początku rozmowy te określały przebieg wojny rzeczywistej, której ściśle zdefiniowane zarysy pozwalały ustalić w każdym momencie dokładny punkt, w jakim się toczy, i przewidzieć przyszłe odcinki walki. Chociaż nigdy nawet swoim najbliższym przyjaciołom nie pozwalał wciągać się w rozmowy o charakterze poufałym, pułkownik Aureliano Buendía zachowywał wówczas przyjacielski ton pozwalający rozpoznać go na drugim końcu linii. Często przedłużał rozmowy poza przewidziany czas i dopuszczał komentarze. Z wolna jednakże, w miarę jak wojna przybierała na sile i zasięgu, jej obraz stawał się coraz mniej uchwytny. Kropki i kreski jego głosu były coraz bardziej dalekie i niewyraźne, łączyły się i składały, tworząc słowa, które stopniowo traciły wszelki sens. Pułkownik Gerineldo Márquez ograniczał się wówczas do słuchania, oszołomiony wrażeniem kontaktu telegraficznego z nieznajomym z innej planety.

– Rozumiem, Aureliano – mówił zazwyczaj na zakończenie – niech żyje partia liberalna.

W końcu stracił zupełnie kontakt z wojną. Coś, co niegdyś było realną działalnością, nieprzepartą pasją jego młodości, stało się z czasem abstrakcją. Jego jedynym schronieniem była szwalnia Amaranty. Odwiedzał ją każdego popołudnia, lubił przyglądać się jej rękom, kiedy marszczyła falbany z batystu na maszynie z korbką, którą kręciła Piękna Remedios. Spędzali wiele godzin w milczeniu, dobrze czuli się w swoim towarzystwie, ale podczas gdy Amaranta radowała się w głębi ducha, że podtrzymuje

płomień jego afektu, on nie wiedział, jakie były tajemne zamiary jej nieodgadnionego serca. Kiedy nadeszła wiadomość o jego powrocie, Amaranta płonęła niecierpliwością oczekiwania. Ale ujrzawszy go w chwili, gdy wchodził do domu razem z hałaśliwą eskortą pułkownika Aureliana Buendíi, wyniszczony trudami wygnania, postarzały latami zapomnienia, brudny od potu i prochu, cuchnący motłochem, szpetny, z lewą ręką na temblaku, omal nie zemdlała z rozczarowania. Boże mój – pomyślała – to nie ten, na którego czekałam. Nazajutrz jednak przyszedł do niej znowu, ogolony i czysty, z wąsem uperfumowanym lawendą i bez zakrwawionego temblaka. Przyniósł jej książeczkę do nabożeństwa w okładce z masy perłowej.

– Jacy dziwni są mężczyźni – powiedziała, bo nie znalazła nic innego do powiedzenia. – Całe życie walczą przeciwko księżom, a przynoszą w prezencie książeczki do nabożeństwa!

Odtąd nawet w najbardziej krytycznych dniach wojny odwiedzał ją każdego popołudnia. Często, kiedy nie było Pięknej Remedios, to on obracał kołem maszyny do szycia. Amarantę zdumiewała wytrwałość, lojalność i przywiązanie tego człowieka, który mimo swego wielkiego autorytetu zostawiał broń w salonie, by wejść rozbrojonym do szwalni. Przez cztery lata zapewniał ją o swojej miłości, a ona zawsze znajdowała sposób odtrącenia jej tak, by go nie zranić, bo choć nie umiała go pokochać, już nie mogła bez niego żyć. Nawet Piękną Remedios, tak obojętną na wszystko, że uważano ją za upośledzoną umysłowo, wzruszało oddanie pułkownika i próbowała się za nim wstawić. Amaranta odkryła nagle, że to dziecko, które wychowała i które zaledwie wkraczało w wiek dziewczęcy, jest najpiękniejszą istotą, jaką widziano w Macondo. Poczuła, jak odżywa w jej sercu uraza, ta sama, z jaką niegdyś odnosiła się do Rebeki, i prosząc Boga, by nie kazał jej się posunąć do granic życzenia śmierci Remedios, zabroniła jej wstępu do szwalni. Było to wtedy, gdy pułkownik Gerineldo Márquez zaczął odczuwać nienawiść do wojny. Odwołał się do swoich zasobów perswazji, do swej ogromnej i tłumionej tkliwości, gotów dla Amaranty wyrzec się sławy, której zdobycie pochłonęło jego najlepsze lata. Nie zdołał jej jednak przekonać. Pewnego sierpniowego popołudnia, wyczerpana nieznośnym ciężarem własnego uporu, Amaranta po udzieleniu

ostatecznej odpowiedzi swemu nieustępliwemu wielbicielowi zamknęła się w sypialni, by do śmierci opłakiwać swoją samotność.

– Zapomnijmy o sobie na zawsze – powiedziała mu. – Jesteśmy już za starzy na te sprawy.

Pułkownik Gerineldo Márquez tego popołudnia zatelefonował do pułkownika Aureliana Buendíi. Była to jak zwykle rozmowa, która nie miała otworzyć żadnego wyłomu w obumarłej wojnie. Kończąc ją, pułkownik Gerineldo Márquez spojrzał na opustoszałe ulice, na perełki deszczu na migdałowcach, i poczuł się zagubiony w samotności.

– Aureliano – powiedział smutno do aparatu – w Macondo pada deszcz.

Na linii zapadła długa cisza. Nagle aparaty podskoczyły od bezlitosnych kropek i kresek pułkownika Aureliana Buendíi.

– Nie bądź idiotą, Gerineldo – mówiły znaki – to naturalne, że w sierpniu pada.

Nie widzieli się od tak dawna, że pułkownik Gerineldo Márquez zdziwił się agresywnością tej reakcji. Niemniej w dwa miesiące później, kiedy Aureliano Buendía powrócił do Macondo, zdziwienie przekształciło się w konsternację. Nawet Urszula była zaskoczona zmianami, jakie się w nim dokonały. Przybył bez hałasu, bez eskorty, w opończy pomimo upału, z trzema kochankami, które umieścił w tym samym domu, gdzie spędzał większość czasu wyciągnięty w hamaku. Z roztargnieniem czytał komunikaty telegraficzne informujące o operacjach wojennych. Pewnego razu pułkownik Gerineldo Márquez spytał go o instrukcje w sprawie ewakuacji pewnej miejscowości przygranicznej, gdzie groził konflikt o zasięgu międzynarodowym.

– Nie zawracaj mi głowy takimi drobiazgami – odpowiedział. – Naradź się z Opatrznością Boską.

Był to chyba najbardziej krytyczny moment wojny. Liberalni właściciele ziemscy, którzy z początku wspierali rewolucję, zawiązali tajne sojusze z obszarnikami konserwatywnymi, by przeszkodzić rewizji tytułów własności. Politycy na emigracji, którzy finansowali wojnę z zagranicy, publicznie potępili drastyczne rozporządzenia pułkownika Aureliana Buendíi, ale nawet to podważenie autorytetu nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Nie czytał już swoich wierszy, które obejmowały pięć grubych

tomów i leżały zapomniane w głębi skrzyni. Nocą lub w godzinach popołudniowej sjesty wołał do hamaka jedną ze swoich kobiet i otrzymywał od niej prymitywną satysfakcję, po czym zasypiał kamiennym snem, niezakłócanym najlżejszą troską. Tylko on wtedy wiedział, że jego zatwardziałe serce na zawsze jest skazane na niepewność. Z początku, upojony sławą powrotu i niewiarygodnymi zwycięstwami, zatrzymał się nad przepaścią wielkości. Cieszył się, ściskając prawicę księcia Marlborough, swego wielkiego mistrza w sztuce wojennej, którego kolekcja skór i pazurów tygrysich wzbudzała respekt starszych i zdumienie dzieci. Wtedy to postanowił, że żadna istota ludzka – nawet Urszula – nie podejdzie do niego bliżej niż na trzy metry. W centrum kredowego koła, które jego adiutanci zakreślali, gdziekolwiek się znajdował, i którego obwód tylko jemu wolno było przekroczyć, decydował w krótkich i nieodwołalnych rozkazach o losie świata. Pierwszy raz kiedy był w Manaure od czasu rozstrzelania generała Moncada, pospieszył wypełnić ostatnią wolę swej ofiary i wdowa przyjęła medalik, okulary, zegarek i obrączkę, ale nie pozwoliła mu przekroczyć progu.

– Proszę nie wchodzić, pułkowniku – powiedziała mu. – Pan rządzi na swojej wojnie, a ja w moim domu.

Pułkownik Aureliano Buendía nie dał poznać po sobie urazy, ale odzyskał spokój dopiero, kiedy jego osobista straż splądrowała dom wdowy i obróciła go w popiół. „Uważaj na serce, Aureliano – mówił mu wtedy pułkownik Gerineldo Márquez. – Gnijesz za życia”. W tym czasie zwołał drugie posiedzenie głównych dowódców rebelii. Znalazł wśród nich wszystkiego po trosze: idealistów, awanturników, ambitnych, niedostosowanych do życia, a nawet pospolitych przestępców. Był tam nawet dawny funkcjonariusz konserwatystów szukający schronienia w rebelii, żeby uniknąć rozprawy sądowej za sprzeniewierzenie pieniędzy. Wielu nie wiedziało wcale, o co walczy. Wśród tego różnorodnego tłumu, w którym rozbieżności poglądów omal nie spowodowały wewnętrznego rozłamu, wyróżniał się ponury autorytet – generał Teofilo Vargas. Był to czystej krwi Indianin, dziki, drapieżny analfabeta obdarzony utajoną złośliwością i powołaniem mesjanistycznym, które wzbudzało w jego ludziach obłędny fanatyzm. Pułkownik Aureliano Buendía zwołał zebranie w celu zjednoczenia dowództwa rebelianckiego przeciwko machinacjom

polityków. Generał Teofilo Vargas uprzedził jego zamiary – w ciągu paru godzin rozbił koalicję najlepiej wyszkolonych dowódców i zagarnął władzę. „To drapieżne zwierzę – powiedział pułkownik Aureliano Buendía swoim oficerom. – Trzeba na niego uważać. Dla nas ten człowiek jest bardziej niebezpieczny niż minister wojny”. Wtedy pewien bardzo młody kapitan, który zawsze odznaczał się nieśmiałością, ostrożnie podniósł palec wskazujący do góry.

– To bardzo proste, pułkowniku – zaproponował. – Trzeba go zabić.

Pułkownik Aureliano Buendía przeraził się nie cynizmem propozycji, ale tym, że wyprzedziła ona na ułamek sekundy jego własną myśl.

– Nie spodziewajcie się, że ja wydam ten rozkaz – powiedział.

Rzeczywiście nie wydał. Ale w dwa tygodnie później generał Teofilo Vargas, zwabiony w zasadzkę, został poćwiartowany nożem, a pułkownik Aureliano Buendía objął główne dowództwo. Tej samej nocy, kiedy jego władza została uznana przez wszystkich dowódców rebelianckich, obudził się nagle, krzycząc, żeby mu podano opończę. Wewnętrzny chłód, który przenikał jego kości i dręczył go nawet w pełnym słońcu, nie pozwolił mu spać parę miesięcy, aż wreszcie przeszło to w przyzwyczajenie. Odurzenie władzą zaczynało ujawniać się w wybuchach złości. W poszukiwaniu lekarstwa na zimnicę kazał rozstrzelać młodego oficera, który wystąpił z propozycją zamordowania generała Teofila Vargasa. Jego rozkazy były wykonywane, zanim zdążył je wydać, nawet zanim je wymyślił, i zawsze sięgały o wiele dalej, niż on sam kazałby im sięgnąć. Zagubiony w samotności swojej olbrzymiej władzy, zaczynał tracić orientację. Denerwowali go ludzie wiwatujący na jego cześć w zwyciężonych miastach i wydawało mu się, że ci sami wiwatują na cześć wroga. Wszędzie napotykał młodych ludzi, którzy patrzyli na niego jego własnymi oczyma, przemawiali do niego jego głosem, witali go z taką samą nieufnością, z jaką on ich witał, twierdzili, że są jego synami. Czuł się rozproszony, powtarzany w innych i bardziej samotny niż kiedykolwiek. Nie wątpił, że okłamują go jego oficerowie. Pokłócił się z księciem Marlborough. „Najlepszym przyjacielem – miał zwyczaj wtedy mówić – jest ten, który właśnie umarł”. Zmęczyła go niepewność, błędne koło nieustającej wojny, która zawsze go zastawała w tym samym miejscu, tylko coraz bardziej postarzałego, wycieńczonego, coraz mniej rozumiejącego po co, jak i do

jakiego czasu. Zawsze znajdował się ktoś poza kręgiem kredowym, ktoś, kto potrzebował pieniędzy, kto miał dziecko chore na koklusz, lub ktoś, kto chciał zasnąć na zawsze, gdyż nie mógł już znieść w ustach smaku wojennego łajna, a jednak stawał na baczność ostatnimi resztkami energii, by go poinformować: „Wszystko w porządku, pułkowniku”. Właśnie ta normalność była najstraszniejszą cechą niekończącej się wojny, to, że nic się nie działo. Samotny, opuszczony przez przeczucia, uciekając od zimna, które miało mu towarzyszyć aż do śmierci, szukał ostatniego schronienia w Macondo, w cieple swoich najdawniejszych wspomnień. Zniechęcenie było tak silne, że kiedy oznajmiono mu o przybyciu komisji partyjnej upoważnionej do przedyskutowania dalszego biegu wojny, on obrócił się w hamaku, niezupełnie przebudzony.

– Zaprowadźcie ich do kurw – powiedział.

Sześciu adwokatów w dwurzędowych płaszczach i cylindrach znosiło z twardym stoicyzmem ostre słońce listopadowe. Urszula udzieliła im gościny. Spędzali większość dnia zamknięci w sypialni na tajnych posiedzeniach, a wieczorem prosili o eskortę i zespół akordeonistów i zajmowali na swój użytek sklepik Catarina. „Nie przeszkadzajcie im – rozkazał pułkownik Aureliano Buendía. – Ja wiem, czego oni chcą”. W początkach grudnia długo oczekiwana rozmowa, którą wielu wyobrażało sobie jako dyskusję bez końca, odbyła się w niecałą godzinę.

W przegrzanym salonie, obok widma osłoniętej białym prześcieradłem pianoli, pułkownik Aureliano Buendía usiadł tym razem bez kredowego koła nakreślonego przez adiutantów. Zajął krzesło wśród swoich doradców politycznych i owinięty wełnianą peleryną wysłuchał w milczeniu krótkich propozycji emisariuszy. Żądali przede wszystkim zrezygnowania z rewizji tytułów własności ziemskich, aby odzyskać poparcie liberalnych właścicieli ziemi. Żądali poza tym zaprzestania walki przeciwko wpływom kleru, aby uzyskać poparcie ludności katolickiej. Żądali wreszcie rezygnacji z dążeń do wyrównania praw między dziećmi z nieprawego i prawego łoża, aby zachować integralność ogniska domowego.

– To znaczy – uśmiechnął się pułkownik Aureliano Buendía, skończywszy czytać memoriał – że walczymy tylko o władzę.

– Są to reformy taktyczne – odpowiedział jeden z delegatów – teraz najważniejszą sprawą jest zdobycie szerokiego poparcia ludu dla wojny. A potem zobaczymy.

Jeden z doradców politycznych pułkownika Aureliana Buendíi wtrącił się do rozmowy.

– Coś tu nie ma sensu – powiedział. – Jeżeli te reformy są dobre, to znaczy, że dobry jest rząd konserwatystów. Jeżeli za pomocą tych reform zdołamy rozszerzyć bazę ludową wojny tak, jak wy to mówicie, to znaczy, że rząd posiada szerokie poparcie. Innymi słowy, przez prawie dwadzieścia lat walczyliśmy wbrew przekonaniom narodu.

Miał mówić dalej, ale pułkownik Aureliano Buendía przerwał mu gestem.

– Nie trać pan czasu, doktorze – powiedział. – Najważniejsze, że od tej chwili walczymy tylko o władzę. – Nie przestając się uśmiechać, wziął arkusze papieru, które wręczyli mu delegaci, gotów je podpisać. – W związku z powyższym – zakończył – nie mamy nic przeciwko przyjęciu propozycji.

Jego ludzie patrzyli na siebie zaskoczeni.

– Pan wybaczy, pułkowniku – powiedział cicho pułkownik Gerineldo Márquez – ale to jest zdrada.

Pułkownik Aureliano Buendía zatrzymał w powietrzu umoczone pióro i wyładował na starym przyjacielu cały ciężar swojego autorytetu.

– Proszę oddać broń – rozkazał.

Pułkownik Gerineldo Márquez wstał i położył broń na stole.

– Proszę stawić się w koszarach – rozkazał mu pułkownik Aureliano Buendía – i czekać na decyzję trybunału rewolucyjnego.

Następnie podpisał deklarację i wręczył arkusze papieru emisariuszom, mówiąc:

– Panowie, oto papiery. Wszystkiego najlepszego.

W dwa dni później pułkownik Gerineldo Márquez, oskarżony o najwyższą zdradę stanu, skazany został na śmierć. Rozwalony w swoim hamaku, pułkownik Aureliano Buendía pozostał głuchy na prośby o łaskę.

W przeddzień egzekucji, nie zważając na rozkaz, żeby mu nie przeszkadzano, Urszula weszła do jego sypialni. Ubrana na czarno, niezwykle uroczysta, stała przez cały czas trwania trzyminutowej rozmowy. „Wiem, że rozstrzelasz Gerinelda – powiedziała spokojnie – i nie mogę zrobić nic, żeby temu przeszkodzić. Ale uprzedzam: jeśli Gerineldo umrze, to – przysięgam ci na prochy moich rodziców, na pamięć Josego Arcadia Buendíi, przysięgam ci wobec Boga – znajdę cię, gdziekolwiek się ukryjesz, i zabiję własnymi rękami”. Zanim wyszła z pokoju, nie czekając na odpowiedź, zakończyła:

– To samo zrobiłabym, gdybyś się urodził ze świńskim ogonem.

Tej niekończącej się nocy, podczas gdy pułkownik Gerineldo Márquez wspominał umarłe popołudnia w szwalni Amaranty, pułkownik Aureliano Buendía przez wiele godzin usiłował rozbić twardą powłokę swojej samotności. Jego jedyne szczęśliwe momenty od tego odległego popołudnia, kiedy ojciec zabrał go, by mu pokazać lód, minęły w warsztacie złotniczym, gdzie spędzał czas na robieniu złotych rybek. Musiał zorganizować trzydzieści dwie wojny, musiał pogwałcić wszystkie swoje pakty ze śmiercią i tarzać się jak wieprz w gnojowisku sławy, aby odkryć, prawie z czterdziestoletnim opóźnieniem, przywileje życia prostego.

O świcie, wyczerpany męczarniami bezsenności, zjawił się w celi skazanego na godzinę przed egzekucją. „Koniec farsy, bracie – powiedział pułkownikowi Gerineldowi Marquezowi. – Uciekajmy stąd, nim cię zjedzą komary”. Pułkownik Gerineldo Márquez nie zdołał stłumić pogardy, jaką budziła w nim ta postawa.

– Nie, Aureliano – odpowiedział – wolę umrzeć, niż patrzeć na twoją zdradę.

– Nie zobaczysz tego – powiedział pułkownik Aureliano Buendía. – Włóż buty i pomóż mi skończyć tę zasraną wojnę.

Mówiąc tak, nie zdawał sobie sprawy, że o wiele łatwiej było zacząć wojnę, niż ją zakończyć. Stracił prawie rok na zmuszeniu rządu do zaproponowania warunków pokojowych korzystnych dla rebeliantów i następny rok, aby przekonać swoich zwolenników o korzyściach ich przyjęcia. Doszedł do niepojętych granic okrucieństwa, by stłumić rebelię

swoich własnych oficerów, którzy odmawiali święcenia zwycięstwa, i musiał opierać się na wrogich siłach, żeby ich sobie podporządkować.

Nigdy nie wojował lepiej niż wtedy. Pewność, że wreszcie walczy o własne wyzwolenie, a nie o abstrakcyjne ideały i hasła, które politycy mogli obracać wierzchem lub podszewką do góry, zależnie od okoliczności, dodawała mu płomiennego entuzjazmu. Pułkownik Gerineldo Márquez, który walczył o klęskę z takim samym przekonaniem i z lojalnością jak dawniej o zwycięstwo, zarzucał mu niepotrzebną brawurę. „Bądź spokojny – roześmiał się Aureliano. – Umrzeć jest o wiele trudniej, niż to sobie człowiek wyobraża". W jego przypadku była to prawda. Wiara, że jego dzień jest wyznaczony, przyoblekła go w jakąś tajemniczą nietykalność, zapewniła nieśmiertelność do ustalonego terminu, co uczyniło go odpornym na wszelkie niebezpieczeństwa wojny i pozwoliło w końcu wywojować klęskę, która była o wiele trudniejsza, bardziej krwawa i kosztowna niż zwycięstwo.

W ciągu dwudziestu bez mała lat wojny pułkownik Aureliano Buendía wiele razy był w domu, ale pośpiech, z jakim zawsze przybywał, aparat wojskowy, który wszędzie mu towarzyszył, aura legendy, która go otaczała i na którą nie była nieczuła nawet Urszula, sprawiły, że stał się obcy dla rodziny. Ostatnim razem, gdy był w Macondo i wynajął dom dla swoich trzech konkubin, widziano go we własnym domu tylko dwa lub trzy razy, kiedy miał czas przyjmować zaproszenia na obiad. Piękna Remedios i bliźniaki, urodzeni podczas wojny, znali go bardzo mało. Amaranta nie mogła pogodzić obrazu brata, który spędził lata młodzieńcze, wyrabiając złote rybki, z obrazem mitycznego wojownika, który ustanowił odległość trzech metrów między sobą a resztą ludzkości. Kiedy zawieszenie broni było już bliskie i kiedy pomyślano, że on wróci i znów stanie się zwykłym człowiekiem, uratowanym wreszcie dla serc najbliższych, uczucia rodzinne przez tyle czasu uśpione rozbudziły się bardziej żywe niż kiedykolwiek.

– Nareszcie – powiedziała Urszula – znowu będziemy mieli w domu mężczyznę.

Amaranta pierwsza zaczęła podejrzewać, że utracili go na zawsze. Na tydzień przed zawieszeniem broni, kiedy wszedł do domu bez eskorty, poprzedzany przez dwóch bosych ordynansów, którzy położyli w korytarzu uprząż muła i skrzynię z wierszami – wszystko, co pozostało po jego

dawnym imperium – ona zobaczyła go w chwili, gdy przechodził przed szwalnią, i zawołała go. Pułkownik Aureliano Buendía jakby jej nie poznawał.

– To ja, Amaranta – powiedziała wesoło, uszczęśliwiona jego powrotem, i pokazała mu rękę z czarnym bandażem. – Spójrz.

Pułkownik Aureliano Buendía uśmiechnął się do niej tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ten bandaż tamtego odległego ranka, kiedy powrócił do Macondo, skazany na śmierć.

– To straszne – powiedział. – Jak szybko mija czas!

Oddziały regularnego wojska musiały bronić domu. Przyjechał zelżony, opluty, oskarżony o podżeganie do wojny po to tylko, żeby ją drożej sprzedać, drżał z gorączki i zimna i znowu dokuczały mu wrzody pod pachami. Sześć miesięcy przedtem, kiedy zaczęto przebąkiwać o zawieszeniu broni, Urszula otworzyła i zamiotła jego sypialnię małżeńską i paliła kadzidło w rogach pokoju z myślą, że on powróci, by zestarzeć się z wolna pośród zbutwiałych lalek Remedios. Ale on przez ostatnie dwa lata uregulował już swoje rachunki z życiem, nawet te dotyczące starości. Przechodząc obok warsztatu złotniczego, który Urszula przygotowała na jego przyjęcie ze specjalną starannością, nie zauważył nawet, że klucze tkwią w kłódce. Nie spostrzegł drobnych, bolesnych zniszczeń, których w domu dokonał czas, a które po tak długiej nieobecności powinny wydać się kataklizmem każdemu, kto by zachował żywe swe wspomnienie. Nie bolał go obłażący z murów tynk ani festony pajęczyn w kątach, ani kurz na begoniach, ani ścieżki termitów w belkach stropu, ani mech na progu, żadne z podstępnych sideł, które zastawiało wspomnienie. Wszedł do jadalni owinięty w opończę, nie zdejmując butów, jakby czekał tylko, aż przestanie padać, i siedział całe popołudnie, patrząc, jak deszcz spływa na begonie. Urszula zrozumiała wtedy, że nie będzie go mieć w domu na długo. Jeśli nie wojna – pomyślała – to tylko może być śmierć. Było to przypuszczenie tak jasne, tak przekonujące, że uznała to za przepowiednię.

Tej nocy przy kolacji domniemany Aureliano Drugi kruszył chleb prawą ręką i jadł zupę lewą. Jego brat bliźniak, domniemany José Arcadio Drugi, kruszył chleb lewą ręką, a jadł zupę prawą. Koordynacja ich ruchów była tak precyzyjna, że wydawali się nie dwoma braćmi siedzącymi naprzeciw

siebie, ale grą luster. Spektakl, na którego myśl wpadły bliźniaki, odkąd uświadomiły sobie, że wyglądają identycznie, został urządzony na cześć przybysza. Ale pułkownik Aureliano Buendía nie dostrzegł niczego. Wydawał się tak wszystkiemu obcy, że nawet nie spojrzał na Piękną Remedios, która nago przeszła w kierunku sypialni. Urszula w końcu odważyła się zakłócić jego zadumę.

– Jeżeli masz jeszcze raz odejść – powiedziała mu w połowie kolacji – to postaraj się przynajmniej zapamiętać, jak wyglądaliśmy dziś wieczorem.

Wtedy pułkownik Aureliano Buendía bez zdziwienia zdał sobie sprawę, że Urszula jest jedynym człowiekiem, który zdołał wydobyć na światło dzienne jego cierpienie, i po raz pierwszy od wielu lat odważył się jej spojrzeć w oczy. Miała pooraną twarz, spróchniałe zęby, włosy martwe i bez koloru i zdziwione spojrzenie. Porównał ją z najdawniejszym wspomnieniem, jakie miał o niej, z tego popołudnia, kiedy przeczuł, że garnek z wrzącym rosołem spadnie ze stołu. W jednej chwili odnalazł bruzdy, skaleczenia, ślady po wrzodach i blizny, które pozostawiło na niej pół wieku życia codziennego, i uświadomił sobie, że te dewastacje nie wzbudzają w nim nawet litości. Dokonał więc ostatniego wysiłku, żeby odszukać w sercu miejsce, gdzie zgniły uczucia, i nie mógł go znaleźć. Dawniej przynajmniej doznawał niejasnego zażenowania, kiedy odnajdywał w swojej własnej skórze zapach Urszuli i wielokrotnie czuł swoje myśli przerywane jej myślami. Ale to wszystko doszczętnie zniszczyła wojna. Nawet Remedios, jego żona, była w tej chwili tylko zamglonym obrazem kogoś, kto mógłby być jego córką. Niezliczone kobiety, które poznał na pustyni miłości i które rozproszyły jego nasienie na całym wybrzeżu, nie pozostawiły żadnego śladu w jego uczuciach. Większość z nich wchodziła do jego pokoju po ciemku i odchodziła nad ranem, a nazajutrz były zaledwie nikłym wspomnieniem cielesnym. Jedyne uczucie, jakie przetrwało czas i wojnę, było to, którym darzył swego brata Josego Arcadia, kiedy obaj byli dziećmi, ale i ono nie było oparte na miłości, tylko na wspólnictwie.

– Wybacz – odpowiedział Urszuli. – To ta wojna skończyła ze wszystkim.

Przez następne dni zajął się zniszczeniem wszystkich śladów swego przejścia przez świat. W warsztacie złotniczym pozostawił tylko

przedmioty nienoszące jego piętna, rozdał ubrania ordynansom i zakopał broń na podwórzu z tym samym uczuciem skruchy, z jakim jego ojciec zakopał włócznię, która zabiła Prudencia Aguilara. Zachował tylko jeden pistolet z jedną kulą. Urszula nie wtrącała się. Zaprotestowała tylko raz, kiedy chciał zniszczyć dagerotyp Remedios, który wisiał w salonie, oświetlony wieczną lampką. „Ten portret dawno przestał należeć do ciebie – powiedziała. – To jest pamiątka rodzinna". W przeddzień zawieszenia broni, kiedy nie pozostał już w domu żaden przedmiot, który zachowałby w sobie jego wspomnienie, zaniósł do piekarni skrzynię z wierszami w chwili, gdy Santa Sofía de la Piedad rozpalała w piecu.

– Masz to na rozpałkę – powiedział, wręczając pierwszy zwój pożółkłych papierów. – Będzie się dobrze palić, bo papier jest stary.

Santa Sofía de la Piedad, milcząca, ustępliwa, która nigdy nie sprzeciwiła się nawet własnym synom, doznała wrażenia, że chodzi o jakąś czynność zabronioną.

– To są ważne dokumenty – zauważyła.

– Nic podobnego – odpowiedział pułkownik. – To gryzmoły, które człowiek pisze sam dla siebie.

– W takim razie – powiedziała – niech pan spali to sam, pułkowniku.

Nie tylko to zrobił, ale jeszcze porąbał siekierą skrzynię i wrzucił szczapy do ognia. Parę godzin wcześniej przyszła odwiedzić go Pilar Ternera. Pułkownik Aureliano Buendía nie widział jej wiele lat i zdumiał się, jak bardzo się postarzała i utyła, jak przyćmiła się wspaniałość jej śmiechu, ale zdumiała go także sztuka, do jakiej doszła w czytaniu kart. „Uważaj na usta" – powiedziała, a on pomyślał, czy ostatnim razem, gdy mu to powiedziała, kiedy był u szczytu sławy, nie była to zadziwiająco wczesna wizja określająca jego los. Później, kiedy jego przyboczny lekarz skończył przecinać mu wrzody, pułkownik spytał go od niechcenia, w którym miejscu dokładnie znajduje się serce. Lekarz przyłożył ucho do jego piersi i narysował koło watą zamoczoną w jodynie.

Wtorek – dzień zawieszenia broni – wstał ciepły i deszczowy. Pułkownik Aureliano Buendía przyszedł do kuchni przed piątą rano i jak zwykle wypił kawę bez cukru.

„W taki sam dzień przyszedłeś na świat – powiedziała Urszula. – Wszyscy przestraszyli się twoich otwartych oczu”. Nie zwrócił na nią uwagi, nasłuchując przygotowań wojska, sygnałów trąbki i rozkazów, które zagłuszały ciszę poranka. Chociaż po tylu latach wojny odgłosy te powinny być mu znajome, tym razem poczuł takie samo drżenie kolan i drętwienie skóry, jakiego doświadczał w młodości na widok nagiej kobiety. Pomyślał niejasno, wreszcie schwytany w sidła tęsknoty, że gdyby się był ożenił z nią, byłby człowiekiem bez wojny i sławy, rzemieślnikiem bez imienia, szczęśliwym zwierzęciem. Ten spóźniony niepokój, którego nie przewidział, zepsuł mu śniadanie. O siódmej rano, kiedy pułkownik Gerineldo Márquez przyszedł po niego w towarzystwie grupy oficerów, znalazł go bardziej milczącym, zamyślonym i samotnym niż kiedykolwiek. Urszula próbowała zarzucić mu na ramiona nową opończę. „Co pomyśli rząd – powiedziała. – Wyobrażą sobie, że poddałeś się dlatego, że nie miałeś za co kupić sobie okrycia”. Ale nie zgodził się. Już w drzwiach, widząc, że nadal pada deszcz, pozwolił wcisnąć sobie na głowę stary filcowy kapelusz Josego Arcadia Buendíi.

– Aureliano – powiedziała mu wtedy Urszula – przyrzeknij mi, że kiedy przyjdzie tam na ciebie zła godzina, pomyślisz o swojej matce.

Posłał jej z daleka uśmiech nieobecny, podniósł rękę z rozpostartymi palcami i bez słowa wyszedł z domu, i stawił czoło krzykom, afrontom i wyzwiskom, które miały mu towarzyszyć aż do wyjścia z miasta. Urszula zaryglowała drzwi, zdecydowana nie otwierać ich do końca swego życia. Zgnijemy tu w środku – pomyślała – zamienimy się w proch w tym domu bez mężczyzn, ale nie damy temu podłemu miastu satysfakcji ujrzenia nas we łzach. Cały ranek szukała wspomnień swojego syna w najskrytszych zakątkach pamięci i nie mogła znaleźć.

Uroczystość odbyła się o dwadzieścia kilometrów od Macondo, w cieniu olbrzymiej ceiby, wokół której później zbudowano miasteczko Neerlandia. Delegatów rządu i partii i radę rebeliancką składającą broń obsługiwała hałaśliwa grupa nowicjuszek zakonnych w białych habitach, podobnych do stada gołębi spłoszonych deszczem. Pułkownik Aureliano Buendía przyjechał na ubłoconym mule. Był nieogolony, bardziej wyczerpany bólem wrzodów niż olbrzymią klęską swoich marzeń, bo dotarł do kresu wszelkich nadziei, poza sławą i pragnieniem sławy. Zgodnie z jego

własnym zarządzeniem nie było muzyki ani rakiet, ani triumfującego bicia dzwonów, ani pochodów, ani żadnej innej manifestacji, która mogłaby zmienić smutny charakter uroczystości. Wędrownego fotografa, który zrobił jedyne jego zdjęcie, jakie mogłoby się zachować, zmusił do zniszczenia kliszy.

Uroczystość trwała zaledwie krótki czas potrzebny do złożenia podpisu. Prosty wiejski stół, gdzie zasiedli delegaci pośrodku połatanego namiotu cyrkowego, otoczyli ostatni oficerowie wierni pułkownikowi Aurelianowi Buendíi. Zanim złożono podpisy, osobisty wysłannik prezydenta Republiki usiłował odczytać głośno warunki kapitulacji, ale pułkownik Aureliano Buendía zaoponował. „Nie traćmy czasu na formalności” – rzekł, gotów podpisać dokumenty, nie czytając ich. Wtedy jeden z jego oficerów przerwał senną ciszę namiotu.

– Pułkowniku – odezwał się – proszę zrobić nam tę uprzejmość i nie podpisywać pierwszy.

Pułkownik Aureliano Buendía zgodził się. Kiedy dokument okrążył stół wśród ciszy tak głębokiej, że w namiocie słychać było skrzypienie pióra o papier, pierwsze miejsce nadal było puste. Pułkownik Aureliano Buendía zamierzał złożyć podpis.

– Pułkowniku – powiedział wówczas jeden z oficerów – jeszcze ma pan czas do namysłu.

Pułkownik Aureliano Buendía ani drgnął i podpisał pierwszą kopię. Kończył podpisywać ostatnią, kiedy ukazał się w drzwiach namiotu rebeliancki pułkownik, prowadząc za uzdę muła objuczonego dwiema skrzyniami. Pomimo wyjątkowej młodości miał surowy i twardy wyraz twarzy. Był skarbnikiem rewolucji przy okręgu Macondo. Odbył uciążliwą sześciodniową podróż, ciągnąc zdychającego z głodu muła, żeby dotrzeć na czas podpisania kapitulacji. Z drażniącą obojętnością zdjął skrzynie, otworzył je i zaczął wykładać na stół jedną po drugiej siedemdziesiąt dwie sztaby złota. Nikt nie pamiętał o istnieniu tego skarbu. W zamęcie ostatniego roku, kiedy główne dowództwo zostało rozbite, a rewolucja zamieniła się w krwawą rywalizację wodzów, złoto rebeliantów przetopione w sztaby, a pokryte gliną, pozostało poza wszelką kontrolą. Pułkownik Aureliano Buendía kazał włączyć siedemdziesiąt dwie sztaby złota do

inwentarza kapitulacji i zakończył ceremonię, nie dopuszczając do żadnych dyskusji. Młody człowiek stał przed nim, patrząc mu w oczy swoimi spokojnymi oczyma koloru miodu.

– Czy coś jeszcze? – spytał go pułkownik Aureliano Buendía.

Młody pułkownik zacisnął zęby.

– Kwit – powiedział.

Pułkownik Aureliano Buendía wystawił mu go własnoręcznie. Potem wypił szklankę lemoniady i zjadł kawałek ciasta, które roznosiły nowicjuszki, i odszedł do swego namiotu, przygotowanego na wypadek, gdyby chciał odpocząć. Tam zdjął koszulę, usiadł na skraju polowego łóżka i o trzeciej piętnaście po południu strzelił z pistoletu w koło zakreślone jodyną przez lekarza na jego piersi. W tym czasie w Macondo Urszula zdjęła pokrywkę z garnka z mlekiem stojącego na ogniu, zdziwiona, że tak długo się nie gotuje, i zobaczyła w nim pełno robaków.

– Zabito Aureliana – krzyknęła.

Spojrzała na podwórze posłuszna dawnemu zwyczajowi swojej samotności i zobaczyła Josego Arcadia Buendíę przesiąkniętego deszczem i o wiele starszego, niż kiedy umarł. „Zabito go podstępnie – wyjaśniła – i nikt nie miał dość miłosierdzia, żeby mu zamknąć oczy”. O zmierzchu zobaczyła poprzez łzy spadające gwiazdy i pomarańczowe świetlne kule, które przeleciały przez niebo jak podmuch wiatru, i pomyślała, że to znak śmierci. Była jeszcze pod kasztanowcem, szlochając na kolanach swego męża, kiedy przyniesiono pułkownika Aureliana Buendíę zawiniętego w ponczo przesiąknięte zaschłą krwią, z oczyma otwartymi z wściekłości.

Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Kula przeszła drogą tak prostą, że lekarz wsadził mu na piersiach i wyjął plecami sznurek umoczony w jodynie. „To moje arcydzieło – powiedział. – Był to jedyny punkt, przez który mogła przejść kula, nie naruszając żadnego głównego organu”. Pułkownik Aureliano Buendía ocknął się otoczony przez miłosierne nowicjuszki, które intonowały rozpaczliwe psalmy za wieczny odpoczynek jego duszy. I wtedy pożałował, że tylko dlatego nie strzelił sobie w usta, jak to było przewidziane, tylko po to, by zadrwić z przepowiedni Pilar Ternery.

– Gdybym jeszcze miał władzę – powiedział doktorowi – kazałbym pana rozstrzelać bez sądu. Nie za uratowanie mi życia, ale za wystawienie mnie na pośmiewisko.

Nieudana śmierć przywróciła mu w parę godzin utracony prestiż. Ci sami, którzy wymyślali kłamstwa, że sprzedał wojnę za domek o ścianach wyłożonych złotem, uznali próbę samobójstwa za czyn honorowy i ogłosili go męczennikiem. Potem, kiedy odrzucił Order Zasługi, który przyznał mu prezydent Republiki, nawet jego najbardziej zaciekli wrogowie stukali do jego drzwi, żądając nieuznania warunków rozejmu i wszczęcia nowej wojny. Dom wypełnił się podarkami. Poniewczasie reagując na to masowe poparcie swoich dawnych towarzyszy broni, pułkownik Aureliano Buendía nie odrzucił możliwości sprawienia im satysfakcji. Przeciwnie, w pewnym momencie wydawał się prawdziwie rozentuzjazmowany projektem nowej wojny i pułkownik Gerineldo Márquez pomyślał, że czeka tylko na pretekst, by ją proklamować. Rzeczywiście pretekst nadarzył się, kiedy prezydent Republiki odmówił przydzielenia rent wojennych dawnym kombatantom, zarówno liberałom, jak i konserwatystom, dopóki specjalna komisja nie zbada każdego przypadku i prawo do renty nie zostanie zatwierdzone przez Kongres. „To oszustwo! – zagrzmiał pułkownik Aureliano Buendía. – Powymierają ze starości, czekając na pocztę”. Po raz pierwszy wstał z fotela, który Urszula kupiła na czas jego rekonwalescencji, i krążąc po sypialni, podyktował w ostrych słowach wezwanie do prezydenta Republiki. W tym telegramie, nigdy zresztą nieopublikowanym, potępiał pierwsze pogwałcenie warunków traktatu w Neerlandii i groził ogłoszeniem wojny na śmierć i życie, jeżeli sprawa przydzielania rent nie zostanie załatwiona w ciągu piętnastu dni. Jego postawa była tak sprawiedliwa, że należało oczekiwać nawet poparcia dawnych kombatantów konserwatywnych. A jedyną odpowiedzią rządu było wzmocnienie straży wojskowej, którą postawiono u wejścia do jego domu pod pretekstem obrony, i zakaz wszelkich wizyt. Podobne środki zostały podjęte w stosunku do innych dowódców w całym kraju. Operacja była tak trafna, drastyczna i skuteczna, że w dwa miesiące po zawieszeniu broni, kiedy pułkownik Aureliano Buendía był już zdrów, jego najbardziej zagorzali poplecznicy nie żyli już albo zostali skazani na wygnanie bądź też wchłonęła ich na zawsze administracja publiczna.

Pułkownik Aureliano Buendía opuścił swój pokój w grudniu i wystarczyło mu jedno spojrzenie na korytarz, by zrezygnować z myśli o wojnie. Z żywotnością, która wydawała się niemożliwa w jej wieku, Urszula znowu odświeżyła dom. „Teraz zobaczycie, kim jestem – oświadczyła, dowiedziawszy się, że syn jej będzie żyć. – Nie będzie ładniejszego domu ani bardziej gościnnego dla wszystkich niż ten dom wariatów”. Kazała go wyszorować i odmalować, zmieniła meble, doprowadziła do porządku ogród, zasiała nowe kwiaty i otworzyła drzwi i okna, żeby aż do sypialni dotarła olśniewająca jasność lata. Zarządziła koniec żałoby niezdejmowanej od wielu lat i sama zmieniła stare, surowe suknie na bardziej młodzieńczy strój. Muzyka pianoli znowu wypełniła dom. Słuchając jej, Amaranta przypomniała sobie Pietra Crespiego, jego gardenię o zmierzchu, zapach lawendy i w głębi jej zwiędłego serca zakwitła na nowo uraza oczyszczona przez czas. Pewnego popołudnia porządkując salon, Urszula poprosiła o pomoc żołnierzy, którzy pilnowali domu. Młody dowódca straży udzielił pozwolenia. Stopniowo Urszula zatrudniała ich przy różnych zajęciach domowych. Zapraszała ich na posiłki, obdarowywała bielizną i butami, uczyła czytać i pisać. Kiedy rząd wydał rozkaz zaprzestania inwigilacji, jeden z żołnierzy został w domu i był na służbie przez wiele lat. W dzień Nowego Roku, doprowadzony do rozpaczy pogardą Pięknej Remedios, młody dowódca straży zmarł z miłości i znaleziono go martwego pod jej oknem.

W kilka lat później, na łożu śmierci, Aureliano Drugi wspominał deszczowe popołudnie czerwcowe, gdy wszedł do sypialni, by poznać swego pierworodnego syna. Chociaż dziecko było słabowite i płaczliwe, bez żadnych oznak przynależności do rodu Buendíów, nie namyślał się długo nad wyborem imienia.

– Będzie się nazywał José Arcadio – oznajmił.

Fernanda del Carpio, piękna kobieta, którą poślubił w poprzednim roku, nie miała nic przeciwko temu. Urszula jednak nie mogła ukryć niepokoju. W długich dziejach rodziny uparte powtarzanie imion pozwoliło jej wyciągnąć decydujące wnioski. Aurelianowie byli skryci i trzeźwi, José Arcadiowie natomiast okazywali się impulsywni, przedsiębiorczy, lecz naznaczeni piętnem tragedii. Do wyjątków należeli tylko José Arcadio Drugi i Aureliano Drugi. Byli tak podobni do siebie w dzieciństwie i tak przekorni, że nawet Santa Sofía de la Piedad nie mogła ich odróżnić. W dniu chrztu Amaranta nałożyła im bransoletki z imionami i ubrała ich na różne kolory, oznaczone inicjałami każdego z osobna, ale kiedy zaczęli chodzić do szkoły, postanowili zamienić się na ubrania i na bransoletki i zwracać się do siebie zamienionymi imionami. Nauczyciel Melchior Escalona, przyzwyczajony odróżniać Josego Arcadia Drugiego po zielonej koszuli, stracił panowanie nad sobą, kiedy odkrył, że nosi on bransoletkę z napisem Aureliano Drugi, ale jego brat twierdzi, że nazywa się Aureliano Drugi, pomimo białej koszuli i bransoletki z imieniem José Arcadio Drugi. Od tej chwili nikt już nie wiedział na pewno, kto jest kim. Nawet później, kiedy wyrośli i życie ich ukształtowało odmiennie. Urszula zastanawiała się, czy oni sami nie pomylili się w którymś momencie swej zawiłej gry

pomyłek i nie zamienili się na zawsze. Aż do pierwszych lat młodzieńczych byli jak dwie zsynchronizowane maszyny. Budzili się jednocześnie, o tej samej godzinie odczuwali naturalne potrzeby fizjologiczne, przechodzili te same choroby, a nawet śniły im się te same rzeczy. W domu, gdzie uważano, że koordynują swoje czynności przez figle, nikt nie zdawał sobie sprawy, że tak jest naprawdę, aż do dnia, kiedy Santa Sofía de la Piedad dała jednemu z nich szklankę lemoniady i zanim zdążył spróbować, drugi stwierdził, że brakuje cukru. Santa Sofía de la Piedad, która rzeczywiście zapomniała posłodzić lemoniadę, opowiedziała o tym Urszuli. „Tacy są oni wszyscy – odrzekła tamta spokojnie. – Pomyleni od urodzenia". Czas do reszty pomieszał wszystko. Ten, który podczas gry pomyłek pozostał z imieniem Aureliana Drugiego, wyrósł na olbrzyma tak jak dziadek, a ten, który zachował imię José Arcadio Drugi, był kościsty jak pułkownik i jedyną wspólną ich cechą było rodzinne piętno osamotnienia. Może ta właśnie wymiana wzrostu, imion i charakterów kazała Urszuli podejrzewać, że los przemieszał ich od dzieciństwa.

Decydująca różnica ujawniła się w czasie wojny, kiedy José Arcadio Drugi poprosił pułkownika Gerinelda Marqueza, żeby mu pozwolił zobaczyć, jak rozstrzeliwują ludzi. Wbrew opinii Urszuli, życzenie jego zostało spełnione. Aureliano Drugi, przeciwnie, wzdragał się na samą myśl oglądania egzekucji. Wolał dom. Mając dwanaście lat, spytał Urszulę, co znajduje się w zamkniętym pokoju. „Papiery – odpowiedziała. – Książki Melquiadesa i dziwne zapiski, które robił w ostatnich latach swego życia". Odpowiedź wzmogła jego ciekawość, zamiast ją zaspokoić. Nalegał tak natarczywie, tak usilnie przyrzekał niczego nie zniszczyć, że Urszula w końcu dała mu klucze. Nikt nie wchodził do tego pokoju od czasu, gdy zabrano zwłoki Melquiadesa i nałożono na drzwi kłódkę, której części spoiła rdza. Ale kiedy Aureliano Drugi otworzył okiennice, wpadło znajome światło, które zdawało się przyzwyczajone do oświetlania pokoju codziennie, i nie było tam ani śladu kurzu lub pajęczyn, wszystko było wysprzątane, lepiej jeszcze niż w dniu pogrzebu, atrament nie wysechł w kałamarzu ani patyna nie przyćmiła blasku metali, nie zgasł też żar pod tyglem, w którym José Arcadio Buendía odparowywał rtęć. Na półkach stały książki obłożone w satynowy papier, jasny jak wygarbowana skóra ludzka, a manuskrypty leżały nietknięte. Mimo wieloletniego zamknięcia

powietrze wydawało się czystsze niż w innych pokojach domu. Wszystko było tak świeże, że gdy w parę tygodni później Urszula weszła do pokoju z wiadrem wody i szczotką, żeby umyć podłogę, nie miała nic do roboty. Aureliano Drugi był pogrążony w lekturze jakiejś książki. Chociaż nie miała okładek i nigdzie nie można było dostrzec tytułu, chłopiec delektował się opowieścią o kobiecie, która zasiadała do stołu i zjadała tylko kilka ziarenek ryżu, nadziewając je na szpilkę, lub historią o rybaku, który prosił swojego sąsiada o pożyczenie ciężarków do sieci, a ryba, którą dał mu później w zamian za to, miała w brzuchu diament; o lampie, która spełniała życzenia, i latających dywanach. Zdziwiony zapytał Urszulę, czy to wszystko prawda, a ona potwierdziła, że wiele lat temu Cyganie przywozili do Macondo czarodziejskie lampy i latające dywaniki.

– Sęk w tym – westchnęła – że świat się powoli kończy i już się takie rzeczy nie zdarzają.

Kiedy przeczytał książkę, w której wiele opowieści było niedokończonych, gdyż brakowało stronic, Aureliano Drugi zadał sobie trud odcyfrowania manuskryptów. Było to niemożliwe. Litery przypominały bieliznę rozwieszoną do wysuszenia na drucie i zdawały się bardziej podobne do nut niż znaków pisarskich. Pewnego gorącego południa, mozoląc się nad manuskryptami, poczuł, że nie jest w pokoju sam. W smudze światła siedział Melquíades z rękami na kolanach. Nie miał więcej niż czterdzieści lat. Ubrany był w tę samą starą kamizelkę i kapelusz przypominający rozpostarte skrzydła kruka, a po bladych skroniach spływał tłuszcz z włosów rozpuszczony żarem słonecznym, tak jak wtedy, gdy widzieli go Aureliano i José Arcadio, kiedy byli dziećmi. Aureliano Drugi poznał go natychmiast, gdyż to dziedziczne wspomnienie było przekazywane z pokolenia na pokolenie i dotarło do niego poprzez opowiadania o pradziadku.

– Cześć – powiedział Aureliano Drugi.

– Witaj, młodzieńcze – odpowiedział Melquíades.

Od tego czasu przez wiele lat widywali się prawie każdego popołudnia. Melquíades opowiadał mu o dziwach świata, próbował przekazać mu swoją wiekową mądrość, ale odmówił przetłumaczenia manuskryptów. „Nikt nie może znać ich sensu, zanim upłynie sto lat” – wyjaśnił. Aureliano Drugi na

zawsze zachował tajemnicę tych spotkań. Kiedyś doznał wrażenia, że jego skryty świat wali się w gruzy, bo Urszula weszła do pokoju, kiedy był tam Melquíades. Ale ona go nie spostrzegła.

– Z kim rozmawiałeś? – spytała.

– Z nikim – odpowiedział Aureliano Drugi.

– Jesteś taki sam jak twój pradziadek – powiedziała Urszula – tamten także rozmawiał sam z sobą.

José Arcadio Drugi tymczasem zaspokoił chęć ujrzenia egzekucji. Do końca życia pamiętał bladą łunę sześciu jednoczesnych wystrzałów, huk i echo, które rozbiło się w górach, smutny uśmiech i zdziwione oczy rozstrzeliwanego, który stał wyprostowany, kiedy jego koszula nasiąkała krwią, i nie przestał uśmiechać się jeszcze wtedy, gdy odwiązano go od pala i umieszczono w skrzyni z wapnem. On żyje – pomyślał – zakopią go żywego. Przejął się tym tak bardzo, że od tej chwili znienawidził wojsko, wojnę, nie tyle z powodu egzekucji, co straszliwego zwyczaju grzebania rozstrzelanych żywcem. Nikt nie wiedział, kiedy zaczął bić w dzwony na wieży i służyć do mszy ojcu Antoniemu Isabel, następcy ojca Coronela, i doglądać kogutów bojowych na plebanii. Kiedy pułkownik Gerineldo Márquez dowiedział się o tym, skarcił go ostro za wykonywanie czynności pogardzanych przez liberałów.

„Cała bieda w tym – odpowiedział chłopiec – że jak mi się wydaje, stworzony jestem na konserwatystę”. Wierzył w to tak, jakby to było nieuchronnym wyrokiem losu. Pułkownik Gerineldo Márquez, oburzony, opowiedział o tym Urszuli.

– Tym lepiej – odpowiedziała. – Niechby został księdzem, żeby wreszcie Bóg wszedł do tego domu.

Wkrótce dowiedziano się, że ojciec Antonio Isabel przygotowuje chłopca do Pierwszej Komunii. Wykładał mu katechizm podczas golenia szyj kogucich. Za pomocą prostych przykładów, kiedy sadzali kwoki na jajach, tłumaczył, w jaki sposób Bóg w drugim dniu stworzenia wpadł na pomysł, żeby kurczęta wykluwały się z jajka. Od tego czasu proboszcz wykazywał już pierwsze objawy starczego obłędu, który kilka lat później doprowadził go do stwierdzenia, że prawdopodobnie diabeł wygrał bunt przeciwko Bogu i zasiadł na niebiańskim tronie, nie ujawniając swej

prawdziwej tożsamości, by oszukać nieroztropnych. Zachęcony nieustraszoną śmiałością swego nauczyciela, José Arcadio Drugi w ciągu kilku miesięcy stał się równie biegły w sztuczkach teologicznych wymierzonych przeciw diabłu, jak i w szachrajstwach walki kogutów. Amaranta uszyła mu lniane ubranie z kołnierzykiem i krawatem, kupiła mu białe pantofle i wyhaftowała jego imię na wstążce. Dwa dni przed Pierwszą Komunią ojciec Antonio Isabel zamknął się z nim w zakrystii, aby wyspowiadać go za pomocą słownika grzechów. Była to lista tak długa, że stary proboszcz, przyzwyczajony kłaść się spać o szóstej wieczorem, zasnął w fotelu, nim skończyli. Spowiedź była dla Josego Arcadia rewelacją. Nie zdziwił się, kiedy ojciec pytał go, czy robi nieczyste rzeczy z kobietami, i odpowiedział szczerze, że nie, stropiło go natomiast pytanie, czy robił to ze zwierzętami. W pierwszy piątek maja przystąpił do komunii dręczony ciekawością. Później zapytał Petronia, kulawego zakrystiana, który mieszkał w wieży i, jak mówiono, żywił się nietoperzami, a Petronio odpowiedział: „Są tacy grzeszni chrześcijanie, którzy swoje potrzeby załatwiają z oślicami”. José Arcadio Drugi nadal okazywał takie zainteresowanie, żądał tylu tłumaczeń, że Petronio stracił cierpliwość.

– Chodzę tam we wtorki w nocy – wyznał. – Jeżeli przysięgniesz, że nie powiesz nikomu, to w przyszły wtorek zabiorę cię z sobą.

W następny wtorek rzeczywiście Petronio zszedł z wieży z drewnianą ławeczką, której przeznaczenia nikt nie znał aż do tego czasu, i zaprowadził Josego Arcadia Drugiego do pobliskiego sadu. Chłopak tak się zapalił do tych wypraw nocnych, że wiele czasu minęło, zanim ujrzano go w sklepiku Catarina. Pasjonowały go też walki kogutów. „Zabieraj stąd te ptaszyska – rozkazała Urszula, kiedy pierwszy raz przyszedł z kilkoma wspaniałymi okazami zapaśników. – Koguty przyniosły już zbyt dużo nieszczęścia do tego domu, żebyś teraz ty z kolei prowokował los”. José Arcadio Drugi zabrał ptaki bez słowa, ale hodował je nadal u Pilar Ternery, swojej babki, która oddała do jego dyspozycji wszystko, czego potrzebował, byleby go mieć w swoim domu. Wkrótce stał się ekspertem w walkach kogutów, wykazując na tym polu całą wiedzę, której udzielił mu ojciec Antonio Isabel, i miał dość pieniędzy nie tylko na to, by wzbogacić swoją hodowlę, ale także opłacić swoje męskie zachcianki. Urszula porównywała go w tym czasie do jego brata i nie mogła zrozumieć, dlaczego bliźniacy, którzy

wydawali się jedną osobą w dzieciństwie, nagle stali się tak różni. Jej zdziwienie nie trwało długo, bo Aureliano dość wcześnie zaczął zdradzać upodobanie do lenistwa i rozrzutności. Dopóki przesiadywał w pokoju Melquiadesa, był skryty i pochłonięty sobą jak pułkownik Aureliano Buendía w młodości. Na krótko przed traktatem w Neerlandii przypadek oderwał go od medytacji i postawił w obliczu rzeczywistości tego świata. Pewna młoda kobieta, która sprzedawała losy na loterię fantową z akordeonem jako główną wygraną, zaczepiła go kiedyś, witając nader poufale. Aureliano Drugi nie zdziwił się, gdyż często mylono go z bratem. Ale nie sprostował pomyłki nawet wtedy, gdy dziewczyna próbowała zmiękczyć jego serce płaczem i w końcu zaprowadziła go do swego pokoju. Od pierwszego spotkania rozkochała się w nim do tego stopnia, że sfałszowała losy loteryjne, żeby to on wygrał akordeon. Po dwóch tygodniach Aureliano Drugi zorientował się, że dziewczyna sypia na przemian z nim i z jego bratem, sądząc, że to ten sam mężczyzna, i zamiast wyjaśnić sytuację, postarał się ją przeciągnąć. Nie wrócił do pokoju Melquiadesa. Spędzał popołudnia na podwórzu, ucząc się ze słuchu gry na akordeonie, wbrew protestom Urszuli, która w tym czasie zabroniła muzyki w domu z powodu żałoby, a oprócz tego gardziła akordeonem jako instrumentem godnym tylko włóczęgów, spadkobierców Francisca el Hombre. Mimo wszystko Aureliano Drugi opanował tę sztukę po mistrzowsku i uprawiał ją stale, kiedy już się ożenił i miał dzieci, i był jednym z najbardziej szanowanych ludzi w Macondo.

Prawie przez dwa miesiące dzielił dziewczynę z bratem. Śledził go, krzyżował jego plany, a kiedy był pewien, że José Arcadio Drugi nie odwiedzi tej nocy wspólnej kochanki, szedł do niej spać. Pewnego ranka odkrył, że jest chory. Dwa dni później zastał swojego brata w łazience opartego o belkę, płaczącego gorzko, i wtedy zrozumiał. Brat wyznał mu, że kobieta wypędziła go za to, że przyniósł jej to, co ona nazywała chorobą złego życia. Powiedziała mu też, jaką kurację zaleciła na to Pilar Ternera. Aureliano Drugi w sekrecie poddał się piekącym przemywaniom sublimatem i wodami moczopędnymi i obaj kurowali się oddzielnie przez trzy miesiące skrywanych cierpień. José Arcadio Drugi nigdy już nie zobaczył dziewczyny. Aureliano Drugi uzyskał jej przebaczenie i pozostał z nią aż do śmierci.

Nazywała się Petra Cotes. Przybyła do Macondo w czasie wojny z przypadkowym mężem, który utrzymywał się z loterii fantowych, i po jego śmierci sama przejęła to przedsiębiorstwo. Była to Mulatka, czysta i młoda, z żółtymi oczami w kształcie migdałów, które nadawały jej twarzy dzikość pantery. Ale miała wspaniałe serce i zdawała się stworzona do miłości. Urszula, dowiedziawszy się, że José Arcadio Drugi hoduje koguty, a Aureliano Drugi gra na akordeonie podczas hałaśliwych zabaw u swojej konkubiny, szalała z oburzenia. Tak jakby w obydwóch skoncentrowały się wszystkie najgorsze cechy rodziny, a żadna z zalet. Zadecydowała, że nikt już więcej w rodzinie nie będzie nosić imion Aureliano i José Arcadio. Mimo to, kiedy Aureliano Drugi ochrzcił swego pierwszego syna, nie odważyła się sprzeciwić.

– Dobrze – zgodziła się – ale pod jednym warunkiem – ja sama będę go wychowywać.

Chociaż miała już blisko sto lat i kataraktę na oczach taką, że ledwie widziała, zachowała nienaruszoną żywotność, prawość charakteru, trzeźwość umysłu. Nikt lepiej od niej nie mógłby wychować mężczyzny cnotliwego, który przywróciłby prestiż rodziny, mężczyzny, który nigdy nawet nie słyszał o wojnie, walkach kogutów, o kobietach lekkiego prowadzenia i obłąkańczych pomysłach – czterech plagach, które według Urszuli zadecydowały o upadku jej rodu. „Ten będzie księdzem – przyrzekła uroczyście. – I jeżeli Bóg zachowa mnie przy życiu, zostanie papieżem”. Słysząc to, wszyscy wybuchnęli śmiechem nie tylko w sypialni, ale w całym domu, gdzie zgromadzili się rozbawieni kumple Aureliana Drugiego. Wojna, zepchnięta do zakamarków złych wspomnień, została przywołana na chwilę wystrzałami korków od szampana.

– Zdrowie papieża! – wzniósł toast Aureliano Drugi.

Goście chórem powtórzyli toast. Potem pan domu zagrał na akordeonie, puszczono ognie sztuczne i rozkazano bić w bębny, ogłaszając święto w całym mieście. Rankiem zaproszeni goście, odurzeni szampanem, zabili sześć krów i ułożyli je na ulicy do dyspozycji gawiedzi. Nikt się nie oburzył. Od kiedy Aureliano Drugi objął rządy w domu, takie hulanki były rzeczą powszednią, nawet bez powodów tak słusznych i przekonujących jak narodziny papieża. W parę lat bez wysiłku, wyłącznie zrządzeniem losu, zebrał jedną z największych fortun w okolicy dzięki nadprzyrodzonej

płodności swoich zwierząt. Jego klacze rodziły trojaczki, kury znosiły jajka dwa razy dziennie, a wieprze tak niepohamowanie obrastały w tłuszcz, że nikt nie mógł wytłumaczyć sobie tej niewiarygodnej obfitości inaczej niż sztuką magiczną. „Oszczędzaj teraz – mówiła Urszula do swojego lekkomyślnego prawnuka. – To szczęście nie będzie trwało całe życie". Aureliano Drugi nie zwracał na nią uwagi. Im więcej otwierał szampana, żeby poić przyjaciół, tym obficiej rozmnażały się jego zwierzęta, a on coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że swoją pomyślną gwiazdę zawdzięcza nie temu, co robi, ale wpływowi Petry Cotes, swej konkubiny, której miłość miała moc działania na przyrodę. Tak niezłomnie wierzył w to, a nie inne źródło swego bogactwa, że Petra Cotes stale musiała przebywać w pobliżu jego hodowli, i nawet gdy się ożenił i miał dzieci, żył z nią nadal za zgodą Fernandy. Mocno zbudowany, olbrzymi jak jego dziadkowie, ale pełen radości życia i nieodparcie sympatyczny, czego brakowało tamtym, Aureliano Drugi prawie nie miał czasu doglądać swego bydła. Wystarczyło mu przywieźć Petrę Cotes do swych hodowli i objechać z nią konno swoje ziemie, żeby wszystkie zwierzęta znaczone jego pieczęcią uległy zarazie płodności.

Jak wszystkie pomyślności, które spotykały go w ciągu długiego życia, ta olbrzymia fortuna miała swoje źródło w przypadku. Aż do końca wojny Petra Cotes czerpała dochody z loterii fantowej, a Aureliano Drugi od czasu do czasu przetrząsał skarbonkę Urszuli. Tworzyli lekkomyślną parę, której jedyną troską było spać z sobą co noc, nawet w okresach zabronionych, i figlować w łóżku aż do ranka. „Ta kobieta cię zgubi – krzyczała Urszula na widok prawnuka wchodzącego do domu krokiem lunatyka. – Zaczarowała cię tak, że któregoś dnia zaczniesz skręcać się w bólach, jakbyś miał żabę w brzuchu". José Arcadio Drugi, który bardzo nieprędko odkrył, że go wyprowadzono w pole, nie rozumiał namiętności swego brata. Wspominał Petrę Cotes jako zwyczajną kobietę, raczej leniwą w łóżku i zupełnie pozbawioną pikanterii w sztuce miłości. Głuchy na dogadywania Urszuli i na żarty brata, Aureliano Drugi myślał wówczas tylko o znalezieniu zajęcia, które pozwoliłoby mu utrzymać dom dla Fernandy, a umrzeć wraz z Petrą Cotes, na niej, pod nią, którejś nocy gorączkowego szaleństwa. Kiedy pułkownik Aureliano Buendía wrócił do porzuconej sztuki złotnictwa, dając się w końcu skusić spokojnym urokom starości,

Aureliano Drugi pomyślał, że produkcja złotych rybek mogłaby stać się dobrym interesem. Spędził wiele godzin w nagrzanej izdebce, patrząc, jak twarde blaszki metalu, obrabiane przez pułkownika z niepojętą cierpliwością rozczarowania, zamieniały się stopniowo w złote łuski. Zajęcie to wydało mu się tak żmudne, a tak nęcące było wspomnienie Petry Cotes, że po trzech tygodniach zrezygnował. W tym czasie Petra Cotes wpadła na pomysł losowania królików. Rozmnażały się i dojrzewały tak szybko, że ledwie można było nastarczyć losów. Aureliano Drugi nie zauważył z początku tej alarmującej obfitości. Którejś nocy jednak, kiedy już nikt w mieście nie chciał słyszeć o loterii na króliki, zaniepokoił go hałas na podwórku. „Nie bój się – powiedziała Petra Cotes. – To tylko króliki”. Ale rwetes na podwórzu nie dawał im spać. O świcie Aureliano Drugi otworzył drzwi i zobaczył patio wybrukowane królikami niebieskimi w blasku świtu. Petra Cotes, płacząc niemal ze śmiechu, nie oparła się chęci zażartowania z niego:

– Wszystkie urodziły się dzisiaj w nocy! – powiedziała.

– Straszne! – wykrzyknął. – Może spróbujesz tego także z krowami?

W parę dni później, próbując zrobić trochę miejsca na podwórku, Petra Cotes zamieniła króliki na krowę, która po kilku miesiącach urodziła trojaczki. I tak potoczyły się sprawy. Z dnia na dzień Aureliano Drugi stał się właścicielem ziemi i trzód i ledwie nadążał z rozbudową stajni i przepełnionych chlewów. Ten obłędny dobrobyt śmieszył nawet jego samego tak, że pozwalał sobie na głupie żarty, by rozładować swój dobry humor. „Na bok krowy, bo życie jest krótkie!” – krzyczał. Urszula zadawała sobie pytanie, czy nie wdał się w jakieś podejrzane interesy, czy nie kradnie albo nie skończy jako koniokrad, i wyrzucała mu marnotrawstwo, ilekroć otwierał szampana po to, by sobie wylać pianę na głowę. Tak go to gniewało, że któregoś dnia, gdy wstał w wyjątkowo promiennym humorze, przyszedł ze skrzynką pieniędzy, z puszką kleju i szczotką i wyśpiewując na całe gardło stare piosenki Francisca el Hombre, zaczął tapetować dom od góry do dołu wewnątrz i na zewnątrz banknotami jednopesowymi. Stare domostwo, pomalowane na biało od czasu, gdy wniesiono pianolę, przybrało podejrzany wygląd meczetu. Wśród popłochu całej rodziny, oburzenia Urszuli i radości tłumu, który wypełnił ulicę, by uczestniczyć w tej apoteozie marnotrawstwa, Aureliano Drugi wytapetował dom do

końca, od fasady aż do kuchni, nie wyłączając łazienek i sypialni, i wyrzucił zbywające banknoty na podwórze.

– Teraz – oświadczył na zakończenie – mam nadzieję, że nikt w tym domu nie będzie mi już mówił o pieniądzach.

Nie pomylił się. Urszula kazała usunąć przylepione do nawapnowanych ścian banknoty i z powrotem pomalować dom na biało. „Boże mój – modliła się – uczyń nas tak biednymi, jak byliśmy, zakładając to miasto, żebyś na tamtym świecie nie kazał nam płacić za tę rozrzutność". Jej modły zostały wysłuchane w przeciwnym sensie. Jeden z robotników odlepiających pieniądze potrącił nieostrożnie olbrzymią gipsową figurę świętego Józefa, którą ktoś zostawił tu na przechowanie podczas ostatnich lat wojny, i posąg roztrzaskał się o ziemię. Był wypełniony złotymi monetami. Nikt nie pamiętał, kto przyniósł tego świętego o naturalnych wymiarach. „Przydźwigali go trzej mężczyźni – tłumaczyła Amaranta. – Prosili, żeby przechować posąg, dopóki nie miną deszcze, a ja kazałam postawić go w tym kącie, żeby nikomu nie zawadzał, wstawili go bardzo ostrożnie i odtąd zawsze tam stał, bo nie wrócili go odebrać". W ostatnich czasach Urszula stawiała mu świeczki i klękała przed nim, nie podejrzewając, że zamiast świętego adoruje dwieście bez mała kilogramów złota. To niewczesne objawienie jej mimowolnego bałwochwalstwa pogrążyło ją w rozpaczy. Splunęła na okazałą górę monet, przesypała je do trzech drelichowych worków i zakopała w nieznanym nikomu miejscu z nadzieją, że wcześniej czy później trzej nieznajomi zgłoszą się po odbiór. Wiele lat później, w trudnych latach starości, Urszula nabrała zwyczaju zaczepiania licznych podróżnych, którzy tędy przechodzili, by zapytać, czy podczas wojny nie zostawili tu gipsowego świętego Józefa na przechowanie przez porę deszczową.

Te rzeczy, tak zdumiewające dla Urszuli, były w owym czasie na porządku dziennym. Macondo opływało w cudowny dobrobyt. Domki założycieli, zrobione z gliny i trzciny, zastąpiono murowanymi budynkami o drewnianych żaluzjach i cementowych podłogach, które łatwiej pozwalały znieść duszący upał w godzinie sjesty. Z dawnej osady Josego Arcadia Buendíi zostały tylko zakurzone migdałowce, które miały przetrwać najcięższe chwile, i rzeka o przejrzystych wodach, której przedhistoryczne kamienie obróciły się w proszek pod ciosami oszalałych

młotów Josego Arcadia Drugiego, kiedy ten uparł się pogłębić koryto rzeki, by rozwinąć żeglugę. Był to obłąkańczy pomysł, dający się porównać tylko do szaleństw jego pradziadka, gdyż kamieniste łożysko i liczne wiry przeszkadzały tranzytowi z Macondo do morza. Ale José Arcadio Drugi w niespodziewanym przypływie brawury obstawał przy swoim projekcie. Dotychczas nie objawiał w niczym swojej wyobraźni. Prócz krótkotrwałej przygody z Petrą Cotes nie znał żadnej innej kobiety. Urszuli wydawał się najbardziej niemrawym z jej potomków w całych dziejach rodziny, niezdolnym wybić się nawet w tresurze kogutów. Pewnego dnia pułkownik Aureliano Buendía opowiedział mu o karaweli hiszpańskiej zarytej w piasku o dwanaście kilometrów od morza, której zwęglony szkielet on sam oglądał podczas wojny. Opowieść, którą tyle ludzi przez tak długi czas uważało za zmyśloną, stała się objawieniem dla Josego Arcadia Drugiego. Sprzedał swoje koguty na licytacji, zebrał ludzi, kupił narzędzia i rozpoczął gigantyczne przedsięwzięcie rozbijania kamieni, kopania kanałów, oczyszczania dna rzeki i nawet wyrównywania poziomu katarakt. „Wszystko to już znam na pamięć – krzyczała Urszula. – Tak jakby czas kręcił się w kółko i jakbyśmy wrócili do początków”. Uznawszy, że rzeka jest spławna, José Arcadio Drugi szczegółowo wytłumaczył swoje plany bratu i ten dał mu pieniądze potrzebne do zakończenia imprezy. Potem znikł. Zaczęto już mówić, że jego projekt kupna statku był tylko pretekstem do ucieczki z pieniędzmi brata, gdy nadeszła wieść, że jakiś dziwny okręt zbliża się do Macondo. Mieszkańcy, którzy już nie pamiętali kolosalnych przedsięwzięć Josego Arcadia Buendíi, pospieszyli nad rzekę i nie dowierzając własnym oczom, zobaczyli pierwszy i ostatni statek, jaki kiedykolwiek przybił do tych wybrzeży. Była to zwykła tratwa z pni, którą ciągnęło na linach dwudziestu mężczyzn idących brzegiem. Na przedzie José Arcadio Drugi z błyskiem zadowolenia w oku dyrygował tym kosztownym manewrem. Z nim razem przybyła grupa wspaniałych dam, które osłaniały się od palącego słońca wykwintnymi parasolkami i szalami z jedwabiu okrywającymi ramiona; miały jaskrawo umalowane twarze, naturalne kwiaty we włosach, złote węże na rękach i diamenty w zębach. Tratwa z pni była jedynym wehikułem, jaki drogą wodną zdołał dotrzeć do Macondo, ale José Arcadio Drugi nigdy nie przyznał się do porażki swego przedsięwzięcia i ogłosił swój wyczyn zwycięstwem silnej woli. Zdał dokładnie rachunki bratu i szybko wrócił do rutyny kogutów. Jedynym, co

pozostało z tej nieudanej inicjatywy, był powiew nowości, jaki przyniosły ze sobą damy z Francji, których cudowne sztuczki zmieniły tradycyjne metody miłości i których wyższość klasowa zrujnowała staroświecki sklepik Catarina, przeobrażając całą ulicę w bazar japońskich lampionów i tęsknych organków. One to zorganizowały pamiętny karnawał, który na trzy dni pogrążył Macondo w szaleństwie i którego jedyną trwałą konsekwencją było spotkanie Aureliana Drugiego i Fernandy del Carpio.

Piękną Remedios ogłoszono królową karnawału. Urszula, którą niepokoiła oszałamiająca piękność prawnuczki, nie mogła przeszkodzić wyborowi. Dotychczas udawało jej się nie wypuszczać dziewczyny na ulicę, poza wysłuchaniem mszy w kościele, dokąd chodziła w towarzystwie Amaranty i musiała zasłaniać twarz czarną mantylką. Nawet najwięksi bezbożnicy, ci, co przebierali się za księży, by odprawiać bluźniercze msze w sklepiku Catarina, chodzili teraz do kościoła po to, by zobaczyć choć na chwilę twarz Pięknej Remedios, o której bajecznej urodzie rozprawiano w ferworze na całym obszarze moczarów. Wiele czasu minęło, zanim zdołali ją ujrzeć, i lepiej by na tym wyszli, gdyby to nigdy nie nastąpiło, gdyż większość z nich nie mogła odtąd spać spokojnie. Człowiek, który im to umożliwił, cudzoziemiec, stracił na zawsze spokój. Stoczył się na dno nędzy i poniżenia, a w kilka lat później został przejechany przez nocny pociąg, kiedy zasnął na szynach. Od chwili, kiedy ujrzano go w kościele w ubraniu z zielonego aksamitu i haftowanej kamizelce, nikt nie wątpił, że przybywa z daleka, może z odległego miasta za granicą, przyciągnięty magicznym czarem Pięknej Remedios. Był tak urodziwy, tak śmiały i pewny siebie, tak wykwintny, a zarazem pełen szlachetnej prostoty, że w porównaniu z nim Pietro Crespi wyglądałby jak niedonoszony noworodek, i wiele kobiet szeptało wśród pogardliwych uśmiechów, że to on właśnie powinien nosić mantylkę. Z nikim spośród mieszkańców Macondo nie nawiązał bliższej znajomości, ukazywał się o świcie w niedzielę jak książę z bajki na koniu w srebrem nabijanej uprzęży i w aksamitnym czapraku, i wyjeżdżał zaraz po mszy.

Blask, jaki bił od niego, miał w sobie tyle magnetycznej siły, że odkąd pierwszy raz ujrzano go w kościele, wszyscy przyjęli za pewnik, że między nim a Piękną Remedios wywiązał się pojedynek napięty i milczący, tajemny pakt, nieodwołalne wyzwanie do walki, której punktem

kulminacyjnym nie mogła być sama tylko miłość, ale także śmierć. W szóstą niedzielę rycerz zjawił się z żółtą różą w ręku. Wysłuchał mszy, stojąc, jak zawsze, a po wyjściu z kościoła zagrodził drogę Pięknej Remedios i wręczył jej samotną różę. Ona przyjęła ją gestem naturalnym, jakby była przygotowana na ten hołd, i wtedy odkryła twarz na chwilę i podziękowała uśmiechem. To było wszystko, co zrobiła. Niemniej nie tylko dla rycerza, lecz dla wszystkich mężczyzn, których nieszczęsnym przywilejem było przeżyć tę chwilę, była to chwila wieczności.

Od tego czasu młodzieniec wysyłał pod okna Pięknej Remedios orkiestrę, która grała niekiedy aż do świtu. Aureliano Drugi był jedynym, który serdecznie mu współczuł i próbował wybić mu tę miłość z głowy. „Nie trać pan czasu – powiedział mu któregoś wieczoru. – Kobiety z tego domu gorsze są od mułów”. Ofiarował mu swoją przyjaźń, zaprosił go na kąpiel w szampanie, usiłował tłumaczyć, że wszystkie dziewczęta w jego rodzinie mają serca z kamienia, ale nie zdołał osłabić jego uporu. Rozwścieczony trwającymi bez końca nocami muzyki, pułkownik Aureliano Buendía zagroził, że go wyleczy z miłości za pomocą pistoletu. Ale nic nie pomagało i nieszczęśliwe uczucie z czasem wtrąciło go w nędzę. Piękny i nienagannie ubrany młodzieniec stał się niechlujnym obszarpańcem. Opowiadano, że porzucił władzę i majątek w swoim odległym kraju, chociaż naprawdę nic nie było wiadomo o jego pochodzeniu. Wszczynał bijatyki w knajpach, pił, oddawał się rozpuście, budził się uwalany w swoich własnych ekskrementach w sklepiku Catarina. Najtragiczniejsze było to, że Piękna Remedios nie spojrzała już na niego, nawet kiedy pojawił się w kościele ubrany jak książę. Przyjęła żółtą różę bezmyślnie, ubawiona ekstrawagancją gestu, i uniosła mantylkę, żeby przyjrzeć się jego twarzy, a nie po to, by pokazać mu swoją.

Piękna Remedios żyła poza nawiasem tego świata. Aż do późnego wieku dziewczęcego Santa Sofía de la Piedad musiała ją myć i ubierać i nawet kiedy już mogła robić to sama, trzeba było jej pilnować, aby nie malowała na ścianach zwierzątek pałeczką umazaną we własnej kupce. W dwudziestym roku życia nie umiała czytać ani pisać, odmawiała posługiwania się sztućcami i spacerowała nago po domu, zbuntowana przeciw wszelkiemu konwencjonalizmowi. Kiedy młody dowódca straży wyznał jej swą miłość, odrzuciła go po prostu, zdumiona jego śmiałością.

„Pomyśl, co za głupiec z niego – powiedziała do Amaranty. – Mówi, że umiera z mego powodu, zupełnie jakbym była chorobą”. Gdy rzeczywiście znaleziono go nieżywego pod jej oknem, Piękna Remedios potwierdziła swoje pierwotne wrażenie.

– No widzicie – powiedziała – był beznadziejnie głupi.

Wydawało się, że jakaś zdolność widzenia na wskroś pozwala jej pojmować istotę rzeczy poza wszelkimi formami. Takie przynajmniej było zdanie pułkownika Aureliana Buendíi, dla którego Piękna Remedios bynajmniej nie była upośledzona umysłowo, tak jak przypuszczano, ale wręcz przeciwnie. „Tak jakby tu powróciła po dwudziestu latach wojny” – mówił. Urszula ze swej strony dziękowała Bogu, że wynagrodził rodzinę istotą o tak wyjątkowej czystości, ale jednocześnie niepokoiła ją jej uroda, gdyż widziała w tym niebezpieczeństwo, diabelskie sidła ukryte pośród niewinności. Dlatego też postanowiła odseparować ją od świata, uchronić od wszelkiej pokusy ziemskiej, nie wiedząc, że Piękna Remedios już w łonie swej matki była zabezpieczona przed jakąkolwiek zarazą. Nigdy nie pomyślała o tym, że mogliby ją wybrać na królową piękności podczas pandemonium karnawału. Aureliano Drugi, urzeczony pomysłem przebrania się za tygrysa, przyprowadził do domu ojca Antonia Isabel, żeby wytłumaczyć Urszuli, iż karnawał nie jest pogańskim świętem wbrew jej twierdzeniom, ale tradycją katolicką. W końcu przekonana zgodziła się na koronację, aczkolwiek w głębi ducha była temu przeciwna.

Wiadomość, że Remedios Buendía będzie królową zabawy, rozeszła się w parę godzin poza granice moczarów, dotarła do odległych terytoriów, gdzie nie znano niezmiernego prestiżu jej urody, i wzbudziła niepokój tych, którzy jeszcze uważali jej nazwisko za symbol dywersji. Był to niepokój bezpodstawny. Jeśli istniał ktoś nieszkodliwy w tym czasie, to z pewnością postarzały i rozczarowany pułkownik Aureliano Buendía, który stopniowo zatracał wszelki kontakt z życiem narodu. Żył zamknięty w swoim warsztacie i jedyną jego więzią z resztą świata była produkcja złotych rybek. Jeden z dawnych żołnierzy, którzy strzegli jego domu w pierwsze dni pokoju, sprzedawał je w miasteczkach na moczarach i wracał obładowany pieniędzmi i wiadomościami, że rząd konserwatystów popierany przez liberałów reformuje kalendarz, tak by każdy prezydent sprawował władzę przez sto lat; że w końcu podpisano konkordat ze Stolicą

Apostolską i że przyjechał z Rzymu kardynał w koronie z diamentów, zasiadający na tronie z czystego złota, i że ministrowie liberalni kazali fotografować się na klęczkach w chwili całowania jego pierścienia; że główna chórzystka hiszpańskiego zespołu podczas występów w stolicy została porwana ze swojej garderoby przez grupę ludzi w maskach, a następnej niedzieli tańczyła nago w letniej rezydencji prezydenta republiki. „Nie mów mi o polityce – przerwał mu pułkownik. – Nasza sprawa to sprzedaż rybek”. Powszechnie panująca opinia, że dawny bohater nie chce nic wiedzieć o sytuacji w kraju, ponieważ robi majątek na złotych rybkach, wywołała śmiech Urszuli, kiedy doszła do jej uszu. Ze swym straszliwym zmysłem praktycznym nie mogła znaleźć sensu w pracy pułkownika, który zamieniał złote rybki na złote monety, z których wyrabiał złote rybki, i tak w kółko, tak że im więcej sprzedawał, tym więcej musiał pracować, żeby nadążyć za rozpędzonym błędnym kołem. W rzeczywistości interesowało go nie przedsiębiorstwo, ale praca. Łączenie łusek, inkrustowanie maleńkich rubinków w otworach ocznych, modelowanie płetw i ogona wymagało takiego skupienia umysłu, że nie było w nim pustego miejsca, które mogłyby wypełnić rozczarowania wojenne. Precyzyjne rzemiosło pochłaniało go do tego stopnia, że w krótkim czasie postarzał się bardziej niż przez długie lata wojny; wskutek pozycji siedzącej skrzywił mu się kręgosłup i osłabł nadmiernie wytężany wzrok, ale ta nieubłagana koncentracja przyniosła w nagrodę spokój ducha. Ostatni raz zajął się sprawą, która miała coś wspólnego z wojną, kiedy grupa weteranów obu partii zażądała jego poparcia w walce o renty dożywotnie, stale obiecywane i stale tkwiące w punkcie wyjścia. „Wybijcie to sobie z głowy – powiedział im. – Ja zrzekłem się mojej renty po to, żeby nie czekać na nią aż do śmierci”. Z początku pułkownik Gerineldo Márquez odwiedzał go pod wieczór i obaj zasiadali w drzwiach od ulicy, żeby wspominać przeszłość, ale Amaranta nie mogła znieść wspomnień, jakie budził w niej ten znużony mężczyzna, którego łysina spychała w przepaść przedwczesnej starości. Gnębiła go wciąż niesłusznymi pretensjami, tak że odwiedzał ich coraz rzadziej, ograniczając wizyty do wyjątkowych okazji, a w końcu przestał przychodzić zupełnie, przykuty do łóżka paraliżem. Zamknięty w sobie, milczący, nieczuły na nowy podmuch żywotności, który wstrząsnął domem, pułkownik Aureliano Buendía nie rozumiał, że sekretem dobrej starości jest nie co innego, tylko szczery pakt

z samotnością. Wstawał o piątej po lekkim śnie, wypijał w kuchni swój odwieczny kubek kawy, zamykał się na cały dzień w warsztacie i o czwartej po południu przechodził przez galerię, ciągnąc za sobą taboret, nie patrząc nawet na pożar róż ani blask popołudniowej godziny, ani na nieulękłość Amaranty, której melancholia była jak szelest liści, wyraźniej uchwytny pod wieczór, i zasiadał przy drzwiach na ulicę, pozostając tam, dopóki pozwalały mu komary. Pewnego razu ktoś odważył się zakłócić jego samotność.

– Jak się pan miewa, pułkowniku? – zapytał przechodzień.

– Czekam, aż przejdzie mój własny pogrzeb – odpowiedział.

Tak więc niepokój wywołany nowym rozgłosem, jaki przybrało nazwisko Buendía z okazji królowania Pięknej Remedios, pozbawiony był prawdziwych podstaw. Wiele osób jednakże było innego zdania. Nie przeczuwając wiszącej w powietrzu tragedii, ludność tłumnie wypełniła główny plac w hałaśliwej eksplozji radości. Karnawał osiągnął szczytowy punkt szaleństwa, Aureliano Drugi spełnił wreszcie swoje marzenie i w przebraniu tygrysa krążył uszczęśliwiony wśród rozszalałego tłumu, ochrypły od tygrysich ryków, kiedy na drodze z moczarów ukazał się różnobarwny tłum przebierańców, niosąc w pozłacanej lektyce najbardziej fascynującą kobietę, jaką mogła stworzyć wyobraźnia. Pokojowo nastawieni mieszkańcy Macondo zdjęli na chwilę maski, żeby lepiej się przyjrzeć tej olśniewającej istocie w diademie ze szmaragdów i gronostajowym płaszczu, która zdawała się wyposażona w autentyczną władzę królewską, nie tylko w majestat świecideł i karbowanej bibułki. Znalazło się wielu dość bystrych, by wietrzyć w tym prowokację. Ale Aureliano Drugi z punktu położył kres podejrzeniom, ogłosił nowo przybyłych honorowymi gośćmi i salomonowym sądem rozstrzygnął wahanie, ustawiając tron Pięknej Remedios i królowej Intruzki na tym samym piedestale. Do północy przebrani za Beduinów przybysze uczestniczyli w szaleństwie, a nawet urozmaicili zabawę obfitą pirotechniką i popisem akrobatycznym, który przypominał sztuki Cyganów. Nagle w porywie entuzjazmu ktoś zburzył chwiejną równowagę.

– Niech żyje partia liberalna – krzyknął – niech żyje pułkownik Aureliano Buendía.

Wystrzały karabinów zgasiły wspaniałość sztucznych ogni, okrzyki przerażenia zagłuszyły muzykę i radość ustąpiła miejsca panice. Jeszcze wiele lat później nadal twierdzono, że królewska gwardia samozwańczej królowej była szwadronem regularnego wojska, który pod karnawałowymi strojami ukrywał żołnierskie karabiny. Rząd zdementował ten zarzut w nadzwyczajnym obwieszczeniu i przyrzekł ścisłe dochodzenie w sprawie krwawego epizodu. Ale prawda nigdy nie została wyjaśniona i przetrwała na zawsze wersja, że bez żadnej prowokacji gwardia królewska zajęła pozycje bojowe na sygnał swego dowódcy i bezlitośnie strzelała do tłumu. Kiedy przywrócono porządek, nie pozostał w mieście ani jeden z fałszywych Beduinów, pozostało natomiast na placu wśród zmarłych i rannych dziewięciu pierrotów, cztery kolombiny, siedemnastu królów karcianych, jeden diabeł, trzech muzykantów, trzech parów Francji i trzy japońskie cesarzowe. W zamieszaniu zbiorowej paniki José Arcadio Drugi zdołał uratować Piękną Remedios, a Aureliano Drugi zaniósł na rękach do domu cudzoziemską władczynię w poszarpanej sukni i w gronostajowym płaszczu zbryzganym krwią. Nazywała się Fernanda del Carpio. Wybrano ją jako najpiękniejszą spośród pięciu tysięcy pięknych kobiet w kraju i zawieziono do Macondo, przyrzekając, że zostanie mianowana królową Madagaskaru. Urszula zajęła się nią jak córką. Zamiast kwestionować jej niewinność, miasto ulitowało się nad jej nieszczęściem. W sześć miesięcy po masakrze, kiedy wyzdrowieli ranni i ostatnie kwiaty zwiędły na zbiorowym grobie, Aureliano Drugi pojechał do odległego miasta, gdzie mieszkała ze swoim ojcem karnawałowa władczyni, i ożenił się z nią w Macondo, wyprawiając dwudziestodniowe huczne wesele.

Po dwóch miesiącach małżeństwo omal się nie rozpadło, bo Aureliano Drugi, próbując pogodzić się z Petrą Cotes, kazał ją sfotografować w stroju królowej Madagaskaru. Dowiedziawszy się o tym, Fernanda spakowała swoje kufry wyprawne i wyjechała z Macondo bez pożegnania. Aureliano Drugi dogonił ją na drodze do moczarów. Po wielu prośbach i obietnicach poprawy zdołał przywieźć ją z powrotem do domu i porzucił konkubinę.

Petra Cotes świadoma swojej siły nie okazywała niepokoju. To ona zrobiła z niego człowieka. Wyciągnęła go z pokoju Melquiadesa, kiedy był jeszcze dzieckiem z głową pełną fantastycznych pomysłów, bez żadnego kontaktu z rzeczywistością, i dała mu miejsce w świecie. Natura stworzyła go skrytym i nieśmiałym, ze skłonnościami do samotnych medytacji, a ona ukształtowała charakter wręcz przeciwny, żywotny, ekspansywny i niepohamowany, aż do przeobrażenia go wewnątrz i na zewnątrz w mężczyznę, jakiego wymarzyła dla siebie od pierwszych lat młodości. Ożenił się więc, tak jak wcześniej czy później żenią się synowie. On sam nie odważył się jej o tym zawiadomić. Zajął postawę bardzo dziecinną w obliczu sytuacji, stosując metodę fałszywych uraz i urojonych pretensji, w poszukiwaniu sposobu, żeby to ona, Petra Cotes, sprowokowała zerwanie. Pewnego dnia, kiedy Aureliano Drugi zrobił jej niesprawiedliwą wymówkę, nie dała się wpędzić w pułapkę i postawiła sprawę jasno.

– Chodzi przecież tylko o to, że chcesz się żenić z królową – powiedziała.

Aureliano Drugi, zawstydzony, udał napad gniewu, oświadczył, że jest niezrozumiany i znieważony, i przestał ją odwiedzać. Petra Cotes, ani na chwilę nie tracąc swego wspaniałego opanowania drapieżnej bestii

w momencie odpoczynku, słuchała muzyki i petard na weselu, oszalałego zgiełku publicznej zabawy, tak jakby wszystko to było nowym figlem Aureliana Drugiego. Tych, którzy litowali się nad jej losem, uspokajała uśmiechem. „Nie martwcie się – mówiła. – U mnie królowe są na posyłki”. Sąsiadce, która przyniosła świecznik, żeby uroczyście spalić portret utraconego kochanka, powiedziała z zagadkową pewnością:

– Jedyna świeca, która mu każe wrócić, jest zawsze zapalona.

Tak jak to przewidziała, Aureliano Drugi powrócił do jej domu, zaledwie minął miesiąc miodowy. Przyprowadził jak zawsze swoich kumpli, wędrownego fotografa, przyniósł suknię i zakrwawiony płaszcz gronostajowy, który Fernanda miała na sobie w czasie karnawału. W ferworze zabawy, która rozgorzała później, kazał Petrze Cotes ubrać się w strój królewski, ukoronował ją jako dożywotnią władczynię Madagaskaru i rozdał odbitki fotografii swoim przyjaciołom. Ona nie tylko włączyła się do zabawy, ale współczuła mu w głębi duszy, przypuszczając, że musi być bardzo przestraszony, skoro wymyślił tak osobliwy wybieg, aby się pogodzić. O siódmej wieczorem, jeszcze ubrana w królewski strój, przyjęła go w łóżku. Żył z żoną zaledwie dwa miesiące, ale ona natychmiast zorientowała się, że sprawy nie układają się najlepiej w łożu małżeńskim, i przeżyła rozkosz spełnionej zemsty. W dwa dni później jednak, kiedy nie miał odwagi wrócić sam, tylko przysłał pośrednika, aby omówić warunki zerwania, zrozumiała, że trzeba tu będzie więcej cierpliwości, niż przewidywała, ponieważ on zdawał się gotów do poświęcenia dla uratowania pozorów. Ale i wtedy nie straciła głowy. Ułatwiała mu wszystko z uległością potwierdzającą powszechne przekonanie o jej krzywdzie, a jedynym wspomnieniem, jakie zachowała o Aurelianie Drugim, była para lakierowanych butów, w których zgodnie z wypowiedzianym niegdyś życzeniem miał być pochowany. Ułożyła je na dnie kufra zawinięte w szmaty i przygotowała się na długie, acz nie beznadziejne czekanie.

– Wcześniej czy później musi wrócić – powiedziała sobie – choćby tylko po te buty.

Nie musiała czekać aż tak długo. W rzeczywistości Aureliano Drugi już w noc poślubną zrozumiał, że wróci do domu Petry Cotes dużo wcześniej, niż nadejdzie okazja włożenia lakierowanych butów – Fernanda była kobietą straconą dla uciech tego świata. Urodziła się i wyrosła o tysiąc

kilometrów od morza, w posępnym mieście, przez którego kamienne uliczki w widmowe noce przejeżdżały jeszcze karety wicekrólów. Trzydziestu dwóch dzwonników biło w dzwony żałobne o szóstej po południu. W olbrzymim wielkopańskim domu, wyłożonym nagrobnymi płytami, nigdy nie gościło słońce. Powietrze zamarło w cyprysach na dziedzińcu, w wyblakłych kurtynach sypialń, w sennych altanach ogrodu tuberoz. Jedynymi echami ze świata, jakie słyszała Fernanda przez cały okres młodości, były melancholijne wprawki na pianinie grywane w sąsiednim domu przez kogoś, kto przez całe lata pozwalał sobie na kaprys nierespektowania popołudniowej sjesty. W pokoju swojej chorej matki, zielonej i żółtej w zakurzonym świetle witraży, wysłuchiwała gam, metodycznych, upartych i beznamiętnych, i myślała, że ta muzyka istnieje w świecie, podczas gdy ona spala się w zamknięciu, splatając wieńce żałobne z liści palmowych. Matka, pocąc się w gorączce, mówiła jej o splendorach przeszłości. Jako mała dziewczynka pewnej księżycowej nocy Fernanda ujrzała piękną kobietę w bieli przechodzącą przez ogród w kierunku kaplicy. Tym, co najbardziej uderzyło ją w tej przelotnej wizji, było podobieństwo zjawy do niej samej, tak jakby zobaczyła siebie w dwadzieścia lat później. „To jest twoja prababka, królowa – powiedziała jej matka w przerwach między atakami kaszlu. – Umarła od morowego powietrza w chwili, kiedy ścinała gałązkę tuberozy”. Wiele lat później, gdy zaczynała czuć się podobna do swojej prababki, Fernanda miała wątpliwości co do tej wizji z dzieciństwa, ale matka skarciła jej niedowierzanie.

– Jesteśmy ogromnie bogaci i możni – powiedziała. – Któregoś dnia będziesz królową.

Uwierzyła w to, choć przy długim stole nakrytym lnianymi obrusami i srebrną zastawą zasiadali tylko po to, by wypić filiżankę czekolady rozcieńczonej wodą i zjeść słodką bułkę. Aż do dnia ślubu marzyła o tym legendarnym królestwie, pomimo że jej ojciec, don Fernando, musiał zaciągnąć dług hipoteczny, żeby kupić jej wyprawę. Nie była to naiwność ani mania wielkości. Tak ją wychowano. Odkąd mogła sięgnąć pamięcią, do załatwiania potrzeb naturalnych używała złotego nocnika z wyrytym herbem rodzinnym. Po raz pierwszy wyszła z domu w wieku dwunastu lat i wsiadła do powozu, choć trzeba było przejść tylko dwie przecznice, żeby

ją zaprowadzić do klasztoru. Jej koleżanki ze szkoły dziwiły się, że przydzielono jej miejsce osobne, na krześle z wysokim oparciem, i nie podchodziła do nich nawet podczas przerwy. „Ona jest inna – tłumaczyły zakonnice. – Będzie królową”. Jej koleżanki uwierzyły w to, bo już wtedy była najładniejszą, najbardziej dystyngowaną i najlepiej ułożoną panienką, jaką kiedykolwiek widziano. Po ośmiu latach, gdy już nauczyła się układać wiersze po łacinie, grać na klawikordzie, rozmawiać o polowaniu z sokołem z kawalerami, o apologetyce z arcybiskupami, o sprawach państwowych z przedstawicielami rządu obcego kraju, o sprawach boskich z papieżem, pewnego dnia wróciła do domu rodziców splatać wieńce pogrzebowe. Zastała dom ogołocony. Zostały tylko najniezbędniejsze sprzęty, kandelabry i srebrne nakrycia, bo inne przedmioty codziennego użytku sprzedano na opłacenie jej edukacji. Matka jej padła ofiarą długoletniej gorączki malarycznej. Jej ojciec, don Fernando, ubrany na czarno, w sztywnym kołnierzyku, ze złotym łańcuszkiem u zegarka, dawał jej co poniedziałek srebrną monetę na wydatki domowe i zabierał skończone w poprzednim tygodniu wieńce. Większą część dnia spędzał zamknięty w gabinecie, a w rzadkich wypadkach, gdy wychodził na ulicę, wracał przed szóstą, żeby z nią razem odmówić różaniec. Nigdy nie miała bliskiej przyjaciółki. Nigdy nie słyszała o wojnach, które wykrwawiły jej kraj. Nigdy nie przestała wysłuchiwać wprawek na fortepianie o trzeciej po południu. Zaczęła już tracić nadzieję, że zostanie królową, kiedy pewnego dnia zadźwięczały dwie kołatki u drzwi wejściowych i zszedłszy, by je otworzyć, ujrzała wojskowego o ceremonialnym sposobie bycia, z blizną na policzku i złotym medalem na piersiach. Zamknął się z jej ojcem w gabinecie. W dwie godziny później ojciec przyszedł do niej do szwalni. „Przygotuj swoje rzeczy – powiedział. – Pojedziesz w długą podróż”. I tak ją przywieziono do Macondo. W ciągu jednego dnia jednym brutalnym szarpnięciem życie rzuciło na jej barki cały ciężar rzeczywistości, którą przez lata ukrywali przed nią rodzice. Po powrocie do domu zamknęła się w pokoju i płakała, obojętna na prośby i tłumaczenia don Fernanda, usiłując zatrzeć w pamięci ranę tego monstrualnego żartu. Przysięgała sobie nie opuścić sypialni aż do śmierci, gdy zjawił się po nią Aureliano Drugi. Był to łut niepojętego szczęścia, gdyż w swoim oszołomieniu i oburzeniu, w furii wstydu okłamała go tak, by nigdy nie dowiedział się jej prawdziwego imienia. Jedynym tropem, jakim mógł się kierować Aureliano

Drugi, kiedy wyruszał na jej poszukiwanie, był jej nieomylny akcent mieszkańców pustynnego płaskowyżu i zawód wyplataczki wieńców pogrzebowych. Szukał jej bez wytchnienia. Z taką samą dziką odwagą, z jaką José Arcadio Buendía przeszedł sierrę, by założyć Macondo, ze ślepą dumą, z jaką pułkownik Aureliano Buendía prowadził niepotrzebne wojny, z tym samym niedorzecznym uporem, z jakim Urszula usiłowała zapewnić przetrwanie swego rodu – tak właśnie Aureliano Drugi szukał Fernandy, bez chwili zniechęcenia. Kiedy pytał, gdzie sprzedaje się wieńce żałobne, prowadzono go z domu do domu, aby wybrał najlepsze. Kiedy pytał o najpiękniejszą kobietę, jaką wydała ziemia, wszystkie matki prowadziły go do swych córek. Błądził po bezdrożach mgły, poprzez czasy zastrzeżone dla zapomnienia, w labiryntach rozczarowania. Przewędrował zżółkłą pustynię, gdzie echo powtarzało myśli, a niepokój wywoływał złowieszcze miraże. Po tygodniach jałowego poszukiwania przybył do nieznanego miasta, gdzie wszystkie dzwony ogłaszały żałobę. Chociaż nigdy ich nie widział ani nikt mu ich nie opisał, natychmiast rozpoznał przeżarte przez saletrę mury, rozpadające się drewniane balkony obrosłe grzybami, przybity do bramy i prawie zatarty przez deszcze najsmutniejszy na świecie szyld: „Tu sprzedaje się wieńce żałobne”. Od tej chwili aż do lodowatego poranku, kiedy Fernanda opuściła dom pod opieką Matki Przełożonej, ledwo starczyło czasu na to, by zakonnice uszyły wyprawę i spakowały do sześciu kufrów kandelabry i srebrny serwis, jak również złoty nocnik i niezliczone, a bezużyteczne szczątki upadku rodziny, który dokonywał się przez dwa stulecia. Don Fernando odrzucił zaproszenie, by im towarzyszyć. Obiecał przyjechać później, kiedy zlikwiduje swoje interesy, i od chwili gdy pobłogosławił odchodzącej córce, zamknął się znowu w swoim gabinecie, żeby pisywać do niej bileciki z żałobnymi winietami i herbem rodzinnym, które miały być pierwszym i jedynym ludzkim kontaktem istniejącym między Fernandą i jej ojcem przez całe życie. Dla niej był to prawdziwy dzień narodzin. Dla Aureliana Drugiego data ta oznaczała niemal jednocześnie początek i koniec szczęścia.

Fernanda wiozła ze sobą śliczny kalendarzyk z pozłacanymi kluczykami, w którym jej spowiednik zaznaczył fiołkowym atramentem daty abstynencji miłosnej. Odliczywszy Wielki Tydzień, niedziele, obchodzone święta, pierwsze piątki, dni ofiar, rekolekcje i przeszkody cyklu

miesięcznego, w praktyce rok jej ograniczał się do 42 dni, rozrzuconych tu i ówdzie w sieci fioletowych krzyżyków. Aureliano Drugi, przekonany, że czas obali to wrogie ograniczenie, przedłużył wesele poza przewidziany okres. Zmęczona wyrzucaniem na śmietnik pustych butelek po brandy i szampanie, a zarazem zaintrygowana tym, że młodzi małżonkowie sypiają o różnych godzinach i w oddzielnych sypialniach, podczas gdy wciąż trwają ognie sztuczne, muzyka i ofiary z bydła, Urszula przypomniała sobie własne doświadczenia i zastanawiała się, czy Fernanda nie nosi również pasa cnoty, który wcześniej czy później wywoła drwiny sąsiadów i doprowadzi do tragedii. Ale Fernanda wyznała, że czeka tylko, żeby minęły dwa tygodnie, zanim dopuści do pierwszego zbliżenia z mężem. Istotnie, po upływie tego terminu otworzyła drzwi sypialni, z rezygnacją i gotowością do poświęcenia, jakby dopełniała ofiary pokutniczej, i Aureliano Drugi zobaczył najpiękniejszą kobietę świata z jej wspaniałymi oczyma zalęknionego zwierzęcia i długimi włosami koloru miedzi rozpostartymi na poduszce. Zafascynowany tym obrazem nieprędko zauważył, że Fernanda ma na sobie białą koszulę, długą po kostki, z rękawami sięgającymi przegubów i dużym, okrągłym, pięknie obdzierganym oczkiem na wysokości podbrzusza. Aureliano Drugi nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Nigdy nie widziałem czegoś równie nieprzyzwoitego! – zawołał, wybuchając śmiechem, który odbił się w całym domu. – Ożeniłem się z siostrą miłosierdzia!

W miesiąc później, nie zdoławszy zmusić żony do zdjęcia koszuli, poszedł do Petry Cotes, żeby ją sfotografować w przebraniu królowej. Później, kiedy udało mu się skłonić Fernandę do powrotu do domu, uległa jego namowom w emocji pojednania, ale nie umiała dać mu tego spokoju, o którym marzył, gdy pojechał po nią do miasta o trzydziestu dwóch dzwonnicach. Aureliano Drugi znalazł w niej tylko głębokie uczucie żałości. Pewnej nocy, na krótko przed urodzeniem pierwszego dziecka, Fernanda zdała sobie sprawę, że jej mąż wrócił w tajemnicy do łóżka Petry Cotes.

– Tak, to prawda – przyznał. I wytłumaczył tonem złamanej rezygnacji: – Musiałem to zrobić, żeby zwierzęta nie przestały rodzić.

Trzeba mu było trochę czasu na przekonanie jej o prawdziwości tej tak dziwnej przyczyny, ale gdy to w końcu osiągnął na podstawie dowodów, które wydawały mu się nie do odparcia, jedynym przyrzeczeniem, jakie Fernanda wymusiła, było, że nie da się zaskoczyć śmierci w łóżku konkubiny. Tak więc żyli nadal we troje, nie przeszkadzając sobie, Aureliano Drugi punktualny i czuły dla obu, Petra Cotes triumfująca z racji pojednania, a Fernanda udająca, że nie zna prawdy.

Układ ten nie zdołał jednak prawdziwie włączyć Fernandy do rodziny. Na próżno Urszula nakłaniała ją do wyrzucenia wełnianego szalika, który wkładała, wstając po stosunku miłosnym, i który prowokował szepty sąsiadów. Nie zdołała też jej przekonać, by używała ubikacji lub zwykłego naczynia nocnego, a sprzedała złoty nocnik pułkownikowi Aurelianowi Buendíi do przerobienia na rybki. Amarantę drażniła jej niewyraźna dykcja i zwyczaj używania eufemizmów na określenie czegokolwiek, tak że przedrzeźniała ją, mówiąc do niej niezrozumiałym bełkotem.

Pewnego dnia rozgniewana tymi żartami Fernanda zapytała, co mówi Amaranta, ta zaś nie użyła eufemizmów, aby jej odpowiedzieć.

– Mówię – wytłumaczyła – że ty jesteś z tych, co z własnym gównem obchodzą się jak z relikwią.

Od tego dnia nie zamieniły z sobą ani słowa. Kiedy wymagała tego konieczność, przesyłały sobie zlecenia na piśmie albo rozmawiały za pośrednictwem osób trzecich. Pomimo wyraźnych oporów rodziny Fernanda nie wyrzekła się chęci narzucenia im zwyczajów swoich przodków. Położyła kres jadaniu w kuchni i w dowolnych porach dnia, wprowadzając obowiązek wspólnych posiłków o ustalonych godzinach, przy dużym stole w jadalni, z lnianym obrusem, kandelabrami i srebrną zastawą. Celebrowanie czynności, którą Urszula uważała zawsze za najprostszą z życia codziennego, stworzyło naprężoną atmosferę, przeciw której pierwszy zbuntował się milczący José Arcadio Drugi. Ale zwyczaj ten przyjął się, podobnie jak odmawianie pacierza przed kolacją, co zwróciło uwagę sąsiadów, i dość szybko rozniosła się pogłoska, że u Buendíów nie siadano po prostu do stołu tak jak u innych śmiertelników, lecz celebrowano posiłki jak nabożeństwo. Nawet praktyki religijne Urszuli, raczej spontaniczne niż wynikające z tradycji, różniły się wielce od tych, jakie wyniosła z domu Fernanda, dokładnie określonych

i dostosowanych do każdej okazji. Dopóki Urszula zachowała pełnię władz umysłowych, przetrwały jeszcze niektóre z dawnych zwyczajów i życie rodzinne ulegało jej wpływowi, ale kiedy straciła wzrok i ciężar lat odsunął ją na ubocze, rygor wprowadzony przez Fernandę od chwili jej przybycia zapanował niepodzielnie i tylko ona decydowała teraz o losach rodziny. Przedsiębiorstwo wypieku ciasta i karmelowych zwierzątek, które Santa Sofía de la Piedad prowadziła na życzenie Urszuli, zostało uznane przez Fernandę za nielicujące z godnością i nie omieszkała go zlikwidować. Drzwi domu, otwarte na oścież od świtu do pory spoczynku, zamykano teraz pod pretekstem, że słońce nagrzewa sypialnie, aż w końcu zamknięto je na zawsze. Gałązkę aloesu i chleb, zawieszone nad wejściem, zastąpiła nisza z wizerunkiem Serca Jezusowego. Pułkownik Aureliano Buendía dostrzegł te przemiany i przewidział ich konsekwencje. „Zaczynamy przybierać dystyngowane maniery – powiedział. – Jeśli tak dalej pójdzie, to znowu będziemy wojować przeciw konserwatystom, ale teraz już zechcemy króla na ich miejsce”. Fernanda dyplomatycznie unikała starć z pułkownikiem. Jego duch niezależności, oporność wobec wszelkich form przymusu społecznego budziły jej wewnętrzny sprzeciw. Drażniły ją jego filiżanki kawy o piątej rano, nieporządek w warsztacie, jego wystrzępiona opończa i zwyczaj zasiadania przed domem o zmierzchu. Musiała jednak pozwolić na tę niedokręconą śrubkę w mechanizmie rodzinnym, przekonana, że stary pułkownik jest zwierzęciem ujarzmionym przez lata i rozczarowanie, ale zdolnym jeszcze w przypływie starczego buntu wyrwać fundamenty domu. Kiedy jej mąż postanowił dać pierwszemu synowi imię pradziadka, nie odważyła się oponować, bo dopiero minął rok od jej przybycia. Ale kiedy urodziła się pierwsza córka, zdecydowanie wyraziła życzenie, żeby nazywała się Renata, tak jak jej matka. Urszula tymczasem postanowiła nazwać dziewczynkę Remedios. Po napiętej dyskusji, w której Aureliano Drugi występował w roli pośrednika, ochrzczono ją imionami Renata Remedios, ale Fernanda nazywała ją po prostu Renata, podczas gdy rodzina jej męża i całe miasto wołało na nią Meme, czyli zdrobnieniem od „Remedios”.

Z początku Fernanda nie mówiła o swojej rodzinie, ale z czasem zaczęła idealizować swego ojca. Opowiadała o nim przy stole jako o człowieku wyjątkowym, który zrezygnował z marności tego świata i żył jak święty.

Aureliano Drugi, zdziwiony tą niewczesną gloryfikacją teścia, nie odmawiał sobie niewinnych żarcików na ten temat za plecami żony. Reszta rodziny brała z niego przykład. Sama Urszula, która zawsze nade wszystko pragnęła harmonii w rodzinie i skrycie cierpiała z powodu tych domowych utarczek, pozwoliła sobie kiedyś zauważyć, że mały praprawnuczek ma zapewnioną przyszłość na najwyższych szczeblach hierarchii kościelnej jako „wnuk świętego, syn królowej i koniokrada". Pomimo tej dobrodusznej konspiracji dzieci przyzwyczaiły się uważać dziadka za istotę legendarną, przysyłającą im w listach pobożne wierszyki, a na każde Boże Narodzenie skrzynię z prezentami tak wielką, że z trudem mieściła się w drzwiach od ulicy. Były to w rzeczywistości ostatnie resztki wielkopańskiego dziedzictwa. Wykorzystano je na urządzenie w sypialni dzieci ołtarza ze świętymi naturalnej wielkości, których szklane oczy nadawały im niepokojące pozory życia, a szaty z aksamitu, artystycznie haftowane, zaćmiewały wspaniałością wszystkie stroje, jakie kiedykolwiek noszono w Macondo. Stopniowo żałobny splendor starej i zimnej rezydencji przeniesiony został do jasnego domu Buendíów. „Przysłali nam już cały cmentarz rodzinny – powiedział kiedyś Aureliano Drugi. – Brakuje tylko wierzb płaczących i nagrobków". Chociaż w skrzyniach nie przyszło nigdy nic, co mogłoby służyć jako zabawka, dzieci przez cały rok wyczekiwały grudnia, bo ostatecznie te dziwaczne i zawsze zaskakujące dary stanowiły nowość w domu. W dziesiąte Boże Narodzenie, kiedy mały José Arcadio przygotowywał się do wyjazdu do seminarium, przybyła nieco wcześniej niż w latach ubiegłych olbrzymia skrzynia od dziadka, zabita gwoździami i uszczelniona, zaadresowana jak zawsze gotyckim pismem do „Wielce Szanownej Pani Fernandy del Carpio Buendía". Gdy Fernanda czytała list w sypialni, dzieci niecierpliwiły się, by otworzyć skrzynię; jak zwykle z pomocą Aureliana Drugiego odbiły wieko, zerwały pieczęcie, wyrzuciły ochronną warstwę trocin i znalazły w środku ogromną ołowianą kasetę z mosiężnymi śrubami. Aureliano Drugi odkręcił osiem śrub, przynaglany niecierpliwością dzieci, i ledwie zdążył krzyknąć i odsunąć je na bok, kiedy podniósłszy ołowianą pokrywę, zobaczył don Fernanda ubranego na czarno, z krucyfiksem na piersiach, ze skórą wzdętą i przegniłą, jakby gotującego się na wolnym ogniu w pienistej i bulgocącej cieczy żywych pereł.

Wkrótce po urodzinach dziewczynki ogłoszono niespodziewany jubileusz pułkownika Aureliana Buendíi, nakazany przez rząd dla uczczenia nowej rocznicy traktatu w Neerlandii. Było to postanowienie tak niezgodne z oficjalną polityką, że pułkownik gwałtownie wypowiedział się przeciw niemu i odrzucił ofiarowywany mu zaszczyt. „Pierwszy raz słyszę słowo jubileusz – powiedział. – Ale cokolwiek ono oznacza w tym wypadku, nie może być niczym innym niż drwiną”. W ciasnym warsztacie złotniczym zaczęli się tłoczyć emisariusze. Wrócili – o wiele starsi i bardziej uroczyści – adwokaci w czarnych ubraniach, którzy dawniej krążyli jak kruki wokół pułkownika. Kiedy zaczęli się pojawiać znowu ci, co niegdyś zjawiali się po to, by błotem obrzucać wojnę, nie mógł znieść cynizmu ich panegiryków. Zażądał, żeby zostawiono go w spokoju, podkreślił, że wbrew ich mniemaniu nie jest bohaterem narodowym, lecz rzemieślnikiem bez wspomnień, którego jedynym pragnieniem jest umrzeć ze starości, w zapomnieniu i ubóstwie swoich złotych rybek. Najbardziej oburzyła go wieść, że sam prezydent Republiki zamierza uczestniczyć w uroczystościach w Macondo i udekorować go Orderem Zasługi. Pułkownik Aureliano Buendía kazał mu powtórzyć, słowo w słowo, że z prawdziwą niecierpliwością oczekuje tej spóźnionej, lecz zasłużonej okazji strzelenia prezydentowi w łeb nie po to, by mu kazać zapłacić za samowolę i anachronizmy w sposobie rządzenia, lecz za uchybienie szacunku starcowi, który nic złego nie czyni. Z taką gwałtownością wypowiedział swoją groźbę, że prezydent Republiki w ostatniej chwili odwołał podróż i przesłał odznaczenie przez swojego osobistego przedstawiciela. Pułkownik Gerineldo Márquez, pod presją przybierającą różne formy, podniósł się ze swego łoża paralityka, aby ułagodzić dawnego towarzysza broni. Gdy ten zobaczył fotel niesiony przez czterech mężczyzn i siedzącego w nim między ogromnymi poduszkami przyjaciela, który od zarania młodości dzielił z nim zwycięstwa i klęski, ani na chwilę nie miał wątpliwości, że dokonał on tego wysiłku, by mu wyrazić swoją solidarność. Ale kiedy poznał prawdziwy powód jego wizyty, kazał wyrzucić go za drzwi.

– Za późno się przekonałem – powiedział – że oddałbym ci wielką przysługę, gdybym pozwolił cię wtedy rozstrzelać.

Tak więc jubileusz odbył się bez udziału kogokolwiek z rodziny. Przypadek chciał, że uroczystość zbiegła się w czasie z tygodniem karnawałowym i nikt nie zdołał przekonać pułkownika Aureliana Buendíi, że i ten zbieg okoliczności nie został zaplanowany przez rząd dla podkreślenia okrucieństwa żartu. Ze swego samotnego warsztatu słyszał muzykę wojskową, strzały artylerii, dzwony na *Te Deum* i strzępki przemówień wygłaszanych przed jego domem, kiedy ochrzczono ulicę jego nazwiskiem. Łzy oburzenia i bezsilnej wściekłości kręciły mu się w oczach i po raz pierwszy od czasu klęski żałował, że nie ma już młodzieńczego zapału, żeby wszcząć krwawą wojnę, która starłaby ostatnie ślady reżimu konserwatystów. Nie umilkły jeszcze echa składanych mu hołdów, kiedy Urszula zastukała do drzwi warsztatu.

– Nie przeszkadzajcie mi – powiedział. – Jestem zajęty.

– Otwórz – nalegała Urszula. – To nie ma nic wspólnego z uroczystością.

Wtedy pułkownik Aureliano Buendía odsunął rygiel i ujrzał przy drzwiach siedemnastu młodych, nieznanych mężczyzn. Byli najróżniejszej barwy skóry, rysów i postawy, ale wszyscy naznaczeni tym piętnem samotności, które wystarczyło, żeby można ich było rozpoznać w jakimkolwiek miejscu na ziemi. Byli to jego synowie. Nie umawiając się, nie znając się nawzajem, przybyli z najbardziej odległych zakątków wybrzeża na wieść o jubileuszu. Każdy z nich nosił dumne imię Aureliano i nazwisko matki. Przez trzy dni, kiedy gościli w domu ku zadowoleniu Urszuli i oburzeniu Fernandy, przewrócili wszystko do góry nogami. Amaranta odszukała w starych papierach notes, w którym Urszula zapisała nazwiska, daty urodzin i chrztu wszystkich, i dodała przy każdym nazwisku obecny adres. Ta lista pozwoliłaby na rekapitulację dwudziestu lat wojny. Można by na jej podstawie odtworzyć nocne wędrówki pułkownika od świtu, gdy na czele dwudziestu jeden ludzi wyruszył z Macondo w stronę chimerycznej rebelii, do czasu, gdy powrócił ostatni raz, szczelnie owinięty w opończę sztywną od krwi. Aureliano Drugi nie przepuścił okazji uczczenia kuzynów huczną zabawą z szampanem i akordeonem, zinterpretowaną jako spóźniony rozrachunek z nieudanym z powodu jubileuszu karnawałem. Goście wytłukli połowę zastawy porcelanowej, połamali krzaki róż, goniąc za bykiem, żeby zarzucić na niego płachtę,

strzelali do kur, zmusili Amarantę do tańczenia smutnych walców Pietra Crespiego, namówili Piękną Remedios, żeby włożyła męskie spodnie i wdrapała się na słup szczęścia, wpuścili do jadalni wieprza wysmarowanego łojem, który przewrócił Fernandę, ale nikt nie lamentował nad szkodami, bo całym domem zatrzęsła burza, która niosła zdrowie. Pułkownik Aureliano Buendía z początku przyjął ich nieufnie, a nawet zakwestionował pokrewieństwo z niektórymi spośród nich, ale potem radował się ich figlami i na pożegnanie podarował każdemu złotą rybkę. Nawet posępny José Arcadio Drugi zorganizował dla nich walkę kogutów, która omal nie zakończyła się tragedią, gdyż kilku Aurelianów miało tak wielkie doświadczenie w walkach kogucich, że z punktu odkryli szachrajstwa ojca Antonia Isabel. Aureliano Drugi, widząc nieograniczone perspektywy hulanek, jakie otwierała przed nim ta rozbawiona parantela, uznał, że wszyscy powinni zostać i pracować u niego. Propozycję przyjął tylko Aureliano Smutny, rosły Mulat obdarzony tupetem i awanturniczym duchem dziadka; próbował już szczęścia niemal w całym świecie i było mu obojętne, gdzie się zatrzyma. Inni, choć jeszcze nieżonaci, uważali swój los za rozstrzygnięty. Wszyscy znali dobrze jakieś rzemiosło, lubili dom i unikali waśni. W Środę Popielcową, zanim rozproszyli się znowu po wybrzeżu, Amaranta zdołała ich nakłonić, żeby włożyli odświętne ubrania i poszli z nią do kościoła. Bardziej dla rozrywki niż z pobożności dali się zaciągnąć do ołtarza, gdzie ojciec Antonio Isabel nakreślił im na czole krzyż z popiołu. Po powrocie do domu, kiedy najmłodszy próbował umyć twarz, przekonał się, że znak krzyża jest niezniszczalny. Tak samo było z jego braćmi. Próbowali zmyć popiół wodą i mydłem, szorowali czoła zgrzebłem i ziemią, a w końcu pumeksem i szklanym papierem, ale wszystkie wysiłki okazały się daremne. Amaranta natomiast i inni, którzy byli na mszy, zmyli krzyż bez trudności. „Tak wyglądacie lepiej – powiedziała im na pożegnanie Urszula. – Odtąd nikt was już nie pomyli”. Odeszli całą bandą, odprowadzeni przez orkiestrę i fajerwerki, pozostawiając w mieście wrażenie, że ród Buendíów nie wygaśnie jeszcze przez wiele stuleci. Aureliano Smutny, ze swoim krzyżem na czole, otworzył na przedmieściach fabrykę lodu, o której marzył José Arcadio Buendía w swoich majaczeniach wynalazcy.

W kilka miesięcy po przybyciu, kiedy był już znany i szanowany, Aureliano Smutny zaczął szukać domu, gdzie mógłby sprowadzić swoją matkę i niezamężną siostrę, która nie była córką pułkownika. Zainteresowało go rozpadające się ze starości domostwo w rogu placu rynkowego, które zdawało się stać pustką. Spytał, kto jest właścicielem, i powiedziano mu, że jest to dom bezpański, gdzie niegdyś mieszkała samotna wdowa, która żywiła się ziemią i wapnem ze ścian i którą w ostatnich latach widziano dwukrotnie na ulicy w kapeluszu z maleńkimi sztucznymi kwiatkami i pantofelkach koloru starego srebra, przechodzącą przez plac w kierunku poczty, żeby wysłać list do biskupa. Jedyną jej towarzyszką, jak twierdzono, jest okrutna służąca, która zabija psy i koty, i wszystkie zwierzęta, jakie pokażą się w domu, a potem wyrzuca padlinę na środek ulicy na złość sąsiadom, żeby im dokuczała woń zgnilizny. Tyle czasu minęło, odkąd słońce zmumifikowało pustą skórę ostatniego zwierzęcia, że według powszechnego przekonania właścicielka domu i służąca umarły na długo przed końcem wojen, a dom stał jeszcze tylko dlatego, że od dawna nie było ostrej zimy ani prawdziwie mocnego wiatru. Zawiasy zżarte rdzą, drzwi zarosłe pajęczynami, okna wypaczone przez wilgoć, zioła i polne kwiaty wyrastające w szparach podłogi, w których mnożyły się jaszczurki i wszelkiego rodzaju insekty, wydawały się potwierdzać wersję, że przynajmniej od pół wieku nie przebywała tu żadna ludzka istota. Dla impulsywnego Aureliana Smutnego nie trzeba było tylu dowodów, aby pobudzić go do działania. Pchnął ramieniem główne drzwi i spróchniała framuga runęła bez szmeru w bezgłośnym kataklizmie kurzu, ziemi i gniazd termitów. Pozostał na progu, czekając, aż kurz opadnie, i wtedy zobaczył pośrodku salonu staruszkę ubraną w suknię z ubiegłego wieku, ze strączkami zżółkłych włosów na łysiejącej czaszce, z olbrzymimi pięknymi jeszcze oczyma, w których zgasły ostatnie gwiazdy nadziei, i skórą twarzy pooraną przez pustynną suszę samotności. Wstrząśnięty tą wizją z innego świata, Aureliano Smutny prawie nie zauważył, że kobieta trzyma wycelowany w niego stary pistolet wojskowy.

– Przepraszam – wymamrotał.

Ona stała nieruchomo pośrodku salonu wypełnionego niepotrzebnymi sprzętami, mierząc wzrokiem cal po calu olbrzyma o kwadratowych barach

z tatuażem popiołu na czole, i przez zasłonę kurzu zobaczyła go w mgle innego czasu, z dubeltówką przewieszoną przez ramię i parą zajęcy w ręku.

– Na miłość boską – zawołała cicho – to niesprawiedliwość, żeby teraz nawiedzało mnie to wspomnienie.

– Chcę wynająć ten dom – powiedział Aureliano Smutny.

Kobieta podniosła wówczas pistolet i celując wprawną ręką w krzyż z popiołu, odciągnęła kurek z nieodwołalną decyzją.

– Proszę wyjść – rozkazała.

Tego wieczoru podczas kolacji Aureliano Smutny opowiedział ten epizod rodzinie i Urszula popłakała się z wrażenia. „Święty Boże – wykrzyknęła, ściskając rękami głowę. – Ona jeszcze żyje!”. Czas wojny, niezliczone katastrofy codzienne sprawiły, że zapomniała o Rebece. Tylko nieprzejednana i postarzała Amaranta nie straciła nawet na chwilę świadomości istnienia swej rywalki. Myślała o niej o świcie, kiedy chłód serca budził ją w samotnym łóżku, i myślała, namydlając swe zwiędnięte piersi i wyblakły brzuch, i nakładając białe halki z falbanami i gorsety starości czy zmieniając na ręce czarny bandaż straszliwej pokuty. Zawsze, o każdej godzinie, we śnie i na jawie, w chwilach najwznioślejszych porywów ducha i największego poniżenia Amaranta myślała o Rebece, ponieważ samotność dokonała selekcji jej wspomnień, wypaliła na popiół niepotrzebne śmieci tęsknoty, jakie życie nagromadziło w jej sercu, i oczyściła, wyolbrzymiła i uwieczniła inne wspomnienia, te najbardziej gorzkie. Od niej wiedziała Piękna Remedios o istnieniu Rebeki. Ilekroć przechodziły obok rozpadającego się domu, Amaranta opowiadała jakiś przykry incydent, jakąś hańbiącą historyjkę, próbując w ten sposób przekazać siostrzenicy swoją urazę, swoją nienawiść i przedłużyć ją aż poza własną śmierć. Ale nie osiągnęła celu, gdyż Remedios była niedostępna wszelkim gwałtownym uczuciom, a tym bardziej cudzym. Urszula, w której dokonał się proces odwrotny niż w Amarancie, wspominała Rebekę wspomnieniem czystym, wolnym od niechęci, gdyż obraz biednej dziewczynki, którą przyniesiono do nich z workiem rodzicielskich kości, przetrwał dłużej niż hańba, która ją uczyniła niegodną więzi z rodziną. Aureliano Drugi postanowił, że należy ją sprowadzić do domu i otoczyć opieką, ale jego dobre chęci natrafiły na nieprzejednaną opozycję Rebeki,

która potrzebowała wielu lat cierpień i nędzy, aby uzyskać przywileje samotności, i nie miała zamiaru z nich rezygnować w zamian za starość niepokojoną fałszywymi słodyczami miłosierdzia.

W lutym, kiedy znowu przybyło w odwiedziny szesnastu synów pułkownika Aureliana Buendíi, wciąż naznaczonych krzyżem z popiołu, Aureliano Smutny opowiedział im o Rebece podczas pijackiej zabawy i w niecały dzień odnowili dom z zewnątrz, pozmieniali drzwi i okna, pomalowali fasadę na wesołe kolory, podparli ściany i przywieźli nowy cement na podłogi, ale nie uzyskali pozwolenia na dalszy ciąg robót wewnątrz. Rebeka nawet nie wyszła na próg. Pozwoliła im skończyć ten zadziwiający remont, a potem obliczyła wydatki i przesłała przez Argenidę, starą służącą, która nadal u niej służyła, garść monet wycofanych z obiegu od czasów ostatniej wojny, ale w jej mniemaniu nadal użytecznych. Wtedy zrozumiano, do jak niepojętego punktu doszło jej zerwanie ze światem i że nie uda się jej wyzwolić z tego dobrowolnego i upartego zamknięcia, dopóki zostanie w niej bodaj iskierka życia.

Podczas tej drugiej wizyty synów pułkownika Aureliana Buendíi w Macondo jeszcze jeden z nich, Aureliano Centeno, został i zaczął pracować z Aurelianem Smutnym. Był jednym z pierwszych, którzy przybyli do domu na chrzciny, a Urszula i Amaranta pamiętały go dobrze, bo w ciągu kilku godzin potłukł i połamał wszystkie łamliwe przedmioty, które przeszły przez jego ręce. Czas utemperował jego rozmach barbarzyńcy; był teraz spokojnym mężczyną średniego wzrostu, z twarzą naznaczoną śladami ospy, ale zadziwiająca siła niszczycielska jego rąk pozostała nienaruszona. Rozbił tyle naczyń, nawet ich nie dotykając, że Fernanda skłonna była kupić specjalnie dla niego cynowe talerze i kubki, zanim zniszczy resztki jej cennego serwisu. Ale nawet metalowe talerze zostały w krótkim czasie pogięte i wyszczerbione. Oprócz tej nieuleczalnej właściwości, denerwującej nawet dla niego samego, miał w sobie jakąś naturalną serdeczność, która natychmiast zjednywała mu zaufanie, i zdumiewający zapał do pracy. W krótkim czasie tak powiększył produkcję lodu, że zaspokoił rynek miejscowy i Aureliano Smutny musiał rozważyć możliwość rozszerzenia przedsiębiorstwa na inne miejscowości. Podjął wówczas decydujący krok, nie tylko w kierunku modernizacji swojego przemysłu, ale także połączenia miasta z resztą świata.

– Trzeba zbudować kolej żelazną – powiedział.

Wtedy po raz pierwszy usłyszano to słowo w Macondo. Patrząc na rysunek, który Aureliano Smutny wykreślił na stole, a który wywodził się bezpośrednio ze schematów Josego Arcadia Buendíi, ilustrujących projekt słonecznej wojny, Urszula utwierdziła się w przekonaniu, że czas obraca się wkoło. W przeciwieństwie do swego dziadka, Aureliano Smutny nie tracił snu ani apetytu i nie dręczył nikogo napadami złego humoru, lecz wymyślał projekty najbardziej nierealne w stosunku do bezpośrednich możliwości, dokonywał racjonalnych obliczeń co do kosztów i terminów i doprowadzał je do końca bez przerw na rozgoryczenie. Aureliano Drugi – który jeśli miał coś ze swego pradziadka, to absolutną niechęć do zwad, z pewnością nieodziedziczoną po pułkowniku Aurelianie Buendíi – sypnął pieniędzmi na zbudowanie kolei równie lekko i hojnie, jak niegdyś finansował niedorzeczne projekty żeglarskie swego brata. Aureliano Smutny zajrzał do kalendarza i odjechał w następną środę z zamiarem powrotu po okresie deszczów. Nie było o nim więcej wiadomości. Aureliano Centeno, zaniepokojony nadprodukcją fabryki, próbował już wyrabiać lód na bazie soków owocowych zamiast wody i, sam o tym nie wiedząc ani nie stawiając sobie tego za cel, wynalazł zasadę wyrobu lodów. Myślał, że w ten sposób urozmaici produkcję przedsiębiorstwa, które uważał już za własne, ponieważ brat nie dawał znaku życia po upływie pory deszczowej i przez całe następne lato. Niemniej na początku następnej zimy pewna kobieta, która prała bieliznę w rzece w godzinie największego skwaru, przebiegła główną ulicę, krzycząc wniebogłosy ze strachu i podniecenia:

– Tam jedzie – zdołała wytłumaczyć – coś jak ogromna kuchnia i ciągnie za sobą domy.

W tym momencie miastem wstrząsnął przeraźliwy gwizd i jakieś dziwne, urywane sapanie. W poprzednich tygodniach widziano ekipy ludzi instalujących podkłady i szyny, ale nikt nie zważał na nich, bo myślano, że to nowa sztuczka Cyganów, którzy wracali ze swoim odwiecznym i niepoważnym rwetesem gwizdków i grzechotek, wychwalając doskonałość jakiejś tam mikstury wynalezionej przez wschodnich mędrców od siedmiu boleści. Ale kiedy ochłonięto ze zdumienia i ogłuszenia, wszyscy mieszkańcy miasta wylegli na ulicę i zobaczyli Aureliana Smutnego machającego z parowozu ręką na powitanie i patrzyli urzeczeni

na pociąg ubrany kwiatami, który przybywał tu po raz pierwszy z ośmiomiesięcznym opóźnieniem. Niewinny żółty pociąg, który tyle niepewności i faktów oczywistych, tyle miłych niespodzianek i tyle niepowodzeń, tyle zmian i tyle katastrof, i tyle tęsknot miał przynieść do Macondo.

Olśniona mnogością cudownych wynalazków ludność Macondo nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Nie spano przez całe noce, podziwiając blade światło żarówek elektrycznych, oświetlających mieszkania dzięki maszynie, którą przywiózł Aureliano Smutny ze swej drugiej podróży pociągiem i do której obsesyjnego warkotu długo nikt nie mógł się przyzwyczaić. Oburzano się na ruchome obrazy, jakie bogaty kupiec don Bruno Crespi wyświetlał w swoim teatrze z kasami w kształcie lwich paszcz, gdyż bohater zabity, pogrzebany i opłakany przez widzów w jednym filmie, ukazywał się żywy i zamieniony w Araba w następnym. Publiczność, która płaciła dwa centavos za to, by dzielić kolejne zmiany losu bohaterów, nie mogła znieść tych gorszących kpin i połamała wszystkie krzesła. Na skutek interwencji don Bruna Crespiego zarząd miasta wyjaśnił w specjalnym obwieszczeniu, że kino jest maszyną wywołującą złudzenia i nie zasługuje na reakcje emocjonalne publiczności. Po tym studzącym zapał wyjaśnieniu wielu uznało, że padli ofiarą nowego oszustwa Cyganów, postanowili więc zbojkotować kino w przekonaniu, że mają zbyt dużo własnych zmartwień, żeby opłakiwać zmyślone nieszczęścia wymyślonych ludzi. Podobny los spotkał gramofony z tubą, które przywiozły wesołe matrony z Francji, by zastąpić staroświeckie organki, i które tak dotkliwie godziły przez pewien czas w interesy muzyków z orkiestry. Z początku ciekawość przyczyniła się do wzrostu klienteli na zakazanej ulicy i mówiono nawet o pewnych czcigodnych skądinąd damach, które przebierały się po męsku, żeby móc obserwować z bliska nowość muzyczną. Po dłuższej jednak obserwacji z tak bliska wkrótce doszły do wniosku, że to nie żaden czarodziejski młynek, jak

wszyscy przypuszczali i jak twierdziły matrony, lecz sztuczka mechaniczna, która nie może się równać z czymś tak wzruszającym, tak ludzkim i pełnym codziennej prawdy jak orkiestra. Rozczarowanie było tak poważne, że kiedy gramofony rozpowszechniły się do tego stopnia, iż spotykano je w każdym domu, wciąż jeszcze nie traktowano ich jak przedmiotu rozrywki dla dorosłych, lecz coś, co znakomicie się nadawało do rozkręcania i rozbebeszania dla dzieci. Za to jeśli ktoś z dorosłych miał sposobność poznać intymną rzeczywistość telefonu, który zainstalowano na stacji i z powodu korbki uważano za pierwotną wersję gramofonu – widok ten budził zmieszanie nawet najbardziej nieufnych. Tak jakby Bóg postanowił poddać próbie całą ludzką zdolność podziału i utrzymywał mieszkańców Macondo w ciągłym ruchu wahadłowym między zachwytem i rozczarowaniem, zwątpieniem i rewelacją, do ostateczności, w której nikt już nie mógł ustalić na pewno, gdzie się zaczyna i gdzie kończy się rzeczywistość. Ten pogmatwany splot prawd i złudzeń wytrącił z równowagi widmo Josego Arcadia Buendíi pod kasztanem i kazał mu krążyć po domu nawet w biały dzień. Od czasu oficjalnej inauguracji kolei, odkąd pociąg zaczął przyjeżdżać regularnie w każdą środę o jedenastej i zbudowano prymitywną drewnianą stację z biurkiem, telefonem i okienkiem do sprzedawania biletów, na ulicach Macondo zaczęto widywać mężczyzn i kobiety, którzy starali się zachowywać jak ludzie zwyczajni i pospolici, ale w rzeczywistości wyglądali jak cyrkowcy. W mieście pamiętającym oszustwa Cyganów nie było dobrych perspektyw dla tych ekwilibrystów wędrownego handlu, którzy z tą samą beztroską ofiarowywali gwiżdżący garnek jak i przepisy na zbawienie duszy w Dzień Sądu; tylu jednak znalazło się naiwnych lub dawało się przekonać ze znużenia, że domokrążcy osiągali znakomite zyski. Pośród tych niepoważnie ubranych przybyszów w spodniach do konnej jazdy i wysokich butach, w korkowych hełmach i okularach w metalowej oprawie, z oczyma jak topazy i skórą rasowego koguta, w pewną środę przybył do Macondo i zjadł obiad w domu Buendíów gruby i uśmiechnięty mister Herbert.

Nikt przy stole nie zwrócił na niego uwagi, dopóki nie zjadł pierwszej kiści bananów. Aureliano Drugi spotkał go przypadkowo na ulicy, protestującego w pracowitej hiszpańszczyźnie, że w hotelu Jacoba nie ma

wolnego pokoju, i jak się to już przedtem często zdarzało z innymi cudzoziemcami, przyprowadził go do domu. Sprzedawał balony na uwięzi, z którymi objechał pół świata, zgarniając doskonałe zyski, w Macondo jednak nie zdołał namówić nikogo do podróży w powietrzu, bo po obejrzeniu i wypróbowaniu latających dywanów, które przywozili Cyganie, uważano ten wynalazek za przestarzały. Zamierzał wobec tego odjechać następnym pociągiem. Kiedy przyniesiono do stołu kiść pręgowanych bananów, zwykle zawieszonych w jadalni do obiadu, oberwał pierwszy owoc bez wielkiego entuzjazmu. Ale rozmawiając, nie przestawał jeść, gryząc banany raczej z roztargnieniem mędrca niż z przyjemnością smakosza, i skończywszy pierwszą kiść, poprosił o następną. Wtedy ze skrzyneczki z narzędziami, którą zawsze nosił z sobą, wyjął małe pudełeczko z przyrządami optycznymi. Z niedowierzającą skrupulatnością kupca diamentów obejrzał owoc ze wszystkich stron, dzieląc go na części specjalnym nożykiem, ważąc je potem na aptecznej wadze i odmierzając średnicę pomiarowym cyrklem. Potem wyciągnął ze skrzynki serię instrumentów, którymi mierzył temperaturę, stopień wilgotności powietrza i nasilenie światła. Była to operacja tak intrygująca, że nikt spokojnie nie mógł jeść, czekając, aż Mr Herbert wyda wreszcie rewelacyjne orzeczenie, on jednak nie powiedział nic, co pozwoliłoby przeniknąć jego zamiary.

W ciągu następnych dni widziano go z siatką i koszykiem, polującego na motyle w okolicach miasta. W środę przybyła grupa inżynierów, agronomów, hydrologów, topografów i mierniczych, którzy przez parę tygodni przeszukiwali te same miejsca, gdzie Mr Herbert polował na motyle. Później przybył pan Jack Brown w dodatkowym wagonie, przyczepionym do ogona żółtego pociągu i obitym srebrną blachą z fotelami z fioletowego pluszu i sufitem z niebieskiego szkła. W wagonie tym przybyli również uroczyści, czarno ubrani adwokaci, którzy kręcili się wokół pana Browna. Ci sami adwokaci w innych czasach towarzyszyli wszędzie pułkownikowi Aurelianowi Buendíi, co utwierdziło ludzi w przekonaniu, że agronomowie, hydrolodzy, topografowie i mierniczy, jak również Mr Herbert ze swoimi latającymi balonami i kolorowymi motylami oraz pan Brown ze swoim mauzoleum na kółkach i dzikimi owczarkami niemieckimi, muszą mieć coś wspólnego z wojną. Nie było jednak wiele czasu na refleksje, bo zanim podejrzliwi mieszkańcy Macondo zaczęli

zadawać sobie pytanie, co, u diabła, się dzieje, miasto zamieniło się w obozowisko drewnianych domków z cynkowanymi dachami, zamieszkanych przez cudzoziemców, którzy przybywali pociągiem z końca świata nie tylko w wagonach i na platformach, ale i na dachach wagonów. Amerykanie, którzy sprowadzili później swoje chude i mizerne żony w muślinowych sukniach i wielkich tiulowych kapeluszach, utworzyli osobne miasteczko po drugiej stronie torów kolejowych, z ulicami między dwoma rzędami palm, z metalowymi siatkami w oknach domów, z białymi stoliczkami na tarasach, z wiatraczkami zawieszonymi u sufitów i rozległymi szmaragdowymi trawnikami, po których spacerowały pawie i przepiórki. Teren był otoczony drucianą kratą, niby gigantyczny zelektryfikowany kurnik, który w chłodne miesiące lata budził się czarny od zwęglonych prądem jaskółek. Nikt jeszcze nie wiedział, czego szukają ci ludzie i czy nie mają jakichś ukrytych zamiarów, a już wywołali kolosalny zamęt, znacznie bardziej męczący niż dawni Cyganie, ale mniej przypadkowy i mniej zrozumiały. Wyposażeni w środki, którymi w innej epoce rozporządzała wyłącznie Opatrzność Boża, zmienili porządek deszczy, przyspieszyli cykl zbiorów i zmienili położenie rzeki, usuwając ją z miejsca, gdzie zawsze płynęła, i umieścili ją, razem z jej białymi kamieniami i prądami, na końcu miasta, za cmentarzem. Przy tej to okazji zbudowali fortecę z betonu na grobie Josego Arcadia, żeby wciąż równie uporczywa woń prochu nie zaraziła wód. Dla cudzoziemców przybywających bez żon rozbudowano ulicę czułych matron z Francji, urządzając tam drugie miasteczko, nie mniejsze od pierwszego, i w pewną triumfalną środę przybył pociąg pełen nieprawdopodobnych prostytutek, niewiast babilońskiej rozpusty, wyszkolonych w wiekowych i najróżnorodniejszych sztuczkach, zaopatrzonych w maści i środki na pobudzenie nieczułych, ośmielenie nieśmiałych, zaspokojenie chutliwych, podniecenie skromnych i pocieszenie samotnych. Na ulicy Turków, gdzie luksusowe sklepy korzenne zajęły miejsce dawnych bazarów, w sobotę wieczorem roił się i huczał tłum awanturników rozpychających się łokciami pośród stolików do gier hazardowych i strzelnic jarmarcznych między zaułkiem, gdzie przepowiadano przyszłość i tłumaczono sny, a straganami z jedzeniem i piciem, które znajdowano poprzewracane i zaśmiecające bruk w niedzielę rano obok leżących pokotem ciał, czasem tylko rozanielonych pijaków, a częściej gapiów, których powaliła strzelanina, bójki na pięści i na

noże albo ciosy butelek. Była to inwazja tak gwałtowna, że z początku ludzie nie mogli chodzić po zatarasowanych przez meble i skrzynie ulicach z powodu robót ciesielskich tych, co zamierzali budować sobie dom na pierwszym lepszym pustym miejscu, bez niczyjego pozwolenia, a także ze względu na zgorszenie, jakie szerzyły pary kochanków rozwieszające hamaki między migdałowcami, w cieniu płóciennych parasoli, by uprawiać miłość w biały dzień i na oczach wszystkich. Jedyną oazę spokoju stworzyli pogodni i cisi Murzyni antylscy, budując boczną uliczkę z podcieniami drewnianych domków na palach, z gankami, gdzie zasiadali o zmierzchu, by śpiewać melancholijne pieśni w swoim dziwacznym ptasim języku. Tyle zmian dokonało się w tak krótkim czasie, że w osiem miesięcy po przyjeździe Mr Herberta dawni mieszkańcy Macondo wstawali jak najwcześniej, żeby poznawać własne miasto.

– Spójrzcie, w cośmy się wpakowali – mówił wówczas pułkownik Aureliano Buendía – przez jedno zaproszenie przybłędy, żeby spróbował banana.

Aureliano Drugi natomiast zachwycony był tym najazdem cudzoziemców. Dom zaczęli tłumnie nawiedzać nieznajomi goście, niezmożeni w hulankach birbanci na światową skalę, i trzeba było urządzić dodatkowe pokoje, poszerzyć jadalnię i zamienić dawny stół na nowy o szesnastu miejscach z nowymi nakryciami i porcelaną, ale nawet w ten sposób musieli obiad podawać w dwóch turach. Fernanda musiała pokonać swoje opory i obsługiwać po królewsku ludzi najbardziej podejrzanej kondycji, którzy wchodzili do jadalni w zabłoconych butach, siusiali w ogrodzie, kładli gdzie popadło swoje maty na popołudniową drzemkę, a w rozmowach nie krępowali się wrażliwością dam ani powagą i autorytetem mężczyzn. Amarantę tak bardzo oburzała ta inwazja hołoty, że zaczęła jadać w kuchni, jak za dawnych czasów. Pułkownik Aureliano Buendía, przekonany, że większość przychodzących przywitać się z nim w jego warsztacie nie robi tego przez sympatię lub szacunek, lecz z ciekawości dla zabytku muzealnego, uznał za właściwe zamykać drzwi na rygiel i przestano go widywać oprócz rzadkich wypadków, gdy wieczorem zasiadał przed domem na ulicy. Tylko Urszula, nawet kiedy już powłóczyła nogami i chodząc, macała rękami ściany, okazywała dziecinną radość, ilekroć zbliżał się moment nadejścia pociągu. „Przygotujcie mięso i ryby –

rozkazywała czterem zaaferowanym kucharkom, którymi dyrygowała niewzruszona Santa Sofía de la Piedad. – Trzeba podać wszystkiego po trosze – podkreślała – bo nigdy nie wiadomo, co zechcą jeść cudzoziemcy". Pociąg przyjeżdżał w godzinie największego upału. Podczas obiadu dom rozbrzmiewał jarmarczną wrzawą i spoceni biesiadnicy, którzy nie wiedzieli nawet, kim są gospodarze, walili hurmem, żeby zająć najlepsze miejsca przy stole, podczas gdy kucharki potrącały się, wnosząc olbrzymie garnki z zupą, rondle z mięsem, półmiski z jarzynami, misy z ryżem i bez końca rozdzielały chochlą lemoniadę z beczek. W tym niewiarygodnym bałaganie Fernandę do furii doprowadzała myśl, że wielu z nich jada dwukrotnie, i nieraz miała ochotę ulżyć sobie i rozkrzyczeć się jak przekupka, gdy jakiś niezorientowany gość żądał rachunku. Minął rok od wizyty Mr Herberta i wiedziano tylko, że cudzoziemcy mają zamiar hodować banany w tym zaczarowanym rejonie, przez który przeszli José Arcadio Buendía i jego ludzie w poszukiwaniu wielkich odkryć. Zjawili się także dwaj następni spośród synów pułkownika Aureliana Buendíi z krzyżami z popiołu na czole, ściągnięci tą eksplozją wulkanu, uzasadniając swe przybycie zdaniem, które może streszczało opinię powszechną.

– Przyszliśmy – powiedzieli – bo wszyscy tu ciągną.

Tylko Piękna Remedios pozostała odporna na zarazę bananową. Zatrzymała się w cudownym wieku młodzieńczym, coraz bardziej niedostępna ustalonym formom życia i coraz bardziej obojętna na złośliwość i podejrzenia, szczęśliwa we własnym świecie rzeczywistości najprostszych. Nie rozumiała, dlaczego kobiety utrudniają sobie życie gorsetami i halkami, dla siebie więc uszyła worek z konopnego płótna z otworem na głowę i w ten uproszczony sposób rozwiązała problem ubrania, zachowując jednocześnie złudzenie, że jest naga, co w jej przekonaniu było jedynym przyzwoitym strojem na użytek domowy. Znudzona naleganiem, żeby skróciła włosy sięgające jej aż do kostek i upięła je w kok za pomocą grzebieni lub zaplotła warkocze z kolorowymi wstążkami, po prostu ogoliła sobie głowę aż do skóry, a z włosów zrobiła peruki dla świętych. Najdziwniejsze w tym instynkcie upraszczania było to, że im mniej troszczyła się o modę, szukając wygody, im bardziej wyzbywała się konwencjonalizmu posłuszna tylko impulsom, tym bardziej

niepokojąca stawała się jej niewiarygodna uroda i tym bardziej prowokacyjne jej zachowanie wobec mężczyzn. Kiedy synowie pułkownika Aureliana Buendíi pierwszy raz byli w Macondo, Urszula przypomniała sobie, że mają w żyłach tę samą krew co prawnuczka, i wstrząsnął nią dawno zapomniany strach. „Dobrze uważaj – ostrzegła ją. – Z każdym z nich urodzisz dziecko ze świńskim ogonem”. Ona jednak tak mało zwróciła uwagi na przestrogę, że przebrała się po męsku i wytarzała w piasku, by wdrapać się na wysmarowany dziegciem słup, co omal nie doprowadziło do tragedii wśród jej siedemnastu kuzynów, oszołomionych widokiem nie do wytrzymania. Dlatego też żaden z nich nie spał w domu, kiedy przyjeżdżali, a ci czterej, którzy zostali tu na stałe, mieszkali z rozkazu Urszuli w wynajętych pokojach. Piękna Remedios umarłaby chyba ze śmiechu, gdyby wiedziała o tej przezorności. Do ostatniej chwili swego pobytu na ziemi nie miała pojęcia, że jej nieodwracalny los zakłócającej spokój samicy co dzień przynosi komuś zgubę. Ilekroć ukazywała się w jadalni wbrew rozkazom Urszuli, doprowadzała do rozpaczy cudzoziemców. Zbyt oczywiste było, że pod zgrzebną koszulą jest zupełnie naga, i nikt nie mógł zrozumieć, że jej idealna i zgolona czaszka nie jest wyzwaniem i że nic występnego ani prowokującego nie ma w sobie bezwstyd, z jakim odkrywała uda, żeby się ochłodzić, czy satysfakcja okazywana przy oblizywaniu palców po jedzeniu. Czego nigdy nie wiedział nikt z rodziny, a z czego od razu zdali sobie sprawę obcy, to że Piękna Remedios wytwarzała wokół siebie jakąś aurę niepokoju, atmosferę burzy, wyczuwalną jeszcze w parę godzin po jej przejściu. Mężczyźni doświadczeni w rozkoszach miłości, kosztowanych na całym świecie, twierdzili, że nigdy nie doznawali takich dreszczy, jakie wywoływał w nich naturalny zapach Pięknej Remedios. Na ganku z begoniami, w salonie, w każdym zakątku domu można było dokładnie określić miejsce, w którym przebywała, i czas, jaki minął od chwili, gdy stamtąd odeszła. Był to ślad trwały, nieomylny, którego nikt w domu nie mógł rozróżnić, gdyż od dawna połączył się z innymi codziennymi zapachami, ale obcy odróżniali go natychmiast. Dlatego też tylko oni rozumieli, że młody dowódca straży zmarł z miłości, a rycerz przybyły z dalekich stron stoczył się na dno rozpaczy. Nieświadoma burzliwej atmosfery, w jakiej się porusza, ani nieznośnego stanu wewnętrznej katastrofy, jaki wywołuje swoim przejściem, Piękna Remedios traktowała mężczyzn obojętnie, bez

najmniejszej złośliwości, i do reszty burzyła ich spokój swymi niewinnymi kaprysami. Kiedy Urszula kazała jej jadać w kuchni razem z Amarantą, żeby nie widywali jej goście, poczuła się swobodniej, bo wreszcie przestała jej ciążyć wszelka dyscyplina. Było jej wszystko jedno, gdzie jada, i to nie w ustalonych godzinach, lecz według wskazań własnego apetytu. Czasami wstawała na obiad o trzeciej rano, spała przez cały dzień, i w tym odwróconym układzie rzeczy żyła kilka miesięcy, dopóki jakiś przypadkowy incydent nie przywołał jej z powrotem do porządku. Kiedy była w lepszym nastroju, wstawała o jedenastej rano, zamykała się na dwie godziny w łazience zupełnie naga, zabijając w tym czasie skorpiony i usiłując się otrząsnąć z ciężkiego i długiego snu. Potem wydrążoną tykwą czerpała wodę z basenu i oblewała nią całe ciało. Była to czynność tak długotrwała, tak drobiazgowa i obfitująca w uroczyste sytuacje, że ktoś, kto jej nie znał, mógłby pomyśleć, że oddaje się zasłużonej adoracji własnego ciała. Dla niej jednakże ten samotny obrządek nie miał w sobie nic ze zmysłowości i był po prostu sposobem zabicia czasu, zanim poczuje głód. Pewnego dnia, kiedy zaczynała się kąpać, ktoś spośród przybyszów uniósł obluzowaną dachówkę i znieruchomiał z zapartym tchem, podziwiając wspaniałość jej nagich kształtów. Ona zobaczyła jego zrozpaczone oczy poprzez otwór w dachu i nie odczuła wstydu, tylko przestrach.

– Ostrożnie – krzyknęła – spadnie pan.

– Chcę tylko patrzeć na panią – szepnął intruz.

– No dobrze – odpowiedziała – ale proszę uważać, bo dach jest spróchniały.

Twarz mężczyzny skamieniała w jakimś bolesnym osłupieniu, jak gdyby toczył głuchą walkę przeciw swym pierwotnym impulsom, nie chcąc zniszczyć mirażu. Piękna Remedios myślała, że cierpi ze strachu, żeby strop się nie rozleciał, i skończyła się kąpać prędzej niż zwykle, żeby go nie narażać na dalsze niebezpieczeństwo. Oblewając się wodą ze zbiornika, powiedziała, że martwi ją ten zły stan dachu, bo warstwa liści zgniłych od deszczu z pewnością jest przyczyną gnieżdżenia się skorpionów w łazience. Cudzoziemcowi jej szczebiot wydał się zachętą i gdy zaczęła się namydlać, uległ pokusie, żeby posunąć się dalej.

– Ja panią namydlę – szepnął.

– Dziękuję za dobre chęci – odpowiedziała – ale zupełnie wystarczają mi moje dwie ręce.

– Choćby tylko plecy – błagał intruz.

– To zbyteczne – odpowiedziała. – Kto kiedy widział, żeby ludzie mydlili sobie plecy?

Później, kiedy się wycierała, on błagał ją z oczyma pełnymi łez, żeby została jego żoną. Odpowiedziała mu szczerze, że nigdy nie wyjdzie za mąż za mężczyznę, który stracił już całą godzinę i wyrzekł się obiadu tylko po to, żeby zobaczyć kąpiącą się kobietę. W końcu, kiedy włożyła suknię, mężczyzna stwierdził naocznie, że istotnie, jak wszyscy podejrzewali, nie nosi nic pod spodem. To było więcej, niż mógł znieść – czuł się napiętnowany na zawsze rozpalonym żelazem tej tajemnicy. Wyjął jeszcze dwie dachówki, żeby dostać się do wnętrza łazienki.

– To bardzo wysoko – uprzedziła go przestraszona – zabije się pan.

Przegniły strop rozleciał się z groźnym trzaskiem i mężczyzna ledwie zdążył krzyknąć z przerażenia, zanim rozbił sobie czaszkę i umarł bez jęku na cementowej podłodze. Cudzoziemcy, którzy dosłyszeli hałas w jadalni i pospieszyli, żeby wynieść trupa, poczuli na jego skórze dławiący zapach Pięknej Remedios. Całe jego ciało było nim tak nasiąknięte, że z rozbitej czaszki popłynęła nie krew, lecz bursztynowa oliwa przesycona tym tajemnym aromatem, i wtedy zrozumieli, że zapach Pięknej Remedios torturuje mężczyzn nawet po śmierci, dopóki nie rozsypią się kości. Nie skojarzyli mimo wszystko tego straszliwego wypadku z dwoma innymi, nie znając tamtych dwóch mężczyzn, którzy umarli przez Piękną Remedios. Trzeba było jeszcze jednej ofiary, żeby obcy przybysze, i wielu spośród dawnych mieszkańców Macondo, uwierzyli w legendę, że to, czym emanuje ciało Remedios, nie jest miłością, lecz śmiercią. Przekonano się o tym w parę miesięcy później, kiedy pewnego popołudnia Piękna Remedios w grupie koleżanek poszła obejrzeć nowe plantacje. Dla ludzi z Macondo było nową rozrywką przebieganie wilgotnych i długich bez końca alei pod sklepieniem bananowców, gdzie cisza zdawała się przyniesiona z innych stron i jeszcze nieużywana, niczym niezmącona, dlatego tak źle przekazywała głos. Czasami nie rozumiano czegoś, co mówiło się w odległości pół metra, a jednak doskonale to słyszano na

drugim krańcu plantacji. Dla dziewcząt z Macondo ta nowa zabawa była powodem do śmiechów, zaskoczeń i kpin, a wieczorami opowiadało się o spacerze jak o czymś przeżytym we śnie. Tyle mówiono o tej ciszy, że Urszula nie miała serca odmówić rozrywki Pięknej Remedios i pozwoliła jej wyjść któregoś popołudnia, pod warunkiem że włoży odpowiednie ubranie i kapelusz. Z chwilą gdy gromada przyjaciółek weszła na plantację, powietrze przesycił śmiertelny aromat. Mężczyźni pracujący w rowach uczuli się obezwładnieni jakimś dziwnym czarem, zagrożeni niewidzialnym niebezpieczeństwem i wielu nie oparło się straszliwej chęci płaczu. Pięknej Remedios i jej przerażonym koleżankom w ostatniej chwili udało się schronić w pobliskim domu przed napaścią stada rozjuszonych samców. Wkrótce potem uwolnili je czterej Aurelianowie, których krzyże z popiołu budziły święty szacunek, niby znak kasty, pieczęć nietykalności. Piękna Remedios nie opowiedziała nikomu, że jeden z mężczyzn, korzystając z zamieszania, zdołał dotknąć jej brzucha ręką, podobną raczej do szponów orła czepiających się brzegu przepaści. Stawiła czoło napastnikowi, jednak w nagłym olśnieniu zobaczyła tragiczne oczy, które pozostały na zawsze w jej sercu niby żar litości. Wieczorem na ulicy Turków człowiek ten przechwalał się swoją odwagą i opowiadał o swoim szczęściu jeszcze na parę minut przedtem, nim kopnięcie konia roztrzaskało mu klatkę piersiową i tłum przybyszów ujrzał go konającego pośrodku ulicy w kałuży krwi wyrzucanej ustami.

Podejrzenie, że Piękna Remedios obdarzona jest mocą sprowadzania śmierci, potwierdziły jeszcze cztery inne niezbite fakty. I choć niektórzy z mężczyzn pochopnie zapewniali, że warto poświęcić życie za jedną noc miłości z tak niebezpieczną kobietą, to jednak żaden z nich nie podjął najmniejszej próby, by tego dokonać. Może na to, by ją nie tylko ujarzmić, ale także unieszkodliwić jej czary, wystarczyłoby uczucie tak pierwotne i proste jak miłość, ale to była jedyna rzecz, która nikomu nie przyszła na myśl. Urszula przestała się już o nią martwić. Dawniej, kiedy jeszcze nie zrezygnowała z zamiaru uratowania prawnuczki dla świata, próbowała ją zainteresować drobnymi sprawami domowymi. „Mężczyźni żądają więcej, niż ci się zdaje – mówiła do niej zagadkowo. – Trzeba dużo gotować, dużo zamiatać i cierpieć przez różne drobiazgi, oprócz tego, o czym ty myślisz”. W głębi duszy oszukiwała samą siebie, próbując przygotować Remedios do

szczęścia domowego, przekonana, że nie ma na świecie mężczyzny, który po zaspokojeniu namiętności byłby zdolny znieść choć przez jeden dzień jej niedbalstwo przekraczające wszelkie granice wyobrażenia. Narodziny ostatniego Josego Arcadia i niezłomny zamiar wychowania go na papieża w końcu kazały jej zaniechać trosk o prawnuczkę. Pozostawiła ją własnemu losowi, ufna, że prędzej czy później stanie się cud i na tym świecie, gdzie wszystko się zdarza, znajdzie się mężczyzna dość dziwaczny, żeby się nią zająć. Już dużo wcześniej Amaranta zrezygnowała z wszelkich prób uczynienia jej pożyteczną. Od czasu zapomnianych popołudni w szwalni, kiedy wnuczka po jej bracie ledwie nauczyła się obracać rączką maszyny do szycia, doszła do nader prostego wniosku, że Remedios jest głupia. „Trzeba będzie cię oddać na loterię fantową” – mówiła, nie pojmując jej niewrażliwości na podziw mężczyzn. Później, kiedy Urszula kazała jej w kościele zasłaniać twarz mantylką, Amaranta myślała, że ta tajemniczość okaże się tym bardziej prowokująca i bardzo prędko znajdzie się ktoś dostatecznie zaintrygowany, żeby cierpliwie szukać słabego punktu w jej sercu. Ale przekonawszy się, jak niedorzecznie Remedios wzgardziła adoratorem, który z wielu względów bardziej się zdawał ponętny niż królewicz z bajki, straciła wszelką nadzieję. Co do Fernandy, to nie próbowała nawet jej zrozumieć. Ujrzawszy Piękną Remedios w przebraniu królowej podczas krwawego karnawału, pomyślała, że to jakaś nadprzyrodzona istota. Ale kiedy ją zobaczyła jedzącą rękami, niezdolną w rozmowie dać odpowiedzi, która nie byłaby szczytem głupoty, żałowała tylko, że głupcy w tej rodzinie tak długo żyją. Chociaż pułkownik Aureliano Buendía wciąż wierzył i powtarzał, że Piękna Remedios jest w rzeczywistości obdarzona największą jasnością umysłu, z jaką kiedykolwiek się spotkał, i chociaż dowodził tego co chwila jej zadziwiający talent kpienia sobie ze wszystkich, pozostawiono ją na łasce boskiej. Piękna Remedios błąkała się na pustyni samotności, nie dźwigając żadnych krzyży, dojrzewając w swoich snach bez koszmarów, w swoich niekończących się kąpielach, posiłkach o nieustalonych porach, w swoim głębokim i długim milczeniu bez wspomnień aż do pewnego marcowego popołudnia, kiedy Fernanda, chcąc poskładać w ogrodzie swoje koronkowe prześcieradła, poprosiła o pomoc domowe kobiety. Ledwie zaczęły je przeciągać, kiedy Amaranta spostrzegła bladość Pięknej Remedios, która wydawała się niemal przezroczysta.

– Źle się czujesz? – spytała.

Piękna Remedios, trzymając prześcieradło za drugi koniec, uśmiechnęła się z politowaniem.

– Przeciwnie – odpowiedziała – nigdy nie czułam się lepiej.

Ledwie wymówiła te słowa, Fernanda poczuła, że jakiś leciutki wiatr wyrywa jej prześcieradło z ręki i rozpościera je na całą szerokość. Amaranta uczuła tajemnicze drganie w koronkach swych spódnic i próbowała uchwycić prześcieradło, żeby nie upaść, w chwili gdy Piękna Remedios zaczęła unosić się w górę. Tylko Urszula, prawie już niewidoma, znalazła w sobie dość pogodnego spokoju, żeby rozpoznać ten nieuchwytny wiatr, i zostawiła bieliznę jego łasce, patrząc, jak Piękna Remedios ręką przesyła jej pożegnanie pośród oślepiającej bieli trzepoczących prześcieradeł, które unosiły się z nią razem, z nią razem opuszczały świat żuków i dalii, przelatując przez powietrze, gdzie kończyła się godzina czwarta po południu, i z nią razem znikły na wyżynach, gdzie nie mogły jej już dosięgnąć najwyżej szybujące ptaki pamięci.

Obcy przybysze myśleli oczywiście, że Piękna Remedios padła w końcu ofiarą swego nieodwracalnego przeznaczenia królowej pszczół i że jej rodzina próbuje ratować honor bajeczkami o lewitacji. Dręczona zawiścią Fernanda uznała w końcu nadprzyrodzony charakter zjawiska, ale jeszcze przez długi czas prosiła Boga, żeby jej zwrócił prześcieradła. Większość uwierzyła w cud i nawet zapalano świece i odmawiano nowenny. Może przez długi czas jeszcze nie mówiono by o niczym innym, gdyby barbarzyńska eksterminacja Aurelianów nie zamieniła zdumienia w panikę. Pułkownik Aureliano Buendía, choć nigdy nie rozpoznał tego jako przeczucia, w pewien sposób przewidział tragiczny koniec swych synów. Kiedy Aureliano Serrador i Aureliano Arcaya, dwaj, którzy przybyli w czasie inwazji, okazali chęć pozostania w Macondo, ojciec usiłował ich od tego odwieść. Nie rozumiał, co będą robić w mieście, które nagle stało się niebezpieczne. Lecz Aureliano Centeno i Aureliano Smutny, wspierani przez Aureliana Drugiego, dali im pracę w swoich zakładach. Pułkownik Aureliano Buendía miał jeszcze wtedy zbyt niejasne powody, żeby się sprzeciwiać. Odkąd zobaczył pana Browna w pierwszym automobilu, jaki przybył do Macondo – pomarańczowy kabriolet z klaksonem, który swoim szczekaniem straszył psy – stary wojak oburzył się na służalczą krzątaninę

ludzi i zrozumiał, że coś się zmieniło w naturze mężczyzn od tych czasów, gdy porzucali żony i dzieci i ze strzelbą na ramieniu wyruszali na wojnę. Władzę lokalną po zawieszeniu broni w Neerlandii sprawowali alkadowie bez inicjatywy, dekoracyjni sędziowie, wybierani spośród pokojowo usposobionych i zmęczonych konserwatystów z Macondo. „To są rządy półgłówków – twierdził pułkownik Aureliano Buendía na widok bosych policjantów uzbrojonych w pałki. – Prowadziliśmy tyle wojen po to tylko, żeby nie pomalowano nam domu na niebiesko”. Ale kiedy przybyła Kompania Bananowa, miejscowi funkcjonariusze ustąpili miejsca żądnym władzy cudzoziemcom, których pan Brown sprowadził, by zamieszkali w zelektryfikowanym kurniku, i korzystając – jak to tłumaczył – z przywilejów odpowiadających ich stanowisku, nie musieli cierpieć z powodu gorąca, komarów, niezliczonych braków i niewygód miasta. Dawnych policjantów zastąpili płatni mordercy z maczetami. Zamknięty w swym warsztacie pułkownik Aureliano Buendía myślał o tych zmianach i po raz pierwszy w jego milczących latach samotności zaczęła go gnębić ostateczna pewność, że błędem było zaprzestać wojny, zamiast ją doprowadzić do radykalnych skutków. Któregoś dnia brat zapomnianego pułkownika Magnifica Visbala podszedł ze swoim siedmioletnim wnukiem do wózka z napojami chłodzącymi na placu rynkowym i kiedy chłopiec potrącił niechcący kaprala policji i wylał mu lemoniadę na mundur, barbarzyńca posiekał go maczetą i jednym zamachem odciął głowę dziadkowi, który usiłował temu przeszkodzić. Całe miasto widziało ściętego, kiedy grupa mężczyzn niosła go do domu, jego głowę, którą jakaś kobieta trzymała za włosy, i pokrwawiony worek, gdzie włożono szczątki dziecka.

Dla pułkownika Aureliana Buendíi był to kres ekspiacji. Porwało go nagle to samo oburzenie co niegdyś w młodości na widok trupa ukąszonej przez wściekłego psa kobiety, którą zatłuczono kijami. Spojrzał na gromady gapiów przed domem i krzycząc swoim dawnym stentorowym głosem, który mu przywróciła głęboka pogarda dla samego siebie, zrzucił na nich brzemię nienawiści już niezdolnej pomieścić się w sercu.

– Uzbroję wszystkich moich chłopców – krzyknął – żeby raz wreszcie skończyli z tymi przybłędami.

W ciągu tego tygodnia w różnych miejscowościach wybrzeża wytropiono jak króliki jego siedemnastu synów i wszyscy zginęli z ręki nieznanych morderców, celujących w sam środek ich krzyży z popiołu. Aureliano Smutny wychodził z domu swej matki o siódmej wieczorem, kiedy wystrzał karabinowy padł w ciemności i przeszył mu czoło. Aureliana Centena znaleziono w hamaku, który miał zwyczaj zawieszać w fabryce, ze szpikulcem do kruszenia lodu zatopionym aż po rękojeść między brwiami. Aureliano Serrador odprowadził swoją narzeczoną z kina do domu jej rodziców i wracał jasno oświetloną ulicą Turków, kiedy ktoś, kogo nigdy nie rozpoznano w tłumie, strzałem z rewolweru powalił go do kotła z wrzącym tłuszczem. W parę minut później ktoś zapukał do pokoju, gdzie Aureliano Arcaya był zamknięty z kobietą, i krzyknął: „Uciekaj, mordują twoich braci”. Kobieta, która wtedy z nim była, opowiedziała później, że Aureliano Arcaya wyskoczył z łóżka, otworzył drzwi i przywitany salwą z mauzerów upadł z roztrzaskaną czaszką. W tę noc śmierci, podczas gdy w domu przygotowywano się do czuwania przy zwłokach czterech zabitych, Fernanda przebiegła miasto jak szalona w poszukiwaniu Aureliana Drugiego, którego Petra Cotes zamknęła w szafie, myśląc, że rozkaz eksterminacji obejmuje wszystkich ochrzczonych imieniem pułkownika. Wypuściła go dopiero na czwarty dzień, kiedy telegramy wysłane z różnych miejscowości na wybrzeżu wyjaśniły, że furia niewidzialnego wroga skierowana jest tylko przeciw braciom naznaczonym krzyżem z popiołu. Amaranta odszukała kalendarzyk, gdzie zanotowano dane dotyczące jej bratanków, i w miarę nadsyłania telegramów skreślała imiona, aż pozostał tylko najstarszy. Pamiętano go dobrze z powodu kontrastu jego ciemnej skóry i dużych zielonych oczu. Nazywał się Aureliano Amador, był stolarzem i mieszkał we wsi zagubionej na stokach gór. Po odczekaniu dwóch tygodni na telegram o jego śmierci Aureliano Drugi wysłał gońca, żeby go ostrzec, myśląc, że tamten nie wie o grożącym mu niebezpieczeństwie. Wysłaniec wrócił z wiadomością, że Aureliano Amador jest uratowany. W noc pogromu przyszło do jego domu dwóch ludzi, którzy kilkakrotnie strzelali do niego, ale nie trafili w krzyż z popiołu. Aureliano Amador zdołał przeskoczyć ogrodzenie podwórza i zniknął w labiryntach sierry, gdzie znał każdy zakątek dzięki przyjaźni z Indianami, z którymi handlował drewnem. Nic więcej nigdy się o nim nie dowiedziano.

Były to czarne dni dla pułkownika Aureliana Buendíi. Prezydent Republiki przysłał mu telegram z kondolencjami, w którym przyrzekał drobiazgowe śledztwo i składał hołd zmarłym. Na jego rozkaz zjawił się na pogrzebie alkad z czterema wieńcami, które chciał złożyć na trumnach, ale pułkownik wyrzucił go na ulicę. Po pogrzebie zredagował i poszedł wysłać osobiście telegram do prezydenta Republiki, tak ostry, że telegrafista odmówił jego przyjęcia. Wtedy dodał jeszcze kilka wyrażeń o wyjątkowej agresywności, włożył telegram do koperty i wysłał zwykłą pocztą. Tak jak po śmierci swojej żony i jak wiele razy podczas wojny, ilekroć umierał któryś z jego najlepszych przyjaciół, nie czuł bólu, tylko ślepą wściekłość i wyczerpującą niemoc. Posunął się aż do oskarżenia o wspólnictwo w zbrodni ojca Antonia Isabel za to, że naznaczył jego synów niezniszczalnym znakiem, który pozwalał ich rozpoznać wrogom. Sędziwy ksiądz, któremu już się trochę mieszało w głowie i zaczynał szerzyć popłoch wśród parafian bredniami głoszonymi z ambony, zjawił się pewnego popołudnia w domu pułkownika z kubkiem popiołu przygotowanego na środę, chciał namazać nim całą rodzinę, żeby udowodnić, że można zmyć go wodą. Ale groza nieszczęścia utkwiła w nich tak głęboko, że nawet Fernanda nie poddała się próbie i nigdy więcej nie widziano już nikogo z Buendíów klęczącego przy ołtarzu w Środę Popielcową.

Pułkownik Aureliano Buendía długi czas nie mógł odzyskać spokoju. Zarzucił produkcję rybek, prawie nie jadł i krążył jak lunatyk po całym domu, wlokąc za sobą płaszcz i przeżuwając głuchą wściekłość. Po trzech miesiącach osiwiał i dawny zadzierzysty wąs o gumowanych końcach zwisał teraz bezsilnie nad bezkrwistymi ustami, ale w oczach znów płonął ten płomień, który tak przeraził świadków jego narodzin i który niegdyś wprawiał w taniec krzesła poruszane samym tylko spojrzeniem tych oczu. W furii swego cierpienia daremnie przywoływał te wróżebne znaki, które go wiodły w młodości ścieżkami niebezpieczeństw na jałową pustynię chwały. Zagubiony błądził po obcym sobie domu, gdzie nikt i nic nie budziło w nim ani odrobiny przywiązania. Kiedyś otworzył pokój Melquiadesa, szukając śladów przeszłości sprzed wojny, ale znalazł tylko śmiecie, sterty odpadków zgromadzonych przez tyle lat opuszczenia. Na okładkach książek, których nikt już nie czytał, na starych pergaminach

zmacerowanych wilgocią wegetowała roślinność, a w powietrzu, które było najczystsze, najbardziej świetliste w całym domu, unosiła się nieznośna woń zmartwiałych wspomnień. Pewnego ranka znalazł Urszulę płaczącą pod kasztanem, z głową na kolanach zmarłego męża. Pułkownik Aureliano Buendía był w domu jedynym, który nie widział już zjawy olbrzymiego starca dręczonego dziesiątkami lat deszczy. „Przywitaj się z twoim ojcem” – powiedziała Urszula. Zatrzymał się przez moment pod kasztanem i raz jeszcze stwierdził, że to puste miejsce także nie wzbudza w nim żadnego uczucia.

– Co on mówi? – zapytał.

– Jest bardzo smutny – odpowiedziała Urszula – bo myśli, że niedługo umrzesz.

– Powiedz mu – uśmiechnął się pułkownik – że nie umiera się wtedy, kiedy trzeba, ale kiedy można to zrobić.

Przepowiednia zmarłego ojca poruszyła ostatnie resztki dumy w jego sercu, ale on pomylił to z nagłym przypływem siły. Dlatego to zaczął nalegać na Urszulę, żeby pokazała mu miejsce, gdzie zakopała złote monety znalezione wewnątrz gipsowego świętego Józefa. „Nigdy się nie dowiesz – odpowiedziała stanowczo w przypływie dawnego zacietrzewienia. – Pewnego dnia – dodała – zjawi się właściciel tej fortuny i tylko on je odkopie”. Nikt nie wiedział, dlaczego człowiek zawsze tak obojętny na pieniądze zaczął ich pożądać tak chciwie, i to nie drobnych sum, które wystarczyłyby na pokrycie nagłej potrzeby, lecz olbrzymiego skarbu, o którym sama wzmianka pogrążała w zadumie Aureliana Drugiego. Dawni towarzysze, do których zwrócił się z prośbą o pomoc, ukryli się, żeby go nie przyjmować. „Jedyną różnicą między liberałami a konserwatystami jest to, że liberałowie chodzą na mszę o piątej, a konserwatyści o ósmej” – mówił wtedy. Niemniej nalegał tak natarczywie, prosił tak wytrwale, złamał do tego stopnia swoją dumę, że trochę stąd, trochę stamtąd, wślizgując się wszędzie, z cichą skwapliwością i nieugiętym uporem, zdołał zgromadzić w ciągu ośmiu miesięcy więcej pieniędzy, niż Urszula miała w swej kryjówce. Wtedy wybrał się w odwiedziny do chorego pułkownika Gerinelda Marqueza, żeby uzyskać jego pomoc w zorganizowaniu powszechnej wojny.

W swoim czasie pułkownik Gerineldo Márquez był właściwie jedynym, który mógł nawet ze swego krzesła paralityka poruszyć zbutwiałe nici rebelii. Po rozejmie w Neerlandii, gdy pułkownik Aureliano Buendía chronił się na wygnaniu pośród złotych rybek, on nadal utrzymywał kontakt z rebelianckimi oficerami, którzy pozostali wierni aż do klęski. Przetrwał z nimi smutną wojnę codziennego poniżenia, próśb i memoriałów, odkładania spraw do jutra i pustych obietnic; wojnę bez szans przeciw tym najbardziej oddanym sprawie i nieskończenie uprzejmym ludziom, którzy mieli przydzielić dożywotnie renty i nigdy ich nie przydzielili. Tamta walka, krwawa i dwudziestoletnia, nie wyrządziła tylu szkód co ta wyniszczająca wojna wiecznego odraczania. Sam pułkownik Gerineldo Márquez, który uniknął trzech zamachów, wyleczył się z pięciu ran i wyszedł cało z niezliczonych potyczek, załamał się w straszliwym oblężeniu czekania i pogrążył w nędznej klęsce starości, rozmyślając o Amarancie pośród rombów światła z okien wynajętego domu. Ostatni, o jakich słyszano, weterani ukazali się na fotografiach w jakiejś gazecie, z niegodnie podniesionymi głowami, obok nieznanego prezydenta Republiki, który podarował im guziki ze swoim wizerunkiem do udekorowania wyłogów i zwrócił im sztandar zbrukany kurzem i krwią, żeby nim przykrywali swoje trumny. Inni, bardziej dumni, czekali jeszcze na list, przymierając głodem w mroku miłosierdzia publicznego, podtrzymywani przy życiu wściekłością, gnijąc ze starości we wspaniałym gnoju chwały. Tak więc gdy pułkownik Aureliano Buendía wezwał go do rozniecenia śmiertelnej pożogi, która zmiotłaby wszelkie ślady rządów korupcji i zgorszenia, wspieranych przez obcego najeźdźcę, pułkownik Gerineldo Márquez nie mógł powstrzymać odruchu litości.

– Aj, Aureliano – westchnął – wiedziałem, żeś stary, ale teraz dopiero rozumiem, że jesteś o wiele starszy, niż wyglądasz!

W oszałamiającym rwetesie ostatnich lat Urszula bardzo niewiele miała czasu na pilnowanie papieskiego wychowania Josego Arcadia i trzeba go było teraz na gwałt przygotować do wyjazdu do seminarium. Jego siostrę, Meme, o którą surowość Fernandy toczyła wojnę ze zgorzknieniem Amaranty, prawie jednocześnie wysyłano do szkoły klasztornej, gdzie miała dojść do perfekcji w sztuce gry na klawikordzie. Urszulę dręczyły poważne obawy co do skuteczności metod stosowanych przez nią dla zahartowania ducha wątłego kandydata na papieża, ale nie przypisywała winy niedołęstwu starości ani katarakcie, która ledwie jej pozwalała dostrzegać zarysy przedmiotów, lecz czemuś, czego sama nie była zdolna określić i co błędnie pojmowała jako coraz szybszy rytm mijania czasu. „Lata nie są teraz takie, jak były dawniej” – mówiła, czując, że codzienna rzeczywistość wymyka się jej z rąk. Dawniej, myślała, dzieci dłużej rosły. Wystarczyło sobie przypomnieć, ile czasu trzeba było na to, by najstarszy José Arcadio odszedł z Cyganami i to wszystko, co się stało, zanim wrócił wymalowany jak wąż, mówiący jak astronom. I te rzeczy, które działy się w domu, zanim Amaranta i Arcadio zapomnieli języka Indian i nauczyli się po hiszpańsku. Trzeba było widzieć, ile godzin słońca i deszczu wytrzymał biedny José Arcadio Buendía pod kasztanem, ile czasu Urszula musiała opłakiwać jego śmierć, zanim przyniesiono konającego pułkownika Aureliana Buendíę, który po tylu wojnach i tylu cierpieniach, jakich jej przysporzył, nie miał jeszcze skończonych pięćdziesięciu lat. W dawnych latach, kiedy przez cały dzień wyrabiała zwierzątka z karmelu, zostawało jej jeszcze dość czasu, żeby zajmować się dziećmi, obejrzeć im oczy i zdecydować, czy potrzebują oleju rycynowego. Teraz natomiast, kiedy nie

miała prawie nic do roboty i od rana do wieczora nosiła na biodrze Josego Arcadia jak w siodle, ten zły gatunek czasu zmuszał ją do przerywania robót wykonanych ledwie w połowie. Urszula opierała się starości nawet wtedy, gdy straciła rachubę swoich lat i wszędzie przeszkadzała, mieszając się do wszystkiego i zanudzając nowo przybyłych pytaniami, czy nie zostawili w czasie wojny gipsowego świętego Józefa do przechowania na okres deszczu. Nikt nie zauważył, kiedy zaczęła tracić wzrok. Jeszcze w ostatnich latach życia, kiedy już nie podnosiła się z łóżka, zdawało się, że po prostu zmogła ją starość, ale nikt nie odkrył jej ślepoty. Ona spostrzegła to jeszcze przed narodzeniem Josego Arcadia. Z początku myślała, że to jakaś przejściowa dolegliwość, piła po kryjomu wywar ze szpiku i wpuszczała pszczeli miód do oczu, ale bardzo prędko zauważyła, że bez ratunku pogrąża się w ciemnościach. Toteż nigdy nie miała jasnego pojęcia o wynalazku światła elektrycznego, bo gdy założono pierwsze żarówki, mogła tylko dostrzegać słaby blask. Nie powiedziała tego nikomu, bo byłoby to publicznym uznaniem własnej bezużyteczności. Zaczęła ćwiczyć się w określaniu odległości przedmiotów i głosów ludzi, żeby widzieć pamięcią, kiedy oczom odbiorą tę zdolność mroki katarakty. Później miała odkryć niespodziewaną pomoc zapachów, które w ciemnościach przybierały konkretność bardziej przekonującą niż wymiary i kolor i w końcu uratowały ją przed hańbą kapitulacji. W ciemnym pokoju mogła nawlec igłę, obrębić dziurkę i wiedziała zawsze, kiedy trzeba odstawić mleko, żeby nie wykipiało. Znała tak dobrze miejsce, gdzie znajdował się każdy przedmiot, że sama zapominała czasem o swojej ślepocie. Kiedyś Fernanda przewróciła do góry nogami cały dom, szukając zgubionej obrączki, którą Urszula znalazła w sypialni na półce dzieci. Po prostu kiedy inni chodzili nieuważnie tu i tam, ona pilnowała wszystkich swoimi czterema zmysłami, żeby nigdy jej nie zaskoczono. I po jakimś czasie odkryła, że każdy z członków rodziny codziennie, nie zdając sobie z tego sprawy, powtarza tę samą trasę, te same czynności i niemal te same słowa o tej samej godzinie. Tylko zmieniając cokolwiek w tej drobiazgowej rutynie, narażali się na niebezpieczeństwo zgubienia czegoś. Toteż usłyszawszy, że Fernanda zgubiła obrączkę, Urszula przypomniała sobie, że jedyną jej odmienną czynnością tego dnia było wystawienie na słońce materaców dzieci, bo Meme poprzedniej nocy znalazła pluskwę. Ponieważ dzieci asystowały przy robieniu porządków, Urszula pomyślała, że

Fernanda położyła obrączkę w jedynym miejscu, do którego nie mogły sięgnąć – na wysokiej półce, Fernanda zaś szukała jej wyłącznie na trasach codziennej drogi, nie wiedząc, że rutyna przeszkadza w szukaniu zgubionych rzeczy i dlatego tak trudno je znaleźć.

Wychowanie Josego Arcadia pomogło Urszuli w żmudnym trudzie orientowania się w najdrobniejszych zmianach w domu. Wiedząc na przykład, że Amaranta ubiera świętych w sypialni, udawała, że uczy dziecko rozróżniać kolory.

– Powiedz mi, jakiego koloru jest suknia świętego archanioła Rafaela – mówiła.

W ten sposób dziecko udzielało jej informacji, której odmawiały oczy, i na długo przed jego odjazdem do seminarium mogła już rozróżnić barwy szat świętych, poznając dotykiem rodzaj tkaniny. Czasami zdarzały się nieprzewidziane wypadki. Pewnego popołudnia, gdy Amaranta zajęta haftem siedziała na ganku z begoniami, Urszula wpadła na nią, przechodząc.

– Na miłość boską – zawołała Amaranta – patrz, gdzie idziesz.

– To ty – powiedziała Urszula – siedzisz nie tam, gdzie powinnaś.

Dla niej to było oczywiste. Ale tego dnia zaczęła sobie zdawać sprawę z czegoś, czego nikt nie zauważył, mianowicie, że słońce w ciągu roku zmienia niepostrzeżenie pozycję i ci, co siadują w galerii, muszą stopniowo zmieniać miejsce, nie zdając sobie z tego sprawy. Od tego czasu Urszula musiała tylko pamiętać porę roku, żeby wiedzieć dokładnie, gdzie siedzi Amaranta. Chociaż coraz bardziej drżały jej ręce, a nogi z trudem dźwigały ciężar ciała, nigdy przedtem nie widziano jej drobnej figurki w tylu miejscach jednocześnie. Była prawie tak czynna jak wtedy, gdy na jej barkach spoczywał cały ciężar domu. A jednak nieprzenikniona samotność starości dała jej taką jasność pojmowania najbłahszych nawet zdarzeń w rodzinie, że po raz pierwszy jasno ujrzała prawdy, których jej dawne zajęcia przedtem nie pozwalały dostrzec. W tym czasie, kiedy przygotowywano Josego Arcadia do seminarium, dokonała rekapitulacji dziejów rodziny od założenia Macondo i całkowicie zmieniła opinię, jaką miała dotychczas o swoim potomstwie. Zdała sobie sprawę, że pułkownik Aureliano Buendía nie stracił uczuć rodzinnych dlatego, że jego serce

stwardniało na wojnie, jak myślała dawniej, tylko nigdy nie kochał nikogo, nawet swojej żony Remedios czy niezliczonych kobiet jednej nocy, które przewinęły się przez jego życie, a tym mniej swoich synów. Zrozumiała, że prowadził tyle wojen nie przez idealizm, tak jak wszyscy uważali, i nie ze znużenia zrezygnował z bliskiego zwycięstwa, lecz zwyciężał i przegrywał zawsze z tej samej przyczyny, przez zwyczajną i grzeszną pychę. Doszła do wniosku, że ten syn, za którego oddałaby życie, był tylko człowiekiem niezdolnym do miłości. Pewnej nocy, kiedy nosiła go w łonie, słyszała jego płacz. Był to płacz tak wyraźny, że José Arcadio Buendía, śpiący obok, obudził się i ucieszył na myśl, że będzie miał syna brzuchomówcę. Inne osoby przepowiadały, że będzie wróżbitą. Ona jednak zadrżała z trwogi, pewna, że ten głęboki jęk jest pierwszym zwiastunem straszliwego świńskiego ogona, i błagała Boga, aby pozwolił umrzeć dziecku, zanim się urodzi. Ale jasność widzenia dana starości pozwoliła jej zrozumieć, i powtarzała to wiele razy, że płacz dzieci w łonie matki nie zwiastuje brzuchomówstwa ani daru odgadywania rzeczy przyszłych, lecz oznacza niezdolność kochania. To przewartościowanie obrazu syna obudziło w niej nagle całe współczucie, jakie mu była winna. Natomiast Amaranta, której oschłość serca przerażała ją i której skoncentrowana gorycz rozgoryczała ją samą, ukazała jej się w ostatecznym swym obrazie jako najtkliwsza z kobiet i z bolesną jasnością Urszula pojęła, że niesprawiedliwe tortury, jakie wycierpiał Pietro Crespi, wbrew powszechnemu przekonaniu nie były podyktowane pragnieniem zemsty, ani powolne męczeństwo, które złamało życie pułkownikowi Gerineldowi Marquezowi, nie wynikało z jej goryczy, jak twierdzili wszyscy, lecz jedno i drugie była walką na śmierć i życie między miłością bez granic a niezwyciężonym tchórzostwem i w końcu zatriumfował nierozsądny strach, jaki zawsze budziło w Amarancie jej własne udręczone serce. Wtedy to Urszula zaczęła mówić o Rebece, wspominać ją z dawną czułością, pogłębioną spóźnionym żalem i nagłym podziwem, bo zrozumiała, że tylko ona, Rebeka, która nigdy nie karmiła się jej mlekiem, lecz ziemią i wapnem ze ścian, Rebeka, w której żyłach płynęła krew obcych ludzi, Rebeka o niecierpliwym sercu i rozszalałym brzuchu, jedna tylko Rebeka miała tę odwagę bez granic, której pragnęła Urszula dla swego potomstwa.

– Rebeko – mówiła, dotykając rękami ścian – jak bardzo niesprawiedliwi byliśmy dla ciebie!

W domu uważano po prostu, że Urszula bredzi, zwłaszcza odkąd zaczęła chodzić z uniesioną prawą ręką jak archanioł Gabriel. Fernanda jednak zauważyła przebłyski trzeźwości w mrokach tego majaczenia, bo Urszula mogła powiedzieć bez wahania, ile pieniędzy wydano w domu w ciągu ubiegłego roku. Amaranta pomyślała to samo pewnego dnia, gdy jej matka mieszała w garnku zupę i nagle, nie wiedząc, że ktoś jej słucha, powiedziała, że młynek do mielenia kukurydzy, który kupiono od pierwszych Cyganów i który zaginął przedtem, nim José Arcadio okrążył świat sześćdziesiąt pięć razy, jest jeszcze ciągle w domu Pilar Ternery. Także stuletnia prawie, ale zdrowa i zwinna pomimo niewiarygodnej otyłości, która przerażała dzieci, tak jak niegdyś jej śmiech płoszył gołębie, Pilar Ternera nie zdziwiła się bystrością Urszuli, bo jej własne doświadczenie zaczynało ją uczyć, że przytomna starość może więcej powiedzieć niż wróżby z kart.

Mimo wszystko uświadomiwszy sobie, że nie zdąży już ugruntować powołania Josego Arcadia, Urszula wpadła w konsternację. Zaczęła popełniać błędy, usiłując dostrzec oczyma rzeczy, które intuicja pozwalała jej widzieć jaśniej i lepiej. Pewnego ranka wylała chłopcu na głowę zawartość kałamarza, myśląc, że to woda kwiatowa. Sprawiła tyle zamętu uporczywą chęcią mieszania się we wszystko, że czuła się przybita i miewała napady złego humoru, szamocząc się w ciemnościach, które zaczynały ją oplątywać jak pajęczyna. Wtedy to przyszło jej na myśl, że jej niezdarność nie jest pierwszym zwycięstwem starości i ciemności, ale błędem czasu. Myślała, że dawniej, kiedy Bóg nie wyprawiał z miesiącami i latami tych samych sztuczek co Turcy przy odmierzaniu łokcia perkalu, rzeczy miały się inaczej. Teraz nie tylko dzieci prędzej rosły, ale i uczucia rozwijały się w inny sposób. Zaledwie Piękna Remedios zdążyła wstąpić w niebo ciałem i duszą, gdy już bezmyślna Fernanda utyskiwała po kątach nad utratą swoich prześcieradeł. Jeszcze nie ostygły w grobach ciała Aurelianów, a już Aureliano Drugi znowu spraszał do domu pijaków, którzy grali na akordeonie i opijali się szampanem, jakby to nie chrześcijan pogrzebano, tylko psy, i jakby przeznaczeniem tego domu obłąkanych, który tyle trosk ją kosztował i tyle karmelowych zwierzątek, było obrócić

się w śmietnik rozpusty. Rozmyślając nad tym, podczas gdy przygotowywano kufer Josego Arcadia, Urszula zadała sobie pytanie, czy nie lepiej już raz spocząć w grobie i dać się zasypać ziemią, a Boga pytała bez lęku, czy naprawdę myśli, że ludzie zrobieni są z żelaza, żeby znieść tyle cierpień i poniżeń. I tak pytając bez końca, podsycała swoje urazy i żale trawiona nieodpartą chęcią, by wybuchnąć złorzeczeniem jak pierwszy lepszy z obcych przybyszy i pozwolić sobie wreszcie na chwilę buntu tak upragnioną i tyle razy odkładaną, i skończyć z rezygnacją, raz wreszcie plunąć na wszystko i wyrzucić z serca morze tych przekleństw, które musiała przełykać przez całe sto lat ustępstw.

– Do stu par diabłów! – wykrzyknęła.

Amaranta, która składała bieliznę do kufra, pomyślała, że ugryzł ją skorpion.

– Gdzie jest? – zapytała przestraszona.

– Co?

– Skorpion – wyjaśniła Amaranta.

Urszula położyła palec na sercu.

– Tutaj – odpowiedziała.

W pewien czwartek o drugiej po południu José Arcadio odjechał do seminarium. Urszula miała wspominać go zawsze tak, jak w jej wyobrażeniu wyglądał, gdy się żegnał blady i poważny, bez jednej łzy, tak jak go nauczyła, duszący się z gorąca w ubraniu z zielonego sukna z miedzianymi guzikami i z nakrochmaloną kokardą u kołnierzyka. Odjeżdżając, zostawił po sobie w jadalni przenikliwy zapach wody kwiatowej, którą ona wylewała mu na włosy, żeby iść jego śladem w domu. Podczas pożegnalnego obiadu rodzina pokrywała zdenerwowanie śmiechem i żartami, z przesadnym entuzjazmem reagując na dowcipy ojca Antonia Isabel. Ale kiedy wynoszono kufer, obity wewnątrz pluszem, ze srebrnymi okuciami, zdawało się, że wynoszą z domu trumnę. Pułkownik Aureliano Buendía nie chciał uczestniczyć w pożegnaniu.

– Jeszcze tego ostatniego świństwa nam brakowało – burknął. – Papieża!

Trzy miesiące później Aureliano Drugi i Fernanda odwieźli Meme do szkoły i przywieźli klawikord, który zajął miejsce pianoli. W tym samym

czasie Amaranta zaczęła tkać dla siebie całun śmiertelny. Gorączka bananowa ucichła. Dawni mieszkańcy Macondo, zapędzeni w kąt przez obcych, powrócili do pierwotnej pracowitej egzystencji i jej skromnych środków, zadowoleni jednak mimo wszystko, że przetrwali plagę. W domu wciąż podejmowano gości obiadami i dawne obyczaje wróciły właściwie dopiero w wiele lat później, gdy odjechała Kompania Bananowa. Doszło jednak do radykalnych zmian w tradycyjnym pojęciu gościnności, bo wtedy już Fernanda narzucała swoje prawa. Bez obaw interwencji Urszuli odsuniętej w ciemność i Amaranty pochłoniętej robotą całunu dawna pretendentka do tronu z całą swobodą mogła dobierać biesiadników i narzucać im rygory, które wpoili w nią rodzice. Na skutek jej surowości dom stał się bastionem odrodzonych na nowo dobrych obyczajów, w mieście rozwydrzonym wulgarnością cudzoziemców i lekkością, z jaką trwonili swe łatwo zdobyte fortuny. Dla niej, nieuznającej kompromisów, ludzie dobrze urodzeni nie mieli nic wspólnego z Kompanią Bananową. Nawet jej szwagier José Arcadio Drugi padł ofiarą jej zapędów dyskryminacyjnych, bo w zamieszaniu pierwszych dni wystawił znowu na licytację swoje wspaniałe koguty bojowe i przyjął pracę nadzorcy w Kompanii Bananowej.

– Nie wpuszczę go do domu – powiedziała Fernanda – dopóki mu nie przejdzie ta cudzoziemska zaraza.

W domu zapanował taki rygor, że Aureliano Drugi zdecydowanie czuł się swobodniej u Petry Cotes. Z początku pod pretekstem ulżenia w pracy żonie zaczął urządzać biesiady w domu konkubiny. Potem pod pretekstem, że zwierzęta tracą płodność, przeniósł tam obory i stajnię. W końcu tłumacząc się tym, że u Petry Cotes jest chłodniej, zainstalował u niej całe swoje biuro. Kiedy Fernanda zdała sobie sprawę, że jest wdową po żyjącym mężu, za późno już było przywracać rzeczy do dawnego stanu. Aureliano Drugi rzadko jadał w domu i ostatnie pozory, które jeszcze zachowywał – jak sypianie w domu żony – nie przekonywały nikogo. Pewnej nocy zaniechał i tego i ranek zastał go w łóżku Petry Cotes. Fernanda wbrew jego oczekiwaniom nie zrobiła mu najmniejszej wymówki, nie oburzyła się ani nawet nie westchnęła, ale tego samego dnia posłała do domu konkubiny dwa kufry z jego ubraniami. Kazała je nieść środkiem ulicy w samo południe, tak żeby każdy zobaczył, przekonana, że zbłąkany mąż nie

zniesie wstydu i powróci do zagrody z pochyloną głową. Ten heroiczny gest był jeszcze jednym dowodem, jak źle znała Fernanda nie tylko swego męża, ale środowisko, które nie miało nic wspólnego z tym, w jakim ona wyrosła, bo ktokolwiek widział przenoszone kufry, pomyślał, że ostatecznie jest to naturalne zakończenie historii, której intymne szczegóły dla nikogo nie były sekretem, Aureliano Drugi zaś uczcił darowaną mu wolność trzydniowym bankietem. Jakby dla ostatecznego pognębienia małżonki, która zaczynała się fatalnie starzeć w swoich smętnych szatach ze swymi staroświeckimi medalionami i swoją dumą nie na miejscu, konkubina zdawała się rozkwitać i przeżywać drugą młodość, przystrojona w barwne jedwabie, a płonące w oczach światełko zemsty dodawało im drapieżnego uroku. Aureliano Drugi rzucił się na nowo w jej ramiona z młodzieńczym ogniem, jak dawniej, kiedy kochała nie jego, lecz myliła go z jego bratem bliźniakiem i sypiając z obydwoma w tym samym czasie, myślała, że Bóg obdarzył ją szczęściem, dając mężczyznę, który kochał za dwóch. Namiętność rozgorzała nowym płomieniem tak gwałtownym, że często zasiadłszy do stołu, spoglądali sobie w oczy, po czym bez słowa przykrywali talerze i szli do sypialni sycić głód miłości. Pod wrażeniem rzeczy widzianych podczas swoich sekretnych wizyt u francuskich matron, Aureliano Drugi kupił Petrze Cotes łóżko z biskupim baldachimem, w oknach zawiesił aksamitne firanki, a sufit i ściany sypialni ozdobił wielkimi kryształowymi lustrami. Hulał i szastał pieniędzmi bardziej niż kiedykolwiek. Pociąg, który przyjeżdżał codziennie o jedenastej, przywoził dla niego coraz to więcej skrzynek szampana i brandy. Wracając ze stacji, zapraszał na zaimprowizowany festyn kogokolwiek spotkał na drodze, tubylca czy cudzoziemca, znajomego lub przyszłego znajomego, bez żadnych różnic. Nawet mało towarzyski pan Brown, który umiał mówić tylko w obcym języku, ulegał kuszącym gestom Aureliana Drugiego i kilkakrotnie upił się do nieprzytomności w domu Petry Cotes, a nawet zmusił dzikie owczarki niemieckie, które mu wszędzie towarzyszyły, do tańczenia melodii teksaskich, które sam mełł w ustach w rytm akordeonu.

– Z drogi, krowy – ryczał Aureliano Drugi w szale zabawy – na bok, bo życie jest krótkie!

Nigdy jeszcze nie wyglądał tak dobrze i nie cieszył się taką popularnością, nigdy też płodność jego zwierząt nie osiągnęła takiego

stopnia jak teraz. Tyle bydła zabijano podczas nieustających hulanek, tyle świń i kur, że ziemia na dziedzińcu stała się czarna i błotnista od krwi. Był to wieczysty śmietnik wyrzucanych stale kości, trzewi i wszelkich odpadków, tak że przez cały czas musieli palić laski dynamitu, aby sępy nie wydłubały gościom oczu.

Aureliano Drugi zrobił się gruby i ociężały, jego twarz przybrała kolor ciemnej czerwieni na skutek apetytu, który można było porównywać tylko z tym, jaki okazywał José Arcadio po powrocie z podróży naokoło świata. Sława jego obżarstwa, olbrzymiej rozrzutności i niesłychanej gościnności rozeszła się poza granice moczarów i ściągnęła najbardziej renomowanych żarłoków z wybrzeża. Ze wszystkich stron zjeżdżały słynne obżartuchy, żeby wziąć udział w niedorzecznych turniejach, organizowanych w domu Petry Cotes. Aureliano Drugi był niezwyciężony przy stole aż do nieszczęsnej soboty, kiedy pojawiła się Camila Sagastume, legendarna niewiasta o kształtach słonia, które zyskały jej przezwisko Elefanta. Pojedynek przeciągnął się aż do wtorku rano. W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, pochłonąwszy cielaka z garniturem patatów i pieczonych bananów, i do tego półtorej skrzyni szampana, Aureliano Drugi miał pewność zwycięstwa. Wydawał się bardziej rozochocony i pełen żywotnych sił niż jego nieprzenikniona przeciwniczka w konkurencji, o stylu wyraźnie bardziej zawodowym, lecz przez to samo mniej emocjonującym najróżnorodniejszą publiczność zapełniającą dom. Podczas gdy Aureliano Drugi jadł kęsami, opanowany niecierpliwością triumfu, Elefanta krajała mięsiwo ze spokojem i wprawą chirurga, jadła bez pośpiechu, i nawet z pewną przyjemnością. Była olbrzymia i potężna, ale nad tuszą przeważała kobieca łagodność, a twarz miała tak ładną, dłonie tak delikatne i wypielęgnowane i czar osobisty tak nieodparty, że kiedy Aureliano Drugi ujrzał ją wchodzącą do domu, powiedział komuś po cichu, że wolałby toczyć z nią zapasy w łóżku niż przy stole. Później, kiedy zobaczył, jak zjada ćwiartkę cielaka, nie naruszając żadnej z reguł elegancji i światowego obycia, oświadczył poważnie, że ten fascynujący wór bez dna, subtelny i nienasycony, jest w pewnym sensie ideałem kobiety. Nie mylił się. Otaczająca ją groźna fama okazywała się bez podstaw. Nie była poskromicielką byków ani brodatą kobietą z greckiego cyrku, wbrew temu, co mówiono, lecz dyrektorką szkoły śpiewu. Sztukę jedzenia opanowała

dopiero jako szacowna matka rodziny, szukając sposobu lepszego odżywiania dzieci nie przez sztuczne podniety apetytu, lecz dzięki absolutnemu spokojowi ducha. Jej teoria, dowiedziona przez praktykę, opierała się na zasadzie, że człowiek utrzymujący w idealnym porządku wszystkie sprawy sumienia może jeść bez przerwy, póki się nie zmęczy. Tak więc z tych względów moralnych, a nie przez ambicję sportową, opuściła szkołę i dom, aby stanąć w szranki z mężczyzną, którego sława żarłoka bez zasad obiegła cały kraj. Od pierwszego wejrzenia zdała sobie sprawę, że Aureliana Drugiego zgubi nie żołądek, ale charakter. Pod koniec pierwszej nocy, podczas gdy Elefanta zachowała znakomitą formę i opanowanie, Aureliano Drugi tracił siły na gawędy, śmiech i żarty. Przespali cztery godziny. Po obudzeniu każde połknęło sok z pięćdziesięciu pomarańcz, osiem litrów kawy i trzydzieści surowych jaj. Drugiego ranka, po wielu bezsennych godzinach i spożyciu dwóch wieprzów, kiści bananów i czterech skrzyń szampana, Elefanta zaczęła podejrzewać, że Aureliano Drugi niechcący odkrył tę samą metodę co ona, ale absurdalną drogą zupełnej nieodpowiedzialności. Był więc bardziej niebezpieczny, niż przypuszczała. Niemniej, kiedy Petra Cotes postawiła na stół dwa pieczone indyki, Aureliano Drugi wyglądał, jakby miał za chwilę dostać ataku apopleksji.

– Jeżeli pan nie może, to proszę nie jeść – powiedziała Elefanta – będzie remis.

Powiedziała to ze szczerego serca, rozumiejąc, że ona także nie mogłaby zjeść już ani kęsa z powodu wyrzutów sumienia, że przyczyni się do śmierci przeciwnika. Ale Aureliano Drugi potraktował to jako nowe wyzwanie i wepchnął w siebie indyka, przekraczając granice swojej niesłychanej pojemności. Stracił przytomność. Upadł czołem na półmisek kości, tocząc z ust pianę jak wściekły pies i dusząc się w rzężeniu agonii. Uczuł w głębi ciemności, że zrzucają go z jakiejś wieży w bezdenną przepaść, i w ostatnim przebłysku przytomności zdał sobie sprawę, że na końcu tego spadania czeka na niego śmierć.

– Zanieście mnie do Fernandy – zdołał wykrztusić.

Przyjaciele, którzy zanieśli go do domu, myśleli, że chce wypełnić dane żonie przyrzeczenie, że nie skona w łóżku konkubiny. Petra Cotes wypastowała lakierowane trzewiki, w które on kazał się ubrać do trumny,

i szukała kogoś, kto by mu je zaniósł, kiedy przyszli ją zawiadomić, że Aureliano Drugi czuje się już dobrze i nie grozi mu niebezpieczeństwo. Wyzdrowiał rzeczywiście w ciągu tygodnia i w dwa tygodnie później święcił to wydarzenie nową huczną zabawą. Nadal mieszkał w domu Petry Cotes, ale odwiedzał Fernandę codziennie i czasami zostawał na obiedzie w kręgu rodzinnym, jakby los odwrócił sytuację i uczynił go mężem konkubiny, a kochankiem żony.

Dla Fernandy był to okres spokoju. W nudzie opuszczenia jedyną jej rozrywką była gra na klawikordzie w godzinie sjesty i korespondencja z dziećmi. W szczegółowych listach, które posyłała do nich co dwa tygodnie, nie było ani słowa prawdy. Nie mówiła dzieciom o swoich troskach. Ukrywała przed nimi smutek domu, który pomimo begonii w słońcu, pomimo dusznego upału o drugiej po południu, pomimo odgłosów wesołości dochodzących z ulicy coraz bardziej stawał się podobny do kolonialnego pałacu jej rodziców. Fernanda krążyła po nim sama, wśród trojga żywych duchów i zmarłego Josego Arcadia Buendíi, który czasami zasiadał w półmroku salonu i rozglądając się badawczo dokoła, słuchał jej gry na klawikordzie. Pułkownik Aureliano Buendía był cieniem. Od czasu gdy ostatni raz wyszedł z domu, by zaproponować wojnę bez przyszłości pułkownikowi Gerineldowi Marquezowi, opuszczał swoją pracownię tylko po to, żeby załatwić swoje potrzeby pod kasztanem. Nie przyjmował żadnych wizyt, oprócz cyrulika raz na trzy tygodnie. Jadał tylko to, co mu przynosiła Urszula, raz dziennie, i chociaż nadal wyrabiał złote rybki z dawnym zapamiętaniem, przestał je sprzedawać, kiedy dowiedział się, że ludzie nie kupują ich dla ozdoby, tylko jako relikwię historyczną. Któregoś dnia rozpalił na podwórku ognisko z lalek Remedios, które przyozdabiały jego sypialnię od dnia ślubu. Czujna Urszula zorientowała się, co robi jej syn, ale nie mogła temu przeszkodzić.

– Masz serce z kamienia – powiedziała.

– To nie sprawa serca – odpowiedział. – W pokoju lęgną się mole.

Amaranta tkała swój całun. Fernanda nie rozumiała, dlaczego od czasu do czasu pisywała do Meme, a nawet posyłała jej prezenty, natomiast nie chciała nic słyszeć o przyszłym papieżu. „Do śmierci się nie dowiecie dlaczego” – odpowiedziała Amaranta, zapytana przez Urszulę. I ta odpowiedź zasiała w sercu staruszki zagadkę, której do końca nie mogła

rozwiązać. Wysoka, śmigła, wyniosła, zawsze ubrana w muślinowe halki, z dystynkcją, która przetrwała lata i złe wspomnienia, Amaranta zdawała się nosić naznaczony popiołem na czole krzyż dziewictwa. W rzeczywistości nosiła go pod czarnym bandażem, którego nie zdejmowała nigdy nawet do snu i który sama prała i prasowała. Życie jej upływało na wyszywaniu całunu. Można byłoby powiedzieć, że wyszywała za dnia, a pruła w nocy, i nie z nadzieją pognębienia tym sposobem samotności, lecz przeciwnie, po to, by ją wesprzeć.

Największym zmartwieniem Fernandy w jej latach opuszczenia było to, że Meme przyjedzie na pierwsze wakacje i nie zastanie w domu Aureliana Drugiego. Choroba z przejedzenia zakończyła te obawy. Kiedy Meme wróciła, jej rodzice uzgodnili zastosowanie takiej taktyki, żeby dziewczynka nie tylko nadal wierzyła w wierność małżeńską swego ojca, ale nawet nie zauważyła smutku panującego w domu. Co roku przez dwa miesiące Aureliano Drugi odgrywał rolę przykładnego męża i organizował zabawy z lodami i ciasteczkami, które żywa i wesoła dziewczynka rozweselała grą na klawikordzie. Już wówczas było oczywiste, że odziedziczyła bardzo niewiele z charakteru matki. Wydawała się raczej drugą wersją Amaranty z czasów, kiedy ta nie znała jeszcze goryczy i tanecznym krokiem krążyła po domu w dwunastym, w czternastym roku życia, zanim skryta namiętność do Pietra Crespiego powikłała na zawsze drogi jej serca. Ale w przeciwieństwie do Amaranty, w przeciwieństwie do nich wszystkich, nie wykazywała jeszcze rodzinnego piętna samotności i wydawała się całkowicie zadowolona ze świata, nawet kiedy zamykała się w salonie o drugiej po południu, aby z niezłomną dyscypliną ćwiczyć na klawikordzie. Było oczywiste, że lubi dom i przez cały rok marzy o młodzieńczym rozgardiaszu, który wywoływało w nim jej przybycie, i że niedaleka jest od umiłowania zabaw i wylewnej gościnności swego ojca. Pierwsza oznaka tego zgubnego dziedzictwa ujawniła się podczas trzecich wakacji, kiedy Meme przywiozła do domu cztery siostry zakonne i sześćdziesiąt osiem koleżanek z klasy, zaproszonych przez nią na tydzień z własnej inicjatywy i bez uprzedzenia rodziny.

– Co za nieszczęście! – lamentowała Fernanda. – To stworzenie jest równie bezmyślne jak jej ojciec!

Trzeba było pożyczyć od sąsiadów łóżka i hamaki, ustanowić dziewięć turnusów przy stole, wyznaczyć godziny używania łazienki i zdobyć czterdzieści dodatkowych taboretów, żeby dziewczynki w niebieskich mundurkach i wysokich sznurowanych bucikach nie wałęsały się przez cały dzień z jednego miejsca na drugie. Wizyta nie udała się na całej linii, gdyż zaledwie hałaśliwe pensjonariuszki kończyły jeść śniadanie, już trzeba było podawać obiad, a w chwilę później kolację, i przez cały tydzień mogły raz tylko wyjść na spacer. Wieczorem zakonnice padały z wyczerpania i nie miały już sił się ruszać ani nawoływać do porządku, gdy jeszcze całe stado niezmordowanych dziewcząt wyśpiewywało na podwórzu nieprzyzwoite piosenki szkolne. Pewnego dnia omal nie przewróciły Urszuli, która uporczywie usiłowała być użyteczna właśnie tam, gdzie najbardziej zawadzała. Innym razem zakonnice podniosły krzyk, bo pułkownik Aureliano Buendía wysiusiał się pod kasztanem, nie przejmując się obecnością dziewczynek na podwórku. Amaranta omal nie wywołała paniki, gdy soliła zupę w kuchni i jedna z zakonnic, która akurat tam weszła, zapytała, co to jest, te garści białego proszku.

– Arszenik – powiedziała Amaranta.

W wieczór przyjazdu pensjonarki przed pójściem spać tak się tłoczyły przy wejściu do ubikacji, że o pierwszej w nocy jeszcze wchodziły tam ostatnie. Fernanda kupiła wówczas siedemdziesiąt dwa nocniki, ale to tylko zamieniło problem wieczorny na problem poranny, bo już od świtu przed drzwiami ubikacji ustawiał się długi rząd dziewczynek, każda z nocnikiem w ręku, czekających na swoją kolejkę, aby go opróżnić. Niektóre skarżyły się na gorączkę i kilka z nich dostało jakiejś infekcji od ukłuć komarów, większość jednakże wykazała niezłomną odporność w obliczu najbardziej uciążliwych trudów i nawet w godzinie największego skwaru goniła się po ogrodzie. Kiedy w końcu odjechały, kwiaty były podeptane, meble połamane, a ściany pokryte rysunkami i napisami, lecz Fernanda przebaczyła im wszelkie zniszczenia, tak była rada z ich odjazdu. Zwróciła łóżka i pożyczone taborety i schowała siedemdziesiąt dwa nocniki w pokoju Melquiadesa. Zamknięty pokój, wokół którego niegdyś skupiało się życie duchowe domu, od tej pory nazwany został „pokojem nocników”. Według pułkownika Aureliana Buendíi nazwa ta była jak najbardziej odpowiednia, bo gdy reszta rodziny nie mogła się nadziwić odporności tych

czterech ścian na kurz i zniszczenie, on zawsze widział tam śmietnisko. Nie obchodziło go, kto ma rację, a o przeznaczeniu pokoju dowiedział się tylko dlatego, że Fernanda przez całe jedno popołudnie przechodziła tamtędy i przeszkadzała mu w pracy, ustawiając nocniki.

W tym czasie pojawił się na nowo w domu José Arcadio Drugi. Przechodził przez ganek, nie mówiąc nikomu dzień dobry, i zamykał się w warsztacie, żeby rozmawiać z pułkownikiem. Nie mogąc go widzieć, Urszula słyszała ciężkie stąpanie jego butów nadzorcy i dziwiła się tej odległości nie do przebycia dzielącej go od rodziny, a nawet od brata bliźniaka, z którym w dzieciństwie myliła go rodzona matka Santa Sofía de la Piedad, a z którym teraz nie miał żadnej cechy wspólnej. Był kanciasty, uroczysty, wiecznie zamyślony, smutny jak Saracen, z jakimś posępnym blaskiem w twarzy barwy jesieni. Urszula wyrzucała sobie, że mówiąc o rodzinie, często o nim zapominała, ale gdy go poczuła na nowo w domu i spostrzegła, że pułkownik wpuszcza go do warsztatu podczas godzin pracy, sięgnęła do wszystkich dawnych wspomnień i utwierdziła się w przekonaniu, że w jakimś momencie dzieciństwa José Arcadio zamienił się ze swoim bratem, bo to on, a nie tamten powinien nazywać się Aureliano. Nikt nie znał szczegółów z jego życia. W swoim czasie wiedziano, że nie ma stałego miejsca zamieszkania, że hoduje koguty w domu Pilar Ternery i czasem tam sypia, ale najczęściej spędza noce w pokojach matron francuskich. Żył, nie zmierzając w żadnym kierunku, jak zbłąkana gwiazda w systemie planetarnym Urszuli.

W rzeczywistości José Arcadio Drugi nie był członkiem rodziny – ani nigdy nie miał należeć do innej – od tego dalekiego ranka, kiedy pułkownik Gerineldo Márquez zabrał go do koszar nie po to, żeby się przyjrzał egzekucji, ale żeby do końca życia nie zapomniał smutnego i lekko drwiącego uśmiechu rozstrzeliwanego. Było to nie tylko najdawniejsze, ale jedyne wspomnienie z jego dzieciństwa. Innego wspomnienia o staruszku w staroświeckiej kamizelce i w kapeluszu przypominającym krucze skrzydła, który opowiadał cuda, siedząc naprzeciw okna w oślepiającym blasku, nie mógł umieścić w żadnej epoce. Było to wspomnienie niejasne, zupełnie pozbawione jakichkolwiek niepokojów czy tęsknoty, w przeciwieństwie do wspomnienia o rozstrzelanym, które w rzeczywistości zdecydowało o jego życiu i, w miarę jak się starzał,

przybierało coraz jaśniejsze zarysy, jakby upływający czas je przybliżał. Urszula próbowała wykorzystać wpływ Josego Arcadia Drugiego, żeby pułkownik Aureliano Buendía zrezygnował ze swego zamknięcia. „Namów go, żeby poszedł do kina – mówiła. – Wiem, że kino go nudzi, ale przynajmniej będzie miał okazję odetchnąć świeżym powietrzem”. Ale wkrótce pojęła, że jest równie nieczuły na jej prośby jak sam pułkownik, że obydwu okrywa ten sam pancerz, którego żadne uczucia przebić nie potrafią. Choć nigdy nie wiedziała, tak jak nie wiedział nikt, o czym rozmawiali przez długie godziny zamknięcia w warsztacie, zrozumiała, że tylko oni dwaj w rodzinie wydają się złączeni jakimiś więzami.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że nawet José Arcadio Drugi nie mógłby wyciągnąć pułkownika z zamknięcia. Inwazja pensjonarek zacieśniła granice jego cierpliwości. Pod pretekstem, że sypialnia jest opanowana przez mole, pomimo zniszczenia ponętnych dla nich lalek Remedios, zawiesił hamak w warsztacie i wychodził tylko po to, by załatwiać swe potrzeby na podwórku. Urszula nie mogła nawiązać z nim najprostszej rozmowy. Wiedziała, że nie patrzy na talerze z jedzeniem, tylko odstawia je na koniec stołu, aby wykończyć rybkę, obojętny, że zupa gęstnieje lub że stygnie mięso. Stał się jeszcze bardziej zgryźliwy i niedostępny, od kiedy pułkownik Gerineldo Márquez odmówił poparcia go w sklerotycznej wojnie, tak jakby zamknął się na zawsze, i w końcu rodzina zaczęła myśleć o nim jak o zmarłym. Nie ujawniał żadnych odruchów ludzkich aż do tego jedenastego października, kiedy wyjrzał przez drzwi na ulicę, żeby zobaczyć defiladę cyrkowców. Był to dla pułkownika Aureliana Buendíi dzień podobny do wszystkich innych dni ostatnich lat. O piątej rano zbudził go koncert żab i świerszczy za murem. Drobny deszcz mżył od soboty i pułkownik nie potrzebował słyszeć jego delikatnych szeptów wśród liści w ogrodzie, bo tak czy inaczej poczułby go w zimnie przenikającym kości. Jak zawsze miał na sobie swoją wełnianą opończę i staromodne pantalony z surowej bawełny, z którymi nie mógł się rozstać, choć z powodu okrywającej je patyny wieków sam nadał im nazwę „hiszpańskich gaci”. Włożył te wąskie spodnie, ale nie zacisnął sprzączek u nogawek i nie spiął jak zazwyczaj kołnierza od koszuli złotym guzem, ponieważ miał zamiar wziąć kąpiel. Potem zarzucił opończę na głowę niby kaptur, przyczesał palcami sterczące wąsy i poszedł wysiusiać się na

podwórze. Słońce nie wychodziło zza chmur i José Arcadio Buendía drzemał jeszcze pod palmowym daszkiem przegniłym od deszczu. Syn nie zobaczył go, tak jak nie widział go nigdy, i nie usłyszał niezrozumiałego zdania, z którym zwróciło się do niego widmo ojca nagle przebudzone strumieniem gorącej uryny opryskującym mu buty. Odłożył kąpiel na później, nie z powodu zimna i wilgoci, ale dusznej mgły październikowej. Wróciwszy do warsztatu, poczuł dym z kuchennego pieca, który rozpalała Santa Sofía de la Piedad. Poczekał w kuchni, aż zagotuje się kawa, aby wziąć sobie kubek, jak zwykle bez cukru. Santa Sofía de la Piedad zapytała go jak co ranka, który to dzień tygodnia, i odpowiedział, że wtorek, jedenastego października. Widząc niezmienioną wyzłoconą płomieniem ognia twarz kobiety, która ani w tym, ani w żadnym innym momencie nie zdawała się istnieć całkowicie, przypomniał sobie nagle, że pewnego jedenastego października, podczas wojny, obudziła go brutalna pewność, że kobieta, z którą spał, nie żyje. Było tak istotnie i nie zapomniał tego dnia, bo i ona na godzinę przedtem zapytała go o datę. Mimo tego echa z przeszłości, także i tym razem nie uświadomił sobie, jak dalece opuścił go dar przeczuć, i podczas gdy gotowała się kawa, myślał wciąż z prostej ciekawości, ale bez cienia smutku o kobiecie, której imienia nie znał i nigdy nie widział jej twarzy za życia, bo przyszła w ciemnościach, potykając się po omacku, do jego hamaka. W pustce pozostawionej przez tyle kobiet, które w podobny sposób zjawiały się w jego życiu, nie pamiętał jednak, że to ona w szale pierwszego zbliżenia omal nie utonęła we własnych łzach i zaledwie na godzinę przed śmiercią przysięgała kochać go, póki nie umrze. Nie myślał już o niej ani o żadnej innej z kochanek, kiedy wrócił do warsztatu z dymiącym kubkiem kawy i zapalił światło, by przeliczyć złote rybki przechowywane w blaszanym pudełku. Było ich siedemnaście. Odkąd postanowił nie sprzedawać ich więcej, wyrabiał dwie rybki dziennie, a kiedy doszedł do dwudziestu pięciu, wrzucał je z powrotem do tygla i przetapiał, by rozpocząć robotę od nowa. Przepracował cały ranek, zaabsorbowany, nie myśląc o niczym, nie zdając sobie sprawy, że o dziesiątej deszczyk zmienił się w ulewę i ktoś przeszedł obok warsztatu, wołając, żeby zamknięto drzwi, bo dom popłynie z wodą, i nie uświadamiając sobie w ogóle własnego istnienia aż do chwili, gdy weszła Urszula z obiadem i zgasiła światło.

– Co za deszcz – powiedziała Urszula.

– Październik – odpowiedział.

Mówiąc to, nie podniósł wzroku znad pierwszej zrobionej tego dnia rybki, gdyż właśnie osadzał rubiny w oczach. Dopiero gdy ją skończył i razem z innymi złożył w pudełku, zabrał się do jedzenia zupy. Potem zjadł bez pośpiechu kawałek mięsa duszonego z cebulą, biały ryż i plasterki smażonego banana, wszystko razem na tym samym talerzu. Jego zawsze umiarkowany apetyt nie zmieniał się, zarówno w najpomyślniejszych, jak i w najcięższych okolicznościach. Po skończonym obiedzie odczuł spokój lenistwa. Jakiś swego rodzaju przesąd naukowy nie pozwalał mu nigdy pracować, czytać, kąpać się ani spać z kobietą przed upływem dwóch godzin trawienia i była to wiara tak silnie zakorzeniona, że wiele razy opóźniał operacje wojenne, żeby nie narażać wojska na ryzyko niestrawności. Toteż położył się w hamaku, wydłubując wosk z uszu małym kozikiem, a po paru minutach zasnął. Śniło mu się, że wchodzi do pustego domu o białych ścianach i dręczy go świadomość, iż jest pierwszą istotą ludzką, jaka się tam znalazła. We śnie przypomniał sobie, że to samo śniło mu się w zeszłą noc i przez wiele innych nocy ostatnich lat, i wiedział, że obraz ten zatrze się w jego pamięci z chwilą przebudzenia, gdyż ten powtarzający się sen miał właściwość przypominania się tylko we śnie. Rzeczywiście, w chwilę później, kiedy cyrulik zapukał do drzwi warsztatu, pułkownik Aureliano Buendía przebudził się z wrażeniem, że niechcący zdrzemnął się na parę sekund i nie miał czasu nic we śnie przeżyć.

– Dzisiaj nie – powiedział do balwierza. – Zobaczymy się w piątek.

Miał trzydniowy zarost przetykany białymi kępkami, ale nie uważał za konieczne zgolić go, skoro w piątek czekało go strzyżenie włosów i można było zrobić wszystko za jednym razem. Lepki pot podczas drzemki podrażnił blizny po wrzodach pod pachami. Deszcz ustał, ale słońce jeszcze nie wychodziło zza chmur. Pułkownik Aureliano Buendía czknął głośno i uczuł na podniebieniu kwaśny smak zupy, co było jakby wydanym przez organizm rozkazem, żeby zarzucił na ramiona opończę i poszedł do latryny. Tam pozostał dłużej, niż potrzeba, siedząc w kucki nad gnojem fermentującym w drewnianej skrzyni, dopóki przyzwyczajenie nie wskazało mu, że pora wrócić do pracy. Przypomniał sobie, że jest wtorek i że José Arcadio Drugi nie przyszedł do warsztatu, gdyż tego dnia

przypadała wypłata na plantacjach Kompanii Bananowej. Ta myśl, podobnie jak wszystkie inne w ostatnich latach, przywiodła go nie wiadomo dlaczego do myśli o wojnie. Przypomniał sobie, że pułkownik Gerineldo Márquez przyrzekł mu kiedyś postarać się o konia z białą gwiazdą na czole, ale potem już więcej nie było o tym mowy. Potem przebiegał w pamięci różne zdarzenia rozproszone po drogach przeszłości, ale bez żadnych refleksji czy wniosków, ponieważ nie mogąc zająć myśli czymś innym, nauczył się myśleć obojętnie i na zimno, tak by wspomnienia, których nie mógł uniknąć, nie zraniły w nim żadnego z uczuć. Po powrocie do warsztatu widząc, że powietrze zaczyna wysychać, uznał, że moment jest dobry na kąpiel, ale Amaranta wyprzedziła go w tym zamiarze. Rozpoczął więc drugą rybkę tego dnia. Modelował właśnie ogonek, kiedy słońce ukazało się w takim przepychu, że jasność aż buchnęła jak krzyk. Odświeżone trzydniowym deszczem powietrze wypełniły latające mrówki. Wtedy uświadomił sobie, że musi się wysiusiać, i odłożył to aż do skończenia rybki. Idąc na podwórze pod kasztan o czwartej dziesięć, usłyszał dalekie odgłosy trąbki, bicie w bęben, radosną wrzawę dzieci; po raz pierwszy od czasu swej młodości świadomie dał się złapać w sidła tęsknoty i przeżył na nowo cudowne popołudnie Cyganów, kiedy jego ojciec zaprowadził go do nich, żeby mu pokazać lód. Santa Sofía de la Piedad porzuciła robotę w kuchni i pobiegła do drzwi.

– Cyrk idzie! – zawołała.

Zamiast iść dalej pod kasztan, pułkownik Aureliano Buendía także poszedł do drzwi na ulicę i zmieszał się z tłumem obserwującym pochód. Zobaczył ubraną w złociste szaty kobietę na karku słonia. Zobaczył smutnego dromadera, zobaczył niedźwiedzia w stroju Holenderki, uderzającego łyżką w rondel w takt muzyki. Zobaczył linoskoczków wykonujących akrobatyczne popisy na końcu pochodu i jeszcze raz spojrzał w twarz swojej żałosnej samotności, kiedy wszyscy przeszli i została tylko smuga światła na ulicy i powietrze pełne fruwających mrówek, i kilku gapiów spoglądających w przepaść niepewności. Wtedy poszedł pod kasztan, myśląc o cyrku, i siusiając, próbował dalej myśleć o cyrku, ale już nie odnalazł wspomnienia. Wtulił głowę w ramiona jak kurczak i znieruchomiał z czołem opartym o pień kasztana. Rodzina nie wiedziała o niczym do następnego dnia, do jedenastej rano, kiedy Santa Sofía de la

Piedad poszła wyrzucić śmieci na koniec podwórza i uwagę jej zwróciły kołujące sępy.

Ostatnie wakacje Meme przypadły na okres żałoby po śmierci pułkownika Aureliana Buendíi. W zamkniętym domu nie było miejsca na zabawy. Mówiono szeptem, jadano w milczeniu, odmawiano pacierz trzy razy dziennie i nawet wprawki na klawikordzie w upalnej godzinie sjesty miały pogrzebowe tony. Pomimo ukrytej wrogości do pułkownika to właśnie Fernanda pod wrażeniem uroczystej powagi, z jaką rząd uczcił pamięć zmarłego wroga, wprowadziła rygor żałoby. Aureliano Drugi jak zwykle podczas wakacji córki wracał na noc do domu i zapewne Fernanda zrobiła coś, aby odzyskać przywileje prawowitej żony, gdyż następnego roku Meme zastała nowo narodzoną siostrę, którą ochrzczono wbrew woli matki imionami Amaranta Urszula.

Meme ukończyła swoje studia. Uzyskany dyplom klawikordzistki potwierdziła mistrzowską swadą, z jaką wykonała melodie z XVII wieku na zabawie urządzonej z okazji zakończenia nauki. Uroczystość ta jednocześnie oznaczała koniec żałoby. Zaproszeni goście bardziej niż jej talent podziwiali jej niezwykłą podwójną osobowość. Trzpiotowate, a nawet trochę dziecinne usposobienie nie kwalifikowało jej na pozór do żadnego poważnego zajęcia, ale gdy siadała do klawikordu, stawała się zupełnie inna, jak gdyby nagle dorosła. Tak było zawsze. Właściwie nie miała zdecydowanego zamiłowania do muzyki, ale osiągnęła najwyższe oceny dzięki nieugiętej dyscyplinie, jaką sobie narzuciła, nie chcąc się sprzeciwiać matce. Gdyby kazano jej się wyuczyć jakiejkolwiek innej umiejętności, rezultaty byłyby te same. Od dzieciństwa dokuczał jej rygor Fernandy, jej zwyczaj decydowania za innych, i byłaby zdolna do poświęceń znacznie większych niż gra na klawikordzie, byleby nie mieć do

czynienia z jej despotyzmem. Podczas uroczystości zakończenia studiów miała wrażenie, że pergamin z wielkimi gotyckimi literami uwalnia ją od obowiązku, podjętego nie tyle przez posłuszeństwo, co dla wygody, i była przekonana, że od tej chwili nawet uparta Fernanda nie będzie interesować się więcej instrumentem, który same zakonnice uważały za muzealny eksponat. Z początku kalkulacje te okazały się mylne. Umęczywszy połowę miasta, usypiającą z nudów nie tylko podczas popisów w salonie, ale na wszystkich wieczorach dobroczynnych i uroczystościach szkolnych lub patriotycznych, jakie urządzano w Macondo, jej matka nadal zapraszała każdego nowo przybyłego, który według niej zdolny był ocenić talent córki. Dopiero po śmierci Amaranty, kiedy w rodzinie znowu zapanowała żałoba, mogła Meme zamknąć klawikord i zapodziać klucz w jakiejś szafie bez obawy, że Fernanda zechce przeprowadzać śledztwo w celu wykrycia, jak i z czyjej winy zaginął. Meme wytrzymywała te popisy z takim samym stoickim spokojem, z jakim poświęcała się nauce. Była to cena jej wolności. Fernanda tak była rada z posłuszeństwa córki i dumna z podziwu, jaki wzbudzała jej sztuka, że nigdy nie sprzeciwiała się zapraszaniu do domu jej licznych koleżanek, popołudniom spędzanym na plantacjach czy wyprawom do kina z Aurelianem Drugim lub zaufanymi paniami, byleby film był autoryzowany z ambony przez ojca Antonia Isabel. W tych chwilach swobody ujawniały się prawdziwe upodobania Meme. Jej radość znajdowała się na przeciwległym krańcu dyscypliny, w hałaśliwych zabawach, zwierzeniach miłosnych, w długich gawędach z przyjaciółkami w zamkniętym pokoju, gdzie uczyły się palić, rozmawiały o mężczyznach, a pewnego razu, po trzech butelkach rumu z trzciny cukrowej, rozebrały się do naga, mierzyły i porównywały poszczególne części ciała. Meme nigdy nie miała zapomnieć wieczoru, gdy weszła do domu, żując kłącze lukrecji, i nie zwróciwszy swoim wzburzeniem niczyjej uwagi, usiadła przy stole, gdzie Fernanda i Amaranta jadły kolację, nie odzywając się jedna do drugiej. Przedtem spędziła dwie wspaniałe godziny w sypialni przyjaciółki, płacząc ze śmiechu i ze strachu, i odnalazła w tym zapomnieniu cenne uczucie odwagi, której jej brakowało, żeby uciec ze szkoły i oświadczyć matce, w tych albo jeszcze bardziej dosadnych słowach, że ma klawikord gdzieś. Siedząc na głównym miejscu przy stole, jedząc rosół z kury, który napełniał jej żołądek życiodajnym eliksirem, Meme ujrzała Fernandę i Amarantę w oskarżycielskiej aureoli rzeczywistości. Musiała zadać sobie

wielki wysiłek, żeby nie wykrzyczeć im w twarz ich pruderii, ich duchowego ubóstwa, ich manii wielkości. Już podczas drugich wakacji dowiedziała się, że ojciec jej tylko dla pozorów mieszka w domu, a znając Fernandę, tak jak ją znała, a potem urządziwszy się tak, żeby poznać Petrę Cotes, przyznała rację ojcu. Ona też wolałaby być córką konkubiny. W zamroczeniu alkoholowym Meme marzyła z rozkoszą o zgorszeniu, jakie wywołałoby w tej chwili głośne wyrażenie jej myśli, a ukryta satysfakcja z tej złośliwości była tak intensywna, że Fernanda nie omieszkała jej zauważyć.

– Co ci jest? – zapytała.

– Nic – odpowiedziała Meme. – Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo was kocham.

Amaranta przeraziła się oczywistym ładunkiem nienawiści zawartym w tej deklaracji. Ale Fernanda czuła się tak wzruszona, że później w nocy omal nie oszalała, kiedy Meme obudziła się z pękającą z bólu głową, dławiąc się wymiotami żółci. Dała jej do picia oleju rycynowego, przyłożyła gorący kompres na brzuch, okład z lodu na głowę i przez pięć dni trzymała ją w łóżku i na ostrej diecie, zaleconej przez nowego i ekstrawaganckiego lekarza francuskiego, który po przeszło dwugodzinnym badaniu doszedł do niejasnej konkluzji, że chodzi o jakieś dolegliwości kobiece. Utraciwszy całą odwagę, w żałosnym stanie prostracji, Meme nie miała innego wyjścia, jak znieść wszystko cierpliwie. Tylko Urszula, zupełnie już ślepa, ale nadal aktywna i bystra, intuicyjnie wyczuła prawdę i postawiła trafną diagnozę, stwierdzając w duchu, że kubek w kubek to samo przydarza się pijakom. Nie tylko jednak odrzuciła zaraz tę myśl, ale wyrzucała sobie beztroskę. Aureliano Drugi poczuł ukłucie w sumieniu na widok prostracji Meme i przyrzekł sobie zajmować się nią więcej w przyszłości. Tak narodziły się stosunki wesołego koleżeństwa między ojcem i córką, co uwolniło go na jakiś czas od gorzkiej samotności hulanek, a ją od nadzoru Fernandy, nie wywołując domowego kryzysu, który już wydawał się nieunikniony. Aureliano Drugi odkładał wówczas wszelkie zobowiązania, aby dotrzymać towarzystwa córce, zaprowadzić ją do kina albo do cyrku i poświęcał jej większość swego wolnego czasu. Ostatnio absurdalna otyłość, która przeszkadzała mu się schylić, tak by mógł zawiązać sobie sznurowadła u butów, oraz nadużycia

w zaspokajaniu wszelkiego rodzaju zachcianek zaczynały już budzić w nim gorycz i zniechęcenie. Odkrycie własnej córki przywróciło mu dawną dobroduszność, a przyjemność przebywania w jej towarzystwie odciągała go z wolna od rozwiązłości. Meme wchodziła w wiek rozkwitu. Nie była pięknością, tak jak nigdy nie była nią Amaranta, ale w przeciwieństwie do niej była sympatyczna, prosta i miała dar zjednywania ludzi od pierwszego wejrzenia. Jej na wskroś nowoczesny duch drażnił głęboko zakorzenioną surowość i źle ukrywaną oschłość serca Fernandy, natomiast budził podziw i poparcie Aureliana Drugiego. On to postanowił przenieść ją z posępnej sypialni zajmowanej od dziecka, gdzie wystraszone oczy świętych w dalszym ciągu pobudzały jej własne dziecinne lęki, do innej, którą sam umeblował i przyozdobił królewskim łożem, szeroką toaletą i pluszowymi zasłonami, nie zdając sobie sprawy, że robi drugą wersję mieszkania Petry Cotes. Był tak hojny dla Meme, że nawet nie wiedział, ile jej daje pieniędzy, bo ona sama wyciągała mu je z kieszeni, i zawiadamiał ją o wszystkich nowościach z zakresu kosmetyki, jakie dostarczano do sklepów Kompanii Bananowej. Pokój Meme pełen był szczoteczek i pędzelków, flaszeczek i słoiczków, rurek do kręcenia włosów, poduszeczek do polerowania paznokci, tubek z pastą dającą połysk zębom i innych wszelkiego rodzaju przyrządów i środków do pielęgnacji urody, a Fernandę, ilekroć tam wchodziła, ogarniała groza na myśl, że toaletka jej córki musi być podobna do tych, jakie przyozdabiają sypialnie francuskich matron. Fernanda jednak w tym czasie musiała zajmować się głównie małą Amarantą Urszulą, która była kapryśna i chorowita, oraz pasjonującą korespondencją z niewidzialnymi lekarzami. Toteż gdy zauważyła konspirację ojca i córki, nie mogła zdziałać nic więcej poza wymuszeniem na Aurelianie Drugim obietnicy, że nigdy nie zaprowadzi Meme do domu Petry Cotes. Zastrzeżenie zbyteczne, bo konkubina tak była zdenerwowana zażyłością swojego kochanka z córką, że nie chciała jej w ogóle znać. Dręczył ją nieznany dotąd strach, jak gdyby instynkt jej wskazywał, że Meme, jeśli tylko zechce, może dokonać tego, czego nie mogła dokonać Fernanda – pozbawić ją miłości, którą już uważała za zapewnioną do śmierci. Po raz pierwszy musiał Aureliano Drugi znosić oziębłe spojrzenia i złośliwe przytyki konkubiny i zląkł się nawet, że jego wędrujące kufry będą musiały odbyć drogę powrotną do domu żony. Do tego jednak nie doszło. Nikt nie znał lepiej mężczyzny niż Petra Cotes swego kochanka,

i wiedziała, że kufry pozostaną tam, dokąd je posłano, bo jeśli istniało coś, czego nienawidził Aureliano Drugi, to komplikowania sobie życia i zmiany miejsca zamieszkania. Tak więc kufry pozostały na miejscu i Petra Cotes postanowiła zdobyć mężczyznę na nowo, ostrząc tę jedyną broń, jaką nie mogła walczyć córka. Był to również zbyteczny wysiłek, ponieważ Meme nigdy nie zamierzała mieszać się w sprawy swego ojca, a gdyby to zrobiła, na pewno stanęłaby po stronie konkubiny. Nie miała czasu na dokuczanie komukolwiek. Sama zamiatała sypialnię i słała łóżko, tak jak nauczyły ją zakonnice. Rano zajmowała się swoją bielizną, siedząc na ganku haftowała lub szyła na starej ręcznej maszynie Amaranty. Podczas gdy inni spali po obiedzie, ona ćwiczyła dwie godziny na klawikordzie, wiedząc, że to codzienne poświęcenie utrzyma w spokoju Fernandę. Z tej samej przyczyny nadal dawała koncerty na odpustach kościelnych i zabawach szkolnych, chociaż zaproszenia były coraz mniej częste. Po południu ubierała się, wkładała skromne sukienki, wysokie sznurowane buciki i jeżeli ojciec nie proponował jakiejś innej rozrywki, szła w odwiedziny do koleżanek, gdzie zostawała aż do kolacji. Rzadko zdarzało się, by Aureliano Drugi nie przyszedł wtedy po nią i nie zabrał jej do kina.

Wśród przyjaciółek Meme były trzy młode Amerykanki, które przerwały mur obronny zelektryfikowanego kurnika i nawiązały przyjaźń z dziewczętami z Macondo. Jedną z nich była Patrycja Brown. Wdzięczny za gościnność Aureliana Drugiego pan Brown otworzył drzwi swego domu dla Meme i zapraszał ją na sobotnie zabawy, jedyne, na których cudzoziemcy bawili się razem z tubylcami. Dowiedziawszy się o tym, Fernanda zapomniała na chwilę o Amarancie Urszuli i niewidzialnych medykach i zrobiła awanturę. „Wyobraź sobie tylko – powiedziała dramatycznie do Meme – co pomyśli pułkownik w swoim grobie”. Liczyła naturalnie na poparcie Urszuli. Ale niewidoma staruszka, wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie widziała nic nagannego w tym, że Meme uczestniczy w tych zabawach i przyjaźni się ze swymi amerykańskimi rówieśniczkami, byleby zachowała stałość poglądów i nie dała się nawrócić na religię protestancką. Meme w lot uchwyciła myśl prababki i nazajutrz po zabawie wstawała wcześniej niż zazwyczaj, aby iść na mszę. Sprzeciw Fernandy trwał aż do dnia, gdy Meme rozbroiła ją wiadomością, że Amerykanie chcą usłyszeć jej grę na klawikordzie. Jeszcze raz zabrano z domu instrument

i zawieziono go do domu pana Browna, gdzie młoda solistka zebrała szczere brawa i entuzjastyczne gratulacje. Od tego czasu zapraszano ją nie tylko na zabawy, lecz i na niedzielne kąpiele w basenie pływackim, a raz w tygodniu na obiad. Meme nauczyła się pływać jak zawodniczka, grać w tenisa i jeść szynkę z Wirginii z plastrami ananasa. Między zabawami, basenem i tenisem zauważyła nagle, że potrafi się porozumiewać po angielsku. Aureliano Drugi tak się zachwycił postępami córki, że kupił u wędrownego sprzedawcy encyklopedię angielską w sześciu tomach z kolorowymi ilustracjami, którą Meme czytała w wolnych chwilach. Lektura przyciągnęła jej uwagę, przedtem poświęcaną zwierzeniom lub eksperymentalnym zebraniom koleżeńskim w zamkniętym pokoju, nie dlatego, że Meme narzuciła ją sobie jako dyscyplinę, ale że straciła wszelkie zainteresowanie dla rozmów o tajemnicach powszechnie znanych. Wspominała swoje pijaństwo jako dziecinną przygodę, tak zabawną, że opowiedziała o niej Aurelianowi Drugiemu, który to uznał za jeszcze bardziej zabawne niż ona. „Gdyby twoja matka wiedziała!” – wołał ze śmiechem, jak zawsze, ilekroć wyznawała mu coś w zaufaniu. Kazał jej przyrzec, że z takim samym zaufaniem powiadomi go o swoim pierwszym flircie, i Meme powiedziała mu, że sympatyzuje z pewnym rudym Amerykaninem, który spędzał tu wakacje u swoich rodziców. „To niesłychane – zaśmiał się Aureliano Drugi – gdyby twoja matka wiedziała!”. Ale Meme powiedziała mu też, że chłopak powrócił do swego kraju i nie dał jej znaku życia. Dojrzała trzeźwość jej sądów gwarantowała spokój w domu. Aureliano Drugi poświęcał wówczas więcej godzin Petrze Cotes i choć ciało ani duch nie miały już ochoty na zabawy tak huczne jak dawniej, nie pomijał okazji do ich urządzania i wyciągania z pudła akordeonu, którego kilka klawiszy trzeba już było podwiązać sznurowadłami do butów. W domu Amaranta haftowała swój niekończący się całun, a Urszulę zgrzybiałość ciągnęła w głąb ciemności, gdzie jedyną widzialną rzeczą był duch Josego Arcadia Buendíi pod kasztanem. Fernanda wzmocniła swoją władzę. Wysyłane co miesiąc listy do syna Josego Arcadia nie zawierały w tym czasie ani jednego kłamstwa i ukrywała przed nim tylko swoją korespondencję z niewidzialnymi medykami, którzy orzekli, że ma złośliwy wrzód w jelicie grubym, i przygotowywali ją do operacji drogą telepatyczną.

Mógłby ktoś powiedzieć, że w zmęczonym gnieździe Buendíów na długo zapanował spokój i codzienna, zadowalająca rutyna, gdyby nieoczekiwana śmierć Amaranty nie wywołała nowego wzburzenia. Było to wydarzenie niespodziewane. Chociaż stara i oddalona od wszystkich, nadal wydawała się silna, trzymała się prosto i cieszyła się żelaznym zdrowiem jak zawsze. Nikt nie znał jej myśli od tego popołudnia, kiedy definitywnie odrzuciwszy pułkownika Gerinelda Marqueza, zamknęła się w swoim pokoju, żeby płakać. Gdy stamtąd wyszła, zapas jej łez był już wyczerpany. Nie widziano jej płaczącej po wniebowstąpieniu Pięknej Remedios ani przy wymordowaniu Aurelianów, ani po śmierci pułkownika Aureliana Buendíi, którego kochała najbardziej ze wszystkich na świecie, choć mogła mu to okazać dopiero, kiedy znaleziono go martwego pod kasztanem. Ona pomogła podnieść trupa z ziemi, ubrała go w mundur wojskowy, ogoliła, uczesała i nagumowała wąs lepiej, niż on sam to robił w latach triumfu. Nikt nie widział w tym dowodu przywiązania, bo wszyscy znali zażyłość Amaranty z obrzędami śmierci. Fernanda oburzała się, że Amaranta nie uznaje więzów religii z życiem, tylko ze śmiercią, jakby to nie była religia, tylko katalog zwyczajów pogrzebowych. Amaranta zbyt mocno była uwikłana w gmatwaninę swych wspomnień, aby zrozumieć te subtelności apologiczne. Dożyła starości, zachowując żywe wszystkie swe tęsknoty. Słuchając walców Pietra Crespiego, miała ochotę płakać, tak samo jak w latach dziewczęcych, jakby czas i pokuta niczego nie zmieniły. Zwoje nut, które sama wyrzuciła do śmieci pod pretekstem, że butwieją od wilgoci, nadal wirowały i uderzały w młoteczki jej pamięci. Próbowała je zatopić w bagnie namiętności, na którą pozwoliła sobie dla swego bratanka Aureliana Josego, a potem schronić się pod spokojną, męską opiekę pułkownika Gerinelda Marqueza, ale nie zdołała ich pokonać nawet najbardziej desperackim aktem swej starości, kiedy kąpiąc małego Josego Arcadia na trzy lata przedtem, zanim posłano go do seminarium, pieściła go nie tak, jak mogła babka pieścić swego wnuka, tylko tak, jak robiłaby to kobieta z mężczyzną, tak jak podobno robiły to matrony francuskie i jak ona chciała pieścić Pietra Crespiego w dwunastym, czternastym roku swego życia, gdy widziała go ubranego w obcisłe pantalony do tańca, z magiczną pałeczką, którą wskazywał rytm metronomu. Czasem nie mogła się oderwać od tego rynsztoka poniżeń, a czasem porywała ją taka furia, że umyślnie zakłuwała się igłą, ale im bardziej rósł ból i furia, tym bardziej

pogrążał ją w goryczy ten wonny i zatruty ogród miłości, który wlokła za sobą ku śmierci. Tak jak pułkownik Aureliano Buendía, nie mogąc tego uniknąć, myślał o wojnie, Amaranta musiała myśleć o Rebece. Ale podczas gdy jej brat zdołał oczyścić w ogniu te wspomnienia, ona zdołała je tylko rozżarzyć. Jedyną rzeczą, o którą przez wiele lat prosiła Boga, było to, żeby oszczędził jej śmierci, póki nie umrze Rebeka. Ilekroć przechodziła obok jej domu i widziała postępy zniszczenia, cieszyła się myślą, że Bóg jej słucha. Pewnego popołudnia, kiedy szyła na ganku z begoniami, uczuła pewność, że będzie szyła w tym miejscu, w tej samej pozycji i przy tym samym świetle, gdy przyniosą jej wieść o śmierci Rebeki. Zaczęła na nią czekać, tak jak się czeka na list, i był nawet taki okres, kiedy odpruwała guziki i potem przyszywała je na nowo, żeby bezczynność nie przedłużała oczekiwania i nie zwiększała niecierpliwości. Nikt w domu nie wiedział, że Amaranta utkała wtedy przepiękny całun dla Rebeki. Później, kiedy Aureliano Smutny opowiadał, że widział ją podobną do upiora, z pooraną skórą i paroma żółtymi strączkami włosów na głowie, Amaranta zdumiała się, gdyż opisane widmo było identycznie podobne do tego, które ją nawiedzało już od dawna. Postanowiła odświeżyć trupa Rebeki, zamaskować parafiną bruzdy na twarzy i zrobić jej perukę z włosów świętych figur. Spreparuje wspaniałe zwłoki, w lnianym całunie i trumnie obitej purpurowym pluszem, i odda je do dyspozycji robactwa po wspaniałym pogrzebie. Opracowała cały plan z taką nienawiścią, że aż wzdrygnęła się na myśl, że wszystko to samo mogłaby zrobić z miłości; ale nie dając się opanować zmieszaniu, w dalszym ciągu udoskonalała szczegóły, aż do osiągnięcia niezrównanych wyżyn kunsztu w obrzędach śmierci. Jedyne, czego nie brał w rachubę jej plan, to że pomimo próśb do Boga sama może umrzeć wcześniej niż Rebeka. Tak się stało w istocie. A jednak w swojej ostatniej godzinie Amaranta nie czuła się zawiedziona, lecz przeciwnie, wolna od wszelkiej goryczy, bo śmierć obdarzyła ją przywilejem, zawiadamiając o swym nadejściu na parę lat przedtem. Zobaczyła ją pewnego gorącego popołudnia wyszywającą z nią razem na ganku, wkrótce po odjeździe Meme do szkoły. Poznała ją natychmiast i nie znalazła w niej nic przerażającego. Była to kobieta z długimi włosami, ubrana na niebiesko, trochę po staroświecku, i przypominała swoim wyglądem Pilar Ternerę z czasów, kiedy ta pomagała im w kuchni. Kilka razy przechodziła tędy Fernanda, ale nie dostrzegła jej, chociaż tamta była

tak prawdziwa, tak ludzka, że w pewnej chwili poprosiła Amarantę o nawleczenie jej igły. Śmierć nie powiedziała jej, kiedy umrze ani czy jej godzina jest wyznaczona przed godziną Rebeki, ale poleciła jej przystąpić do tkania własnego całunu najbliższego szóstego kwietnia. Powiedziała, że może go wyhaftować i przyozdobić z taką starannością, jak sobie życzy, ale pracując równie uczciwie jak przy całunie dla Rebeki, i uprzedziła ją, że umrze bez bólu, strachu i goryczy, wieczorem tego dnia, kiedy całun będzie skończony. Aby zyskać na czasie, Amaranta zamówiła przędzę z wybrzeża i sama utkała płótno. Robiła to tak starannie, że sama ta praca zajęła jej cztery lata. Potem zaczęła haftować. W miarę jak zbliżał się nieubłagany termin, uświadamiała sobie, że tylko cud pozwoli jej przedłużyć robotę tak, żeby jej nie skończyć przed śmiercią Rebeki, ale samo skupienie uwagi dało jej spokój potrzebny na to, by się pogodzić z myślą o przegranej. Wtedy to zrozumiała błędne koło złotych rybek pułkownika Aureliana Buendíi. Ból świata kończył się na powierzchni jej skóry i wszelka gorycz odpłynęła z serca. Żałowała, że to objawienie nie przyszło wiele lat wcześniej, kiedy jeszcze można było oczyścić wspomnienia i odbudować na nowo wszechświat w blasku nowego światła i bez drżenia wspominać zapach lawendy Pietra Crespiego wieczorami i odkupić Rebekę, podnieść ją z dna nędzy nie przez nienawiść ani miłość, tylko przez bezgraniczne zrozumienie samotności. Nienawiść, jaką zauważyła pewnego wieczoru w słowach Meme, wstrząsnęła nią nie dlatego, że dotyczyła jej osoby, lecz dlatego, że ujrzała swe własne odbicie w innej, cudzej młodości, która zdawała się tak czysta, jak musiała innym wydawać się jej własna młodość, a jednak była już skażona złością. Ale wtedy Amaranta była tak głęboko pogodzona z własnym losem, że nie przeraziła jej nawet pewność, że zamknięte są dla niej wszystkie drogi poprawy. Jedynym celem było skończyć całun. Zamiast opóźniać pracę niepotrzebnymi upiększeniami, jak to robiła na początku, przyspieszyła tempo. Na tydzień przedtem obliczyła, że zrobi ostatni ścieg w nocy czwartego lutego, i nie wyjawiając przyczyny, zaproponowała Meme przyspieszenie koncertu przewidzianego na dzień następny, ale ta nie zwróciła na nią uwagi. Amaranta szukała więc innego sposobu spóźnienia się o czterdzieści osiem godzin i mogła pomyśleć, że śmierć idzie jej na rękę, gdyż wieczorem czwartego lutego burza uszkodziła sieć elektryczną. Ale następnego dnia o ósmej rano zrobiła ostatni ścieg w największym arcydziele haftu, jakie kiedykolwiek wyszło z rąk

kobiecych, i oznajmiła tonem najnaturalniejszym w świecie, że wieczorem umrze. Uprzedziła o tym nie tylko rodzinę, ale całe miasto, ponieważ doszła do wniosku, że można naprawić życie nędzne i podłe jakąś ostatnią przysługą oddaną światu, i pomyślała, że najlepszym sposobem będzie zabrać z sobą listy ludzi do zmarłych.

Wiadomość, że Amaranta Buendía wyrusza w podróż o zmierzchu, zabierając pocztę śmierci, rozeszła się w Macondo przed południem i o godzinie trzeciej w salonie stała już skrzynka pełna listów. Ci, co nie chcieli pisać, przekazywali Amarancie ustne polecenia, które zapisywała w notesie wraz z nazwiskiem i datą śmierci adresata. „Bądźcie spokojni – zapewniała zleceniodawców. – Zaraz po przybyciu zapytam o niego i przekażę tę wiadomość". Zakrawało to na farsę. Amaranta nie zdradzała najmniejszego niepokoju ani żadnych oznak bólu, a nawet wydawała się jakby odmłodzona spełnionym obowiązkiem. Poruszała się tak energicznie i trzymała się tak prosto jak zawsze. Gdyby nie kościste policzki i brak paru zębów, można by ją wziąć za dużo młodszą, niż była w rzeczywistości. Kazała włożyć listy do szczelnie zamykanej skrzyni i wskazała, w jaki sposób należy umieścić skrzynię w grobie, żeby uchronić ją od wilgoci. W rannych godzinach wezwała stolarza, żeby wziął miarę na trumnę, podczas gdy ona stała na środku salonu, jak gdyby mierzyła suknię. Tyle energii okazywała w swoich ostatnich godzinach, że Fernanda posądzała ją o kpiny. Urszula, wiedząc z doświadczenia, że Buendíowie umierają, nie chorując, nie wątpiła, że Amaranta otrzymała jakąś zapowiedź śmierci, niemniej dręczyły ją obawy, żeby w tym rozgardiaszu z listami i trosce, by jak najprędzej dotarły do adresatów, niecierpliwi nadawcy nie zakopali jej żywcem. Starała się więc koniecznie opróżnić dom i po głośnych dysputach z intruzami udało jej się osiągnąć ten cel około czwartej po południu. Amaranta skończyła wtedy rozdzielać swoje rzeczy między biednych i na prostej trumnie z surowych desek położyła tylko jedną zmianę bielizny i zwykłe filcowe pantofle, w które miała być ubrana po śmierci. Nie zaniedbała tej przezorności, pamiętając, że kiedy umarł pułkownik Aureliano Buendía, trzeba było kupić parę nowych butów, ponieważ pozostały mu już tylko człapaki, w których spędzał całe dni w warsztacie. Na krótko przed piątą Aureliano Drugi przyszedł po Meme, by ją odprowadzić na koncert, i zdziwił się na widok domu przygotowanego do

pogrzebu. Jeśli ktoś robił wrażenie zupełnie żywego w tym domu o tej porze, to z pewnością Amaranta, tak spokojna, że starczyło jej nawet czasu na to, by wyciąć sobie odciski. Aureliano Drugi i Meme pożegnali się z nią, żartując i zapowiadając, że w najbliższą sobotę urządzą festyn na cześć jej zmartwychwstania. Zwabiony pogłoską, że Amaranta Buendía zabiera listy do zmarłych, ojciec Antonio Isabel przyszedł o piątej z wiatykiem i musiał czekać przeszło kwadrans, aż umierająca wyjdzie z łazienki. Kiedy zobaczył ją wychodzącą, w koszuli z cienkiego płótna i rozpuszczonymi na plecach włosami, zgrzybiały proboszcz uznał to za kpiny i odesłał akolitę. Pomyślał jednakże, że warto skorzystać z tej okazji i skłonić Amarantę do spowiedzi po dwudziestu bez mała latach wstrzymywania się od sakramentów. Amaranta odpowiedziała zwyczajnie i po prostu, że nie potrzebuje żadnej pomocy duchowej, ponieważ ma czyste sumienie. Fernanda oburzyła się. Nie dbając, że ktoś może usłyszeć, spytała głośno, jaki straszliwy grzech dźwiga na sumieniu Amaranta, skoro woli świętokradczą śmierć od wstydu spowiedzi. Wtedy Amaranta położyła się i zmusiła Urszulę do publicznego zaświadczenia o jej dziewictwie.

– Niech się nikt nie łudzi – krzyknęła tak, żeby słyszała ją Fernanda – Amaranta Buendía odchodzi z tego świata tak, jak przyszła.

Nie wstała już. Oparta na poduszkach, jakby naprawdę była chora, zaplotła swoje długie warkocze i zwinęła je na uszach, bo takie uczesanie zaleciła jej śmierć do trumny. Potem, poprosiwszy Urszulę o lustro, pierwszy raz od czterdziestu z górą lat zobaczyła swoją twarz wyniszczoną przez wiek i cierpienia i zdumiała się, jak bardzo podobna jest do tego autoportretu, jaki zachował się w jej pamięci. Z ciszy panującej w sypialni Urszula wywnioskowała, że zaczęło się ściemniać.

– Pożegnaj się z Fernandą – błagała. – Minuta pojednania więcej znaczy niż całe życie przyjaźni.

– Już nie warto – odpowiedziała Amaranta.

Meme nie mogła powstrzymać się od myśli o niej, kiedy zapalono światło na zaimprowizowanej scenie i rozpoczęła się druga część programu. W połowie utworu ktoś szepnął jej na ucho wiadomość i przerwano koncert. Kiedy Aureliano Drugi przyszedł do domu, musiał łokciami torować sobie drogę wśród tłumu, żeby dotrzeć do zwłok starej dziewicy,

pożółkłej, szpetnej, z czarnym bandażem na ręku, owiniętej w przepiękny całun. Były wystawione w salonie obok skrzynki z pocztą.

Urszula nie wstała już z łóżka po dziewięciu nocach modlitw za duszę Amaranty. Zajęła się nią Santa Sofía de la Piedad. Przynosiła jej do sypialni jedzenie i wodę arnikową do mycia i dostarczała informacji o wszystkim, co się działo w Macondo. Aureliano Drugi odwiedzał ją często i przynosił bieliznę, którą kładła przy łóżku obok niezbędnych rzeczy codziennego użytku, i tak w krótkim czasie zbudowała sobie swój świat w zasięgu ręki. Zdołała pozyskać serdeczne przywiązanie małej Amaranty Urszuli, która była ogromnie do niej podobna i którą nauczyła czytać. Jej jasność umysłu i umiejętność wystarczania samej sobie kazały przypuszczać, że w naturalny sposób ugięła się wreszcie pod brzemieniem stu lat, i choć było oczywiste, że widzi źle, nikt nie podejrzewał jej o zupełną ślepotę. Miała wtedy tyle czasu i z takim spokojem mogła czuwać nad życiem domu, że pierwsza zauważyła milczącą udrękę Meme.

– Chodź tutaj – powiedziała do niej. – Teraz, gdy jesteśmy same, wyznaj biednej staruszce, co się z tobą dzieje.

Meme zbyła odpowiedź nerwowym śmiechem. Urszula nie nalegała, lecz utwierdziła się w swych podejrzeniach, bo Meme nie przyszła więcej, żeby ją odwiedzić. Wiedziała, że zaczyna stroić się wcześniej, niż miała w zwyczaju, że kręci się niespokojnie po domu aż do chwili wyjścia, że nie sypia po nocach, tylko przewraca się z boku na bok na swoim łóżku w sąsiedniej sypialni, i że dręczy ją jakiś fruwający wokół niej motyl. Kiedyś słysząc, jak Meme mówiła, że idzie na spotkanie z Aurelianem Drugim, nie mogła pojąć braku wyobraźni Fernandy, której nie przyszło na myśl żadne podejrzenie, kiedy jej mąż przyszedł do domu, pytając o córkę. Było oczywiste, że Meme absorbują jakieś tajemnicze sprawy, jakieś pilne spotkania, tłumione niepokoje, na długo przed sądnym dniem, jaki urządziła Fernanda, przyłapawszy córkę w kinie całującą się z mężczyzną.

Meme tak była wtedy zaślepiona i zajęta sobą, że w myśli oskarżyła Urszulę o zdradę. W rzeczywistości jednak zdradziła się sama. Od dawna już zostawiała za sobą ślady, które mogły obudzić najmocniej uśpionego, i jeżeli Fernanda tyle czasu potrzebowała, by je odkryć, to tylko dlatego, że ją samą absorbowały wówczas sekretne stosunki z niewidzialnymi medykami. Mimo to dostrzegła w końcu kamienne milczenie, gwałtowne

wybuchy, zmiany humoru i wykręty córki. Roztoczyła nad nią nadzór, dyskretny, ale nieugięty. Pozwoliła jej chodzić na spacery z przyjaciółkami, pomagała ubierać się na sobotnie zabawy i nie zadała ani jednego wścibskiego pytania, które mogłoby ją spłoszyć. Miała już wiele dowodów na to, że Meme robi co innego, niż mówi, ale nie ujawniała swoich podejrzeń w oczekiwaniu na decydującą okazję. Pewnego wieczoru Meme oświadczyła, że idzie do kina z ojcem. Trochę później Fernanda usłyszała wybuchy ogni sztucznych na zabawie i nieomylny akordeon Aureliana Drugiego od strony domu Petry Cotes. Wtedy ubrała się, weszła do kina i w półmroku rozpoznała swoją córkę. Oszołomienie triumfem nie pozwoliło jej rozpoznać mężczyzny, który ją całował, zdołała jednak dosłyszeć jego drżący głos wśród gwizdów i ogłuszającego śmiechu publiczności. „Bardzo mi przykro, kochanie” – usłyszała. Bez słowa wyprowadziła Meme z sali, zmusiła ją do upokarzającego przejścia przez ruchliwą ulicę Turków i zamknęła na klucz w sypialni.

Nazajutrz o szóstej po południu Fernanda rozpoznała głos mężczyzny, który przyszedł z wizytą. Był młody, miał śniadą skórę, ciemne melancholijne oczy, które nie zadziwiłyby jej tak bardzo, gdyby znała Cyganów, i nieprzytomny wyraz twarzy, który dla każdej innej kobiety o sercu mniej twardym wystarczyłby dla zrozumienia motywów córki. Ubrany był w zniszczone lniane ubranie i równie zniszczone buty, a w ręku trzymał słomkowy kapelusz kupiony w ostatnią sobotę. Przez całe życie nie zaznał i nie miał zaznać takiego strachu jak w tym momencie, ale była w nim godność i opanowanie, które chroniły go przed poniżeniem, a także jakaś prawdziwa elegancja, której nie wykazywały tylko ręce, sponiewierane ciężką pracą i o połamanych paznokciach. Fernandzie jednakże wystarczyło raz spojrzeć, aby intuicyjnie odgadnąć jego zawód mechanika. Wiedziała, że ma na sobie jedyne odświętne ubranie, a pod koszulą skórę przeżartą przez świerzb, szerzący się wśród ludzi pracujących dla Kompanii Bananowej. Nie dopuściła go do słowa, nie pozwoliła nawet przestąpić progu drzwi, które w chwilę później musiała zamknąć, bo dom zapełniły żółte motyle.

– Proszę się wynosić – powiedziała. – Nie ma pan czego szukać wśród przyzwoitych ludzi.

Nazywał się Mauricio Babilonia. Urodził się i wychował w Macondo, był czeladnikiem u mechanika w warsztatach Kompanii Bananowej. Meme poznała go przypadkiem pewnego popołudnia, kiedy poszła z Patrycją Brown po samochód, żeby przejechać się po plantacjach. Ponieważ szofer był chory, kazano mu zawieźć obie panienki i Meme mogła wreszcie, zgodnie ze swym pragnieniem, usiąść obok kierowcy, by obserwować z bliska sztukę prowadzenia wozu. W przeciwieństwie do zawodowego szofera, Mauricio Babilonia dał jej pokaz praktyczny. Było to w czasie, kiedy Meme zaczęła odwiedzać dom pana Browna i kiedy jeszcze uważano, że damom nie przystoi prowadzić samochodu. Tak więc zadowoliła się teoretyczną informacją i od tego dnia nie widziała Mauricia Babilonii przez kilka miesięcy. Później miała sobie przypomnieć, że podczas przejażdżki zwróciła jej uwagę, oprócz szorstkości rąk, jego męska uroda, ale potem powiedziała Patrycji Brown, że irytuje ją jego wyniosła pewność siebie. W pierwszą sobotę, kiedy poszła ze swoim ojcem do kina, spotkała tam Mauricia Babilonię w odświętnym lnianym ubraniu, siedzącego niedaleko od nich. Zauważyła, że często odrywa wzrok od ekranu i spogląda na nią, ale nie tyle dlatego, żeby ją zobaczyć, co po to, żeby ona zauważyła jego spojrzenia. Nie podobała jej się wulgarność tej zaczepki. Po seansie Mauricio Babilonia podszedł, żeby się przywitać z Aurelianem Drugim, i wtedy dopiero Meme uświadomiła sobie, że się znali przedtem, ponieważ Mauricio pracował niegdyś w prymitywnej elektrowni Aureliana Smutnego i odnosił się do jej ojca tak, jak się odnosi podwładny do szefa. Fakt ten uśmierzył rozdrażnienie, jakie wywoływała w niej jego arogancja. Nie widzieli się sam na sam ani nie zamienili z sobą słowa, oprócz przywitania, aż do tej nocy, kiedy jej się śniło, że on wyratował ją z katastrofy, a ona nie odczuwała wdzięczności, tylko wściekłość. To było tak, jakby dać mu okazję, na którą czekał, kiedy ona, Meme, życzyła sobie czegoś przeciwnego, nie chcąc znać nie tylko Mauricia Babilonii, ale jakiegokolwiek innego mężczyzny, który by się nią zainteresował. Dlatego tak bardzo oburzyło ją to, że po tym śnie zamiast go znienawidzić, odczuwała niepohamowaną chęć zobaczenia się z nim znowu. Niepokój jej rósł w ciągu tygodnia i w sobotę stał się tak gwałtowny, że musiała zadać sobie wielki wysiłek, by Mauricio Babilonia, kłaniając się jej w kinie, nie spostrzegł, że jej serce rwie się do niego. Oszołomiona uczuciem przyjemności i wściekłości, pierwszy raz podała mu rękę i dopiero wtedy

Mauricio Babilonia pozwolił sobie uścisnąć jej dłoń. W ciągu ułamka sekundy Meme zdążyła pożałować swego impulsu, ale żal natychmiast ustąpił miejsca okrutnemu zadowoleniu, gdy stwierdziła, że jego dłoń także jest lodowata i spocona. Tej nocy zrozumiała, że nie zazna spokoju, dopóki nie dowiedzie Mauriciowi Babilonii niedorzeczności jego aspiracji, i przez cały tydzień nie przestawała o tym myśleć. Obmyślała tysiące niepotrzebnych zabiegów, żeby skłonić Patrycję Brown do nowej przejażdżki autem. W końcu posłużyła się rudym Amerykaninem, który w tym czasie przyjechał na wakacje do Macondo, i pod pretekstem obejrzenia nowych modeli samochodów kazała się zaprowadzić do warsztatów. Z chwilą gdy zobaczyła Mauricia, Meme przestała się oszukiwać i zrozumiała, że w rzeczywistości ginie z chęci przebywania z nim sam na sam, i oburzyła ją pewność, że on zrozumiał to od pierwszej chwili, gdy weszła.

– Przyszłam obejrzeć nowe modele – powiedziała Meme.

– To dobry pretekst – odpowiedział.

Meme zdała sobie sprawę, że on spala się w płomieniu swej dumy, i rozpaczliwie szukała sposobu, żeby go upokorzyć. Ale nie dał jej na to czasu. „Niech się pani nie boi – powiedział cicho. – Nie pierwszy raz się zdarza, że kobieta traci głowę dla mężczyzny”. Poczuła się tak bezbronna, że wyszła, nie oglądając nowych modeli i przez całą noc aż do ranka przewracała się na łóżku, płacząc z oburzenia. Rudy Amerykanin, który naprawdę już zaczynał ją interesować, wydał jej się dzieckiem w powijakach. Wtedy to zauważyła żółte motyle, które poprzedzały ukazanie się Mauricia Babilonii. Widywała je już wcześniej, zwłaszcza w warsztacie mechanicznym, myśląc, że przyciąga je woń farby. Kiedyś uczuła, że krążą nad jej głową w półmroku kina. Ale gdy Mauricio Babilonia zaczął ją prześladować jak zjawa, którą tylko ona rozpoznawała w tłumie, zrozumiała, że żółte motyle mają z nim coś wspólnego. Mauricio Babilonia zawsze znajdował się wśród publiczności na koncertach, w kinie, na sumie, a ona nie potrzebowała rozglądać się, by wiedzieć, gdzie jest, bo wskazywały go motyle. Kiedyś Aureliano Drugi tak się zniecierpliwił tym furkotem skrzydełek, że Meme miała ochotę zdradzić mu swą tajemnicę, tak jak mu to przyrzekła, ale instynkt ją ostrzegł, że tym razem on nie roześmieje się jak zwykle: „Co by na to powiedziała twoja matka!”.

Pewnego ranka, podczas gdy przesadzały róże w ogrodzie, Fernanda krzyknęła ze strachu i odepchnęła Meme daleko od miejsca, gdzie się znajdowały, tego samego, z którego niegdyś Piękna Remedios uleciała w niebo. Przez chwilę miała wrażenie, że cud powtórzy się z jej córką, gdyż oszołomił ją nagły trzepot skrzydełek. Były to motyle. Meme ujrzała je, jak gdyby nagle narodziły się ze światła, i serce jej skoczyło. W tej samej chwili wszedł Mauricio Babilonia z paczką, która, jak oznajmił, zawierała prezent od Patrycji Brown. Meme poczerwieniała i z trudem zdobyła się na naturalny uśmiech, prosząc, by zostawił paczkę na ganku, bo ma palce ubrudzone ziemią. Jedyną rzeczą, jaką zauważyła Fernanda w tym człowieku, którego w parę miesięcy później miała wyrzucić z domu, nie pamiętając nawet, że go kiedykolwiek widziała, był żółty kolor jego skóry.

– Co za dziwna twarz – powiedziała Fernanda. – Można z niej wyczytać, że wkrótce umrze.

Meme pomyślała, że jej matka jest jeszcze pod wrażeniem motyli. Kiedy skończyła okopywać róże, umyła ręce i zaniosła paczkę do sypialni, żeby ją otworzyć. Było to coś w rodzaju chińskiej zabawki składającej się z pięciu skrzyneczek umieszczonych jedna w drugiej, a w ostatniej znalazła karteczkę pracowicie zabazgraną przez kogoś, kto ledwie umiał pisać: „Zobaczymy się w sobotę w kinie”. Meme odczuła spóźnioną grozę na myśl, że pakunek tyle czasu leżał na ganku w zasięgu ciekawości Fernandy, i chociaż pochlebiały jej odwaga i spryt Mauricia Babilonii, wzruszyła ją naiwność przypuszczenia, że ona stawi się na spotkanie. Meme wiedziała już wtedy, że Aureliano Drugi jest zajęty w sobotę wieczorem. Ale w ciągu tygodnia płomień niepokoju trawił ją tak mocno, że w sobotę skłoniła ojca, by zostawił ją samą na sali i wrócił po nią po przedstawieniu. Ćma krążyła nad jej głową, dopóki światła były zapalone, i wtedy stało się. Gdy zgaszono światła, Mauricio Babilonia usiadł obok niej. Meme czuła, że miota się w jakiejś strasznej czeluści, z której mógł ją wyciągnąć, tak jak we śnie, tylko ten mężczyzna, cuchnący smarem do motorów, którego zaledwie mogła dostrzec w półmroku.

– Gdybyś nie przyszła – powiedział – nie zobaczyłabyś mnie już nigdy.

Meme poczuła ciężar jego ręki na kolanie i wiedziała, że oboje dotarli w tym momencie do drugiego krańca pustyni.

– Co mnie najbardziej w tobie drażni – uśmiechnęła się – to, że zawsze mówisz właśnie to, czego nie powinieneś.

Oszalała na jego punkcie. Straciła sen i apetyt i tak głęboko pogrążyła się w samotności, że nawet ojciec stał się dla niej zawadą. Opracowała skomplikowany plan fałszywych zobowiązań i spotkań towarzyskich, żeby zmylić czujność Fernandy, przestała się widywać z przyjaciółkami, odrzuciła wszelkie konwenanse, żeby spotykać się z Mauriciem Babilonią o każdej porze i w jakimkolwiek miejscu. Z początku raziła ją jego brutalność. Pierwszy raz, kiedy spotkali się sam na sam, na pustych łąkach za warsztatem mechanicznym, bezlitośnie zdegradował ją do jakiegoś zwierzęcego stanu, w którym opuściły ją wszystkie siły. Dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że i to jest formą czułości, i wtedy straciła wszelki spokój, żyjąc tylko dla niego, trawiona pragnieniem, by pogrążyć się w odurzającym zapachu oleju i smarów, spłukiwanych szarym mydłem. Na krótko przed śmiercią Amaranty dostrzegła nagle jakiś przebłysk światła na dnie szaleństwa i zadrżała na myśl o przyszłości. Usłyszała wtedy, jak mówiono o pewnej kobiecie, która wróży z kart, i poszła ją odwiedzić w tajemnicy. Była to Pilar Ternera. Ledwie spojrzała na wchodzącą Meme, odgadła, co ją tu przywiodło. „Usiądź – powiedziała. – Nie potrzebuję kart, żeby poznać przyszłość kogokolwiek z Buendíów”. Meme nie wiedziała i nie dowiedziała się nigdy, że ta stuletnia pytia jest jej prababką. I nie uwierzyłaby w to, sądząc po brutalnym realizmie, z jakim starucha oznajmiła jej, że taka udręka miłości znajduje ulgę i spokój tylko w łóżku. Tego samego zdania był Mauricio Babilonia, ale Meme nie chciała przyznać mu racji, przypuszczając w głębi ducha, że rozumowanie to opiera się na prostackich kryteriach robotnika. Myślała wówczas, że tego rodzaju miłość wyklucza miłość innego rodzaju, gdyż zgodnie ze swą naturą mężczyzna gardzi głodem po zaspokojeniu apetytu. Pilar Ternera nie tylko obaliła ten błędny sąd, ale zaofiarowała swoje stare łóżko, gdzie poczęła Arcadia, dziadka Meme, i gdzie poczęła później Aureliana Josego. Prócz tego nauczyła ją zapobiegać niepożądanej ciąży za pomocą gorących kataplazmów z gorczycy i dała receptę na miksturę, która w wypadku kłopotów „pozwala wyrzucić z siebie nawet wyrzuty sumienia”. Spotkanie natchnęło Meme tym samym duchem odwagi, który ogarnął ją niegdyś w ów słynny wieczór pijaństwa. Śmierć Amaranty jednakże zmusiła ją do

odwleczenia decyzji. Podczas dziewięciu nocy nowenn nie rozstawała się ani na moment z Mauriciem Babilonią, który przychodził z całym tłumem nawiedzającym dom w tym czasie. Potem nadeszła przewlekła żałoba, obowiązujące dni odosobnienia, i musieli rozłączyć się na jakiś czas. Były to dni takiego podniecenia wewnętrznego, tak niepohamowanych niepokojów i tłumionych pragnień, że pierwszego popołudnia, kiedy mogła wyjść z domu, Meme poszła prosto do Pilar Ternery. Oddała się Mauriciowi Babilonii bez oporu, bez wstydu, bez żadnego zachowania form, z upragnieniem tak doskonałym i tak subtelną intuicją, że mężczyzna bardziej podejrzliwy niż Mauricio mógłby to wszystko przypisać wyrafinowanemu doświadczeniu. Kochali się dwa razy na tydzień przez trzy miesiące, pod ochroną niewinnego wspólnictwa Aureliana Drugiego, który w najlepszej wierze potwierdzał alibi córki, byle ją uwolnić od rygorów matki.

Tego wieczoru, kiedy Fernanda przyłapała ich w kinie, Aureliano Drugi, dręczony wyrzutami sumienia, odwiedził Meme w sypialni, gdzie zamknęła ją matka. Miał nadzieję, że skłoni ją do zwierzeń, które była mu winna. Ale Meme wyparła się wszystkiego. Była tak pewna siebie, tak kurczowo uczepiona swej samotności, że Aureliano Drugi odniósł wrażenie, że nie istnieje już żadna więź między nimi, a przyjaźń i konspiracja były tylko minionym złudzeniem. Zamierzał rozmówić się z Mauriciem Babilonią, przypuszczając, że jego autorytet dawnego zwierzchnika skłoni go do ustąpienia, ale Petra Cotes przekonała go, że są to sprawy kobiece, toteż pozostał wahający się i niezdecydowany, podtrzymywany na duchu iskierką nadziei, że przymusowe zamknięcie zakończy udręki jego córki.

Meme nie ujawniała żadnych oznak przygnębienia. Przeciwnie, z przyległej sypialni Urszula słyszała spokojny rytm jej oddechu, mogła zaobserwować opanowanie i pogodę w wykonywaniu codziennych czynności i regularność w posiłkach. Jedyną rzeczą, która intrygowała Urszulę po dwóch niemal miesiącach kary, był fakt, że Meme nie kąpała się rano jak wszyscy, tylko o siódmej wieczorem. Któregoś wieczoru zamierzała nawet ostrzec ją przed skorpionami, ale Meme przekonana o jej zdradzie okazywała jej taki chłód, że lepiej było nie wtrącać się ze swymi uwagami praprababki. Inwazja żółtych motyli dawała się we znaki już w pierwszych godzinach popołudnia. Co wieczór wracając z łazienki,

Meme znajdowała Fernandę w trakcie desperackiej walki z motylami przy użyciu wszelkich możliwych środków owadobójczych. „Co za plaga! – jęczała. – Całe życie mówiono mi, że nocne motyle przynoszą nieszczęście”. Pewnego wieczoru, kiedy Meme kąpała się w łazience, Fernanda weszła przypadkiem do jej sypialni tak pełnej motyli, że z trudem można było oddychać. Chwyciła ścierkę, żeby je wypędzić, i serce jej zlodowaciało ze zgrozy, gdy nagle skojarzyła wieczorne kąpiele córki z kataplazmami gorczycznymi, które poniewierały się po podłodze. Nie odczekała na właściwy moment, jak za pierwszym razem. Nazajutrz zaprosiła na obiad nowego alkada, który tak jak ona przybył tu z pustynnego płaskowyżu, i poprosiła go o przydzielenie straży nocnej, która pilnowałaby domu od tyłu, gdyż jest pewna, że kradną jej kury. Tego samego wieczoru kula jednego ze strażników ugodziła Mauricia Babilonię w chwili, gdy podnosił dachówki, żeby dostać się do łazienki, gdzie oczekiwała go Meme, naga i drżąca z miłości, pośród skorpionów i motyli, tak jak co wieczór przez dwa ostatnie miesiące. Kula, która ugrzęzła w kręgosłupie, przykuła go do łóżka na resztę życia. Umarł po długich latach cierpienia, w samotności, bez jednej skargi, bez protestu, bez najmniejszych prób buntu; dręczony przez wspomnienia i żółte motyle, które nie dały mu chwili spokoju, i publicznie potępiony jako złodziej kur.

Wydarzenia, które miały zadać śmiertelny cios miastu Macondo, zaczęły już rysować się na horyzoncie, kiedy przyniesiono do domu syna Meme Buendíi. Sytuacja polityczna tak była niepewna, że nikt nie miał ochoty interesować się skandalami prywatnej natury, toteż Fernanda natrafiła na sprzyjające warunki, by trzymać dziecko w ukryciu, jak gdyby nigdy nie istniało. Musiała przyjąć wnuka, bo okoliczności, w jakich go przyniesiono, nie pozwalały się go wyprzeć. Musiała znosić go wbrew woli do końca życia, bo w decydującej godzinie zabrakło jej odwagi, by spełnić ukryty zamiar utopienia go w basenie łazienki. Zamknęła go w dawnym warsztacie pułkownika Aureliano Buendíi. Santa Sofía de la Piedad nie miała innego wyjścia, niż uwierzyć jej zapewnieniom, że znaleziono go w koszyku pływającym na rzece. Urszula do śmierci nie dowiedziała się jego pochodzenia. Mała Amaranta Urszula, która weszła raz do warsztatu, kiedy Fernanda karmiła dziecko, także uwierzyła w wersję o pływającym koszyku.

Aureliano Drugi, który ostatecznie zraził się do żony za jej niepojęty sposób potraktowania tragedii Meme, dowiedział się o istnieniu wnuka dopiero w trzy lata od dnia jego przybycia do domu, kiedy chłopczyk, korzystając z nieuwagi Fernandy, na ułamek sekundy wymknął się na korytarz, nagi, ze strzechą potarganych włosów i z przerażającym seksem jak wole indycze, jak gdyby nie był stworzeniem ludzkim, tylko encyklopedyczną definicją ludożercy.

Fernanda nie liczyła się z tym zdradzieckim chwytem swego nieodwracalnego przeznaczenia. Dziecko było jakby nawrotem wstydu, który w swoim mniemaniu wygnała z domu na zawsze. Ledwie zdążono

wynieść Mauricia Babilonię z przetrąconym kręgosłupem, Fernanda obmyśliła aż do najdrobniejszych szczegółów plan, który miał zatrzeć wszelkie ślady hańby. Nie mówiąc nic mężowi, nazajutrz przygotowała się do podróży. Włożyła do walizeczki trzy zmiany bielizny, których mogła potrzebować jej córka, i poszła po nią do sypialni na pół godziny przed odejściem pociągu.

– Chodźmy, Renato – powiedziała.

Nie udzieliła jej żadnych wyjaśnień. Meme zresztą ani tego nie oczekiwała, ani o to nie prosiła. Nie tylko nie wiedziała, dokąd jadą, ale było jej wszystko jedno, choćby mieli ją zawieźć do rzeźni. Nie odezwała się ani słowem i nie miała tego zrobić do końca życia od chwili, gdy usłyszała strzał na tyłach domu za podwórzem i ryk bólu Mauricia Babilonii. Kiedy matka kazała jej wyjść z sypialni, nie uczesała się i nie obmyła twarzy i wsiadła do wagonu jak lunatyczka, nie widząc nawet żółtych motyli, które jeszcze jej towarzyszyły. Fernanda nie dowiedziała się nigdy i nie zadała sobie trudu, by się dowiedzieć, czy to kamienne milczenie było postanowieniem woli, czy jej córka oniemiała pod wpływem tragedii. Meme prawie nie zdawała sobie sprawy z podróży przez dawną zaczarowaną krainę. Nie widziała białych domów cudzoziemców ani ich ogrodów, wyjałowionych przez kurz i spiekotę, ani kobiet w szortach i koszulach w paski, grających w karty na gankach. Nie widziała na zakurzonych drogach wozów zaprzężonych w woły i załadowanych naręczami bananów. Nie widziała dziewcząt, które skakały jak ryby w przezroczystych rzekach, by zostawić pasażerom pociągu gorycz za uciekającym obrazem ich wspaniałych ciał, ani różnobarwnych i nędznych baraków robotniczych, gdzie fruwały żółte motyle Mauricia Babilonii, a na gankach były dzieci zielone i wychudłe, siedzące na nocnikach, i ciężarne kobiety wykrzykujące obelgi za przejeżdżającym pociągiem. Te przelotne wizje, które sprawiały jej tyle radości, kiedy wracała na wakacje ze szkoły, nie poruszyły żadnej tkanki w jej sercu. Nie spojrzała przez okno nawet wtedy, gdy skończyła się gorąca wilgoć plantacji i pociąg wyjechał na czerwoną od maków równinę, gdzie jeszcze stał zwęglony szkielet hiszpańskiej karaweli, i ukazało się nagle to samo przezroczyste powietrze i to samo spienione morze, gdzie prawie sto lat temu rozwiały się złudzenia Josego Arcadia Buendíi.

O piątej po południu, gdy dojechały do końcowej stacji moczarów, wysiadła z pociągu, bo to samo zrobiła przedtem Fernanda. Wsiadły do dorożki, która wyglądała jak olbrzymi nietoperz, zaprzężonej w jednego astmatycznego konia, i przejechały przez wyludnione miasto, gdzie na ulicach, nieskończenie długich i przeżartych saletrą, rozbrzmiewały ćwiczone na fortepianie gamy, takie same, jakich słuchała Fernanda w godzinie sjest swojej młodości. Potem wsiadły na statek rzeczny, którego drewniane koło sprawiało piekielny hałas i którego zardzewiała blacha ziała ogniem jak otwór pieca. Meme zamknęła się w kabinie. Dwa razy dziennie Fernanda stawiała jej talerz przy łóżku i dwa razy dziennie zabierała go nietknięty nie dlatego, by Meme postanowiła zamorzyć się głodem, ale dlatego, że sam zapach jedzenia wywoływał w niej mdłości i żołądek nie przyjmował nawet czystej wody. Ona sama nie wiedziała wtedy, że jej płodność zadrwiła sobie z gorczycznych naparów, tak jak Fernanda, która dowiedziała się o tym dopiero w rok później, kiedy przyniesiono jej dziecko. W dusznej kajucie, udręczona wibracją blaszanych ścian i nieznośną wonią gnijącej wody, zmąconej przez drewniane koło, Meme straciła rachubę dni. Minęło wiele czasu, odkąd widziała ostatniego żółtego motyla ginącego w śmigłach wentylatora i przyjęła jako nieodwracalną prawdę, że Mauricio Babilonia nie żyje. Mimo to nie poddała się rezygnacji. Nie przestała myśleć o nim podczas uciążliwej podróży na grzbiecie muła przez złudną pustynię, gdzie niegdyś zabłądził Aureliano Drugi, szukając najpiękniejszej z kobiet tego świata, ani wtedy, gdy ścieżkami Indian przeprawiały się przez góry i dotarły do ponurego miasta, w którego kamiennych zaułkach dźwięczało echo dzwonów żałobnych z trzydziestu dwóch kościołów. Tej nocy spały w opuszczonej rezydencji kolonialnej, na deskach, które Fernanda ułożyła na podłodze w zarosłym chwastami salonie, owinięte w strzępy firanek zerwanych z okien i rozsypujących się przy każdym poruszeniu ciał. Meme wiedziała, gdzie są, bo w majaczeniach bezsenności zobaczyła czarno ubranego mężczyznę, którego w pewne dalekie Boże Narodzenie przyniesiono do domu wewnątrz ołowianej skrzyni. Nazajutrz, po mszy, Fernanda zaprowadziła ją do ciemnego budynku, który Meme natychmiast poznała, przypomniawszy sobie opowiadania matki o klasztorze, gdzie ją wychowywano na królową, i zrozumiała, że tutaj kończy się ich podróż.

Podczas gdy Fernanda rozmawiała z kimś w sąsiednim gabinecie, Meme czekała w rozmównicy zdobnej w ogromne portrety olejne biskupów kolonialnych, drżąc z zimna, bo jeszcze miała na sobie sukienkę z muślinu w drobne kwiatki i ciężkie półbuciki rozmokłe od lodów pustyni. Stała pośrodku salonu, myśląc o Mauriciu Babilonii, w żółtym strumieniu światła z witraży, kiedy z przyległego gabinetu wyszła młoda i piękna nowicjuszka, niosąc w ręku jej walizeczkę z trzema zmianami bielizny. Przechodząc koło Meme, wyciągnęła do niej rękę, nie zatrzymując się.

– Chodźmy, Renato – powiedziała.

Meme podała jej rękę i pozwoliła się prowadzić. Fernanda zobaczyła ją ostatni raz, usiłującą dostosować krok do kroku mniszki, po czym zatrzasnęła się krata klauzury. Jeszcze myślała o Mauriciu Babilonii, jego zapachu smarów i aureoli motyli, i miała myśleć o nim przez wszystkie dni swojego życia, aż do dalekiego ranka jesiennego, kiedy pod zmienionym imieniem, nigdy nie wymówiwszy ani słowa, zmarła ze starości w ponurym przytułku w Krakowie.

Fernanda wróciła do Macondo pociągiem pod ochroną zbrojnej policji. Podczas podróży zauważyła napięcie wśród pasażerów, ćwiczenia wojskowe w pogranicznych miasteczkach i atmosferę niepokoju, jak gdyby oczekiwania na coś ważnego, co się miało stać, ale nie wiedziała, co to znaczy, i dopiero w Macondo powiedziano jej, że José Arcadio Buendía podburza do strajku robotników Kompanii Bananowej. Tego nam tylko brakowało – pomyślała Fernanda. – Anarchista w rodzinie! Strajk wybuchł w dwa tygodnie później, ale nie pociągnął za sobą dramatycznych konsekwencji, których się obawiano. Robotnicy żądali, żeby ich nie zmuszano do zrywania i ładowania bananów w niedzielę, i żądanie to wydawało się tak słuszne, że poparł je nawet ojciec Antonio Isabel jako zgodne z prawem Bożym. Triumf tej akcji i kilku innych, podjętych w następnych miesiącach, sprawił, że nagle na ustach wszystkich mieszkańców Macondo znalazło się imię Josego Arcadia Drugiego, o którym dotychczas zwykło się mówić, że jedyną jego zasługą było sprowadzenie do miasta francuskich prostytutek. Z nagłym zdecydowaniem, pod wpływem takiego samego impulsu, z jakim niegdyś sprzedał na licytacji swoje koguty bojowe, żeby założyć urągające zdrowemu rozsądkowi przedsiębiorstwo żeglugi, teraz zrzekł się

stanowiska szefa drużyny w Kompanii Bananowej i stanął po stronie robotników. Wkrótce zaczęto go wskazywać jako agenta międzynarodowego spisku przeciw porządkowi publicznemu. Pewnej nocy, w ciągu niespokojnego tygodnia ponurych pogłosek, cudem uniknął czterech strzałów rewolwerowych, które oddał do niego jakiś nieznajomy w chwili wyjścia z tajnego zebrania. W ciągu następnych dwóch miesięcy atmosfera tak była naprężona, że dostrzegła to nawet Urszula ze swego zakamarka ciemności i odniosła wrażenie, że przeżywa na nowo groźne czasy, kiedy jej syn Aureliano nosił w kieszeni homeopatyczne pigułki dywersji. Chciała porozmawiać z Josem Arcadiem Drugim, żeby poinformować go o tym precedensie, ale Aureliano Drugi powiedział jej, że od nocy zamachu nie wiadomo, gdzie przebywa jego brat.

– Tak samo jak Aureliano! – westchnęła Urszula. – Zupełnie jakby świat kręcił się w kółko.

Do Fernandy nie docierał powszechny niepokój tych dni. Nie miała kontaktów ze światem z zewnątrz od czasu gwałtownej scysji ze swoim mężem, oburzonym na nią za to, że rozstrzygnęła o losie Meme, nie zasięgnąwszy jego opinii. Aureliano Drugi gotów był ściągnąć córkę z powrotem, nawet z pomocą policji, gdyby było trzeba, ale Fernanda pokazała mu dokumenty stwierdzające, że jej córka wstąpiła do klasztoru z własnej woli. Rzeczywiście Meme podpisała papiery już po drugiej stronie żelaznej kraty, a zrobiła to z tą samą pogardą, z jaką dała się tam zaprowadzić. W głębi ducha Aureliano Drugi nie wierzył w prawomocność tych dowodów, tak samo jak nigdy nie wierzył, że Mauricio Babilonia wśliznął się na podwórze ich domu po to, żeby kraść kury, ale obydwie tezy uspokajały jego sumienie, tak że mógł bez skrupułów wrócić pod skrzydła Petry Cotes, wznawiając huczne zabawy i festyny obżarstwa. Obca troskom miasta, głucha na groźne prognostyki Urszuli, Fernanda nakreśliła ostatni zakręt zawiłych linii już zrealizowanego planu. Napisała długi list do swego syna Josego Arcadia, który miał już przyjąć pierwsze święcenia, zawiadamiając go, że jego siostra Renata wyzionęła ducha w stanie łaski bożej, na skutek czarnej zarazy. Potem, powierzywszy małą Amarantę Urszulę opiece swej świekry, zajęła się korespondencją z niewidzialnymi lekarzami, wyczerpana nerwowo historią Meme. Pierwszym jej staraniem było wyznaczenie ostatecznej daty na kilkakrotnie odraczaną operację

telepatyczną. Ale niewidzialni lekarze odpowiedzieli jej, że byłoby to nieostrożne, póki nie minie stan podniecenia socjalnego w Macondo. Była tak przynaglona potrzebą i źle poinformowana, że w następnym liście przedstawiła bezpodstawność tych obaw, tłumacząc, że żadne wzburzenie socjalne nie istnieje, ponieważ wszystko jest wynikiem zwariowanych pomysłów jej szwagra, który dostał teraz manii na punkcie związków zawodowych, jak niegdyś na punkcie walki kogutów i żeglugi.

Jeszcze nie doszło do porozumienia, kiedy w pewną upalną środę zastukała do drzwi domu stara zakonnica z koszykiem przewieszonym przez ramię. Santa Sofía de la Piedad myślała, że chodzi o jakiś dar przysłany z klasztoru, i chciała zabrać koszyk przykryty piękną koronkową serwetą. Ale mniszka powstrzymała ją, mówiąc, że ma ścisłe polecenie, aby doręczyć przesyłkę osobiście doñi Fernandzie del Carpio de Buendía. Było to dziecko Meme. Dawny spowiednik Fernandy donosił jej w liście, że urodziło się dwa miesiące temu i że pozwolono sobie ochrzcić chłopca imieniem Aureliano, na pamiątkę dziadka, ponieważ jego matka nie otworzyła ust, żeby wyrazić swoje życzenia. Fernanda zbuntowała się w duszy przeciwko temu szyderstwu losu, ale znalazła dość siły, by ukryć to przed zakonnicą.

– Powiemy, że znalazłyśmy koszyk pływający na rzece – uśmiechnęła się.

– Nikt w to nie uwierzy – zauważyła mniszka.

– Jeżeli ludzie uwierzyli słowom Pisma Świętego – odpowiedziała Fernanda – nie widzę, czemu mieliby nie wierzyć moim.

Mniszka została na obiedzie w domu, czekając na pociąg powrotny, i zgodnie z zaleconą jej dyskrecją nie wspomniała już więcej o dziecku, ale Fernanda, widząc w niej niepożądanego świadka swego wstydu, ubolewała w duchu, że zarzucono średniowieczny zwyczaj wieszania na szubienicy posłańców przynoszących złe nowiny. Postanowiła więc utopić dziecko w basenie, skoro tylko mniszka odejdzie, ale nie miała serca tego zrobić i wolała zaczekać, aż Bóg nieskończony w swej dobroci uwolni ją od tego brzemienia.

Nowy Aureliano skończył rok, kiedy w naprężonej sytuacji publicznej doszło do wybuchu bez żadnej zapowiedzi. José Arcadio Drugi i inni

przywódcy związkowi, dotychczas pozostający w ukryciu, ujawnili się nagle pod koniec pewnego tygodnia, organizując manifestacje w miasteczkach strefy bananowej. Policja ograniczyła się do czuwania nad porządkiem. Ale w nocy z niedzieli na poniedziałek przywódcy zostali wyciągnięci z domów i z pięciokilowymi ciężarami przykutymi do nóg odesłani do więzienia w stolicy prowincji. Wśród nich znajdowali się José Arcadio Drugi i Lorenzo Gavilán, pułkownik z rewolucji meksykańskiej, który przebywał na wygnaniu w Macondo i, jak mówił, był świadkiem bohaterstwa swego towarzysza broni Artemia Cruz. Po niecałych trzech miesiącach wypuszczono ich jednak na wolność, gdyż rząd i Kompania Bananowa nie mogli dojść do porozumienia, kto ma ich żywić w więzieniu. Tym razem wystąpienia robotnicze dotyczyły złych warunków zdrowotnych w mieszkaniach, oszustw w służbie lekarskiej, niesprawiedliwości w systemie płac. Twierdzili ponadto, że otrzymują wynagrodzenie nie w gotówce, lecz w bonach, za które mogli kupować tylko szynkę z Wirginii w sklepach Kompanii. José Arcadio Drugi został aresztowany za podanie do wiadomości publicznej, że system bonów jest podjętym przez Kompanię środkiem w celu opłacania frachtowców owocowych, które, gdyby nie towar sklepowy, musiałyby wracać puste z Nowego Orleanu do portów załadunku bananów. Inne zarzuty były publicznie znane. Lekarze Kompanii nie badali chorych, tylko kazali im się ustawiać rzędem przed drzwiami ambulatoriów i pielęgniarka kładła im na język pigułkę niebieskiego koloru, bez względu na to, czy skarżyli się na malarię, na rzeżączkę czy niestrawność. Terapia ta była tak rozpowszechniona, że dzieci po kilka razy stawały w kolejce i zamiast łykać pigułki, używały ich jako żetonów do gry w loteryjkę. Robotnicy Kompanii żyli stłoczeni w nędznych barakach. Zamiast zbudować latryny, inżynierowie przywozili do osiedli w okresie Bożego Narodzenia przenośne klozety, po jednym na każde pięćdziesiąt osób, demonstrując publicznie, jak ich używać, żeby służyły jak najdłużej. Zgrzybiali adwokaci w czarnych ubraniach, którzy niegdyś oblegali pułkownika Aureliana Buendíę, a teraz byli plenipotentami Kompanii Bananowej, obalili te zarzuty w sposób, który przywodził na myśl sztukę czarnoksięską.

Kiedy robotnicy zredagowali pismo z wykazem swych żądań, nieprędko mogli przedstawić je oficjalnie Kompanii. Dowiedziawszy się o ich

zamiarze, pan Brown kazał przyczepić do pociągu swój wspaniały szklany wagon i ulotnił się z Macondo razem z głównymi funkcjonariuszami swego przedsiębiorstwa. Niemniej w następną sobotę kilku robotników spotkało jednego z nich w burdelu i kazało mu podpisać petycję w momencie, kiedy był rozebrany do naga, z kobietą, która zgodziła się pomóc go ściągnąć w tę pułapkę. Adwokaci o żałobnych obliczach dowiedli w sądzie, że człowiek ten nie ma nic wspólnego z Kompanią, i aby rozwiać wszelkie wątpliwości, kazali go aresztować za podanie fałszywego nazwiska. W jakiś czas później pan Brown został przyłapany podczas podróży incognito wagonem trzeciej klasy i zmuszono go do podpisania innej kopii pisma. Nazajutrz stawił się w sądzie z włosami przefarbowanymi na czarno i mówił płynną hiszpańszczyzną. Adwokaci dowiedli, że to nie jest pan Jack Brown, główny dyrektor Kompanii Bananowej, urodzony w Prattville w stanie Alabama, lecz nieszkodliwy sprzedawca ziół leczniczych, rodem z Macondo, tamże ochrzczony i zapisany w księgach jako Dagoberto Fonseca. Wkrótce potem, wobec nowych prób robotników, adwokaci wystawili na widok publiczny autoryzowane prawnie świadectwo zgonu pana Browna, stwierdzające, iż w dniu dziewiątego czerwca przejechał go wóz straży pożarnej na ulicy w Chicago. Mając dość tej obłąkańczej zabawy, robotnicy zlekceważyli władze miejscowe i odwołali się do sądów najwyższej instancji. Tam to czarnoksiężnicy prawa dowiedli, że oskarżenia pozbawione są wszelkiej podstawy, ponieważ Kompania Bananowa nie ma, nigdy nie miała i nie zamierza mieć pracowników stałych i zatrudnia ich tylko w pewnych okresach, zawsze na czas ograniczony. Tak zdementowano wyssane z palca bajki o szynce z Wirginii, cudownych pigułkach i gwiazdkowych klozetach i zgodnie z rozporządzeniem trybunału w uroczystych obwieszczeniach ogłoszono nieistnienie pracowników.

Wybuchł strajk powszechny. Przerwano pracę na plantacjach, owoce gniły na drzewach, a pociągi o stu dwudziestu wagonach stały na bocznicach. Bezrobotni wypełniali okoliczne miasteczka. Na ulicy Turków co dzień świętowano sobotę, a w sali bilardowej w hotelu Jacoba trzeba było ustanowić dwudziestoczterogodzinne zmiany. Tam to znajdował się José Arcadio Drugi w dniu, kiedy ogłoszono, że wojsko otrzymało rozkaz przywrócenia porządku publicznego. Chociaż nie był człowiekiem

przesądnym, przyjął tę wiadomość jako zapowiedź oczekiwaną od tego dalekiego ranka, kiedy pułkownik Gerineldo Márquez pozwolił mu zobaczyć, jak rozstrzeliwano żołnierzy w koszarach. Zła wróżba nie zmąciła jednak jego uroczystej powagi. Uderzył kijem kulę i doprowadził do karambolu.

Wkrótce potem bicie bębnów, ostry dźwięk trąbek, krzyki i zbiegowisko ludzkie oznajmiły mu, że nie tylko partia bilardu, ale ta samotna i milcząca rozgrywka, którą prowadził sam z sobą od tamtego ranka egzekucji, została wreszcie zakończona. Wtedy wyjrzał na ulicę i zobaczył ich. Były to trzy regimenty maszerujące w takt uderzeń bębna galerników. Ziemia drgała pod ich stopami, a zatrute tchnienie tego wielogłowego smoka zmąciło przezroczystą godzinę popołudnia. Byli krępi, przysadkowaci, szpetni. Spoceni końskim potem, mieli zapach mięsa suszonego na słońcu i nieprzeniknioną, milczącą nieulękłość ludzi pustyni. Chociaż przemarsz trwał przeszło godzinę, można było myśleć, że to tylko kilka szwadronów kręci się w kółko, bo wszyscy byli do siebie podobni, jakby ich urodziła jedna matka, i wszyscy z tą samą tępą zajadłością dźwigali plecaki i manierki, niesławę bagnetów na broń, brzemię ślepego posłuszeństwa i poczucie honoru. Urszula słyszała ich przechodzących ze swego łoża ciemności i podniosła dłoń ze skrzyżowanymi palcami. Santa Sofía de la Piedad istniała przez chwilę na tym świecie, pochylona nad haftowanym obrusem, który właśnie skończyła prasować, i pomyślała o swoim synu Josem Arcadiu Drugim, który stał w drzwiach hotelu Jacoba, bez wzruszenia patrząc, aż przejdą ostatni żołnierze.

Stan wyjątkowy upoważniał wojsko do roli rozjemcy w sporze, ale żadne kroki pojednawcze nie zostały podjęte. Natychmiast po wkroczeniu do Macondo żołnierze odłożyli na bok karabiny, zebrali banany, załadowali je do wagonów i uruchomili pociągi. Robotnicy, którzy dotychczas ograniczali się do czekania, kryli się teraz po lasach uzbrojeni tylko w maczety do ścinania bananów i odpowiedzieli sabotażem na sabotaż. Podpalali rezydencje i sklepy plantatorów, niszczyli tory, żeby przeszkodzić tranzytowi pociągów otwierających sobie drogę ogniem karabinów maszynowych, przecinali druty telegrafu i telefonu. Kanały nawadniające zabarwiły się krwią. Pan Brown, który był żywy i zdrów w zelektryfikowanym kurniku, wraz z całą rodziną i rodzinami swych

współtowarzyszy został pod ochroną wojska przewieziony z Macondo na bezpieczne terytorium. Sytuacja groziła rozwinięciem się w wojnę domową, krwawą i o nierównych siłach, kiedy władze skierowały do robotników apel wzywający ich do zgromadzenia się w Macondo. Oznajmiono, że Naczelnik Wojskowy i Cywilny prowincji przybędzie w następny piątek gotów interweniować w konflikcie.

José Arcadio Drugi od piątku rano znajdował się w tłumie zgromadzonych na stacji. Na zebraniu przywódców związkowych polecono mu, aby wraz z pułkownikiem Gavilanem zmieszał się z tłumem i kierował nim zależnie od obrotu okoliczności. Czuł jakieś dziwne osłabienie i smak saletry w ustach, odkąd zauważył, że wojsko rozmieściło gniazda karabinów maszynowych wokół placyku i że ogrodzonej drutem twierdzy Kompanii Bananowej bronią działa artyleryjskie. Około dwunastej w oczekiwaniu pociągu, który nie przyjeżdżał, przeszło trzy tysiące osób, robotnicy z żonami i dziećmi, wypełniło otwartą przestrzeń przed stacją i cisnęło się w sąsiednich ulicach zamkniętych przez wojsko rzędami karabinów maszynowych. Panowała atmosfera radosnego święta. Z ulicy Turków przeniesiono stragany z jedzeniem i trunkami i wszyscy w dobrym nastroju znosili nudę oczekiwania i żar słoneczny. Wkrótce przed trzecią zaczęła krążyć pogłoska, że pociąg oficjalny przyjedzie dopiero nazajutrz. Zmęczony tłum westchnął z rozczarowaniem. Wówczas pewien porucznik ukazał się na dachu budynku dworcowego, gdzie stały cztery gniazda karabinów maszynowych skierowanych w tłum, i zadął w trąbkę, nakazując ciszę. Obok Josego Arcadia Drugiego stała tęga kobieta, bosa, z dwojgiem dzieci około czterech i siedmiu lat. Mniejsze wzięła na ręce i poprosiła Josego Arcadia, nie znając go, żeby uniósł w górę starsze, by lepiej słyszało, co będą mówić. José Arcadio Drugi wziął chłopca na barana. Wiele lat później chłopiec ten miał opowiadać, choć nikt mu nie wierzył, że widział porucznika czytającego przez tubę gramofonu Dekret Nr 4 Naczelnika Wojskowego i Cywilnego prowincji. Podpisani byli generał Carlos Cortes Vargas i jego sekretarz, major Enrique García Icaza, i w trzech punktach, z których każdy liczył około osiemdziesięciu słów, ogłoszono strajkujących bandą złoczyńców i upoważniono wojsko do strzelania.

Po odczytaniu dekretu, wśród ogłuszających gwizdów protestu, porucznika na dachu dworca zastąpił kapitan i tubą gramofonową dał znak, że chce przemówić. Tłum znowu umilkł.

– Panie i panowie – powiedział kapitan głosem cichym, powolnym i nieco zmęczonym. – Macie pięć minut, aby się rozejść.

Wzmożone gwizdy i krzyki zagłuszyły trąbkę ogłaszającą, że rozpoczyna się wyznaczony czas. Nikt się nie poruszył.

– Minęło pięć minut – powiedział kapitan tym samym tonem. – Jeszcze minuta i otwieramy ogień.

José Arcadio Drugi, oblany lodowatym potem, zdjął dziecko z pleców i oddał je kobiecie. „Ci dranie naprawdę gotowi są strzelać” – szepnęła. José Arcadio Drugi nie miał czasu odpowiedzieć, bo w tej chwili rozpoznał ochrypły głos pułkownika Gavilana wtórujący słowom kobiety. Odurzony napięciem, zdumiewającą głębią ciszy i przekonany poza tym, że nic nie zmusi do ucieczki tego tłumu zafascynowanego wizją śmierci, José Arcadio Drugi wspiął się ponad głowy tych, co stali przed nim, i po raz pierwszy w życiu podniósł głos:

– Łajdaki! – krzyknął. – Darujemy wam tę brakującą minutę!

Gdy przebrzmiał jego krzyk, stało się coś, co wywołało w nim uczucie nie strachu, lecz pewnego rodzaju halucynacji. Kapitan dał rozkaz ognia i czternaście gniazd karabinów maszynowych odpowiedziało mu niezwłocznie. Ale wszystko wydawało się farsą, tak jakby karabiny nabite były nie ołowiem, lecz jakimś produktem sztuki pirotechnicznej, bo słuchano ich straszliwego grzechotu i widziano rozżarzone potoki ich ognistej śliny, ale nie można było dostrzec najlżejszej reakcji, usłyszeć nawet westchnienia w zwartym tłumie, który jakby skamieniał w chwilowej nietykalności. Nagle z boku budynku dworcowego krzyk śmierci przerwał czar: „Aaaj, mamo!”. Jakiś wstrząs podziemny, wulkaniczny podmuch, ryk kataklizmu, wybuchły pośrodku tłumu z niewiarygodną siłą ekspansji. José Arcadio Drugi ledwie zdążył podnieść dziecko, podczas gdy matkę z drugim dzieckiem wchłonął wir paniki, która nagle porwała ludzi.

Wiele lat później chłopczyk miał wciąż jeszcze opowiadać, mimo że wszyscy uważali go za zbzikowanego starca, że José Arcadio Drugi uniósł go ponad swoją głowę i dał się pociągnąć niemal w powietrzu, jakby

kołysząc się na fali przerażenia tłumu, w stronę przyległej ulicy. Uprzywilejowana pozycja dziecka pozwoliła mu dostrzec, że w tej chwili napływająca masa ludzka zaczynała sięgać wylotu ulicy i rząd karabinów maszynowych otworzył ogień. Kilka głosów krzyknęło naraz:

– Na ziemię! Padnij!

Ci z pierwszych rzędów usłuchali już przedtem, powaleni gradem ołowiu. Ci, co ocaleli, zamiast rzucić się na ziemię, próbowali wrócić na plac i panika, niby uderzenie smoczego ogona, pchnęła ich zwartym murem na drugi zwarty mur, który sunął w przeciwnym kierunku, pchnięty drugim ciosem smoczego ogona na przeciwległej ulicy, gdzie także karabiny maszynowe bez przerwy prażyły ogniem. Osaczeni kołowali w jakimś gigantycznym wirze, który stopniowo zmniejszał obwód, ograniczał się do swego centrum, gdyż nienasycone i metodyczne nożyce ołowiu systematycznie ścinały wkoło jego brzegi, niby obrywając łuski cebuli. Chłopczyk widział jakąś kobietę klęczącą, ze skrzyżowanymi ramionami, na pustej przestrzeni, gdzie w jakiś tajemniczy sposób nie przenikały strzały. Tam postawił go José Arcadio Drugi w chwili, gdy osunął się na ziemię, zanim olbrzymia nawałnica ludzka zmiotła pustą przestrzeń, zmiotła klęczącą kobietę, zmiotła światło z wysokiego, rozżarzonego nieba i cały piesko-kurewski świat, gdzie Urszula Iguarán sprzedała tyle zwierzątek z karmelu.

José Arcadio Drugi obudził się, leżąc na wznak w ciemnościach. Zdawał sobie sprawę, że jedzie nieskończenie długim pociągiem pogrążonym w ciszy, że ma włosy zlepione zeschniętą krwią i że bolą go wszystkie kości. Morzyła go nieznośna senność. Gotów spać wiele godzin, z dala od strachu i grozy, ułożył się na boku, który najmniej go bolał, i wtedy dopiero odkrył, że leży na stercie trupów. W wagonie nie było wolnej przestrzeni, prócz wąskiego przejścia pośrodku. Musiało minąć wiele godzin od czasu masakry, bo trupy miały tę samą temperaturę gipsu w jesieni i tę samą konsystencję skamieniałej piany, a ci, co je załadowali do wagonu, mieli czas ułożyć je równo, w takim samym wzorowym porządku, w jakim przewożono kiście bananów. Próbując uciec od koszmaru, José Arcadio przechodził z wagonu do wagonu w kierunku ruchu pociągu i w przebłyskach światła wpadającego przez szczeliny desek, gdy mijano uśpione miasteczka, widział martwych mężczyzn, martwe kobiety, martwe

dzieci, które miały być wrzucone w morze, jak niezdatne do konsumpcji banany. Rozpoznał tylko kobietę, która sprzedawała napoje chłodzące na placu, i pułkownika Gavilana, trzymającego jeszcze zwinięty w ręku ten sam pas ze srebrną klamrą, którym próbował sobie torować drogę pośród paniki. Dobrnąwszy do pierwszego wagonu, wyskoczył w ciemność i leżał na płask w rowie, póki nie przejechał cały pociąg. Był to najdłuższy pociąg, jaki kiedykolwiek widział: liczył prawie dwieście wagonów, z lokomotywą na jednym i drugim końcu i trzecią pośrodku. Nie miał świateł, nawet czerwonych i niebieskich lamp pozycyjnych, i mknął poprzez ciszę nocną z widmową szybkością. Na dachach wagonów można było dostrzec ciemne sylwetki żołnierzy i rozstawione karabiny maszynowe.

Po północy spadł ulewny deszcz. José Arcadio nie miał pojęcia, w jakim miejscu wyskoczył, ale wiedział, że idąc w kierunku przeciwnym niż pociąg, dojdzie do Macondo. Po przeszło trzech godzinach marszu, przemoczony do kości, z głową pękającą z bólu, zobaczył pierwsze domy w świetle brzasku. Znęcony zapachem kawy wszedł do jakiejś kuchni, gdzie kobieta z dzieckiem na ręku pochylała się nad ogniem.

– Dzień dobry – powiedział bez tchu. – To ja, José Arcadio Drugi Buendía.

Wymówił imię i nazwisko, litera po literze, żeby się przekonać, że jest żywy. Dobrze zrobił, bo kobieta myślała, że to zjawa, ujrzawszy w drzwiach posępną, bladą postać, z głową i ubraniem we krwi, tchnącą majestatem śmierci. Znała go. Przyniosła koc, żeby się owinął, podczas gdy schło ubranie przy ogniu, zagrzała wody do obmycia rany, która okazała się tylko draśnięciem, i dała mu czystą pieluszkę, żeby obandażował sobie głowę. Potem dała mu kubek kawy bez cukru, bo słyszała, że tak piją kawę Buendíowie, i rozwiesiła bieliznę i ubranie przy ogniu.

José Arcadio Drugi nie odezwał się, póki nie skończył pić kawy.

– Musiało ich być około trzech tysięcy – szepnął.

– Co?

– Zabitych – wyjaśnił. – Zginęli wszyscy, co byli na stacji.

Kobieta spojrzała na niego z litością. „Tu nie było żadnych zabitych – powiedziała. – Od czasów twego stryja pułkownika nic się nie działo w Macondo”. W trzech kuchniach, w których zatrzymywał się José Arcadio

Drugi, zanim doszedł do domu, powiedziano mu to samo: „Nie było zabitych”. Przeszedł przez placyk na stacji i zobaczył stoły, na których wczoraj sprzedawano przekąski, spiętrzone jedne na drugich, i tam także nie znalazł żadnych śladów masakry. Ulice były puste, w potokach uporczywego deszczu, a domy zamknięte, bez jakichkolwiek znaków życia wewnątrz. Jedyną wieścią ludzką było uderzenie w dzwony na jutrznię. Zastukał do drzwi domu pułkownika Gavilana. Kobieta w ciąży, którą znał z widzenia, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. „Odjechał – powiedziała przestraszona. – Wrócił do swego kraju!”

Główne wejście do zelektryfikowanego kurnika było strzeżone, jak zwykle, przez dwóch miejscowych policjantów, którzy wyglądali jak kamienne posągi w ociekających deszczem płaszczach nieprzemakalnych i ceratowych kaskach. W swojej bocznej uliczce Murzyni z Antyli śpiewali chórem sobotnie psalmy. José Arcadio Drugi przeskoczył ogrodzenie podwórza i wszedł do domu przez drzwi od kuchni. Santa Sofía de la Piedad przywitała go szeptem: „Żeby tylko Fernanda cię nie zobaczyła! – powiedziała. – Lada chwila wstanie z łóżka”. Jakby wypełniając niewypowiedziany słowami pakt, zaprowadziła swego syna do „pokoju nocników”, przygotowała mu rozklekotane łóżko Melquiadesa i około drugiej, kiedy Fernanda odpoczywała po obiedzie, podała mu przez okno talerz z jedzeniem.

Aureliano Drugi spał tego dnia w domu, bo tam zaskoczył go deszcz, i o trzeciej po południu wciąż jeszcze czekał, aż przestanie padać. O tej godzinie, poinformowany w tajemnicy przez matkę, poszedł odwiedzić swego brata w pokoju Melquiadesa. On także nie uwierzył w opowiadanie o masakrze i pociągu wiozącym trupy do morza. Poprzedniej nocy wszyscy czytali nadzwyczajne obwieszczenie rządu stwierdzające, że robotnicy posłuchali rozkazu opuszczenia stacji i spokojnie rozeszli się do domów. W obwieszczeniu informowano także, że przywódcy związkowi, ożywieni duchem patriotyzmu, ograniczyli swoje żądania do dwóch punktów: reformy służby lekarskiej i zbudowania latryn w mieszkaniach. Później podano jeszcze do wiadomości, że władze wojskowe za zgodą robotników pospieszyły zakomunikować to panu Brownowi, który nie tylko przyjął te nowe warunki, ale zaofiarował się pokryć koszty zabaw publicznych dla uczczenia końca konfliktu. Tyle tylko że podobno kiedy przedstawiciele

wojska zapytali o datę podpisania nowej umowy, dyrektor spojrzał przez okno na niebo oświetlane raz po raz błyskawicami i zrobił gest wyrażający niepewność.

– Chyba kiedy się wypogodzi – powiedział. – Póki będą trwały deszcze, przerwiemy wszelkiego rodzaju działalność.

Nie padało od trzech miesięcy i był okres suszy. Ale kiedy pan Brown oznajmił swoją decyzję, w całej strefie bananowej lunął deszcz, który zaskoczył Josego Arcadia na drodze do Macondo. W tydzień później wciąż jeszcze padało. Wersja oficjalna, tysiąc razy powtarzana i rozpowszechniana w całym kraju wszelkimi środkami przekazu, jakie znalazł rząd w swoim zasięgu, w końcu zwyciężyła: nie było zabitych i robotnicy zadowoleni powrócili do swoich rodzin, a Kompania Bananowa zawieszała działalność do czasu, gdy ustaną deszcze. Stan wojenny trwał nadal, w przewidywaniu konieczności zastosowania nadzwyczajnych środków przeciwko publicznej klęsce deszczów, ale wojsko było skoszarowane. W ciągu dnia wojskowi brnęli przez potoki wody na ulicach, w spodniach podwiniętych do połowy łydki, bawiąc się z dziećmi w rozbicie okrętu. W nocy, po godzinie policyjnej, wyłamywali kolbami drzwi domów, wyciągali podejrzanych z łóżka i zabierali z sobą w podróż bez powrotu. Było to wciąż jeszcze poszukiwanie i eksterminacja złoczyńców, morderców, podpalaczy i buntowników objętych Dekretem Nr 4, ale wojskowi przeczyli temu i wypierali się przed krewnymi swych ofiar, którzy oblegali biura dowództwa, pytając o wiadomości. „Na pewno się komuś to wszystko przyśniło – powtarzali oficerowie i urzędnicy. – W Macondo nic się nie stało i nigdy się nie stanie. To jest miasto szczęśliwe”. W ten sposób dokonano eksterminacji przywódców związków zawodowych.

Jedynym, który pozostał przy życiu, był José Arcadio Drugi. Pewnej nocy w lutym dało się słyszeć nieomylne łomotanie kolbami w drzwi. Aureliano Drugi, który wciąż czekał, aż ustanie deszcz, żeby wyjść z domu, poszedł otworzyć i znalazł się oko w oko z sześcioma żołnierzami pod komendą oficera. Ociekający deszczem, bez słowa przeszukali dom, pokój za pokojem, szafę za szafą, od salonów do strychu. Urszula zbudziła się, kiedy zapalili światło w sypialni, i ani razu nie westchnęła podczas trwania rewizji, ale trzymała skrzyżowane palce, poruszając nimi w tym kierunku,

w jakim poruszali się żołnierze. Santa Sofía de la Piedad zdołała uprzedzić Josego Arcadia, który spał w pokoju Melquiadesa, ale on zrozumiał, że już za późno próbować ucieczki. Santa Sofía de la Piedad zamknęła więc drzwi z powrotem, on włożył koszulę i buty i usiadł na łóżku, czekając, aż wejdą żołnierze. W tej chwili przetrząsali warsztat złotniczy. Oficer kazał otworzyć kłódkę i w jednym pospiesznym okrążeniu wnętrza latarką zobaczył stół do pracy, oszkloną gablotkę z buteleczkami kwasów i narzędziami, które znajdowały się wciąż w tym samym miejscu, gdzie zostawił je ich właściciel, i zrozumiał, jak się zdawało, że w tym pokoju nikt nie mieszka. Niemniej spytał chytrze Aureliana Drugiego, czy to on jest złotnikiem, ten zaś odpowiedział, że był to niegdyś warsztat pułkownika Aureliana Buendíi. „Aha" – powiedział oficer i zapaliwszy światło zarządził przeszukiwanie tak dokładne, że uwagi rewidujących nie uszło osiemnaście złotych rybek, które zostały nieprzetopione i były ukryte w blaszanej puszce za buteleczkami. Oficer obejrzał jedną po drugiej na stole roboczym i wtedy zmiękł. „Chciałbym wziąć jedną na pamiątkę – powiedział – w swoim czasie były znakiem rebelii, ale teraz są relikwią". Był młody, niemal w latach chłopięcych, bez odrobiny nieśmiałości, i miał w sobie coś naturalnego i sympatycznego, czego przedtem nie dało się zauważyć. Aureliano Drugi podarował mu rybkę. Oficer włożył ją do kieszeni koszuli z błyskiem dziecinnej radości w oczach, a pozostałe rybki wrzucił do pudełka i postawił je tam, gdzie było.

– To bezcenna pamiątka – powiedział. – Pułkownik Aureliano Buendía był jednym z naszych najwierniejszych ludzi.

Ten ludzki odruch nie wpłynął jednak na jego czynności zawodowe. Przed drzwiami pokoju Melquiadesa, także zamkniętymi na kłódkę, Santa Sofía de la Piedad odwołała się do ostatniej nadziei. „W tym pokoju nikt nie mieszkał prawie od stu lat" – powiedziała. Oficer kazał otworzyć i snopem światła latarki zamiótł ściany dookoła. Aureliano Drugi i Santa Sofía de la Piedad ujrzeli błędne oczy Josego Arcadia Drugiego w momencie, gdy snop światła przesunął się po jego twarzy, i zrozumieli, że tu jest koniec jednego niepokoju i początek drugiego, który dopiero znajdzie ulgę w rezygnacji. Ale oficer dalej oglądał wnętrze za pomocą latarki, nie okazując żadnego zainteresowania, póki nie zauważył siedemdziesięciu dwóch nocników spiętrzonych na szafach. Wtedy zapalił

światło. José Arcadio Drugi siedział na brzegu łóżka, gotów iść za żołnierzami, bardziej uroczysty i zamyślony niż kiedykolwiek. W głębi były półki z rozsypującymi się książkami, zwojami pergaminów i stół do pracy czysty i porządny, ze świeżym jeszcze atramentem w kałamarzach. Ta sama świeżość była w powietrzu i ta sama przezroczystość, ten sam broniący od kurzu i zniszczenia przywilej, który znał Aureliano Drugi w dzieciństwie i którego tylko pułkownik Aureliano Buendía nie mógł dostrzec. Ale oficera interesowały tylko nocniki.

– Ile osób mieszka w tym domu? – zapytał.

– Pięć.

Oficer najwidoczniej nie zrozumiał. Zatrzymał wzrok na tym kawałku przestrzeni, gdzie Aureliano Drugi i Santa Sofía de la Piedad wciąż widzieli Josego Arcadia Drugiego, i ten także zdał sobie sprawę, że oficer patrzy na niego, nie widząc. Potem zgasił światło i zamknął drzwi. Słysząc go rozmawiającego z żołnierzami, Aureliano Drugi zrozumiał, że młody oficer widział wnętrze pokoju tymi samymi oczyma, jakimi patrzył na nie pułkownik Aureliano Buendía.

– To prawda, że nikt nie zaglądał do tego pokoju przynajmniej od stu lat – powiedział oficer do żołnierzy. – Tu muszą być nawet węże.

Z chwilą gdy zamknęły się drzwi, José Arcadio Drugi był pewien, że jego wojna jest skończona. Wiele lat temu pułkownik Aureliano Buendía mówił mu o fascynacji, jaką wywiera wojna, i próbował dowieść jej w niezliczonych przykładach z własnego doświadczenia. Wierzył mu wtedy. Ale tej nocy, gdy żołnierze patrzyli na niego niewidzącym wzrokiem, José Arcadio Drugi, myśląc o napięciu ostatnich miesięcy, o nędzach więzienia, o panice na stacji i pociągu naładowanym trupami, doszedł do wniosku, że pułkownik Aureliano Buendía był błaznem albo głupcem. Nie rozumiał, że można potrzebować tylu słów na wytłumaczenie tego, co się czuje na wojnie, kiedy wystarczy tylko jedno: strach. W pokoju Melquiadesa, pod ochroną sztucznego światła, szmeru deszczu i poczucia, że jest niewidzialny, José Arcadio Drugi znalazł odpoczynek, którego nie zaznał ani przez jedną chwilę swego poprzedniego życia, i jedynym strachem, jaki przetrwał, było to, żeby go nie zakopano żywcem. Santa Sofía de la Piedad, która przyniosła mu posiłek dzienny i której powiedział,

czego się lęka, przyrzekła mu, że będzie starała się żyć jak najdłużej, nawet wtedy, gdy ją opuszczą siły, żeby upewnić się, czy go nie zakopano żywego. Bezpieczny od wszelkich lęków José Arcadio Drugi zajął się więc studiowaniem pergaminów Melquiadesa z tym większą ochotą, im mniej je rozumiał. Gdy przywykł do szmeru deszczowego, który po dwóch miesiącach zmienił się w jakąś nową formę ciszy, jedyną rzeczą zakłócającą jego samotność były kroki, które słyszał, gdy wchodziła i wychodziła Santa Sofía de la Piedad. Dlatego prosił ją, żeby mu stawiała jedzenie na parapecie okna, a drzwi zamknęła na kłódkę. Reszta rodziny zapomniała o nim, nawet Fernanda nie miała nic przeciw temu, żeby go tam zostawić, dowiedziawszy się, że żołnierze widzieli go i nie poznali. Po sześciu miesiącach zamknięcia, kiedy wojsko wycofało się z Macondo, Aureliano Drugi zdjął kłódkę, szukając kogoś, z kim mógłby rozmawiać, póki nie skończą się deszcze. Kiedy otworzył drzwi, uderzył go w nozdrza smród nocników, które były ustawione na podłodze i wszystkie wielokrotnie używane. José Arcadio Drugi, zżerany świerzbem, obojętny na smrodliwe powietrze, czytał bez końca niezrozumiałe pergaminy. Promieniał jakąś anielską błogością. Ledwie podniósł wzrok na odgłos otwierających się drzwi, ale jego bratu wystarczyło to spojrzenie, żeby dostrzec w nim powtórzony obraz nieodwracalnego losu pradziadka.

– Było ich przeszło trzy tysiące – tyle tylko powiedział José Arcadio Drugi. – Wszyscy, którzy się zebrali na stacji.

Deszcz padał cztery lata, jedenaście miesięcy i dwa dni. Były okresy mżawki, kiedy wszyscy wkładali pontyfikalne szaty i przybierali wyraz twarzy rekonwalescentów, żeby uczcić koniec pory deszczowej, wkrótce jednak przyzwyczaili się interpretować te pauzy jako zapowiedzi wzmożonej ulewy. Niebo rozdzierały niszczycielskie burze, a z północy przychodziły huragany, zrywały dachy domów, rozwalały ściany i wyrywały z korzeniami z ziemi ostatnie sadzonki na plantacjach. Tak jak w czasie epidemii bezsenności, którą Urszula przypominała sobie w te dni, sama plaga pobudzała do obmyślania środków obrony przeciwko nudzie. Aureliano Drugi był jednym z tych, którzy najwytrwalej i najenergiczniej opierali się bezczynności. Przyszedł do domu z jakiegoś błahego powodu tego wieczoru, kiedy pan Brown przywołał ducha deszczów, i Fernanda chciała mu dać połamany parasol, który znalazła w szafie. „Nie trzeba – powiedział. – Zostanę tu, póki nie przestanie padać”. Nie było to oczywiście rygorystyczne i bezkompromisowe zobowiązanie, ale mało brakowało, a byłby je wypełnił co do joty. Ponieważ cała jego garderoba znajdowała się u Petry Cotes, co trzy dni ściągał z siebie bieliznę i czekał ubrany tylko w kalesony, aż mu ją wypiorą. Żeby się nie nudzić, zajął się naprawą licznych uszkodzeń w domu. Umocnił zawiasy, naoliwił zamki, poprzykręcał klamki w drzwiach, wyrównał zasuwy. Przez kilka miesięcy krążył po domu ze skrzynką z narzędziami, którą prawdopodobnie zapomnieli zabrać Cyganie za czasów Josego Arcadia Buendíi, i nikt nie wiedział, czy to z powodu tych ćwiczeń gimnastycznych, czy jesiennej melancholii, czy też na skutek przymusowego postu brzuch spadał mu stopniowo, kurczył się jak skórzany bukłak, jego oblicze rozpromienionego

żółwia stało się mniej czerwone, a podbródek mniej nalany, aż wreszcie cały mniej zaczął przypominać gruboskórca i mógł znowu sam sobie wiązać sznurowadła u butów. Widząc go naprawiającego klamki i rozkręcającego zegary, Fernanda zastanawiała się, czy on także nie padł ofiarą błędnego koła, jak pułkownik Aureliano Buendía ze złotymi rybkami, Amaranta ze swoim całunem, José Arcadio Drugi z pergaminami, a Urszula ze wspomnieniami. Ale to nie była prawda. To deszcz niszczył i psuł wszystko, między trybami maszyn najbardziej jałowych wyrastały kwiatki, jeśli się ich nie oliwiło co trzy dni, rdzewiały nitki brokatów, a na zamoczonej do prania bieliźnie kiełkowały wodorosty. Atmosfera tak tchnęła wilgocią, że ryby mogłyby wpływać drzwiami i wypływać przez okna w napowietrznej żegludze po pokojach. Któregoś ranka Urszula obudziła się z wrażeniem, że umiera, zapadając w jakieś kojące omdlenie, i prosiła już, żeby sprowadzono ojca Antonia Isabel, choćby miał przyjść na czworakach, kiedy Santa Sofía de la Piedad odkryła na jej plecach mozaikę pijawek. Ściągano je jedną po drugiej, przypalając rozżarzoną głownią, zanim zdążyły wykrwawić Urszulę do końca. Trzeba było kopać kanały celem odwodnienia domu, oczyścić go z ropuch i ślimaków, tak żeby mogły wyschnąć podłogi i żeby można wyjąć cegły podstawione pod nogi łóżek i zacząć na nowo chodzić w butach. Zajęty tysiącznymi drobiazgami, które wymagały jego interwencji, Aureliano Drugi nie zdawał sobie sprawy, że się starzeje, aż do pewnego popołudnia, kiedy odpoczywając w swym fotelu, przyłapał się na kontemplacji przedwcześnie zapadającego zmierzchu i odkrył, że myśli o Petrze Cotes bez emocji. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby powrócić do ckliwej miłości Fernandy, której urodę nieco już przyćmiły dojrzałe lata, ale deszcz chronił go przed wszelkimi przypływami namiętności i studził wrzenie krwi. Zabawiał się, myśląc o rozrywkach, którym mógł oddawać się niegdyś, przy tym wtórze szmeru spływającej wody, trwającym już blisko rok. Był jednym z pierwszych, którzy sprowadzili do Macondo blachy cynkowe na długo przedtem, zanim Kompania Bananowa wprowadziła je w modę, po to tylko, żeby zrobić z nich dach nad sypialnią Petry Cotes i radować się nastrojem intymności domowego zacisza, jaki wywoływało w nim uderzanie kropel o blachę. Ale nawet te wspomnienia wybryków bujnej młodości pozostawiały go niewzruszonym, jak gdyby ostatnia hulanka, wyczerpawszy jego temperament, nagrodziła go w zamian za to cudownym darem zdolności

wspominania miłosnych uciech bez goryczy i żalu. Można by przypuszczać, że potop dostarczył mu okazji do rozmyślań w fotelu, a szamotanie się z obcęgami i śrubokrętem obudziło spóźnione tęsknoty do wszystkich pożytecznych zajęć, jakich mógłby w swoim życiu dokonać i nie dokonał. Ale ani jedno, ani drugie nie było prawdą, bo krążąca wokół niego pokusa spokojnej egzystencji domatora przybywała z o wiele dalszych stron, odgrzebana kilofem deszczu, z czasów, kiedy w pokoju Melquiadesa czytywał czarodziejskie baśnie o latających dywanach i wielorybach, które odżywiały się okrętami z całą załogą. Wtedy to, któregoś z tych dni przez nieuwagę Fernandy wyjrzał na korytarz mały Aureliano i dziadek poznał tajemnicę jego pochodzenia. Ostrzygł mu włosy, ubrał, nauczył nie bać się ludzi i bardzo prędko okazało się, że chłopiec jest nieodrodnym potomkiem Buendíów, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, ze swoim zdumionym spojrzeniem i obyczajem samotności. Dla Fernandy była to ulga. Od dawna poznała już bezmiar swej dumy, ale nie wiedziała, jak ją odkupić, bo im bardziej medytowała nad rozwiązaniami, tym mniej słuszne jej się wydawały. Gdyby wiedziała, że Aureliano Drugi przyjmie sytuację tak, jak to zrobił, z dobrodusznością dziadka, nie szukałaby tylu wykrętów i nie zwlekała przez tyle czasu, tylko jeszcze przed rokiem zrzuciłaby z siebie brzemię udręki. Dla Amaranty Urszuli, która traciła już mleczne zęby, siostrzeniec był czymś w rodzaju ruchomej zabawki, pocieszającej w nudzie deszczu. Aureliano Drugi przypomniał sobie wtedy o encyklopedii angielskiej, która dotychczas leżała niedotykana przez nikogo w dawnej sypialni Meme. Najpierw zaczął pokazywać dzieciom obrazki, zwłaszcza zwierząt, a później mapy, fotografie z dalekich krajów i portrety sławnych ludzi. Ponieważ nie znał angielskiego i ledwie mógł się zorientować w nazwach najbardziej znanych miast i nazwiskach osób, zaczął z własnej fantazji czerpać nazwy i napisy pod fotografiami, żeby zaspokoić nienasyconą ciekawość dzieci.

Fernanda naprawdę myślała, że jej małżonek czeka końca potopu, żeby wrócić do konkubiny. W pierwszych miesiącach deszczu bała się, że wieczorem będzie próbował wejść do jej sypialni, i drżała na myśl o wstydzie, jaki będzie musiała znieść, tłumacząc mu, że jest niezdolna do pojednania od czasu narodzin Amaranty Urszuli. To była przyczyna jej niecierpliwej korespondencji z niewidzialnymi lekarzami, często

przerywanej przeszkodami w komunikacji pocztowej. W pierwszych miesiącach, kiedy napływały wiadomości o katastrofach na kolei wywołanych przez burze, jeden z niewidzialnych lekarzy poinformował ją, że jej listy giną. Później, kiedy kontakt z nieznanymi korespondentami został przerwany, poważnie myślała o tym, żeby włożyć tygrysią maskę, którą nosił jej mąż w czasie krwawego karnawału, i pod fałszywym nazwiskiem dać się zbadać któremuś z lekarzy Kompanii Bananowej. Ale jedna z tych licznych osób, które przychodziły wówczas do domu, przynosząc złe nowiny, powiedziała jej, że Kompania likwiduje ambulatoria, żeby je przenieść na suche tereny. Wtedy straciła nadzieję. Pogodziła się z koniecznością czekania, aż minie plaga i unormuje się komunikacja, próbując tymczasem ulżyć swoim utajonym dolegliwościom środkami własnej inwencji, bo wolała umrzeć, niż oddać się w ręce jedynego lekarza pozostałego w Macondo, Francuza, który zwykł odżywiać się ziołami, dobrymi dla mułów, a nie dla ludzi. Zwierzyła się ze swoich kłopotów Urszuli w nadziei, że ta zna jakieś sposoby leczenia domowego. Ale fatalny zwyczaj nienazywania rzeczy po imieniu kazał jej wprowadzać daleko idące zmiany i nieścisłości z dziedziny anatomii i fizjologii, żeby wszystko wyglądało mniej wstydliwie, Urszula doszła więc w końcu do logicznego wniosku, że nie chodzi tu o zaburzenia hormonalne, lecz gastryczne, i poradziła jej zażywać proszki kalomelu po śniadaniu. Gdyby nie ta choroba, która nie miała w sobie nic wstydliwego dla kogoś, kto sam nie chorował na wstydliwość, i gdyby nie te zaginione listy, Fernanda nie miałaby nic przeciwko deszczowej pladze, bo ostatecznie całe życie było dla niej takie, jak gdyby bez przerwy padał deszcz. Nie zmieniła godzin w rozkładzie dnia i nie pozwoliła na żadne odstępstwa w rytuałach domowych. Kiedy stół był jeszcze ustawiony na cegłach i podkładano deski pod krzesła, żeby zasiadający do posiłków nie moczyli nóg w wodzie, w dalszym ciągu kazała używać lnianych obrusów i chińskiej porcelany i zapalała kandelabry do kolacji, uważając, że plagi przyrody nie mogą służyć za pretekst do rozluźnienia obyczajów. Nikt nie wysuwał nosa poza dom. Gdyby to zależało od Fernandy, nikt nie robiłby tego nigdy, nie tylko odkąd zaczęły się deszcze, ale od czasów dużo dawniejszych, bo według niej drzwi wynaleziono po to, żeby je zamykać, a to, co się dzieje na ulicy, mogło być ciekawe tylko dla ulicznic. A jednak ona pierwsza wyszła na

próg, kiedy zapowiedziano, że przechodzi kondukt pogrzebowy pułkownika Gerinelda Marqueza.

Trudno było sobie wyobrazić orszak bardziej żałosny. Ustawiono trumnę na wozie zaprzężonym w woły, a nad nią skonstruowano rodzaj daszka z liści bananowych, ale deszcz lał tak gwałtowny i na ulicach tyle było błota, że koła grzęzły w nim co krok, a dach z liści groził zawaleniem. W smętnych strumieniach wody spływających na trumnę mókł sztandar, którym ją przykryto, brudny od kurzu i krwi sztandar, wzgardzony przez weteranów najbardziej czcigodnych. Na trumnie leżała także szabla z wisiorkami z jedwabiu i miedzi, ta sama, którą pułkownik Gerineldo Márquez zawieszał na kołku w salonie, aby wejść bez broni do szwalni Amaranty. Za wozem, niektórzy boso, a wszyscy w spodniach podwiniętych do połowy łydki, człapali przez kałuże ostatni z tych, co przeżyli kapitulację w Neerlandii, podpierając się laską, a w drugiej ręce niosąc wieńce z papierowych kwiatów odbarwionych przez deszcz. Ukazali się jak wizja z przeszłości na ulicy, która jeszcze nosiła miano pułkownika Aureliana Buendíi, i wszyscy, przechodząc, spojrzeli na dom i skręcili za rogiem placu, gdzie musieli prosić o pomoc, żeby wyciągnąć wóz z błota. Na prośbę Urszuli Santa Sofía de la Piedad podprowadziła ją do drzwi. Z taką uwagą śledziła perypetie pogrzebu, że nikt nie wątpił w to, iż go widzi, zwłaszcza że jej podniesiona w górę dłoń zwiastującego anioła poruszała się wraz z ruchem utykającego wozu.

– Żegnaj, Gerineldo, synu mój! – zawołała. – Pozdrów moich ludzi i powiedz, że zobaczymy się, jak tylko obeschnie.

Aureliano Drugi pomógł jej wrócić do łóżka i z tą samą bezceremonialną poufałością, z jaką traktował ją zawsze, spytał, co miało znaczyć to pożegnanie.

– To jest prawda – odpowiedziała. – Czekam tylko, aż deszcz ustanie, aby umrzeć.

Stan ulic przeraził Aureliana Drugiego. Ze spóźnionym niepokojem o los swoich zwierząt zarzucił na siebie ceratową płachtę i wyruszył do domu Petry Cotes. Zastał ją na podwórzu, po pas w wodzie, kiedy usiłowała wydobyć na powierzchnię końskiego trupa. Aureliano Drugi pomógł jej żerdzią i olbrzymie wzdęte cielsko obróciło się i odpłynęło porwane

prądem. Odkąd zaczęły się deszcze, Petra Cotes nie robiła nic innego, tylko oczyszczała swoje podwórze ze ścierwa zwierząt. W ciągu pierwszych tygodni wzywała Aureliana Drugiego przez posłańców, żeby jak najprędzej zabezpieczył stajnie i obory, a on odpowiadał jej, że nie ma pośpiechu, że sytuacja nie jest groźna i że pomyśli o tym, jak tylko obeschnie. Posyłała mu wiadomości, że stajnie toną, że bydło ucieka w stronę gór, gdzie nie ma co jeść i znajduje się na łasce jaguara lub zarazy. „Nic na to nie poradzimy – odpowiadał Aureliano Drugi. – Urodzi się nowe bydło, jak tylko deszcze miną". Petra Cotes widziała, jak zdychały całe stada, i prawie już nie zadawała sobie trudu, żeby ćwiartować na mięso zwierzęta utopione w błocie. Bezsilnie patrzyła, jak potop niszczy bez miłosierdzia fortunę, która w swoim czasie była największa i najsolidniejsza w całym Macondo, a teraz nie zostało z niej nic prócz fetoru. Kiedy Aureliano Drugi zdecydował się wreszcie przyjść i zobaczyć, co się dzieje, znalazł tylko końskie ścierwo i jednego wynędzniałego muła pośród szczątków stajni. Petra Cotes z daleka patrzyła, jak nadchodzi, bez zdziwienia, bez radości czy goryczy, i pozwoliła sobie tylko na ironiczny uśmiech.

– W samą porę! – powiedziała. Postarzała się, schudła tak, że zostały same kości, a jej wąskie oczy drapieżnego zwierzęcia stały się smutne i bezmyślne od ciągłego patrzenia na deszcz. Aureliano Drugi został u niej przez trzy miesiące nie dlatego, żeby lepiej czuł się w jej domu niż w rodzinnym, ale dlatego że tyle czasu potrzebował, żeby powziąć decyzję zarzucenia sobie znowu ceratowej płachty na ramiona. „Nie ma pośpiechu – mówił jak przedtem w tamtym domu. – Miejmy nadzieję, że już wkrótce się wypogodzi". W ciągu pierwszego tygodnia przyzwyczajał się do szkód, jakie czas i deszcz wyrządziły zdrowiu jego konkubiny, i stopniowo zaczynał ją widzieć taką, jaką była przedtem, przypominając sobie jej radosne szaleństwa i niepojętą płodność, do jakiej pobudzała zwierzęta jej miłość, i częściowo z miłości, a częściowo z wyrachowania, pewnej nocy w drugim tygodniu obudził ją natarczywymi pieszczotami. Petra Cotes przyjęła je z obojętnością. „Śpij spokojnie – mruknęła. – Już na to nie pora, nie te czasy". Aureliano Drugi zobaczył siebie w lustrach sufitu, zobaczył kręgosłup Petry Cotes niby rząd szpulek nawleczonych na postronek zwiotczałych nerwów, i zrozumiał, że ona ma rację, nie jeśli chodzi o czasy, ale o nich samych, że już się do tego nie nadają.

Aureliano Drugi wrócił do domu ze swymi kuframi, przekonany, że nie tylko Urszula, ale wszyscy mieszkańcy Macondo czekają na lepszą pogodę, żeby umrzeć. Przechodząc, widział, jak siedzieli w salonach wpatrzeni w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, ze skrzyżowanymi ramionami, czując, jak mija czas, nieograniczony niczym, nieposkromiony, bo nie było po co dzielić go na miesiące i lata ani dni na godziny, skoro nie można było robić nic poza obserwowaniem deszczu. Dzieci powitały radośnie Aureliana Drugiego, który znowu zaczął je rozweselać grą na astmatycznym akordeonie. Ale koncerty nie pochłaniały ich uwagi tak jak oglądanie encyklopedii, toteż wznowiono posiedzenia w dawnym pokoju Meme, gdzie imaginacja Aureliana Drugiego przeobrażała zeppelin w latającego słonia poszukującego miejsca, żeby ułożyć się do snu wśród chmur. Kiedyś natrafił na obraz mężczyzny na koniu, który mimo egzotycznych szat miał w sobie coś dobrze znajomego, i po długim wpatrywaniu się doszedł do wniosku, że jest to portret pułkownika Aureliana Buendíi. Pokazał go Fernandzie i ona także zauważyła podobieństwo jeźdźca, nie tylko do pułkownika, ale do wszystkich członków rodziny, chociaż w rzeczywistości był to jakiś wojownik tatarski. I tak mijał mu czas między kolosem rodyjskim a zaklinaczami węży, aż pewnego dnia małżonka oznajmiła mu, że w domu zostało już tylko sześć kilo solonego mięsa i jeden worek ryżu w spiżarni.

– No więc co mam zrobić? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Fernanda. – To sprawy mężczyzn.

– Dobrze – oświadczył. – Coś się wymyśli, jak tylko przestanie padać.

W dalszym ciągu bardziej interesowała go encyklopedia niż kłopoty domowe, nawet wtedy, gdy musiał się zadowalać ochłapem mięsa i odrobiną ryżu na obiad. „Teraz i tak nic się nie da zrobić – mówił. – Nie może przecież padać przez całe życie”. Im dalej odsuwał od siebie problemy spiżarni, tym bardziej rosło oburzenie Fernandy, aż wreszcie jej słabe protesty i ograniczone wyładowania nerwów rozpętały się w niepohamowany potok słów, który rozpoczął się pewnego ranka jak monotonne brzęczenie gitary i z biegiem dni przybierał tony coraz wyższe, coraz wspanialsze i bardziej różnorodne. Do uszu Aureliana Drugiego dotarł dopiero następnego dnia po śniadaniu. Oszołomiony brzęczeniem głośniejszym i bardziej uporczywym niż deszcz, uświadomił sobie, że

Fernanda chodzi tam i z powrotem po wszystkich pokojach, lamentując nad tym, że wychowano ją jak królową po to, żeby skończyła jak służąca w domu wariatów, z mężem próżniakiem, bezbożnikiem i libertynem, który cały dzień leży do góry brzuchem, czekając, aż chleb zacznie spadać z nieba, gdy ona tymczasem haruje jak wół, żeby utrzymać na poziomie życie w tym domu niczym niezabezpieczonym, gdzie tyle jest do roboty i gdzie tyle rzeczy trzeba znosić i tyle naprawiać od świtu do późnej nocy, tak że kładzie się do łóżka z oczyma jakby pełnymi sproszkowanego szkła, a mimo to nikt dotychczas jej nie powiedział ani razu „dzień dobry, Fernando, czy dobrze spałaś, Fernando” i nie zapytał, bodaj przez grzeczność, czemu jest taka blada i dlaczego wstaje rano z tymi fioletowymi kręgami pod oczyma, choć oczywiście ona się nie spodziewa, żeby zdobył się na coś takiego ktokolwiek z tej rodziny, która w gruncie rzeczy zawsze traktowała ją jak zawalidrogę, jak szmatę do szorowania garnków, jak koczkodana wymalowanego na ścianie, w tym domu, gdzie wszyscy zawsze spiskowali przeciw niej po kątach, nazywali ją świętoszką, nazywali ją obłudnicą i jaszczurką, do tego stopnia, że nawet kiedyś Amaranta, świeć, Panie, nad jej duszą, powiedziała jej na cały głos, że własne gówno traktuje jak relikwię, niech jej Bóg przebaczy te bluźnierstwa, a ona wszystko zniosła w pokorze, ofiarowując swoje poniżenie na intencję Ojca Świętego, ale nie mogła ścierpieć, kiedy ten złoczyńca José Arcadio Drugi powiedział, że na własną zgubę rodzina otworzyła drzwi przed tą despotką z obcych stron, wyobraźcie sobie coś podobnego – despotką! – rodem z płaskowyżu, rodaczką tych żandarmów, których rząd tu przysłał, żeby zabijali robotników, i wyraził się w ten sposób ni mniej, ni więcej, tylko o niej, chrzestnej córce księcia Alby, damie tak szlachetnie urodzonej, że wszystkim małżonkom prezydentów przewracały się wątroby, szlachciance najczystszej krwi, która ma prawo podpisywać się jedenastoma nazwiskami hiszpańskimi i jest jedną jedyną śmiertelniczką w tym mieście przybłędów, która nie zamienia się w słup soli na widok siedemnastu sztućców przy nakryciu i stara się przyzwoicie podawać jedzenie po to, żeby jej mąż, rozpustnik i cudzołożca, pękając ze śmiechu, mówił, że tyle łyżek i tyle widelców to chyba potrzebują stonogi, nie chrześcijanie, i ona jedna ze wszystkich zamieszkałych tu śmiertelników może z zamkniętymi oczyma powiedzieć, kiedy się podaje białe wino, po której stronie nakrycia i w jakim kieliszku, a kiedy się podaje

czerwone, z której strony i w jakim kieliszku, a nie jak ta prostaczka Amaranta, świeć, Panie, nad jej duszą, co uważała, że białe wino podaje się w dzień, a czerwone wieczorem; i ona jedyna na całym wybrzeżu mogła się poszczycić tym, że używa do potrzeb naturalnych złotego nocnika po to, żeby później pułkownik Aureliano Buendía, Panie, świeć nad jego duszą, miał czelność ją zapytać, z tą swoją zgryźliwością masona, skąd sobie zasłużyła na taki przywilej i czy to, co ona robi do nocnika, to może gwiezdny pył, a nie zwyczajne gówno, i żeby Renata, jej rodzona córka, która zajrzała kiedyś przez ordynarne wścibstwo do jej nocnika w sypialni, odpowiedziała mu, że i owszem, prawda, że nocnik jest złoty i z herbami, ale to w nim, w środku, to najzwyklejsze w świecie ziemskie gówno, może jeszcze gorsze od innych, bo nietutejsze i śmierdzi płaskowyżem, to nie do wiary, jej własna rodzona córka, toteż nigdy nie robiła sobie złudzeń co do reszty rodziny, ale tak czy owak ma chyba prawo oczekiwać trochę więcej uszanowania od własnego męża, bo jest bądź co bądź jej współmałżonkiem, uświęconym przez sakrament, jej legalnym prześladowcą, który z własnej i nieprzymuszonej woli przyjął na swoje barki tak poważną odpowiedzialność jak zabranie jej z domu ojca, gdzie nigdy niczego jej nie brakowało i na nic nie mogła się uskarżać, gdzie plotła wieńce pogrzebowe dla przyjemności i rozrywki, bo jej ojciec chrzestny przysłał list ze swoim podpisem i herbem na swoim pierścieniu odciśniętym w laku po to tylko, by napisać, że ręce jego chrzestnej córki nie są stworzone do zajęć potrzebnych dla tego świata, chyba tylko takich jak gra na klawikordzie, a jednak mimo wszystko jej zwariowany mąż zabrał ją z rodzicielskiego domu, nie słuchając żadnych napomnień i przestróg, i zawiózł do tego przedsionka piekieł, gdzie nie można oddychać z gorąca, i jeszcze zanim ona skończyła swoje dni pokutne z okazji Zielonych Świąt, już ją porzucił i odszedł ze swoimi wędrownymi kuframi i swoim niesławnym akordeonem, żeby nurzać się w bagnie rozpusty z tą z piekła rodem ladacznicą, bo wystarczyło tylko zobaczyć jej pośladki, żeby wiedzieć, co to za jedna, to znaczy zobaczyć, jak ona kręci tymi pośladkami i jak je wypina, żeby odgadnąć, że to najskrajniejsze przeciwieństwo jej, Fernandy, która zawsze jest damą, w pałacu czy w nędznej chacie, przy stole czy w łóżku, damą z urodzenia, bogobojną, posłuszną prawu i ulegle znoszącą swoje przeznaczenie, i z nią, rzecz jasna, on nie może wyprawiać tych wszystkich cyrkowych sztuczek i łajdactw co z tamtą, która oczywiście na

wszystko jest gotowa, jak te matrony francuskie, a nawet jeszcze gorzej, kiedy się nad tym zastanowić, bo tamte przynajmniej na tyle są uczciwe, że zapalają czerwoną latarnię nad drzwiami, wyobrazić sobie tylko, że na podobne świństwa miałaby pozwolić ona, jedyna i ukochana córka doñi Renaty Argote i don Fernanda del Carpio, przede wszystkim jego córka, świątobliwego męża i przykładnego chrześcijanina, kawalera Orderu Grobu Świętego, z tych, co prosto od Boga otrzymują ten specjalny przywilej, że nie rozkładają się w grobie i pozostają tacy jak za życia, ze skórą gładką jak atłas panny młodej i żywymi oczyma, przezroczystymi jak szmaragdy…

– Co to, to nieprawda – przerwał jej Aureliano Drugi. – Kiedy go przyniesiono, już cuchnął.

Słuchał jej cierpliwie przez cały dzień, dopóki nie przyłapał jej na tej nieścisłości. Fernanda nie zwróciła na to uwagi, ale zniżyła głos. Tego wieczoru przy kolacji irytujące brzęczenie jej kantyczki zagłuszyło szmer deszczu. Aureliano Drugi zjadł bardzo niewiele, nie odrywając oczu od talerza, i wcześnie poszedł spać. Nazajutrz przy śniadaniu Fernanda drżała jak po nieprzespanej nocy i rzekłbyś, że wyzbyła się doszczętnie swoich uraz. Niemniej, gdy jej mąż spytał, czy mógłby dostać jajko na miękko, nie odpowiedziała mu po prostu, że jajek brakuje już od tygodnia, tylko wygłosiła sardoniczną diatrybę przeciwko ludziom, którzy spędzają cały czas na adoracji własnego pępka, a potem mają czelność dopominać się o frykasy przy stole. Aureliano Drugi zabrał się do przeglądania z dziećmi encyklopedii, jak zwykle, a Fernanda udawała, że robi porządki w sypialni Meme, po to tylko, żeby on słyszał jej mrukliwe uwagi na temat bezczelności, z jaką trzeba się urodzić, żeby wmawiać biednym niewiniątkom, że pułkownik Aureliano Buendía uwieczniony jest na portrecie w encyklopedii. Po południu, kiedy dzieci spały, Aureliano Drugi usiadł na ganku, ale nawet tam nie przestała ścigać go Fernanda, prowokując go, dokuczając, kręcąc się wokół niego ze swym nieubłaganym brzęczeniem trzmiela, mówiąc, że lada dzień w domu do jedzenia pozostaną już tylko kamienie, ale jej męża, rzecz jasna, nic to nie obchodzi, siedzi sobie jak turecki basza, przyglądając się deszczowi, bo do niczego więcej się nie nadaje i zresztą niczego więcej nie można wymagać od wałkonia, fanfarona, mazgaja miękkiego jak z waty, który przyzwyczaił się żyć z pracy kobiet i przekonany jest, że się ożenił z małżonką Jonasza,

którą zadowoliła bajeczka o wielorybie. Aureliano Drugi słuchał jej przeszło dwie godziny bez jednego drgnięcia, jakby był głuchy. Przerwał jej dopiero późnym popołudniem, kiedy nie mógł już dłużej znieść tego rezonansu bębna rozsadzającego mu głowę.

– Zamilknij już, na litość boską – powiedział błagalnie.

Fernanda, wręcz przeciwnie, podniosła głos. „Nie mam powodu milczeć – powiedziała. – Kto nie chce mnie słuchać, może odejść”. Wtedy Aureliano Drugi stracił panowanie nad sobą. Wstał bez pośpiechu, jakby chciał tylko rozprostować sobie kości, i z doprowadzoną do perfekcji zimną metodyczną furią chwytał jedną po drugiej doniczki z begoniami, paprociami i majerankiem i jedną po drugiej roztrzaskiwał o ziemię. Fernanda przestraszyła się, bo prawdę mówiąc, dotychczas nie uświadamiała sobie jasno straszliwej siły swojej melopei, ale już było za późno na wszelkiego rodzaju próby sprostowania. Porwany rozpętaną nawałnicą wyładowującej się wściekłości, Aureliano Drugi potłukł oszklone ściany i dach ganku i jedną po drugiej, nie spiesząc się, wydobywał z kredensu sztuki porcelany, ciskał je o podłogę i robijał na proszek. Systematycznie, pogodnie, z taką samą wytrwałością, z jaką niegdyś wytapetował dom banknotami, zaczął potem rozbijać o ściany kryształy czeskie, ręcznie malowane flakony porcelanowe, obrazy dziewic w barkach pełnych róż, lustra w złoconych ramach, wszystko, co tylko dało się rozbić i połamać, od salonu do spiżarni, i skończył na olbrzymim dzbanie w kuchni, który roztrzaskał na środku dziedzińca z głośnym hukiem. Potem umył sobie ręce, zarzucił na głowę ceratową płachtę i przed północą wrócił, niosąc kilka połci solonego mięsa, woreczków ryżu i kukurydzy z robakami, i parę żałosnych kiści bananów. Od tego czasu nie brakowało już w domu jedzenia.

Amaranta Urszula i mały Aureliano mieli wspominać potop jako szczęśliwy okres swego życia. Mimo rygorów Fernandy chlapali się w błocie na dziedzińcu, polowali na jaszczurki, żeby je ćwiartować, i bawili się w zatruwanie zupy, wrzucając do garnka pył ze skrzydeł motylich, ilekroć Santa Sofía de la Piedad odwróciła się na chwilę. Ich najulubieńszą zabawką była Urszula. Uważali ją za wielką, rozsypującą się ze starości lalkę, ciągali ją z kąta w kąt ustrojoną w kolorowe szmaty, z twarzą umazaną sadzą i arniką, a kiedyś omal nie wydłubali jej oczu nożycami

ogrodowymi, jak żabie. Nic ich tak nie cieszyło, jak jej mówienie od rzeczy. Istotnie, coś w jej mózgu musiało się popsuć w trzecim roku deszczu, bo stopniowo zatracała poczucie rzeczywistości i myliła teraźniejszość z najdalszymi okresami swego życia, tak że kiedyś przez trzy dni gorzko opłakiwała śmierć swojej prababki Petroneli Iguarán, pochowanej przeszło sto lat temu. Wszystko jej się mieszało w głowie do tego stopnia, że małego Aureliana brała za swego syna pułkownika z czasów, kiedy zaprowadzono go do obozu Cyganów, żeby zobaczył lód, a José Arcadio przebywający w seminarium w Rzymie był dla niej jej pierworodnym, który poszedł za Cyganami. Tyle mówiła o rodzinie, że dzieci nauczyły się rozróżniać wszystkich jej członków – wymyśliły nową zabawę polegającą na zapraszaniu wyimaginowanych gości, którzy nie tylko dawno już umarli, ale żyli w innych epokach. Siedząc na łóżku, z włosami posypanymi popiołem i twarzą obwiązaną czerwoną chustką, Urszula czuła się szczęśliwa w otoczeniu nieistniejących krewnych, których dzieci opisywały jej tak szczegółowo, jakby ich znały naprawdę. Rozmawiała ze swymi przodkami o rzeczach, które działy się przed jej urodzeniem, radowała się nowinami, które jej przynosili, i razem z nimi opłakiwała zmarłych, którzy zeszli z tego świata wiele lat po śmierci jej gości. Wkrótce dzieci nie omieszkały zauważyć, że podczas tych wizyt zza świata Urszula zawsze pytała o kogoś, kto przyniósł do domu w czasie wojny gipsową statuę świętego Józefa naturalnej wielkości z prośbą, żeby go przechowano do końca deszczów. W ten sposób Aureliano Drugi przypomniał sobie o pieniądzach zakopanych w jakimś miejscu znanym tylko Urszuli, ale daremne były jego pytania i podstępne manewry, jakimi usiłował wyciągnąć z niej prawdę, bo w labiryntach swego obłędu Urszula zachowała, rzekłbyś, pewien margines trzeźwości, aby bronić sekretu, który miała zdradzić tylko temu, kto dowiedzie, że jest prawowitym właścicielem zakopanego złota. Tak była zręczna i nieprzejednana, że gdy jeden z towarzyszy hulanek Aureliana Drugiego na jego polecenie odegrał rolę odnalezionego właściciela fortuny, poddała go drobiazgowemu przesłuchaniu, z którego subtelnych pułapek nie mógł się wyplątać.

Przekonany, że Urszula zabierze z sobą tajemnicę do grobu, Aureliano Drugi wynajął drużynę kopaczy pod pretekstem przeprowadzenia kanałów odwadniających na dziedzińcu i bocznym podwórku i sam sondował ziemię

żelaznymi drągami, z pomocą wszelkiego rodzaju wykrywaczy metali, ale po trzech miesiącach wyczerpujących badań geologicznych nie znalazł nic, co by przypominało złoto. Wreszcie udał się do Pilar Ternery w nadziei, że karty zdziałają więcej niż łopaty i kilofy, ale ona już na wstępie wyjaśniła, że wszelkie próby są daremne, jeśli Urszula sama nie przełoży kart. Potwierdziła natomiast istnienie skarbu, określając go szczegółowo jako siedem tysięcy dwieście czternaście monet w trzech workach brezentowych związanych drutem, zakopanych wewnątrz koła o promieniu stu dwudziestu dwóch metrów, biorąc jako środek koła miejsce, gdzie stoi łóżko Urszuli, ale uprzedziła, że zostanie to odnalezione dopiero wtedy, gdy skończą się deszcze i słońce trzech kolejnych czerwców zamieni błoto w kurz. Obfitość i drobiazgowa niejasność tych wskazówek wydała się Aurelianowi Drugiemu tak podobna do opowieści z seansów spirytystycznych, że uparł się przy tym przedsięwzięciu, chociaż był to sierpień i należało czekać przynajmniej trzy lata na spełnienie warunków przepowiedni. Pierwsze, co go zdumiało, a zarazem jeszcze bardziej zbiło z tropu, było to sprawdzenie, że od łóżka Urszuli do płotu zewnętrznego podwórza odległość wynosi dokładnie sto dwadzieścia dwa metry. Fernanda przestraszyła się, że jej mąż zwariował, tak samo jak jego brat bliźniak, kiedy zobaczyła go robiącego pomiary, a jeszcze bardziej gdy kazał drużynie kopaczy pogłębiać rowy o jeszcze jeden metr. Porwany gorączką poszukiwacza złota, podobnie jak jego pradziadek, kiedy poszukiwał drogi do wielkich wynalazków, Aureliano Drugi stracił ostatnie fałdy tłuszczu, jakie jeszcze pozostały na jego ciele, i dawne podobieństwo do brata bliźniaka znowu zaczęło się rysować nie tylko w wychudłej postaci, ale także w sposobie bycia, dalekim i roztargnionym. Nie zajmował się już dziećmi. Jadał o jakiejkolwiek godzinie, utytłany w błocie od stóp do głów, w kącie kuchni, ledwie odpowiadając na pytania, jakie czasem ośmielała mu się zadać Santa Sofía de la Piedad. Widząc go tak zapracowanym jak nigdy, Fernanda, która przedtem nie potrafiłaby sobie tego nawet wyobrazić, wzięła jego beztroskę za skwapliwość, chciwość za poświęcenie, a upór za wytrzymałość i zaczęło ją gryźć sumienie z powodu złośliwości, z jaką wyrzucała mu nieróbstwo. Aureliano Drugi nie był jednak w nastroju do chrześcijańskich pojednań. Zanurzony po szyję w grzęzawisku zgniłych kwiatów i uschniętych gałęzi, przetrząsał piędź za piędzią ziemię w ogrodzie, skończywszy z podwórzem wewnętrznym i bocznym, i tak głęboko

podważył fundamenty wschodniego ganku domu, że pewnej nocy wszyscy zerwali się obudzeni czymś, co wydawało się kataklizmem, zarówno ze względu na wstrząsy jak i groźne trzeszczenie podziemne, i stwierdzili, że wali się część ganku i że przerażająca szczelina biegnie stamtąd aż do sypialni Fernandy. Nie skłoniło to Aureliana Drugiego do zaniechania trudów. Nawet kiedy już zgasły ostatnie nadzieje i tylko przepowiednie z kart zdawały się mieć jeszcze jakiś sens, umocnił nadwerężone fundamenty, zatkał szczelinę zaprawą murarską i dalej przekopywał niezmordowanie zachodnią stronę domu. Tam zastał go jeszcze drugi tydzień czerwca, kiedy deszcz zaczął się uspokajać, chmury podniosły się wyżej i widać było, że lada chwila rozjaśni się niebo. Tak też się stało. Pewnego piątku o drugiej po południu nad światem rozbłysło zdumione słońce, karmazynowe, ostre jak pył ceglany i niemal równie chłodne jak woda, a potem deszcz już nie padał przez dziesięć lat.

Macondo było jedną ruiną. W grzęzawiskach na ulicy pozostały połamane meble, szkielety zwierząt, z których wykwitały kolorowe lilie, ostatnie ślady hordy najeźdźców, którzy uciekli z Macondo równie nagle, jak przybyli. Domy, budowane z takim pośpiechem podczas gorączki bananowej, stały pustką. Z dawnego państwa za drutami zostały tylko szczątki. Drewniane domy, cieniste tarasy, gdzie upływały pogodne popołudnia na grze w karty, wydawały się zmiecione podmuchem zwiastującym ów biblijny wiatr, który wiele lat później miał zgładzić Macondo z powierzchni ziemi. Jedynym ludzkim śladem, jaki zostawił po sobie ten żarłoczny podmuch, była rękawiczka Patrycji Brown w samochodzie zarosłym polnymi bratkami. Zaczarowana kraina, którą odkrył José Arcadio Buendía w czasach założenia Macondo i gdzie później prosperowały plantacje bananów, była gąszczem zgniłych pędów, na którego dalekim widnokręgu przez wiele lat dostrzec było można milczące fale morza. Aureliano Drugi przeżył chwile ciężkiego przygnębienia w pierwszą niedzielę, kiedy włożył na siebie suche ubranie i wyszedł na rekonesans na miasto. Ci, co przetrwali katastrofę, wszyscy ci, co już mieszkali w Macondo, zanim jego podstawami wstrząsnął huragan Kompanii Bananowej, siedzieli na środku ulicy, radując się pierwszymi promieniami słońca. Ich skóra zachowała jeszcze zielony kolor wodorostów i zapach stęchlizny – piętno, jakim naznaczyły ją deszcze, ale w głębi serc

wydawali się zadowoleni z odzyskania miasta, gdzie się narodzili. Ulica Turków wyglądała tak jak niegdyś, w pierwszych latach, kiedy Arabowie w szpiczastych ciżmach i z obręczami w uszach, ci sami, którzy przebiegli świat, wymieniając papugi na świecidełka, znaleźli tu zaciszną przystań, gdzie mogli odpocząć po tysiącletniej wędrówce. Po deszczu towary na bazarach gniły i rozpadały się na kawałki, te, które wystawiono w otwartych drzwiach, porosły mchem, lady podminowane były przez termity, a ściany zżarte wilgocią, ale Arabowie trzeciego pokolenia siedzieli w tym samym miejscu i w tej samej pozie co ich ojcowie i dziadkowie, milczący, nieulękli, odporni na czas i klęskę, równie żywi lub równie martwi jak po pladze bezsenności i trzydziestu dwóch wojnach pułkownika Aureliana Buendíi. Tak zdumiewająca była ich siła ducha w obliczu szczątków stołów do gry, straganów z przysmakami, strzelnic jarmarcznych i uliczki, gdzie tłumaczono sny i przepowiadano przyszłość, że Aureliano Drugi ze zwykłą bezceremonialnością pytał ich, jakie cudowne sposoby zastosowali, żeby nie zginąć od piorunów w czasie burzy, jak, u diabła, to zrobili, żeby nie utonąć. Jeden za drugim, od progu do progu, odpowiadał mu takim samym filuternym uśmiechem i rozmarzonym spojrzeniem i wszyscy, nie umawiając się, dawali tę samą odpowiedź:

– W wodzie trzeba umieć pływać!

Petra Cotes, jedyna bodaj ze wszystkich tu urodzonych, miała w sobie serce Araba. Widziała ostatnie resztki swoich obór i stajen zmiecione przez burzę, ale udało jej się ocalić dom, który stał nietknięty. Przez ostatni rok wysyłała do Aureliana Drugiego naglące polecenia, on jednak zawsze odpowiadał, że nie wie, kiedy wróci do domu, ale w każdym wypadku przyniesie z sobą skrzynię złotych monet, żeby wyłożyć nimi podłogę sypialni. Wtedy zaczęła rozpaczliwie szperać we własnym sercu w poszukiwaniu siły, która pozwoliłaby jej przetrwać nieszczęście, i znalazła tam wściekłość, trzeźwą i sprawiedliwą, i poprzysięgła sobie odbudować fortunę roztrwonioną przez kochanka i do reszty wyniszczoną przez powódź. Była to decyzja tak niezłomna, że Aureliano Drugi wrócił do domu w osiem miesięcy po ostatnim wezwaniu i zastał ją zzieleniałą, rozczochraną, z zapadłymi oczyma i skórą zżartą przez liszaje, ale wypisującą numery na kawałeczkach papieru, żeby zorganizować loterię. Aureliano Drugi stał osłupiały i tak był wychudły i uroczysty, że Petra

Cotes nie poznała go, pewna, że przyszedł do niej nie ten, który był jej kochankiem przez całe życie, ale jego brat bliźniak.

– Oszalałaś – powiedział. – Chyba że zamiast fantów chcesz losować kości.

Wtedy kazała zajrzeć mu do sypialni i Aureliano Drugi zobaczył muła. Składał się wyłącznie ze skóry i kości, jak jego właścicielka, ale był równie żywy i zdecydowany jak ona. Petra Cotes żywiła go swoją wściekłością i kiedy już nie było trawy ani kukurydzy, ani korzeni, zabrała go do swojej sypialni i dawała mu do jedzenia perkalowe prześcieradła, perskie dywany, pluszowe kapy, aksamitne kotary i wreszcie haftowany złotymi nićmi baldachim z jedwabną frędzlą nad biskupim łożem.

Urszula musiała się zdobyć na wielki wysiłek, żeby dopełnić swego przyrzeczenia i umrzeć, kiedy się wypogodzi. Przebłyski trzeźwości umysłu, tak rzadkie przez cały czas trwania deszczów, stały się częstsze, począwszy od sierpnia, kiedy zerwał się ostry wiatr, łamiąc krzaki róż, wysuszając błoto na kamień i przysypując Macondo lepkim pyłem, który przykrył na zawsze pordzewiałe dachy cynkowe i stuletnie migdałowce. Urszula płakała z żalu, dowiedziawszy się, że przez trzy lata z górą była zabawką w rękach dzieci. Umyła pomazaną twarz, zdjęła z siebie strzępy wstążek, zeschłe jaszczurki i żaby, szkaplerze i stare naszyjniki arabskie, którymi była obwieszona na całym ciele, i pierwszy raz od śmierci Amaranty podniosła się z łóżka bez niczyjej pomocy, żeby na nowo włączyć się w życie rodziny. Hart jej niestrudzonego serca pozwolił orientować się w ciemnościach. Ci, którzy widzieli jej potknięcia i zawadzali w przejściu o jej archanielskie ramię zawsze uniesione na wysokości głowy, myśleli, że z trudem dźwiga swoje ciało, ale jeszcze nie wierzyli w jej ślepotę. Nie potrzebowała wzroku, żeby wiedzieć, że grządki kwiatów, tak pieczołowicie hodowanych od czasu pierwszej rozbudowy domu, zostały zniszczone przez deszcz i rozkopane przez Aureliana Drugiego, że popękały ściany i cement podłogi, że meble chwieją się i obłażą z politury, drzwi wypadają z zawiasów, a rodzinie grozi przygnębienie i upadek ducha, nie do pomyślenia za jej czasów. Posuwając się po omacku przez opustoszałe sypialnie, słyszała nieustające drążenie termitów, buszowanie moli w szafach i niszczycielskie bzyczenie olbrzymich czerwonych mrówek, które rozpleniły się podczas potopu i przeżarły fundamenty domu. Pewnego dnia otworzyła kufer z figurami

świętych i Santa Sofía de la Piedad musiała jej pomóc strząsnąć z siebie karaluchy, które wyskoczyły z wnętrza i zżarły ubrania na proszek. „Nie można żyć w takim niedbalstwie – wołała. – Jak tak dalej pójdzie, nas samych w końcu pożrą bestie”. Odtąd nie zaznała chwili wypoczynku. Na nogach od świtu, prosiła o pomoc i zatrudniała każdego, kto był pod ręką, nawet dzieci. Wystawiła na słońce nieliczną garderobę, która nadawała się jeszcze do użytku, wypłoszyła karaluchy środkami owadobójczymi, zniszczyła ścieżki termitów w drzwiach i oknach i zalała niegaszonym wapnem gniazda. Gorączka odnawiania zaprowadziła ją w końcu do zapomnianych pomieszczeń. Kazała oczyścić ze śmieci i pajęczyn pokój, gdzie Josemu Arcadiowi Buendíi wysechł mózg w poszukiwaniu kamienia filozoficznego, uporządkowała warsztat złotniczy zdewastowany przez żołnierzy, a w końcu zażądała kluczy od pokoju Melquiadesa, żeby sprawdzić, w jakim stanie się znajduje. Wierna życzeniu Josego Arcadia Drugiego, który zabronił wstępu do siebie, dopóki nie będzie jakiejś oczywistej wskazówki, że umarł, Santa Sofía de la Piedad użyła wszelkiego rodzaju wykrętów, żeby zmylić Urszulę. Tak niezłomne było jednak jej postanowienie, by nie zostawić insektom nawet najskrytszego i najbardziej zapomnianego kąta domu, że usunęła wszystkie przeszkody, jakie próbowano stawiać, i po trzech dniach nalegań dopięła tego, że otworzono przed nią pokój. Musiała chwycić się futryny, żeby nie zemdleć od smrodu, ale wystarczyły dwie sekundy, by sobie przypomniała, że tam przechowywano siedemdziesiąt dwa nocniki pensjonarek i że którejś z pierwszych nocy deszczowych patrol żołnierzy przeprowadzał rewizję w domu, szukając Josego Arcadia Drugiego i nie mógł go znaleźć.

– Boże święty! – zawołała, jakby widziała wszystko. – Tyle starań, żeby cię nauczyć czystości i porządku po to, abyś skończył w chlewie!

José Arcadio Drugi nie przestał odczytywać pergaminów. W splątanym kołtunie włosów świeciły tylko zęby z zielonym połyskiem i nieruchome oczy.

Poznając głos prababki, zwrócił głowę w kierunku drzwi, spróbował się uśmiechnąć i bezwiednie powtórzył niegdyś wypowiedziane przez nią zdanie:

– Cóż chcesz – mruknął – czas mija.

– To prawda – powiedziała Urszula – ale nie aż tak szybko.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że odpowiada mu tak samo, jak jej odpowiedział pułkownik Aureliano Buendía w swojej celi skazańca, i wzdrygnęła się znowu, stwierdzając wbrew temu, co przyznała przed chwilą, że czas nie mija, lecz kręci się w kółko. Ale i wtedy nie dała za wygraną. Skrzyczała Josego Arcadia Drugiego jak dziecko i zmusiła go, żeby się wykąpał, ogolił i użyczył siły swego ramienia przy robocie z odnowieniem domu. Sama myśl opuszczenia czterech ścian, które zapewniły mu spokój, wzbudziła grozę Josego Arcadia Drugiego. Krzyknął, że nie ma takiej siły ludzkiej, która by go zmusiła do wyjścia, bo nie chce widzieć pociągu o dwustu wagonach załadowanych trupami, który co wieczór odjeżdża z Macondo w kierunku morza. „Wszyscy, co byli na stacji – krzyczał. – Trzy tysiące czterysta osiem osób”. Wtedy dopiero zrozumiała Urszula, że José Arcadio Drugi żyje w świecie ciemności bardziej nieprzeniknionym niż jej świat, równie nieprzystępnym i samotnym jak świat jego dziadka. Zostawiła go w spokoju, ale nie zamykano już drzwi na kłódkę, sprzątano codziennie, nocniki wyrzucono na śmietnik, pozostawiając tylko jeden, i José Arcadio Drugi musiał prezentować się równie schludnie jak jego pradziadek w swoim więzieniu pod kasztanem. Fernanda z początku uważała tę krzątaninę za atak starczego obłędu i z trudem powstrzymywała rozdrażnienie. Ale w tym czasie José Arcadio napisał z Rzymu, że zamierza przyjechać do Macondo, zanim przyjmie święcenia kapłańskie, i ta dobra nowina wzbudziła w niej taki zapał, że sama zabrała się do roboty i cztery razy dziennie podlewała kwiaty, by jej syn nie wyniósł z domu złego wrażenia. Ten sam bodziec skłonił ją do przyspieszenia korespondencji z niewidzialnymi medykami i przystrojenia ganku w donice, w których jak dawniej rosły paprocie, majeranek i begonie, zanim jeszcze Urszula zdążyła się dowiedzieć, że wszystko to padło ofiarą niszczycielskiego szału Aureliana Drugiego. Później sprzedała srebrną zastawę i kupiła naczynia fajansowe, cynowe talerze i łyżki, sztućce z alpaki, gasząc splendor szaf nawykłych do porcelany Towarzystwa Indyjskiego i czeskich kryształów. Urszula posunęła się jeszcze dalej. „Otwórzcie drzwi i okna – wołała. – Gotujcie mięso i ryby, kupujcie największe żółwie, niech przyjdą cudzoziemcy, niech rozkładają swoje maty po kątach, niech siusiają na róże. Niech siadają do stołu, ile razy

zechcą jeść i gadać, niech brudzą i zabłocą wszystko swoimi butami, niech z nami zrobią, co im się podoba, bo to jedyny sposób, żeby wygnać ruinę". Ale to pozostało w sferze złudzeń. Była już za stara i za długo żyła, żeby jeszcze raz powtórzyć cud ze zwierzątkami z karmelu, a nikt z jej potomstwa nie odziedziczył po niej siły charakteru. Na żądanie Fernandy dom nadal pozostał zamknięty.

Aureliano Drugi, który z powrotem przeniósł swoje kufry do domu Petry Cotes, dysponował środkami wystarczającymi ledwie na to, aby rodzina nie umarła z głodu. Za pieniądze uzyskane z wylosowania muła Petra Cotes i on kupili inne zwierzęta i zdołali zorganizować prymitywne przedsiębiorstwo gry na loterii. Aureliano Drugi chodził od domu do domu, zachęcając wszystkich do kupna ozdobnych biletów, które sam malował kolorowymi farbami, żeby wydawały się bardziej atrakcyjne i przekonujące, i może nie zdawał sobie sprawy, że wiele osób kupowało je od niego przez wdzięczność, a większość z litości. Jednakże nawet najbardziej litościwi z nabywców nie gardzili okazją wygrania prosiaka za dwadzieścia centavos lub cielaka za trzydzieści dwa i podekscytowani nadzieją, co wtorek wieczorem tłoczyli się na podwórzu Petry Cotes w oczekiwaniu momentu, gdy wybrane na chybił trafił dziecko wyciągnie z worka wygrywający numer. Wkrótce losowanie zmieniło się w cotygodniowy jarmark, bo już od zmierzchu instalowano na dziedzińcu stragany ze specjałami i napojami i wielu szczęśliwców na miejscu zabijało wygrane zwierzę, pod warunkiem że inni postarają się o muzykę i wódkę, tak więc zupełnie niechcący Aureliano Drugi znowu zaczął grywać na akordeonie i uczestniczyć w skromnych turniejach obżarstwa. Te ubożuchne repliki festynów z dawnych dni pozwoliły Aurelianowi Drugiemu odkryć, jak bardzo upadł w nim duch i wyschła pomysłowość genialnego moczymordy. To już nie był on. Sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi, do których doszedł w czasach pojedynku z Elefantą, zredukowały się do siedemdziesięciu ośmiu. Dobroduszna i pucołowata gęba żółwia stała się obliczem iguany i wyrażała nudę i zmęczenie. Dla Petry Cotes jednak nigdy nie był milszy sercu niż wtedy, może dlatego że myliła miłość ze współczuciem, jakie w niej wzbudzał, z solidarnością i koleżeństwem, jakie w obojgu obudziła nędza. Zdewastowane łóżko przestało być miejscem szaleństw i stało się miejscem zwierzeń. Wolni od

niedyskretnych luster, które sprzedali, żeby kupić zwierzęta na loterię, od zjedzonych przez muła adamaszków i perwersyjnych aksamitów, do późnej nocy robili rachunki, z niewinnością dwojga źle sypiających staruszków, wykorzystując na liczenie pieniędzy czas, niegdyś poświęcany na ich trwonienie. Często pierwsze koguty zastawały ich na układaniu monet w małe wzgórki, ujmowali z jednego i dokładali do drugiego, tak by starczyło na wszystko: to na gospodarstwo dla Fernandy, a tamto na buciki dla Amaranty Urszuli, a to żeby Santa Sofía de la Piedad, która od niepamiętnych czasów nie miała nowej sukienki, mogła ją sobie kupić, a tamto dla stolarza na trumnę, jeżeli umrze Urszula; to na kawę, która zdrożała o jednego centavo na funcie w ciągu trzech miesięcy, a tamto na cukier, który był coraz mniej słodki; a to na drzewo – jeszcze było mokre od czasu potopu – a tamto na papier i kolorowy atrament do sporządzania biletów; a to wszystko, co zostanie, musi iść na amortyzację kosztów cielaka, z którego cudem zdołali ocalić skórę, bo dostał karbunkułów akurat w czasie kwietniowego ciągnienia, kiedy wszystkie numery już były wyprzedane. Te msze w katakumbach miały w sobie coś prawdziwie wzniosłego, bo zawsze przeznaczali największą część dla Fernandy, i to nie z litości czy pod wpływem wyrzutów sumienia, lecz dlatego, że jej dobrobyt był dla nich ważniejszy niż własny. W rzeczy samej, aczkolwiek żadne z nich sobie tego nie uświadamiało, obydwoje myśleli o Fernandzie jak o córce, którą chcieliby mieć i nie mieli, tak dalece, że kiedyś przez trzy dni nie jedli nic prócz zupy z kukurydzy, żeby Fernanda mogła sobie kupić holenderski obrus. Niemniej, chociaż zabijali się pracą, pomimo najsurowszej oszczędności i wielu iście czarodziejskich sztuczek, ich aniołowie stróże spali widocznie ze zmęczenia, podczas gdy oni układali i rozkładali monety tak, żeby przynajmniej wystarczyło na życie. Nie mogąc później zasnąć po niepomyślnym bilansie, rozmyślali, co to się stało na świecie, dlaczego zwierzęta nie rozmnażają się z dawną obfitością, dlaczego pieniądze rozpływają się w rękach, a ludzie, którzy do niedawna palili pliki banknotów w szale hulanek, uważają teraz za rozbój liczenie po dwanaście centavos za bilet w loterii na sześć kur. Aureliano Drugi myślał, nie mówiąc tego, że zło tkwi nie w świecie, tylko w jakimś ukrytym zakamarku tajemniczego serca Petry Cotes, gdzie coś się popsuło podczas potopu, wywołując bezpłodność zwierząt i płynność pieniędzy. Zaintrygowany tą zagadką szperał tak głęboko w jej uczuciach, że szukając

zysku, znalazł miłość, starając się, żeby ona go kochała, pokochał ją sam. Petra Cotes natomiast kochała go tym mocniej, im bardziej czuła, że wzrasta jego czułość, i tak to w pełni jesieni zaczęła wierzyć w młodzieńczy przesąd, że bieda jest służką miłości. Oboje wspominali wtedy jako przeszkodę bezmyślne hulanki, bogactwo na pokaz i niczym nieskrępowaną rozpustę, lamentując, ile życia zmarnowali na to, by znaleźć raj dzielonej samotności. Rozkochani w sobie bez pamięci, po tylu latach jałowego wspólnictwa, radowali się z cudu miłości tak samo odczuwanej przy stole jak w łóżku i w końcu stali się tak szczęśliwi, że nawet jako para bezsilnych staruszków figlowali wciąż z sobą jak króliczki i gryźli się jak psy.

Loteria fantowa nigdy nie przyniosła wielkich zysków. Z początku Aureliano Drugi trzy dni w tygodniu spędzał zamknięty w swoim dawnym biurze hodowcy bydła, rysując bilet po bilecie, malując z pewnym zacięciem artystycznym czerwoną krówkę, zieloną świnkę albo stado niebieskich kur, zależnie od gatunku losowanego zwierzątka, i kaligrafował, zręcznie imitując drukowane czcionki, nazwę, którą Petra Cotes uznała za odpowiednią dla ich przedsiębiorstwa: Loteria Boskiej Opatrzności. Z czasem jednak malowanie dwóch tysięcy biletów tygodniowo tak go znudziło, że zamówił pieczątki z wizerunkami zwierząt, nazwą i numerem i wtedy praca ograniczyła się do przykładania ich do poduszeczek w różnych kolorach tuszu. W ostatnich latach wpadli na pomysł zastąpienia numerów zagadkami, tak żeby nagroda była rozdzielona między wszystkich, którzy dali trafne rozwiązanie, ale system ten okazał się tak skomplikowany i budził tyle zastrzeżeń, że zaniechali go po pierwszej próbie.

Aureliano, zajęty zdobywaniem renomy dla swojej loterii fantowej, prawie nie widywał dzieci. Fernanda oddała Amarantę Urszulę do prywatnej szkółki, gdzie przyjmowano tylko sześć uczennic, ale nie chciała pozwolić, żeby Aureliano uczył się w szkole publicznej. Uważała, że już i tak zbyt wiele ustąpiła, pozwalając mu wychodzić z pokoju. Poza tym w szkołach w tych czasach przyjmowano tylko prawowite dzieci małżeństw katolickich, a na świadectwie urodzenia przyczepionym do kaftanika dziecka, kiedy je przyniesiono do domu, Aureliano był zarejestrowany jako podrzutek. Tak więc został w domu na łasce litościwej opieki Sofíi de la

Piedad i przejaśnień umysłowych Urszuli, odkrywając zawężony świat domu, tak jak mu go tłumaczyły babki. Był wrażliwy, szczupły, obdarzony dociekliwością, która wyprowadzała z równowagi starszych. W przeciwieństwie do pytającego, a czasem jasnowidzącego spojrzenia, jakie miał pułkownik w jego wieku, jego spojrzenie było ruchliwe i trochę roztargnione. W czasie gdy Amaranta Urszula przebywała w szkole, łapał glisty i torturował owady w ogrodzie. Ale kiedyś, gdy Fernanda zaskoczyła go wkładającego do pudełka skorpiony, ażeby potem wpuścić je do łóżka Urszuli, zamknęła go w dawnej sypialni Meme, gdzie urozmaicał swoje samotne godziny oglądaniem rysunków w encyklopedii. Tam znalazła go Urszula pewnego popołudnia, kiedy skrapiała cały dom mokrym od rosy porannej pęczkiem pokrzyw, i choć wiele razy już z nim rozmawiała, zapytała go, kim jest.

– Jestem Aureliano Buendía – odpowiedział.

– Prawda – powiedziała wtedy. – Najwyższy czas, żebyś zaczął się uczyć sztuki złotniczej.

Znowu pomyliła go ze swoim synem, ponieważ minął ciepły wiatr, który nastał po potopie i przywrócił umysłowi Urszuli przejściową jasność. Nie odzyskała rozumu. Wchodząc do swojej sypialni, zastawała tam Petronilę Iguarán w krynolinie, o którą zawadzał każdy z przechodzących, i w żakieciku naszywanym paciorkami, który nosiła na uroczyste wizyty; była tam także Tranquilina Maria Miniata Alacoque Buendía, jej babka, która wachlowała się piórem pawia w swoim fotelu paralityczki, i pradziadek Aureliano Arcadio Buendía w fałszywym dolmanie gwardii wicekróla, i Aureliano Iguarán, jej ojciec, który ułożył specjalną modlitwę skuteczną przeciwko kleszczom nękającym bydło, i jej świątobliwa matka, i kuzyn z ogonem prosięcia, i José Arcadio Buendía, i jej zmarli synowie – wszyscy siedzieli na krzesłach ustawionych przy ścianie, jakby tu przyszli nie z wizytą, ale na uroczystość czuwania przy zmarłym. Z każdym z nich Urszula nawiązała nić rozmowy, łącząc w barwnym wątku sprawy bardzo odległe od siebie w czasie i przestrzeni, i kiedy Amaranta Urszula wróciła ze szkoły, a Aureliano znudził się przeglądaniem encyklopedii, znajdowali ją głośno mówiącą do siebie i zagubioną w labiryncie zmarłych. „Gore!” – krzyknęła kiedyś przestraszona, wywołując na chwilę popłoch w całym domu, ale ten okrzyk odnosił się do pożaru stajni, na który patrzyła

w wieku czterech lat. Doszła w końcu do takiego pomieszania przeszłości z czasem obecnym, że podczas tych kilku przebłysków świadomości, które nawiedziły ją przed śmiercią, nikt nie był pewien, czy mówi o tym, co czuje, czy wspomina rzeczy dawne. Stopniowo zaczynała kurczyć się i upodabniać do embriona czy mumii, tak że w ostatnich miesiącach swego życia wyglądała jak suszona śliwka zagubiona w za dużej na nią koszuli, a wzniesione archanielskie ramię w końcu zaczęło przypominać łapkę małpiego niemowlęcia. Czasem nie poruszała się przez parę dni i Santa Sofía de la Piedad musiała nią potrząsać, żeby przekonać się, czy żyje, i sadzała ją sobie na kolana, karmiąc po łyżeczce wodą z cukrem. Wyglądała jak sędziwy noworodek. Amaranta Urszula i Aureliano nosili ją na rękach po sypialni, kładli na ołtarzu, żeby zobaczyć, czy jest większa niż Dzieciątko Jezus, a pewnego popołudnia schowali ją w szafie w spiżarni, gdzie omal nie zjadły jej szczury. W Palmową Niedzielę weszli do sypialni, kiedy Fernanda była na mszy, i podnieśli ją z łóżka, trzymając za głowę i za nogi.

– Biedna prapraprababcia – powiedziała Amaranta Urszula – umarła nam ze starości!

Urszula wzdrygnęła się.

– Przecież ja żyję! – zawołała.

– Widzisz – powiedziała Amaranta Urszula, hamując śmiech – już nawet nie oddycha.

– Ja przecież mówię! – krzyknęła Urszula.

– Już nic nie mówi – powiedział Aureliano. – Umarła, cichutka jak świerszczyk.

Wtedy Urszula poddała się oczywistości. „Mój Boże – szepnęła – więc to już śmierć” – i zaczęła odmawiać modlitwę, pospiesznie, z głębi duszy. Trwało to przeszło dwa dni, w Wielki Wtorek prośby do Boga zaczęły się przeplatać z serią praktycznych porad i przestróg, żeby kolorowe mrówki nie rozsadziły domu, żeby nigdy nie pozwolono zgasnąć lampce przy dagerotypie Remedios, żeby żaden z Buendíów nie poślubił kogoś tej samej krwi, bo wtedy rodzą się dzieci ze świńskim ogonem. Aureliano Drugi próbował wykorzystać ten obłęd i wydobyć z niej wyznanie, gdzie jest zakopane złoto, ale jego błagania i tym razem okazały się daremne. „Kiedy

przyjdzie właściciel – powiedziała Urszula – Bóg go oświeci i wskaże mu, gdzie ma szukać”. Santa Sofía de la Piedad była pewna, że w każdej chwili zastanie ją martwą, gdyż zauważyła w tych dniach zakłócenia w przyrodzie: róże pachniały koprem, wypadła jej z rąk tykwa wypełniona grochem i ziarenka ułożyły się na ziemi w idealnym porządku geometrycznym w kształt rozgwiazdy, a którejś nocy zobaczyła przelatujący po niebie sznur świetlistych krążków pomarańczowych.

Umarła w Wielki Czwartek. Ostatnim razem, kiedy pomagano jej obliczyć własny wiek za czasów Kompanii Bananowej, obliczenia dały przybliżony wynik stu piętnastu, stu dwudziestu lat życia. Pochowano ją w skrzyneczce niewiele większej od koszyka, w którym przyniesiono Aureliana, i tylko nieliczna garstka osób wzięła udział w pogrzebie, bo bardzo już niewielu pozostało z tych, co ją pamiętali, a poza tym tego popołudnia był taki upał, że oszołomione ptaki rozbijały się jak śrut o ściany i przerywały metalowe siatki w oknach, żeby umrzeć w sypialniach.

Z początku przypuszczano, że to nowa plaga. Gospodynie ledwie trzymały się na nogach od ciągłego zamiatania zdechłych ptaków, zwłaszcza w godzinie sjesty, a mężczyźni ładowali je na wózki i wrzucali do rzeki. W Niedzielę Wielkanocną stuletni ojciec Antonio Isabel ogłosił z ambony, że ptaki zdychają na skutek złych fluidów rozsiewanych przez Żyda Wiecznego Tułacza, którego on sam widział poprzedniej nocy. Opisał go jako hybrydę, skrzyżowanie kozła z samicą heretyczką, piekielną bestię, której oddech zatruwa powietrze i której obecność powoduje płodzenie potworów przez nowo zaślubione pary. Niewiele osób zwróciło uwagę na to apokaliptyczne kazanie, bo całe miasto było przekonane, że proboszczowi pomieszało się w głowie ze starości. Ale w następną środę pewna kobieta obudziła wszystkich o świcie, krzycząc, że znalazła odciśnięte na ziemi ślady dwunoga z kopytami. Ślady były tak wyraźne i autentyczne, że ci, którzy pobiegli je zobaczyć, nie mieli wątpliwości co do istnienia straszliwego potwora podobnego do tego z opisu proboszcza i jednomyślnie postanowili zainstalować pułapki na swoich podwórkach. Tak więc potwór został schwytany. W dwa tygodnie po śmierci Urszuli któregoś ranka Petra Cotes i Aureliano Drugi obudzili się przerażeni rozlegającym się w pobliżu beczeniem olbrzymiego barana. Kiedy wstali, zwierz przestał już beczeć

i gromada mężczyzn zdejmowała go z wyostrzonych włóczni umieszczonych w głębi dołu przykrytego zeschłymi liśćmi. Ważył tyle co wół, mimo że wzrostem nie przewyższał przeciętnego chłopaka, a z jego ran ciekła lepka zielona krew. Całe ciało pokrywała szczeć usiana maleńkimi larwami, a skóra podobna była do łuski ryby, ale w przeciwieństwie do opisu proboszcza jego członki przypominały raczej cherlawego anioła niż mężczyznę, bo ręce miał gładkie i zwinne, oczy duże i zamglone, a na łopatkach widać było zakrzepłe blizny potężnych skrzydeł prawdopodobnie odrąbanych siekierą drwala. Zawieszono go głową w dół na drzewie migdałowym pośrodku placu, tak żeby każdy mógł go obejrzeć, a kiedy zaczął się rozkładać, wrzucono ścierwo do ogniska, ponieważ nie można było ustalić, czy natura tego mieszańca każe go zaliczyć do zwierząt i wrzucić do rzeki, czy też do chrześcijan, w którym to wypadku powinien zostać pogrzebany w ziemi. Nie stwierdzono, czy to istotnie przez niego zdychały ptaki, ale nowożeńcy nie spłodzili zapowiedzianych potworów ani nie zmniejszył się upał.

Pod koniec tego roku umarła Rebeka. Argenida, służąca, która była przy niej całe życie, prosiła o pomoc władze miejskie, aby wyważyć drzwi sypialni, gdzie jej pani była zamknięta od trzech dni, i znaleziono ją w łóżku, zwiniętą jak krewetka, z głową wyłysiałą od świerzbu i kciukiem tkwiącym w ustach. Aureliano Drugi zajął się pogrzebem i próbował odrestaurować dom, żeby go sprzedać, ale zniszczenie było tak daleko posunięte, że tynki odpadały zaraz po malowaniu i żadna zaprawa murarska nie zdołała zapobiec rozpadowi podłóg i gniciu belek obrośniętych mchem.

Wszystko tak wyglądało od czasów potopu. Apatia ludzi kontrastowała z żarłocznością zapomnienia, stopniowo i bezlitośnie zżerającego wszystko, co pozostało w pamięci, tak dalece, że w tym czasie, z okazji nowej rocznicy traktatu z Neerlandią, przybyli do Macondo emisariusze prezydenta Republiki, aby wreszcie doręczyć order tylekroć odrzucany przez pułkownika Aureliana Buendíę, i całe popołudnie stracili, szukając kogoś, kto by im wskazał któregokolwiek z jego potomków. Aureliano Drugi miał ochotę przyjąć medal, pewien, że jest ze szczerego złota, ale Petra Cotes w ostatniej chwili odwiodła go od tej niegodnej pokusy, kiedy emisariusze przygotowali już przemówienie na uroczystość. W tym także czasie powrócili Cyganie, ostatni spadkobiercy nauk Melquiadesa, i zastali

Macondo tak wyniszczone, a mieszkańców tak odseparowanych od reszty świata, że znów zaczęli krążyć po domach, ciągnąc namagnetyzowane sztabki, jakby naprawdę był to ostatni wynalazek babilońskich mędrców, i znowu skupiali promienie słoneczne olbrzymią lupą, i nie zabrakło takich, co wytrzeszczali ze zdumienia oczy i otwierali usta na widok spadających patelni i toczących się rondli, ani takich, co płacili po pięćdziesiąt centavos, by móc do woli przyglądać się starej Cygance, która wyjmowała i zakładała swoją sztuczną szczękę. Rozklekotany żółty pociąg, który nikogo nie przywoził ani nie zabierał i ledwie przystawał na opustoszałej stacji, był wszystkim, co pozostało po tłocznym pociągu pasażerskim, do którego pan Brown doczepiał swój wagon ze szklanym dachem i biskupimi fotelami, i po stu dwudziestu wagonach towarowych, których przejazd z ładunkiem bananów zajmował całe popołudnie. Delegaci kurii biskupiej, którzy przyjechali sprawdzić wiarygodność doniesień o dziwnej śmiertelności ptaków i całopaleniu Żyda Wiecznego Tułacza, zastali ojca Antonia Isabel bawiącego się z dziećmi w ciuciubabkę i uważając jego sprawozdanie za wytwór halucynacji, zabrali go do przytułku dla starców. Wkrótce potem przybył przysłany przez kurię ojciec Agusto Angel, nieugięty i nieustraszony krzyżowiec nowych czasów, który osobiście parę razy dziennie pociągał za dzwony, by nie zasypiały dusze wiernych, i chodził od domu do domu, wzywając ospałych na poranną mszę; ale przed upływem roku i on także został zwyciężony przez atmosferę ruiny i pustki, jaką oddychało się wraz z powietrzem, przez gorący kurz, który przysypywał i paraliżował wszystko, przez senność, o którą w nieznośnym upale sjesty przyprawiały go zjadane co dzień na obiad mielone kotlety.

Po śmierci Urszuli dom znowu popadł w zaniedbanie, z którego nie mogła go podźwignąć nawet wola tak silna i żywotna jak Amaranty Urszuli, która wiele lat później, będąc kobietą bez przesądów, wesołą i nowoczesną, otworzyła drzwi i okna, by wystraszyć ruinę, doprowadziła do porządku ogród, wytępiła kolorowe mrówki, nawet w biały dzień spacerujące po ganku, i daremnie usiłowała obudzić zapomnianego ducha gościnności. Klasztorne upodobania Fernandy zamknęły tamą nie do przebycia rwący potok stu lat Urszuli. Nie tylko zabroniła otwierać drzwi, kiedy minął gorący wiatr, ale kazała zabić okna drewnianymi krzyżami, posłuszna ojcowskiemu hasłu pogrzebania się za życia. Żmudna

korespondencja z niewidzialnymi medykami zakończyła się klęską. Po długim odwlekaniu terminu zamknęła się w swojej sypialni w uzgodnionym dniu i godzinie, przykryta tylko białym prześcieradłem, z głową zwróconą na północ, i o pierwszej w nocy poczuła, że zakrywają jej twarz chustką przesiąkniętą lodowatym płynem. Kiedy się obudziła, słońce błyszczało za oknem i zobaczyła na swoim brzuchu długi szew w kształcie łuku, który ciągnął się od pachwiny aż do mostka między żebrami. Ale jeszcze zanim minął przewidziany okres rekonwalescencji, otrzymała skonsternowany list od niewidzialnych medyków, którzy twierdzili, że po sześciu godzinach skrupulatnego badania nie znaleźli nic, co odpowiadałoby symptomom tyle razy i tak skrupulatnie przez nią opisywanym. Istotnie jej zgubny zwyczaj nienazywania rzeczy po imieniu doprowadził do nowego nieporozumienia i jedynym schorzeniem wykrytym przez telepatycznych chirurgów było opuszczenie macicy, co można było poprawić przez używanie pessarium. Rozczarowana Fernanda próbowała uzyskać jakąś bardziej precyzyjną informację, ale korespondenci już nie odpowiedzieli na jej listy. Czuła się tak przytłoczona ciężarem nieznanego słowa, że zdecydowała się w końcu przełknąć wstyd i zapytać, co to jest pessarium, i wtedy dopiero dowiedziała się, że francuski lekarz powiesił się trzy miesiące temu na belce i wbrew woli miasta został pogrzebany przez dawnego towarzysza broni pułkownika Aureliana Buendíę. Wówczas zwierzyła się swojemu synowi Josemu Arcadiowi i ten przysłał jej z Rzymu pessarium z broszurką informacyjną, którą Fernanda po nauczeniu się treści na pamięć wrzuciła do latryny, żeby nikt nie mógł poznać natury jej dolegliwości. Była to niepotrzebna ostrożność, bo nikt w domu prawie nie zwracał na nią uwagi. Santa Sofía de la Piedad krążyła po korytarzach w osamotnieniu starości, gotując tę odrobinę, którą jedli, i niemal wyłącznie oddana doglądaniu Josego Arcadia Drugiego. Amaranta Urszula, która odziedziczyła część wdzięków Pięknej Remedios, odrabianiem zadań szkolnych wypełniała czas przedtem poświęcony dręczeniu Urszuli i zaczęła wykazywać zdrowy rozsądek i zainteresowanie nauką, tak że w Aurelianie Drugim na nowo odżyły nadzieje, jakie niegdyś budziła w nim Meme. Przyrzekł wysłać ją na dokończenie nauki do Brukseli, zgodnie ze zwyczajem ustanowionym w czasach Kompanii Bananowej, i ożywiony tą myślą usiłował odrestaurować ziemie zdewastowane przez potop. W domu widywano go rzadko i przychodził tylko do Amaranty Urszuli, bo z biegiem czasu stał się

obcy dla Fernandy, a mały Aureliano w miarę zbliżania się okresu dojrzewania robił się coraz bardziej nieufny i zamknięty w sobie. Aureliano Drugi ufał, że starość zmiękczy serce Fernandy na tyle, żeby dziecko mogło włączyć się do normalnego życia w mieście, gdzie nikt z pewnością nie będzie się trudził dociekaniami sekretów jego pochodzenia. Ale sam Aureliano wydawał się zadowolony z zamknięcia i samotności i nie zdradzał żadnych chęci poznania świata, który zaczynał się za drzwiami od ulicy. Kiedy Urszula kazała otworzyć pokój Melquiadesa, zaczął krążyć wokół niego i zerkać przez uchylone drzwi i zawiązała się nić wzajemnej sympatii między nim i José Arcadio Drugim. Aureliano Drugi odkrył tę przyjaźń dopiero dużo później, kiedy usłyszał, że chłopak mówi o rzezi na stacji. Pewnego dnia ktoś przy stole ubolewał nad ruiną, w jakiej pogrążyło się miasto po opuszczeniu go przez Kompanię Bananową, a Aureliano zaprzeczył mu z powagą i znajomością rzeczy osoby dorosłej. Jego zdaniem, sprzecznym z opinią powszechną, Macondo było miastem bogatym i rozwijało się dobrze do czasu, gdy wprowadziła tam zamęt, korupcję i wyzysk Kompania Bananowa, której inżynierowie wywołali potop, żeby uniknąć dotrzymania umów zawartych z robotnikami. Mówiąc tak rozsądnie, że Fernandzie wydawało się to grzeszną parodią Jezusa wśród doktorów, chłopiec opowiedział ze szczegółami o tym, jak wojsko wystrzelało ponad trzy tysiące robotników spędzonych na stację i jak załadowano trupy do pociągu o dwustu wagonach, żeby wyrzucić je do morza. Przekonana tak jak większość ludzi o prawdzie oficjalnej wersji, że nic się tego dnia nie stało, Fernanda zgorszyła się myślą, że chłopiec odziedziczył anarchistyczne instynkty pułkownika Aureliana Buendíi, i kazała mu zamilknąć. Aureliano Drugi natomiast rozpoznał w opowiadaniu wersję swojego brata bliźniaka. W rzeczywistości, pomimo że wszyscy uważali go za obłąkanego, José Arcadio Drugi był w owym czasie najtrzeźwiejszym spośród domowników. Nauczył małego Aureliana czytać i pisać, wtajemniczył go w studia nad pergaminami i wpoił w niego tak osobistą interpretację znaczenia, jakie miała dla Macondo Kompania Bananowa, że wiele lat później, kiedy Aureliano widywał się z ludźmi, uważano, że powtarza historię powstałą w czyjejś wyobraźni, gdyż było to całkowicie sprzeczne z fałszywą wersją, którą historycy przyjęli i rozpowszechnili w podręcznikach szkolnych. W zacisznej izdebce, gdzie nigdy nie docierał upalny wiatr ani kurz, obaj przywoływali odwieczną

zjawę starca, w kapeluszu z rondem wygiętym w kształt skrzydeł kruka, który opowiadał o świecie wsparty o framugę okna, na wiele lat przed ich urodzeniem. Obaj jednocześnie odkryli, że tam zawsze był marzec i zawsze poniedziałek, i wtedy zrozumiali, że José Arcadio Buendía nie był tak obłąkany, jak mówiła rodzina, lecz przeciwnie on jeden miał umysł dość jasny, by zbliżyć się do prawdy, że czas także ulega potknięciom i wypadkom i dlatego może się rozbić, i zostawić w jednym pokoju ułamek swojej wieczności. José Arcadio Drugi zdołał poza tym sklasyfikować kryptoznaki pergaminów. Pewien był, że odpowiadają alfabetowi złożonemu z czterdziestu siedmiu do pięćdziesięciu trzech liter, które, każda z osobna, wyglądały jak pająki czy bezmyślne gryzmoły, lecz w ozdobnej kaligrafii Melquiadesa przypominały sztuki wypranej bielizny rozwieszonej do wyschnięcia na drucie. Aureliano przypomniał sobie, że widział podobną tablicę w encyklopedii angielskiej, i przyniósł ją, żeby porównać z tablicą José Arcadia Drugiego. Były rzeczywiście identyczne.

W tym czasie, kiedy wpadł na pomysł loterii z zagadkami, Aureliano Drugi zaczął się budzić ze ściśniętym gardłem, jakby tłumił łkanie. Petra Cotes wytłumaczyła to jako jedną z dolegliwości spowodowanych przez niedożywienie i złe warunki życia i co rano, przez rok z górą, smarowała mu podniebienie pędzelkiem umaczanym w pszczelim miodzie i dawała do picia wywar z czarnej rzodkwi. Kiedy ucisk w gardle stał się tak dokuczliwy, że przeszkadzał mu oddychać, Aureliano Drugi poszedł do Pilar Ternery spytać, czy nie zna ziół, które przyniosłyby mu ulgę. Jego babka, której nic nie było w stanie złamać i która dożyła setki lat jako właścicielka zakamuflowanego burdeliku, nie ufając przesądom terapeutycznym, zasięgnęła rady kart. Zobaczyła w nich złotego konia z gardłem przebitym sztyletem przez waleta pikowego i wyciągnęła z tego wniosek, że Fernanda stara się ściągnąć męża z powrotem do domu za pomocą niegodziwego systemu wbijania szpilek w jego podobiznę i że to ona spowodowała utworzenie się guza w gardle przez niedostateczną znajomość swoich niecnych praktyk. Ponieważ Aureliano Drugi nie miał żadnych fotografii oprócz ślubnych, które znajdowały się w albumie rodzinnym, szukał ich więc po całym domu, starając się nie wzbudzić podejrzeń żony i w końcu znalazł w głębi szafy pół tuzina pessariów w oryginalnych opakowaniach. Przypuszczając, że kółeczka z czerwonego

kauczuku są jakimś narzędziem magii, włożył jedno do kieszeni, żeby je pokazać Pilar. Ta nie mogła określić jego pochodzenia, ale wydało jej się to tak podejrzane, że na wszelki wypadek poleciła mu przynieść całe pół tuzina i spaliła je w ognisku rozpalonym na podwórzu. Żeby udaremnić rzekome czary Fernandy, kazała Aurelianowi Drugiemu zmoczyć w wodzie kwokę i zakopać ją żywą pod kasztanem, co zrobił tak skwapliwie i z tak dobrą wiarą, że gdy skończył przykrywać suchymi liśćmi świeżo skopaną ziemię, już czuł, że lepiej oddycha. Co do Fernandy, to wytłumaczyła zniknięcie pessariów jako złośliwość niewidzialnych medyków i wszyła sobie po wewnętrznej stronie koszuli rodzaj kieszonki, gdzie chowała nowe pessaria, które przysłał jej syn.

W sześć miesięcy po zakopaniu kury Aureliano Drugi zbudził się o północy w ataku kaszlu z uczuciem, że duszą go w głębi gardła szczypce kraba. Wtedy zrozumiał, że choćby nie wiedzieć ile zniszczył magicznych pessariów i zakopał całą setkę zaklętych kur, jedyną i smutną prawdą jest to, że umiera. Nie powiedział tego nikomu. Dręczony obawą, że umrze, zanim zdąży wysłać do Brukseli Amarantę Urszulę, pracował jak nigdy dotychczas i zamiast jednej organizował trzy loterie tygodniowo. Od wczesnego ranka przebiegał miasto, nawet najbardziej odległe i nędzne dzielnice, usiłując rozsprzedać bilety z błagalną natarczywością, jaką mógł okazywać tylko umierający. „Oto nawiedza was Opatrzność Boża – wołał. – Nie pozwólcie jej odejść, bo przybywa tylko raz na sto lat”. Dokonywał nadludzkich wysiłków, żeby wydać się wesoły, sympatyczny, dobroduszny, ale wystarczyło spostrzec jego bladość i spływający ciurkiem pot, żeby wiedzieć, że ledwie panuje nad sobą. Czasami zbaczał na nieuprawne pola, gdzie nikt go nie mógł zobaczyć, i siadał tam na moment, żeby odpocząć od kleszczy rozdzierających go w środku. Jeszcze o północy biegał po wesołej dzielnicy, usiłując pocieszyć dobrymi wróżbami samotne kobiety szlochające przy gramofonach. „Ten numer nie wychodził już cztery miesiące – mówił im, wskazując bilety. – Nie daj szczęściu umknąć ci sprzed nosa, bo życie jest krótsze, niż człowiek myśli”. W końcu ludzie stracili dla niego respekt, zaczęli się naśmiewać i w ostatnich miesiącach jego życia nie nazywali go „don Aureliano”, jak zawsze, tylko „don Boska Opatrzność”, nawet przy nim. Głos jego zaczął przybierać fałszywe tony, tracił dźwięczność, aż wreszcie przygasł zupełnie i przypominał warczenie

psa, ale Aureliano Drugi nie ustawał w swych wysiłkach i nie dopuszczał, żeby zmniejszyło się zainteresowanie nagrodami losowanymi na podwórku Petry Cotes. Niemniej, w miarę jak tracił głos i czuł, że wkrótce nie będzie już mógł znieść bólu, pojmował, że to nie z pomocą wieprzów i kóz córka jego wyjedzie do Brukseli, i wtedy wpadł na bajeczny pomysł, żeby puścić na loterię ziemie zniszczone przez potop, które mógłby doskonale odrestaurować ktoś, kto rozporządzał kapitałem. Była to inicjatywa tak efektowna, że sam alkad udzielił swego poparcia, podając imprezę do wiadomości publicznej w formie oficjalnego ogłoszenia, i zawiązały się spółki, żeby nabywać bilety po sto pesos, które rozkupiono w ciągu niecałego tygodnia. Wieczorem w dzień loterii ci, co wygrali, urządzili bankiet dorównujący niemal tym z dawnych czasów Kompanii Bananowej i Aureliano Drugi po raz ostatni zagrał na akordeonie zapomniane piosenki Francisca el Hombre, ale nie mógł już śpiewać.

W dwa miesiące później Amaranta Urszula pojechała do Brukseli. Aureliano Drugi wręczył jej nie tylko pieniądze z ekstraloterii, ale wszystko, co zdołał zaoszczędzić w ubiegłych miesiącach, a nawet skromne sumy uzyskane ze sprzedaży pianoli, klawikordu i innych cennych przedmiotów w niełasce losu. Według jego obliczeń powinno to wystarczyć na opłacenie nauki, tak więc pozostała tylko nierozwiązana kwestia opłacenia podróży powrotnej. Fernanda sprzeciwiała się temu wyjazdowi do ostatniej chwili, zgorszona myślą, że Bruksela znajduje się tak blisko rozpustnych uciech Paryża, uspokoił ją jednak list, jaki wręczył jej córce ojciec Angel do przełożonej pensji dla dziewcząt katolickich pod kierownictwem zakonnic, gdzie Amaranta Urszula przyrzekła mieszkać aż do zakończenia nauki. Prócz tego dzięki staraniom proboszcza miała odbyć podróż pod opieką grupy sióstr franciszkanek, które jechały do Toledo, gdzie spodziewały się spotkać kogoś zaufanego, kto by stamtąd odwiózł ją do Belgii. Podczas pospiesznej wymiany listów w tej sprawie Aureliano Drugi z pomocą Petry Cotes zajął się bagażem Amaranty Urszuli. Wieczorem, kiedy spakowano jeden ze ślubnych kufrów Fernandy, wszystko było ułożone i rozmieszczone tak starannie, że przyszła studentka wiedziała na pamięć, w jakich sukienkach i pantoflach ma przebyć Atlantyk i gdzie jest granatowy wełniany płaszcz z miedzianymi guzikami i buciki z kurdybanu, w których miała wysiąść na ląd; wiedziała również, jak musi

stąpać, żeby nie wpaść do wody, gdy będzie wchodzić po trapie na pokład, że ani na chwilę nie wolno jej się odłączyć od zakonnic, że wolno jej wychodzić z kabiny tylko na posiłki, a w żadnym wypadku nie powinna odpowiadać na pytania zadawane przez osoby nieznajome, bez względu na ich płeć. Wiozła buteleczkę z kroplami przeciw morskiej chorobie i zeszycik, w którym ojciec Angel własnoręcznie wypisał sześć modlitw na zaklęcie burzy. Fernanda uszyła jej płócienny pas, gdzie miała chować pieniądze, i pokazała jej, jak trzeba go nosić pod koszulą, tak żeby nie musiała go zdejmować nawet do snu. Chciała podarować jej złoty nocnik wyszorowany szarym mydłem i zdezynfekowany spirytusem, ale Amaranta odmówiła w obawie, że będą się z niej naśmiewać koleżanki z pensji. W parę miesięcy później, w godzinę śmierci, Aureliano Drugi miał wspominać jej obraz taki jak w chwili, gdy widział ją po raz ostatni, bezskutecznie usiłującą otworzyć zakurzone okno w przedziale drugiej klasy, by usłyszeć ostatnie polecenia Fernandy. Miała na sobie sukienkę z różowego jedwabiu z przypiętym na lewym ramieniu bukiecikiem sztucznych bratków, buciki z kurdybanu ze sprzączkami i na niskim obcasie i jedwabne pończochy z okrągłymi podwiązkami na łydkach. Była drobna, miała rozpuszczone długie włosy i żywe iskrzące się oczy, takie jak Urszula w jej wieku, a opanowanie, z jakim się żegnała, bez płaczu, ale i bez uśmiechu, świadczyły, że odziedziczyła też po Urszuli siłę charakteru. Idąc obok wagonu, w miarę jak pociąg nabierał rozpędu, i trzymając Fernandę pod rękę, żeby się nie potknęła, Aureliano Drugi ledwie zdążył odpowiedzieć podniesieniem ręki na pocałunek posłany mu w powietrzu koniuszkami palców. Małżonkowie stali nieruchomo pod rozżarzonym słońcem, wpatrzeni w oddalający się pociąg, który wkrótce był tylko czarnym punktem na horyzoncie, i trzymając się pod rękę po raz pierwszy od dnia ślubu.

Dziewiątego sierpnia, zanim przyszedł pierwszy list z Brukseli, José Arcadio Drugi rozmawiał z Aurelianem w pokoju Melquiadesa i nagle, choć to nic nie miało wspólnego z rozmową, powiedział:

– Pamiętaj zawsze, że było ich przeszło trzy tysiące i że zostali wrzuceni do morza.

Potem upadł twarzą na pergaminy i skonał z otwartymi oczyma.

W tej samej chwili w łóżku Fernandy jego brat bliźniak doszedł do kresu długiej i straszliwej męczarni żelaznych krabów zżerających mu gardło. Na tydzień przedtem wrócił do domu, bez głosu i bez tchu, niemal skóra i kości, ze swymi wędrownymi kuframi i akordeonem włóczęgi, żeby dotrzymać przyrzeczenia, że umrze przy żonie. Petra Cotes pomogła mu spakować ubrania i pożegnała go, nie uroniwszy ani jednej łzy, zapomniała tylko dać mu lakierki, w których chciał być pochowany. Toteż dowiedziawszy się, że umarł, ubrała się na czarno, zawinęła trzewiki w gazetę i poszła do Fernandy z prośbą, żeby wolno jej było pożegnać zmarłego. Fernanda nie pozwoliła jej przestąpić progu.

– Niech pani wejdzie w moje położenie i zrozumie – błagała Petra Cotes. – Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo go musiałam kochać, żeby narazić się na to upokorzenie.

– Nie ma takich upokorzeń, na które nie zasługiwałaby ladacznica – odpowiedziała Fernanda. – Niech pani czeka, aż umrze następny z kochanków, żeby nałożyć mu te buty.

Dotrzymując danego przyrzeczenia, Santa Sofía de la Piedad nożem kuchennym odcięła głowę trupowi Josego Arcadia Drugiego dla pewności, że nie pogrzebią go żywcem. Ciała umieszczono w jednakowych trumnach i wtedy stwierdzono, że po śmierci bracia stali się do siebie równie podobni jak w dzieciństwie. Dawni towarzysze hulanek Aureliana Drugiego położyli na jego trumnie wieniec z fioletową szarfą i napisem: „Na bok, krowy, bo życie jest krótkie!”. Fernandę tak oburzył ten brak szacunku, że kazała wyrzucić wieniec na śmietnik. W zamieszaniu ostatniej chwili smutne pijaczyny, które wynosiły trumny z domu, pomyliły je i braci pogrzebano w zamienionych grobach.

Aureliano przez długi czas nie opuszczał pokoju Melquiadesa. Nauczył się na pamięć fantastycznych legend z rozsypującej się księgi, syntezy studiów Hermana Paralityka: wskazówek do uzyskania kamienia filozoficznego, notatek z traktatu o satanizmie, centurii Nostradamusa i jego badań nad dżumą, tak że osiągnął wiek młodzieńczy, nie wiedząc nic o swojej epoce, ale rozporządzając podstawowymi wiadomościami człowieka średniowiecza. O jakiejkolwiek godzinie wchodziła do jego pokoju Santa Sofía de la Piedad, zastawała go zagłębionego w lekturze. Przynosiła mu o świcie kubek kawy bez cukru, a w południe talerz ryżu z plastrami smażonego banana, co było jedynym pożywieniem w domu po śmierci Aureliana Drugiego. Dbała, żeby miał porządnie ostrzyżone włosy, iskała mu gnidy, przerabiała na niego stare ubrania znalezione w zapomnianych kufrach, a kiedy zaczął rosnąć mu wąs, przyniosła mu brzytwę i miseczkę na mydło pułkownika Aureliana Buendíi. Żaden z synów pułkownika, nawet Aureliano José, nie był do niego tak podobny, zwłaszcza z powodu wydatnych kości policzkowych i mocnej, z lekka drwiącej i okrutnej linii ust. Santa Sofía de la Piedad, jak niegdyś Urszula, wchodząc do pokoju Aureliana Drugiego, była przekonana, że Aureliano mówi do siebie. W rzeczywistości rozmawiał z Melquiadesem. Któregoś upalnego popołudnia, wkrótce po śmierci bliźniaków, zobaczył w odbiciu okna posępnego starca w kapeluszu z rondem wygiętym w kształt skrzydeł kruka niby zmaterializowany obraz wspomnienia istniejącego w jego pamięci jeszcze na długo przed urodzeniem. Aureliano skończył klasyfikację alfabetu pergaminów. Toteż na pytanie Melquiadesa, czy odkrył, w jakim języku są napisane, nie zawahał się z odpowiedzią:

– W sanskrycie – powiedział.

Melquíades oznajmił, że wkrótce nie będzie już mógł go odwiedzać. Mimo to odchodzi spokojny na łąki śmierci ostatecznej, bo Aureliano ma dość czasu na opanowanie sanskrytu w ciągu lat, których jeszcze brakuje, żeby pergaminy miały za sobą cały wiek istnienia i mogły zostać odczytane. On to poinformował go, że na uliczce prowadzącej do rzeki, gdzie za czasów Kompanii Bananowej przepowiadano przyszłość i tłumaczono sny, pewien mędrzec kataloński ma antykwariat z książkami, a w nim znajduje się książka *Sanskrit Primer*, która za sześć lat zostanie zjedzona przez mole, jeśli Aureliano nie pospieszy się z jej kupieniem. Pierwszy raz w ciągu swego długiego życia Santa Sofía de la Piedad dała wyraz pewnemu uczuciu, a było to uczucie zdziwienia, kiedy Aureliano poprosił, żeby przyniosła mu ze sklepu książkę, którą znajdzie między *Jerozolimą Wyzwoloną* a wierszami Miltona na prawym krańcu drugiej półki regału. Ponieważ nie umiała czytać, nauczyła się na pamięć tych tytułów i uzyskała pieniądze ze sprzedaży jednej z siedemnastu złotych rybek, które zostały w warsztacie (tylko ona i Aureliano wiedzieli, gdzie są schowane) od tej nocy, kiedy żołnierze rewidowali dom.

Aureliano robił postępy w nauce sanskrytu, a tymczasem Melquíades zjawiał się coraz rzadziej i postać jego stawała się coraz bardziej oddalona, jakby rozpływała się w promiennej jasności południa. Ostatni raz, kiedy Aureliano wyczuł jego obecność, był już prawie niewidzialny i szeptał: „Umarłem na żółtą febrę w bagnach Singapuru”. Wtedy jego pokój opanowały termity, kurz, upał, kolorowe mrówki i mole, które miały zamienić w trociny wiekową mądrość książek i pergaminów.

W domu nie brakowało jedzenia. Nazajutrz po śmierci Aureliana Drugiego jeden z przyjaciół, którzy przynieśli mu wieniec z nieodpowiednim na tę okazję napisem, przyszedł z propozycją wypłacenia Fernandzie pieniędzy, które pozostał winien jej mężowi. Odtąd posłaniec przynosił w każdą środę kosz z żywnością, której starczyło na cały tydzień. Nikt nigdy się nie dowiedział, że te wiktuały przysyła Petra Cotes w przekonaniu, że stała dobroczynność jest sposobem upokorzenia kogoś, kto ją upokorzył. Uraza jednak minęła znacznie prędzej, niż sama Petra przypuszczała, i później posyłała jedzenie tylko przez dumę, a w końcu przez litość. Nieraz, kiedy nie miała już sił sprzedawać biletów,

a ludzie stracili zainteresowanie dla loterii, sama obywała się bez jedzenia, żeby mogła jeść Fernanda, i wypełniała ten dobrowolnie przyjęty obowiązek, dopóki nie zobaczyła przechodzącego ulicą jej pogrzebu.

Santa Sofía de la Piedad mimo zmniejszonej liczby domowników nie miała wypoczynku, na który zasłużyła po pięćdziesięciu z górą latach pracy. Nigdy nie słyszano skargi od tej milczącej, nieprzeniknionej kobiety, która zasiała w rodzinie anielskie ziarna Pięknej Remedios i tajemniczy majestat Josego Arcadia Drugiego. Całe swoje życie samotności i milczenia poświęciła wychowaniu dzieci, które prawie nie pamiętały, że są jej dziećmi i wnukami, i zajęła się Aurelianem, tak jakby wyszedł z jej własnych wnętrzności, sama nie wiedząc, że jest jego prababką. Tylko w takim domu jak ten było do pomyślenia, że zawsze sypiała na macie rozpościeranej na ziemi w spiżarni, wśród nocnego chrobotania szczurów, i nigdy nikt się nie dowiedział, że pewnej nocy obudziło ją nieznośne uczucie, jakby ktoś patrzył na nią w ciemnościach, i że to była żmija, która prześliznęła się po jej brzuchu. Nie wątpiła, że gdyby opowiedziała o tym Urszuli, ta podzieliłaby z nią własne łóżko, ale były to czasy, kiedy nikt nie przyjmował do wiadomości niczego, dopóki nie krzyczano o tym na cały głos, bo prace w piekarni, wstrząsy wojenne i pilnowanie dzieci nie zostawiały czasu na troskę o czyjeś wygody i zadowolenie. Petra Cotes, której nigdy nie widziała na oczy, była jedyną osobą, która o niej pamiętała. Ona to troszczyła się o jej skromną garderobę nawet w czasach, kiedy dokonywali cudów z pieniędzmi uzyskanymi z loterii. Kiedy Fernanda przybyła do domu, miała wszelkie powody uważać ją za dożywotnią służącą, i choć nieraz słyszała, że to matka jej męża, fakt ten wydawał jej się tak niewiarygodny, że zapomniała o nim wcześniej, niż przyjęła go do wiadomości. Santa Sofía de la Piedad nigdy nie wydawała się urażona swoją poślednią pozycją. Przeciwnie, wszyscy mieli wrażenie, że lubi się krzątać bez chwili wypoczynku, bez jednego słowa skargi, utrzymując w porządku i czystości olbrzymi dom, w którym mieszkała od lat dziewczęcych, a który zwłaszcza w czasach Kompanii Bananowej bardziej przypominał koszary niż dom rodzinny. Ale po śmierci Urszuli jej nadludzka pracowitość zaczęła się załamywać. Nie tylko dlatego, że już była stara i wyczerpana, ale sam dom nagle padł jakby ofiarą uwiądu starczego. Delikatny mech wypełzł na ściany. Kiedy nie było już pustego

miejsca na dziedzińcu i podwórku za domem, chwasty podważyły cement ganku, który popękał jak szyba, a w szczelinach zaczęły wyrastać te same żółte kwiatki, które prawie sto lat temu znalazła Urszula w szklance ze sztuczną szczęką Melquiadesa. Nie mając czasu ani środków na hamowanie rozmachu przyrody, Santa Sofía de la Piedad całe dnie spędzała w sypialniach, płosząc wielkie jaszczurki, które powracały nocą. Pewnego ranka zauważyła, że czerwone mrówki opuściły podważone fundamenty, przeszły przez galerię, gdzie begonie przybrały kolor ziemi, i przedostały się w głąb domu. Z początku próbowała wytępić je miotłą, potem środkami owadobójczymi, a w końcu wapnem, ale nazajutrz znajdowała je w tym samym miejscu, zawsze w ruchu, uparte i niezwyciężone. Fernanda, pisząc wciąż listy do swoich dzieci, nie zdawała sobie sprawy z niepowstrzymanego postępu zniszczenia. Santa Sofía de la Piedad sama walczyła z zielskiem, żeby nie owładnęło kuchnią, zrywała ze ścian festony pajęczyn, które odradzały się po paru godzinach, zalewała wapnem ścieżki termitów. Ale gdy zobaczyła, że pokój Melquiadesa, tak samo jak inne, jest stale zakurzony i pełen pajęczyn, choćby go zamiatała i wycierała kurze trzy razy dziennie, i pomimo jej czyścicielskiej furii grozi mu ruina i nędza, którą tylko pułkownik Aureliano Buendía i młody wojskowy umieli przewidzieć, zrozumiała, że została pokonana. Wtedy włożyła swoją zniszczoną suknię odświętną, stare trzewiki Urszuli i parę bawiełnianych pończoch, które podarowała jej Amaranta Urszula, i zrobiła tobołek z kilku zmian bielizny, stanowiących cały jej dobytek.

– Poddaję się – powiedziała do Aureliana. – To za duży dom na moje stare kości.

Aureliano zapytał, dokąd odchodzi, na co odpowiedziała nieokreślonym ruchem ręki, jakby nie miała najmniejszego wyobrażenia, co z nią będzie. Niemniej spróbowała wyjaśnić, że chce spędzić swoje ostatnie lata z siostrą cioteczną, która mieszkała w Riohacha. Nie było to wyjaśnienie prawdopodobne. Od śmierci swoich rodziców nie utrzymywała kontaktu z nikim, nie otrzymywała żadnych listów ani wiadomości, ani nie słyszano, żeby kiedykolwiek wspominała kogoś z krewnych. Aureliano dał jej czternaście złotych rybek, bo zamierzała odejść z tym tylko, co miała: jeden peso i dwadzieścia pięć centavos. Przez okno w pokoju widział ją przechodzącą przez podwórze, z węzełkiem z bielizną, powłóczącą nogami

i przygarbioną wiekiem, i zobaczył, jak wyciąga rękę przez szparę w drzwiach, żeby zamknąć je za sobą na zasuwkę. Nigdy już nic więcej o niej nie słyszano.

Dowiedziawszy się o tej ucieczce, Fernanda cały dzień poświęciła na przetrząśnięcie kufrów, komód i szaf, sztuka po sztuce, żeby przekonać się, że Santa Sofía de la Piedad nie wzięła niczego. Poparzyła sobie palce, usiłując po raz pierwszy w życiu rozpalić pod kuchnią, i musiała prosić Aureliana, żeby nauczył ją robić kawę. Z czasem to on przejął obowiązki kuchenne. Wstając, Fernanda znajdowała gotowe śniadanie i wychodziła z sypialni tylko po to, żeby zabrać jedzenie, które Aureliano zostawiał jej na piecu, i zanosiła talerz do jadalni, żeby zjeść na lnianych obrusach, wśród kandelabrów, siedząc na głównym miejscu przy stole, naprzeciw piętnastu pustych krzeseł. Nawet w tych warunkach Aureliano i Fernanda nie dzielili z sobą samotności, lecz żyli każde w swojej, sprzątając własny pokój, podczas gdy pajęczyna przyprószała róże, tapetowała belki i ściany. Wtedy to Fernandzie zaczęło się wydawać, że dom jest pełen chochlików. Tak jakby przedmioty – zwłaszcza codziennego użytku – przybrały zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce własnymi siłami. Fernandzie mijał czas na szukaniu nożyczek, które – była tego pewna – położyła na łóżku, i przewróciwszy całą sypialnię do góry nogami, znajdowała je na półce w kuchni, gdzie nie była od czterech dni. Nagle znikły wszystkie widelce z szuflady na sztućce i znajdowała sześć sztuk na ołtarzyku, a trzy w pralni. Ta wędrówka przedmiotów martwych była szczególnie denerwująca, kiedy zasiadała do pisania. Kałamarz, stojący zawsze po prawej stronie, ukazywał się z lewej, suszka z bibułą znikała i odnajdowała się w dwa dni później pod poduszką, stronice listu napisanego do Josego Arcadia mieszały się z tymi, które były przeznaczone dla Amaranty Urszuli; żyła w ustawicznym lęku, że włożyła listy do niewłaściwych kopert, co w rzeczywistości zdarzyło jej się kilka razy. Kiedyś zgubiła pióro. W dwa tygodnie później zwrócił je listonosz, który znalazł je w swojej torbie i szukał właściciela od domu do domu. Z początku myślała, że to sprawki niewidzialnych medyków, tak jak zniknięcie pessarium. Zaczęła nawet pisać do nich list z błaganiem, żeby zostawili ją w spokoju, ale w pewnym momencie musiała przerwać pisanie i zająć się czymś innym, a kiedy wróciła do pokoju, nie tylko nie znalazła rozpoczętego listu, ale zapomniała, co miała

pisać. Przez pewien czas posądzała o te figle Aureliana. Zaczęła go śledzić i podsuwać mu różne przedmioty, żeby go przyłapać w chwili, gdy będzie je przenosił gdzie indziej. Wkrótce jednak przekonała się, że Aureliano opuszcza pokój Melquiadesa tylko po to, żeby iść do kuchni lub do ubikacji, i że w ogóle nie jest skłonny do żartów. W końcu doszła więc do wniosku, że to psoty chochlików, i postanowiła zabezpieczyć każdy przedmiot tak, żeby się znajdował na właściwym miejscu. Przywiązała nożyczki na długiej tasiemce do wezgłowia łóżka. Przywiązała piórnik i suszkę z bibułą do nogi stołu, przykleiła kałamarz do stołu po prawej stronie miejsca, gdzie zazwyczaj zasiadała do pisania. Nie rozwiązało to problemu, gdyż po paru godzinach szycia sznurek od nożyczek zrobił się za krótki, żeby ciąć tkaninę, jak gdyby krasnoludki ciągle go skracały. To samo działo się ze sznurkiem od pióra, a nawet z jej własną ręką, która po napisaniu kilku stron nie dosięgała już do kałamarza. Ani Amaranta Urszula w Brukseli, ani José Arcadio w Rzymie nie dowiedzieli się nigdy o tych błahych kłopotach. Fernanda pisała im, że jest szczęśliwa, i rzeczywiście tak było właśnie dlatego, że czuła się wolna od wszelkich obowiązków, jakby życie pozwoliło jej wrócić do świata rodziców, gdzie nie cierpiała z powodu codziennych problemów, zawczasu rozwiązanych w wyobraźni. Wskutek tej niekończącej się korespondencji zatraciła poczucie czasu, zwłaszcza gdy odeszła Santa Sofía de la Piedad. Przyzwyczaiła się liczyć dnie, miesiące i lata, biorąc za punkt odniesienia daty przewidziane na powrót swoich dzieci. W miarę jednak opóźniania się tego powrotu daty jej się myliły, terminy się mieszały, a dnie tak były podobne jedne do drugich, że nie czuło się, jak mijają. Zamiast się niecierpliwić, Fernanda odczuwała głębokie zadowolenie z tej zwłoki. Nie niepokoiło jej, że wiele lat po zapowiedzi przyjęcia w najbliższych dniach święceń kapłańskich José Arcadio nadal czekał na ukończenie wyższych studiów teologicznych, by rozpocząć studia dyplomatyczne, bo rozumiała, że kręte schody prowadzące na tron Piotrowy są bardzo wysokie i najeżone przeszkodami. Cieszyły ją natomiast wiadomości, które dla innych byłyby bez znaczenia, jak to, na przykład, że jej syn widział papieża. Nie mniejszym zadowoleniem napełniały ją wieści od Amaranty Urszuli, która donosiła, że jej studia przeciągają się poza przewidziany czas, gdyż dzięki doskonałym wynikom w nauce uzyskała przywileje, których jej ojciec nie wziął pod uwagę w swoich obliczeniach.

Więcej niż trzy lata minęły od czasu, kiedy Santa Sofía de la Piedad przyniosła mu gramatykę, do dnia, kiedy Aureliano zdołał przetłumaczyć pierwszy plik pergaminów. Nie była to praca niepotrzebna, stanowiła jednak zaledwie pierwszy krok na drodze, której długości nie można było przewidzieć, ponieważ tekst hiszpański nic nie znaczył: były to wiersze szyfrowane. Aureliano nie znał klucza do ich rozszyfrowania, ale wiedział od Melquiadesa, że w sklepiku katalońskiego mędrca są książki potrzebne do zgłębienia treści pergaminów, zdecydował się więc prosić Fernandę, żeby mu pozwoliła ich poszukać. W pokoju pożeranym przez ruinę, której zastraszających postępów nie mógł już powstrzymać, rozmyślał nad formą wyrażenia swojej prośby i nad okolicznościami, w jakich ma to zrobić, szukając najbardziej odpowiednich okazji, ale kiedy spotykał Fernandę zabierającą jedzenie z kuchni, co było jedyną sposobnością, by z nią pomówić, prośba tak starannie obmyślona więzła mu w gardle i nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zaczął ją szpiegować. Słyszał, jak podchodziła do drzwi, żeby odebrać listy od dzieci i wręczyć swoje listonoszowi, nasłuchiwał do późnych godzin nocnych jej kroków w sypialni lub twardego i nerwowego biegania pióra po papierze, zanim doszedł do jego uszu odgłos przekręcanego kontaktu i szept pacierzy w ciemności. Wtedy dopiero zasypiał, ufając, że następny dzień da mu oczekiwaną okazję. Uradowany myślą, że pozwolenie nie zostanie mu odmówione, pewnego ranka obciął nawet włosy sięgające mu aż do ramion, zgolił zwichrzoną brodę, włożył obcisłe spodnie i koszulę z doczepianym kołnierzykiem, odziedziczoną sam nie wiedział po kim, i czekał w kuchni, aż Fernanda przyjdzie po śniadanie. Przyszła tam nie ta kobieta, którą widywał co dzień, z podniesioną głową i kamienną twarzą, lecz staruszka nadprzyrodzonej piękności, w płaszczu z pożółkłych gronostajów, w koronie z pozłacanej tektury, zbiedzona jak ktoś, kto płakał w sekrecie. Prawdę mówiąc, Fernanda wiele razy już wkładała nadgryziony przez mole strój królowej od chwili, gdy znalazła go w kufrach Aureliana Drugiego. Ktokolwiek widziałby ją przed lustrem, w ekstazie podziwiającą własne gesty monarchini, mógłby ją wziąć za obłąkaną. Ale tak nie było. Królewskie szaty służyły jej po prostu do odgrzebywania wspomnień. Pierwszy raz, kiedy je włożyła, serce jej się ścisnęło, oczy napełniły się łzami, bo w tej chwili na nowo podrażnił jej nozdrza zapach pasty do butów oficera, który przyszedł do jej domu, żeby z niej zrobić królową, i duszę jej rozjaśniła

tęsknota do straconych złudzeń. Poczuła się tak stara i tak wyczerpana, tak daleka od najlepszych godzin swego życia, że zatęskniła nawet do tych, które pamiętała jako najgorsze, i wtedy dopiero odkryła, jak bardzo brakuje jej zapachu ziół na ganku, aromatu krzaków różanych o zmierzchu, a nawet grubiańskich cudzoziemców. Jej serce ze skamieniałego popiołu, odporne na najcelniejsze ciosy codziennej rzeczywistości, roztopiło się przy pierwszych przypływach tęsknoty. Potrzeba smutku stawała się nałogiem w miarę niszczycielskiego działania lat. W samotności Fernanda nabrała cech ludzkich. Niemniej tego ranka, kiedy weszła do kuchni i zobaczyła filiżankę kawy, którą podawał jej kościsty i blady chłopak z blaskiem halucynacji w oczach, szarpnęło nią poczucie śmieszności. Nie tylko odmówiła mu pozwolenia, ale od tej chwili nosiła klucze od domu przy sobie, w tej kieszeni, gdzie przechowywała nieużywane pessarium. Była to daremna ostrożność, bo gdyby Aureliano chciał, mógłby uciec i wrócić niezauważony. Ale długoletnia niewola, niepewność świata, przyzwyczajenie do posłuszeństwa wyniszczyły w jego sercu ziarna buntu. Wrócił więc do swego zamknięcia i do pergaminów, ślęcząc nad nimi do późnej nocy i słuchając płaczu Fernandy w sypialni. Pewnego ranka poszedł jak zwykle rozpalić piec i znalazł nietknięte jedzenie zostawione dla niej poprzedniego dnia. Wtedy zajrzał do sypialni i zobaczył ją wyciągniętą na łóżku, okrytą płaszczem gronostajowym, piękniejszą niż kiedykolwiek, ze skórą, która przybrała barwę kości słoniowej. W cztery miesiące później, kiedy przyjechał José Arcadio, znalazł ją nietkniętą.

Był podobny do matki ponad wszelkie ludzkie wyobrażenie. Blady i wątły, w jedwabym żałobnym ubraniu, w koszuli z okrągłym sztywnym kołnierzykiem i cienką wstążeczką zawiązaną na kokardkę zamiast krawata, miał zdziwione spojrzenie i wąskie zaciśnięte usta. Czarne włosy, wypomadowane i proste, rozdzielone na środku czaszki prostym i anemicznym przedziałkiem, wyglądały równie sztucznie jak fryzury świętych. Cień zarostu, starannie golonego na twarzy jak odlanej z parafiny, wydawał się złudzeniem. Miał białe, nerwowe dłonie o zielonych żyłach, a wskazujący palec jego lewej ręki zdobił złocisty pierścień z okrągłym opalem. Otworzywszy mu drzwi, Aureliano nie potrzebował domyślać się, kim jest, żeby wiedzieć, że przybywa z bardzo daleka. Gdy wszedł, w całym domu rozniósł się zapach wody kolońskiej, którą Urszula skrapiała

mu głowę, kiedy był dzieckiem, żeby go rozpoznać w ciemnościach. W jakiś sposób nie do określenia José Arcadio po tylu latach nieobecności nadal był dzieckiem, starym, straszliwie smutnym i osamotnionym. Poszedł prosto do sypialni matki, gdzie Aureliano przez cztery miesiące rozpylał rtęć w tyglu dziadka, żeby zakonserwować ciało według formuły Melquiadesa. José Arcadio nie zadał ani jednego pytania. Ucałował czoło zmarłej, wyjął spod jej spódnicy tiulowy woreczek, gdzie były trzy pessaria jeszcze nieużywane i klucz od szafy. Jego ruchy, proste i zdecydowane, kontrastowały z omdlewającym wyrazem twarzy. Wyjął z bieliźniarki kuferek z damasceńskiej stali z herbem rodzinnym i we wnętrzu pachnącym drzewem sandałowym znalazł obszerny list, w którym Fernanda uwolniła swoje serce od brzemienia niezliczonych prawd, jakie przed nim zataiła. Nie siadając, przeczytał go chciwie, lecz bez niepokoju, a na trzeciej stronie zatrzymał się i spojrzał na Aureliana wzrokiem powtórnego rozpoznania.

– A więc – powiedział głosem ostrym jak brzytwa – to ty jesteś tym bękartem.

– Jestem Aureliano Buendía.

– Odejdź do swego pokoju – powiedział José Arcadio.

Aureliano odszedł i nie wyjrzał nawet przez ciekawość, kiedy usłyszał krzątaninę wokół samotnego pogrzebu. Czasami z kuchni widział Josego Arcadia spacerującego po domu, słyszał jego urywany, z trudem chwytany oddech i jego kroki, które jeszcze długo po północy rozlegały się w zrujnowanych sypialniach. Nie słyszał za to jego głosu przez wiele miesięcy nie tylko dlatego, że José Arcadio nie zwrócił się do niego ani jednym słowem, ale że on sam nie miał ochoty, by to się stało, ani czasu na myślenie o czymkolwiek oprócz pergaminów. Po śmierci Fernandy wyjął przedostatnią rybkę i poszedł do księgarni katalońskiego mędrca w poszukiwaniu potrzebnych mu książek. Nie interesowało go nic, co widział po drodze, może dlatego, że nie miał wspomnień do porównywania, a opustoszałe ulice i walące się domy wyglądały zupełnie tak, jak je sobie wyobrażał w czasach, kiedy oddałby duszę za to, żeby je poznać. Sam sobie udzielił pozwolenia, którego odmówiła mu Fernanda, i tylko jedyny raz w jedynym celu i na czas nieodzownie w tym celu potrzebny, toteż przebiegł, nie zatrzymując się ani na chwilę, jedenaście przecznic, które dzieliły dom od uliczki, gdzie dawniej tłumaczono sny, i wszedł zziajany do

zatłoczonego i ponurego pomieszczenia, gdzie ledwie wystarczyło miejsca, żeby się obrócić. Bardziej niż księgarnię przypominało to śmietnik wyrzuconych książek spiętrzonych w nieładzie na półkach zżartych przez termity, w kątach zasnutych pajęczyną, a nawet zajmujących przestrzeń, która powinna być przeznaczona dla klientów. Przy długim stole, także uginającym się pod stosami szpargałów, właściciel niestrudzenie kaligrafował fioletowym atramentem prozę trochę nieskładną i na luźnych kartkach ze szkolnego zeszytu. Piękna połyskująca srebrem grzywa sterczała mu nad czołem jak czub papugi kakadu, a niebieskie oczy, bystre i zwężone, zdradzały łagodną cierpliwość człowieka, który przeczytał wszystkie książki. Siedział w kalesonach, mokry od potu, i nie przerwał pisania, by spojrzeć, kto przyszedł. Aureliano nie miał żadnych trudności ze znalezieniem w tym niewiarygodnym bezładzie potrzebnych mu pięciu książek, bo znajdowały się dokładnie w miejscu wskazanym mu przez Melquiadesa. Bez słowa wręczył je wraz ze złotą rybką katalońskiemu mędrcowi, a ten przejrzał je i powieki jego zamrugały. „Chyba zwariowałeś” – mruknął w swoim języku, wzruszając ramionami, i zwrócił Aurelianowi pięć książek i rybkę.

– Zabierz to sobie – powiedział po hiszpańsku. – Ostatnim człowiekiem, który przeczytał te książki, był chyba Issak Ociemniały, więc zastanów się dobrze, co robisz.

José Arcadio odrestaurował sypialnię Meme, kazał oczyścić i naprawić aksamitne zasłony i adamaszkowy baldachim nad łóżkiem królewskim i doprowadził do używalności opuszczoną łazienkę, której cementowy basen porastała sczerniała, włóknista masa glonów. Do tych dwóch miejsc zredukowało się jego królestwo blichtru, zniszczonych egzotycznych tkanin, fałszowanych perfum i taniej biżuterii. Co do reszty domu, jedyną rzeczą, jaka mu przeszkadzała, byli święci z ołtarza domowego, których pewnego popołudnia spalił na popiół w ognisku, własnoręcznie roznieconym na podwórzu. Rano wstawał dopiero po jedenastej. Szedł do łazienki w wystrzępionej tunice w złote smoki, w rannych pantoflach z żółtymi pomponami i tam odprawiał obrządek, który, jeśli chodzi o drobiazgowość i czas trwania, przypominał te, jakim niegdyś oddawała się Piękna Remedios. Przed kąpielą skrapiał basen wonnościami, które przywiózł z sobą w trzech alabastrowych słoiczkach. Nie oblewał się tą

aromatyczną wodą za pomocą tykwy, tylko zanurzał się w niej i spędzał w basenie prawie dwie godziny, unosząc się na powierzchni, twarzą do góry, rozmarzony przyjemną świeżością i wspomnieniem Amaranty. W kilka dni po przyjeździe porzucił przywiezione z sobą ubranie, nie tylko za ciepłe jak na tutejszy klimat, ale jedyne, jakie posiadał, i zmienił je na obcisłe spodnie, bardzo podobne do tych, jakie nosił Pietro Crespi na lekcjach tańca, i koszulę z surowego jedwabiu ze swoimi inicjałami wyhaftowanymi na lewej piersi. Dwa razy w tygodniu prał spodnie i koszulę w basenie i chodził w tunice, póki nie wyschły, ponieważ nie miał nic innego do włożenia. Nigdy nie jadał w domu. Wychodził na ulicę, kiedy łagodniał upał sjesty, i wracał późną nocą. Wtedy kontynuował swój niespokojny spacer, oddychając chrapliwie i myśląc o Amarancie. Ona i straszliwe spojrzenie świętych w blasku nocnej lampy były to jedyne dwa wspomnienia, jakie zachował o domu. Nieraz podczas odurzającego sierpnia rzymskiego otwierał oczy w połowie snu i widział Amarantę, jak wyłania się z marmurowej fontanny w swoich koronkowych halkach i z bandażem na ręce, wyidealizowana przez smutek wygnania. Przeciwnie niż Aureliano José, który próbował zdławić ten obraz w krwawej topieli wojny, on chciał utrzymać go żywym w grzęzawisku pożądania, oszukując bez końca matkę mitem o swoim powołaniu kapłańskim. Ani jemu, ani Fernandzie nigdy nie przyszło do głowy, że ich korespondencja była wymianą fantastycznych kłamstw. José Arcadio, który porzucił seminarium zaraz po przyjeździe do Rzymu, nadal podtrzymywał legendy o teologii i prawie kanonicznym, żeby nie narazić na niebezpieczeństwo bajkowego spadku, o którym mówiły obłędne listy matki i który miał go wyzwolić z nędzy i brudu, dzielonych z dwoma kolegami w mansardzie na Zatybrzu. Kiedy otrzymał ostatni list od Fernandy, dyktowany przeczuciem bliskiej śmierci, spakował do walizki resztki swego fałszywego splendoru i przebył ocean pod pokładem statku, gdzie podróżowali emigranci stłoczeni jak bydło wiezione do rzeźni, odżywiając się zimnym makaronem i robaczywym serem. Jeszcze zanim przeczytał testament Fernandy, który był tylko dokładną i spóźnioną rekapitulacją nieszczęść, rozpadające się meble i chwasty na ganku powiedziały mu już, że wpadł w pułapkę, z której nigdy nie wyjdzie, na zawsze wygnany z diamentowego światła i nieśmiertelnego powietrza rzymskiej wiosny. W bezsenności zabijającej go astmy mierzył bez końca głębię swojego nieszczęścia, krążąc

w ciemnościach domu, gdzie starcze lęki Urszuli zaszczepiły w nim strach przed światem. Żeby mieć pewność, że nie pochłoną go ciemności, Urszula przeznaczyła mu kąt w sypialni, jedyny, gdzie mógł być bezpieczny przed zmarłymi, którzy błądzili po domu od zmierzchu. „Cokolwiek złego zrobisz – mówiła do niego – święci mi o tym powiedzą”. Zalęknione noce jego dzieciństwa skupiły się w tym kącie, gdzie czekał na godzinę położenia się do łóżka, siedząc nieruchomo na taborecie i pocąc się ze strachu pod czujnym i lodowatym spojrzeniem świętych donosicieli. Była to niepotrzebna tortura, bo już wtedy przerażony był wszystkim, co go otaczało, i przygotowany, by lękać się wszystkiego, co mógł spotkać w swoim życiu: kobiet z ulicy, które psuły krew; domowych kobiet, które rodziły synów ze świńskimi ogonami; kogutów bojowych, które powodowały śmierć ludzi i wyrzuty sumienia do końca życia; broni palnej, której samo dotknięcie skazywało na dwadzieścia lat wojny; nieudanych przedsięwzięć, prowadzących tylko do rozczarowania i obłędu, i wszystkiego w końcu, wszystkiego, co Bóg stworzył w swojej nieskończonej dobroci, a co diabeł zdeprawował. Gdy budził się udręczony powracającymi koszmarami, jasność w oknach, pieszczoty Amaranty w wannie i rozkosz, z jaką pudrowała go między nogami jedwabistym puszkiem, uwalniały go od grozy. Nawet Urszula była inna w jasnym świetle ogrodu, bo tam nie opowiadała mu o duchach, ale szorowała mu zęby pyłem węglowym, żeby miał promienisty uśmiech papieża, obcinała i szlifowała jego paznokcie, żeby pielgrzymów, którzy będą przybywać do Rzymu ze wszystkich stron świata, zadziwiała piękność rąk papieża w chwili błogosławieństwa, i czesała go jak papieża, i skrapiała wodą kwiatową, aby jego ciało i ubranie rozsiewało papieską woń. Na dziedzińcu w Castel Gandolfo widział papieża na balkonie, wygłaszającego w siedmiu językach to samo przemówienie dla tłumu pielgrzymów, i jedyną rzeczą, jaka istotnie zwróciła jego uwagę, były jego ręce, białe, jakby wymoczone w ługu, olśniewający blask jego letnich szat i dyskretny zapach wody kolońskiej.

Prawie w rok po powrocie do domu, kiedy już sprzedał srebrne kandelabry i heraldyczny nocnik, w którym, w godzinie prawdy, ze złota okazały się tylko inkrustacje w herbie, jedyną jego rozrywką było sprowadzanie chłopców z ulicy, żeby bawili się w domu. Przychodził

z nimi w porze sjesty i kazał im skakać przez sznur w ogrodzie, śpiewać na ganku, dokonywać sztuk akrobatycznych z meblami w salonie, a sam spacerował między grupami, udzielając wszystkim lekcji dobrych manier. W tym czasie skończyły się już obcisłe spodnie i jedwabna koszula i nosił zwyczajne ubranie kupione w sklepach Arabów, ale nadal zachował omdlałą dystynkcję i gesty papieskie. Chłopcy zawładnęli domem tak jak niegdyś koleżanki Meme. Do późnej nocy słyszało się ich rozmowy, śpiew i tańce z przytupywaniem i dom był podobny do internatu bez dyscypliny. Aureliano nie przejmował się tą inwazją, dopóki nie zaczęto go nachodzić w pokoju Melquiadesa. Pewnego ranka dwaj chłopcy pchnęli drzwi i przestraszyli się widokiem brudnego i zarośniętego mężczyzny, który przy stole ślęczał nad pergaminami. Nie odważyli się wejść, ale wciąż kręcili się dokoła pokoju. Szepcąc, zaglądali przez szpary, wrzucali żywe gady przez lufcik, a któregoś dnia zabili gwoździami od zewnątrz drzwi i okno, tak że Aureliano stracił pół dnia, żeby je wyważyć. Rozochoceni bezkarnością swych wybryków, pewnego ranka, kiedy Aureliano był w kuchni, czterej chłopcy wtargnęli do pokoju, żeby zniszczyć pergaminy. Ledwie jednak pochwycili pożółkłe pliki i zwoje, jakaś nadziemska siła uniosła ich z ziemi i trzymała zawieszonych w powietrzu, póki nie wrócił Aureliano i nie odebrał im pergaminów. Od tego czasu przestali mu dokuczać.

Czterej najstarsi chłopcy, którzy nosili krótkie spodenki, chociaż zbliżali się już do wieku młodzieńczego, zajmowali się pielęgnacją urody Josego Arcadia. Przychodzili wcześniej niż inni i w ciągu ranka golili go, masowali rozgrzanymi ręcznikami, obcinali i polerowali paznokcie u rąk i nóg, nacierali go wodą kwiatową. Kilka razy wleźli do basenu, żeby namydlić go od stóp do głów, podczas gdy leżał twarzą do góry, myśląc o Amarancie. Potem wycierali go, pudrowali jego ciało i ubierali. Jeden z chłopców, który miał kędzierzawe jasne włosy i oczy z różowego szkła jak królik, zazwyczaj sypiał w domu. Tak mocne były więzy łączące go z José Arcadiem, że towarzyszył mu podczas bezsennych nocy astmatyka, spacerując z nim razem po domu pogrążonym w ciemnościach. Pewnej nocy w pokoju, gdzie sypiała Urszula, zobaczyli żółty blask bijący przez szpary w podłodze, jakby świeciło tam podziemne słońce. Nie musieli zapalać latarki. Wystarczyło im podnieść kilka spróchniałych desek w kącie, gdzie zawsze stało łóżko Urszuli i gdzie blask był najsilniejszy,

żeby znaleźć tajny schowek, którego na próżno poszukiwał Aureliano Drugi w obłędzie wykopalisk. Były tam trzy płócienne worki związane miedzianym drutem, a w nich siedem tysięcy dwieście czternaście monet, które świeciły w ciemności jak rozżarzone węgle.

Odkrycie skarbu było jak nagły wybuch ognia. Zamiast wracać do Rzymu z niespodziewaną fortuną, co było jego marzeniem dojrzałym w nędzy, José Arcadio przeobraził dom w raj o zmierzchu bogów. Kupił nowy aksamit na zasłony i baldachim w sypialni i kazał wyłożyć kolorowymi kafelkami podłogę i ściany łazienki. Kredens w jadalni wypełniły kandyzowane owoce, szynki i marynaty, a nieużywana spiżarnia została otwarta, by gromadzić w niej wina i likiery, które sam José Arcadio osobiście odbierał na stacji kolejowej w skrzyniach z wypisanym jego nazwiskiem. Pewnej nocy on i czterej najstarsi chłopcy urządzili zabawę, która przeciągnęła się do świtu. O szóstej rano wyszli nago z sypialni, wypuścili z basenu wodę i napełnili go szampanem. Pluskali się, pływając, niby ptaki fruwające po złotawym niebie aromatycznych bąbelków, podczas gdy José Arcadio, nie biorąc udziału w zabawie, unosił się na powierzchni twarzą do góry, wspominając Amarantę. Został tam z otwartymi oczyma, pogrążony we wspomnieniach, przeżuwając gorycz swoich nieczystych przyjemności jeszcze długo potem, kiedy chłopcy znudzeni kąpielą poszli gromadnie do sypialni, gdzie oberwali aksamitne kotary, żeby się wytrzeć, zbili kryształowe zwierciadło i rozwalili baldachim nad łóżkiem, próbując się w nim położyć wszyscy naraz. Kiedy José Arcadio wrócił z łazienki, zastał ich śpiących jeden przy drugim, nagich, w alkowie, która wyglądała jak po kataklizmie. Rozgniewany nie tyle z powodu wyrządzonych szkód, co wstrętem i litością, jaką odczuwał dla samego siebie w rozpaczliwej pustce saturnaliów, uzbroił się w rzemienną dyscyplinę, którą miał schowaną na dnie kufra obok włosiennicy i innych akcesoriów pokuty i umartwienia, i wygnał chłopców z domu, wyjąc jak obłąkany i chłoszcząc ich bez miłosierdzia jak stado kojotów. Powalił go atak astmy i trwał przez kilka dni, które wydawały się agonią. Trzeciej nocy tortur poszedł do pokoju Aureliana i poprosił go o kupienie w pobliskiej aptece proszków do inhalacji. W ten sposób Aureliano wyszedł po raz drugi na ulicę. Musiał przebiec zaledwie sto metrów, żeby dojść do małej apteki o zakurzonych szybach, gdzie stały na półkach porcelanowe flakony z łacińskimi napisami

i gdzie dziewczyna o tajemniczej urodzie węża z Nilu dała mu lekarstwo, którego nazwę José Arcadio zapisał na papierze. Ta druga wizja opustoszałego miasta, oświetlonego tylko żółtawym blaskiem latarń na ulicy, nie wzbudziła w Aurelianie większej ciekawości niż za pierwszym razem. José Arcadio posądzał go już o ucieczkę, kiedy ukazał się z powrotem lekko zdyszany biegiem i powłócząc nogami, które na skutek zamknięcia i braku ruchu stały się słabe i niezdarne. Jego obojętność dla świata była tak niewątpliwa, że parę dni później José Arcadio złamał przyrzeczenie dane swojej matce i pozwolił mu swobodnie wychodzić, kiedykolwiek zechce.

– Nie mam nic do roboty na ulicy – odpowiedział mu Aureliano.

Żył nadal w zamknięciu, zaabsorbowany pergaminami, które stopniowo odczytywał, nie mogąc jednakże wytłumaczyć ich sensu. José Arcadio zanosił mu do pokoju plastry szynki, owoce w cukrze, które pozostawiały w ustach smak wiosny, a czasami kieliszek dobrego wina. Nie interesował się pergaminami, które uważał za raczej ezoteryczną rozrywkę, zwróciła natomiast jego uwagę zdumiewająca wiedza i niewytłumaczalna znajomość świata, jaką miał ten nieszczęsny krewniak. Wtedy dowiedział się, że tamten potrafi zrozumieć angielski w piśmie i że między jednym pergaminem a drugim przeczytał od deski do deski, jak powieść, sześć tomów encyklopedii. Tym sobie z początku tłumaczył fakt, że Aureliano mógł mówić o Rzymie tak, jakby mieszkał tam przez wiele lat, wkrótce jednak przekonał się, że znane mu są także rzeczy, których nie ma w encyklopedii, jak na przykład ceny przedmiotów. „Wszystkiego się można dowiedzieć” – było jedyną odpowiedzią Aureliana na pytanie, skąd to wie. Aureliano natomiast dziwił się, że José Arcadio widziany z bliska jest tak różny od obrazu, jaki sobie o nim stworzył, widząc go z daleka krążącego po domu. Umiał się śmiać, pozwalał sobie od czasu do czasu na wspomnienia przeszłości domu, a nawet potrafił się troszczyć o pokój Melquiadesa. To zbliżenie między dwoma samotnikami tej samej krwi było bardzo dalekie od przyjaźni, ale pozwoliło obydwóm lżej znosić tę niezgłębioną samotność, która jednocześnie dzieliła ich i łączyła. José Arcadio mógł odtąd prosić o pomoc Aureliana w rozwiązaniu pewnych problemów domowych, które go doprowadzały do rozpaczy. Aureliano natomiast mógł siadywać na ganku, otrzymywać listy od Amaranty Urszuli,

które nadchodziły punktualnie jak zazwyczaj, i używać łazienki, skąd wypędził go José Arcadio od razu po przyjeździe.

Pewnego gorącego ranka obydwóch obudziło gwałtowne dobijanie się do drzwi od ulicy. Był to jakiś nieznajomy starzec, którego wielkie zielone oczy oświetlały twarz fosforycznym blaskiem, i miał krzyż z popiołu na czole. W łachmanach, zdartych butach i ze starą sakwą na ramieniu, stanowiącą jego jedyny bagaż, wyglądał na żebraka, ale godność jego zachowania wyraźnie przeczyła tym pozorom. Wystarczyło raz na niego spojrzeć, nawet w półmroku salonu, żeby wiedzieć, że tajemna siła, która pozwala mu żyć, nie jest instynktem samozachowawczym, lecz przyzwyczajeniem do strachu. Był to Aureliano Amador, jedyny z siedemnastu synów pułkownika Aureliana Buendíi, który ocalał w noc pogromu i teraz szukał wytchnienia w swojej długiej i niebezpiecznej egzystencji zbiega. Powiedział, kim jest, i prosił o schronienie w tym domu, który w swoich nocach pariasa wspominał jako ostatni pozostały mu w życiu bastion bezpieczeństwa, ale José Arcadio i Aureliano nie pamiętali go. Przekonani, że jest włóczęgą, wypędzili go kopniakiem na ulicę. Obaj zobaczyli wtedy, stojąc w drzwiach, finał dramatu, który zaczął się jeszcze, zanim José Arcadio wyrósł z dzieciństwa. Dwaj agenci policji, którzy ścigali Aureliana Amadora przez wiele lat i jak psy gończe, idąc za jego śladem, przewędrowali pół świata, wyłonili się zza migdałowców po drugiej stronie ulicy i gruchnęły dwa strzały z mauzerów, trafiając prosto w krzyż z popiołu.

Od czasu wypędzenia chłopców z domu José Arcadio oczekiwał wiadomości o pewnym transatlantyku, który miał odpłynąć do Neapolu przed Bożym Narodzeniem. Powiedział o tym Aurelianowi, a nawet planował założenie dla niego jakiegoś przedsiębiorstwa, z którego mógłby żyć, bo koszyka z prowiantami nie przysyłano od pogrzebu Fernandy. Ale i to ostatnie marzenie nie miało się spełnić. Pewnego wrześniowego ranka, wypiwszy kawę z Aurelianem w kuchni, José Arcadio kończył swoją codzienną kąpiel, kiedy przez ruchome dachówki wtargnęli do łazienki czterej chłopcy, których przedtem wypędził z domu. Zanim zdążył pomyśleć o jakiejkolwiek obronie, wskoczyli w ubraniach do basenu, chwycili go za włosy i trzymali jego głowę zanurzoną w wodzie tak długo, aż przestały się ukazywać pęcherzyki powietrza i ciche, nieruchome i blade

ciało delfina osunęło się na dno aromatycznej wody. Potem zabrali trzy worki ze złotem ze schowka, który znali tylko oni i ich ofiara. Akcja była tak pospieszna, metodyczna i brutalna, że przypominała atak wojskowy. Aureliano zamknięty w swoim pokoju nic nie zauważył. Po południu, nie widząc Josego Arcadia w kuchni, zaczął szukać go po całym domu i znalazł w łazience, gdzie kołysał się na perfumowanych wodach basenu, ogromny i wzdęty, i myślący wciąż o Amarancie. Wtedy dopiero zrozumiał, jak bardzo zaczął go kochać.

Amaranta Urszula wróciła wraz z pierwszymi aniołami grudnia na skrzydłach wiatru popychającego żaglowiec i przywiozła z sobą męża, na jedwabnym sznurku uwiązanym wokół szyi. Zjawiła się bez uprzedzenia, w sukience barwy kości słoniowej, ze sznurem pereł, który sięgał jej po kolana, w pierścionkach zdobnych w szmaragdy i topazy, z krótko uciętymi włosami, gładko przylegającymi do twarzy i zakręconymi koło uszu w kształt jaskółczego ogona. Mężczyzna, za którego wyszła za mąż sześć miesięcy temu, był Flamandczykiem, w pełni wieku, szczupłym i o wyglądzie żeglarza czy podróżnika. Wystarczyło jej pchnąć drzwi salonu, żeby zrozumieć, że jej nieobecność była dłuższa i przyniosła więcej zniszczenia, niż jej się wydawało.

– Boże mój – zawołała raczej uradowana niż przerażona. – Jak to widać, że nie ma kobiety w tym domu!

Jej bagaż nie mieścił się na ganku. Oprócz dawnego kufra Fernandy, z którym wysłano ją do szkoły, przywiozła dwie pionowe skrzynie z sukniami, cztery walizy, worek na parasolki, osiem pudeł kapeluszy, ogromną klatkę z pięćdziesięcioma kanarkami i rozłożony na części welocyped swego męża, w futerale, który pozwalał nosić go jak wiolonczelę. Nie pozwoliła sobie nawet na jeden dzień odpoczynku po tak długiej podróży. Włożyła zniszczony kombinezon, który przywiózł jej mąż razem z innymi akcesoriami motocyklisty, i przystąpiła do nowego remontu domu. Rozpędziła czerwone mrówki, które już objęły we władanie ganek, okopała krzaki róż, powyrywała chwasty, zasadziła paprocie, majeranek i begonie w doniczkach na parapecie. Stanęła na czele drużyny stolarzy, murarzy i ślusarzy, którzy naprawili wyrwy w podłogach, umocowali

w zawiasach drzwi i okna, odnowili meble i pobielili ściany wewnątrz i na zewnątrz tak, że w trzy miesiące po jej powrocie znowu oddychało się atmosferą młodości i zabawy, jak w czasach pianoli. Nigdy nikt w tym domu nie był w lepszym humorze, o każdej godzinie i w każdej sytuacji, ani bardziej gotów do tańca i śpiewania, i wyrzucania na śmietnik starych gratów i zwyczajów. Jednym zamachem szczotki wymiotła wspomnienia pogrzebowe i sterty niepotrzebnych rupieci i przesądów zalegających kąty i jedyną rzeczą, którą zachowała, by uszanować życzenie Urszuli, był dagerotyp Remedios w salonie. „To dopiero jest luksus – wołała, zanosząc się od śmiechu. – Czternastoletnia prababka!”. Kiedy jeden z murarzy powiedział jej, że dom zaludniają widma i jedynym sposobem ich wystraszenia jest odnaleźć skarb, który tu zakopali, odpowiedziała ze śmiechem, że nie wierzy w zabobony mężczyzn. Tak była spontaniczna, swobodna, obdarzona tak nowoczesnym i niezależnym umysłem, że Aureliano czuł się oszołomiony w pierwszej chwili, gdy ją zobaczył. „To niebywałe! – zawołała uszczęśliwiona, witając go z otwartymi ramionami – spójrzcie, jak wyrósł mój ukochany ludożerca!” Zanim zdążył zareagować, już nastawiła płytę na przenośnym gramofonie, który przywiozła ze sobą, i próbowała go nauczyć najmodniejszych tańców. Zmusiła go, żeby zmienił obszarpane spodnie odziedziczone po pułkowniku Aurelianie Buendíi, podarowała mu komplet koszul odpowiednich dla młodego człowieka i buty w dwóch kolorach i siłą wypychała go na ulicę, kiedy za dużo czasu spędzał w pokoju Melquiadesa.

Ruchliwa, drobna, nieujarzmiona jak Urszula i niemal dorównująca urodą Pięknej Remedios, miała jakiś dziwny instynkt wyprzedzania mody. Najnowsze żurnale wysyłane pocztą służyły jej tylko do sprawdzenia, że nie pomyliła się w modelach, które sama obmyślała i szyła na prymitywnej ręcznej maszynie Amaranty. Abonowała wszystkie czasopisma poświęcone modzie, sztuce i muzyce lekkiej, jakie wydawano w Europie, i ledwie rzuciwszy na nie okiem, orientowała się, że wszystko na tym świecie rozwija się tak, jak ona sobie to wyobrażała. Wydawało się niepojęte, żeby kobieta z takim usposobieniem wróciła do martwego miasta, przysypanego kurzem i trawionego upałem, zwłaszcza z mężem, który miał aż nadto pieniędzy, by zamieszkać w jakimkolwiek miejscu świata, i który kochał ją tak bardzo, że zgadzał się być prowadzony przez nią na jedwabnej smyczy.

A jednak, w miarę jak upływał czas, coraz bardziej stawało się oczywiste, że zamierza tu zostać, bo wszystkie jej plany sięgały w daleką przyszłość, a wszystkie podejmowane przez nią decyzje zmierzały do stworzenia sobie wygodnego życia i spokojnej starości w Macondo. Klatka z kanarkami świadczyła, że nie były to zamiary podjęte nagle. Pamiętając, że matka pisała jej w jednym z listów o wyniszczeniu ptaków, przez parę miesięcy odwlekała powrót, szukając statku, który zatrzymywałby się na Wyspach Szczęśliwych, i tam wybrała dwadzieścia pięć par najładniejszych kanarków, by na nowo zapełnić niebo nad Macondo. Była to najbardziej żałosna spośród jej licznych nieudanych inicjatyw. W miarę rozmnażania się ptaków Amaranta Urszula wypuszczała je parami, ale zaledwie poczuły wolność, uciekały z miasta. Na próżno próbowała wzbudzić w nich przywiązanie do ptaszarni, którą założyła Urszula podczas pierwszej rozbudowy. Na próżno robiła dla nich sztuczne gniazda na drzewach migdałowych, obsypywała dachy siemieniem lnianym, a uwięzione ptaki zmuszała do śpiewania, żeby zawracały z drogi dezerterów, bo te przy pierwszej próbie wzbijały się w górę i natychmiast zataczały łuk na niebie, by odnaleźć kierunek na Wyspy Szczęśliwe.

W rok po powrocie, chociaż nie zdołała nawiązać ani jednej przyjaźni, ani zorganizować żadnej zabawy, Amaranta Urszula nadal wierzyła, że można uratować społeczność, którą upodobał sobie zły los. Gaston, jej mąż, nigdy jej w niczym nie zaprzeczył, chociaż tego śmiertelnego popołudnia, kiedy wysiedli z pociągu, zrozumiał, że zdecydowanie jego żony jest wynikiem miraży tęsknoty i wspomnień. Pewien zwycięstwa rzeczywistości nad majakiem nie zadał sobie nawet trudu, żeby złożyć rozmontowany welocyped, tylko zajął się wybieraniem jajeczek z pajęczyn zrzucanych przez murarzy, otwierał je paznokciami i całe godziny spędzał, obserwując przez lupę maleńkie pajączki, które wychodziły z wnętrza. Później, przypuszczając, że Amaranta Urszula nie ustaje w reformach przez upór, zdecydował się zmontować welocyped, którego przednie koło było o wiele większe niż tylne, i poświęcił się łapaniu i dokonywaniu sekcji wszelkich tutejszych insektów, jakie znajdował w okolicy, po czym wysyłał je w słoikach po marmoladzie do swojego dawnego profesora historii naturalnej na uniwersytecie w Liège, gdzie niegdyś studiował entomologię i miał duże osiągnięcia w tej dziedzinie, chociaż jego głównym powołaniem

była aeronautyka. Na rowerze jeździł w spodniach cyrkowca, grubych skarpetach szkockiego kobziarza i cyklistówce detektywa, ale na piesze spacery chodził ubrany w nienaganny lniany garnitur, białe pantofle, jedwabny krawat, kapelusz kanotier i z wiklinową laseczką. Miał jasne źrenice, które podkreślały jego wygląd żeglarza, i wąsik rudy jak wiewiórka. Chociaż był co najmniej o piętnaście lat starszy od żony, jego młodzieńcze upodobania, zawsze czujna troska o jej zadowolenie i zalety jako kochanka rekompensowały różnicę wieku. Ktokolwiek widział tego czterdziestolatka o powściągliwym sposobie bycia, z jedwabną smyczą na szyi, z cyrkowym rowerem, nigdy by nie przypuszczał, że łączy go z młodą żoną pakt nieokiełzanej miłości i że oboje ulegali wzajemnej palącej potrzebie w miejscach najmniej do tego odpowiednich, gdziekolwiek przyszło im natchnienie, tak samo jak w pierwszych czasach znajomości i z pasją, którą bieg czasu i coraz bardziej niezwykłe okoliczności czyniły coraz głębszą i bogatszą. Gaston nie tylko był gwałtownym kochankiem o niewyczerpanej wyobraźni i wiedzy, ale także prawdopodobnie pierwszym w dziejach ludzkości człowiekiem, który dokonał przymusowego lądowania i omal się przy tym nie zabił, razem ze swoją narzeczoną, tylko po to, żeby kochać się z nią na łące fiołków.

Poznali się trzy lata przed ślubem, kiedy w sportowym dwupłatowcu zataczał piruety nad budynkiem szkoły, gdzie uczyła się Amaranta Urszula. Dokonał niebezpiecznego manewru, żeby nie zawadzić o drzewce flagi, i prymitywny kadłub z drelichu i papieru aluminiowego zawisł ogonem na drutach telegraficznych. Od tego czasu, nie zważając na swoje nogi w gipsie, przychodził co sobota po Amarantę Urszulę na pensję zakonną, w której nadal mieszkała i której regulamin nie był tak surowy, jak by sobie tego życzyła Fernanda, i zabierał ją do swojego klubu sportowego. Zaczęli kochać się na wysokości pięciuset metrów w niedzielnym powietrzu nad wrzosowiskiem, i tym bliżsi czuli się sobie nawzajem, im mniejsze stawały się istoty ludzkie na ziemi. Ona opowiadała mu o Macondo jak o najpiękniejszym, najmilszym miejscu świata i o wielkim domu pachnącym ziołami, gdzie chciałaby mieszkać do późnej starości z wiernym mężem i dwoma niesfornymi synami, którzy nazywaliby się Rodrigo i Gonzalo, a w żadnym przypadku Aureliano i José Arcadio, i córką imieniem Virginia, a nigdy Remedios. Wspominała to miasto,

wyidealizowane przez tęsknotę, z upragnieniem i uporem, które kazały zrozumieć Gastonowi, że ona nie zechce wyjść za niego, jeżeli jej nie zawiezie do Macondo. Zgodził się na to, tak samo jak później zgodził się na smycz, bo uważał to za przejściowy kaprys, który lepiej było pozostawić czasowi, ale kiedy minęły dwa lata w Macondo i Amaranta Urszula nadal czuła się tam równie szczęśliwa jak pierwszego dnia, zaczął się niepokoić. Do tego czasu zbadał już i rozczłonkował wszystkie nadające się do tego owady w całej okolicy, mówił po hiszpańsku jak tubylec i rozwiązał wszystkie krzyżówki w czasopismach przysyłanych pocztą. Nie mógł powołać się na klimat jako pretekst do przyspieszenia powrotu, gdyż natura obdarzyła go kolonialną wątrobą, która bez szwanku wytrzymywała wilgotną duszność powietrza i wodę z kijankami. Kuchnia kreolska smakowała mu tak, że kiedyś zjadł potrawę z osiemdziesięciu dwóch jajek i iguany. Amaranta Urszula, przeciwnie, kazała sprowadzać koleją ryby i skorupiaki w skrzynkach z lodem, mięso w puszkach i owoce w cukrze, bo to tylko mogła jadać. Ubierała się wciąż zgodnie z modą europejską i nadal otrzymywała żurnale, chociaż nie miała żadnych wizyt do składania ani przyjmowania, a jej mąż już w tym czasie nie był w odpowiednim humorze, by oceniać jej krótkie sukienki, wykwintne filcowe kapelusze i naszyjniki siedem razy okręcane wokół szyi. Jej sekret zdawał się polegać na tym, że zawsze znajdowała sobie coś do roboty, bądź rozwiązując problemy domowe, które sama stwarzała, bądź robiąc źle niektóre rzeczy, by je nazajutrz poprawiać, z przewrotną skwapliwością, która Fernandzie wydałaby się dziedzicznym nałogiem pracy bez celu i sensu. Upodobanie do zabawy było w niej wciąż tak żywe, że kiedy otrzymywała nowe płyty, wołała Gastona do salonu, żeby ćwiczyć do późna nowe tańce, które opisywały jej koleżanki ze szkoły, załączając rysunki, co zwykle kończyło się miłością w wiedeńskich fotelach albo na podłodze. Do pełnego szczęścia brakowało jej tylko dziecka, ale szanowała pakt zawarty ze swoim mężem, żeby nie mieć dzieci przed upływem pięciu lat małżeństwa.

Szukając sposobu wypełnienia godzin bezczynności, Gaston przyzwyczaił się spędzać ranki w pokoju Melquiadesa z mało towarzyskim Aurelianem. Lubił wspominać z nim razem najdalsze zakątki swego kraju, który Aureliano znał tak, jakby tam przebywał wiele czasu. Kiedy Gaston spytał, skąd czerpie wiadomości, których nie ma w encyklopedii, otrzymał

tę samą odpowiedź co José Arcadio: „Wszystkiego się można dowiedzieć”. Oprócz sanskrytu Aureliano nauczył się angielskiego, francuskiego, trochę łaciny i greki. Ponieważ wtedy wychodził co popołudnie, a Amaranta Urszula wyznaczyła dla niego tygodniową sumę na wydatki osobiste, jego pokój wyglądał jak filia księgarni uczonego Katalończyka. Czytał łapczywie do późnych godzin nocnych, choć sądząc po sposobie traktowania tych lektur, Gaston myślał, że Aureliano kupuje książki nie po to, by się z nich czegoś dowiedzieć, lecz by sprawdzić ścisłość swoich wiadomości, i że żadne dzieła nie interesują go bardziej niż pergaminy, którym poświęca większą część ranków. Zarówno Gaston, jak i jego żona chętnie włączyliby go do życia rodzinnego, Aureliano jednak był hermetycznie zamknięty, otoczony chmurą tajemniczości, która z czasem stawała się coraz gęstsza. Był tak nieprzystępny, że Gastonowi nie udało się do niego zbliżyć i musiał poszukiwać innego sposobu wypełniania swoich pustych godzin. W tym to czasie wpadł na pomysł ustanowienia poczty lotniczej.

Nie był to nowy projekt. Jego realizacja była właściwie dość daleko posunięta, kiedy poznał Amarantę Urszulę, tyle że pierwotny plan dotyczył nie Macondo, lecz Konga Belgijskiego, gdzie jego rodzina miała wytwórnię oleju palmowego. Małżeństwo i decyzja spędzenia kilku miesięcy w Macondo, zgodnie z życzeniem żony, zmusiły go do odłożenia planu. Kiedy zobaczył jednak, że Amaranta Urszula zdecydowana jest poświęcić się poprawie bytu powszechnego, a nawet wyśmiewa się z jego napomknień o powrocie, zrozumiał, że sytuacja zanosi się na długo, i nawiązał z powrotem kontakt ze swymi zapomnianymi wspólnikami z Brukseli w przekonaniu, że równie dobrze może być pionierem w rejonie Morza Karaibskiego jak w Afryce. Podczas gdy sprawa posuwała się naprzód, przygotowywał lotnisko na dawnym terenie zaczarowanym, który wówczas wydawał się kamienistą równiną, przestudiował kierunki wiatru, geografię wybrzeża i najodpowiedniejsze szlaki żeglugi powietrznej, nie wiedząc, iż jego pracowitość, tak przypominająca krzątaninę pana Herberta, budzi powszechne podejrzenia, że jego zamiarem nie jest wytyczenie dróg, ale uprawa bananów. Zapalił się w końcu do pomysłu, który mógłby uzasadnić jego ostateczne osiedlenie się w Macondo, i odbył kilka podróży do stolicy prowincji, gdzie przeprowadził rozmowy z władzami, otrzymał

koncesję i podpisał kontrakty. Jednocześnie utrzymywał ze wspólnikami w Brukseli korespondencję podobną do tej, jaką prowadziła Fernanda z niewidzialnymi medykami, i przekonał ich, żeby przysłali statkiem części składowe pierwszego samolotu pod opieką doświadczonego mechanika, który zmontuje aparat w najbliższym porcie i przyleci nim do Macondo. W rok po pierwszych pomiarach i obliczeniach meteorologicznych, ufny w przyrzeczenia swych korespondentów, spacerował wciąż jeszcze po ulicach, patrząc w niebo, nasłuchując zmian wiatru w oczekiwaniu, aż pojawi się samolot.

Powrót Amaranty Urszuli, choć ona tego nie zauważyła, wprowadził radykalną zmianę w życiu Aureliana. Po śmierci Josego Arcadia stał się częstym klientem księgarni katalońskiego mędrca. Poza tym wolność, jaką się cieszył, i czas, jakim dysponował, rozbudziły w nim pewną ciekawość dla miasteczka, które poznawał bez zdziwienia. Przebiegał opustoszałe i zakurzone ulice, obserwując z zainteresowaniem raczej naukowym niż ludzkim wnętrza zrujnowanych domów, metalowe siatki w oknach zniszczone przez rdzę, zdychające ptaki i przybitych wspomnieniami ludzi. Próbował budować w wyobraźni zrównane z ziemią splendory dawnej fortecy Kompanii Bananowej, której wyschnięty basen wypełniały dziś po brzegi zgniłe buty męskie i damskie pantofelki i gdzie w jednym z rozwalonych domów znalazł szkielet wilczura uwiązanego na łańcuchu i telefon, który dzwonił i dzwonił, do chwili gdy Aureliano podniósł słuchawkę, zrozumiał, o co pytała po angielsku jakaś stroskana dama z oddali, i odpowiedział jej, że owszem, strajk zakończył się i trzy tysiące zabitych robotników wrzucono do morza, a Kompania Bananowa odjechała i w Macondo wreszcie po wielu latach zapanował spokój. Te wędrówki zawiodły go do zrujnowanej dzielnicy rozrywki, w której niegdyś dla ożywienia nastroju palono całe pliki banknotów, a która teraz była rumowiskiem ulic bardziej niż inne dotkniętych zniszczeniem i nędzą; gdzieniegdzie paliły się tu jeszcze czerwone żarówki, a w opustoszałych, przybranych strzępami girland salonach tanecznych wybladłe i nalane wdowy po nikim, prababki francuskie i babilońskie matrony wciąż czekały na progach. Aureliano nie znalazł nikogo, kto pamiętałby jego rodzinę, nawet pułkownika Aureliana Buendíę, oprócz najstarszego z Murzynów z Antyli, starca, którego biała głowa przypominała fotograiczny negatyw

i który siedząc na ganku przed domem, śpiewał wciąż jeszcze psalmy przedwieczorne. Aureliano rozmawiał z nim w jego dziwacznym języku, którego wyuczył się w kilka tygodni, a czasami dzielił z nim rosół z kogucich łebków ugotowany przez jego prawnuczkę, olbrzymią grubokościstą Murzynkę o biodrach klaczy, piersiach jak melony i okrągłej jak kula głowie opancerzonej twardą otoczką drucianych włosów, podobnych do hełmu średniowiecznego wojownika. Nazywała się Nigromanta. W tym okresie Aureliano żył ze sprzedaży srebrnych sztućców, lichtarzy i innych drobiazgów domowych. Kiedy nie miał ani grosza w kieszeni, co się zdarzało nader często, zbierał od właścicieli straganów na rynku kogucie głowy przeznaczone do wyrzucenia na śmieci i zanosił je Nigromancie, żeby mu gotowała swoje zupy perfumowane zielskiem. Po śmierci starego Aureliano przestał przychodzić do ich domu, ale spotykał się z Nigromantą w cieniu migdałowców na rynku, gdzie swoimi gwizdami dzikiego zwierzęcia wabiła nielicznych przechodniów. Często spędzał z nią długie godziny, rozmawiając w narzeczu murzyńskim o zupach z kogucich głów i innych przysmakach nędzy, i trwałoby to bez końca, gdyby nie zwróciła mu uwagi, że jego towarzystwo odstrasza klientelę. Chociaż nieraz ogarniała go pokusa i pomimo że samej Nigromancie wydawałoby się to naturalnym dopełnieniem ich znajomości, nigdy z nią nie spał. Toteż nie znał jeszcze kobiety, kiedy Amaranta Urszula powróciła do Macondo i otoczyła go ramionami w siostrzanym uścisku, który zaparł mu dech. Ilekroć ją widział, a gorzej jeszcze, kiedy uczyła go modnych tańców, dręczyła go ta sama słabość w kościach, którą odczuwał jego praprapradziadek, gdy Pilar Ternera pokazywała mu w spiżarni sztuczki karciane. Żeby uśmierzyć miotającą nim burzę, pogrążył się jeszcze bardziej w pergaminach i unikał niewinnych zaczepek tej ciotki, której obraz nie dawał mu spać po nocach, lecz im bardziej od niej uciekał, tym większy niepokój wywoływał w nim jej hałaśliwy śmiech i mruczenie szczęśliwej kotki lub dziękczynne pienia samicy omdlewającej z miłości, o byle jakiej godzinie i w najbardziej nieoczekiwanych miejscach domu. Pewnej nocy o dziesięć metrów od jego łóżka, na stole w warsztacie złotniczym, małżonkowie w napadzie miłosnego szaleństwa potłukli szkła i kochali się w kałuży kwasu solnego. Aureliano nie zmrużył oka ani przez minutę, a nazajutrz miał gorączkę i dusił go szloch wściekłości. Przez długie jak wieczność godziny czekał nadejścia nocy i spotkania

z Nigromantą w cieniu migdałowców, czując na całym ciele ukłucia lodowatych igieł niepewności i ściskając w dłoni peso i pięćdziesiąt centavos, o które poprosił Amarantę Urszulę nie tylko dlatego, że ich potrzebował, ale żeby ją w jakiś sposób w to wciągnąć, zbrukać i sponiewierać swoją przygodą. Nigromanta zaprowadziła go do swego pokoiku oświetlonego świeczkami, do swego żelaznego łóżka z prześcieradłem nasiąkniętym nieczystą miłością i swego ciała złej suki, zatwardziałej i niekochanej, gotowej odprawić go jak wystraszone dziecko, i znalazła się nagle oko w oko z mężczyzną, którego olbrzymia moc żądała od niej reakcji potężniejszej niż wstrząs sejsmiczny.

Zostali kochankami. Aureliano spędzał ranki na odcyfrowaniu pergaminów, a w porze sjesty szedł do odurzającej sypialni, gdzie czekała Nigromanta, żeby go nauczyć najpierw, jak to robią glisty, potem żaby, a w końcu raki. Minęło wiele tygodni, zanim Aureliano odkrył, że jego kochanka nigdy nie zdejmuje z siebie cieniutkiego paska, który nosiła na gołym ciele i który zdawał się zrobiony ze struny skrzypiec, ale był twardy jak stal i nie miał zapięcia, bo urodziła się w nim i z nim razem rosła. W przerwach między miłością jedli, siedząc nago w łóżku, w obłędnym upale i pod gwiazdami dnia, które rdza wyżerała na cynkowym dachu. Po raz pierwszy Nigromanta miała stałego mężczyznę, „domowego”, jak mówiła ze śmiechem, i nawet zaczynała ulegać złudzeniom serca, kiedy Aureliano wyznał jej swoją tłumioną namiętność dla Amaranty Urszuli, żądzę, której nie zdołały uleczyć namiastki i która spalała go, drążyła z każdym dniem głębiej, w miarę jak doświadczenie rozszerzyło horyzonty miłości. Wtedy Nigromanta, choć nadal przyjmowała go równie gorąco, kazała sobie płacić za usługi, prowadząc rachunki tak ścisłe, że kiedy Aureliano nie miał pieniędzy, notowała zaległe sumy nie za pomocą cyfr, lecz kreseczek, które żłobiła paznokciem dużego palca nad drzwiami. Wieczorami, gdy wychodziła na ciemny plac rynkowy, Aureliano wracał, przemykając się przez ganek jak obcy i ledwie witając Amarantę Urszulę i Gastona, którzy zwykle o tej godzinie jedli kolację, i zamykał się w pokoju Melquiadesa, ale nie mógł czytać ani pisać, a nawet myśleć, słysząc śmiechy, szepty, wstępne figle, a potem eksplozje śmiertelnego szczęścia, którymi przepełnione były noce w domu. Tak wyglądało jego życie na dwa lata przedtem, zanim Gaston zaczął wyczekiwać aeroplanu,

i pozostało takie aż do tego popołudnia, kiedy poszedł do księgarni katalońskiego mędrca i zastał tam czterech chłopców w zacietrzewionej dyspucie o metodach zabijania karaluchów w średniowieczu. Stary księgarz, znając zamiłowanie Aureliana do książek, które tylko Beda Wielebny zdolny był przeczytać, nie bez pewnej dobrodusznej złośliwości wciągnął go do sporu, a on nawet nie zaczerpnąwszy tchu, wytłumaczył, że karaluch, najstarszy insekt uskrzydlony na ziemi, już w Starym Testamencie był ulubioną ofiarą ciosów obcasa, należał jednak do gatunku najbardziej odpornego na wszelkie metody eksterminacji, począwszy od plasterków pomidora z boraksem aż do mąki z cukrem, ponieważ jego tysiąc sześćset trzy odmiany przetrwały najdawniejsze, najbardziej okrutne i uporczywe prześladowania, jakie człowiek od początków swego istnienia rozpętał przeciw jakiemukolwiek żyjącemu stworzeniu, nie wyłączając samego człowieka, tak dalece, że jeżeli przypisuje się rodzajowi ludzkiemu instynkt reprodukcji, należy mu również przypisać drugi instynkt, bardziej jeszcze zdecydowany i nieodparty, to jest instynkt zabijania karaluchów, i jeśli zdołały się one wymknąć okrucieństwu ludzkiemu, to dlatego, że schroniły się w ciemności, gdzie zapewniły sobie nietykalność na skutek wrodzonego lęku człowieka przed ciemnością, ale za to stały się wrażliwe na blask południa, tak więc już w średniowieczu, w epoce obecnej i przez wieki wieków jedyną skuteczną metodą zabijania karaluchów było oślepienie słońcem.

Ten encyklopedyczny fatalizm zapoczątkował wielką przyjaźń i Aureliano co dnia po południu spotykał się z czterema partnerami w dysputach. Nazywali się Alvaro, Herman, Alfonso i Gabriel – pierwsi i ostatni przyjaciele, jakich miał w życiu. Dla kogoś zamkniętego jak on w fortecy rzeczywistości pisanej te burzliwe zebrania, które zaczynały się w księgarni o szóstej po południu, a kończyły o świcie w burdelach, były objawieniem. Nigdy dotychczas nie przyszło mu na myśl, że literatura jest najlepszą zabawką, jaką wymyślono, żeby drwić z ludzi, tak jak to wykazał Alvaro pewnej pijackiej nocy. Sporo czasu musiało upłynąć, zanim Aureliano zdał sobie sprawę, że źródłem tej arbitralności sądów jest przykład katalońskiego mędrca, dla którego wiedza nie miała żadnej wartości, jeśli nie można było się nią posłużyć do wynalezienia nowej potrawy z grochu.

Tego popołudnia, kiedy Aureliano wygłosił wykład o karaluchach, dyskusja zakończyła się w domu cnotliwych dziewczynek, które uprawiały nierząd z głodu, to jest w burdelu z nieprawdziwego zdarzenia na przedmieściach Macondo. Właścicielką była bogobojna niewiasta, zawsze uśmiechnięta, cierpiąca na manię otwierania i zamykania drzwi. Jej wieczny uśmiech zdawał się wywołany łatwowiernością klientów, którzy na serio traktowali zakład istniejący tylko w imaginacji, bo nawet rzeczy dotykalne były tam nieprawdziwe: krzesła, które rozpadały się przy siadaniu, rozbebeszona szafa grająca, w której kura wysiadywała jajka, ogród z papierowych kwiatów, kalendarze sprzed czasów Kompanii Bananowej, oprawne w ramy litografie wycięte z czasopism, których nigdy nie publikowano. Nawet nieśmiałe kurewki, które przybiegały z sąsiedztwa na zawiadomienie właścicielki o przybyciu klientów, były czczym wymysłem. Wchodziły bez powitania w kwiecistych sukienczynach, z których wyrosły pięć lat temu i które zdejmowały z taką samą niewinnością, z jaką je wkładały, i w paroksyzmie miłosnym wyrażały swoje zdumienie albo krzyczały, że dach się wali, a otrzymawszy swoje peso i pięćdziesiąt centavos, wydawały je co prędzej na chleb i kawałek sera, które sprzedawała im właścicielka, bardziej roześmiana niż kiedykolwiek, bo tylko ona wiedziała, że to pożywienie także nie było prawdziwe. Aureliano, dla którego wówczas świat rozpoczynał się od pergaminów Melquiadesa, a kończył w łóżku Nigromanty, znalazł w wyimaginowanym burdeliku końską kurację na swoją nieśmiałość. Z początku nie mógł dojść do niczego w pokoikach, dokąd właścicielka wchodziła w szczytowych momentach miłości, robiąc uwagi na temat intymnych powabów uczestników spektaklu. Z czasem jednak tak się oswoił z tymi zwyczajami, że pewnej nocy, z mniej jeszcze prawdziwego zdarzenia niż inne, rozebrał się w poczekalni i przedefilował przez cały dom, utrzymując w równowadze butelkę piwa na swoim niesamowitym fallusie. On to wprowadził w modę ekstrawagancje, które właścicielka aprobowała swoim wieczystym uśmiechem, nie dowierzając, nie protestując nawet wtedy, gdy Herman usiłował podpalić dom, by udowodnić, że nie istnieje, ani kiedy Alfonso ukręcił głowę papudze i wrzucił ją do garnka, gdzie gotował się rosół z kury.

Chociaż Aureliano czuł się związany ze swoimi czterema przyjaciółmi jednakową więzią przyjaźni i solidarności tak dalece, że myślał o nich tak, jakby byli jedną i tą samą osobą, do Gabriela zbliżył się bardziej niż do innych. Więź ta zrodziła się pewnej nocy, kiedy przypadkiem zaczął opowiadać o pułkowniku Aurelianie Buendíi i tylko Gabriel nie uważał, że chce z kogoś zadrwić. Nawet właścicielka, która nie miała w zwyczaju wtrącać się do rozmów, oświadczyła z pasją rozjuszonej przekupki, że pułkownik Aureliano Buendía, o którym rzeczywiście kiedyś coś słyszała, był osobistością zmyśloną przez rząd jako pretekst do zabijania liberałów. Gabriel natomiast nie negował istnienia pułkownika Aureliana Buendíi, ponieważ był on towarzyszem broni i nieodłącznym przyjacielem jego pradziadka, pułkownika Gerinelda Marqueza. Te kaprysy pamięci przechodziły w stadium jeszcze bardziej krytyczne, kiedy rozmawiano o wymordowaniu robotników. Ilekroć Aureliano poruszał ten temat, nie tylko właścicielka, ale i starsze od niej osoby odrzucały bajkę o robotnikach osaczonych na stacji i pociągu o dwustu wagonach załadowanych trupami, twierdząc uporczywie, że tak w końcu ustalono w dochodzeniach sądowych i zapisano w podręcznikach szkolnych, według których Kompania Bananowa nigdy nie istaniała. Tak więc Aureliana i Gabriela łączyło pewnego rodzaju wspólnictwo oparte na faktach rzeczywistych, w które nikt nie wierzył, a które zaważyły na ich życiu tak bardzo, że obaj czuli się jak znoszeni prądem pośród gruzów świata skończonego, z którego została tylko tęsknota za nim. Gabriel sypiał tam, gdzie go zastawała pora snu. Aureliano nieraz lokował go w warsztacie złotniczym, ale nie mógł tam spać niepokojony krzątaniną zmarłych, którzy do świtu krążyli po sypialniach. Później polecił go Nigromancie, która zabierała go do swego tłumnie nawiedzanego pokoiczku, kiedy był wolny, i prowadziła jego rachunki na drzwiach pionowymi kreskami na tej skąpej przestrzeni, której nie zapisały długi Aureliana.

Mimo tego chaotycznego życia cała grupa za namową mędrca z Katalonii usiłowała dokonać czegoś trwałego. To on, ze swoim doświadczeniem dawnego profesora filologii klasycznej i swoim zbiorem przedziwnych książek, rozbudził w nich taki entuzjazm dla wiedzy, że potrafili spędzić całe noce na poszukiwaniu trzydziestej siódmej sytuacji dramatycznej w miasteczku, gdzie nikt nie miał ani możliwości, ani chęci

dalej rozwijać wiedzy nabytej w szkole powszechnej. Zafascynowany odkryciem przyjaźni, oszołomiony czarami świata wzbronionego mu przez małostkowość Fernandy, Aureliano porzucił odcyfrowywanie pergaminów akurat wtedy, gdy zaczęły mu się objawiać zawarte w nich szyfrowane przepowiednie. Później jednak sprawdzony wniosek, że czasu wystarcza na wszystko bez potrzeby wyrzeczenia się burdeli, zachęcił go do powrotu do izdebki Melquiadesa i decyzji nieustawania w wysiłku aż do ostatecznego odkrycia szyfru. Było to w dniach, kiedy Gaston zaczął wyczekiwać aeroplanu i Amaranta Urszula poczuła się tak osamotniona, że pewnego ranka przyszła do jego pokoju.

– Witaj, jaskiniowy człowieku – powiedziała. – Znowu w jaskini?

Była urzekająca w sukience własnego pomysłu i w jednym ze swych długich naszyjników własnego wyrobu, z kręgosłupa ryb. Zaniechała smyczy przekonana o wierności swego męża i po raz pierwszy od dnia powrotu zdawała się dysponować chwilą bezczynności. Aureliano nie potrzebował jej widzieć, żeby wiedzieć, że przyszła. Oparła łokcie na stole roboczym, tak bliska i bezbronna, że Aureliano znów doznał dawnego uczucia wiotczenia kości, i wyraziła zainteresowanie pergaminami. Próbując stłumić wzburzenie, zdołał uchwycić i przytrzymać własny głos i życie, które z niego uciekało, pamięć, która zamieniała się w skamieniały polip, i zaczął jej mówić o kapłańskim przeznaczeniu sanskrytu, o tym, że nauka umożliwia dostrzeżenie przyszłości poprzez czas, tak jak się widzi pod światło to, co jest napisane na odwrotnej stronie papieru, o konieczności szyfrowania przepowiedni, żeby nie zniszczyły się samoczynnie, o *Centuriach* Nostradamusa, o wyniszczeniu Cantabrii prorokowanym przez świętego Milana. Nagle, nie przerywając rozmowy, pchnięty impulsem, który drzemał w nim od niepamiętnych czasów, Aureliano położył swoją dłoń na jej ręce, uważając, że ta końcowa decyzja kładzie kres niepokojom. Ale ona chwyciła jego wskazujący palec w niewinnej pieszczocie, jak nieraz w dzieciństwie, i trzymała go, podczas gdy Aureliano odpowiadał na jej pytania. Trwali tak złączeni lodowatym palcem, który nie przekazywał nic w żadnym kierunku, dopóki Amaranta Urszula nie przebudziła się ze swego chwilowego snu i nie uderzyła się ręką w czoło. „Mrówki” – wykrzyknęła. I od razu zapomniała o manuskryptach, podskoczyła tanecznym krokiem ku drzwiom i stamtąd

posłała Aurelianowi koniuszkami palców taki sam pocałunek, jakim pożegnała swego ojca tego popołudnia, gdy wysyłano ją do Brukseli.

– Później mi to wytłumaczysz – powiedziała. – Zapomniałam, że dzisiaj jest dzień zasypywania wapnem dziur po mrówkach.

Nadal przychodziła do niego od czasu do czasu, gdy miała coś do roboty w tej części domu, i zostawała tam krótką chwilę, podczas gdy jej mąż był wpatrzony w niebo. Zachęcony tą zmianą Aureliano jadał odtąd obiady z rodziną, czego nie robił od pierwszych miesięcy powrotu Amaranty Urszuli. Gaston polubił jego towarzystwo. W rozmowach przy deserze, które zazwyczaj przeciągały się do godziny i dłużej, uskarżał się, że wspólnicy go oszukują. Zawiadomili go o załadowniu aeroplanu na okręt, który nie przybywał, i choć jego agenci morscy twierdzili, że nie przybędzie nigdy, bo nie figurował na listach statków zawijających w rejony Morza Karaibskiego, wspólnicy upierali się, że wysyłka została załatwiona jak należy, a nawet posuwali się do przypuszczeń, że Gaston w swoich listach mija się z prawdą. Korespondencja osiągnęła taki stopień wzajemnej podejrzliwości, że Gaston skłonny był jej zaprzestać i zaczął wspominać o krótkiej podróży do Brukseli, żeby wyjaśnić sprawę i wrócić z aeroplanem. Projekt ten jednak upadł, gdy tylko dowiedziała się o nim Amaranta Urszula, która potwierdziła swoją decyzję nieruszenia się z Macondo, nawet za cenę utraty męża. W pierwszym okresie Aureliano podzielał powszechną opinię, że Gaston jest wariatem na welocypedzie, i to wywoływało w nim niejasne uczucie litości. Później, kiedy w burdelach uzyskał głębsze informacje o naturze mężczyzn, myślał, że potulność Gastona jest wynikiem niepohamowanej namiętności. Ale kiedy poznał go lepiej i zrozumiał, że jego prawdziwy charakter przeczy temu uległemu postępowaniu, zaczął podejrzewać, że nawet oczekiwanie na aeroplan jest farsą. Stwierdził wówczas, że Gaston nie jest głupcem, jakiego udaje, lecz przeciwnie, człowiekiem upartym i nieustępliwym, o niewyczerpanych zasobach cierpliwości i sprytu, i że postanowił zmęczyć żonę metodą wiecznych ustępstw, niezaprzeczania jej nigdy i udawania bezgranicznej uległości, pozwalając jej zaplątać się we własne sieci do dnia, kiedy nie zniesie dłużej nudy złudzeń w zasięgu dłoni i sama spakuje walizki, by powrócić do Europy. Dawna litość Aureliana zmieniła się w gwałtowną animozję. Metoda Gastona wydawała mu się tak przewrotna, ale

jednocześnie tak skuteczna, że odważył się przestrzec Amarantę Urszulę. Ona jednak wyśmiała jego podejrzenia, nie domyślając się nawet rozdzierającego ładunku miłości, niepewności i zazdrości, jaki zawierała w sobie ta przestroga. Nie przyszło jej na myśl, że wzbudza w swoim siostrzeńcu coś więcej niż braterskie uczucie, do chwili, kiedy skaleczyła się w palec, próbując otworzyć puszkę z brzoskwiniami, a on pospieszył, aby wyssać jej rankę z taką chciwością i oddaniem, że aż ścierpła na niej skóra.

– Aureliano – zaśmiała się, trochę zaniepokojona. – Za sprytny jesteś jak na nietoperza!

Wtedy puściły tamy rwącego potoku uczuć Aureliana. Składając biedne sieroce pocałunki w zagłębieniu skaleczonej dłoni, otworzył najgłębiej skryte ścieżki swego serca, wyrwał z niego niekończący się, krwawiący kłąb strzępów, straszliwe zwierzę-pasożyta, które wylęgło się z męczeństwa. Opowiedział jej, jak wstawał o północy, by wypłakać swą bezsilną furię w intymne części jej garderoby rozwieszone do wyschnięcia na sznurku w łazience. Mówił, z jakim utęsknieniem błagał Nigromantę, żeby miauczała jak kotka i szeptała mu w ucho: Gaston, Gaston, Gaston… oraz jak chytrze wykradał jej flakoniki perfum, by odnaleźć je na szyi dziewczynek, które uprawiały nierząd z głodu. Przerażona pasją tych wynurzeń Amaranta Urszula kurczyła palce, zaciskała je jak mięczak zamykający się w skorupie, dopóki jej skaleczona ręka, wolna od wszelkiego bólu, od wszelkich śladów współczucia, nie skamieniała w węzeł szmaragdów i topazów, i kości, twardych jak krzemień i nieczułych.

– Kretyn – powiedziała, jakby spluwając z obrzydzenia. – Wyjeżdżam do Belgii pierwszym statkiem, jaki stąd odpłynie.

Alvaro przyszedł któregoś popołudnia do księgarni katalońskiego mędrca, obwieszczając gromkim głosem swoje ostatnie odkrycie: burdel zoologiczny. Nazywał się Złote Dziecię i był olbrzymim salonem na wolnym powietrzu, gdzie spacerowało swobodnie nie mniej niż dwieście flamingów, które ogłaszały godziny przeraźliwym klekotem. Na podwórkach odgrodzonych drutami od parkietu do tańca, pośród olbrzymich kamelii znad Amazonki były różnobarwne czaple, kajmany utuczone jak prosięta, grzechotniki o dwunastu obręczach i żółw

z pozłacaną skorupą, który pławił się w miniaturowym sztucznym oceanie. Był też olbrzymi, biały i łagodny pies pederasta, który mimo to nie odmawiał swoich usług jako reproduktor w zamian za jedzenie. Powietrze było tak rześkie, jakby dopiero co zostało stworzone, a piękne Mulatki, pogrążone w oczekiwaniu bez nadziei wśród purpurowych kwiatów i niemodnych płyt gramofonowych, znały tajniki miłości, które człowiek zostawił zapomniane w ziemskim raju. Pierwszej nocy, gdy chłopcy odwiedzili ten ogród złudzeń, wspaniała i melancholijna staruszka, która strzegła wejścia, kołysząc się w swym wyplatanym fotelu, uczuła, że czas wraca do swoich pierwotnych źródeł, kiedy wśród pięciu wchodzących ujrzała kościstego mężczyznę o żółtawej skórze i wydatnych kościach policzkowych, naznaczonego na zawsze i od początku świata znamieniem samotności.

– Ach! – westchnęła. – Aureliano!

Widziała znowu pułkownika Aureliana Buendíę tak jak niegdyś w świetle lampy, na długo przed wojnami, na długo przed rozpaczą sławy i banicją rozczarowania, tamtego dalekiego ranka, kiedy wszedł do jej sypialni, by wydać pierwszy rozkaz w swoim życiu: rozkaz, żeby mu dano miłość. Była to Pilar Ternera. Dawno już temu, kiedy skończyła sto czterdzieści pięć lat, zarzuciła szkodliwy zwyczaj obliczania swego wieku i żyła dalej w statycznym i marginesowym czasie wspomnień, w przyszłości idealnie ukazanej i ustalonej poza przyszłością zmąconą przez zasadzki i zdradliwe spekulacje.

Od tej nocy Aureliano znalazł schronienie w tkliwości i pełnym współczucia zrozumieniu nieznanej praprababki. Zagłębiona w fotelu z lian, wywoływała z grobu przeszłość, rekonstruowała blaski i nieszczęścia rodziny, i zdewastowany splendor Macondo, podczas gdy Alvaro płoszył kajmany swoim grzmiącym śmiechem. Alfonso wymyślał mrożące krew w żyłach historie o ptakach, które wydziobały oczy czterem klientom za ich nieprzystojne zachowanie w zeszłym tygodniu, a Gabriel był w pokoju zadumanej Mulatki, która za miłość pobierała opłaty nie w pieniądzach, lecz żądała pisania listów do swego narzeczonego, przemytnika, który przebywał w więzieniu po drugiej stronie Orinoko, ponieważ gdy strażnicy graniczni dali mu na przeczyszczenie, nocnik, na którym go posadzono, wkrótce wypełnił się gównem i diamentami. Ten burdel prawdziwy,

z tchnącą macierzyńskim ciepłem staruszką, to był świat, o którym śnił Aureliano w swojej wieloletniej niewoli. Czuł się tam tak dobrze, towarzystwo, jakie tam znajdował, tak bliskie było ideału, że o tym jedynym schronieniu pomyślał tego popołudnia, gdy Amaranta Urszula rozproszyła jego złudzenia. Chciał wypowiedzieć wszystko słowami, tak żeby ktoś zerwał pęta ściskające mu serce, ale zdołał tylko wybuchnąć szlochem ciepłym i uzdrawiającym na kolanach Pilar. Pozwoliła mu się wypłakać, głaskała go po głowie i zanim wyznał jej, że płacze z miłości, od razu poznała najstarszy szloch w dziejach człowieka.

– Już dobrze, syneczku – pocieszyła go. – Teraz mi powiedz, kto to jest.

Kiedy Aureliano jej to powiedział, Pilar Ternera zaśmiała się głęboko tym dawnym radosnym śmiechem, który teraz przypominał gruchanie gołębi. Nie było takiej tajemnicy w sercu kogokolwiek z Buendíów, której nie potrafiłaby przeniknąć, bo sto lat czytania w kartach i doświadczenia nauczyły ją, że historia rodziny jest mechanizmem nieuchronnych powtórzeń, kołem, które obracałoby się w nieskończoność, gdyby nie postępujące i nieodwracalne zniszczenie osi.

– Nie martw się – powiedziała z uśmiechem. – W jakimkolwiek miejscu ona jest w tej chwili, czeka na ciebie.

Było wpół do piątej po południu, kiedy Amaranta wyszła z łazienki. Aureliano zobaczył ją przechodzącą obok jego pokoju w szlafroku w drobne fałdy, z ręcznikiem okręconym wokół głowy jak turban. Poszedł za nią na palcach, zataczając się jak pijany, i wszedł do małżeńskiej sypialni w chwili, kiedy ona rozchyliła szlafrok i przerażona znowu się okryła. Zrobiła niemy gest w stronę przyległego pokoju, gdzie za uchylonymi drzwiami, jak wiedział Aureliano, Gaston zaczynał pisać list.

– Idź precz – powiedziała bezgłośnie.

Aureliano uśmiechnął się, chwycił ją w talii oburącz jak doniczkę z begoniami i rzucił na łóżko. Brutalnym szarpnięciem zerwał płaszcz kąpielowy, zanim zdążyła mu przeszkodzić, i spojrzał w przepaść świeżo umytej nagości, gdzie nie było ani jednego odcienia skóry, ani jednej smugi puszku, ani pieprzyka, którego by nie wyśnił w ciemnościach innych pokojów. Amaranta Urszula broniła się szczerze, z chytrością doświadczonej samicy, i podczas gdy na próżno usiłował schwycić

wymykające mu się z rąk zwinne, pachnące ciało, próbowała odbić mu nerki kolanami i ryła mu twarz paznokciami, ale ani z jego, ani z jej ust nie wydarło się bodaj jedno westchnienie, którego nie można by wziąć za głęboki oddech kogoś, kto patrzy na zwykły zmierzch kwietniowy przez otwarte okno. Była to dzika walka na śmierć i życie, ale wydawała się pozbawiona wszelkiej gwałtowności, bo składały się na nią konwulsyjne ataki i widmowe odwroty, ruchy powolne, ostrożne, uroczyste, tak że między jednym a drugim dość było czasu na to, by na nowo zakwitły petunie, a Gaston w sąsiednim pokoju zapomniał o swoich snach żeglarza powietrznego, tak jakby byli dwojgiem wrogich kochanków usiłujących pojednać się na dnie przezroczystego stawu. W ogniu zaciekłej i uroczystej próby sił Amaranta Urszula zrozumiała, że skrupulatność jej milczenia jest tak irracjonalna, że grozi wzbudzeniem podejrzeń męża o wiele bardziej niż odgłosy wojny, których starali się uniknąć. Wtedy zaczęła się śmiać z zaciśniętymi ustami, nie rezygnując z walki, ale broniąc się z pewną sztucznością, i wywijać się coraz mniej błyskawicznie aż do chwili, gdy oboje zdali sobie sprawę, że są jednocześnie przeciwnikami i wspólnikami, i potyczka przeobraziła się w konwencjonalne igraszki, a wrogie agresje w pieszczoty. Nagle, niemal w zabawie, jakby to był jeszcze jeden figiel, Amaranta Urszula zaprzestała obrony na ułamek sekundy, a gdy zareagowała, przerażona tym, do czego sama dopuściła, było już za późno. Straszliwy wstrząs unieruchomił ją w punkcie ciężkości i przygwoździł do miejsca, a wolę obrony zdruzgotała nieodparta żądza odkrycia, czym są te pomarańczowe świsty i niewidzialne sfery czekające na nią po drugiej stronie śmierci. Ledwie zdążyła wyciągnąć rękę, po omacku sięgnąć po ręcznik i zakneblować sobie nim usta, żeby nie wyrwało się z nich miauczenie kotki, rozdzierające już jej wnętrzności.

Pilar Ternera umarła w swoim wyplatanym fotelu na biegunach pewnej wesołej nocy, strzegąc bram swego raju. Zgodnie z jej ostatnim życzeniem pogrzebano ją bez trumny, siedzącą w fotelu, który ośmiu mężczyzn spuściło na sznurach do ogromnej fosy wykopanej w samym środku parkietu do tańca. Mulatki ubrane na czarno, pobladłe od łez, zaimprowizowały w ciemnościach uroczystość żałobną, zdejmując z siebie pierścionki, broszki, kolczyki i wrzucając je do grobu, nim zamknięto go płytą bez imienia ani daty, i ułożyły na wierzchu wzgórze kamelii znad Amazonki. Po otruciu zwierząt zamurowały drzwi i okna betonem i cegłami i rozproszyły się po świecie, zabierając swe drewniane kuferki wytapetowane wewnątrz oleodrukami świętych, ilustracjami z pism i fotografiami przelotnych narzeczonych, dalekich i fantastycznych, którzy srali diamentami, byli zjadani przez ludożerców albo koronowani na królów karcianych na pokładach okrętów.

To był koniec. Na grobie Pilar Ternery, wśród psalmów i zawodzenia kurew, gniły szczątki przeszłości, nieliczne z tych, jakie jeszcze zostały, gdy mędrzec kataloński zlikwidował swoją księgarnię i zwyciężony nostalgią za wieczną wiosną wrócił do śródziemnomorskiej wioski, w której się urodził. Nikt nie przewidział tej jego decyzji. Przybył do Macondo w epoce rozkwitu Kompanii Bananowej, uciekając przed jedną z wielu wojen, i nie przyszło mu do głowy nic praktyczniejszego niż założenie tej księgarni inkunabułów i pierwotnych wydań ksiąg w kilku językach, które podejrzliwie, jak papiery wyrzucone na śmietnik, kartkowali przypadkowi klienci w oczekiwaniu na swoją kolejkę w domu naprzeciwko, gdzie tłumaczono sny. Spędził połowę życia w dusznym kantorku za sklepem,

zapisując fioletowym atramentem kartki wydarte ze szkolnych zeszytów i nikt właściwie nie wiedział, o czym pisze. Kiedy Aureliano go poznał, miał już dwie pełne skrzynie tych zabazgranych stronic, które trochę przypominały pergaminy Melquiadesa, i od tego czasu do dnia swego wyjazdu wypełnił trzecią, z czego można wnioskować, że nic innego nie robił podczas swego pobytu w Macondo. Jedynymi osobami, z którymi utrzymywał kontakt, byli czterej przyjaciele, którym latawce i trąbki zamienił na książki i zmusił ich do lektury Seneki i Owidiusza, kiedy jeszcze byli w szkole podstawowej. Do klasyków odnosił się tak poufale, jakby wszyscy w swoim czasie mieszkali z nim w jednym pokoju, i wiedział rzeczy, których nie należało wiedzieć, jak to, że święty Augustyn nosił pod habitem wełniany kaftan, którego nie zdejmował przez czternaście lat, albo że nekromanta Arnaldo de Villanova był impotentem na skutek ukąszenia skorpiona w dzieciństwie. W jego zapale dla słowa pisanego uroczysty szacunek mieszał się z plotkarstwem przekupki. Nawet jego własne manuskrypty nie uszły tej dwoistości. Alfonso, który nauczył się po katalońsku, żeby je przetłumaczyć, wepchnął kiedyś plik tych kartek do kieszeni, zawsze wypełnionych wycinkami z gazet i książkami z dziwnych dziedzin wiedzy, i pewnej nocy zgubił je w domu dziewczynek, które uprawiały nierząd z głodu. Kiedy dowiedział się o tym stary mędrzec, zamiast zrobić spodziewaną awanturę, powiedział, śmiejąc się do rozpuku, że to jest naturalne przeznaczenie literatury. Nie było natomiast siły ludzkiej zdolnej go przekonać, żeby nie zabierał ze sobą trzech skrzyń z papierami, kiedy wracał do rodzinnej wioski i obsypywał kartagińskimi wyzwiskami inspektorów kolei, którzy usiłowali nadać je na bagaż, póki nie dopiął tego, że pozwolono mu zatrzymać je przy sobie w wagonie pasażerskim. „To już byłby koniec tego zasranego świata – powiedział wtedy – gdyby ludzie podróżowali pierwszą klasą, a literatura wagonem bagażowym”. Były to ostatnie słowa, które od niego usłyszano w Macondo. Spędził koszmarny tydzień na końcowych przygotowaniach do podróży, bo w miarę jak zbliżała się godzina wyjazdu, opuszczał go humor i wszystko zaczęło mu się plątać, a rzeczy, które kładł w jednym miejscu, pojawiały się w drugim za sprawą tych samych krasnoludków, które nękały Fernandę.

– *Collons* – klął po katalońsku – sram na dwudziesty ósmy kanon synodu londyńskiego.

Herman i Aureliano zajęli się nim jak dzieckiem. Agrafkami przyczepili mu w kieszenich bilety i dokumenty emigracyjne, wypisali szczegółowo na kartce wszystko, co powinien zrobić od wyjazdu z Macondo aż do wyjścia na ląd w porcie barcelońskim, mimo to jednak wyrzucił niechcący na śmietnik spodnie z połową posiadanych pieniędzy w kieszeni. W przeddzień podróży, po zabiciu gwoździami skrzyń i wciśnięciu ubrania do tej samej walizki, z którą przyjechał, zmrużył swoje powieki podobne do muszli, wskazał gestem jakby błogosławieństwa sterty książek, wśród których spędził lata wygnania, i powiedział do swoich przyjaciół:

– Zostawiam wam to gówno.

W trzy miesiące później otrzymali w dużej kopercie dwadzieścia dziewięć listów i przeszło pięćdziesiąt fotografii, które nagromadziły się w ciągu bezczynnych dni na morzu. Chociaż nie stawiał dat, kolejność listów była oczywista. W pierwszym opowiadał ze swoim zwykłym humorem perypetie podróży, pisał, z jaką ochotą wyrzuciłby za burtę stewarda, który mu nie pozwolił wnieść trzech skrzyń do kajuty; o głupocie pewnej damy, którą przestraszył numer trzynasty na drzwiach kajuty nie przez zabobon, ale dlatego że wydawał jej się jakąś liczbą niedokończoną; o tym, jak wygrał zakład przy pierwszej kolacji, bo w smaku wody na okręcie rozpoznał buraki z rejonu Leridy. Z biegiem dni jednak rzeczywistość na pokładzie coraz mniej go obchodziła i wspominał wydarzenia z ostatnich dni w Macondo, nawet najbardziej błahe, bo w miarę oddalania się statku ogarniał go smutek. Ten proces postępującej tęsknoty widoczny był także na fotografiach. Na pierwszych wydawał się uszczęśliwiony w swojej rozchełstanej koszuli i z białą czupryną w blaskach październikowego słońca na Morzu Karaibskim. Na ostatnich oglądali go w ciemnym płaszczu i jedwabnym szaliku, z twarzą naznaczoną smutkiem oddalenia, na pokładzie statku widma, który zaczynał snuć się po jesiennych oceanach. Herman i Aureliano odpowiadali mu na listy. Napisał ich tyle w pierwszych miesiącach, że wtedy czuli się bliżej niego, niż kiedy był w Macondo, i zelżała ich złość za to, że odjechał. Z początku pisał, że wszystko zastał po staremu, że w domu, gdzie się urodził, jest jeszcze różowa muszla, że suszone śledzie nie zmieniły smaku, że wodospady we wsi tak samo pachną o zmierzchu. Były to znowu kartki z zeszytu zapełnione fioletowymi bazgrołami, w których każdemu poświęcał osobny

akapit. Niemniej, chociaż sam tego nie zdawał się dostrzegać, te listy odzyskania ziemi i pochwały życia stopniowo zmieniały się w pastorałki rozczarowania. W zimowe wieczory, kiedy gotowała się zupa na kominku, tęsknił za upałem w kantorku, brzęczeniem słońca w zakurzonych migdałowcach, gwizdem pociągu w sennych godzinach południa, tak samo jak w Macondo tęsknił za zupą zimową na kominku, okrzykami sprzedawcy kawy, śpiewem skowronka na wiosnę. Rozdarty między dwiema tęsknotami umieszczonymi naprzeciw siebie jak dwa lustra, stracił swoje wspaniałe poczucie nierzeczywistości i w końcu zaczął im wszystkim zalecać, żeby porzucili Macondo, zapomnieli wszystko, czego ich nauczył o świecie i o sercu ludzkim, żeby pluli na Horacjusza i w jakimkolwiek miejscu się znajdują, niech pamiętają zawsze, że przeszłość jest kłamstwem, że pamięć nie zna dróg powrotu, że cała dawna wiosna jest nie do odzyskania i że najbardziej płomienna i uparta miłość jest tylko prawdą efemeryczną.

Alvaro pierwszy usłuchał rady, żeby opuścić Macondo. Sprzedał wszystko, nawet oswojonego tygrysa, który urągał przechodniom na podwórzu jego domu, kupił wieczorny bilet na pociąg, który nigdy nie kończył podróży. W kartkach pocztowych wysyłanych ze stacji, gdzie wysiadał, opisywał z zachwytem uciekające krajobrazy oglądane przez okno wagonu i było to jakby rozrywanie na strzępy i wyrzucanie do lamusa zapomnienia długiego poematu o płynności rzeczy: chimeryczni Murzyni na polach bawełnianych Luizjany, skrzydlate konie na szafirowych trawach Kentucky, kochankowie greccy w piekielnym zmierzchu Arizony, dziewczyna w czerwonym swetrze, która malowała akwarele na jeziorze Michigan i pomachała mu pędzlami gestem nie pożegnania, lecz nadziei, bo nie wiedziała, że widzi przejeżdżający pociąg, który nigdy nie wróci. Potem odjechali w pewną sobotę Alfonso i Herman, zamierzając wrócić w poniedziałek, i słuch o nich zaginął. W rok po odjeździe katalońskiego mędrca pozostał tylko Gabriel, na łasce wiatrów i przypływów litości Nigromanty, zajęty wypełnianiem formularzy konkursu z francuskiego czasopisma, w którym pierwszą nagrodą była podróż do Paryża. Aureliano, na którego adres przysyłano te czasopisma, pomagał mu wypełniać formularze, czasami u siebie w domu, a prawie zawsze wśród słojów i zapachu waleriany w jedynej pozostałej w Macondo aptece, gdzie

mieszkała Mercedes – tajemnicza dziewczyna Gabriela. Była to ostatnia pozostałość z przeszłości, której wyniszczenie nie dobiegało końca, ponieważ wyniszczała się w nieskończoność, trawiona zniszczeniem wewnątrz siebie, kończąc się co chwila, ale nie mając skończyć się nigdy. Miasto obumarło do tego stopnia, że kiedy Gabriel wygrał konkurs i odjeżdżał do Paryża z dwiema zmianami bielizny, parą butów i zbiorowym wydaniem dzieł Rabelais'go, musiał machać do maszynisty, żeby zatrzymał pociąg i zabrał go z sobą. Dawna ulica Turków była opuszczonym zaułkiem, gdzie ostatni Arabowie trwali aż do śmierci w tysiącletnim zwyczaju siadywania przy drzwiach, pomimo że już wiele lat temu sprzedali ostatni jard perkalu i w oknach wystawowych zostały tylko manekiny bez głów. Miasteczko z czasów Kompanii Bananowej, o którym może Patrycja Brown opowiadała swoim wnukom w wieczory wstrzemięźliwości i marynowanych ogórków w Prattville, Alabama, było równiną porosłą leśnymi ziołami. Stary ksiądz, który zastąpił ojca Angela i którego nazwiska nikt nie znał i nie starał się dowiedzieć, czekał zmiłowania boskiego, leżąc bezwładnie na swym hamaku, nękany artretyzmem i bezsennością zwątpienia, podczas gdy jaszczurki i szczury wydzierały sobie spuściznę pobliskiej świątyni. W Macondo, zapomnianym nawet przez ptaki, gdzie kurz i upał stały się tak uporczywe, że z trudem można było oddychać, odgrodzeni od świata samotnością i miłością, i samotnością miłości, w domu, gdzie prawie nie sposób było zasnąć z powodu chrobotania czerwonych mrówek, Aureliano i Amaranta Urszula byli jedynymi istotami szczęśliwymi i najszczęśliwszymi na ziemi.

Gaston powrócił do Brukseli. Znużony oczekiwaniem na aeroplan włożył pewnego dnia do walizeczki najpotrzebniejsze rzeczy, swoją korespondencję i odjechał, zamierzając wrócić drogą powietrzną, zanim jego przywileje zostaną odstąpione grupie niemieckich lotników, którzy przedstawili władzom prowincji projekt bardziej ambitny niż jego. Od tamtego popołudnia swego pierwszego zbliżenia Aureliano i Amaranta Urszula nadal wykorzystywali rzadkie chwile nieuwagi męża, kochając się z hamowaną pasją podczas przypadkowych spotkań, prawie zawsze przerywanych jego niespodziewanym powrotem. Ale kiedy zostali sami w domu, dali się ponieść szaleństwu opóźnionej miłości. Była to namiętność bez granic, obłędna i dzika, od której ze zgrozy przewracały się

w grobie kości Fernandy i która utrzymywała ich w stanie wiecznej egzaltacji. Jęki miłosne Amaranty Urszuli i hymny konania z rozkoszy wybuchały równie często o drugiej po południu na stole w jadalni, co o drugiej nad ranem w spiżarni. „Co mnie najbardziej martwi – śmiała się – to cały ten czas, który straciliśmy”. W oszołomieniu namiętności patrzyła, jak mrówki dewastują ogród i zaspokajają swój przedhistoryczny głód wszystkimi drewnianymi sprzętami w domu, widziała strumień żywej lawy znowu zalewający ganek, ale zajęła się tępieniem ich dopiero wtedy, kiedy znalazła je w swojej sypialni. Aureliano porzucił pergaminy, nie wychodził z domu i od niechcenia odpowiadał na listy katalońskiego mędrca. Zatracili poczucie rzeczywistości, poczucie czasu i rytm codziennych obyczajów. Znowu zamknęli drzwi i okna, by nie tracić czasu na rozbieranie się, i spacerowali po domu nago, tak jak to zawsze chciała robić Piękna Remedios, i nago tarzali się w kałużach na patio, a pewnego popołudnia omal się nie utopili, kochając się w basenie. W krótkim czasie wyrządzili więcej szkód w domu niż czerwone mrówki: połamali meble w salonie, podarli swoimi szaleństwami hamak, który przetrzymał smętne miłości polowe pułkownika Aureliana Buendíi, porozpruwali materace i wyrzucali ich zawartość na podłogę, żeby dusić się w nawałnicach bawełny. Chociaż Aureliano był kochankiem równie dzikim jak jego partnerka, to jednak Amaranta Urszula przewyższała go szaleńczymi pomysłami i liryczną żarłocznością i ona to rządziła w tym raju kataklizmów, jakby w miłości skoncentrowała tę nieokiełznaną energię, którą jej prababka poświęciła na produkcję zwierzątek z karmelu. Kiedy ona śpiewała z rozkoszy i konała od śmiechu ze swoich własnych pomysłów, Aureliano stawał się coraz bardziej skupiony i milczący, bo jego namiętność spalała go od środka. Niemniej oboje osiągnęli takie szczyty kunsztu, że kiedy wyczerpywała się ekstaza, szukali radości w zmęczeniu. Oddali się adoracji swych ciał, odkrywając, że chwile miłosnego przesytu mają niezbadane możliwości, o wiele bogatsze niż pożądanie. Podczas gdy on smarował białkami jajek sterczące piersi Amaranty Urszuli lub nacierał kokosowym olejem je prężne uda i brzuch, ona bawiła się jak lalką bajecznym członkiem Aureliana, malowała mu pomadką do ust oczy pajaca i ołówkiem do brwi wąsy Turka, ubierała go w kryzy z organdyny i kapelusiki z posrebrzanego papieru. Pewnej nocy wysmarowali się od stóp do głów brzoskwiniowym syropem, oblizywali się jak psy i kochali się jak szaleńcy na podłodze ganku, i ocucił

ich dopiero potok mięsożernych mrówek, które zamierzały pożreć ich żywcem.

W przerwach szaleństwa Amaranta Urszula odpowiadała na listy Gastona. Wydawał jej się tak daleki i zajęty, że prawie nie liczyła się z możliwością jego powrotu. W jednym z pierwszych listów napisał, że jego wspólnicy rzeczywiście wysłali aeroplan, ale że biuro żeglugi w Brukseli przez pomyłkę załadowało go na statek do Tanganiki, gdzie doręczono go rozproszonym gminom Makondów. Ta pomyłka spowodowała tyle kłopotu, że samo odzyskanie maszyny mogło potrwać dwa lata. Toteż Amaranta Urszula przestała brać w rachubę ten niepożądany powrót. Co do Aureliana, to nie miał żadnego kontaktu ze światem oprócz listów katalońskiego mędrca i wiadomości, jakie otrzymywał od Gabriela za pośrednictwem Mercedes, tajemniczej dziewczyny z apteki. Z początku były to kontakty realne. Gabriel kazał sobie zwrócić pieniądze za bilet powrotny, żeby zostać w Paryżu, sprzedawał stare gazety i puste butelki, które pokojówki wyrzucały z ponurego hoteliku na ulicy Dauphine. Aureliano wyobrażał go sobie w golfie, który zdejmował dopiero, gdy kawiarnie na Montparnassie zaczynały wypełniać się parami wiosennych zakochanych, śpiącego w dzień, by oszukać głód, a piszącego w nocy, w pokoiku cuchnącym gotowanymi kalafiorami, gdzie miał umrzeć Rocamadour. Z czasem jednak wiadomości od niego stawały się coraz mniej konkretne, a tak rzadkie i melancholijne były listy katalońskiego mędrca, że Aureliano przywykł myśleć o obydwóch tak, jak Amaranta Urszula myślała o swoim mężu, i oboje pozostali w zawieszeniu w próżni wszechświata, gdzie jedyną rzeczywistością codzienną i wieczną była miłość.

Nagle, niby eksplozja w tym świecie szczęśliwej nieświadomości, przyszła wiadomość o powrocie Gastona. Aureliano i Amaranta Urszula otworzyli szeroko oczy, zbadali do dna swoje dusze, spojrzeli sobie w twarz z ręką na sercu i zrozumieli, że tak dalece tworzą jedną całość, że wolą śmierć od rozłąki. Wtedy ona napisała do męża list pełen sprzecznych z sobą prawd, w którym zapewniając go o swej miłości i tęsknocie za jego powrotem, wyznała jednocześnie, że fatalistycznym zrządzeniem losu nie może żyć bez Aureliana. Wbrew ich oczekiwaniom od Gastona przyszła odpowiedź spokojna, w tonie prawie ojcowskim, na czterech stronach

przestrzegająca ich przed kaprysami namiętności, a w końcowym akapicie życzył im szczerze, aby byli tak szczęśliwi, jak on był w swoim krótkim doświadczeniu małżeńskim. Było to stanowisko tak nieoczekiwane, że Amaranta Urszula czuła się upokorzona na myśl, że dostarczyła mężowi pretekstu, którego szukał, by ją zostawić własnemu losowi. Uraza pogłębiła się sześć miesięcy później, kiedy Gaston napisał do niej z Leopoldville, gdzie w końcu odzyskał swój aeroplan, tylko po to, żeby ją prosić o odesłanie welocypedu, gdyż ze wszystkiego, co pozostawił w Macondo, to jedno miało dla niego wartość sentymentalną. Aureliano zniósł cierpliwie oburzenie Amaranty Urszuli i wysilał się, by dowieść, że potrafi być równie dobrym mężem w niedoli, jak i w dobrobycie, a codzienne potrzeby, które ich osaczyły, gdy skończyły się pieniądze Gastona, wytworzyły między nimi nić solidarności, która nie była tak cudowna i oszałamiająca jak namiętność, ale pomogła im kochać się nie mniej i czuć się równie szczęśliwymi jak w burzliwych czasach pikanterii. Kiedy umarła Pilar Ternera, oczekiwali dziecka.

W sennym odurzeniu brzemienności Amaranta Urszula próbowała zorganizować produkcję naszyjników z ości rybich na sprzedaż, ale z wyjątkiem Mercedes, która kupiła od niej tuzin, nie znalazła nabywców. Aureliano uświadomił sobie po raz pierwszy, że jego znajomość języków, jego encyklopedyczna wiedza, jego dziwna zdolność pamiętania nieznanych szczegołów, wydarzeń i odległych miejsc są równie bezużyteczne jak szkatułka z prawdziwymi klejnotami jego żony, które w tym czasie warte były zapewne tyle pieniędzy, ile mieli ich wszyscy razem ostatni mieszkańcy Macondo. Żyli cudem. Chociaż Amaranta Urszula nie traciła humoru ani pomysłowości w figlach miłosnych, nabrała zwyczaju siadywania po obiedzie na ganku, pogrążona jak gdyby w bezsennej i zamyślonej drzemce. Aureliano towarzyszył jej. Czasami siedzieli tak w milczeniu, dopóki nie zapadła noc, jedno naprzeciw drugiego, patrząc sobie w oczy, kochając się w spokoju z nie mniejszą miłością niż dawniej pośród burzy. Niepewna przyszłość kazała im zwrócić serce w stronę przeszłości. Widzieli samych siebie w utraconym raju z czasów potopu, chlapanie się w błocie na patio i polowanie na jaszczurki, żeby obwieszać nimi Urszulę, zabawę w grzebanie jej żywcem – i wspomnienia te odkryły im prawdę, że byli szczęśliwi razem, odkąd

mogli sięgnąć pamięcią. Zagłębiając się w przeszłość, Amaranta Urszula przypomniała sobie popołudnie, kiedy weszła do warsztatu złotniczego i matka powiedziała jej, że mały Aureliano jest podrzutkiem, bo znaleziono go płynącego w koszyku na rzece. Chociaż ta wersja wydawała im się nieprawdopodobna, nie mieli żadnych informacji, aby ją zastąpić prawdziwą. Jedyne, czego byli pewni po zbadaniu wszystkich możliwości, to że Fernanda nie była matką Aureliana. Amaranta Urszula skłaniała się do hipotezy, że jest on synem Petry Cotes, o której tylko pamiętała haniebne bajki, i to przypuszczenie wywołało w nich skurcz zgrozy.

Udręczony pewnością, że jest bratem swojej żony, Aureliano wybrał się na probostwo, by poszukać w zjedzonych przez mole archiwach jakiejś wiarygodnej wzmianki dotyczącej jego pochodzenia. Najstarsze świadectwo chrztu, jakie znalazł, dotyczyło Amaranty Buendíi, ochrzczonej w wieku czternastu lat przez ojca Nicanora Reyna w okresie jego prób udowodnienia egzystencji Boga za pomocą sztuczek z czekoladą. Łudził się możliwością, że jest jednym z siedemnastu Aurelianów, których akta urodzenia prześledził w czterech tomach ksiąg parafialnych, ale ich daty chrztu były zbyt dawne jak na jego wiek. Widząc go błądzącego w labiryntach genealogicznych, roztrzęsionego niepewnością, artretyczny proboszcz, który obserwował go ze swego hamaka, ze współczuciem zapytał go o nazwisko.

– Aureliano Buendía – odpowiedział.

– W takim razie nie szukaj na próżno – zawołał proboszcz stanowczo. – Wiele lat temu była tutaj ulica, która się tak nazywała, i w tych czasach ludzie mieli zwyczaj nazywać swoich synów od nazw ulic.

Aureliano zatrząsł się z wściekłości.

– Ach! – powiedział – więc ksiądz także nie wierzy?

– W co?

– Że pułkownik Aureliano Buendía prowadził trzydzieści dwie wojny domowe i wszystkie przegrał – odpowiedział Aureliano. – Że wojsko otoczyło i wystrzelało trzy tysiące robotników i że załadowano zwłoki na pociąg o dwustu wagonach, żeby wrzucić je do morza.

Proboszcz zmierzył go litościwym spojrzeniem.

– O, synu mój! – westchnął. – Mnie wystarczyłaby pewność, że ty i ja istniejemy w tym momencie.

Tak więc Aureliano i Amaranta Urszula akceptowali wersję o koszyku nie dlatego, by w nią wierzyli, ale ponieważ zabezpieczyła ich przed obawami. W miarę rozwoju ciąży coraz bardziej stawali się jedną istotą, coraz pełniej włączeni w samotność domu, któremu brakowało już tylko ostatniego podmuchu, żeby runąć. Ograniczali się do najpotrzebniejszej przestrzeni między sypialnią Fernandy, gdzie przeżywali uroki ustatkowanej miłości, i gankiem, gdzie Amaranta Urszula siadywała, aby robić na drutach pończoszki i czepeczki dla niemowlęcia, gdy Aureliano odpowiadał na sporadyczne listy katalońskiego mędrca. Reszta domu poddała się upartemu oblężeniu destrukcji. Warsztat złotniczy, pokój Melquiadesa, milczące i pierwotne królestwa, gdzie rządziła Santa Sofía de la Piedad, zostały w głębinach domowej puszczy, której nikt nie miałby odwagi przetrząsnąć. Osaczeni żarłocznością natury Aureliano i Amaranta Urszula nadal hodowali majeranek i begonie, bronili swego świata w granicach linii demarkacyjnych z wapna, budując ostatnie szańce w czystej wojnie człowieka z mrówkami. Długie, potargane włosy, sińce pod oczyma, z którymi budziła się co rano, opuchlizna nóg, zniekształcenie dawnego, stworzonego do kochania ciała łasicy zmieniły dawny młodzieńczy wygląd Amaranty Urszuli z czasów, kiedy weszła do domu z klatką nieszczęsnych kanarków i uwięzionym małżonkiem, ale nie zmieniły żywotności jej ducha. „Co za świństwo! – mówiła ze śmiechem. – Kto by pomyślał, że naprawdę skończymy jak jaskiniowi ludzie”. Ostatnia nić łącząca ich ze światem została zerwana w szóstym miesiącu ciąży, kiedy otrzymali list, który, jak można było poznać na pierwszy rzut oka, nie pochodził od katalońskiego mędrca. Ostemplowany był w Barcelonie, ale koperta zaadresowna zwykłym niebieskim atramentem i urzędniczym charakterem pisma miała niewinny i bezosobowy wygląd nieprzyjaznych wiadomości. Aureliano wyrwał go z rąk Amaranty Urszuli w chwili, gdy zamierzała rozerwać kopertę.

– Nie – powiedział do niej – nie chcę wiedzieć, co w nim jest.

Zgodnie z jego przeczuciem kataloński mędrzec nie napisał już nigdy. Obcy list, którego nikt nie przeczytał, leżał porzucony na pastwę moli na półce, gdzie Fernanda zostawiła kiedyś przez zapomnienie obrączkę, i tam

spalał się nadal wewnętrznym ogniem swej złej wieści, podczas gdy samotni kochankowie żeglowali przeciw prądowi tych czasów zbliżającego się końca, czasów bezlitosnych, wyczerpujących się w daremnym trudzie zepchnięcia ich łodzi na pustynię rozczarowania i zapomnienia. Świadomi tej groźby Aureliano i Amaranta Urszula spędzili ostatnie miesiące, trzymając się za ręce, pogrążeni w miłości bezgrzesznej i lojalnej, z myślą o synu poczętym w szale cudzołóstwa. Nocą, przytuleni do siebie w łóżku, nie lękali się huczącej nawałnicy mrówek, furkotu moli ani wyraźnego, nieustannego szelestu rosnących mchów w sąsiednich pokojach. Nieraz budzili ich zmarli krążący po domu. Słyszeli Urszulę staczającą bitwy z prawami stworzenia o zachowanie swego rodu, Josego Arcadia Buendíę poszukującego złudnej prawdy o wielkich wynalazkach, słyszeli modlącą się Fernandę, pułkownika Aureliana Buendíę głupiejącego od oszustw wojennych i wyrobu złotych rybek, Aureliana Drugiego konającego od smutku samotności pośród zabaw – i wtedy dowiedzieli się, że wielkie obsesje silniejsze są niż śmierć, i uszczęśliwiła ich pewność, że nadal będą kochać się po śmierci, jako widma, jeszcze długo potem, gdy inne gatunki zwierząt przyszłości wydrą insektom ten raj nędzy, który insekty wydzierają teraz ludziom.

Pewnej niedzieli o szóstej po południu Amaranta Urszula poczuła pierwsze bóle porodowe. Uśmiechnięta akuszerka dziewczynek uprawiających nierząd z głodu kazała jej wejść na stół w jadalni, usiadła okrakiem na jej brzuchu i waliła w nią bez ceremonii, dopóki jej krzyków nie zagłuszył wrzask wspaniałego noworodka płci męskiej. Poprzez łzy Amaranta Urszula rozpoznała w nim od razu jednego z wielkich Buendíów, bo był krzepki i energiczny jak José Arcadiowie, z oczyma otwartymi i wszechwidzącymi jak Aurelianowie, predestynowany do założenia rodu jeszcze raz od początku, oczyszczenia go ze szkodliwych wpływów i zdjęcia klątwy samotności, ponieważ on jeden na przestrzeni stuleci został poczęty z miłości.

– Istny jaskiniowiec – powiedziała – będzie miał na imię Rodrigo.

– Nie – zaprotestował jej mąż – będzie miał na imię Aureliano i wygra trzydzieści dwie wojny.

Po odcięciu pępowiny akuszerka przy świetle lampy, którą trzymał Aureliano, zaczęła za pomocą gałgana usuwać siną maź oblepiającą jego

ciało. Dopiero przewróciwszy go na brzuszek, zauważyli, że natura wyposażyła go w coś więcej niż resztę ludzi, i nachylili się, by sprawdzić. Był to świński ogon.

Nie przerazili się. Aureliano i Amaranta Urszula nie znali precedensu rodzinnego ani nie pamiętali straszliwych obaw Urszuli i akuszerka uspokoiła ich do reszty, twierdząc, że ten niepotrzebny ogon będzie można obciąć, gdy mały zacznie zmieniać zęby. Potem nie mieli już czasu wrócić do tej myśli, gdyż Amaranta Urszula wykrwawiała się niepohamowanym strumieniem. Próbowali zatamować krew za pomocą pajęczyny i popiołu, ale było to tak, jakby ktoś rękami usiłował zatrzymać kaskadę. Z początku wysilała się, żeby zachować dobry humor. Brała za rękę wystraszonego Aureliana i błagała, żeby się nie martwił, że tacy ludzie jak ona nie są stworzeni do umierania wbrew woli, i zaśmiewała się z barbarzyńskich środków leczniczych akuszerki. Ale w miarę jak Aureliana opuszczały nadzieje, Amaranta Urszula robiła się przezroczysta, jakby światło przenikało ją na wskroś, aż wreszcie zapadła w senne odurzenie. W poniedziałek o świcie przyprowadzono kobietę, która przy łóżku odmówiła modlitwy kauteryzacyjne, niezawodne dla ludzi i zwierząt, ale płomienna krew Amaranty Urszuli była nieczuła na wszystkie zaklęcia inne niż miłosne. Po południu, po dwudziestu czterech godzinach rozpaczy, wiedzieli, że nie żyje, gdyż strumień krwi wyczerpał się samoistnie, wyostrzył się jej profil i alabastrowy poblask wygładził bruzdy w twarzy, na którą powrócił uśmiech.

Aż do tego czasu Aureliano nie rozumiał, jak bardzo kochał swoich przyjaciół, jak mu byli potrzebni i jak wiele dałby za to, żeby być z nimi w tej chwili. Włożył dziecko do koszyczka, który dla niego przygotowała matka, zakrył twarz zmarłej i błądził bez celu po opustoszałym mieście w poszukiwaniu ścieżki powrotnej w przeszłość. Zastukał do drzwi apteki, gdzie nie bywał w ostatnich czasach, i znalazł w tym miejscu warsztat stolarski. Staruszka, która z lampą w ręku otworzyła drzwi, ulitowała się nad jego obłąkańczą mową i uparcie twierdziła, że tam nigdy nie było apteki i nigdy nie znała kobiety imieniem Mercedes, z wysmukłą szyją i sennymi oczami. Płakał z czołem wspartym o drzwi dawnej księgarni katalońskiego mędrca, świadom, że płaci spóźnionymi łzami za śmierć, której nie chciał opłakiwać w porę, żeby nie prysnął czar miłości. Kaleczył

sobie pięści, tłukąc o betonowy mur dawnego Złotego Dziecięcia wołając, żeby przyszła Pilar Ternera, obojętny na pomarańczowe dyski świetlne, które przebiegały niebo i które tyle razy obserwował z naiwnym zachwytem w noce uciech na dziedzińcu flamingów. W ostatnim otwartym szynku zrujnowanej dzielnicy rozrywek zespół gitarzystów śpiewał pieśni Rafaela Escalona, siostrzeńca biskupa i spadkobiercy tajemnic Francisca el Hombre. Właściciel z uschniętą ręką, jakby zwęgloną za to, że podniósł ją przeciw własnej matce, zaprosił Aureliana na butelkę gorzałki, a Aureliano postawił mu drugą. Szynkarz opowiedział historię nieszczęścia z ręką, Aureliano opowiedział mu o nieszczęściu z sercem, które uschło i obróciło się w węgiel, bo podniósł je przeciw własnej siostrze. W końcu płakali razem i Aureliano przez chwilę miał wrażenie, że ból minął, ale kiedy pozostał sam w ten ostatni ranek Macondo na środku placu, rozłożył ręce gotów przebudzić cały świat i wykrzyknął z głębi duszy:

– Przyjaciele to banda łotrów!

Nigromanta wyciągnęła go z kałuży wymiotów i łez. Zaprowadziła go do swego pokoju, umyła i zmusiła do wypicia filiżanki rosołu. Myśląc, że to go pocieszy, skreśliła zapisane węglem na ścianie jego długi za niezliczone seanse miłosne dotychczas niespłacone i zaczęła wspominać swoje własne samotne smutki, żeby nie pozostawić go samego w płaczu. O świcie, po krótkim i niespokojnym śnie, Aureliano znów odzyskał świadomość, że boli go głowa. Otworzył oczy i przypomniał sobie dziecko.

Nie znalazł go w koszyczku. W pierwszej chwili ogarnęła go radość na myśl, że to Amaranta Urszula obudziła się ze snu śmierci, żeby zająć się synkiem, ale jej zwłoki nadal były tylko kamiennym wzgórkiem pod prześcieradłem. Przypomniawszy sobie, że wchodząc, zastał otwarte drzwi sypialni, Aureliano przeszedł przez ganek nasycony porannymi zapachami majeranku i zajrzał do jadalni, gdzie jeszcze pozostały ślady porodu: duży garnek, zakrwawione prześcieradła, doniczki z popiołem i skręcona pępowina dziecka w pieluszce na stole obok nożyczek i sznurka. Myśl, że akuszerka wróciła po dziecko w ciągu nocy, dała mu chwilę spokoju. Opadł na fotel, ten sam, który zajmowała Rebeka w pierwszych latach domu, udzielając lekcji haftu, i w którym zasiadała Amaranta, grając w warcaby z pułkownikiem Gerineldem Marquezem, potem Amaranta Urszula, szyjąc wyprawkę dla dziecka, i w przebłysku jasności umysłu zrozumiał, że jego

dusza nie udźwignie ciężaru tak okropnej przeszłości. Przeszyty śmiertelnymi grotami własnych i cudzych wspomnień podziwiał nieugiętość pajęczyny na krzakach zwiędłych róż, wytrwałość mchu, cierpliwość powietrza w promiennym poranku lutowym. I wtedy zobaczył dziecko. Była to pusta skóra, zeschła i wzdęta, którą wszystkie mrówki świata ciągnęły do swoich mrowisk po żwirowej ścieżce w ogrodzie. Aureliano nie poruszył się. Nie dlatego, by sparaliżowała go groza, lecz dlatego, że w tym niesamowitym momencie ujawniły mu się ostateczne szyfry Melquiadesa i zobaczył epigraf jego pergaminów idealnie tkwiący w czasie i przestrzeni ludzi: „Pierwszy z rodu przywiązany jest do drzewa, a ostatniego zjadają mrówki”.

W żadnej chwili swojego życia Aureliano nie był bardziej trzeźwy i przytomny niż w tej, kiedy zapomniał o swoich zmarłych i bólu po swoich zmarłych, i zabił na nowo drzwi i okna deskami Fernandy, by nie dać do siebie przystępu żadnym głosom tego świata, bo już wtedy wiedział, że w pergaminach Melquiadesa wypisany jest jego los. Odnalazł je nienaruszone pośród przedhistorycznych roślin, dymiących kałuż i świetlistych owadów, które wygnały z pokoju wszelki ślad pobytu człowieka na ziemi, i nie dość cierpliwy, by wynieść je stamtąd na światło, tam, na miejscu, stojąc w olśniewającym blasku południa, zaczął odczytywać je głośno, bez trudu, jakby były napisane po hiszpańsku. Były to dzieje rodziny opowiedziane przez Melquiadesa aż do najbłahszych szczegółów, na sto lat przedtem. Napisał je w sanskrycie, swoim języku rodzinnym, i zaznaczył wiersze parzyste tajnym szyfrem cesarza Augusta, a nieparzyste wojskowymi szyframi Spartan. Końcowy kamuflaż, który Aureliano zaczynał dostrzegać, kiedy oszołomiła go miłość do Amaranty Urszuli, polegał na tym, że Melquíades nie ułożył faktów w umownym czasie ludzi, lecz skoncentrował jeden wiek epizodów codziennych tak, że wszystkie współistniały w jednym momencie. Zafascynowany odkryciem Aureliano czytał kolejno na głos śpiewane encykliki, których sam Melquíades kazał słuchać Arcadiowi, a które w rzeczywistości były przepowiedniami jego egzekucji, i znalazł zapowiedź o narodzinach najpiękniejszej kobiety świata, która wstąpiła w niebo duchem i ciałem, poznał losy dwóch bliźniaków pogrobowców, którzy zaniechali odczytania pergaminów nie tylko przez nieudolność i brak wytrwałości, lecz dlatego,

że ich próby były przedwczesne. W tym punkcie, niecierpliwie pragnąc poznać swoje własne pochodzenie, przerzucił kartki. Wtedy zerwał się wiatr, ciepły i pełen głosów przeszłości, szeptów dawnych pelargonii i westchnień, rozczarowań dawniejszych niż najbardziej uparte tęsknoty. Nie zauważył, bo w tej chwili odkrywał pierwsze zalążki swojego istnienia we frywolnym dziadku lekkomyślnie wędrującym przez złudną pustynię w poszukiwaniu pięknej kobiety, której nie dał szczęścia. Aureliano poznał go i śledząc ukryte ścieżki jego potomków, znalazł moment, w którym sam został poczęty o zmierzchu, pośród skorpionów i żółtych motyli w łazience, gdzie prosty robotnik sycił swoją żądzę z kobietą, której uległość zrodziła się z buntu. Był tak pochłonięty lekturą, że nie czuł także drugiego podmuchu wiatru, którego cykloniczna siła wyłamała z zawiasów drzwi i okna, zerwała dach z ganku od strony wschodniej i wstrząsnęła fundamentami. Wtedy dopiero odkrył, że Amaranta Urszula nie była jego siostrą, ale jego ciotką, i że Francis Drake napadł na miasto Riohacha tylko po to, żeby oni mogli szukać się wzajemnie po najbardziej zawiłych labiryntach krwi, aż do spłodzenia mitologicznego zwierzęcia, które miało położyć kres rodowi. Macondo było już wirującym słupem kurzawy i gruzu, miotanym furią biblijnego huraganu, kiedy Aureliano przerzucił jedenaście stronic, by nie tracić czasu na fakty zbyt dobrze mu znane, i zaczął odczytywać moment, który przeżywał obecnie, odcyfrowując go w miarę przeżywania, widząc samego siebie w trakcie odczytywania ostatniej strony pergaminów, tak jakby to widział w mówiącym zwierciadle. I znów przeskoczył kilka wierszy, by wyprzedzić przepowiednię i sprawdzić datę i okoliczności swojej śmierci. Ale nim doszedł do ostatniego wiersza, zrozumiał już, że nie wyjdzie nigdy z tego pokoju, gdyż powiedziane było, że miasto zwierciadeł (lub zwierciadlanych miraży) zmiecione będzie przez wiatr i wygnane z pamięci ludzi w chwili, kiedy Aureliano Babilonia skończy odcyfrowywać pergaminy, i że wszystko, co w nich spisano, niepowtarzalne jest od wieków i na wieki, bo plemiona skazane na sto lat samotności nie mają już drugiej szansy na ziemi.

[1] Słowa *hombre* (człowiek, mężczyzna) używa się także jako przymiotnika o znaczeniu „mężny, waleczny” (przyp. tłum.).

[2] Słowo *corregidor* (przewodniczący zarządu miasta, sprawujący jednocześnie władzę sądowniczą i administracyjną) pochodzi od czasownika *corregir* – naprawiać (przyp. tłum.).

[3] To bardzo proste. Ten człowiek odkrył czwarty stan materii (przyp. tłum.).

[4] Zaprzeczam temu. Fakt ten dowodzi istnienia Boga bez żadnych wątpliwości (przyp. tłum.).

[5] *Carnicero* – rzeźnik (przyp. tłum.).

[6] Rzeczywisty tytuł tej sztuki Zorilli, jednego z największych poetów romantycznych Hiszpanii, brzmi *Sztylet Wizygota* (*El puñal del Godo*). „Lis” w zmienionym tytule (po hiszp. *zorro*) jest aluzją do nazwiska autora. Gotami w Ameryce nazywano Hiszpanów. W Kolumbii dziś jeszcze nazwa ta, w sensie pejoratywnym, nadawana jest konserwatystom przez liberałów (przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz